



BOOTH PAT

PALM BEACH

Młoda, ambitna trenerka aerobiku, Lisa Starr, pragnie się dostać do ekskluzywnego świata mieszkańców Palm Beach. Dzięki ogromnej sile charakteru i niezbędnemu łutowi szczęścia uchylają się przed nią drzwi do krainy marzeń. Przeżywa tam wielką miłość i głębokie rozczarowania, wznosy i upadki, by po latach osiągnąć pełnię sukcesu.

PROLOG

W szyscy zgodnie przyznawali, że szykuje się najpiękniejszy i najwspanialszy ślub w historii Palm Beach, ale też wszyscy odczuwali, że jest w nim coś dziwnego. Trudno powiedzieć co. Tajemnicze i budzące niepokój fluidy krążyły w podświadomości zebranych, ukryte w cieniu, ale niezaprzeczalnie obecne. Wydawało się, że jakieś obce radosnej atmosferze ślubu uczucie czai się w chłodnym, doskonale klimatyzowanym powietrzu starej miznerowskiej rezydencji, kryje się w ciemnych narożnikach rzeźbionych, drewnianych sufitów, narzuca swoją obecność w ponurych korytarzach, wyłożonych hiszpańską glazurą i w przyozdobionych bugenwillami krużgankach. Nie udawało się tego zignorować, a jednak owo „coś” było zbyt mało uchwytnie, by dało się opisać — taki nieproszony gość na ślubnym przyjęciu.

Lisa Blass i Bobby Stansfield nie zdawali sobie z tego sprawy. Był to dzień ich ślubu. Już wkrótce mieli stać się jednością i otaczająca ich aura wspólnego szczęścia skutecznie chroniła oboje przed krążącą wokół mgiełką strachu czy niepokoju. Stali blisko siebie, jak figurki na wieczku dziecięcej pozytywki, w radosnym nastroju oczekując rozpoczęcia wspólnej drogi. Od czasu do czasu, jakby dla upewnienia się, że to nie sen, ich ręce spotykały się w geście zdającym się mówić „dotknąć — znaczy posiąść”.

Lisa Blass ścisnęła mocniej dłoń narzeczonego i nachyliła się w stronę jego silnych ramion.

— Już niedługo — szepnęła.

Ale tak naprawdę trwało to ogromnie długo. Niemal tak długo, jak daleko mogła sięgnąć pamięcią w przeszłość. Wydawało się jej, że przez całe życie zmierzała właśnie ku temu i przeszła najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą drogę, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Jedynie Maggie mogła zrozumieć smutek i tragedię, rozpacz i urazę, walkę i rywalizację; to wszystko, co musiała przeżyć Lisa na swej drodze. Pozostali widzieli jedynie Lisę Blass, dziewczynę niepewnego pochodzenia, która stworzyła imperium i właśnie miała teraz połączyć je z dynastią. Była to wersja lansowana przez takie czasopisma jak „People” czy „Social Register”. I tylko Lisa wiedziała, że w tym karkołomnym uczuciowo diabelskim młynie, jakim okazało się jej życie, to wcale nie miłość, jak sugerowałyby ta uroczystość, była dominującym motywem, ale uczucie zupełnie odmienne. Ona jedna wiedziała, że te wszystkie lata, gdy zdobywała sławę i fortunę, przyćmione były wiecznie drążącym jej umysł pragnieniem zemsty.

Teraz jednak nastąpiła całkowita metamorfoza i z poczwarki nienawiści wykluł się motyl miłości; miłości do mężczyzny, którego przedtem tak bardzo pragnęła zniszczyć.

Bobby odwrócił głowę, by spojrzeć na nią, prostując się i podnosząc ramiona w przedpołudniowym ubraniu, doskonale uszytym przez firmę „Anderson i Sheppard, Savile Row”. Głęboko wciągnął powietrze.

— Nie mogę się już doczekać — szepnął, odpowiadając na jej spojrzenie.

Chyba jeszcze nigdy nie powiedział czegoś, co byłoby równie prawdziwe. Tak wiele czasu zmarnował. Tylekroć żałował decyzji, którą podjął wiele lat temu. Jego modlitwy nie pozostały jednak bez odpowiedzi; po raz drugi dana mu została szansa i teraz chciał tylko, żeby jego marzenia się spełniły, zanim kapryśny los zepsuje wszystko raz jeszcze. Serce Bobby'ego wypełniała radość, kiedy rozmyślał nad swoją przyszłością. Z Lisą Blass u boku, połączywszy jej wielką fortunę z własną pozycją polityczną, będąc dzień i noc pod uspokajającym wpływem żony, miał znowu szansę na realizację swych ambitnych marzeń. Nadal mógł liczyć, że zostanie prezydentem. Pełen podniecenia gwar wdarł się w świadomość Bobby'ego, wybijając go z marzeń. Odwrócił się i spojrzał na gości weselnych.

Wydawało się, jakby całe Palm Beach stawiło się w tym olbrzymim pokoju. Stało tu w całej swojej chwale — budzącej nabożną cześć i promieniującej samozadowoleniem — dumne i wyzywające, demonstrując odwieczne bogactwo i pozycję społeczną. Byli tu wszyscy: Stara Gwardia — Phippsowie, Munnowie, Widenerowie, Pulitzerowie, rodzina Kimberlych; i ci, którzy pewnego dnia staną się Starą Gwardią — Loyowie, Andersonowie, Leidy'owie, Cushingowie, Hanleyowie. Cały Polo Club z Wellington: tłuści Argentyńczycy z pożądanymi oczami i nabitymi mięśniami; układni, posiwiali przedstawiciele starych elit z pięknymi żonami i puszczałskimi córkami; pozbawieni majątków

Anglicy z poważnymi obciążeniami i niskim morale. Byli tu sojusznicy polityczni, okazjonalni wrogowie polityczni, kilku przedstawiciele liberalnej hołoty z Europy. Potomkowie niemieckich magnatów przemysłu zbrojeniowego i jacyś rzekomi członkowie rodzin królewskich z Bałkanów oraz, nieuchronnie, grupka uprzejmych „białych” z Rosji. Tak, wszyscy przybyli tu, by zobaczyć ślub dwóch najbardziej wpływowych fortun w mieście. Dla nich był to nie tyle ślub, co koronacja. Palm Beach miało właśnie otrzymać nowego króla i nową królową, a dworzanie przybyli, by złożyć im hołd.

Tylko Scott Blass przeżywał w duchu własne, prywatne chwile przerażenia. Zagłębiony w krzesło z wysokim oparciem rozglądał się nerwowo, próbując nie patrzeć na mającą się wkrótce pobrać parę, która stała obok pulpitu przystrojonego orchideami. Natomiast spoglądał co chwila na biały telefon tuż przy jego ręce. Mimo elektryzującego niepokoju, jaki z niego emanował, Scott zdążył pomyśleć, że nigdy jeszcze nie widział matki wyglądającej równie pięknie jak dziś. Kremowa suknia od Pat Kerr, w odcieniu kości słoniowej, uszyta była z siedemnastowiecznej mediolańskiej koronki; niemal dziewiczy, wysoki karczek przyozdobiony perłami dodawał matce uduchowionego wdzięku, jakiego nigdy przedtem u niej nie dostrzegł. Jej wykwintne rysy nie zmieniły się wprawdzie, ale znikło z nich napięcie, które zastąpił wyraz cichego spokoju. Matka, oczyszczona przez ogień, odrodziła się, a blask miłości, jakim promieniały jej oczy — ten blask, o który Scott modlił się, aby kiedyś zabłysnął dla niego — koncentrował się na jej przyszłym mężu. Koło się zamknęło. Błędy miały wkrótce zostać naprawione — to, co było zimne, miało się rozgrzać. Z pól, na których zasiano zło, miał zostać zebrany plon szczęścia. Czyż naprawdę? Scott znowu spojrział na telefon, marząc, by zadzwonił. Z nieszczęśliwą miną szarpnął kołnierzyk, żeby wpuścić trochę powietrza na zwilżoną potem skórę, wiedząc, że to mu wcale nie przyniesie ulgi.

Po obu stronach pokoju obserwowały jego cierpienie dwie kobiety. Caroline Stansfield nigdy przedtem nie spotkała syna Lisy Blass, ale pokazała jej Scotta i spodobał się starszej damie od razu. Jako matrona politycznej dynastii Stansfieldów i niezłomny filar towarzystwa w Palm Beach, wiedziała to i owo o preferencjach wyborców. Ten chłopak to naprawdę dobry materiał. Wysoki, zgrabnie zbudowany, z oczami intensywnie niebieskiego koloru jak u jej syna Bobby'ego, które są w stanie przyciągnąć uwagę wyborców. Z pewnością odziedziczył inteligencję po matce. Syn Lisy, kobiety znikąd, która przejęła władzę w tym jedynym mającym znaczenie świątku, musi mieć właściwy instynkt polityczny. Można by go podszkolić. Może weźmie go pod

swoje skrzydła i nauczy sztuki zwycięzania, tak jak nauczyła własne dzieci. Ale czemuż, u licha, ten chłopak tak strasznie się wierci? Mężczyzna powinien opanować sztukę spokojnego siedzenia i emanowania godnością. Scott natomiast robi wrażenie, jakby miał właśnie stanąć przed plutonem egzekucyjnym, nie zaś być świadkiem ślubu swojej matki z najbardziej upragnionym człowiekiem na świecie. Z łatwością, jakiej nauczyła się w trakcie osiemdziesięcioletniej praktyki, Caroline Stansfield odwróciła uwagę od drażniących myśli i z królewskim uśmiechem zaczęła rozglądać się po pokoju.

Wszystko było naprawdę doskonale. Jak to mądrze ze strony Lisy, że nauczyła się obowiązujących zasad. Bobby pomógłby jej, oczywiście, ale w gruncie rzeczy nie potrafił angażować się całym sercem w takie rzeczy jak organizowanie ślubów. Przebiegła w myślach listę szczegółów, jakie uwielbiali roztrząsać najwyżej notowani mieszkańcy Palm Beach: przedpołudniowy strój pana młodego — biała marynarka w angielskim stylu, gładka i bez żadnych zielonych ozdóbek czy gałązek w klapie; budzący zaufanie krawat od Andovera, prążkowane, dobrze wyprasowane spodnie; doskonale wyczyszczone, wygodne buty — takie, które wyglądają jakby były noszone przynajmniej od trzydziestu lat. A Lisa? Naprawdę doskonały kompromis pomiędzy dziewiczą bielą i hipokryzją. Koronka była bardziej w kolorze kości słoniowej niż bieli, a mimo to wyglądała jak hymn na cześć czystości. Bardzo dobry wybór. I żadnego kolorowego kwiatka w bukietcie. Po prostu białe stokrotki, świadczące o prostocie i niechęci do afektacji, którą dotkniętych było tylu najlepszych ludzi. Znające się na rzeczy snobistyczne spojrzenie Caroline odnotowało z aprobatą kolejne elementy. Więcej niż trzeba lokajów; wszyscy w identycznych, brunatnoszarych marynarkach, prążkowanych spodniach, koszulach ze sztywnymi kołnierzykami, fontaziach i perłowszarych rękawiczkach. W całym pokoju nie było nikogo w wieczorowym ubraniu. Caroline spojrzała na zegarek. Już prawie pora — południe. W jej opinii najlepszy czas na zawieranie małżeństwa.

Kilku spóźnionych gości sadowiło się jeszcze na swoich miejscach. Od momentu, gdy wysiedli ze swych rolls-royce'ów, eskortowani byli długimi, posypanymi płatkami kwiatów korytarzami starego domu przez dobrze wyszkolonych chłopców z firmy „Kamerdynerów Parkingowych Palm Beach Johna Kavekosa”. Niektórzy z zebranych wyciągali szyje jak nafaszerowane amfetaminą strusie, żeby sprawdzić, kto jeszcze przyjechał i, co ważniejsze, kogo nie było. Caroline miała ochotę ich uspokoić. Przyszli wszyscy, którzy „znaczyli”. W jej polu widzenia nie było żadnych „nie znaczących” osób. Fordowie, du Pontowie,

Meekowie, Dudleyowie i cały klan Kennedych. Wszyscy członkowie elitarnego Coconut Club, którzy spotykali się tylko raz w roku, w Noc Sylwestrową, ale zaproszenie na to spotkanie było cenniejsze niż telefon od prezydenta; w pełnym składzie stawiał się zarząd Poinciana Club, ten zawsze czujny obserwator życia towarzyskiego w Palm Beach, większość członków Everglades Club oraz skrupulatnie wybrani co ważniejsi przedstawiciele Bath and Tennis Club. Na szczęście nie było nikogo z Country Club z Palm Beach. Przybyła też grupka z Hobe Sound, z Permelią Pryor Reed, autokratyczną przywódczynią Jupiter Island Club, a z nią kilkoro Doubledayów, Dillonów i Auchinoclossów. Spojrzenie Caroline Stansfield ponownie zatrzymało się na Scotcie i znowu jej poczucie harmonii uległo zachwianiu. O co, u licha, mu chodzi? Wygląda tak niewiarygodnie — co to za głupie określenie, jakiego się ostatnio używa? — „spięty”. Chyba właśnie mniej więcej w tym czasie nerwy Caroline Stansfield, zazwyczaj doskonale dostrojone do sytuacji dzięki blisko stuletniej praktyce w intrygach politycznych i towarzyskich, zaczęły wyczuwać, że w jej świecie dzieje się coś okropnie niewłaściwego.

W odległości pięćdziesięciu stóp od Caroline jej wnuczka Christine stała pośród kwiatów w miejscu, które przypominało raj, ale dla niej było piekłem. Olbrzymie bukiety białych orchidei po jej obu stronach podkreślały delikatną urodę dziewczyny, szyderczo przeciwstawiając własny majestatyczny spokój jej pełnemu przerażeniu oczekiwaniu. Christine także wpatrywała się w Scotta Blassa, ale w odróżnieniu od babki doskonale wiedziała, o czym myślał. Ile jeszcze zostało czasu? I co zrobią, kiedy nadejdzie właściwy moment? Skoro Bóg nie udzielił im wskazówek, nie będzie innej rady, jak tylko wziąć na siebie Jego rolę. Odwróciła oczy od targanej niepokojem postaci przy telefonie i spojrzała odruchowo na uszczęśliwioną parę. Czy mogła to zrobić swojemu ojcu? A Scott swojej matce? Nie знаła właściwej odpowiedzi na to pytanie i wiedziała, że on także nie znał. W pewnej chwili udało się jej złapać spojrzenie niespokojnych, pełnych oczekiwania oczu Scotta. Być może telepatycznie doda mu sił. Christie skoncentrowała się i spróbowała podnieść go na duchu wzrokiem, czyli zrobić coś takiego, czego w tej chwili bardzo pragnęła dla siebie samej. Niebieskie oczy podziękowały jej. W odpowiedzi uśmiechnęła się słabo. Scott, biedny Scott. Został jej zabrany tylko po to, by los oddał go w tak paradoksalny sposób, jak tylko życie potrafi wymyślić. Scott, który niegdyś obrzydliwie ją wykorzystał, teraz był jej partnerem. Kiedyś był jej kochankiem, a teraz znaczył dla niej o wiele więcej.

Ojciec Bradley, proboszcz Bethesda-by-the-Sea — otoczonego ko-

lumnami sanktuarium, gdzie episkopalne Palm Beach było przyjmowane na świat i chowane, łączyło się i wspólnie modliło — szykowało się do ceremonii. Wyglądał na rozluźnionego, wypoczętego, z łatwością poruszał się wśród swej wyjątkowo plutokratycznej kongregacji. Nie przypominał sobie drugiego równie ważnego ślubu jak ten. Pozornie wszystko wydawało się pod kontrolą, ale ojciec Bradley, wymieniając pozdrowienia i komentarze z co ważniejszymi gośćmi weselnymi, nie mógł opanować dziwnego wewnętrznego niepokoju. A przecież potrafił odprawiać ceremonie ślubne nawet wyrwany ze snu w środku nocy. Czym więc się martwił? Oczywiście, łatwiej było w kościele, ale w przypadku powtórnego małżeństwa dom stawał się miejscem zupełnie właściwym, zwłaszcza dom Stansfieldów. Ojciec Bradley spojrział na zegarek. Za dwie dwunasta, wszystko w porządku. Ale czemuż to, u Boga Ojca, miał ochotę dodać „jak dotąd”?

Maggie na chwilę oddała się wspomnieniom. Była najdawniejszą przyjaciółką Lisy, ale obecnie ich drogi się rozeszły. Ten dom i ten wystawny ślub symbolizowały właśnie dzielącą je przepaść. Dawniej świat ich obu wypełniała ciężka praca, łyż w gimnazjum w West Palm oraz pośpiesznie łykane hamburgery, kupowane w sklepiku w miasteczku. Były także radość i strach związany z tworzeniem przedsiębiorstwa, które kiedyś tak bardzo kochały i które Maggie kochała dotąd. Teraz tamten sklepik został zamieniony przez Johna Sunkela w elegancki bar, w którym na stołach bufetowych, pokrytych morową taftą, stały wykwintne potrawy, a obok znajdowała się olbrzymia sala jadalna. Przed laty, w mieszkanku Lisy, które już dawno zostało przemienione w parking dla użytkowników wieżowca South Flagler, rosły palmy w doniczkach i gdzieniegdzie jakieś kwitnące kwiatki. Tutaj były purpurowe i białe orchidee i girlandy winorośli poprzeplatane w zdumiewający sposób nad zastawionymi stołami lub swobodnie rzucone na śnieżnobiałe obrusy, między patery z dorodnymi owocami tropikalnymi: kiwi, papajami i muszkatowymi winogronami. Maggie widziała, jak cała mała armia przystrojonych w białe marynarki kelnerów przygotowywała ucztę weselną; słyszała, jak wiecznie popularny Peter Duchin, arystokratyczny duch przyjęć w Palm Beach, ćwiczył na fortepianie Steinwaya; udało się jej uniknąć taksującego spojrzenia wszechobecnego Boba Davidoffa, który widział więcej ślubów niż jakikolwiek inny śmiertelnik; zauważyła także skromne kwiaty na poczwórnym torcie ślubnym, zamiast maleńkich figurek młodej pary, które ona i większość Amerykanów z całą pewnością by tam umieścili. Były to zapewne drobiazgi, ale mówiące bardzo wiele. Wszystkie stanowiły elementy owego niemego języka, dzięki któremu

ci ludzie rozpoznawali swoich. Tworzyli tajemniczą, zamkniętą społeczność znaków i sygnałów, gestów i przesłań. Rzeczy były „zrobione” lub „nie zrobione”. Nikt cię tego nie uczył. Tego zresztą nie można kogoś nauczyć, trzeba złapać samemu przez osmozę — będąc tu, żyjąc wśród nich. Już mając kilkanaście lat, umie się nieomylnie wyczuć tych, którzy się podszywają pod ów świat. Takie to proste i równocześnie tak niemożliwe do podrobienia. Jaka zasada rządziła tym, że powinno być właśnie osiem drухen, identycznie ubranych w pastelowe sukienki? Kto zdecydował, że prezenty ślubne należało wyłożyć na pokrytych adamaszkiem stołach w bibliotece, aby każdy mógł je zobaczyć? Dlaczego musiał być właśnie szampan marki Taittinger? To wszystko wydawało się takie tajemnicze i Maggie nie umiała opanować uczucia obcości.

Spojrzała na Lisę i natychmiast jej serce wypełniło się dobrze znanym uczuciem. Lisa, która tak wiele przeżyła, miała wreszcie odnaleźć swoje szczęście. Tylko czemu Christie była taka przygaszona, zaś Scott tak śmiertelnie blady? I czemu obserwowała ich Caroline Stansfield, a na jej starej, mądrej twarzy poranej zmarszczkami malował się wyraz troski i strachu? Kiedy te niespokojne myśli dotarły do Maggie, odczuła jakieś niewytłumaczalne wibracje. Dobry Boże, coś złego wisiało w powietrzu. Jej ręka mimo woli uniosła się do ust, gdyż nagle poczuła drażniącą suchość. Nie. Z pewnością nie. Nie teraz, kiedy było już tak późno. Czyżby grzech ojców miał się okazać ostatnim, spóźnionym gościem weselnym?

1

Bobby Stansfield złapał falę i przez moment był w swoim żywiole. Deska surfingowa drżała mu pod stopami i wrywała się zupełnie tak samo jak serce w piersiach. Robiło się już późno, słońce coraz słabiej świeciło spoza palm, rzucając na powierzchnię morza roztańczone, złote blaski. To już był ostatni ślizg dzisiejszego popołudnia i wyglądało na to, że najlepszy ze wszystkich.

Jak drapieżny ptak opadał na piasek na plaży, przysiadając w klasycznej pozie, zachwycony mijającym pięknym dniem. Jak dotąd przeżył zaledwie kilka takich momentów i choć miał dopiero trzynaście lat, doskonale rozpoznawał chwile rozpierającego duszę szczęścia.

Fala zamierała powoli. Bobby kończył przejażdżkę w dobrym stylu. Wygiął plecy i napiął mięśnie nóg, czując słabnącą moc wody, po czym z okrzykiem pożegnania rzucił się w kierunku bładoniebieskiego nieba nad Florydą. Przed oczami przesunął mu się szalony kalejdoskop barw, a później jego ciało ogarnął chaos. Niebo, płynące po nim chmurki, różowa chatka na plaży, bąbelki wody rozbijającej się o brzeg. Na kilka sekund pozwolił porwać się nurtowi, ufając swym silnym ramionom i nogom, które pokonają odpływ fal. Czuł ostry piasek ocierający mu się o pierś, pieczenie oczu i narastające ciśnienie, a po chwili wstawał już na nogi, wracając do świata, który przed chwilą opuścił. Wydostał się nad powierzchnię wody. Czar prysnął.

Tysiąc razy odbywał tę drogę. Sto metrów po ciągle jeszcze ciepłym piasku, następnych sto wybieloną promenadą do rozgrzanej asfaltowej jezdni. Czasami szedł tędy z kolegami roześmiany, żartując tak jak i inni, niosąc kołyszącą się deskę przerzuconą przez silne, opalone ramię. Potargane włosy, słone od morskiej wody, rozwiewał późny letni wietrzyk z Palm Beach, podążający razem z nim do domu. Jednakże

dzisiaj Bobby był sam i cieszyło go to. Wsiadł na rower, wsunął deskę surfingową pod ramię i ruszył wzdłuż North Ocean Boulevard.

Tuż przed bramą imponujących rozmiarów, prowadzącą do rezydencji, postanowił pod wpływem kaprysu zmienić trasę. Chciał jeszcze raz spojrzeć na fale. Czasami z wyglądu nieba, kierunku i siły wiatru oraz zachowania nurkujących w wodę pelikanów dawało się przewidzieć warunki surfingu na następny dzień. Tak więc, pozostawiając deskę i rower na swoim miejscu w rogu garażu, przemknął wzdłuż domu w kierunku falochronu, który osłaniał rezydencję przed nieobliczalnym morzem.

Przed sobą miał gabinet ojca, okrągły pokój dobudowany do pierwotnej bryły miznerowskiej rezydencji. Zazwyczaj Bobby zaglądał tam przez okno. Cała rodzina odnosiła się z nabożnym szacunkiem do senatora. Wszyscy, z wyjątkiem jego własnej matki. Czasami Bobby widział, jak ojciec, siedząc za olbrzymim biurkiem, dyktował przemówienie, głębokim, dźwięcznym głosem wypowiadając górnolotne banały i z wyraźną, niczym nie zmaconą przyjemnością uśmiechał się na myśl o pełnej aprobaty reakcji jakiegoś przyszłego audytorium. Niekiedy oglądał mecz baseballowy, trzymając w prawej dłoni kryształowy kielich i sącąc ciemnobursztynowy burbon, który lubił pić wieczorami. Zdarzało się, choć rzadko, że chrapał w wytartym pluszowym fotelu, z nogami wygodnie opartymi na podnóżku i z wymiętym egzemplarzem „Wall Street Journal” na ciągle jeszcze płaskim brzuchu. Dziś jednak nie robił żadnej z tych rzeczy. Dziś uprawiał miłość z kimś na sofie.

Bobby Stansfield zmarł w bezruchu, a jego dziecięce, niebieskie oczy niemal wyskoczyły z orbit. Nawet przez moment nie wahał się, co ma zrobić. Nie co dzień nadarza się okazja ujżenia własnego ojca w akcji i Bobby nie miał najmniejszej ochoty przegapić choćby najdrobniejszego szczegółu tego widowiska. Targały nim sprzeczne uczucia — strach, podniecenie, fascynacja i obrzydzenie — równie mocno splątane ze sobą jak kochankowie w gabinecie na sofie. Bobby stał, zdumiony tym, co widział, ale chłopięca ciekawość przykuwała go do miejsca.

Senator Stansfield z całą pewnością nie był Rudolfem Valentino. Podchodził do aktu miłosnego z tą samą ostrożnością, wrażliwością i wstrzemięźliwością, jaka zawsze charakteryzowała jego pełną sukcesów karierę polityczną. Atakował partnerkę od przodu, w pozycji misjonarskiej, bez żadnych niuansów i czułości. Niepokojące odgłosy towarzyszące stosunkowi przedostawały się przez otwarte okno na zewnątrz, gdzie mieszały się z innymi, typowymi dla późnego popołudnia na Florydzie — łagodnym szmerem kosiarek do trawy, stłumio-

nym szumem fal. I chyba właśnie te dźwięki najbardziej wzburzyły Bobby'ego. Nikt przedtem nie przygotował go do czegoś takiego, o tym nie mówiło się na szkolnym podwórku, gdzie fakty dotyczące „samego życia” były równie łatwo dostępne jak alkohol i papierosy.

Kim, u licha, mogła być dziewczyna? Długie, opalone nogi nasuwały pewne skojarzenia. Białe buty, na wszelki wypadek pozostawione na stopach, zdradziły właścicielkę. Niewątpliwie była to Mary-Ellen, pokojówka matki. Boże! Bobby'ego oblała najpierw fala gorąca, potem zimna i jego rozgorączkowany umysł zaczął analizować sytuację. Po pierwsze, wypłynął problem stosunku ze służącą. Po drugie, a to było chyba nawet istotniejsze, pojawiła się zazdrość. Mary-Ellen w oczach chłopca wydawała się anielską pięknoscią i Bobby był w niej mocno zadurzony. Wesoła, promienna i pełna życia — miała te zalety, których tak bardzo brakowało jego trzem puciołowatym siostrom — i Bobby mógł spodziewać się wszystkiego, tylko nie tego, że ujrzy ją pod swoim ojcem na sofie.

Stał, wpatrując się w nich, jak przykuty do miejsca. Oboje kochankowie byli ubrani. Jasnozielone, popelinowe spodnie luźno zwisały wokół kolan ojca, a granatowa koszula firmy „Brooks Brothers” nadal okrywała jego potężny tors. Mary-Ellen także nie traciła czasu na rozbieranie się i przez szeroko otwarte okno Bobby mógł zobaczyć zadarty do pasa biały, bawełniany mundurek i bawełniane majteczki w różowe paski. Ponownie poczuł przypływ obrzydzenia, ale nie byłby pełnej krwi Stansfieldem, gdyby nie doszedł do wniosku, że dokładna obserwacja tej sceny może mu się przydać. Emocje zanalizuje później. Teraz należało przyjrzeć się, jak to się robi.

Nagle jednak, całkiem niespodziewanie, przeleciała mu przez głowę gwałtowna myśl. Matka! Czy ona o tym wiedziała? Czy się dowie? Co by zrobiła, gdyby się dowiedziała?

Podczas gdy Bobby walczył z myślami na temat matki, para na sofie zbliżała się do momentu szczytowego. Ruchy obojga stawały się coraz szybsze, gwałtowniejsze w miarę narastającego w nich napięcia. Nagle nogi Mary-Ellen jak gdyby straciły zdolność koordynacji poruszania się i zaczęły w dzikim rytmie bić powietrze drżąc, trzęsąc się i wibrując, gdy przeniknął ją finalny dreszcz. Ojciec również najwyraźniej przestał słyszeć ową wewnętrzną muzykę i wyczerpany opadł, jak marionetka, której nagle pękły podtrzymujące ją nitki.

Bobby'emu — przypadkowemu obserwatorowi, świadkowi niewierności ojca, odartemu przez Mary-Ellen ze złudzeń że właśnie w tym momencie na zawsze skończyło się jego dzieciństwo.

Bobby wpatrywał się ponuro w lustrzaną tafłę morza ponad pokrytymi rosą trawnikami. Dochodziła dopiero jedenasta, ale słońce narzucało już swoją wolę Palm Beach, temu cudownemu miastu, które było jego niewolnikiem i panem. Poranny wietrzyk już ucichł i leniwe pelikany, jeszcze przed chwilą z zadowoleniem szybujące w powietrzu, teraz musiały zabrać się do zdobywania pożywienia. Jako jedyne w widoczny sposób wykonywały jakąś pracę w tym dusznym upale. Bobby leżał wyciągnięty na leżaku okrytym białym ręcznikiem. Jego szczupłe, młodzieńcze ciało nabrało złotobrazowego odcienia pod wpływem południowego słońca. Z tranzystorowego radia ustawionego koło leżaka dochodziła piosenka śpiewana przez Connie Francis.

Stosunek Caroline Stansfield do słońca był odmienny niż jej syna. Mając delikatną, mlecznobiałą skórę, siedziała pod kremowym rozległym parasolem, osłonięta przed promieniami przyśpieszającymi pojawienie się zmarszczek. Jej niechęć do słońca traktowana była jako przejaw ekscentryczności i żarty na ten temat uważano za rzecz całkiem dopuszczalną. Caroline włączała się czasem do tej zabawy swoim kosztem i wówczas jej drobne, wyraziste rysy rozświetlał jeden z tych rzadkich, pełnych godności uśmiechów, z jakimi przyjmowała ostrożne dowcipy na swój temat. Pod wieloma względami fakt, że wołała cień niż ostre światło, był znamieny dla roli, jaką odgrywała w rodzinie Stansfieldów. Powszechnie przyjęło się, że w rodzinie błyszczał towarzyski, ekstrawertyczny senator i, w mniejszym stopniu, dzieci. Ale to wcale nie umniejszało jej niepodważalnej władzy. Kiedy Caroline Stansfield mówiła, co nie zdarzało się często, wszyscy słuchali, choć nikt nie wiedział dlaczego. Czy z powodu jej sięgającego osiemnastego wieku rodowodu? A może dlatego, że posiadała znaczną ilość akcji w IBM? Czy to jej cichy, władczy głos patrycjuszki wzbudzał taki autorytet? Nikt nie wiedział. Ale jedno nie ulegało wątpliwości: na pewno nie wiązało się to z jej fizyczną atrakcyjnością. Zapewne niegdyś miała „miłą powierzchowność” — eufemizm, przyjęty wśród bogatych i dobrze urodzonych, zastępujący to, co wśród mających mniej szczęścia śmiertelników określa się po prostu jako „wyblakłość”. Jednak lata zebrały swoje żniwo. Szerokie, jakby stworzone do rodzenia biodra spełniły swą rolę, ale sześcioro dzieci — w tym dwoje, jak Makbet, „przedwcześnie wyrwanych” z niej poprzez cesarskie cięcie — nie dodało im uroku. Także jej biust, wielki i nieforemny, nosił piętno reHgijoeego: „nakazu odgrywania roli matki karmiącej. Jednym słowem, obiekt seksualny Caroline Stansfield pozostawiała wiele do byczenia, wskutek czego senator Stansfield — który zawsze musiał dobrze pociągnąć 'z butelki przed obowiązkowym aktem prokreacyjnym ze swoją nie pociągającą, ale doskonale skoligaconą żoną — obecnie już w ogóle unikał jej łoża. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy z faktu, że Caroline była z tego zadowolona. Przez całą noc Bobby gorączkowo zastanawiał się, co powinien zrobić, a różne cechy osobowości chłopca toczyły ze sobą wewnętrzną walkę. Jedna część jego „ja” była przekonana, że nie powinien działać w tej sprawie, w myśl

zasady, że czego oczy nie widzą i języki nie powiedzą, tego sercu nie żal. Wszyscy o tym wiedzieli. Nie mówiąc nic, mógł oszczędzić matce bólu i dochować wiary swemu cudzołożącemu ojcu. Z drugiej strony, mówił sobie, jego obowiązkiem było powiedzieć matce. Być może, jeśli dowie się o pozamażeńskich wyskokach swojego męża, będzie w stanie zdusić je w zarodku, zanim obojgu przyjdą do głowy tak potworne myśli jak rozwód czy separacja. Ale w tej walce emocjonalnej było coś jeszcze — element dziedziczny, jaki tylko jeden ze Stansfieldów mógł w takiej chwili przeżywać. Po raz pierwszy w życiu Bobby poczuł coś, na co genetycznie był uwarunkowany — władzę. Od stulecia Stansfieldowie poświęcali się jej bezgranicznie. Walczyli, modlili się o nią, ryzykowali życie i nigdy nie byli w stanie zdobyć jej tak dużo, by czuli się usatysfakcjonowani. Senat, Sąd Najwyższy, znaczące ministerstwa stały otworem przed całymi pokoleniami ambitnych, sprytnych Stansfieldów. Nie udało się im jedynie zdobyć urzędu prezydenckiego i nocami, leżąc w łóżkach, wszyscy godnie reprezentujący swój ród Stansfieldowie marzyli ustawicznie o zdobyciu tego ostatecznego, najwyższego szczybla władzy.

Teraz Bobby posiadał władzę — przed tą świadomością nie było ucieczki. W końcu znalazł coś, co mogło rzucić cień na jego nieskazitelnego, wpływowego ojca. W tym także tkwił dylemat. Z jednej strony to prawda, że przez trzynaście lat podporządkowywał się tyranii nieustających upomnień, żeby starał się być lepszy od innych, i niewyobrażalnemu niemal okrucieństwu, pogardzie i upokorzeniom, kiedy on, najstarszy syn, nie mógł sprostać wygórowanym ambicjom makia-welicznego senatora. Z tego punktu widzenia możliwość zemsty była mile widziana, a nawet niezwykle przyjemna. Jednakże Bobby, choć pociągała go wizja wprawienia ojca w zakłopotanie, nie był wcale przekonany, czy powinien wykorzystać swoją władzę. No dobrze, ojciec był bezdusznym, pozbawionym wrażliwości, wymagającym nadzorcą niewolników, ale równocześnie wywierał silne wrażenie i Bobby na swój sposób czuł się z niego bardzo dumny. I, co dziwne, cała ta sprawa z Mary-Ellen właściwie w najmniejszym stopniu nie naruszyła respektu, z jakim Bobby odnosił się do ojca. Wręcz odwrotnie. Stosunek ze wspaniałą dwudziestolatką w dwa tygodnie po tym, kiedy samemu

ukończyło się sześćdziesiąt lat, wydawał się chłopcu czymś niezmiernie ekscytującym.

No i była też sprawa Mary-Ellen. Mary-Ellen, która przechodząc przez pokój potrafiła rozpaść go jak lampę.

Zabawna, miła Mary-Ellen, która pobudzała do śmiechu i sama przez cały czas się śmiała. Nagle uświadomił sobie, że dalsza obecność dziewczyny w ich domu wcale nie była już taka pewna. A części jego psychiki nie wydawało się to obojętne. Z trudem odgonił od siebie tę myśl. Stansfieldów zaprogramowano w taki sposób, by umieli kontrolować swoje uczucia. Cechą, którą według tych założeń powinni wysoko cenić, była twardość. Serca mogły im krwawić na myśl o Ameryce, o biedocie, o słabych i głodnych, ale przyjaciel w potrzebie stawał się kulą u nogi. Ludzie, którym się nie wiodło, narażali się na to, że zostaną zranieni. Zresztą ludzie zawsze byli ranieni, Bobby też czuł się dotknięty. Liczyła się władza. Bobby ją miał, a nauczono go, że władzę należało wykorzystywać. Tak więc jedyne pytanie, na jakie powinien sobie odpowiedzieć, to: jak z niej skorzystać?

Jakby pod wpływem walki twardszej strony jego osobowości z tą wrażliwszą Bobby poruszył się niespokojnie na leżaku, starając się rozwiązać dręczący go dylemat. Aż nagle wiedział już, co zrobić. Zupełnie jakby decyzja sama się podjęła. Tak to właśnie bywa w życiu. Pół godziny zastanawiasz się, kiedy wstać, a potem ze zdziwieniem stwierdzasz, że odrzuciłeś już koldrę i siedzisz. Bobby zdecydowanym ruchem wyłączył tranzystor, przerywając w pół słowa namiętne nawoływania Connie Francis, by jej ukochany był rozważniejszy.

— Mamo, jest coś, co chciałbym ci powiedzieć.

Caroline Stansfield spojrzała na niego ze zrezygnowanym, pozbawionym zainteresowania wyrazem twarzy.

Rozmowy, rozpoczynane w ten sposób, często były nieprzyjemne. Co się mogło stać? Jakieś wgniecenie w karoserii samochodu, łodzi, czy może coś zadrasnęło dumę syna? Niewiele rzeczy mogło ją poruszyć, a jeszcze mniej było takich, których nie dało się w ten czy w inny sposób wyprostować. To właśnie jedna z korzyści bycia członkiem rodu Stansfieldów. Być może, najważniejsza.

— O co chodzi, kochanie?

Bobby starał się mówić możliwie jak najpoważniejszym głosem, tak jakby na przykład przekazywał informację, że wstępne wyniki wyborów okazały się niekorzystne.

— Mamo, długo zastanawiałem się, czy powinienem ci o tym powiedzieć. Jestem w dość trudnej sytuacji i nie chciałbym być niełjalny wobec taty... — W jego głosie zadrżała nutka niepewności.

Caroline Stansfield drgnęła. Obszar ewentualnej katastrofy ograniczył się drastycznie. Wyglądało na to, że szykuje się coś kłopotliwego, a ze wszystkich uczuć na świecie zakłopotanie było tym, co odczuwała najrzadziej i czego najbardziej nie lubiła.

— Są takie rzeczy, Bobby, o których czasem lepiej nie mówić, wiesz o tym?

Ale Bobby dotarł już do miejsca, z którego nie było odwrotu.

— Myślę, że masz prawo wiedzieć, że ojciec ma romans z Mary-Ellen.

Na twarzy Caroline Stansfield odbiła się walka wewnętrzna, jaką toczyły w niej uczucia bólu i odrazy. Nie była to jednakże informacja mogąca ją przygnębić. Interesowało ją to mniej więcej tyle, co zeszłoroczny śnieg. Jej mąż już od lat uwodził co ładniejsze służące. Niektóre z nich uważały to nawet za powód, żeby odejść ze służby, nie przyznając się oczywiście przed Caroline. Zachowując milczenie, w gruncie rzeczy dawała mężowi przyzwolenie. I naprawdę jej to odpowiadało. Pod względem emocjonalnym Fred Stansfield jeszcze ciągle pozostawał dzieckiem. Romanse były dla niego czymś takim jak dla dzieci słodycze, pogłaskanie po głowie czy pocałunek matki na dobranoc. Seks i głosy wyborców pozwalały mu się sprawdzić i upewnić, że nadal jest kochany — w obu wypadkach zależało mu raczej na ilości niż na jakości. Oczywiście wiedziała o Mary-Ellen. Nawet ją dość lubiła, uważając za pełną życia dziewczynę — ambitną i starającą się osiągnąć w życiu to, co dobre. Cóż mogło być bardziej naturalnego, niż pozwolić się uwieść senatorowi, człowiekowi z pieniędzmi i władzą, których pożądała, a nie miała szansy kiedykolwiek zdobyć?

Nie, denerwujące było tylko to, że wszystko wyszło na jaw, choć nie powinno; teraz trzeba będzie coś zrobić.

Niechętnie zmusiła się, by zareagować. Trzeba zachować pozory. Zdobyła się więc na lekki uśmiech i przybrała rozbawiony, protekcjonalny wyraz twarzy.

— Nie może być, Bobby. Co masz na myśli? Skąd, u licha, przyszedł ci do głowy taki niezwykły pomysł? — Czyżby dostrzegł jakieś porozumiewawcze spojrzenia? Zobaczył, jak Fred uszczypnął Mary-Ellen gdzieś w korytarzu?

Bobby głęboko wciągnął powietrze w płuca, po czym wyrzucił z siebie:

— Widziałem, jak się kochali w gabinecie na sofie.

Pod wieloma względami życie Caroline Stansfield było pasmem wiecznego doskonalenia umiejętności wychodzenia z twarzą z sytuacji równie nieprzyjemnych jak ta. Na samym szczycie piramidy towarzyszy

skiej, gdzie się znajdowała, należało umieć opanowywać emocje, tłumić je, kontrolować. Ludzie jej pokroju zawsze zachowywali zimną krew, tak doskonale nauczono ich ukrywać uczucia.

Dlatego też Caroline powiedziała po prostu: — Mój Boże!

„Liszki objadły drzewko cytrusowe. — Mój Boże!”

„Rada Miejska nie zgadza się na zmianę kabiny na plaży. — Mój Boże!”

Ze wszystkich możliwych reakcji Bobby z całą pewnością najmniej oczekiwał właśnie takiej. Unoszony wiatrem emocji wpadł nagle w strefę ciszy doskonałej obojętności jego matki.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

— Myślałem po prostu, że powinnaś o tym wiedzieć — dodał niepewnym głosem, żeby pokryć swoje zakłopotanie.

Wydało mu się nagle, że świat był o wiele bardziej skomplikowany, niż to sobie wyobrażał.

Mary -Ellen zdawała sobie sprawę, że przymierzanie ubrań pracodawcy to pewnego typu wykroczenie, ale lekkomyślnie odsuwała od siebie poczucie winy. Poza tym uważała to za jeden z przywilejów związanych z jej pracą. Dla Mary-Ellen, lubiącej wszystko, co dobre — a zwłaszcza co drogie — garderoba Caroline Stansfield, z klimatyzacją chroniącą przed wszechobecną w Palm Beach pleśnią, była naprawdę czarodziejskim miejscem.

Otulona od głowy po czubki palców u nóg futrem z nerek cofnęła się o krok, by móc podziwiać swój wygląd w dużym lustrze.

Była drobniejsza od Caroline Stansfield, ale w przypadku nerek nie miało to znaczenia. Co innego z sukniami balowymi. Wtedy odpowiedni rozmiar był najważniejszy, a Mary-Ellen wiedziała, że pani Stansfield miała zawsze co najmniej trzy kreacje od Marthy, z eleganckiego sklepu przy Worth Avenue, gdzie kupowała swoje liczne stroje wieczorowe. Norki jednak to nie tyle ubranie, co symbol statusu, a te norki szczególnie dobrze to podkreślały — znacznie lepiej niż cokolwiek, co można otrzymać z banku. Mary-Ellen otuliła się nimi, przyciskając miękkie, ciepłe futerko do swojej szczupłej talii, okręciła się wokół przed lustrem, przekładała z jednej strony na drugą długie czarne włosy, sprawdzając efekt. Na zewnątrz termometr wskazywał upał, bezlitosne słońce paliło rozgrzany piasek, ale w pokoju pani Stansfield było równo dwadzieścia stopni, a chłodne powietrze z oddzielnie chłodzonej garderoby owiewało Mary-Ellen, kiedy przymierała i układała na sobie norki przed lustrzanymi drzwiami.

Boże, jaka była szczęśliwa! Wszystko tak się dobrze układało. Lubiła tę pracę. Lubiła ten wielki, przestronny stary dom i jego miznerowską architekturę, klejnoty, służbę, egzotyczne potrawy, częste przyjęcia, samochody i wesołych kierowców, sławnych gości, błyszczący basen o olimpijskich wymiarach, wodzących za nią wzrokiem synów, pełną wdzięku panią i senatora... senatora Freda Stansfielda. A także uczucie, że wypełniają ją jego plemniki. Ubóstwiała tego człowieka o ogromnej władzy, który jadał lunch w Białym Domu, przewodniczył Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych (niezależnie od tego, co to znaczyło) i którego fotografie pojawiały się na okładkach „Time'a” i „Newsweeka”. Cóż to szkodzi, że był od niej trzy razy starszy? Zawsze pociągali ją starsi mężczyźni — ich mądrość, delikatność oraz bezpieczeństwo, jakiego byli symbolami.

Mary-Ellen poczuła dreszcz emocji na myśl o kochanku i ciaśniej otuliła się futrem. Właściwie to powinna przymierzyć je na gołe ciało, pozwolić, by miękkie futerko pieściło jej skórę. To by było przyjemne. Senator, kochający się z nią, ubraną w futro jego żony. Na moment znieruchomiała. Czy Fred Stansfield mówił prawdę, kiedy twierdził, że zawarł z żoną „porozumienie” i ona nie miała nic przeciwko temu, żeby mąż kochał się ze służącą? Wydawało się to dość dziwne, ale przecież ci ludzie byli zupełnie odmienni. Cudownie, wspaniale odmienni. O tyle bogatsi od wszystkich innych. Z pewnym trudem Mary-Ellen odrzuciła wątpliwości. Nie chciała nikomu sprawiać przykrości i uwierzyła senatorowi, gdy powiedział, że wszystko jest w porządku. Tak było o wiele lepiej. Czowała się bezpieczna. Miała cudowną pracę, dzięki której znajdowała się w samym centrum życia, o jakim zawsze marzyła, i to nie jako widz, ale jako uczestnik. W pewnym sensie to ona była żoną senatora i to futro w tym znaczeniu należało do niej.

Znowu poczuła falę podniecenia. Rozchyli je trochę... tylko troszkę. Ciągłe jeszcze wpatrując się w swe odbicie w lustrze, rozchyliła poły futra. Miała zgrabne nogi — bardzo zgrabne. Powoli uniosła do góry sięgającą kolan białą spódniczkę od mundurka, aż pojawiły się bawełniane majteczki, ostro kontrastujące z czarnymi pończochami i brązowym futrem z norek. Trzymając lewą ręką zadartą do góry spódnicę, prawą zsunęła z bioder figi, podziwiając wizualny efekt kompozycji barw, jaką stworzyła.

— Podoba ci się to futro, Mary-Ellen?

Był to głos Caroline Stansfield stojącej w drzwiach sypialni. Pytanie było proste, bezpośrednie. Ani śladu gniewu. Wyglądało na to, że naprawdę chciała wiedzieć, czy Mary-Ellen podoba się futro.

Mary-Ellen poczuła uderzenie gorąca. Rumieniec wstydu oblał jej policzki.

— Och, pani Stansfield, tak mi strasznie przykro. Nie powinnam była... ale ono jest takie cudne. Wszystkie pani rzeczy są takie śliczne.

— Chcę, żebyś je sobie wzięła, Mary-Ellen.

— Słucham?

— Jest twoje. Daję ci je w prezencie.

Mary-Ellen przez chwilę zastanawiała się, czy wyobraźnia nie spletała jej jakiegoś szalonego psikusa. Czy to nie było przypadkiem tak, że pani Stansfield w rzeczywistości krzyczała i kazała jej natychmiast zdjąć futro, a rozgorączkowany umysł dziewczyny mylnie zinterpretował słowa w myśl zasady, że pragnienie jest matką inwencji?

— Naprawdę jest moje? — zapytała z niedowierzaniem. — Czy chce pani, żebym je sobie wzięła?

Caroline Stansfield uśmiechnęła się uprzejmie. To naprawdę sympatyczna dziewczyna, pomyślała. Zupełnie nie zepsuta, świeża, pełna życia — i bardzo, bardzo ładna. Łatwo zrozumieć, czemu mąż uznał ją za tak pociągającą. Czasem nie potrafiła zrozumieć, cóż on widział w kolejnych wybrankach, ale nie ulegało wątpliwości, że Mary-Ellen była niezwykle ponętna. Życie naprawdę bywa okrutne. Czasami to okrucieństwo jest takie niepotrzebne. Czemu Fred nie mógł zaciągnąć firanek, jak robią to inni szacowni mężowie zdradzający swoje żony? Doprawdy to z jego strony w najwyższym stopniu nieprzemyślany postępek — zwłaszcza że właśnie ona musi przywrócić porządek, poukładać z powrotem wszystko na swoim miejscu. Co dziwniejsze, żałowała tej wspaniałej, młodziutkiej pokojówki. Była prawdziwą perłą: doskonale dbała o ubrania Caroline, wspaniale potrafiła zapakować walizki, wszystko zawsze leżało na właściwym miejscu. A teraz, oczywiście, trzeba ją zwolnić. Pozostała tylko kwestia, w jakiej formie to zrobić.

Z pewnością trzeba zachować przy tym ostrożność. Naprawdę liczyło się tylko jedno — dobre imię Stansfieldów. Trzeba je chronić za wszelką cenę. Ta dziewczyna mieszkała w West Palm Beach, to znaczy za mostem, po drugiej stronie jeziora. Byłoby niedobrze, gdyby zaczęła źle mówić o Stansfieldach. Zdecydowanie niedobrze. Oczywiście Caroline nie uważała, że Mary-Ellen miała skłonności do oczerniania ludzi. Była na to zbyt miła.

W kącikach oczu Mary-Ellen pojawiły się dwie wielkie łzy ulgi i wdzięczności. Zamiast otrzymać reprimendę, dostała prezent, i to tak wspaniały, o jakim nie śmiała nawet marzyć. Ogarnęła ją fala gorącej wdzięczności dla osoby, która ją tak uszczęśliwiła. Gwałtownie szukała najwłaściwszych słów podziękowania.

Ale Caroline Stansfield uniosła do góry dłoń, tamując potok słów Mary-Ellen, zanim ta zdążyła otworzyć usta.

— A teraz, Mary-Ellen, jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałabym z tobą omówić — powiedziała.

-Zdaje się, że nasz przystojny sąsiad ma zamiar rywalizować z Nixo-nem. Według ocen Gallupa idą łeb w łeb. — Senator siedział na czołowym miejscu przy długim, wypolerowanym, mahoniowym stole w jadalni, przeglądając „Wall Street Journal”. W rodzinie Stansfieldów w czasie śniadania tylko jemu wolno było czytać gazetę i fakt ten dawał Fredowi znaczną przewagę nad pozostałymi. Jak zwykle, wykorzystywał tę swoją uprzywilejowaną pozycję. Dzieci Stansfieldów głośno jęknęły.

Miznerowska siedziba Kennedych przy North Ocean Boulevard została zbudowana rok czy dwa lata po rezydencji Stansfieldów i z trawnika przed ich domem można było zobaczyć obrzydliwy wał ochronny i mur, otaczający tamtą posiadłość, mocno wcinający się w plażę na North End.

— Myślę, że Kennedy może wygrać. — Bobby, siedzący z prawej strony ojca, na miejscu tradycyjnie przysługującym najstarszemu synowi, odgrywał rolę adwokata diabła. Przy takich okazjach jedynie poglądy senatora Stansfielda były „właściwe”.

— Głupstwa mówisz, Bobby. Widać z tego, jak mało wiesz. Nixon go pogrzebie. Kennedy ma za sobą Massachusetts, Maine i Nowy Jork — liberalne stany wschodnie. A Nixon zbierze wszystkie głosy z Południa, Zachodu i Środkowego Zachodu. Bez żadnej walki.

— Cóż, chciałabym, żeby tak się stało — odezwała się Caroline Stansfield, siedząca na drugim końcu stołu. — Byłoby bardzo niewygodnie, biorąc pod uwagę ruch na drodze, mieć prezydenta po drugiej stronie ulicy. I tak mamy tu już wystarczająco dużo zwiedzających.

Mąż mruknął z aprobatą. — I ci wszyscy tajniacy, kręcący się po plaży i wtykający we wszystko nosy — dodał ponuro. Na moment pogrzyżył się w marzeniach. Dwadzieścia lat temu istniała szansa, że zostanie prezydentem. Ale umknęła mu sprzed nosa. Boże, jak pragnął być prezydentem, jak śnił o władzy i chwale, o wszystkich atrybutach tego najwyższego urzędu — łącznie z tajniakami. Ponownie uciekł w optymizm.

— To się nie zdarzy. To po prostu nie może się zdarzyć.

— Nie jestem pewna, czy masz rację, mój drogi — nie zgodziła się z nim Caroline. Jak zwykle, mówiła swoim cichym, zdecydowanym

głosem. — Widziałam Jacka Kennedy'ego z żoną u Greena w ubiegłą niedzielę. Chodzą tam po wyjściu z kościoła na St. Edward's. Ona jest bardzo ładna i ma styl. A on wydaje się naprawdę niezwykle atrakcyjny. Obawiam się, że biedny Nixon wygląda przy nich jak pośrednik w handlu nieruchomościami, albo jeszcze gorzej. Wydaje mi się, że aparycja staje się ostatnio bardzo ważnym czynnikiem, zwłaszcza dzięki telewizji. Sam to zresztą zawsze mówisz, mój drogi.

Fred Stansfield postawił filiżankę na wypolerowanym stole nieco głośniej, niż to było konieczne. Oboje, i syn, i żona, otwarcie sprzeciwiali mu się przy śniadaniu, i to w kwestii, w której uważany był za eksperta. Co gorsza, sugerowali, że Kennedy miałby się przenieść do Białego Domu.

Dla obserwatora z zewnątrz rodziny Stansfieldów i Kennedych miały wiele wspólnego. Obie były bogate, sąsiadowały ze sobą w Palm Beach od ćwierćwiecza i obecnie obie miały swych przedstawicieli w najbardziej ekskluzywnym klubie w Ameryce, jakim był Senat USA.

Na tym jednakże kończyły się podobieństwa. Fred Stansfield był uosobieniem różnic. Poczynając od srebrnosiwych, wybrylantynowa-nych arystokratycznych włosów, po nieskazitelnie wyczyszczone brązowe buty bez pięt, noszone naturalnie bez skarpetek, senator był czystej krwi starym obywatelem Palm Beach. Postrzępiony zielony sweter Everglades Club, kremowa lniana koszula i skóra z odcieniem opalenizny podkreślały jego arystokratyczny status. Rodzina Kennedych natomiast ciągle jeszcze była, jego zdaniem, klanem nowobogackich, wspinających się po drabinie socjalnej — mniej więcej jak Ole Opry. Co gorsza, byli demokratami z Północy, którzy mieli odwagę mieszkać, przynajmniej od czasu do czasu, w zdecydowanie republikańskim, południowym miasteczku. Dla Stansfielda Kennedy był wrogiem klasowym, liberalnym pozerem, który zaprzedał się zniechęconym mniejszościom narodowym; awanturnikiem, który wyrzekł się swoich dążąc do zdobycia władzy. To prawda, że on sam też musiał czasem zabiegać o głosy Żydów czy Murzynów, ale nie zachęcałby nikogo z przedstawicieli mniejszości etnicznych do odwiedzin u siebie w domu. A poza tym była jeszcze ta sprawa katolicyzmu. Dzwony i kadzidła Papiestwo. Już samo to stanowiło jakby pocałunek śmierci w oczach prawdziwej elity Palm Beach. Biali anglosascy protestanci mieli ostre żądła i klan Kennedych skazany został na absolutny ostracyzm Irytujące w całej tej sprawie było tylko to, że odkąd stary Joe nie został przyjęty do Everglades Club, ród Kennedych wycofał się z gry i odmawiał okazania choćby najmniejszej chęci, by uczestniczyć w życiu społeczności, która pałała taką ochotą okazania niechęci intruzom.

Trzy córki Stansfieldów, wyczuwając początek obiecującej kłótni rodzinnej, stanęły jak zwykle po stronie swego charyzmatycznego ojca. Zazwyczaj, przynajmniej w kwestiach polityki, był on stroną wygrywającą. Bunny Stansfield, dziewiętnastoletnia studentka prawa, wtrąciła swoje trzy grosze:

— Nigdy nie zostanie wybrany katolik, jeśli rywalizuje z nim współpracownik Eisenhowera. Poza tym Kennedy wcale nie jest taki przystojny. Dla nas to tylko nędzna kreatura.

Bunny zawsze mówiła w imieniu innych Stansfieldów i wszystkie trzy zazwyczaj wyrażały tę samą opinię. Była to metoda na przeżycie w zdominowanym przez mężczyzn świecie Stansfieldów.

Senator z aprobatą przyjął zdanie swoich mało wyróżniających się córek. Będąc politykiem, nauczył się akceptować wsparcie ze wszystkich stron.

— Masz absolutną rację, Louise. Najwyraźniej nauczyli cię już czegoś w Charlottesville. — Fred odmawiał używania nadanych dzieciom przezwisk.

Caroline Stansfield patrzyła w zamyśleniu na starodawny stół. Pod wieloma względami, myślała, to błyszczące drewno wydawało się trwalsze i solidniejsze od całego zgromadzonego przy nim klanu Stansfieldów. Tak zresztą jak i Butler, stary, ale dystyngowany angielski kamerdyner, który kręcił się bez celu wokół ogromnego stołu. Z jakiegoś powodu, od dawna już zapomnianego, tradycyjnie jego zadaniem było nalewanie biesiadnikom gorącej, kenijskiej kawy. Robił to drżącą, niepewną ręką, przydając rodzinnemu śniadaniu elementu pewnego niebezpieczeństwa. Poza tą kawą wszyscy obsługiwali się sami — brali sobie kedgeree *, jajka na boczku, które stały na srebrnej tacy, płatki kukurydziane Kelloga. Caroline najbardziej lubiła właśnie ten posiłek. Jako jedyny, do którego zasiadali w komplecie, stał się czymś w rodzaju nieformalnego spotkania, w czasie którego można było omówić wszystkie sprawy rodzinne.

— Jestem pewna, że masz rację, mój drogi. Zazwyczaj przecież tak jest. — Caroline ustąpiła, pokonana; Fred potrzebował zresztą tego zwycięstwa, żeby przyjąć spokojnie następny cios.

Senator Stansfield skłonił się żonie nad stołem. Włożył do ust duży kawałek grzanki i z zadowoleniem odchylił się do tyłu, rozpierając się wygodnie na krześle. Zanosilo się na kolejny dobry dzień. Podyktuje sekretarce kilka listów, potem zagra w golfa w klubie, a następnie zje solidny lunch. A później, po południu, być może uda mu się powtórzyć

* Kadgeree — potrawa z ryby, ryżu, jaj, cebuli z dodatkiem przypraw.

cudowne spotkanie z Mary-Ellen. Leniwym gestem odsunął od siebie talerz z chińskiej porcelany z nie dokończonym jedzeniem. Musi dbać o linię. Tyle przynajmniej powinien zrobić dla tej ładmutkiej pokojówki. — Obawiam się, że będę musiała zwolnić Mary-Ellen — powiedziała miłym głosem Caroline Stansfield, nie zwracając się do nikogo wprost. Rozejrzała się wokoło, sprawdzając reakcję na tę wiadomość.

Bobby miał nisko opuszczoną głowę i z zainteresowaniem wpatrywał się w ciężki, lniany obrus, który widział na stole codziennie, niemal od urodzenia. Poczuł, jak rumieniec zaczyna wypływać mu na policzki. . .

— Ach — odezwał się senator. Po raz pierwszy od wielu lat zabrakło mu słów i zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Dziewczęta jednogłośnie poparły ten pomysł. Nadzwyczaj atrakcyjna Mary-Ellen przykuwała uwagę wszystkich w okolicy.

Na Joe najmłodszym synu, wiadomość ta nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Miał dziewięć lat, a to było zbyt mało, by mógł dostrzec uroki Mary-Ellen. Tom, mający dwanaście lat, odezwał się jako jedyny.

Już nie był za mały.

— Och, mamó, dlaczego? Myślałam, że była bardzo zręczna.

— No tak, była raczej „zręczna”, myślę, że wszyscy tak sądziliśmy, nieprawdaż, Fred? Ale faktem jest, że w ostatnim czasie me koncentrowała się na pracy, więc ją zwolniłam.

Mówiła to normalnym tonem, ale nikt z siedzących przy stole, łącznie z jej mężem, nie odważyłby się podać w wątpliwość jej autorytetu. Wiadomo było, że Mary-Ellen już nigdy nie pojawi się w ich świątku.

Dla Mary-Ellen ostatnie kilka dni było piekłem na ziemi, ale teraz, kiedy wilgotne, gorące i duszne lato ustąpiło, a zaczęła zbliżać się sucha, rześka, typowa dla Florydy zima, wyglądało, że jej optymizm się odrodził. Pomogły emocje związane z wyborami. Do pozna w nocy obserwowano szaloną walkę przedwyborczą. O siódmej piętnaście wieczorem, na podstawie pierwszych wyników, komputer CBS przewidział miażdżące zwycięstwo Nixona, a Tommy i ojciec pograżyli się w rozpacz. Mary-Ellen trzymała kciuki za zwycięstwo republikanów, ale kiedy godzinę później przewidywania zmieniły się i obliczono, że Kennedy otrzymał pięćdziesiąt jeden procent głosów i zwyciężył, bez żalu przyłączyła się do radosnych okrzyków swych towarzyszy. To nic, że Kennedy tam mieszkał, oni wszyscy go nienawidzili. Szczególnie

Stansfieldowie będą niezadowoleni, kiedy uświadomią sobie, że ich sąsiad przenosi się do Białego Domu. Nagle Mary-Ellen zrozumiała, że pragnie czegoś, czego oni najbardziej się obawiali. Nie spała przez całą noc, pijąc piwo i wiwatując na cześć zwycięstwa demokratów aż do za piętnaście szósta rano, kiedy stan Michigan przesądził o zwycięstwie JFK. Był już świt następnego dnia i właśnie gdy West Palm świętowało wynik wyborów, a Murzyni szaleli z radości, mając nadzieję na realizację obietnicy polityki „nowych rubieży”, Mary-Ellen poczuła, że odżywa. Na łóżku, jako jawny dowód jej nowej postawy, leżało futro z nerek, należące niegdyś do Caroline Stansfield. Ale nie było to już sięgające kostek świadectwo minionej ery. Zostało unowocześnione i, tak jak nowy prezydent, patrzyło w przyszłość, nie oglądając się wstecz. Z bezwzględnością cechującą urodzonych anarchistów Mary-Ellen zabrała się do niego z nożyczkami w garści i, nim nastał ranek, skróciła je do modnej długości, nieco przed kolana. Pozostały po radykalnym zabiegu kawałek wykorzystała do zrobienia futrzanego toczka na głowę, dokładnie takiego, w jakim ujrzała Jackie Kennedy na ekranie telewizora. Właśnie teraz toczek, mufka i skrócone futro leżały na łóżku.

Mary-Ellen z nadzieją wyjrzała przez okno. Czy poranne świeże powietrze było pierwszą oznaką zimy, gdy temperatura spadnie do około zera lub poniżej? Modliła się, żeby tak było. Do diabła ze zbiorami owoców cytrusowych! Marzyła o tym, by włożyć swe nowe futerko. A na Florydzie zazwyczaj było zaledwie kilka dni na tyle chłodnych, aby mogła je nosić.

Chwyliła futro z niecierpliwością i włożyła je na bawełniany podkoszulek i džinsy, walcząc z gorzkim wspomnieniem sypialni pani Stansfield. Teraz było to jej futro. Jako łapówka za milczenie? Czy dla znieczulenia bólu? Nagroda pocieszenia dla przegranej rywalki? Czym by nie było, już nie miało to znaczenia. Teraz widziała przed sobą życie tu i teraz, na początku lat sześćdziesiątych. A futro będzie talizmanem, prowadzącym ją w przyszłość. Kiedy ostrza nożyczek zaczęły ciąć płat nerek, przecinały nie tylko skórę, ale także pępwinę, która łączyła dziewczynę z przeszłością. W końcu odzyskała wolność. Wolność bycia sobą.

Mary-Ellen odrzuciła do tyłu głowę i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Niech ich wszystkich diabli! Może się śmiać z całego świata. Była młoda, bardzo ładna i jeśli nie znalazło się dla niej miejsce w Palm Beach, to z pewnością było w West Palm.

Ale nawet wyzywając los swoją urodą i żywotnością, pieściła w sercu

tajemną myśl. Pewnego pięknego dnia, jeśli Bóg obdarzy ją córką, jej dziecko zdobędzie to, czego ona nie osiągnęła. Wyśle ją na drugą stronę jeziora, żeby podbiła Ziemię Obiecaną, która tak okrutnie obeszła się z Mary-Allen. Oglupiający, rozdzierający bębni w uszach rock and roli uniemożliwiał myślenie. Jak powiew huraganu wprawiał w ruch wszystko wokół, ludzi, maszynę, migoczące powietrze, w którym wibrował. Nie można było mu się oprzeć. Należało się poddać, rezygnując z walki.

Jak baletnica wykonująca skomplikowane pas de deux, Jack Kent odprawiał swoją magię na karuzeli. Był to jego najlepszy numer, powtarzany setki razy dziennie. Karuzela powoli ruszyła, a jej pasażerowie, pełni emocji i gotowi do jazdy, coraz silniej odczuwali narastające w nich napięcie. Krzycząc do znajomych stojących na wydeptanej trawie do innych w sąsiednich samochodzikach, wrzeszczeli, aby słyszeć ich pomimo dzikiej, zagłuszającej muzyki. W myśli wcześniejszych ustaleń Jack miał zbierać bilety i sprawdzać, czy wszyscy siedzieli bezpiecznie, ale był przecież kowbojem z rodeo, najważniejszym człowiekiem lunaparku, a każdy jego ruch zwiększał uczucie z trudem opanowywanego podniecenia, związanego z niebezpieczeństwem, które czyhało na wszystkich pasażerów karuzeli. Puszcząć i zatrzymać — na tym to polegało. Jego podobne do stalowych lin mięśnie, gładkie i błyszczące dzięki cienkiej warstwie kremu, napinały się i rozluźniały, kiedy jak Człowiek-Pająk, bez wysiłku krążył pomiędzy rozkrzyczanymi pasażerami. Rzucił się z platformy ku pędzącym samochodom tylko po to, by sekundę później powrócić do bezpiecznej pozycji. Strach i niepokój przez cały czas towarzyszyły jego wyczynom. Jeden niewłaściwy krok, jedna mała pomyłka i z Jacka Kenta mógł zostać tylko marny strzępek ciała, o czym tak często mówił. Aby wzmóc napięcie i utrudnić jeszcze swe wyczyny, palił papierosa, pił piwo lub cesał czarne, natłuszczone włosy, umiejętnie szarżując w czasie tych igraszek ze śmiercią.

Przez cały czas rozmawiał z klientami kupującymi bilety. — Cześć, skarbie! — zwracał się do dziewczyn. — Jestem pewien, że masz śliczną, małą dupkę. Siądź no teraz na niej dobrze. Uważaj na mą.

Dzięki temu przychodziły potem do niego po coś więcej. Czasem dużo więcej. Przenikliwie, doświadczone oczy Jacka Kenta były w stanie wszystko odgadnąć. Umiał dostrzec błysk uczucia w oczach małej dziewczynki, jej nerwowo zacisnięte nogi, napięcie typowe dla rozwijającego się

dziewczęcia. Potrzebował jędrnych, uniesionych zadziornie tyłeczków, delikatnej skóry i zamglonych oczu dziewic, kiedy oddawały mu się na trawie czy, na stojąco, w maszynowni. Spuszczał wtedy luźne spodnie i jak rozpieszczone dziecko, które otwiera ostatni spośród zbyt wielu prezentów pod choinką, brał je nie zastanawiając się, czy sprawia tym przyjemność czy ból. Nie rozróżniał ich. Były tylko ciepłą, drżącą machiną, która istniała wyłącznie po to, by sprawiać mu rozkosz.

Mary-Ellen nie potrafiłaby zliczyć, ile to już razy oglądała swojego ojca przy pracy i nigdy jej to nie nudziło. Przez całe dzieciństwo obserwowała jego wyczyny na jarmarkach. Dawniej Jack Kent robił wszystko. Grał w rzutki, kręcił cukrową watę, występował nawet jako ekspert w zabawie w odgadywanie czyjejś wagi. Ale po wypadku, gdy zderzył się na torach z pociągiem, wrócił do domu. Był urodzonym artystą. W ciągu niespełna dwóch lat potroiły się dochody z karuzeli, został współnikiem, a następnie spłacił swojego partnera. Nie zarabiał bardzo dużo, ale miał tyle rozsądku, by kupić walący się drewniany dom w West Palm, który stał się zabezpieczeniem majątkowym dla rodziny. Stale podróżując, potrafił stworzyć ognisko domowe dla swojej żony i Mary-Ellen. Niewielki dom pokrywała wyblakła i łuszcząca się farba, dachówki połamały się, a nierówne deski wypaczyły, ale zawsze było to miejsce pełne miłości i życia. Wieczorem, kiedy Mary-Ellen wracała, wyłaniał się z ciemności jak zniszczony kociołek spod pary unoszącej się nad grochówką, a lampa naftowa na ganku zapraszała do wejścia. Ojciec, jeśli właśnie znajdował się w mieście, zazwyczaj popijał w barze Roxy'ego z Williem Boyem Willisem i Tommym Starrem, ale matka zawsze czekała w domu, a w ciężkim, nocnym powietrzu unosił się zapach chili, cicho grała muzyka country, którą dziewczyna tak lubiła, i witał ją zawsze radosny okrzyk, gdy wchodziła na skrzypiące deski werandy.

Wciągając głęboko powietrze, Mary-Ellen postarała się przekrzyczeć muzykę. — Tata najwyraźniej jest dziś w dobrej formie — wrzasnęła.

Tommy Starr uśmiechnął się i usiłował odpowiedzieć, ale nie był w stanie i po chwili zrezygnował, unosząc dłonie gestem oznajmującym, że się poddaje. Przytknął swoje potężne paluchy do uszu, wskazując, że muzyka go ogłusza. Uśmiechnął się czule do Mary-Ellen, a jego wielka, ospowata twarz nagle przybrała wyraz absolutnej adoracji. Kochał Mary-Ellen, odkąd pamiętał, ale każdego dnia budząc się i kładąc spać, miał gorzką świadomość, że ona go nie chce. Teraz już się z tym niemal pogodził. Mary-Ellen była dla niego za dobra i, na całe nieszczęście, wiedział

O tym. Nie to, że zadzierała nosa czy była snobką, tylko po prostu miała odwagę śnić na jawie. Miasteczko po drugiej stronie mostu uderzyło jej do głowy i teraz Palm Beach i wszystko, co się z nim wiązało, pulsowało jej w żyłach. Działo się tak od chwili, kiedy dostała pracę u Stansfieldów. Zobaczyła tam raj, a West Palm poszło w zapomnienie. Jakiś czas temu wydawało się, że można to zmienić. Te bogate, nadęte sukinsyny wyrzuciły ją z dnia na dzień. Tommy nigdy nie dowiedział się dlaczego. Mary-Ellen załamała się, wpadła w najczarniejszą depresję i było mu przykro patrzeć, jak bardzo czuje się przygnębiona. Usiłował ją rozweselić i oderwać od myślenia o tamtej sforcie szcurów, ale nadal nie chciała uznać się za dziewczynę z West Palm, jaką była.

Raz, pewnego pijanego wieczora, udało mu się namówić ojca Mary-Ellen, żeby po długiej, ciężkiej sesji u Roxy'ego zabrał go do siebie do domu. Kiedy Jack prowadził go przez skrzypiący ganek, gdzie stał pusty fotel na biegunach i zniszczone wiklinowe krzesło, z wnętrza domu dał się słyszeć czyjś płacz. Poszli zobaczyć, kto płakał, i w świetle niemego, migoczącego ekranu telewizora Tom ujrzał scenę, która na zawsze wryła mu się w pamięć. Mary-Ellen leżała w poprzek łóżka jak jakaś porzucona szmaciana lalka, a zmięta, niechlujna pościel stanowiła kontrast z jej wspaniałym ciałem. Na wpół śpiąca, leżała w bezruchu, a pognieciona, przybrudzona biała sukienka okrywała ją tylko częściowo. Jedno z ramiączek zsunęło się i spod dekolту niewinnie wystawał różowy sutek, wieńczący jędrną, stożkową pierś.

Na dekolcie i na górnej wardze błyszczały kropelki potu. Splątane, potargane włosy leżały na poduszce, okalając twarz, której regularne, piękne rysy tak Tommy'ego zniewalały. Kiedy stał, wpatrując się w Mary-Ellen, w jej rozpacz i cierpienie, nagle uświadomił sobie z brutalną jasnością, że nigdy nie będzie tej dziewczyny miał. Jej udręka i smutek były dla niego zbyt silne. Nie dałby rady rywalizować z tym czymś, co wywoływało tak głębokie uczucie, cokolwiek by to było.

Mary-Ellen spojrzała na niego pytającym wzrokiem, widząc, jak uśmiech na twarzy mężczyzny ustąpił miejsca zakłopotanemu zamyśleniu. Drogi Tommy, taki potężny, dający poczucie bezpieczeństwa. Był zwalisty jak skała i jak skała wytrzymały. Przez tyle lat wysłuchiwała pochwał swego ojca pod adresem tego skromnego robotnika budowlanego i namów, by wyszła za niego za męża, ale choć słuchała, nigdy nie brała tych słów pod uwagę. Zawsze syreni głos wabił ją do krainy po drugiej stronie jeziora, gdzie mieszkali tytani; mężczyźni, którzy dzięki swoim wyuczonym manierom i krasomówstwu usuwali w cień Tommy'ego Starra. Tak było kiedyś, a dziś jest inaczej. Została

odepchnięta przez świat, którego pragnęła, i otrząsnęła się już z bólu. Tylko masochista mógł chcieć cierpieć dłużej. Wsunęła więc swoją drobną rękę w masywną dłoń Tommy'ego i ze śmiechem pociągnęła go za sobą, uciekając przed ogłuszającym hałasem.

Było południe i tłum ludzi rozpływał się w niewiarygodnym upale, ale Mary-Ellen czuła się wspaniale. Jak najdelikatniejszy, najwspanialszy kwiat hibiskusa otwierała się ku słońcu. Prosta, biała, bawełniana sukienka ujawniała wszystkie zalety jej piersi — ich doskonałą geometrię, sterczące, wyzywające sutki, idealny kształt, nie potrzebujący żadnego sztucznego wsparcia. Szeroki pasek z muszelek, przywieziony przez ojca z Albuquerque i szczególnie przez nią lubiany, otaczał jej szczupłą talię. Nie miała na sobie pończoch i pasa; przez cienki materiał sukienki prześwitywały białe, jedwabne majteczki na mocnych, chłopięcych pośladkach i długie, smukłe, opalone uda.

Od czasu do czasu Tommy ukradkiem spoglądał na dziewczynę, jak gdyby chciał się upewnić, że nie śni. Nie miał odwagi przyznać się przed sobą samym, że go to cieszy, ale zauważył, że zachowanie Mary-Ellen zdecydowanie się zmieniło. Stwierdził to kilka dni temu, a teraz widział już wyraźnie: była radosna i wydawało się, że on najwięcej na tym skorzystał. Jej postępowanie stało się inne, jakby nagle Tommy przestał być tylko niezawodnym starszym bratem czy trzymanym na dystans kolegą. Wyglądało na to, że stosunki między nimi balansowały na granicy czegoś zupełnie nowego.

— No i co myślisz o jarmarku? — Mary-Ellen ścisnęła lekko jego wielką dłoń.

Tommy w ogóle nie myślał o jarmarku, ale był tak szczęśliwy, jak chyba nigdy przedtem. Wydawało mu się, że jest w krainie czarów, a tanie, liche ławki były wspaniałymi świadkami głównego wydarzenia — miłości do siedzącej przy nim dziewczyny.

Mary-Ellen chciała, żeby jarmark mu się podobał. Wiązał się z jej dzieciństwem, była przesiąknięta tą atmosferą aż do szpiku kości. Tommy, gotów spełnić każde życzenie dziewczyny, pragnął jedynie sprawić jej przyjemność.

— Naprawdę bardzo mi się podoba, Mary-Ellen.

— Myślę, że powinieneś jeszcze zobaczyć ciało bez głowy, a może wolałbyś najgrubszego człowieka na świecie?

— Myślę, że może przejechalibyśmy się tym pociągiem duchów?

— Dobrze, ale pamiętaj, żebyś trzymał łapy przy sobie. Będę umierała ze strachu.

Zaśmiała się przy tym gardłowo, ale jej słowa były dwuznaczne. Tommy poczuł uderzenie krwi, nagły rumieniec zabarwił mu policzki.

Jednocześnie, zupełnie niezależnie od swojej woli zaczął odczuwać narastające podniecenie.

Mary-Ellen spostrzegła, że się spieszył i zaśmiała się jeszcze głośniej. Ona także była coraz bardziej podekscytowana. Oblizując spierzchnięte wargi, ukradkiem popatrzyła na spodnie Tommy'ego. Zobaczyła wyraźnie zaznaczającą się wypukłość i wpatrywała się zafascynowana, jak stawała się ona coraz większa. Z wysiłkiem oderwała oczy, ale widok ten zdominował świadomość dziewczyny, kiedy prowadziła Tommy'ego w kierunku kasy pociągu duchów.

Kiedy już usiedli w otwartym wagoniku, gotowi do podróży w krainę strachu, nachyliła się w kierunku Tommy'ego, unosząc się trochę do góry, i sugestywnie szepnęła mu wprost do ucha:

— Nie mówiłam poważnie, Tommy. Tego o trzymaniu rąk przy sobie.

Wagonik zatrzeszczał i ruszył w ciemność, a Tommy z zachwytem poczuł, że Mary-Ellen delikatnie dotknęła językiem jego ucha. Stłumiony jęk pożądania dramatycznie kontrastował ze skrzeczącymi odgłosami dobywającymi się z ponurej ciemności, rozświetlanej jedynie przez szkielety i demony.

Obrócił się w stronę Mary-Ellen i ujmując jej rozgrzaną twarz w dłonie, przybliżył się do dziewczyny. Z nabożną delikatnością pochylił się i pocałował jej usta. Mary-Ellen niecierpliwie oczekiwała tego pocałunku. Początkowo bawiła się, muskając go delikatnie, cofając się i ponownie zbliżając. Z półprzymkniętymi ustami owiewała go swoim ciepłym, spragnionym oddechem, pozwalając, by wdychał jej zapach, czuł jej podniecenie.

Tommy drżał pełen oczekiwania. Nigdy nie wyobrażał sobie, że można coś takiego przeżywać. Tak powoli i tak intensywnie. Miał uczucie, jakby osiągnął niebiański poziom ekstazy, a sprawił to zaledwie pocałunek. Pocałunek, który trwał nieprzerwanie. Nachylił się mocniej, czując ucisk ciasnych spodni, i przytulił Mary-Ellen.

Dziewczyna odczuwała napięcie jego ciała i odpowiadała na to własnym podnieceniem. Delikatnie ujęła zębami jego dolną wargę i zaczęła ssać, potem ostrożnie wysunęła język i całowała go coraz silniej, ulegając ogarniającej ją namiętności.

Silne ramiona obejmowały ją mocno. Przyłgnęła do Tommy'ego, opierając lewą rękę na jego szyi. Prawa ręka początkowo spoczywała na piersi mężczyzny, a następnie zaczęła przesuwając się ku dołowi. Tommy, ogłupiały z radości, z obawą i nadzieją oczekiwał na to, co miało się wydarzyć.

Dłoń Mary-Ellen dotarła do celu i przez moment ścisnęła go mocno

przez materiał dżinsów. Zaczęła delikatnie pocierać wypukłość, pozwalając czasem palcom przebiec po całej długości jego pobudzonego członka, a chwilę później masując go mocno rozłożoną dłonią.

W głowie Tommy'ego szalone myśli zderzały się z sygnałami odbieranymi z przerażającego otoczenia. Dudniący, hałaśliwy wagonik z oszalamiającą prędkością pokonywał niebezpieczne nierówności terenu i nieustannie uderzał w wahadłowe drzwiczki, za którymi tańczyły jakiś zwariowany taniec najróżniejsze demony i duchy. W ciemności wyły kojoty, monstrualne pająki łąpały go za włosy i ocierały się o twarz, w czasie gdy sprawne palce ukochanej wznosiły jego pożądanie. Mary-Ellen kochała go. Nareszcie, po tych wszystkich latach desperackiego pragnienia, w końcu, właśnie tu, w obłąkanej ciemności jarmarcznego pociągu duchów, przeżywał ekstazę. Tom-my'emu wydawało się okrutnym i cudownym kaprysem losu, że ofiarował mu niebo w miejscu, w którym nie mógł go przyjąć.

Mary-Ellen do pewnego stopnia także zdawała sobie sprawę z tego paradoksu. Nie podejrzewała, że tak łatwo ogarnie ich pożądanie. Przez tak długi czas Tommy był dla niej kolegą. A teraz z niezrozumiałych powodów stał się nagle kimś innym. Oslepiała ją wizja Palm Beach, a prawdziwy świat — w którym istniały rzeczywiste ciała i gwałtowne uczucia — pozostawał poza jej zasięgiem. Tak się jednak stało, że wydarzenia ostatnich paru tygodni ją uzdrowiły. Przestała być więźniem, nie żyła już w baśniowych, wyśnionych pałacach jako niewolnik własnych ambicji i pragnienia wydźwignięcia się do góry. W gorące popołudnie, czując w nozdrzach zapach prażonej kukurydzy, kebabu i przysmażonych orzeszków ziemnych, ogłuszona dzikimi lamentami muzyki w stylu country, ponownie odnalazła samą siebie i było to wspaniałe uczucie. Jak skazany na śmierć więzień, którego ułaskawiono, odnalazła wolność i zupełnie innymi oczami patrzyła teraz na świat. Ponad wszystko pragnęła żyć, a najlepszą drogą do tego była miłość. Pokochać tego dobrego mężczyznę, który tak bardzo jej pragnął. I którego w tej chwili także desperacko pragnęła.

Spojrzała na twarz Tommy'ego pojawiającą się co pewien czas w oświetlających duchy błyskach, na jego miękkie rysy skąpane w pomarańczowych, purpurowych i przenikliwie zielonych promieniach, rozjaśniających jaskinie strachu z pozbawionymi głów i tryskającymi krwią ciałami, przez które przejeżdżał pociąg. Tyle się na tej twarzy malowało uczuć. Było tam niemal udręczenie człowieka spychanego w przepaść bez dna, nie mogącego pojąć, co się dzieje, zagubionego, bezsilnego w uścisku przeznaczenia. Tommy miał lekko rozwarte usta, oddychał szybko, oczy mu błyszczały. Skrzekliwy

śmiech, wypełniający mijane jaskinie, brzmiał jak kpina z dzikiego, rozsadzającego uczucia, a jednocześnie podkreślał szczególne piękno tej chwili, w której odnalazły się dwie dusze. Nagle Mary-Ellen szepnęła mu do ucha na tyle głośno, by usłyszał, mimo rozlegających się przeraźliwych głosów:

— Chcę się z tobą kochać, Tommy.

Głos uwiązał mu w gardle pod wpływem nagłego uderzenia adrenaliny, którą wyzwoliły jej słowa. Kochać się z nią — to by było jak sakrament, jak spełnienie najpiękniejszych snów. Przecież całe życie właśnie o tym marzył.

— Tak.

— Chcę tutaj, teraz. — Głos Mary-Ellen był nalegający, niecierpliwy. Ścisnęła go mocniej ręką, podkreślając znaczenie słów i wywołując w nim dreszcz rozkoszy.

— Ale jak?

Mary-Ellen uśmiechnęła się. Jeszcze przed momentem sama nie wiedziała, jak to zrobić. Musi być jakieś miejsce, coś znajdą. W jej roześmianych oczach Tommy dostrzegł, że pragnęła zapomnieć się, zapomnieć upokorzenia z przeszłości. Chciał w tym uczestniczyć. Kiedy wagonik zwolnił na chwilę, wstał w ślad za dziewczyną, wyskoczył i po chwili znaleźli się tuż przy sobie, ukryci w ciemności, jaka nastąpiła po przejeździe pociągu.

Nie było czasu, by zastanawiać się i martwić. Słyszał tylko lekki, pełen napięcia, stłumiony śmiech. Widział jedynie odchyloną do tyłu śliczną głowę, namiętność błyszczącą w zmrużonych oczach, czuł wtulone w siebie ciepłe ciało. W anonimowej ciemności, podczas gdy inni amatorzy strachu przemykali w swych otwartych wagonikach o kilka metrów od nich, Tommy nagle z całą siłą odczuł radość posiadania — Mary-Ellen była jego.

Wokół rozlegały się przerażające krzyki i zgrzyty, wywołujące pełne zachwyty piski podróżników, odzwierciedlające strach, ale Tommy słyszał tylko mocne bicie swego serca i czuł jedynie chłodne ręce przyciągające go ku sobie. Wpatrywał się w dziewczynę, pragnąc na zawsze zapamiętać wyraz jej twarzy. Czarna, brudna ściana, o którą się opierał, wydawała się doskonałym tłem, a pełne kurzu, duszne powietrze pachniało świeżą, ożywczą wiosną. Mary-Ellen trzymała go obiema rękami, patrząc mu w oczy, i powoli, delikatnie przyciągała do siebie. Tommy czuł, jak jego nogi stają się miękkie, jak coś rytmicznie zaciska mu się wokół żołądka.

Mary-Ellen pochylała się do przodu, owiewając mu policzek ciepłym oddechem, podciągnęła do góry sukienkę i wdzięcznie opuściła białe,

bawełniane majteczki. Zachowywała się jak kapłanka, kierująca rytuałem spełnienia miłości.

Tommy starał się opóźnić i przedłużyć tę chwilę, ale nie był w stanie się powstrzymać.

— Kocham cię, Mary-Ellen, och, mój Boże, jak ja cię kocham.

Mary-Ellen przyjęła go z głębokim, pełnym drżenia westchnieniem. Tak było dobrze. Tak właśnie powinno być zawsze.

Poruszali się jak lunatycy, tańczący w tym samym rytmie, którego nikt ich nie uczył, ani też nikt nie wyjaśniał.

Wtuleni w siebie, zatopili się w czystej rozkoszy. Mruczeli bezgłośnie zakłęcia, starając się wyrazić to, co było nie do wyrażenia słowami, obojętni na otaczające ich sztuczne, szalone piekło, dzięki któremu mogli znaleźć się w swoim własnym niebie.

Lisa Starr skoncentrowała się i ruszyła ze wszystkich sił. Z protestujących, obolałych mięśni do jej mózgu szły nawracające sygnały — ból i ekstaza, ekstaza i ból. Musisz tak właśnie czuć, musisz to wytrzymać, jeśli chcesz pociągnąć za sobą grupę. Powietrze w małej, tłocznej sali gimnastycznej drżało od uporczywych odgłosów tupania trzydziestu par nóg, wybijających rytm rutynowych ćwiczeń aerobiku.

— Wyżej! Podnieście nogi wyżej. — Głos Lisy utonął w ogłuszającym ryku melodii płynącej ze stereofonicznego odbiornika, ale ćwiczące i tak zrozumiały, co powiedziała. Ruch rytmicznie unoszonych i opuszczanych nóg nasilał się, w miarę jak ich właścicielki dobywały z siebie resztek sił. Lisa dostrzegła, że zaczęły wkładać w ćwiczenie więcej wysiłku. Wspaniale, pociągnęła je na całej linii. Ociekające potem błyszczące twarze wyrażały wyczerpanie, ale i coś jeszcze: zachwyt i wdzięczność. Lisa uczyła je robić coś trudnego i wydobywać z siebie jeszcze trochę więcej energii; doprowadzała do granicy wytrzymałości i to dawało im zadowolenie.

Pora na zmianę ćwiczenia.

— Skaczące pajace, i raz, i dwa, i trzy, i cztery...

Lisa lubiła to. Było coś radosnego w określonej geometrii ruchu, w klaskaniu nad głową, podczas gdy poruszające się cały czas nogi rozwierały się i zwierały rytmicznie.

Dla niej i wielu innych w klubie było to najprostsze z możliwych ćwiczeń. Aktywny wypoczynek. Potrzebowały oddechu po szalonym wysiłku przy unoszeniu kolan. Ale nie dla wszystkich było to łatwe. Lisa poszukała wzrokiem przyjaciółki. Biedna Maggie. Przychodziła wiernie na zajęcia i starała się dużo bardziej niż inne, ale i tak zawsze wyglądała jak pokurcz. Nie dlatego, żeby była brzydka — każda część

jej ciała oglądana z osobna wyglądała całkiem możliwie, a jednak złożone w całość stawały się pod względem estetycznym katastrofą.

Lisa nie wiedziała, że Maggie myślała zupełnie odwrotnie, kiedy przyglądała się z jawnym podziwem swej przyjaciółce i nauczycielce. Czasami Maggie zastanawiała się, która część doskonałego ciała Lisy najbardziej zasługiwała na najwyższą nagrodę. Pośladki, z boku wyglądające jak połowa serca, łączące się z cudownie rzeźbionymi udami? Piersi, wydymające się dumnie, obojętne na działanie siły grawitacji, z sutkami zadziornie sterczącymi pod obcisłym różowym kostiumem gimnastycznym? A może jedwabiste czarne włosy, loki obcięte na pazia, opadające na umięśnione ramiona? Albo raczej sama twarz. Wielkie jak spodki oczy, niebieskie niczym Morze Koralowe. Lisa potrafiła otwierać je o wiele szerzej, kiedy chciała wyglądać na zdziwioną lub zainteresowaną, i wydawało się, że działają na mężczyzn jak magnes. Mały, lekko zadarty nosek, który umiała tak ładnie marszczyć, kiedy coś jej się podobało. Szczodre, zapraszające usta — gdy była w dobrym nastroju — rozchylały się lekko, by ukazać piękne zęby. Jak by na to nie patrzeć, trzeba przyznać, że w loterii, jaką było życie, oszukiwano. Lisa Starr dostała po prostu za dużo.

Stojąc przed całą grupą, Lisa zmusiła się do koncentracji. Te dziewczyny dawały z siebie wszystko i chciały widzieć, że ona robi to samo. Utrata ich uwagi na moment mogła podważyć zaufanie co do całkowitego zaangażowania w ćwiczenie ich ciał. Inni nauczyciele popełniali ten błąd i ich uczniowie nieubłaganie odchodzili. Lisa, oczywiście, nie miała tego problemu i nie zamierzała się narażać. Ta wieczorowa grupa pękała w szwach, ćwiczące ciała potraçały się wzajemnie, walcząc o kawałek wolnego miejsca.

— Dobrze, a teraz po raz ostatni unoszenie kolan. Ruszamy! Aż poczujemy ból... — Ostatnie słowo Lisa wykrzyczała pełnym głosem. Z ukrytą radością wypływającą ze zbiorowego masochizmu grupa zaczęła pośpiesznie przebierać nogami. Jeszcze raz na drewnianej podłodze sali gimnastycznej w West Palm wybijano rytm staccato. Lisa niemal widziała spalające się kalorie. Poczujecie je też, myślała. Przez otwarte drzwi wpadało do małej sali duszne powietrze wczesnego wieczora na Florydzie i stawało nieruchome, nasycone wilgocią morską, skutecznie opierając się próbom poruszenia go przez stare wiatraki zawieszony u sufitu. Kostiumy gimnastyczne nasiąkły potem i oblepiały ciała ćwiczących, uwypuklając ich mocne, umięśnione ciała.

— I dwadzieścia, a teraz jeszcze dwadzieścia. I raz, i dwa...

— Lisa, jesteś okrutna! — żartobliwy jęk Maggie przeszedł niezauważony. Ćwiczące z całych sił skoncentrowały się, jeszcze raz zmuszając

mięśnie do niemożliwego wysiłku, z trudem wciągając głęboko w płuca powietrze.

Sama Lisa była już niemal na granicy wytrzymałości, zbliżając się do magicznego momentu, kiedy ciało i dusza łączyły się, kiedy cudowny wysiłek fizyczny przenikał wszystkie zmysły. Jej ciało stało się lekkie, jak gdyby znalazła się nagle w chmurach i miała tak unosić się już zawsze. Ale była nauczycielką. Nie mogła pozostawiać w tyle swej grupy, walczącej, by dotrzymać jej tempa.

— I zwalniamy! — krzyknęła. — Nie przerywajcie, biegnijcie dalej, ale już rozluźnione.

Jęki ulgi powitały jej słowa, a salę wypełniły wzajemne uszczypliwe gratulacje.

— Hej, Lisa, gdzie cię ćwiczą, w Dachau? — krzyknęła stojąca z tyłu wielka, muskularna dziewczyna.

Lisa przyłączyła się do ogólnego śmiechu. — Żeby poruszyć twój ciężki tyłek, trzeba czegoś więcej niż tylko bata i żołnierskich butów, Paulene.

Czuła się wspaniale. Za to jej płacono, ale nie tylko o to chodziło. Było coś o wiele bardziej znaczącego. Na twarzach dziewcząt malował się respekt, którego Lisa nie знаła, póki nie podjęła tej pracy. I nie chodziło jej tylko o dowartościowanie swojej osoby. Robiła dla nich coś dobrego, pomagała im, a rezultaty były już widoczne. Lepiej wyglądając, lepiej się czuły i przejawiało się to na tysiące sposobów. W ciągu krótkich sześciu tygodni dostrzegła pozytywne zmiany w ich postawie; krok miały pewniejszy, a dawniej nieśmiałe dziewczyny teraz tryskały humorem i żartowały, stając się bardziej otwarte wobec ludzi, w miarę jak zaczynały lubić siebie same. Było to dla niej wspaniałą nagrodą i Lisa chciała móc to robić już zawsze.

— W porządku, zuchy, a teraz trochę pracy nóg.

Z kocim wdziękiem Lisa rozciągnęła się na gumowej macie. Ze złączonymi kolanami, całym ciężarem tułowia balansując na rozczapierzonych palcach, spojrzała na wpatrzonych w nią twarze. Jaka była średnia wieku jej uczennic? Trzydzieści? Dwadzieścia pięć? Coś koło tego. Przyjemnie pomyśleć, że dosłownie tańczyły na każde skinienie jej, siedemnastolatki, że mogła odprawiać nad nimi swoje gimnastyczne czary. Co by dla niej zrobiły? Do czego potrafiłyby je nakłonić? Przez głowę przeleciała jej radosna świadomość władzy nad nimi, kiedy tak obserwowała, jak wpatrywały się w nią z miłością, podziwiając jej wspaniałe ciało — zazdrosne, pragnące takie mieć — i w oczach kilku dziewcząt dostrzegła leciutki ślad czegoś trudnego do określenia, niemal nieświadomego. Tak, z całą pewnością: w wilgotnym powietrzu tej

małej sali wyczuwało się leciutki zapach pożądania fizycznego, delikatny jak szkocka mgła. Nikt nic nie mówił, ale tkwiło ono w błyszczących oczach, w czasem zbyt długim spojrzeniu utkwionym w nauczycielce i potoku hormonów, krążących żwawo w tętniącej mocno krwi. Lisa czuła je, wiedziała o nim, ale podobnie jak inni odrzucała i spychała to uczucie do podświadomości. Pozostało tam, nadając cudowne, ledwie zauważalne znaczenie wysiłkowi i radości płynącej z ćwiczeń.

— A teraz chcę, żebyście popracowały nad tymi fałdkami tłuszczu na biodrach. Zamienimy te tyłki w coś pięknego. Prawa noga do góry trzydzieści razy. Zaczynamy, i raz, i dwa...

Popłynęła spokojniejsza muzyka — rozsadzający czaszki rock, towarzyszący rutynowym ćwiczeniom, zastąpiły subtelniejsze dźwięki — kuszące, pieszczotliwe, ciepłe. Każda faza trwających godzinę i kwadrans zajęć miała inny charakter i proces myślowy Lisy dostosowywał się do ich rytmu. A ta faza miała zawsze odcień zmysłowy. Nie było w niej zmęczenia aż do bólu. Grupa mogłaby zapewne podolać pięćdziesięciu lub nawet sześćdziesięciu wymachom nóg. Lisa była w stanie i przez pół godziny wymachiwać nogami bez zmęczenia. Te ćwiczenia dawały jej wyłącznie upajające uczucie napinania mięśni, które były już i tak w szczytowej kondycji fizycznej. Kiedy uniosła wysoko prawą nogę, nagle ogarnęło ją lekkie podniecenie wywołane tym ruchem i zaczęła rozważać, co się czuje, uprawiając miłość.

Zazwyczaj była zbyt zajęta, by o tym myśleć, ale fizyczne zmęczenie ciała miało w sobie coś, co przywołało te odczucia z głębokiej podświadomości. Lisa zapagnęła znaleźć się w czyichś ciepłych, silnych ramionach, tulona przez kogoś, kto by do niej należał i do kogo należałaby sama. Mężczyzna, który by ją kochał. Czuły, silny, wrażliwy i potężny. Oczywiście to tylko marzenie, ale Lisa była pewna, że kiedyś się zrealizuje. Jeszcze nie teraz, ale już wkrótce.

Ostrożnie, Liso, pomyślała. Nie zapominaj o uczennicach, bądź z nimi.

— Fajnie, dziewczyny. Ćwiczymy dalej. Teraz lewa noga. I raz, i dwa, i trzy...

Po dziesięciu minutach zajęcia były już niemal skończone. Jeszcze ruchy rozluźniające. Lekkie rozprostowanie sylwetki, regulacja oddechu.

— No dobrze, to by było na tyle. Dzięki wam, do zobaczenia jutro.

— Och, Liso, dzisiaj mnie zmordowałaś. Mam uczucie, jakbym już nie miała siły żyć. Naprawdę! — Maggie z afektacją położyła dłoń na wilgotnym od potu ramieniu Lisy.

— Głupstwa gadasz, Maggie. Ruszałaś się jak marzenie. Kilka razy zwróciłam na ciebie uwagę. Naprawdę łapiesz to, mówię ci.

— I tak cię kocham, więc nie musisz mnie pocieszać, ale dziękuję za słowa otuchy. — Maggie nie miała złudzeń co do swoich osiągnięć. Worek ziemniaków miał o wiele więcej wdzięku. Lisa była właśnie taka, chciała ją oszczędzić. Ale jeśli chodziło o Maggie, Lisa i tak nie byłaby w stanie zrobić czegoś niewłaściwego i Maggie wystarczyło do szczęścia, jeśli mogła wygrzewać się w ciepłym blasku otaczającym przyjaciółkę.

— Chodź, Maggs, napijemy się kawy i zjemy coś. O tej porze robię się strasznie głodna.

Żadna z dziewcząt nie zawracała sobie głowy myciem. To mogło poczekać. Jeśli teraz wzięłyby prysznic, duchota florydzka i tak spowodowałyby, że do domów dotarłyby ponownie mokre od potu. Spocona Lisa wyglądała jednak bez porównania bardziej pociągająco niż mokra jak mysz Maggie.

W barku na Clematis zamówiły sobie kawę bezkofeinową i pączki.

Maggie spoważniała. — Wiesz, Liso, naprawdę jesteś taką wspaniałą instruktorką. Myślę, że powinnaś pomyśleć serio o pełnym etacie.

— Ty po prostu myślisz, że, jestem miękka — roześmiała się Lisa. — Że mogliby mnie zwolnić i dać moją grupę komuś, kto zmuszałby was do większego wysiłku.

— Ależ nie, Liso, ja naprawdę tak uważam. Robisz to tak naturalnie. Żaden z innych nauczycieli nie dorównuje ci, i to nie tylko moja opinia, cała grupa tak uważa. A Ronnie wścieka się, że jego innym dziewczynom nie udało się już nikogo więcej pozyskać do siebie.

Lisa śmiała się trochę nienaturalnie. Wiedziała, że Maggie mówiła prawdę i że do pewnego stopnia staje się to problemem. Była o wiele lepsza niż inne i uczestniczki zajęć dostrzegały to. Ronnie był właścicielem sali gimnastycznej i faktycznie w ciągu ostatnich kilku tygodni odnosił się do Lisy coraz chłodniej. Jeśli inne instruktorki zaczęły przeciwko niej szeptaną kampanię, mogła wkrótce skończyć jako ofiara własnego sukcesu. Tak, pomyślała, te kotki aż się palą, żebym się rozłożyła, zerwała sobie ścięgno, albo coś w tym rodzaju. Ale z całą pewnością jeszcze na to czekają. Zamierzam dłuższy czas utrzymać się w formie.

Maggie ujrzała w oczach przyjaciółki wyraz determinacji. Czasami odnosiła wrażenie, że Lisa była z hartowanej stali. Jakby nic nie mogło jej złamać. Zaledwie rok temu przeżyła najgorszą tragedię, jaka mogła się komukolwiek przydarzyć, a mimo to odzyskała formę — jeszcze silniejsza niż przedtem, doświadczona, ale nie załamana. Nie to, żeby nie czuła rozpaczy. Wręcz odwrotnie. Nie stała się niewrażliwa, tylko twarda, a to nie to samo.

— Wiesz, i ja, i kilka innych dziewcząt — Maggie kuła żelazo, póki

gorące — rozmawialiśmy o tym, że powinnaś zacząć działać na własną rękę i otworzyć własną salę gimnastyczną. Pozbawiłabyś Ronniego wszystkich uczennic, gdybyś to zrobiła. W każdym razie my poszłybyś-my za tobą jak jeden mąż.

Uśmiechnęły się na wzmiankę o przeciwnej płci. Trudno pozbyć się bez walki pewnych odruchów.

Lisa wyglądała na zamyśloną, kiedy się odezwała:

— Ależ Maggie, kochanie, żeby otworzyć salę gimnastyczną, trzeba mieć pieniądze, pamiętaj o tym. I trzeba się znać na rachunkowości, kwestiach własności, wynajmu itepe. Ja mogę się zająć prowadzeniem grup, ale o tych innych sprawach nie mam zielonego pojęcia. Moją specjalnością jest rozwijanie mięśni, skaczące pajace i inne ćwiczenia, a nie prowadzenie biznesu.

— Mogłabyś nauczyć się tego wszystkiego, a ja mogłabym ci pomagać. I zapewne inni też włożyliby w to trochę pieniędzy. Mam pięćset dolarów. To mogłoby starczyć na poradę prawną.

— Ja mam chyba jakieś pieniądze z ubezpieczenia — niepewnie stwierdziła Lisa. — Ale liczyłam, że dzięki nim będę mogła ukończyć college i, być może, zostać nauczycielką.

Maggie zorientowała się, że Lisa zaczęła się wahać.

— Posłuchaj, kochana. Na tym świecie jest mnóstwo nauczycieli, którzy nie umieją nic więcej, prócz tego, co im kiedyś ktoś wbił do głowy. Cóż to takiego powiedział ten malarz Braque, kiedy zapytano go, czy wyróżniał się talentem jako student? „Nawet gdyby tak było, moi nauczyciele dostrzegliby to jako ostatni”.

Lisa była skłonna zgodzić się z tą opinią. W zawodzie nauczycielskim oryginalne myślenie spotykało się równie rzadko jak intelekt na spotkaniu Ku-Klux-Klanu. Ale posiadanie dyplomu nauczycielskiego dawało jakieś zabezpieczenie. To prawda, że zapewne nauczanie nie było ekscytującym zajęciem, ale pozwalało zarobić na życie. Miałaby zawód, męża, statystyczne dwa i pół dziecka i jej zarobki pomagałyby pokryć czynsz za mieszkanie. Sen Amerykanek. Lisa wzdrygnęła się instynktownie. Próbowwała ubrać swój dylemat w słowa.

— Uczenie to coś łatwego i bezpiecznego. Dawałoby stały dopływ niezłych pieniędzy. Cały problem w tym, że byłoby to zamknięcie się w klatce. O wiele zabawniejsze wydaje się złapać życie za rogi i dać mu potężnego kopa, jak to by było z tą gimnastyką. Myślę, że zawsze jeszcze mogłabym w razie czego wrócić do nauczania...

Głos Lisy załamał się nagle. Życie było niezupełnie takie i doskonale o tym wiedziała. Jak raz spadniesz z konwencjonalnej drabiny, ktoś

inny wejdzie i zajmie twoje miejsce. Będą nowi studenci, osiągający najlepsze stopnie, pupilki nauczycieli, nie mający podejranych dziur w życiorysach. I kiedy Lisa spróbowałaby ponownie się między nich wcisnąć, już na pierwszym progu wykopałyby ją skórzane buty lub coś innego. W ten sposób system egzekwował posłuszeństwo od niewolników, którzy mu służyli. Mały ruch w bok i drzwi zatrzaśkiwały ci się przed samym nosem. Nie ruszaj się i przestrzegaj zasad; materialne zabezpieczenie jak narkotyk powodujący uzależnienie dostaje się do twoich żył w coraz większych dawkach, każda precyzyjnie odmierzona i podana odpowiednio często, by działać stymulująco przez cały czas. Im więcej miałeś, tym więcej pragnąłeś posiadać, tym wyższy był szczebel, z którego mogłeś zlecieć na sam dół. Oto pułapka, w którą z taką łatwością wpadali Państwo Przeciętniaccy, kierując się konformizmem. Na myśl o tym Lisę ogarnął strach. Jako siedemnastolatka nie miała pojęcia, kim chciała być, ale wiedziała jedno — cokolwiek by to było, w ten czy w inny sposób zamierzała odnieść niezwykły sukces. Na razie jej ambicja płonęła w próżni, jako bunt przeciw miernocie, czekając na swój moment. Ale nie zawsze tak miało być i w głębi duszy Lisa wiedziała, że należało rozwinąć skrzydła, kierując się instynktem.

Maggie zlizwała resztkę cukru, jaki został jej na palcach po zjedzeniu pączka. Nie powinna wcale go jeść, a już tym bardziej nie wolno jej było myśleć o zjedzeniu jeszcze jednego. Ukradkiem rozejrzała się za kelnerką.

— Och nie, Maggie! Jeszcze nie jesteś z samego mięsa i kości — roześmiała się Lisa, odgrywająca rolę policjanta. Tkanki tłuszczowe Maggie jeszcze wcale nie zaczęły przekształcać się w białko, z którego zbudowane były mięśnie. Maggie zrezygnowała z walki. Niewiele osób umiało sprzeciwić się Lisie. Miała w sobie coś, co przypominało umiejętność czarowania, jak magicy w dziecięcych komiksach; jakąś ledwie dostrzegalną siłę, której trudno było się oprzeć i z którą nie chciało się walczyć. Maggie często starała się rozgryźć, na czym to polegało, ale bez rezultatu. W końcu doszła do wniosku, że miało to coś wspólnego z motywacją. A Lisa chciała jak najlepiej dla wszystkich.

— Wiesz co, Liso? Ja naprawdę zupełnie poważnie myślę o tej sali gimnastycznej. Powinnaś się za to wziąć. Zobaczysz, że ci się uda.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — jeśli Lisa będzie chciała, zrobi to.

Lisa przez chwilę siedziała w milczeniu, opierając twarz na dłoniach i patrząc w zamyśleniu na przyjaciółkę. W końcu odezwała się wolno:

— Wiesz, Maggs, chyba spróbuję. Chcę ci tylko coś powiedzieć. Naprawdę doceniam twoją propozycję, no wiesz, te pięćset dolarów. Jesteś kochana. Ale jeśli mam to zrobić, to muszę sama. Zapewne będę mogła coś pożyczyć z banku i wykorzystać pieniądze z ubezpieczenia. Będzie to diabelnie niebezpieczne, ale zapowiada się prawdziwa frajda. Maggie nie mogła powstrzymać okrzyku radości. Cudownie! Lisa dała się przekonać i, jak zwykle, natychmiast wzbudziła gorący entuzjazm przyjaciółki. Wyraz zamyślenia przemknął przez twarz Maggie, odbił się w jej brązowych oczach i zarumienionych z podniecenia policzkach. Cóż to była za przyjaźń. Oczywiście dość stereotypowa: rzucająca się w oczy dziewczyna i jej nieładna koleżanka. W tych trudnych czasach tak się jednak układało, że fortuna faworyzowała raczej to, co ładne niż to, co odważne. Wszystkie Maggie tego świata raczej przejawiały skłonność do owijania się jak bluszcz, obserwując i czekając, podczas gdy Lisy wywijały piruety w takt niedozwolonej muzyki. I Maggie naprawdę nie miała nic przeciw temu. Była zupełnie zadowolona, żyjąc życiem Lisy, przeżywając jej triumfy jak swoje i wpadając w przygnębienie z powodu niepowodzeń. Było tak, odkąd Maggie sięgała pamięcią. Od tych odległych szkolnych lat, kiedy nikt jej nie musiał mówić, by dzieliła się swoimi słodyczami i zabawkami z małą dziewczynką, która była o wiele ładniejsza niż jakakolwiek lalka; odkąd nie miała nic przeciwko temu, że to właśnie Lisa była pupilką nauczycieli; kiedy była taka dumna, że mogła w duszne popołudnie spacerować z Lisą po ulicach West Palm, wyniośle odpowiadając na zaczepki chłopców, którymi one wówczas jeszcze zupełnie się nie interesowały.

— Och, Liso, to cudownie. Ja wiem, że ty to potrafisz. Ty potrafisz wszystko. Zobacysz, że wszystkie dziewczyny pójdą za tobą i po prostu nie mogę pogodzić się z myślą, że miałybyś marnować się w jakiejś okropnej klasie. — Maggie z radości zaklaskała w dłonie. Nagle jednak radość na jej twarzy nieco przybladła. — Ale pozwolisz mi pomóc sobie, prawda? Nie chodzi mi o pieniądze, jeśli ich nie chcesz, ale przy organizowaniu tego, no i w ogóle. Nie potrzebuję pensji. A w każdym razie niekoniecznie musiałabym ją mieć.

— Daj spokój, Maggs, to twój pomysł. Prawdopodobnie nie dałabym rady zrobić tego bez ciebie. W ogóle nic nie umiałabym zrobić bez ciebie. W każdym razie musimy jeszcze troszkę poprawić twoją sylwetkę.

I roześmiały się obie.

Maggie nie miała złudzeń co do miejsca, jakie zajmowała w szeregu piękności tego świata. Jej twarz nie wydawała się taka zła i z pewnością

nie była okropna, chociaż układ kostny pozostawiał wiele do życzenia, a karnacja skóry w dziwny sposób zlewała się z beżową farbą, jaką pomalowano ściany sali gimnastycznej. Zdecydowanie to właśnie jej sylwetka szwankowała i wymagała znacznie więcej niż „trozkę” poprawek, o których wspomniała Lisa. Ale już i tak dawało się zauważyć ogromną zmianę i choć nadal jeszcze jej ciało nie było apetycznie zwarte, przynajmniej już nie „zwisło” tak okropnie jak przedtem. Na początku mało entuzjastycznie odniosła się do flirtu Lisy z gimnastyką i przychodziła do sali gimnastycznej z cynicznym nastawieniem, kpiąc z faszystowskich metod zmuszania do wysiłku i rozkosznie obojętnie odnosząc się do otaczającej ją zewsząd niemal religijnej wiary w ćwiczenia fizyczne. Jak zwykle jednak Lisa ją przekonała. Nigdy nie zażartowała sobie z Maggie w sytuacjach, kiedy inne „przyjaciółki” nawet by się nie zawahały wyśmiać biedaczki. Zamiast tego poprowadziła ją ostrożnie przez wyczerpujące ćwiczenia w grupie początkowej i naturalna pewność siebie Maggie, która przetrwała mimo obciążenia, jakie, stanowił wygląd dziewczyny, w istotny sposób została podbudowana, gdyż sylwetka jej zaczęła się powoli, lecz systematycznie poprawiać.

Teraz miała już nawet swojego chłopaka, co przedtem wydawało się jej nie do pomyślenia.

— Obiecuję ci, Liso, że pewnego dnia zostanę instruktorką grupy. Wiem, że mi nie wierzysz, ale zapamiętaj, co ci powiedziałam.

— Maggs, ależ ja na to właśnie liczę.

Maggie uśmiechnęła się lekko. Stwierdzenie na głos czegoś takiego pomagało urzeczywistnić marzenia. Uzyskanie zgody Lisy było niemal gwarancją, że tak się stanie.

— W porządku. Zatem bierzemy się do roboty. Pierwsza rzecz, której będziemy potrzebowały, to pomieszczenie. Jest jedna duża sala do wynajęcia na Clematis. Myślałam któregoś dnia, że wspaniale nadawałaby się na salę gimnastyczną. Bóg wie, ile za nią zechcą. Jakie masz plany na dziś, Liso? Może poszłybyśmy do ciebie i zaczęły planować wszystko, co jest do załatwienia?

Lisa jednak ostudziła jej entuzjazm. — Obawiam się, że dzisiaj nie byłoby dobrze, Maggie. Willie Boy Willis zapowiedział, że wpadnie do mnie około wpół do szóstej, żeby pogadać o dawnych czasach. Wiesz, jaki on jest, kiedy wypije piwo.

Maggie dostrzegła, że twarz Lisy zasnęła mgielką melancholii, kiedy to mówiła. Przygarbiła się, mówiła stłumionym głosem, a jej oczy nagle zwilgotniały. Maggie wiedziała dlaczego i szybko wyciągnęła przez stół rękę, by pocieszająco pogłaskać dłoń przyjaciółki.

— Och Liso, kochanie. Gdybym ci tylko mogła pomóc. Jesteś taka dzielna. Nie poddawaj się. — I patrzyła, jak wielka łza spłynęła po pięknej, ale teraz dziwnie zatopionej we wspomnieniach twarzy.

Worki pod oczami Williego były praktycznie wystarczająco duże, by pomieścić wszystkie odpadki z baru i zdarzało się, że kiedy późną nocą przechodził między pojemnikami na śmieci pod barem Roxy'ego, żartowano, że tak je się właśnie potraktuje. Wielki brzuch, rozdęty przez piwo, wylewał mu się znad paska od spodni jak jakiś nieprzyzwoity fartuszek, a spomiędzy przepoconej koszulki bawełnianej i równie brudnych spodni wystawała kilkucentymetrowa warstwa nieapetycznej skóry. Jego jasnoruda broda wyglądała tak, jakby coś się w niej ruszało, a sporadyczne, gwałtowne ruchy grubych palców zakończonych czarnymi z brudu paznokciami, którymi przeczesywał brodę, potwierdzały przypuszczenie.

Lisa nie dostrzegała jednak ani nie czuła tego, co inni ludzie przebywający w pobliżu Williego Boya Willisa. Dla niej był przypomnieniem dzieciństwa, przepustką do błogiej przeszłości, gdzie wszystko wydawało się tak całkowicie inne.

— Tak, maleńka, pamiętam, jak kiedyś twój staruszek zaczął się siłować na rękę z twoim dziadkiem w barze.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Nikt wtedy nie chciał robić zakładów, kto wygra. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Przeklinali, darli się na siebie, jakby byli najgorszymi wrogami, ale jestem tak pewny jak tego, że mnie tu widzisz, że nigdy nie spotkałem dwóch ludzi równie zaprzyjaźnionych jak ci dwaj.

Lisa wiedziała o tym. Jej matka zawsze udawała, że złości ją bliska więź łącząca ojca i męża, ale w głębi duszy była zadowolona.

— I co było dalej, Willie Boy? — Lisa, siedząca na wytartej sofie, podkurczyła nogi i wpatrywała się w twarz gościa z udanym zainteresowaniem.

Willie Boy czknął. Długie lata spędzone w barze Roxy'ego nauczyły go sztuki opowiadania. Polegała na tym, by opowiadać na tyle powoli, na ile tylko słuchaczowi starczało cierpliwości. Przez dłuższą chwilę pił z puszki piwo w takim skupieniu, jakby spełniał ofiarę dla ułagodzenia zagniewanych bogów.

— No wiesz, oczywiście uzbierało się wreszcie sporo pieniędzy w zakładach. Całkiem dużo, jak sobie przypominam. Przynajmniej pięćdziesiąt dolców, niezła sumka. I twój tata mówi do mnie: „No to ty trzymaj te pieniądze, Willie Boy, bo stary Jack to skąpiec i łachmyta i nigdy nie płaci swoich długów”.

Lisa widziała oczami wyobraźni tę scenę, słyszała ukochane głosy.

— No a potem usiedli do rozgrywki. Mówię ci, i nie mylę się, nieraz widziałem siłowanie się na rękę — dużych, małych, wysokich, niskich — ale nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego jak ten pojedynek w barze Roxy'ego między Jackiem Kentem i młodym Tommym. Było tak cicho, że mogłaś usłyszeć, jak karaluchy w kącie sali puszczają bąki, mówię ci.

Lisa była w stanie wyobrazić sobie to napięcie w dusznym barze i ciszę, w jakiej stali bywalcy obserwowali walkę gigantów.

Willie Boy zorientował się, że dziewczyna słucha go z zapartym tchem, że ją porwał. Jego pamięć nie była już zbyt dobra, trochę wskutek nadmiernego picia, ale ciągle jeszcze potrafił umiejętnie wyolbrzymiać fakty.

— I daj mi w mordę, jeśli kłamię, lecz przysięgam ci, że siłowali się piętnaście minut i przez cały ten czas nie widziałem, żeby ktokolwiek pociągnął choćby kropelkę piwa, z taką uwagą śledzili walkę; a z pewnością coś takiego nie zdarzyło się nigdy przedtem ani też już nigdy potem w barze Roxy'ego.

Lisa też uczestniczyła w owej rozgrywce, trzymając z obiema stronami. Z ojcem, który ją kochał, chronił i dał najszcześniejszy dom na świecie, ale też z dziadkiem, który ją intrygował, rozbawiał i przerażał, a także był uosobieniem barwnego, niebezpiecznego, awanturniczego życia.

— I wiesz, kiedy ręka starego Jacka w końcu opadła na bar, podniósł się taki ryk, jak ten, który możesz usłyszeć na wyścigach psów. Gratulowano im obu, i słusznie.

Willie ciężko opadł na oparcie krzesła i sięgnął po kufel, który był nagrodą za opowieść. Gadanie po to, by zostać poczęstowanym trunkiem, nie było dla niego nowością. Wypił, otarł usta dłonią, którą następnie wytarł o nogawkę niegdyś niebieskich džinsów.

— A jak Jack przyjął porażkę?

Willie Boy roześmiał się. — Och, Liso. Przecież to Tommy go pobił, nie? Coś ci powiem w tajemnicy. Stary Jack był trudny. Prawdziwy arogant. Widziałem, jak robił marmoladę z chłopaków w barze tylko dlatego, że nie spodobały mu się ich mordy. Nieraz i mnie potrafił walnąć. Ale ten Tommy Starr mógł mu obciąć jaja, a stary i tak by go kochał. Tak zżyci byli ze sobą ci dwaj faceci.

Przez chwilę Willie Boy milczał i wyglądało na to, że zastanawia się, czy powinien mówić dalej.

— Potem Jack chciał się schlać jak skunks, ale Tommy myślał tylko o tym, żeby wrócić do twojej mamy. Nigdy nie widziałem, żeby jakiś

chłopak kochał dziewczynę tak bardzo, jak młody Tommy kochał Mary-Ellen. Mówię ci, nigdy. Spojrzał na Lisę, aby sprawdzić, jak zareagowała na jego słowa, ale zobaczył tylko, że była jakby nieobecna, zatopiona we własnych wspomnieniach.

Skrzypienie starego wiklinowego fotela na biegunach dawało Lisie ogromne poczucie bezpieczeństwa, ale występowało jako element większej całości. Było nierozdzielnie związane z innymi odczuciami — twardych, ciepłych kolan mamy, na których siadała, machając nogami, silnego zapachu jaśminu, smutnego zawodzenia muzyki country w radiu i drżącego światła lampy naftowej. Siedząc na kolanach mamy na ganku starego domu, Lisa czuła się jak w niebie — i to właśnie o raju opowiadała jej zawsze Mary-Ellen. Pięć gorących lat życia Lisy Starr nie przygotowało jej do zrozumienia niuansów przekazywanych jej przez matkę wiadomości, ale bezbłędnie wyczuwała delikatną tęsknotę Mary-Ellen za tym, o czym mówiła — i jeszcze dziś Lisa pamiętała wszystko, jakby słyszała to dopiero wczoraj. Noc po nocy przypominały się jej słowa matki, głęboko zapadające w świadomość, aż stały się jej elementem, czasami najważniejszym, jak się Lisie wydawało. Uczucie intensywnej przyjemności, towarzyszące rozmowom z matką na ganku, potęgowało reakcję dziecka na ich treści i stopniowo umysł Lisy przyjął matczyne opowieści jako świętą prawdę.

Nigdy, nawet na chwilę, nie zważyła w ich prawdziwość. Po drugiej stronie mostu, w odległości kilkuset metrów od ich domu, znajdował się czarodziejski świat, zamieszkiwany przez bogów i boginie — pięknych, dobrych ludzi, którzy nie byli w stanie zrobić niczego złego. Czarujący, wytworni, a także mądrzy, delikatni i z gruntu dobrzy, stali mieszkańcy i przebywający tam czasowo rezydenci Palm Beach żyli jakby na innej planecie, zachowywali się i myśleli w sposób zupełnie odmienny niż zwykli śmiertelnicy z West Palm. Ich życie składało się z muzyki i tańca, uprzejmych konwersacji, kultury i doskonałości. Nie miało nic wspólnego z walką o finanse i moralne przetrwanie, jaka rozgrywała się z taką intensywnością po drugiej stronie torów nadbrzeżnej kolejki okrążającej jezioro. Z oczami błyszczącymi głęboką wiarą w to, co mówi, Mary-Ellen opowiadała i powtarzała opowieści o wystawnych bankietach, skomplikowanych sposobach układania kwiatów, o przyjazdach i odjazdach bogatych i sławnych gości, i przez cały czas Lisa siedziała oniemiała z wrażenia, podekscytowana dźwięcznym głosem matki. Inne dzieci, jej przyjaciele

i wrogowie z ulicznych zabaw i bójek, miały różnych idoli — Batmana, Supermana, kapitana Marvela — ale dla Lisy byli to tylko wymyśleni bohaterowie, nieprawdziwe istoty, które wydawały się niczym w porównaniu z istniejącymi naprawdę Stansfieldami, Duke'ami czy Puli-tzerami. Na wszystkie dziecinne pytania Lisy matka znajdowała cierpliwie przekonujące odpowiedzi.

— A czemu my nie mieszkamy w Palm Beach, mamusiu?

— Ludzie tacy jak my nie mieszkają tam, kochanie.

— A dlaczego?

— To się wiąże z urodzeniem, Liso. Niektórzy ludzie po prostu rodzą się po to, aby tam żyć.

— A ty kiedyś mieszkałaś w domu Stansfieldów.

— Tak, aleja tam pracowałam. Dlatego tak naprawdę to nie byłam stamtąd.

A potem oczy jej matki zasnuwała mgła, zaczynała marzyć i mówiła niepewnym głosem: — Pewnego dnia, Liso, jeśli będziesz bardzo ładna i bardzo dobra, taka jak jasna księżniczka, to kto wie, może jakiś książę zabierze cię tam, na drugą stronę.

Mało wiedząc jeszcze o życiu, Lisa zauważyła brak konsekwencji w rozumowaniu matki, ale nie było to wystarczającym powodem, by miała zważyć w prawdziwość jej słów — i wcale tego zresztą nie chciała. W tym królestwie fantazji, marzeń o białych rycerzach i pędzących wierzchowcach, o nadludzkiej sile i nieskończonej mądrości, Palm Beach jawiło się jako tajemniczy wszechświat, w którym romansowały mityczne istoty, i gdzie ustawicznie dokonywano nierealnych, odważnych czynów. Lisa miała też jedno ukryte marzenie, że pewnego dnia stanie się członkiem społeczności Palm Beach. Pojedzie złotym powozem przez most na drugą stronę, a po drodze będzie towarzyszyć jej grająca serenady orkiestra. Na miejscu, w owym raj, powita ją chór aniołów i, oczywiście, zabierze tam ze sobą matkę i całą rodzinę. Będą jej ogromnie wdzięczni, bo to Lisa umożliwi im realizację nieprawdopodobnego marzenia. Ona zaś będzie pławić się w pełnym miłości szacunku, jaki tego rodzaju osiągnięcie musi wywołać.

!Skrzekliwy głos Williego wdarł się w świadomość Lisy, wyrrywając ją ze słodkich, choć smutnych wspomnień.

— Wygląda na to, że zapomniałaś o mnie, Liso.

— Taak, myślałam sobie o mamie — Lisa uśmiechnęła się blado.

— Och, ona z całą pewnością była wielką damą. Najładniejszą

dama, jaką kiedykolwiek widziałem w całym powiecie. Miała styl — prawdziwy styl — ta twoja mama, Liso. Tommy miał kupę szczęścia.

Spojrzeli na siebie niepewnie. Oboje wiedzieli, co teraz nastąpi. Oboje tego chcieli i każde z nich na swój sposób bało się tego.

Lisa zafascynowana, jakby obserwując węża zaczarowanego muzyką fletu, nie miała dość siły, by przeciwstawić się przesądzonej już próbie egzorcyzmowania przeszłości, na próżno pragnąc pozostawić duchy w spokoju.

— Nigdy nie zrozumiem, jak to się stało. Nigdy nie wybaczę sobie tej nocy.

Willie Boy często zaczynał właśnie w ten sposób.

Ale Lisa wiedziała, jak doszło do tej tragedii. Znała każdy najdrobniejszy szczegół — do końca życia nie zapomni.

Tommy i Jack. Pijany powrót do domu. Myśli swobodnie fruujące po niebie, pobudzona alkoholem wyobraźnia.

Ramię w ramię, przyjaciele, którzy sprawdzili się jako doskonali partnerzy przy bitce i wypitce. I stary dom — cichy, ale dobrze oświetlony. Rozchichotane usta starające się zachować ciszę. Trzeszczące deski, niepewne stopy, przy-
mgłony wzrok. Czyj łokieć nieświadomie przewrócił lampę naftową? Jaki dźwięk zagłuszył jej upadek? Samochód?

Gwizd przejeżdżającego pociągu? Jakiś głupi żart?

Ogień pojawił się, nim Tommy i Jack dotarli do łóżek i zapadli w głęboki, pijacki sen. Rozdmuchiwany przez kapryśny nocny wiaterek pożerał wysuszone deski. Lisa, która spała jak zając, usłyszała i poczuła go pierwsza.

Rzuciła się do drzwi, ale kiedy je otworzyła, stanęła przed nią ściana ognia. Uratował ją instynkt. Zatrzasnęła drzwi, bez zastanowienia wdrapała się na parapet okna i wyskoczyła na ciemne podwórko.

Stojąc tam sama, oszołomiona, na wpół świadoma tego, co się dzieje, obserwowała, jak ogień pożera jej świat.

Zaledwie parę sekund upłynęło od chwili, kiedy się obudziła. Nagle ogarnęło ją paralizujące przerażenie. Za płotem krzyczeli sąsiedzi, ich podniesione głosy z trudem docierały do wpół rozbudzonej dziewczynki.

Jej ojciec, matka i dziadek byli w domku. Czy udało im się wydostać z płomieni? Czy opuścili ją i odeszli na zawsze bez słowa pożegnania? Zbliżyła się do nieubłaganego żaru, aż poczuła na twarzy buchające gorące powietrze i zaczął ją dławić gryzący dym. Musiała się cofnąć przed szalejącym żywiołem. I wtedy zobaczyła widmo.

Z samego środka płomieni, poruszając się niepewnie jak lunatyk, wynurzyła się jakaś postać.

Skamieniała z przerażenia Lisa dopiero po sekundzie czy dwóch

zdała sobie sprawę z tego, kto to. Matka, cała w ogniu, wydobyła się z tego piekła, ale nie dała rady przed nim uciec. Lisa rzuciła się ku niej, widząc jak płomienie ognia pożerają nagie ciało. W nozdrzach czuła zapach spalenizny. Oślepiąca przez ogień Mary-Ellen szła potykając się, a z jej poparzonych ust wydobywał się zduszony krzyk bólu i przerażenia. Wymachiwała rękami jak dziecko, któremu przewiązano chusteczką oczy do zabawy w ciuciubabkę, szukając czegoś, czego nie mogła odnaleźć.

Nie zwracając uwagi na ogień, Lisa rzuciła się do matki, próbując własnym ciałem zdusić płomienie i ukoić jej cierpienie. Wywróciła Mary-Ellen na ziemię i okrywając sobą, próbowała ugasić tę żywą pochodnię. Nie czuła bólu, kiedy gołą skórą dotykała ognia. Była jak zwierzę działające pod wpływem instynktu i rozpacz.

Krzycząc turlały się po skąpej, wyschniętej trawie podwórka. Potem zbliżyły się do nich jakieś głosy i ręce, a ktoś brutalnie oblał je zimną wodą, wykrzykując coś przy tym z przerażeniem.

Lisa trzymała matkę w ramionach, odwrotnie niż to zazwyczaj bywało; obie — matka i córka — stawiały opór rękom, które chciały je rozdzielić. Lisa patrzyła z czułością na zniekształconą przez ogień twarz, na ukochane rysy, teraz nabrzmiałe i popalone. Mruczając cichutko słowa ukojenia i rozpaczliwej nadziei, głaskała zniszczone włosy, przeczuwając, że matka umiera.

Fala gniewu i przerażenia opadła, ustępując miejsca przejmującej rozpacz.

— Och, mamusiu — szlochała, zalewając się łzami, które spływały po policzkach i spadały na opuchniętą, przebarwioną skórę.

— Mamusiu, zostań ze mną. Nie opuszczaj mnie, zostań, proszę. Tuliła do siebie matkę, starając się przelać w nią siłę życia, odsunąć

nieuniknione. Mary-Ellen była nie do rozpoznania, zamieniona w coś, co wydawało się karykaturą jej urody, ale jeszcze żyła. Dla Lisy to właśnie stanowiło fakt najważniejszy i z całych sił modliła się do Boga, by nie zabrał tej najdroższej istoty, bez której nie umiała sobie wyobrazić dalszego życia.

Mary-Ellen spróbowała coś wymówić poparzonymi, obolałymi wargami i Lisa pochyliła się blisko, by usłyszeć słowa, które jak drogowskaz miały prowadzić ją przez życie.

— Kochanie. Tak bardzo cię kocham... tak bardzo.

— Och mamusiu, ja też cię kocham. Kocham cię. Zostań ze mną. Zostań.

— Poszłam... do twojego pokoju. Ale tobie nic się nie stało. Taka

jestem szczęśliwa. — Mary-Ellen z trudem szeptała słabym głosem. — Liso, kochanie, te wieczory na ganku... Pamiętaj, co mówiłam. Nie odrzucaj tego, jak ja to zrobiłam. Możesz wszystko osiągnąć. Wiem, że możesz. Wiesz, o czym mówię. Och, Liso, przytul mnie mocno...

— Nic nie mów, mamusiu, zaraz będzie lekarz. Nie próbuj mówić. — Lisa poczuła, jak ogarnia ją czarna rozpacz i czując drżenie ciała matki, słabnącego w jej ramionach, wybuchnęła płaczem.

— Pamiętam, mamusiu. Pamiętam wszystko. Nie umieraj. Mamusiu, proszę, nie umieraj!

Nagle w odruchu buntu wobec czegoś, do czego przez całe życie modliła się gorąco, Mary-Ellen odchyliła się do tyłu i znieruchomiała. Jak szmer unoszonego przez wiatr liścia, Lisa dosłyszała ostatnie wyszeptane przez matkę słowa.

— Palm Beach... Liso... to tuż za mostem...

Było południe i słońce prażyło bezlitośnie, wypalając rozgrzane chodniki, drząc i błyszcząc w nieruchomym powietrzu. Wydawało się jednak, że Lisa i Maggie nie odczuwają tego, nachylone do siebie i zatopione w gorączkowej rozmowie tuż przy wejściu do banku.

— Ale co masz zamiar mu powiedzieć, Liso? Ci faceci są naprawdę cwani, wiesz o tym. Tata zawsze mówi, że oni pożyczają pieniądze tylko tym, którzy tego wcale nie potrzebują.

— Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze, Maggs. Potrafię poprowadzić salę gimnastyczną i przekonam go o tym. Zobaczysz, że zawrzemy dobrą umowę.

Maggie była pełna wątpliwości, ale jak zwykle poddała się sile i pewności Lisy. — Masz gotowe wszystkie dokumenty?

Lisa zamachała jej przed oczami szarą, tekturową teczką i roześmiała się. — To tylko wsparcie, Maggie. Bankierzy udzielają pożyczek ludziom, a nie kawałkom papieru. Dobrze wyglądam?

Teraz Maggie się roześmiała. Dla niej Lisa zawsze wyglądała wspaniale. Luźny, błękitny lniany żakiet, nałożony na biały bawełniany podkoszulek. Długie, opalone nogi, wystające spod krótkiej, białej, marszczonej spódniczki z bawełny, krótkie skarpetki, płócienne pantofelki. Ale to, co miała na sobie, było naprawdę nieistotne — liczyła się jej doskonała sylwetka, którą ubranie tak mało skutecznie ukrywało przed wzrokiem.

— Miejmy nadzieję, że ten facet ma udane małżeństwo i jest podporą swojego kościoła, bo inaczej gotów jeszcze rzucić się na ciebie.

— Czy ty nie potrafisz myśleć o niczym innym, Maggs? Hej, robi się późno. Lepiej już pójde. Życz mi szczęścia. Wjeżdżając windą na górę, Lisa czuła, jak stopniowo opuszcza ją pewność siebie. Dopiero niespełna dwa tygodnie temu podjęła decyzję i od tego czasu dzień w dzień jej chęć zrealizowania planów narastała w postępie geometrycznym. Zamierzała otworzyć najwspanialszą na świecie salę gimnastyczną — ośrodek doskonalenia sylwetek, którego sława rozniosłaby się po całym kraju. Stworzyłaby to, ukształtowała, dając z siebie wszystko, a w zamian otrzymałaby to, czego pragnęła. Byłaby to jej przepustka na drugą stronę mostu, jej prezent dla zmarłej matki. Wkrótce bogowie i boginie, błakający się po swych niebiańskich winnicach, usłyszą o niej, a kiedy już ta wiadomość dotrze na drugą stronę lśniącego jeziora, młodzi mieszkańcy rajy odszukają Lisę i powierzą jej swe ciała do ukształtowania, wyrzeźbienia i wzmocnienia. Z wdzięczności za to, co potrafi zrobić, pozwolą jej przenieść się do nich. Na drodze Lisy stała tylko jedna przeszkoda: bankier o nazwisku Weiss. Bez środków finansowych Lisa niczego nie osiągnie, będzie zerem na wieki skazanym na przeciętność.

Lisa pozwoliła, by o władnęły nią ponure myśli. Była to sztuczka, której się nauczyła w życiu; żeby coś zdobyć, trzeba tego bardzo mocno pragnąć. Na tym polegała tajemnica sukcesu. Jeśli nie pragnąłeś wystarczająco mocno, byłeś stracony. A jedyną metodą na podsycanie pragnienia było pogrążenie się w rozmyślaniach o konsekwencjach porażki, tak jak to właśnie robiła. I zanim winda zatrzymała się, Lisa Starr była już absolutnie zdecydowana. Postawiła na swoim za wszelką cenę. Weiss udzieli jej pożyczki, a ona zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, by tak się stało. Wszystko jedno, uczciwymi czy nieuczciwymi środkami, dojdzie do celu.

Recepcjonistka o orlich rysach nie odniosła się do niej zachęcająco, kiedy zapisywała się na spotkanie, i teraz też nie była ani trochę sympatyczniejsza. Na szczęście nie musiała czekać. Otwierając drzwi do gabinetu, sekretarka rzuciła tylko: — Panie Weiss, panna Lisa Starr, umówiona z panem na dwunastą. — I wpuściła Lisę do środka.

Weiss, niski i podobny do sowy, uniósł się, kiedy Lisa weszła, i na jego starej twarzy pojawił się wyraz lubieżnego pożądania. Lisa miała wrażenie, że niemal słyszy jego myśli, kiedy skłonił przed nią głowę w powitalnym ukłonie. Czuła wzrok mężczyzny, łakomie przesuwający się po jej ciele, zatrzymujący się na piersiach, na ledwie przysłoniętych krótką spódnicą udach.

— Ach, panna Starr. — Wyciągnął powitalnym gestem pulchne ręce. — Proszę siadać.

Weiss krążył wokół Lisy. Nie odsunął jej krzesła, jak gdyby nie chcąc okazać się nadmiernie usłużnym wobec młodej klientki o tak czarującej aparycji. Skłonił się jednak, pochylając nad nią tułów i wykonując dłonią drobne gesty, jak gdyby dyrygował ruchami dziewczyny w czasie skomplikowanego procesu siadania niczym aktor kierujący ruchami marionetki. Oblizywał przy tym wyschnięte usta, wpatrując się w uda Lisy, które bezskutecznie usiłowała okryć krótką spódniczką. Wreszcie niechętnie wrócił za biurko i zajął miejsce w wysokim, ciemnozielonym, skórzanym fotelu. Lubieżny uśmiech mężczyzny stał się nieco mniej nachalny, w miarę jak jego wyobraźnia zaczęła ustępować miejsca chłodnej rzeczywistości. Psiakrew; Joseph Weiss — Casanova, Don Juan, bawidamek — zamienił się w starego Joe Weissa, sześćdziesięciodwulatka z nieświeżym oddechem i przygarbionymi plecami.

Opuścił wzrok na biurko, wpatrując się intensywnie w nie zapisaną kartkę papieru.

— No tak, panno Starr. W czym mogę pani pomóc?

— Tym, czego naprawdę potrzebuję, panie Weiss, jest pożyczka w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów, żeby otworzyć tu, w West Palm, studio-salon gimnastyczny. — To było sedno sprawy. Lisa rozważała wszelkie inne możliwe warianty rozpoczęcia rozmowy, ale w głębi duszy była przekonana, że najlepszym wyjściem jest otwarcie wyłożyć całą sprawę. — Mam własne dwadzieścia tysięcy dolarów z polisy ubezpieczeniowej i zainwestuję je również w to przedsięwzięcie — dodała. Zapewne bankierzy lubią, kiedy ryzykuje się także swój własny kapitał. — Aaaaach — powiedział Weiss z aprobatą. Tym lepiej. Chciała czegoś od niego. Ludzie zazwyczaj czegoś chcieli, a to korzystnie wpływało na jego samopoczucie. Czasami w zamian za pomoc byli gotowi do rewanzu. Zdarzały mu się już takie przypadki, a ta dziewczyna była taka młoda i taka ładna.

Lisa czekała przez chwilę, ale Weiss nie uzupełnił niczym swojej enigmatycznej reakcji. Czy należało już teraz zacząć swoją długą przemowę — wykazać się dokumentami, kosztorysem i przewidywanymi zyskami oraz niedawno odkrytym lokalem na ulicy Clematis? Instynkt podpowiadał jej, że jeszcze nie. Wyprostowała się na tyle, na ile było to możliwe w wysokim krześle i obserwowała uważnie bankiera, zauważywszy gwałtowny nawrót lubieżnego zainteresowania w jego rozbieganych oczach.

— To dość duża suma, panno Starr — powiedział w końcu.

— Będzie to dobrą inwestycją dla pańskiego banku — odparła Lisa

promiennie, pozwalając sobie na zaprezentowanie się jako osoba przekonana o własnej wartości.

Weiss spojrział na nią uważnie. Dobra inwestycja dla banku? Zapomnij o tym, maleńka. Może dla niego, biorąc pod uwagę jego możliwości pożyczania pieniędzy banku. Być może. Wpatrzył się w sterczące pod bluzką piersi Lisy, zamrugał powiekami i nerwowo przełknął ślinę. Na pewno można było jakoś sprawę załatwić, ale wyglądało to jak pole minowe. Jeden błędny ruch i koniec.

— Załóżmy, że wprowadziłyby mnie pani nieco bardziej szczegółowo w ten projekt. — Nie do końca udało mu się próba przyjęcia pozy dobrego wujka. Z pewnością jego wzrok pozostał zanadto wymowny.

Lisa była na to przygotowana. Bankierzy lubią mieć informacje na papierze. Można to wtedy łatwo przedstawić innym. Przyniosła więc wszystko gotowe: ocenę jej osobowości, fotografie lokalu, który zamierzała wynająć, szacunkowe obliczenia spodziewanych zysków. Podała bankierowi kopertę, wyjaśniając szczegóły w kilku słowach. Przez minutę lub dwie Weiss przeglądał papiery.

Kiedy ponownie spojrział na nią, miał na ustach chytry uśmieszek. — To robi wrażenie, Liso — jeśli wolno mi tak panią nazywać — ale wydaje mi się, że brakuje tu jakiegoś świadectwa o pani przygotowaniu zawodowym do prowadzenia zajęć w zakresie wychowania fizycznego. — Odczekał moment, zanim zdecydował się pójść o krok dalej. — Choć przypuszczam, że można uznać, że... mhm... pani doskonałe warunki fizyczne są dowodem umiejętności w tym zakresie.

I znowu jego oczy przeslizgnęły się po Lisie, zatrzymując się najpierw na jej piersiach, potem na płaskim brzuchu i powędrowały jeszcze niżej.

Nie była w stanie powstrzymać rumieńca, który wypłynął jej na policzki. Chryste, on zaczynał zachowywać się jak łotr! Roześmiała się nerwowo i rozegrała to diabelnie prosto.

— Obawiam się, że nie ma jeszcze możliwości otrzymania dyplomu z gimnastyki i aerobiku, ale mogłabym z pewnością przynieść panu referencje z miejsca, w którym obecnie pracuję.

Doskonale wiedziała, że wcale nie to miał na myśli.

Śmiech Weissa zabrzmiał nieszczerze. — Nie, jestem pewny, że to nie budzi zastrzeżeń. Jestem przekonany, że fizyczna strona nie będzie dla pani żadnym problemem.

Zaczął już czuć grę hormonów. Jak bardzo ta mała lisiczka chciała mieć tę swoją salę gimnastyczną? Jeśli naprawdę chciała, to miała tylko jedną szansę zdobycia jej, tylko jeden sposób. Dwadzieścia tysięcy

dolarów za jakieś odrapane studio, które trzeba by zamknąć po pół roku? Śmiechu warte. Ale zerznąć tę dziewczynę za dwadzieścia tysięcy pochodzące przecież z banku, nie zaś z jego kieszeni — a kto wie, może więcej niż tylko raz ją zerznąć — to mogło być nie taką znowu złą zabawą. Nie po raz pierwszy przytrafiłoby mu się coś takiego i miał szczerą nadzieję, że nie po raz ostatni. Cóż więc z tego, że zainwestowałby bankowe pieniądze w coś niewarte tego i straciłby na tym kilka punktów? Każdy ma prawo czasem się pomylić. Wybaczone by mu to bez wątpienia. A dziewczyna była młoda i świetnie zbudowana. Wypróbuje zmodyfikowaną wersję tej samej odzywki, która już tyle razy dawała rezultaty.

— Liso, muszę być z tobą szczerą. Obawiam się, podpowiada mi to moje doświadczenie, że ta pożyczka nie byłaby bezpieczna. Jest po temu kilka powodów. Jesteś młoda, nawet bardzo młoda, nie masz jeszcze żadnego doświadczenia w prowadzeniu interesów. No i gimnastyka — modna wprawdzie w tej chwili — nie należy do tych dziedzin, z których banki czerpałyby pieniądze.

Weiss roześmiał się serdecznie ze swego dowcipu, dostrzegając rozczarowanie w pięknych oczach dziewczyny. Trick polegał na tym, by odebrać cię nadziei, rozbić ją na drobne kawałki, zanim ukaże światło w tunelu.

— Prawda wygląda w ten sposób — i przykro, że muszę widzieć tę sprawę tak bardzo pesymistycznie — że nie sądzę, by jakkolwiek bank zechciał ci udzielić na ten cel pożyczki. — Pokiwał ze smutkiem głową i lekko cmoknął językiem. — Nie sądzę — dodał już całkiem niepotrzebnie.

Lisa patrzyła, jak jej projekt rozsypywał się w proch, i czuła wypełniające ją zimne przerażenie. Była taka pewna, tak głęboko przekonana. Dawniej pragnienie czegoś w zupełności wystarczało do realizacji planów. Ambicja plus wysiłek gwarantowały sukces. Teraz, po raz pierwszy w życiu, miało się to nie udać. Na jej drodze stał ten człowiek, ten Weiss, i przewidywał, w pozornie uczciwy i rozsądny sposób, że znajdą się inni Weissowie, którzy rozegrają to tak samo, gdyby próbowała szczęścia gdzie indziej. Najgorsze do zniesienia było to, że Lisa wiedziała, jakim sukcesem mogłaby stać się ta sala gimnastyczna, ale czyż mogła mieć nadzieję, że przekona o tym bankiera? On widział tylko jej brak doświadczenia i naiwność.

Lisa myliła się: Weiss, mrugający w podnieceniu powiekami ukrytymi za grubymi szklami okularów, widział znacznie więcej niż tylko to. Nachylił się w kierunku Lisy i wysunął propozycję, kierując się przeświadczeniem, że tonący chwyta się brzytwy.

— Jednakże — dyrektor zrobił krótką pauzę i powtórzył to słowo — jednakże powiem ci zupełnie szczerze, Liso, że spodobałaś mi się — nawet bardzo. Jestem pełen podziwu... dla tego, co zrobiłaś i co planujesz zrobić.

Dłuższą tym razem przerwę wypełniły niedomówienia i podteksty, które chciał, by Lisa pojęła.

— Zapewne mógłbym ci pomóc. Zapewne moglibyśmy nad tym popracować — powiedział w końcu i uśmiechnął się przymilnie. Ciągłe jeszcze trochę zanadto wymijająco. Jak dużo trzeba będzie wyjaśnić? Czekał na jakiś znak zachęty z jej strony.

Przyjacielski uśmiech Lisy był absolutnie neutralny, ale jej świadomość uderzyła na alarm. Jeszcze nie w pełni przekonana, przez skórę czuła, do czego to ma prowadzić. Jakiś atawistyczny instynkt podpowiadał jej, że Weiss czegoś chciał i że to było obrzydliwe.

— Zamierzałem ci zasugerować — wymruczał wreszcie Weiss — że byłoby miło, gdybyśmy mogli pozostać w kontakcie, powiedzmy, na stopie towarzyskiej, kiedy udzieliłbyś ci tej pożyczki. Jeśli, oczywiście, zdecydowałbym się na to. — No, powiedział wreszcie. Wyłożył karty na stół: „Dasz mi, w zamian za dwadzieścia tysięcy. To jasne jak słońce”.

Lisa obserwowała jego grę i natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi. Nie była zdziwiona i właśnie to ją zaskoczyło. Czując gwałtowny odruch wstrętu, zachowała kamienną twarz.

— Cóż, z pewnością chętnie przyjąłabym jakieś ojcowskie rady, pomocne przy rozkręcaniu mojego przedsięwzięcia. Byłabym bardzo wdzięczna za nie.

Powiedziała to i natychmiast pożałowała. Tańczyła na linie bez siatki asekuracyjnej. Weiss pragnął jej, a Lisa powiedziała mu mniej więcej tyle, że jest obrzydliwym staruchem — dość starym, by być jej dziadkiem. Mogła się już pożegnać z tymi dwudziestoma tysiącami dolarów, którymi przed chwilą zamachał jej przed nosem.

Weiss zaśmiał się niepewnie. Czy to możliwe, żeby była taka nieprzekupna? A może powiedziała mu właśnie „nie ma mowy”?

— Miałem na myśli to, że być może moglibyśmy pójść od czasu do czasu na obiad, żeby się lepiej poznać. — W jego głosie pojawiła się nutka desperacji.

Lisa wiedziała, że musi podjąć jedną z najważniejszych decyzji w swoim życiu, i nie miała zielonego pojęcia, co zrobić. Miała do wyboru dwie możliwości. Albo sprzeda się temu śmiesznemu staruchowi i dostanie pieniądze, których potrzebuje, albo odejdzie z pustymi rękami i pozostanie jej kariera nauczycielki. Dziwka albo zasługujący

na szacunek filar establishmentu. Palm Beach albo Minneapolis. Ryzyko albo bezpieczeństwo. Walczyła ze sobą, nie mogąc podjąć decyzji.

— Co na to powiesz? — ponaglił ją przez zaciśnięte zęby Weiss. Lisa nie odzywała się dłuższą chwilę.

Przez głowę przelatywały jej szalone myśli. Jego obrzydliwy członek w jej dumnym ciele, brudzący je, gwałcący, biorący w wieczne posiadanie, zabierający jej cnotę. Chociaż to tylko chwila, która minie, którą zapomni i całą siłą woli wymaże z pamięci, mając w zamian możliwość stapania po wymarzonej drodze do sukcesu i chwały. Straciłaby jednakże na zawsze szacunek dla siebie samej, gdyby sprzedała się diabłu po to, by dopiąć celu. Ale jak spełni obietnicę daną umierającej matce? „To tuż za mostem... tuż za mostem”. Poczowała w nozdrzach zapach płonącego ciała, kiedy tak wpatrywała się oczami zamglonymi nagle przez łzy w swego potencjalnego oprawcę, a jednocześnie potencjalnego wybawcę. Bo kim on był — diabłem czy aniołem?

Weiss przyglądał się walce wewnętrznej, jaką Lisa toczyła ze swoimi myślami. W końcu go zrozumiała. Teraz już musiał czekać. Przekonany o zwycięstwie, rozparł się wygodnie w fotelu i przyjemnie podniecony przeżywał swoją nadzieję.

— Nie jestem całkiem pewna, o co panu chodzi — na wpół świadomie odezwała się Lisa. Grała na zwłokę, łapiąc się każdej szansy; wszystkiego, co mogłoby pomóc jej podjąć decyzję.

— Myślę, że doskonale mnie zrozumiałaś — szybko odparł Weiss. Nic jej to nie pomogło.

Za wszelką cenę! Lisa przysięgła to sobie przecież zaledwie kilka minut temu, kiedy tu szła. Czy wykorzystała już wszystkie uczciwe metody? A jeśli tak, jak bardzo nieuczciwe będzie to, co jej pozostało?

Kiedy wreszcie zaczęła mówić drżącym, ale zdecydowanym głosem, miała wrażenie, jakby patrzyła na siebie z zewnątrz.

— Panie Weiss, myślę, że zrozumiałam, czego pan oczekuje ode mnie. Pożycz mi pan pieniędzy, jeśli będę się z panem kochać, i tylko pod tym warunkiem, prawda? — Zrobiła krótką przerwę i kiedy ponownie się odezwała, jej głos brzmiał o wiele pewniej. — Cóż, musi pan zdawać sobie sprawę, że wcale tego nie chcę i uważam, że postąpił pan bardzo nie fair, stawiając takie żądanie. Ale potrzebuję tych pieniędzy — desperacko ich potrzebuję, bo bardzo chcę wiele w życiu osiągnąć. Więc jeśli chce się pan ze mną kochać, to proszę, ale pod jednym warunkiem: że zrobimy to tu i teraz, w tej chwili. A potem da mi pan moje pieniądze. Całą sumę, potwierdzonym czekiem bankowym. — Powoli, z namysłem wstała, pokonując wewnętrzny opór.

Pod wpływem tych słów podniecenie Joe Weissa znikło jak płomień zdmuchniętej świecy. Poczul się winny i zrobiło mu się głupio. On — ojciec dzieciom, mąż, syn swojej matki — zaczął odczuwać piekący wstyd i szukał słów, które najlepiej wyraziłyby jego skruchę. Lisa Starr stała nieruchomo, ofiarując mu siebie, jak uosobienie determinacji i prostolinijności.

Nagle poczucie winy zastąpiła czysta sympatia i Joe Weiss po raz pierwszy w czasie tego spotkania wybuchnął szczerym, serdecznym śmiechem.

Przechytrzyła go, rozbroiła, wygrała z nim ta śliczna siedemnastolatka — i śmiał się, bo z jakiegoś powodu, dla niego samego zupełnie niejasnego, nie czuł się nawet w najmniejszym stopniu urażony. To chyba dlatego, że była taka czarująca. Dotychczas ani przez moment nie uważał, że jej przedsięwzięcie miało nawet najmniejszą szansę powodzenia. A teraz, ni stąd ni zowąd, wcale nie był taki pewien. Długie lata praktyki w banku nauczyły go, że pieniądze pożyczają się ludziom, nie zaś pomysłom. Ta mała osóbką potrafiła wzbudzić zaufanie zupełnie niezależnie od, poniekąd bardziej wymiernych i oczywistych, ocen proponowanej przez nią inwestycji.

— Liso Starr — powiedział — dostaniesz te pieniądze i pozwól, że jeszcze coś ci powiem, nie oczekując niczego w zamian: czeka cię naprawdę wielka kariera.

obby Stansfield wpatrywał się w odbicie swojej twarzy w lustrze z zadowoleniem. Słońce Florydy zrobiło dobrą robotę, pokrywając jego skórę równą, brązową opalenizną, nieco jaśniejszą jedynie wokół błyszczących, roześmianych oczu, otoczonych ledwie widocznymi zmarszczkami mimicznymi. Dzięki długiej praktyce Bobby wiedział, jak należy szybko ocenić swój wygląd. Zaczynał od samej góry. Piaskowego koloru włosy — lśniące, gęste, świadomie lekko zwichrzone; ich ułożenie dobrze pasowało do zamierzonego obrazu, jakim miało być połączenie cech chłopca i dojrzałego mężczyzny, czyli tego, co jego wyborcy tak lubili. Potrząsnął głową, pozwalając, by na czoło nad prawym okiem spadło mu jedno pasmo włosów, po czym odgarnął je niecierpliwym ruchem ręki. Nos, wiele lat temu złamany u nasady wskutek uderzenia o deskę surfingową, tworzył uderzający kontrast z resztą zdecydowanie doskonałej twarzy. Nie kończące się debaty Stansfieldów — polityczne i rodzinne — dotyczyły kwestii, czy poddać jego nos operacji plastycznej. Bobby, zarówno teraz, jak i setki razy wcześniej, w duchu dziękował Bogu, że werdykt rodzinny brzmiał: nie

operować! Właśnie taki nos był mu potrzebny. Stał się symbolem jego męstwa, dowodem na to, że Bobby Stansfield, wbrew wszelkim pozorom, nie był uosobieniem próżności. A usta? Zamknięte były nieco za wąskie, wywoływały wrażenie chłodu, jeśli nie skłonności do okrucieństwa. Otwarte — stanowiły doskonałą oprawę dla kształtnych, białych zębów. Policzki gładkie, szczęka kwadratowa, bez śladu zarostu, który wyborcy mogliby uznać za niedbałość. Wspaniale! Opakowanie wyglądało dobrze. Pozwolił sobie na pełen samozadowolenia uśmiech, coraz szerszy, w miarę jak widział jego pozytywny wpływ na wygląd twarzy.

— Jak wyglądam, Jimmy?

— Niezwykle podniecająco — zaśmiał się niski, krępy mężczyzna stojący u jego boku.

Niezależnie od żartu, Jimmy Baker obrzucił sylwetkę Stansfielda wzrokiem zawodowca. Granatowy, wytłaczany jedwabny krawat z matowym ukośnym purpurowym paskiem; standardowy garnitur z firmy „Brooks Brothers”, granatowy i niezbyt dobrze skrojony, żeby nie wywoływał wrażenia łagodności, która okazałaby się zabójcza; czarne mokasyny z miękkiej skóry. Wszystko jak trzeba. Kandydaci byli wiecznie na cenzurowanym i przepadali z dużo błahszych powodów niż nie dopięty suwak u spodni. W ich sytuacji nie można było sobie pozwolić na moment luzu.

Zza kulis obaj mężczyźni mogli obserwować scenę oraz trybuny, a co ważniejsze, mogli słyszeć i czuć narastające podekscytowanie zebranej w hotelowym holu publiczności. Pozbawione charakteru pomieszczenie, ozdobione w sposób typowy dla lotnisk i poczekalni na całym świecie, drżało od nerwowego oczekiwania trzech tysięcy kobiet i niewielu mężczyzn na spotkanie z człowiekiem oznaczającym dla nich przeznaczenie. Nad podium ktoś rozwiesił transparent, na którym wypisano CZŁOWIEK, KTÓREGO ZNACIE.

Na trybunie jakiś nieznany działacz partii usiłował zwrócić na siebie uwagę, przyjmując pozę osoby niosącej dobre wieści.

— A teraz, panie i panowie — obwieścił — zbliża się oto moment, na który wszyscy czekaliśmy. Z największą przyjemnością przedstawiam państwu człowieka, którego nie trzeba nikomu przedstawiać. Panie i panowie, oto ten, który — choć sam tego nie mówi — zostanie pewnego dnia prezydentem tych oto Stanów Zjednoczonych, senator Bobby Stansfield!

Usłyszawszy swoje nazwisko, Bobby wciągnął głęboko powietrze i rzucił się w morze hałasu, które wybuchło wokół niego. Nie patrząc na boki, starał się przyzwyczaić wzrok do oślepiającego światła

i dotrzeć do ustawionej na podium trybuny. Kiedy się już wreszcie na niej znalazł, mógł nawiązać kontakt z publicznością, rozpocząć rutynową grę pod tytułem „Kochajcie mnie”, tak ważną zarówno dla niego, jak i dla widzów. Jego uśmiech miał świadczyć o tym, że się nie zgadza, nisko pochylona głowa przekonywała o zawstydzeniu, ale w gruncie rzeczy wypełniała go ogromna radość. Radość ze słów, które słyszał, z tych górnolotnych pochwał, jakie wygłaszano na powitanie. Słyszał tego typu peany pochwalne tysiące razy w tysiącach różnych okropnych sal, ale nigdy nie miał dość. Jak niegdyś jego ojciec, tak i on teraz uwielbiał je. Stansfieldowie nie potrzebowali jedzenia, picia czy witamin jak inni śmiertelnicy; byli zasilani innego rodzaju paliwem. Tym, czego potrzebowali do życia, stało się uznanie; hałaśliwe, publiczne uwielbienie. Nie miało znaczenia, co mówiono ani kto to mówił. Zwroty i określenia były nieważne. Jak powietrza potrzebowali dowodów na to, że są obiektami uwielbienia, choćby w najwyższym stopniu nieudolnych i niewymyślnych.

Bobby uniósł lekko do góry dłoń, by powstrzymać falę entuzjastycznego poparcia. Wcale nie chodziło mu jednak, żeby gest ten potraktowano poważnie i nikt też tego tak nie odebrał. Aplauz trwał nadal, wzmocniony nowymi okrzykami i pozdrowieniami.

— Kochamy cię, Bobby!

— Jesteśmy z tobą, Bobby, przez całą drogę! Całą drogę do Białego Domu!

Cały ten czas senator uśmiechał się swoim nieśmiałym, chłopięcym uśmiechem, podgrzewając emocje żeńskiego audytorium. Nagłym ruchem głowy doprowadził do tego, że na czoło opadł mu kosmyk włosów, po czym szybkim gestem odgarnął go, wzbudzając falę okrzyków. Wpatrywał się błyszczącymi oczami w swoich wielbicieli, całą postawą dając im odczuć, że jest wzruszony, że bierze sobie do serca ich słowa, że do nich należy. I znowu uniósł dłoń, otworzył usta, jak gdyby próbując coś powiedzieć, zrezygnował i uśmiechnął się, i ponownie wstrząsnął głową. Mówił do nich, ale nie przemawiał. Językiem ciała sygnalizował, że jest oszołomiony spontanicznym, serdecznym przywitaniem. Oszołomiony i głęboko poruszony. „Jeszcze nigdy mnie aż tak nie witano — dawał im do zrozumienia. — Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy. Jesteście zupełnie wyjątkowi. Wyjątkowi ludzie i wyjątkowi przyjaciele. Razem możemy zdobyć chwałę — waszą i moją”.

Nadszedł właściwy moment, by asystenci przyszedli mu z pomocą. Z każdej strony sceny podnieśli się nieskazitelnie ubrani młodzi mężczyźni, gestykulując w stronę zebranych, prosząc i przekonując, by

pozwolili przejść do kolejnego punktu programu, to znaczy, by ich bohater po mistrzowsku rozegrał swoją partię. Przez parę długich sekund nie odzywał się — dzięki temu nastrój oczekiwania narastał. Aż z tyłu audytorium jakaś kobieta — tęga, jasnowłosa, koło pięćdziesiątki — zawołała:

— Kochamy cię, Bobby.

Tym razem zebrani mogli usłyszeć śmiech senatora; coś w rodzaju krótkiego, gardłowego, niepokojąco czarującego i niezwykle prawdziwego śmiechku, który robił wrażenie.

— Miło mi, dziękuję pani. — Wypowiadał sylaby krótko, z wyjątkiem ostatniej, którą nadmiernie przeciągnął. Jak arystokrata ze Starego Świata, dżentelmen z plantacji na Południu, z epoki Retta Butlera.

Jeszcze raz widownia dała upust swojemu uwielbieniu dla jego inteligencji, bystrości, błyskotliwości. On z pewnością byłby w stanie zjeść tych prymitywnych Rosjan na śniadanie, wykastrować międzynarodowych bankierów i spowodować, by Fidel Castro przeklął dzień, w którym matka go powiła.

Kiedy śmiech i oklaski w końcu ucichły, Bobby sprawiał wrażenie, jakby był onieśmielony czy lekko zaniepokojony, jak mały chłopiec porwany przez morze entuzjazmu publiczności. Poprawił zupełnie niepotrzebnie krawat i mocno uchwycił pulpity gestem, który świadczył, że będzie mu potrzebna pomoc i wsparcie. I osiągnął swój cel: w całej sali można było wyczuć oprócz uwielbienia także atmosferę poparcia i macierzyńskiej opiekuńczości. Zaczął głosem świadomie przyciszonym, pozostawiając sobie możliwość stopniowego wzmacniania efektu aż do końca, do momentu, kiedy doprowadzi swoich słuchaczy do wybuchu ekstatycznej radości końcowym wyznaniem, po którym ich opuści.

— Panie i panowie, sprawiliście, że czuję się tej nocy bardzo szczęśliwy... dzięki waszemu gorącemu powitaniu. Z głębi serca dziękuję. — Lekko skłaniając głowę, Bobby doskonale wczuł się w rolę, w atmosferę. Następne słowa pozytywnie wzmocniły przeświadczenie o autentyczności jego emocji.

— W Savannah można zawsze oczekiwać uprzejmości i dobrych manier — czasami wydaje mi się nawet, że to mieszkańcy Georgii jako pierwsi je wprowadzili — ale dziś mam wrażenie, że znalazłem się wśród bliskich przyjaciół. I jeśli mi wolno, tak właśnie będę się do was zwracał.

Jego głos stał się teraz mocniejszy, mówił znane na pamięć słowa, jakby odmawiał litanie.

— Wspaniałą rzeczą wśród przyjaciół jest to, że można z nimi

rozmawiać otwarcie, ponieważ wie się doskonale, że podzielają twoje poglądy i że są w stanie właściwie zrozumieć twoje słowa. Możemy się nie zgadzać w drobnych kwestiach, ale w gruncie rzeczy mam przeświadczenie, że w sprawach istotnych stoimy po tej samej stronie. Mógłbym wam podać listę tych prawd, które wy i ja podzielamy. Oczywistych prawd, w które wierzymy głęboko... ale które dezawuuują nasi wrogowie.

Bobby bardzo lubił następny fragment. W jakiś sposób podsumowywał wszystko, co dla niego było najważniejsze. Siła jego wiary rozjaśniała słowa, a z kolei jego słowa rozbudzały uczucia.

— Wierzymy w świętość rodziny... w wielkość naszej ukochanej ojczyzny. Wierzymy w Boga i w chrześcijańską moralność Biblii. Wierzymy, że musimy być silni, abyśmy mogli pozostać stróżami wolności. Wierzymy w jednostkę i jej niczym nie ograniczone prawa do działania w sposób najlepszy dla siebie i swoich bliskich. Kolejno wyliczał pozycje ze swojej ulubionej listy, podkreślając znaczenie każdej z nich odpowiednim gestem wyciągniętej ręki lub wybijając akcent palcem po pulpicie. Publiczność skupiona wokół wrzała powstrzymanym entuzjazmem, jako że odwoływał się do tych, „zystkich wartości, które wyznawali.

Działał w myśl zasady: najpierw określ strefę wzajemnych interesów, wspólnych poglądów, następnie wskaż wroga.

— Ale i wy, i ja wiemy, że niektórzy ludzie... Amerykanie... dzień i noc działają, by podważyć te instytucje i wartości, które są nam takie drogie. Są to ludzie wątpiący we wszystko, pesymiści, którzy nie pominą żadnej okazji, by wyśmiać i wykić nasz patriotyzm. Odrzucają nasz system obronny, wołając abyśmy byli bezbronni wobec zagrożeń z zewnątrz. Dążą do wyeliminowania religii z naszych szkół, do zabijania niewinnych, nie narodzonych dzieci i na każdym kroku zachęcają do perwersji i pornografii w imię uznawanych przez nich wartości. Udając, że wierzą w wolność, na każdym kroku usiłują odebrać nam nasze prawo do określania własnej przyszłości — budując rząd i odpersonalizowaną biurokrację, którą sami chcą kontrolować. My jednakże jesteśmy czujni. Wiemy o ich ambicjach. Rozumiemy plany Wielkiego Brata.

Ryk aplauzu zagłuszył słowa. W przerwie, która nastąpiła, Bobby poszukał wzrokiem Jimmy'ego stojącego gdzieś z brzegu. Nie wystarczała mu nawet najwspanialsza reakcja publiczności, pragnął pochwały od zawodowca.

Jimmy Baker natychmiast złapał jego spojrzenie i uniósł do góry kciuk. O ile to możliwe, znajdował się jeszcze wyżej niż w siódmym

niebie. Być może, przyczyniła się nieco do tego wypita przed obiadem whisky, ale właśnie taki sposób wspierania „kandydata” przez jego ludzi był najbardziej skuteczny. Przez moment, na samym początku, Jimmy zastanawiał się, czy Bobby Stansfield da radę przetrwać to dwudziestominutowe spotkanie, nie mówiąc nic oprócz słów podziękowania dla wyznającej mu miłość słuchaczki. Przeszłoby to do historii, zapisano by to w księgach rekordów jako najkrótsze przemówienie, bo składające się tylko ze słów: „miło mi, dziękuję pani”. Teraz jego umysł zawodowego organizatora kampanii interesowała szczególna siła pozyskiwania sympatii wyborców, jaką charakteryzował się Stansfield.

Jednocześnie rozglądał się po sali i spostrzegł koło wejścia ekipę telewizji NBC. Wspaniale, kręcili całą akcję, zapisując na taśmie entuzjazm, jaki jego chłopak potrafił wzbudzić. Przekonanie dziennikarzy, że wystąpienie senatora będzie rewelacyjnym wydarzeniem i powinni je zarejestrować, kosztowało go trochę trudu. Wydaje się jednak, że znaleźli potwierdzenie, o ile tylko reporter, którego telewizja przysłała, jest w stanie umiejętnie wykorzystać to, co się tu rozgrywa.

Przemowa zbliżała się do punktu kulminacyjnego i w sali narastały coraz silniej emocje, świadczące, że Bobby porwał swoich słuchaczy. Było to wirtuozowsko rozegrane i nagle zewsząd zabrzmiały salwy oklasków i okrzyki uznania.

Bobby zszedł z podium niemal zupełnie wykończony. Był mokry od potu i wyczerpany po nadmiernej koncentracji. — Wspaniale, Bobby. To było po prostu doskonałe. NBC nakręciła całość. Nigdy nie widziałem tak reagującej publiczności. Lepiej niż w Orlando!-

Bobby wyglądał, jakby słowa te działały na niego ożywczo. Wytrzeł dłonią spocone czoło. — Zrozumieli mnie, Jim. To moi ludzie — powiedział. — A dokąd jedziemy jutro?

Silne, penetrujące palce wbijały się bezlitośnie w krzyż Jo-Anne Duke i przez jej ciało przechodziły fale dotkliwego bólu — lodowatego, orzeźwiającego jak najczystsza farmaceutycznie kokaina.

— Och, Jane, kochanie, ale dzisiaj mnie męczysz — jęknęła głosem pełnym nagany, a jednocześnie podziwu.

Gibka, muskularna masażystka zignorowała tę uwagę. Wygniatała mięśnie gładkiego, nasmarowanego olejkiem ciała jakby grała na jakimś instrumencie — torturując je, pieszcząc i podporządkowując sobie — obojętna na wywoływane reakcje. Jej spokojny, cichy i pewny siebie głos komentował na bieżąco to, co robiła.

— A teraz poruszmy tę tkankę, wyzwolimy energię. Ożywimy tę tkankę tak, by pole grawitacyjne powodowało wzmocnienie ciała, a nie osłabienie.

— Z pewnością — mruknęła Jo-Anne, poddając się tym działaniom. — Mam wrażenie, jakbym tańczyła jakieś masochistyczne tango.

Jane nie roześmiała się: rolfing, masaż, który wykonywała, nie był dla niej śmieszny. Wydawał się raczej rodzajem religii, wyznania wiary, sposobem życia. Żartowanie z tego po prostu było nie na miejscu.

Jej prawy łokieć zastąpił palec jako instrument i masowała jeszcze silniej, karząc tym Jo-Anne za jej zbyt mały respekt dla genialnych pomysłów wielkiej doktor Idy Rolf. Wparła się mocno w śliskie, opalone plecy Jo-Anne i uśmiechnęła ponuro, kiedy z ust pacjentki wydobył się lekki okrzyk bólu.

— To tylko kwestia przystawiania. Ciało musi współdziałać z przyciąganiem ziemskim. My nazywamy to „gruntowaniem”. Kiedy system biologiczny stanie się stabilniejszy i bardziej uporządkowany, pani uczucia będą płynniejsze, bardziej niezależne.

Ostry, arystokratyczny głos przerwał ten psychologizujący bełkot.

— Chyba nie wierzysz w te bzdury?

Peter Duke miał już dość. Nie miał nic przeciwko przyglądaniu się, jak długonoga dziewczyna z tyłeczkiem jak marzenie masuje jego żonę na brzegu basenu, na świeżym powietrzu, ale nie widział powodu, dla którego miałby wysłuchiwać towarzyszących temu idiotyzmów. Potrząsnął kostkami lodu w wysokiej szklance i ponuro pociągnął łyk ponczu, czekając na reakcję na swoje słowa.

Jane wstrząsnęła głową, odrzucając do tyłu długie do ramion włosy. Nie odezwała się i sięgnęła po buteleczkę nawilżającego balsamu do ciała, by wylać sporą porcję na plecy pacjentki.

Leżąc na brzuchu Jo-Anne wycedziła leniwie: — Och, Peter, dlaczego zawsze, jeśli czegoś nie rozumiesz, musisz określać to jako „bzdurę”? Nie mógłbyś uznać tego po prostu za głupstwa, nonsens czy coś takiego?

Jo-Anne miała ochotę pokłócić się z nim. Taka kłótnia oczyszczała atmosferę, zupełnie jak przedwieczne burze, dzięki którym obniżała się upalna temperatura trudnego do zniesienia lata w Palm Beach. Czasem po takiej kłótni kochali się — gniewnie, zawzięcie, jakby karząc swoje ciała. Ostatnio zresztą były to jedyne okoliczności, w jakich dochodziło między nimi do zbliżenia.

— Są to bzdury, śmierdzące i powtarzane bez końca — tyle ci powiem. — Peter wstał. Jak rozpieszczone dziecko, którym ciągle jeszcze był, musiał powiedzieć ostatnie słowo. Następnie, odwracając się na pięcie, zniknął w ocienionym wnętrzu rozległego domu. Przez ramię rzucił jeszcze w ich kierunku strzałę partyjską: — Nie wiem, po co udajecie, bawicie się całym tym gadaniem, zamiast rzucić się na siebie, wy lesbijki. Bo przecież o to wam chodzi, nie?

Przytłumiony szum filtru w basenie był jedynym dźwiękiem, który zagłuszał martwą ciszę, jaka zapadła po tych brutalnych słowach. Przez chwilę obie kobiety milczały, zastanawiając się, jak najlepiej zareagować.

— Nie zwracaj na niego uwagi — powiedziała wreszcie Jo-Anne. — Przez cały dzień jest w paskudnym nastroju. Było to coś w rodzaju przeprosin, jak też zachęty do stworzenia żeńskiego sojuszu przeciwko mężczyznom w ogóle, a przede wszystkim przeciwko Peterowi.

Jane przyłączyła się z radością.

Usunęła łokieć, który czynił takie spustoszenie w kręgosłupie Jo-Anne, i rozłożonymi dłońmi zaczęła uprawiać szwedzki masaż. Stojąc na wysokości nabitych, nagich pośladków Jo-Anne, pochylała się, przebiegając dłońmi od ramion, wzdłuż kręgosłupa, aż po uda.

— Wydaje się nieco wrogo nastawiony — zgodziła się z Jo-Anne. — Ale ja się tym nie przejmuję. Ciągłe mnie to spotyka.

Nieprzerwanie oklepywała rytmicznymi, powolnymi uderzeniami plecy Jo-Anne, pozostawiając ślady na natłuszczonej skórze.

Jo-Anne jęknęła z zadowoleniem. Masaż niepostrzeżenie zmienił charakter. Wykonujące go dłonie nie były już agresywne; stały się kapryśne, pomysłowe. Jo-Anne odczuła to i poprosiła, żeby Jane w taki właśnie sposób masowała ją jeszcze.

— Nie jest pani za gorąco? — spytała z troską Jane, ciepłym i opiekuńczym głosem.

— Nie. Jest mi dobrze. Naprawdę... dobrze. — Jo-Anne cedziła słowa, poddając się cudownemu uczuciu. Właśnie to najbardziej lubiła. Być masowaną bezpośrednio na słońcu, którego ultrafioletowe i podczerwone promienie rozgrzewały i rozluźniały mięśnie i wzmacniały działanie masażu. Całe jej doskonale proporcjonalne ciało, wysmarowane olejkami, pokryte było drobnymi kropelkami potu, który ścierały mocne dłonie masażystki. Czasami długie, delikatne włosy Jane spadały na rozgrzaną skórę Jo-Anne, powodując lekki, przyjemny dreszczyk emocji. Jo-Anne falowała w rytm masażu, w cudownej harmonii z ruchami rąk Jane. Często w takiej sytuacji poddawała się wrażeniu, że jest w raju, że unosi się gdzieś w górze i stamtąd spogląda na swoje dotychczasowe życie.

Nie było łatwe. Pamiętała ponure ulice okropnego miasta. Najczęściej wspominała jednak temperaturę, nie głód. W Big Apple * było zawsze albo za gorąco, albo za zimno. W zimie wszystko zamarzało, nawet nieustannie biegające karaluchy poruszały się wolniej. W czasie parnego lata ludzkie ciała zachowywały się jak gąbka, były pozbawione energii i zwiotczały, stale dokuczało pragnienie, ale wszystko, co się wypilo, natychmiast wyparowywało. Niewiele miała wtedy pieniędzy, ledwie starczało na jedzenie, ale Jo-Anne zawsze potrafiła je znaleźć, od najwcześniejszych lat zdając sobie sprawę, że pomocne w tym może być jej wyjątkowo urodziwe ciało.

I tak też właśnie było. Pierwszy był jej ojczym. Pijany i podniecony, wziął ją brutalnie, na stojąco, pod ścianą w saloniku. Ale nie przeżyła tego tak mocno, jak wszyscy wokół zakładali, że powinna, chociaż ciągle jeszcze doskonale pamiętała tę scenę. Na początku trochę bolało, ale nie aż tak bardzo, jak przewidywały jej rówieśniczki, dwunastoletnie koleżanki ulicznych zabaw. A kiedy już znalazł się w niej, miała uczucie

* Big Apple — potoczna nazwa Nowego Jorku, którego teren administracyjny przypomina kształtem duże jabłko.

lekkiego łachotania w środku — dość przyjemne, ale nie robiło szczególnego wrażenia. Głównym problemem było utrzymanie równowagi przez ojczyma, czemu nie sprzyjały ani pozycja, w jakiej się znajdowali, ani wypity przez niego alkohol. Jo-Anne pamięta, że choć płakała i protestowała, bo wydawało się jej, że sytuacja tego wymaga, ukradkiem podpirała go, żeby nie upadł. Najgorszy był zapach jego oddechu. A najwspanialszy w tym wszystkim stał się moment, kiedy weszła matka i spostrzegła ich razem. Potem ojczym już nigdy nie próbował się do niej zalecać. Przez tydzień czy dwa była nawet trochę rozczarowana. Czyżby się nie sprawdziła? Czy nie było mu z nią dobrze?

A później cała ta sprawa przestała ją interesować. Mieszkając w getcie, nie można sobie pozwalać na luksus przeżywania jakichś emocjonalnych dramatów. Trzeba walczyć o przeżycie i — jak w przypadku Jo-Anne — o wypłynięcie. I to właśnie było zagadką. Skąd u niej tyle ambicji? Z pewnością nie wpoił jej tego pijany ojczym, a tym bardziej zaniedbana matka czy dwaj starsi bracia, którym pozwalała czasem na trochę pieszczot w zamian za słodycze i kosmetyki. A potem, mając czternaście lat, żyła już całkiem dorosłym życiem.

Jo-Anne z łatwością została prostytutką i udało jej się wybić w tej profesji. Z dna na sam szczyt, w ciągu roku. Przez cały czas nie angażując się emocjonalnie, zachowała psychiczny dystans do tego, co robiła. I właściwie, jak sobie uświadomiła, to jej nastawienie do życia nigdy się nie zmieniło. Teraz także działała tak, jakby miała automatycznego pilota regulującego jej emocje i czasami nawet zastanawiała się nad tym, co inni rozumieli pod pojęciem świadomości. Dla niej nigdy nie stanowiło to problemu.

Ktoś skontaktował ją z właścicielką domu publicznego na Upper East Side, która najpierw przez pewien czas utrzymywała i szkoliła dziewczynę, aż zrobiła z niej call-girl dla dobrze sytuowanych biznesmenów. Jo-Anne była zdolną uczennicą. Mając piętnaście lat, doskonale sobie radziła i kiedy zyski szybko rosły, coraz łatwiej przychodziło jej planowanie przyszłości — w ładnym jednopokojowym mieszkanku na Madison. Wybierała coraz lepszych klientów, pozbyła się akcentu, miała coraz wytworniejszy gust.

Mniej więcej wtedy, w okresie między mieszkankiem na Madison Avenue a apartamentem przy Piątej Alei, z widokiem na park, Jo-Anne odkryła dziewczęta. Pomógł jej w tym pewien członek Racquet Club, który zażyczył sobie dwóch panienek. Właśnie wtedy ujawniła się jej skłonność do kobiet, zapachu ich ciała, delikatności skóry, ciepłych ramion. Wychodząc z tamtego spotkania, zaprosiła smukłą, żydowską

dziewczynę do siebie i po raz pierwszy uprawiała miłość, przeżywając prawdziwą ekstazę nie tylko fizycznie, ale i uczuciowo. Przez dwa lata była kochanką Rachel. W ciągu dnia pracowały razem, zarabiając pieniądze, a noce spędzały ze sobą.

Ale ambicja pchała Jo-Anne coraz wyżej. Pragnęła zostać modelką, wierząc, że byłoby to przepustką do innego świata. Z modelkami mężczyźni się żenią; rzadko jednak poślubiają kobiety, o których wiadomo, że są prostytutkami. Każdego popołudnia, oglądając w lustrach hotelowych korytarzy swoje zgrabne ciało, które sprzedawała za stosunkowo nieduże pieniądze, przysięgała sobie, że pewnego dnia zacznie nim zarabiać grube tysiące. Od mężczyzn w średnim wieku brała sto dolarów. Milion dostałaby za skuteczną reklamę kosmetyków jakiegoś wielkiego przedsiębiorstwa, takiego jak Estée Lauder.

I zrealizowała swoje marzenia. Obecnie wielki, położony nad brzegiem oceanu dom Estée Lauder był w bliskim sąsiedztwie jej posiadłości.

Udało się jej dostać do świata modelek. Włożyła w to dużo wysiłku. Bardzo starannie się ubierała, ze wszystkich możliwych źródeł zdobywała wiadomości o etykiecie, uczyła się dobrych manier, odżywiała się odpowiednio, dużo spała, fanatycznie ćwiczyła, aż w końcu wyglądała nie gorzej od najlepszych dziewczyn z okładek „Vogue” i „Cosmo”. Wtedy pojawił się problem wejścia do ich środowiska. Przepustką stała się Pauline Parker. Będąc czymś w rodzaju instytucji lansującej modelki, Pauline Parker bezwstydnie wykorzystywała swoją pozycję szefowej w prestiżowej Agencji Parkera, by zaspokoić swoją gorącą namiętność do pięknych kobiet. Niska i krępa, zazwyczaj odrzucała wszystkie kandydatki ze względu na ich wygląd, ale już w czasie wstępnego spotkania z Jo-Anne siedziała zaskoczona za swym dużym biurkiem i bez oporu dała się owinać wokół palca. Zepsuta wskutek nadmiaru możliwości, Pauline nie spotkała jak dotąd wielu dziewcząt, którym się coś takiego udało. Natychmiast wpisała tę rewelacyjnie wyglądającą dziewczynę do swych rejestrów i — w zamian za zgodę na porzucenie Rachel i przeniesienie się do jej mieszkania w roli stałej partnerki — Pauline zobowiązała się zrobić z Jo-Anne wielką gwiazdę.

Reszta była łatwa. Modelka u szczytu sławy mogła spotykać, kogo chciała. Pozostawała kwestia wyboru właściwego kandydata i unikania głupstw, takich jak na przykład zakochanie się czy pójście na jakiś tani, męski chwyt.

Peter Duke z pewnością był uczciwy i należał do gatunku mężczyzn łatwowiernych. W jego rodzinie nie było nikogo zadziornego od czasu starego Tedda Duke'a, który kupił ugór, gdzie

wkrótce odkryto znaczną część luizjańskich zasobów ropy naftowej. Obrzydliwie bogaty, rozpieszczony i samowolny, Peter Duke zakochał się bezgranicznie w przyjaciółce Pauliny Parker i po kilku tygodniach, w czasie których odkrył istotę upojenia seksualnego, oświadczył się jej.

W obawie przed nadmierną dociekliwością bardziej podejrzliwych członków jego rodu, Jo-Anne z miejsca przyjęła te spontaniczne oświadczenia. Nakłoniła Petera do wyjazdu do Dominikany i poślubiła go tam następnego dnia, na plaży, przy dźwiękach hałaśliwej orkiestry ludowej i w obecności dwóch generałów, z których jeden pracował dla „Gulf and Western”, a drugi dla CIA.

Wścibski palec, zjeżdżając wzdłuż śliskich pleców, najwyraźniej minął swój cel, dotarł do przestrzeni między pośladkami i zatrzymał się niepewnie na skraju strefy erogennej, gwałtownie przerywając zadumę Jo-Anne i przywracając ją do znacznie bardziej interesującej rzeczywistości.

— Zatopiła się pani w myślach? — przecięła ciszę Jane. W jej głosie zabrzmiało coś przypominającego ledwie wyczuwalną nagane.

— Po prostu śniłam na jawie. Ale już wróciłam z krainy marzeń.

— Czasami rolfing powoduje, że wspomina się swoje życie. To jakby zachęta do tego, by odważyć się pamiętać. Delikatna insynuacja, że Jo-Anne mogła potrzebować odwagi, by wspominać, była strzałem w ciemno, ale Jane miała dobrze rozwiniętą intuicję. Masażystce po jakimś czasie łatwo to osiągnąć. Musi bowiem dobrze znać ciało ludzkie, a od tego już tylko mały krok, by poznać psychikę.

Jeszcze raz palce niepewnym gestem posunęły się dalej niż powinny. Jo-Anne nie była pewna, czy to tylko przypadkowa omyłka.

— Mmm. To całkiem przyjemne — mruknęła zachęcająco.

Ta uwaga skłoniła Jane do zastanowienia. Po co to robi? I czego może chcieć pani Duke?

Poczuła się lekko zirytowana, kiedy klientka zamyśliła się tak bardzo, że zapomniała o jej obecności. Palce Jane miały przywołać ją z powrotem. Ale właściwie dlaczego wybrała taki sposób zwrócenia na siebie uwagi? Jane już od blisko trzech lat masowała mieszkanki Palm Beach i zazwyczaj nieźle wyczuwała, czego się od niej wymaga. Masaż to terapia rozluźniająca, ale bywają w nim także elementy zmysłowości. Niektóre klientki wołały je ignorować; inne lubiły odczuwać je delikatnie, była jednak mała grupka tych, które chciały, by masaż pobudzał i rozgrzewał, otwarcie przyprowadzając je o zmysłowe przeżycia.

Nie należało tylko się pomylić. Z niektórymi swoimi klientkami

Jane nie obawiała się błędu. W domu Duke'ów była dopiero po raz drugi, ale nieomylnie wyczuwała, że Jo-Anne należało zaliczyć do tej ostatniej kategorii. Nie ze względu na uszczypliwą uwagę jej męża i nawet nie dlatego, że tak entuzjastycznie zareagowała na rzekomo przypadkowe dotknięcia. Było jeszcze coś innego, trudnego do określenia, ale instynktownie wyczuwalnego. Jakaś aura otaczająca kobietę, która lubi kobiety.

— Czy pani mąż fantazjuje czasem na temat kobiet robiących to ze sobą? Wielu mężczyzn tak robi.

Czas, jaki upłynął od słów Petera Duke'a, wydawał się bez znaczenia. Jo-Anne zrozumiała: Jane była chętna. Wkrótce dojdą do porozumienia. Wcale nie chciała znać odpowiedzi na swe pytanie, miał to być tylko sygnał, że gotowa jest rozmawiać na ten temat. Stara sztuczka. Rozmowa tak często bywa wstępem do działania. Ale dla Jo-Anne pytanie samo w sobie było interesujące. Czego chciał jej mąż?

Na początku, w Big Apple, wydawał się zupełnie nieskomplikowany. Był takim biednym, małym rozpieszczonym chłopcem. Opalony i przystojny, szalenie pobudliwy, łaknący wódki, bujnego życia, mocno stojący obiema nogami na ziemi. Jak wszyscy z jego środowiska leniwy, zepsuty, zakochany w swojej matce i ostro walczący z ojcem, do którego był tak szalenie podobny. Krótko mówiąc, typowy przedstawiciel swojej grupy, a Jo-Anne dokładnie przestudiowała tę kategorię ludzi. Nie było nic, czego by o nim nie wiedziała, poczynając od utajonych skłonności homoseksualnych, po niechęć do mężczyzn noszących białe buty i biżuterię. W tamtych latach po prostu uwielbiał uprawiać miłość, choć nie miał zielonego pojęcia, jak to należy robić, i nigdy nawet nie próbował, jak długo był trzeźwy. Ona zaś czuła się dobrze przygotowana, by udzielać mu lekcji, i to go zafascynowało.

Póki nie zdobyła świadectwa ślubu, a tym samym przepustki do innego świata, starała się zachowywać nienagannie. Żadnych zabawnych wyskoków, które mogłyby urazić arystokratyczną wrażliwość małżonka. Później, kiedy atrakcyjność nowej zabawki powoli malała i pojawiła się nuda, przekleństwo tej klasy, Jo-Anne zaczęła wprowadzać innowacje. W tamtych dniach z pewnością lubił obserwować ją z dziewczynami i nie musiał fantazjować na ten temat — zdarzało się to naprawdę. Ale teraz? Trudno powiedzieć.

Jedno było pewne: nie należał już do niej. Przez ostatni rok czy dwa lata już tylko kłócili się zażarcie. I tylko wtedy dochodziło jeszcze między nimi do zbliżenia, a dwukrotnie zdarzyły się i rękoczynny.

Dla Jo-Anne nie było w tym nic niezwykłego. Nigdy nie wierzyła

w takie burżuazyjne koncepcje jak szczęście małżeńskie, a z doświadczenia wiedziała, że niepokalani rycerze bez trudu umieli przemienić się w nadęte potwory lub jeszcze gorzej. Nie, Peter Duke spełnił to, czego oczekiwała, i za to będzie mu zawsze wdzięczna. Ożenił się z nią, dał jej nazwisko. Czy cokolwiek innego mogło mieć jakieś znaczenie? Duke'owie byli bogaci. Bardzo bogaci i ich bogactwu nic nie zagrażało. Dawno już przestali robić majątek tylko na ropie i obecnie lokowali pieniądze wszędzie — przeniknęli tkanę Ameryki; mieli ziemię w Teksasie, byli w stanie zmieniać notowania giełdy, posiadali długoterminowe obligacje skarbowe i biurowce na Manhattanie. Udziały Duke'ów w samym General Motors mogłyby pokryć deficyt średniego rozmiaru republiki bananowej, a posiadłość w Palm Beach, rozciągająca się od oceanu aż po jezioro na południowym krańcu wyspy, poniżej Worth Avenue, musiała być warta co najmniej dziesięć milionów. Już samo to wyglądało niezłe, gdyby kiedyś doszło do rozwodu. Nie, żeby Jo-Anne rozważała taką ewentualność. Niełatwo byłoby podliczyć Petera Duke'a. Bogatszych od niego Amerykanów można policzyć na palcach obu rąk, a i to często okazywało się jedynie głoszoną o nich fumą.

Jo-Anne była więc ostrożna. W społeczności Palm Beach, w której Duke'owie mieli ugruntowaną pozycję gwiazd, nie wypadało się zabawiać — przynajmniej z mężczyznami. To jedyna rzecz, jakiej amerykańska arystokracja nie mogła znieść — myśl o tym, że żona mogła być z kimś innym w łóżku. Europejczycy nie mają takich uprzedzeń. Dla nich młody kochanek i dyskrecja były często łatwiejsze do zaakceptowania. Odciażyły mężów, starzejących się i odczuwających coraz mniej pożądania.

A w Palm Beach, jeśli chciało się zachować swoją pozycję i mieć do czynienia z naprawdę dużymi pieniędzmi, nie romansowało się z nauczycielami tenisa. Romansowanie w swoim środowisku było trochę mniej niebezpieczne, jeśli hołdowało się zasadzie bliskich koleżeńskich stosunków, niemal bliższych niż więzy krwi. Mężczyźnie, któremu z przyjemnością pożyczłoby się kije do golfa, można było ewentualnie wybaczyć, jeśli pożyczyl sobie czyjąś żonę. Mimo to ryzykowanie miliardów dolarów nie miało sensu. Pozostawał jeden problem: co robić z kipiącymi hormonami, z tak ogromną potrzebą zaspokojenia, której nie dawało się ani stłumić, ani zmniejszyć, ani też nie chciało się z niej zrezygnować.

Jo-Anne znalazła własne rozwiązanie tego problemu, które jak dotąd było skuteczne: kobiety. Zaspokajała swoje pragnienia w napuszonej atmosferze gal dobroczynnych Palm Beach, w spokojnym

i dusznym otoczeniu Bath and Tennis Club, w elegancko urządzonych salonach i sypialniach wykwintnych jachtów oceanicznych. Znudzone, nie mające zajęcia, zanedbywane przez mężów żony najbogatszych ludzi, nie odważające się na ryzyko rozwodu, jakie pociągały za sobą stosunki heteroseksualne, poddawały się urokowi Jo-Anne.

Czy Peter wiedział? Jo-Anne często zastanawiała się nad tym. Jeśli tak, przymykał na to oko. Zapewne — jak sugerowała masażystka, nadal jeszcze ekscytowało go wyobrażenie żony z innymi dziewczynami. Z pewnością ostatnia uwaga to właśnie miała w podtekście. A zresztą, milcząc na ten temat, sankcjonował taką formę jej rozrywki. Nic innego nie miało znaczenia.

A może jeszcze coś się liczyło?

W elektryzujących palcach Jane dawało się wyczuć sygnały popłochu. Głaszcząc, przebiegając delikatnie do góry i na dół wzdłuż pleców klientki, palce dziewczyny naciskały znacznie lżej, masując raczej skórę niż mięśnie.

Paznokcie dotykały delikatnie ciała Jo-Anne, przesuając się ustawicznie coraz niżej, ku pośladkom.

Powoli Jo-Anne zaczęła reagować na nowe znaczenie rytmicznych ruchów, wychodzić naprzeciw rękami Jane. W końcu oba ciała przemówiły do siebie bezpośrednio. Dalsze słowa stały się niepotrzebne.

Pełen szacunku głos Murzyna przerwał narastające napięcie.

— Pan Duke polecił mi powiedzieć, że spóźni się pani na przyjęcie. — Stojąc w pobliżu głowy swojej pani, ubrany na biało służący, pozornie obojętny wobec jej nagości, przekazał tę informację w sposób absolutnie obojętny.

Wyrwana z narastających emocji Jo-Anne otwarcie zakląła. W miarę jak opadało podniecenie, jego miejsce zajmowała irytacja.

Pieprzę ich wszystkich: Petera, Jane, czarną służbę, cały świat!

Płynnym, falującym ruchem zsunęła się ze stołu do masowania, wyrwała biały szlafrok frotte z rąk służącego i ruszyła, potykając się, w kierunku domu. Bez uśmiechu rzuciła przez ramię: — Innym razem, Jane, dobrze?

Zimny marmur pod stopami ostudził nieco jej nagły przypływ złego humoru. W domu było chłodno, nie dochodziło bezlitosne światło słońca, powietrze poruszało się dzięki ośmiu zawieszonym pod sufitem wiatrakom. Jo-Anne najbardziej z całego wspaniałego domu lubiła właśnie ten pokój: głębokie, wygodne sofy, blisko pięciocentymetrowej grubości szklane stoliki i wielkie wazony pełne białych gardenii. Na białych ścianach wisiały stonowane w kolorach obrazy. Jackson

Pollock, Rothko, de Kooning — prace najlepszych malarzy zaliczanych do ruchu Abstrakcyjnych Ekspresjonistów, wybrane przez nią osobiście ze słynnej kolekcji Duke'ów w Houston. Nie było na całym świecie takiego dyrektora muzeum, który nie oddałby z radością swej duszy, by zdobyć jedną dziesiątą tych obrazów zgromadzonych w jej

salonie. Kurator wystawy w Houston miał łzy w oczach, gdy Jo-Anne je zabierała, przebiegając po wysokich, dobrze klimatyzowanych pokojach z pełnomocnictwem w garści. Przyciskała do piersi dziewczęta Toma Wesselmana, pod pachą trzymając obrazy Allena Jonesa i Manolo Blahnika. Bezbłędnie wybierała najważniejsze płótna — takie, których nie można było niczym zastąpić, niezależnie od tego, jakimi dysponowało się pieniędzmi. A teraz otaczał ją efekt tamtej wyprawy i obrazy istniały już tylko po to, by Jo-Anne mogła się nimi cieszyć, na zawsze niedostępne dla ciekawskich oczu tłumu Tekszańczyków.

Usiadła na miękkiej sofie i przeciągnęła się z zadowoleniem. Przeszła daleką drogę od głodnych, brudnych ulic. Całą zachodnią ścianę pokoju zajmowały elektrycznie rozsuwane oszklone drzwi, których przyciemnione szyby chroniły przed bezlitosnym słońcem. Były na wpół otwarte i Jo-Anne widziała przez nie duży, blisko dwudziestometrowy basen z osobną przebieralnią, zielone trawniki, gładkie jak filc na stole do bilardu, owalne rzeźby z brązu Henry'ego Moore'a poustawiane na trawie, podobne do wygładzonych kamieni morskich wyrzuconych na piaszczystą plażę.

Przy basenie Jane składała swój stół do masażu niczym koczujący Arab, który składa namiot przed wyruszeniem w dalszą drogę, pochylając się tak, że linia jej pleców przypominała krzywizny na rysunkach Modiglianiego.

Jo-Anne westchnęła z aprobatą. Podobało się jej to wszystko. Obrazy, Jane, krajobraz, życie, jakie sobie wywalczyła. Nikt już jej tego nie zabierze, za żadne skarby. Przysięgła sobie, że żadna żywa siła nie byłaby w stanie jej tego odebrać. Jeżeli miała jeszcze jakiś problem, to raczej związany z tym, co więcej można by osiągnąć.

Zadowolenie się tym, co już miała, było równie pasjonujące jak słuchanie rozważań męża na temat prawdopodobnych zmian stopy procentowej. To prawda, że od czasu do czasu wprowadzała element pewnego ryzyka w monotonię życia, ale w porównaniu do batalii o przetrwanie, jaką toczyła na ulicach Big Apple, było to niemal nieodczuwalne.

W Palm Beach najżywsze emocje budziła walka o pozycję w towarzystwie. Przynajmniej w ten sposób można było kogoś zranić. Oczywiście nie krwawili w sposób widoczny, ale celność strzały można było ocenić po ilości łez, jakie wylewali. W ciągu jednego popołudnia Jo-Anne opanowała zasady obowiązujące w tej grze i obecnie była

mistrzynią. Sztuczka polegała na tym, aby wspinać się i kopać tych wszystkich, którzy znajdowali się na niższych szczeblach towarzyskiej drabiny. Tym, którzy byli o kilka szczebli niżej, można było podać pomocną dłoń, jeśli służyło to zepchnięciu niżej tych, którzy aspirowali do zajęcia twojej własnej pozycji. Kiedy już osiągnęło się swój cel, wczorajsi sojusznicy szybko stawali się wrogami, ponieważ z całych sił pragnęli cię zepchnąć. Im wyżej dotarłeś, tym trudniej było wdrapywać się i tym bardziej się tego pragnęło. Ta wspinaczka stawała się podobna do życia. Peter i Jo-Anne Duke byli już, oczywiście, na szczeblach niedostępnych dla innych, kiedy pod wpływem Jo-Anne przystąpili do tej gry.

Gdy już się wstąpiło w szranki, trzeba było walczyć; odważnie, wykorzystując spryt, różne brudne sztuczki i znaczne sumy pieniędzy, ignorując koszty zarówno materialne, jak i emocjonalne, póki nie osiągnęło się samego szczytu. A na samym szczycie, wysoko ponad chmurami, po prawicy Boga Najwyższego, siedziała Marjorie du Pont Donahue. Królowa Palm Beach — ta, której miejsce chciała zająć Jo-Anne Duke.

Westchnęła głęboko i ciaśniej otuliła się szlafrokiem. Ta różowa, stara ropucha, z żyłakami jak mapa plastyczna Europy, charakterem przypominająca jadowitą pajęczycę; Marjorie du Pont Donahue, arogantka z fortuną, przy której nawet majątek Duke'ów wydawał się mały; ten obciążony wysuszoną skórą worek kości, którego rzucone mimochodem uwagi potrafiły zbić z nóg i na długie lata unieszczęśliwić kogoś wspinającego się po owej drabinie towarzyskiej.

Nikt nie wiedział, dlaczego to właśnie ona królowała w Palm Beach ani jak zdobyła tę pozycję. Wszyscy uczestnicy walki zdawali sobie jednak sprawę z tego, że była królową, jedyną królową, i wszyscy chylili przed nią czoło. Liczyli się z władczynią tak dalece, że budzili się z myślą o niej i rozważając jej słowa, zasypiali. W czasie pomiędzy świtem a zmierzchem marzyli o tym, by na ich srebrnej tacy pojawiło się zaproszenie na obiad u Marjorie, aby usłyszeć jej ochrypły głos w swym bezprzewodowym telefonie, lub poczuć szorstki dotyk jej pomarszczonej dłoni.

Jo-Anne dała się wciągnąć w pajęczynę. Gra o pozycję przestała być dla niej absurdem, stała się natomiast pochłaniającym uwagę przeżyciem. Jak ryba w wodach Palm Beach, po pewnym czasie przebywania tu człowiek obojętniał na wydarzenia rozgrywające się w świecie zewnętrznym. Jo-Anne czuła się szczęśliwa, że należała do tej społeczności, póki to ona polowała, a nie na nią polowano. Cieszyła się, że miała język ostrzejszy od innych, że jej ukąszenia były bardziej

bolesne niż innych mieszkańców tego akwarium. Jak dotąd tak właśnie było.

Tej nocy czekała ją kolejna runda. Wiktoriański piknik na rzecz planowania rodziny. Na myśl o tym Jo-Anne nawet nie usiłowała powstrzymać uśmiechu. Tańce dobroczynne były same w sobie czymś zabawnym, ale na rzecz planowania rodziny? Z pewnych względów uważała, że powinna zostać mianowana honorową przewodniczącą. Jako prostytutkę obowiązywały ją dwa zakazy: zajścia w ciążę i złapania choroby wenerycznej. Oba fakty ograniczały możliwość zarobkowania. Jo-Anne wzdrygnęła się na myśl o tym, z iloma mężczyznami miała stosunek — z tysiącem, dwoma tysiącami? Z żadnym nie zaszła w ciążę. To się nazywa planowanie rodziny! Należał się jej za to medal. Zapewne mogłaby złożyć specjalne oświadczenie: „Panie i Panowie, proszę o uwagę! Jo-Anne Duke miała więcej partnerów w życiu seksualnym, nie zachodząc w ciążę, niż wy zjedliście w swoim życiu obiadów. Organizacja Planowania Rodziny pragnie publicznie uhonorować jej osiągnięcia poprzez...”

Jo-Anne zaśmiała się głośno z własnych dziwacznych myśli. O rany, ale by była historia! Przez lata ciężko pracowała, żeby zatrzeć wszelkie ślady swojej przeszłości i doskonale się jej to udało. Żadna plotka nie trafiła na niezwykle podatną glebę Palm Beach i Jo-Anne modliła się, by dalej tak było. Miała przeświadczenie, że nie ciążyły na niej żadne podejrzenia. Nazwisko i stosunki, jakie wyrobili sobie Duke'owie, były tak potężne, że można by bez obawy wejść do piekła.

Jo-Anne z zadowoleniem przyglądała się obrazowi de Kooninga. Czemu ta stojąca obok roweru dziewczyna o dużym tyłku tak się uśmiecha? Wygląda na cholernie zadowoloną z siebie. Czyżby chwilę przedtem oddała się bankierowi i za otrzymane od niego pieniądze kupiła sobie właśnie ten rower? Mała, ograniczona kretyńska, myślała Jo-Anne. A co było jej rowerem? Smukły pełnomorski jacht, kołyszący się na wodach Lake Worth, tuż za żywopłotem z fikusów? Czy błękitny odrzutowiec, błyszczący w słońcu na wydzielonym terenie Międzynarodowego Portu Lotniczego w Palm Beach? A może to był po prostu jej niezwykle przystojny mąż — mający metr osiemdziesiąt parę wzrostu oraz pięćdziesięcioletnie mięśnie z nieznaczną ilością krwi w wypełnionych wódką żyłach?

Psiakrew! Myśl o Peterze zepsuła jej dobry nastrój. Naprawdę ostatnio stał się nie do wytrzymania — brutalny i obojętny, jakby zupełnie zanikło jego dawne, budzące zaufanie poczucie humoru. Zapewne z powodu nadmiernego picia. W „Palm Beach Life” pisali, że alkohol powoduje stany podenerwowania.

Z pewnością nie wynikało to przecież z braku zaspokojenia seksualnego. Nie było tajemnicą, że Peter rznął wszystko, co się tylko ruszało, a nawet według Jo-Anne, jedną lub dwie takie panie, którym trudno było się ruszać. To nigdy nie stanowiło problemu, często było irytujące, ale tylko tyle. Do diabła z tym! Potrzebowała drinka, żeby przetrzymać ten wieczór.

Nie musiała głośno wołać. Nie zadawała sobie nawet trudu, żeby rozejrzeć się wokół. Z pewnością w pobliżu jest jakiś służący. Byłoby dobrze, gdyby to był Caesar. Robił dobre caiparinho.

— Czy ktoś mógłby mi zrobić caiparinho!

Po chwili siedziała już ze szklaneczką w ręce. Czasami wołała, żeby drink był przyrządzany na tequili, ale dziś była zadowolona, że zrobiono go na białym rumie. Błyszczące, zielone kawałeczki limonki pływały między kostkami lodu. Jo-Anne pociągnęła duży łyk tego gorzko-słodkiego napoju. Brazylijczycy nazywali go „wiejską dziewczyną”. Ha, lubiła smak wiejskich dziewczyn, brazylijskich czy innych. Czując, jak rozgrzewa ją mocny alkohol, wzięła głęboki oddech, zmobilizowała się, wstała i poszła w kierunku marmurowych schodów.

sypialni na pierwszym piętrze gniewne kolory abstrakcyjnych ekspresjonistów pozostawały już tylko wspomnieniem. Tu wszystko było spokojne i pastelowe — delikatne obrazy Renoira, Maneta, Pissarra. Olbrzymie poczwórne łoże dominowało w pokoju, zachęcając rozmiarami do egzotycznej akrobatyki, pozwalając także na poczucie zupełnego odizolowania od partnera. Ostatnio właśnie to stało się najistotniejsze.

Jo-Anne rozejrzała się dokoła. Peter musiał gdzieś tu być. W swojej ubieralni czy na werandzie, z której rozciągał się widok na Lake Worth i leżący za nim ląd?

Usłyszała trzask odkładanej słuchawki.

— Jesteś, w samą porę. Samochody wyruszają o szóstej trzydzieści. Też sobie wybrałaś porę, żeby umawiać się na masaż. — Agresywny, napastliwy głos dochodził z zewnątrz przez otwarte okno.

— Och, odpieprz się, Peter. Nie awanturuj się! Któż u diabła, wybierałby się na to przedziwne przyjęcie przed ósmą? Pojeździć na karuzeli i dać sobie wróżyć z ręki mogę gdzie indziej. A kiedy mam ochotę znać swoją fortunę, to dzwonię do księgowego.

Jo-Anne wyszła przez otwarte drzwi na balkon. Peter był już ubrany do wyjścia, w standardowym wieczorowym stroju obowiązującym w Palm Beach. Dwurzędowa, granatowa marynarka z firmy „Kilgour,

French and Stanbury", znaczek Everglades Club; jedwabny krawat londyńskiej firmy „Turnbull and Asser", błękitny w drobne białe groszki; mokasyny, noszone na boso stopy; ciemnoszare, idealnie wyprasowane spodnie. Opalona twarz, wybrylantynowane włosy, lekko siwiejące na skroniach, i subtelny zapach wytwornej wody koloń-skiej tworzyły razem obraz plutokratycznej doskonałości.

Wyglądał wspaniale. Szkoda tylko, że pod wysokim sklepieniem gmachu muzeum Flaglera będzie ponad dwustu równie wspaniałych, identycznych mężczyzn. W Palm Beach nie było takich, którzy odważyliby się naruszyć obowiązującą normę, a zdarzało się, że ludzi skazywano na śmierć towarzyską za przekroczenie nie większe niż włożenie białych butów czy koszulki ze sztucznego włókna.

— Możesz w to wierzyć lub nie — odwarknął Peter — ale choć i ja nie jestem wielbicielem karuzel, umówiłem się, że spotkamy się z Marjorie i Stansfieldami o siódmej. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że dotrzymanie słowa nie należy do rzeczy, których nauczono cię w domu. Jednakże ja zostałem wychowany w przeświadczeniu, że należy dotrzymywać umowy.

Łobuz, pomyślała Jo-Anne. To cios poniżej pasa. To niepodobne do Petera, żeby wypominał jej pochodzenie. Coś musiało się za tym kryć.

Odbijanie piłeczki było jednak grą, w której nie miała sobie równych. Tego z pewnością nauczyła się od swojej matki. Podjęła więc wyzwanie.

— Szczerze mówiąc, jestem zdziwiona, iż masz czelność mieszać w to swoją matkę. Wszyscy mówią, że ta stara pijaczka ledwie pamięta twoje imię i że wychowały cię te twoje angielskie niańki. Jediną rzeczą, której mogłeś się od niej nauczyć, jest nadużywanie alkoholu.

Peter zerwał się na równe nogi. Zacisnął dłonie, na twarz wypłynął mu krwisty rumieniec. Stał, trzęsąc się z wściekłości i nienawiści.

Jo-Anne przemknęło przez myśl, że posunęła się za daleko. Pamiętała stare arabskie powiedzenie, że obrażając matkę wroga, zawsze można spodziewać się silnej reakcji, ale nie przypuszczała, że zirytuje go aż tak.

— Ty przybłędo! — wydusił w końcu z siebie, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. — Zabiję cię za to. Słyszysz? Zabiję. — Podniósł głos, krzycząc i chrypiąc od naporu brutalnych emocji, jakie nim wstrząsały. — Nie waż się więcej wspomnieć o mojej matce, słyszysz? Słyszałaś, co powiedziałem?

Co powiedziałem ja i cała reszta Palm Beach, pomyślała Jo-Anne.

— Och, czemu ciągle jeszcze jesteś takim dzieciakiem, Peter — dodała na głos, po czym odwróciła się i weszła z powrotem do sypialni.

Jo-Anne śmiała się do rozpuku. Łzy pojawiły się w jej oczach jak na zamówienie, całym ciałem wstrząsał nie kontrolowany chichot. Ale to nie dowcip opowiedziany przez Marjorie rozbawił ją naprawdę, lecz fakt, że nie był on ani trochę śmieszny. Marjorie Donahue dawno przestała przejmować się udawanymi uczuciami. Miała z nimi do czynienia od tak dawna, że zatraciła już nawet umiejętność odróżnienia prawdziwych i sztucznych. Ważnym natomiast elementem była władza. Kiedy ludzie nie śmiali się z jej sprośnych opowieści, nie znaczyło to wcale, że nie mają poczucia humoru — bo to się nie liczyło. Istotną informacją było, że jeśli się nie śmiali, mogło to znaczyć, iż władza ulegała osłabieniu, a dworzanie szykowali krwawy przewrót. Dlatego też uśmiechnęła się do Jo-Anne i wpisała do swojej starej, ale jeszcze niesłuchanej sprawnej pamięci fakt, że na Jo-Anne można liczyć. Jest lojalna. Nadal należy traktować ją przychylnie. Wrogowie Jo-Anne są automatycznie wrogami królowej.

— Och, Marjorie, czemu ja nie potrafię tak wspaniale opowiadać kawałów jak ty? — Jo-Anne wydusiła te słowa z trudem, nadal zanosząc się od śmiechu.

Marjorie Donahue napuszyła się, choć inni goście zgromadzeni wokół stołu wzdrygali się z obrzydzenia pod maskami uśmiechniętych twarzy. Wszyscy oczywiście śmiali się z żartu królowej, ale nikt nie umiał zrobić tego tak przekonująco jak Jo-Anne. Wszyscy robili ten sam fatalny błąd, nie doceniając próżności najważniejszej osoby. Tylko Jo-Anne zdawała sobie sprawę z faktu, że w tej dziedzinie nic nie jest równie skuteczne jak przesada. Tylko umiarkowanie obdarzani przez los umieli odróżnić pochlebcę; prawdziwym zwycięzcom zawsze było za mało pochlebstw.

Stół Duke'ów był zdecydowanie miejscem dla najdostojniejszych gości i zgromadzeni wokół mniej uprzywilejowani wyciągali szyje, by zobaczyć, co się tam dzieje i kto się tam znajduje. W ten sposób wiedzieli, kogo należy zjednywać sobie po to, aby wznieść się o szczebel wyżej. Jo-Anne z dumą patrzyła na wrogie głowy rywali, wykrzykując od czasu do czasu powitanie, przyganiając jednym, a dając nadzieję innym, czyli demonstrując swoje umiejętności zdobywania pozycji towarzyskiej. Wypełniało ją uczucie dumy, kiedy widziała zazdrość w setkach skierowanych na siebie oczu. A przecież nie były to oczy niczyje. Nie chodziło tu o nie kontrolowaną, bezwarunkową admirację zwykłych ludzi dla jakiegoś gwiazdora filmowego. Zgromadzeni tu ludzie należeli do najwyższej klasy. Byli tu Vanderbiltowie, Fordowie, jak też smukli książęta z jakiegoś nieznanego włoskiego rodu; Anglicy, biedni jak myszy kościelne, ale niezwykle dobrze ubrani, rozplywający

się z wdzięczności w zamian za kilka przyjaznych słów; i grupa prymitywnych Francuzów, nieustannie poirytowanych, że nikt nie umie lub nie chce mówić w ich na wpół martwym języku. Wszyscy oni oddaliby duszę diabłu, byle tylko móc siedzieć przy stole Jo-Anne.

Marjorie Donahue podejrzliwie rozejrzała się wokoło, przyglądając się swoim dworzanom — trochę tak, jak pogromca lwów w cyrku.

— Bawi mnie opowiadanie świńskich kawałów — powiedziała, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności.

— To pozwala oderwać się od takich tematów, jak pieniądze i służba, choć czasami te historyjki są dość prymitywne. Jo-Anne roześmiała się głośno.

— Masz absolutną rację, Marjorie. Powinnaś posłuchać, jak Peter czasem opowiada o stopie procentowej. To naprawdę okropne.

Zrobiła przy tym taką minę, jakby chciała zasugerować, że jej mąż, mówiąc na jakikolwiek temat, był zdecydowanie okropny. Peter skrzywił się przez stół w jej stronę.

— Cóż, moi drodzy, skoro mówimy o pieniądzach, chciałabym usłyszeć, co senator myśli o deficycie budżetowym.

— Marjorie ostentacyjnie stłumiła ziewnięcie. Przy tym stole i w tym mieście ona była władczynią i chciała, by wszyscy mieli tę świadomość. Jeśli wiązały się z tym delikatne żarty z wpływowego senatora, to widać tak musi być. Bobby nie poczuł się urażony. Jego pewność siebie była lepszą osłoną niż pancerz.

— Zabawne, że właśnie ty to powiedziałaś, Marjorie. — Głos Stansfielda był spokojny i przewijała się w nim nutka sarkazmu. — Wiesz, gdybyście razem z Jo-Anne złożyły się i dokonały niewielkiej wpłaty z waszych funduszy na wydatki osobiste, myślę, że moglibyśmy od ręki rozwiązać problem deficytu.

Jakież to miłe. Wszyscy byli równie bogaci. Bogaci, piękni i mieli udane życia. Nastrój wzajemnych gratulacji z tego powodu unosił się w powietrzu, współgrając przyjemnie z zapachem pięćdziesięciu białych gardenii, które stały w wielkiej wazie na środku stołu.

Bobby zwrócił się do Jo-Anne:

— Masz ochotę zatańczyć?

— Och, z przyjemnością, senatorze — wycedziła Jo-Anne, doskonale naśladowując południową piękność sprzed wojny secesyjnej.

Bobby uśmiechnął się serdecznie przez stół do Petera Duke'a.

— Nie masz nic przeciw temu, że pożyczę twoją żonę? Może się zdarzyć, że jej nigdy nie oddam!

Peter Duke roześmiał się wraz z innymi, choć wcale nie było mu

wesoło. „Możesz sobie wziąć tę dziwkę. Tylko na nią zasługujesz, ty zadowolony z siebie, nadęty bufonie” — miał ochotę powiedzieć na głos. Od czasów jego dzieciństwa Duke'ów i Stansfieldów nie łączyły najlepsze stosunki koleżeńskie. Pod wieloma względami mieli ze sobą wiele wspólnego — pochodzili z Palm Beach, posiadali fortuny i wspólne uprzedzenia. Istniały jednak dwa problemy, które negatywnie wpływały na ich stosunki. Pierwszy to ten, że Duke'owie byli o wiele, wiele bogatsi niż Stansfieldowie, a drugi — że Stansfieldowie odnosili o wiele więcej sukcesów niż Duke'owie.

Kość niezgody miała bez wątpienia dwa końce nie do zgryzienia. Duke'owie zazdrościli Stansfieldom posiadanej przez nich władzy

i szacunku, jaki ta władza za sobą pociągała. Żeby sobie to powetować, oskarżali Stansfieldów, że byli prości, że brakowało im klasy, że podlizywali się środkom masowego przekazu i byli nadgorliwymi filistrami, nie umiejącymi zachować się właściwie. Stansfieldowie zazdrościli Duke'om ich ogromnego bogactwa i sławy wytrawnych znawców i patronów malarstwa. Dla równowagi, oskarżali Duke'ów, że są egoistycznymi próżniakami, niezdolnymi do poświęceń dla ojczyzny; nadużywają alkoholu i wynoszą się nad innych tylko dlatego, iż ich dziadowi przypadkiem udało się natrafić na złoża ropy naftowej w Luizjanie.

Mimo to obie rodziny były zbyt podobne do siebie, by móc pozwolić sobie na otwartą wojnę. Palm Beach to małe miasteczko, w którym jednak nie brakowało innych wrogów, mogących skorzystać na wendecie rodów Duke'ów i Stansfieldów. Na przykład Teddy Kennedy.

Kiedy stary Stansfield umarł, jego najstarszy syn Bobby odziedziczył dobrze rozkręconą maszynę polityczną i wkrótce potem — zajmowane niegdyś przez ojca miejsce w Senacie. Bobby był wyjątkowo przystojny i miał typowe cechy politycznej dynastii Stansfieldów; niektórzy co bystrzejsi obserwatorzy szeptali nawet, że zamierzał ubiegać się o fotel prezydencki. Było bardzo prawdopodobne, że jego przeciwnikiem z ramienia demokratów mógł być sąsiad z North Ocean Boulevard, Teddy Kennedy, któremu w miarę upływu czasu społeczeństwo z pewnością zapomni historię z Chappaquiddick dzięki jego rzetelnej pracy w Senacie.

Otóż żaden prawdziwy mieszkaniec Palm Beach, który jest dobrze widziany w Everglades Club, nie mógł przyjmować niepokojącej perspektywy drugiej prezydentury Kennedych z uczuciem innym niż czyste przerażenie. Ród Kennedych to demokraci, a demokraci to socjaliści, którzy — co wydaje się absolutnie oczywiste — są tylko o krok od komunistów. Trzeba więc zewrzeć wszystkie szeregi, by

pokonać Kennedy'ego. Właśnie w wyniku tych okoliczności Peter Duke, choć rzadko zdarzało się, by pomyślał cokolwiek pozytywnego o Bobbym Stansfieldzie, wsparł jego kampanię wyborczą do Senatu znaczącymi dotacjami. Z kolei Bobby nie tylko z wdziękiem przyjął podarunek; kilkakrotnie interweniował w Waszyngtonie w obronie interesów Duke'ów, pomimo osobistej awersji do Petera. Niechęć ta, oczywiście, nie rozciągała się na jego piękną, pełną życia żonę.

Bobby przeciskał się między gęsto ustawionymi stolikami w kierunku parkietu do tańca. Trwało to długo. Wszyscy starali się zwrócić na siebie jego uwagę — wyciągnięte ręce chwyciły rękaw jego nieskazitelnie skrojonej wieczorowej marynarki, stateczne matrony wykrzykiwały chrapliwie powitania, a starzy znajomi z lat szkolnych, elokwentni dzięki wypitym przed obiadem kilku szklaneczkom martini, zatrzymywali go, by opowiedzieć jakieś dowcipy. Bobby bez trudu i przykrości płynął na fali swojej popularności, a za nim podążała Jo-Anne, na której to wszystko robiło silne wrażenie. Na każdą uwagę Bobby znajdował zgrabną odpowiedź na odpowiednim poziomie, idealnie pasującą do nastroju powagi lub frywolności tych, którzy go zaczepiali. Podczas krótkiej drogi na parkiet wielokrotnie uśmiechał się i oburzał, czarował i flirtował, składał obietnice i przyjmował je od innych. Jo-Anne obserwowała jego silne plecy i szerokie ramiona o ładnej linii, podziwiając zachowanie Bobby'ego. Był urodzonym politykiem. Nikogo nie obrażał, schlebiał ludziom, zaskarbiał sobie ich głosy. Będąc na jego miejscu, Jo-Anne nie umiałaby się powstrzymać od domieszania szczypty bólu do tej atmosfery wzajemnej adoracji. I na tym polegała różnica między profesjonalistą a amatorem.

Na skraju parkietu Bobby odwrócił się i wyciągnął ku niej ramiona. Uśmiechał się ciepło, ze szczyptą humoru. Chciał dać jej do zrozumienia, że pociągała go i musi się z tym pogodzić.

Jo-Anne odwzajemniła uśmiech. Radzenie sobie z mężczyznami nigdy nie stanowiło dla niej problemu. A w tym wypadku zanosilo się na prawdziwą przyjemność.

— Czy wiesz, że po raz pierwszy tańczymy ze sobą? — Bobby zrobił taką minę, jakby chciał dać jej odczuć, że czuje się tym faktem dotknięty.

— Z pewnością nie dlatego, że byłeś zbyt nieśmiały, by mnie zaprosić do tańca. I Bóg mi świadkiem, że miałeś dużo okazji. Czasem wydaje mi się, że jedyną rzeczą, którą bez przerwy robimy w tym miasteczku, jest tańczenie.

— Ale sama znasz to powiedzenie, że nie po to idziesz na bal, żeby

tańczyć. Idziesz po to, żeby poszukać sobie żony albo pilnować swojej żony, albo też wyszukać sobie czyjąś żonę. Mówiąc to, Bobby spojrział prosto w oczy Jo-Anne i z dużą pewnością siebie wciągnął ją w wir tańczących par. Na podium Joe Renée i jego orkiestra któryś z rzędu raz powtarzała Dolly, że wspaniale wygląda.

— Czy ty właśnie wyszukujesz sobie czyjąś żonę, Bobby? — Ścisnęła jego silną rękę i przysunęła się doń trochę bliżej, mając świadomość, że patrzy na nich wiele par oczu. Flirtowanie na parkiecie było w Palm Beach dopuszczalne. Właśnie to stanowiło jeden z powodów, dla których odbywało się tu tak wiele balów.

W odpowiedzi Bobby nachylił się lekko i wyszeptał jej do ucha:

— Powinniśmy mieć ze sobą romans, wiesz?

To było tak bardzo stansfieldowskie: prosto z mostu, nie tracąc czasu, z niezachwianą pewnością siebie.

— Nie oszukuję męża. — Jo-Anne zaśmiała się kokieteryjnie, przysuwając się do niego jeszcze bliżej.

— Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

— Nie u mnie. Póki śmierć nas nie rozdzieli.

— Może zatem powinniśmy postarać się ją zorganizować. Oboje roześmiali się, wirując w tańcu wokół parkietu. Joe Renée

i jego Dolly ciągle jeszcze nie mieli dość.

Do licha, jesteś szalenie atrakcyjny, pomyślała Jo-Anne. Diabelnie przystojny. Diabelnie popularny. Mężczyzna z przyszłością, który potrafił spowodować, że życie zaczynało błyszczeć jak brylant. Ale, w porównaniu do Petera Duke'a, biedny. Bogatszy, niż śniło się większości Amerykanów, tu, w Palm Beach, był pod względem finansowym płótką. Jaka szkoda! Bóg w swej mądrości obdzielał wszystkich uczciwie i Bobby Stansfield stracił wskutek tego królewską kartę, która w gruncie rzeczy okazywała się najważniejsza. I właśnie z tego powodu flirt był wszystkim, czego mógł od niej oczekiwać, przynajmniej tak długo, jak długo pozostawała żoną Petera Duke'a.

— Daj spokój, Bobby, przestań wypróbowywać swój urok na zamężnej kobiecie. Chodź, przejedziemy się na karuzeli. Nigdy nie mogę namówić na to Petera. Twierdzi, że zrobiłoby mu się niedobrze i że w ogóle to jest nudne. Poza olbrzymią markizą na terenie muzeum Henry'ego Morrisona Flaglera z okazji balu na rzecz planowania rodziny rozstawiono wesołe miasteczko. Na długich, pokrytych białymi lnianymi obrusami stołach stały dzbany z lodowato zimnym martini; sprowadzono wróżbitów i specjalistów od czytania z ręki; ustawiono lśniącą, magiczną karuzelę,

której biało-czerwone konie unosiły się i opadały w rytm muzyki płynącej ze starych, jarmarcznych organów. Śmietanka towarzyska Palm Beach kręciła się między palmami, wiele osób ubranych było w stroje z epoki wiktoriańskiej, stosownie do założeń, że piknik ma przypominać tamten okres; a przynajmniej mężczyźni mieli na głowach tradycyjne słomkowe kapelusze, które otrzymywali przy wejściu.

Jo-Anne zignorowała zalecenie przebrania się, wychodząc z założenia, że kobieta ubrana według mody współczesnej wygląda o wiele korzystniej niż w stroju z epoki wiktoriańskiej. Miała na sobie sięgającą kolan białą suknię z jedwabnej krepy, z głębokim rozcięciem z jednej strony, ponaszywaną cekinami, które rzucały kolorowe blaski, kiedy się poruszała. Od czasu do czasu ukazywała się w rozcięciu sukni jej brązowa, opalona noga; zresztą i bez tego cienki materiał nie był w stanie ukryć uroków jej ponętnego ciała. Żeby nie odwracać uwagi od bardzo podniecającej prostoty swojego stroju, Jo-Anne nie miała na sobie żadnej biżuterii. Pod tym względem była chyba na balu odosobniona. Wokół niej ostoje plutokracji błyszczwały i rzucały blaski, ale Jo-Anne, którą było stać na najdroższe naszyjniki i bransolety, ograniczyła się do niewielkich kolczyków z jednokaratowymi brylantami. Na karuzeli, siedząc przytulony do niej na ławeczce przeznaczony dla jednej osoby, Bobby Stansfield nie rezygnował. Stansfieldowie nigdy przecież nie rezygnowali.

— My, kawalerowie, jesteśmy tacy samotni, wiesz?

— To niezupełnie zgodne z tym, co słyszałam. Mówi się, że podczas weekendów w North End bywa więcej dziewczyn niż Heinz ma ich w kabaretach.

Śmiech Bobby'ego Stansfielda był chyba jedną z jego najmocniejszych stron — frywolny, nieopanowany, czarujący i absolutnie prawdziwy. Jo-Anne poczuła zagrożenie. Ten mężczyzna okazał się stanowczo zanadto atrakcyjny, a stawka była wysoka. Bezpieczniej będzie wrócić do stołu.

Kiedy muzyka ucichła, zdecydowała się już.

— Chodźmy, Bobby. Czas coś zjeść. Jestem tak głodna, że zjadłabym konia z kopytami.

Wzięła go za rękę i poprowadziła z powrotem w stronę markizy.

Koni wprawdzie nie podawano, ale Jo-Anne podeszła do obficie zastawionego zimnego bufetu. Były tam szkockie łososie wyłowione po południu z Dee, homary z Maine, ślimoraczki z Zatoki Florydzkiej, sałatka z krabów, zrazy cielęce i krucha szarlotka. Był też Bâtard Montrachet z 1973 roku do małży, skorupiaków i ryb oraz doskonałe

Chateau Beychevelle z roku 1966 do wołowiny, a także Dom Perignon rocznik 1971 do ciasta.

Przy kawie przyjęcie zatraciło formalny charakter. Towarzystwo przy stolikach nieco się przemieszało, tańczono i rozmawiano razem. Ponadto, kiedy alkohol poprawił humory, łatwiej było nawiązywać kontakty i pojawili się znani chyba od zawsze goście, którzy przysiadali się do innych stolików. Stali towarzysze przy stolikach uważali to z jednej strony za zagrożenie, z drugiej jednak — traktowali jako fakt usprawiedliwiony, jako czas wspinaczki po drabinie towarzyskiej. Mocne trunki dodały odwagi nawet najbardziej nieśmiałym, ale wpłynęły także na zaostrenie ocen i podłogę namiotu w niemal dosłownym sensie pokrywały skórki od bananów, na których bardzo łatwo było się poślizgnąć nieostrożnym. Na tym etapie ci, którzy „mieli”, siedzieli sztywno, przygotowani do odbioru hołdów tych, którzy „nie mieli”. Celem wspinającego się parweniusza było zdobycie choć na chwilę miejsca przy stoliku grupy stojącej pod względem towarzyskim wyżej. Z kolei ci na samym szczycie — zgodnie z regułami gry — musieli odtrącać wspinających się, wyłączeni tych swoich protegowanych, którzy potrzebowali pomocnej ręki przy wejściu o szczebel wyżej. Stolik Duke' ów był jak miseczka miodu, wokół której zbierały się najpracowitsze pszczoły. Zresztą zawsze tak się zdarzało przy stoliku, przy którym siedziała Marjorie Donahue.

Dwoje lub troje nie mających szczęścia mieszkańców Palm Beach otrzymało już zakodowaną informację, żeby zrezygnowali ze starań, zanim pojawiła się Eleanor Peacock. Eleanor była trudna. Choć należała do jednej z najstarszych rodzin w mieście, nigdy w pełni nie zaliczała się do śmietanki towarzyskiej. Jej przyjęcia nie były ekscytujące, a podawane na nich potrawy i sposób ułożenia kwiatów cechowała nuda i brakowało im inspiracji w równym stopniu, co wyposażeniu jej domu. Poza tym Peacockowie nie byli bogaci. Choć z pewnością byli dobrze urodzeni i należeli do wszystkich odpowiednich klubów, mieli dom na North End, który nie sąsiadował ani z plażą, ani z jeziorem, a ich letnie wyjazdy do Connecticut trwały krócej niż powinny. No i Arch Peacock pracował. To, samo w sobie, nie stanowiło jeszcze klęski, ale z pewnością nie dodawało im znaczenia w mieście, w którym elegancko było dziedziczyć rodowe pieniądze i spędzać życie na pilnowaniu ich, a raczej — nadzorowaniu innych, by o nie dbali.

Fakt, że nie zaliczała się do najwyższej warstwy towarzyskiej w Palm Beach, irytował Eleanor Peacock i tak długo drapała tę ranę, aż stała się groźną, żywą raną, boleśnie widoczną dla wszystkich. Czasami starała się ją zasłonić dobrym humorem, walcząc o swoje miejsce pod

słońcem, co do którego miała przeświadczenie, że prawnie się jej należało. Innym razem stawała się cyniczna i wybuchowo agresywna, kierując gniew przeciw tym, o których sądziła, że niesłusznie zajęli jej pozycję. Oczywistym celem jej żądła była Jo-Anne ze względu na niejasne pochodzenie i stanowczo zbyt atrakcyjny wygląd. Przy kilku wcześniejszych okazjach Eleanor próbowała podważyć pozycję rywalki, ale jak dotąd z każdego starcia wychodziła przegrana.

Dzisiaj jednakże była przekonana, że ma szczególny pocisk, który zamierzała odpalić z możliwie największym hukiem. Oboje: Peter Duke i — co było o wiele ważniejsze — Marjorie Donahue mieli być świadkami ataku, na skutek którego Jo-Anne zostanie pogrążona na zawsze. Przez cały wieczór, popijając wino, rozkoszowała się myślą o czekającym ją triumfie. A teraz zbliżała się do stołu Duke'ów w białej sukni z tafty, powiewającej w rytm jej pewnego siebie kroku. Głowy obserwatorów wyciągały się, by widzieć, czy uda się jej choć trochę lepiej niż poprzednim trzem aspirantom, którzy odpadli.

Jo-Anne dostrzegła, że zbliża się stary wróg, i zauważyła rumieniec na rozłożystej, choć bezkształtnej piersi Eleanor, poniżej raczej pośledniego naszyjnika z brylantów. Intuicyjnie wyczuła jakieś kłopoty. Jako weteranka tysięcy takich utarczek rozejrzała się więc za możliwie najsilniejszym sojusznikiem. Peter nie wchodził dziś w rachubę. Przez cały wieczór krzywo na nią patrzył.

Pochylając się do przodu, położyła rękę na pomarszczonym przedramieniu Marjorie.

— Och, Marjorie — powiedziała — tak się cieszę, że mogłaś dziś przyjść. Od tygodni już tak się nie śmiałam — od czasu Balu Serc.

Wtedy także Marjorie siedziała przy ich stoliku.

— Witam wszystkich. — Eleanor Peacock z wymuszonym uśmiechem przywitała zgromadzonych przy stole.

Odpowiedziano jej z różnym stopniem entuzjazmu, choć nikt nie zareagował szczególnie serdecznie.

— Marjorie, jak zwykle wyglądasz cudownie! — skłamała bez wdzięku Eleanor. Starucha wyglądała tak, jakby była na łożu śmierci.

Sprężając się do ataku, Eleanor powoli zwróciła się "w stronę Jo-Anne.

— Och, Jo-Anne! Nie przypuszczałam że cię tu zobaczę — skłamała. — Wiesz, spotkałam niedawno w Nowym Jorku kogoś zupełnie niezwykłego. Mówił mi, że kiedyś znaliście się bardzo dobrze.

Dla wszystkich przy stole, z wyjątkiem Jo-Anne, słowa te brzmiały zupełnie niewinnie. Był to stereotypowy gambit osoby przysiadającej się do czyjegoś stolika. Eleanor planowała zapewne podniesienie

swojego statusu towarzyskiego poprzez odwołanie się do wspólnych znajomych. Uważniejsi obserwatorzy mogliby wprawdzie zastanowić się nad określeniem „zupełnie niezwykły”, ale jakoś nikt tego nie zrobił.

Na Jo-Anne słowa Eleanor zrobiły jednak szokujące wrażenie. Jakakolwiek wzmianka o Nowym Jorku wzbudzała jej niepokój, a jeśli jeszcze wychodziła z ust Eleanor Peacock, nabierała groteskowego znaczenia. Przy tym Jo-Anne jako jedyna uchwyciła okrutny uśmiech i złośliwą aluzję. Słowom „znaliście się” Eleanor nadała niemal biblijną konotację, a określenie „bardzo dobrze” oznaczało naprawdę b a r d z o dobrze.

Po raz pierwszy od wielu lat Jo-Anne przypomniła sobie, jak to jest, kiedy odczuwa się strach. Przeleciał przez nią jak wzburzona fala przyływu, rozbijając wszystko, zmywając wszystkie myśli, paraliżując z przerażającą siłą. Och, Boże! Nie teraz. Nie tu. Nie przed królową. Nie w obecności męża i senatora Stansfielda. Poczula, jak z twarzy odpływa jej krew, i spostrzegła, że jej prawa ręka powolnym ruchem sięga po szklaneczkę z wodą, jakby tym niepotrzebnym gestem miała udowodnić sobie samej, że ciągle jeszcze jest w stanie przynajmniej w pewnym stopniu kontrolować własny los. Pozostając w stanie błogiej nieświadomości wobec rozgrywającego się dramatu, reszta biesiadników zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. „Tolerowano” Eleanor Peacock. Nie zanosilo się na dłuższą przerwę w ogólnej rozmowie prowadzonej przy stoliku, póki Marjorie Donahue kilkoma zgrabnymi sugestiami nie skłoni Eleanor do „przejścia się po sali”. Sytuacja była oczywiście lekko irytująca, ale przyjmowano ją z rezygnacją, jako uciążliwe następstwo posiadania wysokiej pozycji towarzyskiej.

Jo-Anne pozbierała wreszcie myśli i rozpaczliwie starała się coś zrobić, by uprzeczyć śmiertelny cios, do jakiego szykowała się Eleanor. Co ta okropna kobieta mogła wiedzieć? Jak wiele? Jak szczegółowe miała informacje? A jeśli wiedziała wszystko, czy odważy się powiedzieć to publicznie? Powiedzieć wszystko?

— Och, naprawdę? — odezwała się Jo-Anne bezbarwnym głosem. Mówiąc to zobaczyła błysk determinacji w oczach Eleanor; taki

szklisty połysk, przytłumiony przez wypite wcześniej wino. Dobry Boże, to było to: Eleanor zamierzała ją zniszczyć!

— Tak, to było naprawdę interesujące spotkanie. Na gali dobroczynnej na rzecz Wydziału Policji Nowojorskiej. Okazało się, że przypadło mi miejsce obok pewnego typu, który nazywał się Krumpe...

Krumpe. Krumpe. Krumpe. Nazwisko to przetoczyło się przez

umysł Jo-Anne jak mina z wyciągniętym bezpiecznikiem. Tłusty i nikczemny Krumpe, okrutny i mściwy. Ten Krumpe miał ją w zamian za to, że milczał. Porucznik Krumpe z policji. Przez pamięć przemknęły jej sceny z przeszłości, w których jak szczur w ściekach przebiegał Leo Krumpe. Krumpe chronił ją przed oskarżeniami o naruszenie zasad moralności społecznej, płacił za nią łapówki handlarzom narkotyków, chronił przed brutalnymi sutenerami i zboczonymi klientami. Ale brał za to okropną zapłatę. W zamian domagał się i dostawał — jej ciało. Nawet teraz, znajdując się na samym szczycie społeczności Palm Beach, pamiętała śmierzący, przesycony alkoholem oddech na swojej skórze, szorstki dotyk nie ogolonego policzka, obrzydliwy ciężar niskiego, przysadzistego mężczyzny. Kiedy w jej życiu pojawił się Peter Duke, pozbyła się Krumpego jak bezużytecznego śmiecia, a ten z pewnością nie wybaczył jej tego. I oto teraz, z dawno pogrzebanej przeszłości wychylił się jego wstrętny palec, by z powrotem wciągnąć ją w otchłań.

Stała na skraju przepaści. Aż do tej chwili wszystko było w porządku. Dobry znajomy z Nowego Jorku, o nazwisku Krumpe. Drogi, stary Leo. Mam nadzieję, że przekazałaś mu pozdrowienia ode mnie. Nie, on nie jest spokrewniony z hydraulikami z Palm Beach o tym samym nazwisku. Cha, cha, cha! Nie widziałam go już od wielu lat. Zawsze pamiętam jego doskonale Polish jokes *. Ale za kilka sekund wyjdzie szydło z worka i dzieło jej życia legnie w gruzach.

Musi zyskać na czasie, zdobyć sojuszników, wezwać swoich dłużników.

Niepewną ręką dotknęła szklanki z wodą, przesunęła ją na bok

I strąciła na ziemię. W tym samym momencie odwróciła się w stronę Marjorie Donahue i pozwoliła swojej wstrząśniętej twarzy przemówić. Żaden aktor nie zdobył Oscara za lepszą grę. Z oczu Jo-Anne można było wyczytać wszystko: strach, bezradność, błaganie o pomoc. Błada jak śmierć, z drżącymi ustami, wyciągnęła lewą rękę w stronę Marjorie, jedynej osoby, która mogła ją uratować.

Marjorie Donahue odczytała to spojrzenie i jej stary umysł zaczął analizować sytuację. Jo-Anne była śmiertelnie zagrożona ze strony Eleanor Peacock. To od samego początku wydawało się oczywiste. Ale co to za groźba? Nie sposób powiedzieć. Właściwie nie słuchała ich rozmowy. Mało kto zadawał sobie trud, by słuchać Eleanor. Coś o Nowym Jorku. Jakiś wspólny znajomy? Ręka, która ją pochwyciła i blada twarz świadczyły o tym, że sprawa jest bardzo poważna. Musi

* Polish jokes — niepochlebne dla Polaków dowcipy krążące wśród Amerykanów.

pilnie zainterweniować. Ale dlaczego? I co powinna powiedzieć? Czas najwyraźniej był tu sprawą istotną. Będzie musiała zdać się na swój instynkt; rzadko ją zawodził. Jo-Anne była kochana, śmiała się z jej żartów; umiała wspaniale poprawiać samopoczucie Marjorie. W jej wieku i z jej pozycją czegoś więcej można oczekiwać? A Eleanor Peacock nigdy nie była uniozoną damą dworu. Choć nie zaliczała się do grona wrogów, zawsze była tysiące kilometrów od ich zaprzyjaźnionego kręgu. Starła się uczestniczyć w grze, ale zawsze coś się jej nie udawało — zupełnie jakby wyznawała heretycki pogląd, że na świecie istniało coś jeszcze poza Palm Beach i jego sceną towarzyską. No i nie miała żadnego godnego uwagi majątku. Zapewne gdyby wyglądała ładnie i miała wystarczająco dużo wdzięku, by zrównoważyć relatywne ubóstwo, wybaczone by to. Ale tego też jej brakowało. Nie, w tej wojnie na kamienie, papier i nożyczki, jaką rozgrywano w tym mieście, mogła być tylko jedna zwyciężczyni starcia pomiędzy Pea-cockami a Duke'ami. Jo-Anne musi wygrać, bez wątpliwości. Eleanor nadeła się jak balon, przygotowując do wyrzucenia z siebie pocisk, który miał zniszczyć Jo-Anne. Ale zanim zaczęła mówić, odezwała się królowa, używając całego swojego uroku starszej, miłej damy. — Eleanor, moja miła. Cieszę się, że przysiadłaś się do nas na chwilę. Pamiętasz, wspomniałam wcześniej o możliwości pełnienia przez ciebie funkcji młodszej przewodniczącej przyszłorocznego balu na rzecz Czerwonego Krzyża. Cóż, po głębszym namyśle doszłam do wniosku, że jesteś jednak na to trochę zbyt mało doświadczona. Sądzę więc, że powinniśmy o tym zapomnieć. Och, dziękuję za to zaproszenie na koktajl w przyszłym tygodniu, ale obawiam się, że nie będę mogła przyjść. Dziwię się, że wybrałaś przyszły tydzień na swoje przyjęcie. Biorąc po uwagę inne zaplanowane zajęcia, obawiam się, że bardzo dużo osób nie będzie mogło przyjść do ciebie. Wszyscy zauważyli, jak krew odpłynęła z twarzy Eleanor Peacock. Wszyscy byli świadkami jej towarzyskiej egzekucji. Poza Jo-Anne nikt nie znał przyczyny. Reszta towarzystwa przy stole uważała, że była to zapłata za wcześniejsze wykroczenie, że Marjorie Donahue wymierzyła jej sprawiedliwość za jakiś drobny grzeszek — zaprzyjaźnienie się z wrogiem Donahue czy złośliwą uwagę, która trafiła z powrotem do Marjorie. Coś w tym rodzaju. Wszyscy byli stanowczo zanadto zaskoczeni, aby dostrzec, że Jo-Anne odegrała w tym znaczącą rolę. Żadna owca w ofierze nie wykrwawiła się tak szybko, jak stało się to z Eleanor Peacock. Towarzyska pozycja została jej odebrana przez

Marjorie i nikt nie wątpił, że dla społeczności Palm Beach skończyła się na zawsze. Na jej przyjęcie w przyszłym tygodniu przyjdzie nie więcej osób, niż przyszłoby na orgię połączoną z zamienianiem się żonami, organizowaną przez kogoś zarażonego syfilisem.

Na wypadek gdyby pozostał jeszcze jakiś choćby cień wątpliwości, królowa obróciła nóż w ranie i dobiła ofiarę.
— W każdym razie, moja droga Eleanor, jestem pewna, że wszyscy cieszymy się z tego, iż spodobał ci się Nowy Jork. Przypuszczam, że w przyszłości będziesz tam spędzać znacznie więcej czasu.

Atmosfera podekscytowania była niemal fizycznie wyczuwalna. Pozornie nic wielkiego się nie działo; dziewczęta stały w sali gimnastycznej, rozmawiając nerwowo i od czasu do czasu chichocząc. Niektóre ziewały z pozorną obojętnością — co w takich sytuacjach bywa również oznaką napięcia.

Lisa nie była wyjątkiem. I ona starała się przybrać nonszalancką pozę, bo choć wcale się nie czuła pewnie, wydawało się jej, że sytuacja tego właśnie wymaga. Wewnętrznie była jednak bardzo spięta. Siedząc na skraju biurka recepcjonistki i machając długimi nogami, uśmiechała się do Maggie.

— No co, Maggs, jeszcze kilka minut, a potem... natychmiastowa sława.

Roześmiała się i po raz setny chyba spojrzała na zegarek. Byli już dziesięć i pół minuty spóźnieni.

— Chyba nie sądzisz, że się rozmyślili — powiedziała z powątpiewaniem Maggie.

— Wykluczone, moja miła. Moja sala gimnastyczna jest nowością, a oni potrzebują właśnie takich rzeczy. Robimy im przysługę. — Nawet Lisa musiała przyznać, że to nie wypadło przekonywająco. Program telewizji West Palm zatytułowany „Ognisko” z całą pewnością mógł istnieć bez Lisy Starr.

— Wszystko jest tak, jak powinno? — Maggie z nieszczęśliwą miną wpatrywała się w wypucowane, lśniące otoczenie. Pytanie było, oczywiście, zbędne, ale w chwilach takich jak ta niepokój musiał znaleźć jakieś ujście i umysł desperacko go poszukiwał.

— Och, daj spokój, Maggie. Wszystko jest doskonale. Wiesz, że tak jest.

I to prawda. Pieniądze starego Weissa zostały rozrzucone po całej

sali, oczywiście nie w dolarowych banknotach. Błyszczące maszyny Nautilusa, do złudzenia przypominające przyrządy do wyrafinowanych średniowiecznych tortur, zajmowały całą północną ścianę. Nowiutkie, zostały dostarczone z fabryki dopiero tydzień temu; mechaniczny ból, wart dwadzieścia tysięcy dolarów. Były tam urządzenia do rozwijania bicepsów i mięśni trójgłowych, do wzmacniania mięśni brzucha; wszystkie ustawiono w odpowiednim szyku, tak by po kolei rozwijać każdy mięsień ludzkiego ciała.

Aby się do nich dostać, trzeba było przejść przez parkiet do aerobiku, wyłożony nowiutką, wypolerowaną drewnianą klepką, jeszcze nie zdeptaną i nie zbitą przez tysiące rytmicznie uderzających stóp. Lustrzane ściany rzucały refleksy, wzmacniając element narcyzmu, który wydawał się istotny przy każdym wysiłku fizycznym. W kątach, rozrzucone w najwyraźniej zaplanowany sposób, leżały stosy mat z gąbki i ciężarki do rozgrzewki przed aerobikiem. W części tylnej, do której szło się długim korytarzem, stworzono zupełnie inny świat. O ile sala gimnastyczna kojarzyła się z wysiłkiem, potem i łzami bólu, o tyle uwodzicielskie, klimatyzowane zaplecze oddzielone było od brutalnego świata i męczącej rzeczywistości. Kusila fińska sauna, wystarczająco duża, by się w niej położyć. Stojące na podłodze drewniane wiaderko napełniono cudowną esencją sosnową, której zapach przenikał nasycone wilgocią powietrze, gdy polewano nią rozżarzone węgle. Na zewnątrz rozstawiono jasnoszare leżaki, wokół których leżały poczytne czasopisma: „New York Magazine”. „Architectural Digest”, „Town and Country”. Szorstkie, białe ręczniki ułożono w równych rzędach; było ich tak dużo, że stwarzały wrażenie luksusu. Idąc dalej wąskim korytarzem, dochodziło się do dźwiękochłonnej kabiny masażu i wyłożonego mozaiką Jacuzzi. Hol przy wejściu, w którym siedziały Lisa i Maggie, pełnił także rolę butik. Wszędzie wisiały niedrogie, kolorowe sukienki wyjściowe — zdobiły wszystkie kąty i listwy, gdzie tylko było to możliwe — jak hymn na cześć piękna kobiecego ciała. Leżały tam również getry, rajstopy, pantofle balowe w pastelowych kolorach, różowe, plastikowe spinki do włosów, opaski na głowę, wełniane opaski na nadgarstki i całe rzędy fiolek z witaminami.

— Nie wiem, jak ty to robisz, Liso. Myślę, że niektórzy ludzie są po prostu w czepku urodzeni.

— Guzik prawda, Maggie, to nie to. Dzwoniłam do tego producenta codziennie przez cały tydzień, aż w końcu zgodził się ze mną spotkać. A potem powiedział: nie! Kręciłam się więc wokół baru, w którym jada lunch i popija, aż wreszcie ustąpił.

— I, jak sędę, jest w tobie śmiertelnie zakochany.

— A co mnie to obchodzi? Dostałam towar. I mamy to, czego chcieliśmy, świeże i nowiutkie. — Lisa roześmiała się z własnych słów. Takie twarde, zawierające tyle pewności siebie. Ale właściwie czemu nie? Jeśli bardzo mocno wierzysz w siebie, okazuje się, że wszystko można osiągnąć. Trzeba tylko mieć odwagę i sięgnąć po gwiazdy, a zamknąć uszy na propagandę tych, którzy są przekonani, że pewnych rzeczy po prostu nie da się zrobić.

Mimo to czuła skurcze żołądka i taką suchość w ustach, jakby była na pustyni. Nie może zmarnować szansy. Musi zrobić dobrą reklamę.

Przybycie wozu transmisyjnego telewizji jest zawsze swego rodzaju spektaklem, który cieszy przede wszystkim samych pracowników TV. Dziennikarze telewizyjni i radiowi są bożyszcami, bo ludzie walczą między sobą o oferowane przez nich piętnaście minut krótkotrwałej sławy. Pierwszy wszedł Jim Summerford, rozluźniony, ale rzeczowy, a dalej grupa podległych mu pracowników: operatorów kamer, odpowiedzialnych za oświetlenie i dźwięk. Przywitanie było serdeczne, lecz widać było, że się śpieszą.

— Myślę, że zaczniemy od ujęcia grupy ćwiczącej z tymi ciężarkami. Następnie pokażemy, jak ty ćwiczysz na tych maszynach. Połączymy to z wywiadem, w którym wyłożysz filozofię twojej gimnastyki i wyjaśnisz, czym różni się od normalnej. Jak ci się to podoba?

— Wydaje mi się fajne.

Ekipa szybko rozkładała swój sprzęt i wkrótce wszystko było gotowe. Lisa dała znak, sygnalizując początek.

Skąpane w bezlitosnym żarze łukowych lamp dziewczęta dawały z siebie wszystko, na co je było stać, zmuszając się do nadludzkiego wysiłku. Kamery przesuwwały się powoli po tańczących, wyginających się ciałach, rejestrując każdy szczegół. Operatorzy dźwięku nagrywali szybki rytm elektronicznej muzyki, przy której ćwiczące wyciskały z siebie siódme poty, wyrzucając do góry ramiona i rytmicznie machając nogami.

Jim Summerford uniósł oba kciuki do góry, kiedy operator kamery filmował rytmicznie falujące ciała, rozchylone usta z trudem łapiące oddech, wyraz absolutnego zaangażowania na twarzach dziewcząt. Uśmiechnął się jak ktoś, kto otrzymał to, czego pragnął — widok, który poruszy mężczyzn, na dodatek taki, że żony i kochanki nie powinny mieć zastrzeżeń.

— Okay. O to właśnie chodziło. Myślę, że starczy — zawołał, starając się przekrzyczeć muzykę.

Kamery przerwały pracę, pozostawiając dziewczęta z uczuciem niedosytu. Ktoś wyłączył muzykę i unoszące się nogi gwałtownie opadły, jak u marionetek, którym nagle puszczone sznurki, albo mechanicznych zabawek, gdy sprężyna właśnie się rozkręciła. Taka jest telewizja — nie ma czasu, bierze tylko to, co chce.

Lisa, przymocowana do maszyny ćwiczącej biodra, uznała, że wyszło dobrze. Dziewczęta wyglądały wspaniale, a te ładniejsze, ustawione z przodu, skupiły na sobie uwagę, o co właśnie chodziło. Teraz przyszła kolej na nią. Najpierw ujęcia z ćwiczeniami, potem — rozmowa.

Świadomie wybrała właśnie tę maszynę Nautilusa. Służyła wzmocnieniu mięśni ud. Zaczynając w pozycji z rozłożonymi nogami, przytwierdzonymi do pionowo ustawionych, ruchomych platform, musiała ściągnąć nogi, pokonując siłę, z jaką platformy rozciągały się z powrotem. Kamera ujmowała dziewczynę od przodu, pokazując jej rozłożone, wyprostowane nogi. Strój Lisy wzmocniał wyraźnie erotyczny efekt. Miała na sobie tylko skąpy czarny kostium i cielistego koloru rajstopy. Robiło to wrażenie, jakby była niemal zupełnie rozebrana.

Jim Summerford nie martwił się tym. — Lisa, to wygląda wspaniale. Powiedz nam, co robisz. Skomentuj to.

Rozwierając i ściskając nogi przed kamerą, zaczęła mówić spokojnym, pewnym siebie głosem, w którym nie było nawet śladu zadyszki wywołanej wysiłkiem fizycznym.

— Podstawowa różnica między moim studiem a innymi polega na tym, że są u mnie maszyny Nautilusa. Nie ograniczam się tylko do aerobiku. W programie Nautilusa wspaniale jest to, że można wykonać wszystkie ćwiczenia w dwadzieścia minut. Jest więc idealny na przykład na czas przerwy na lunch. I wystarczy, jeśli się ćwiczy trzy razy w tygodniu. W gruncie rzeczy nawet nie powinno się ćwiczyć na maszynach częściej.

Jej nogi bez trudu rozcinały powietrze, kiedy to mówiła, a zmysłowe ruchy pozostawały w pozornej sprzeczności z rzeczowym, obojętnym brzmieniem słów.

Uśmiechnęła się promiennie, kiedy kamera pokazała, jak wielką siłę odciągającą pokonują nogi Lisy.

— Pełna runda na przyrządach przygotowana jest tak, by po kolei ćwiczyć każdą grupę mięśni. Należy zapisać sobie, jaki opór pokonało się na każdym z przyrządów i stopniowo go zwiększać w miarę zdobywania praktyki i nabierania siły. Na każdej maszynie należy wykonać piętnaście ruchów. Ani mniej, ani więcej. Myślę, że to właśnie jest mój piętnasty ruch.

Zwinnie uwolniła się z Nautilusa, odpinając nogi od pasów na platformach, i usiadła, składając skromnie ręce na kolanach. Czekala, aż podejdzie do niej Jim Summerford.

— Cóż, Liso Starr, trzeba przyznać, że robi to duże wrażenie. Ale przypuszczam, że widzowie mogliby zacząć się zastanawiać, czy tego typu ćwiczenia nie spowodują, że kobiety staną się muskularne.

— A czy ja jestem muskularna?

Lisa absolutnie nie sprawiała wrażenia kulturystki. Wyglądała raczej jak fantastyczna wizja jakiegoś anatoma perfekcjonisty.

— Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni w ocenie, że wyglądasz cudownie, Liso.

Kamera powoli przesunęła się po jej kształtnym ciele.

— Tym, co staram się tu lansować, jest zupełnie nowa koncepcja dbania o swoje ciało. Nazywam to rzeźbieniem sylwetki. Być zgrabną to nie wszystko. To dobre, nawet bardzo ważne, ale nie wystarczy. My, kobiety, powinnyśmy być równie zgrabne, co silne. Być silną i piękną to właśnie cel, jaki można osiągnąć w naszym studiu. Kiedy ćwiczymy aerobik, pozbywamy się nadwagi — a we wszystkie inne dni ćwiczymy na tych maszynach. Te ćwiczenia pomagają nam przy aerobiku i vice versa.

W oczach Lisy zabłysła isierka fanatyzmu i dziewczyna na chwilę przerwała, zatapiając się w wizji, jaka przemknęła jej przez głowę. Radykalna zmiana, fundamentalne przewartościowanie postaw i wymagań. Silne kobiety. Silne fizycznie. Siła emocji i intuicji połączona z mocnym, wytrzymałym ciałem. A od tego już tylko krok do prawdziwego równouprawnienia z mężczyznami i koniec obywatelstwa drugiej klasy, u podłoża którego leżała słabość fizyczna kobiet.

Jakby czytając w jej myślach, Jim Summerford zadał następne pytanie.

— A co z nami, mężczyznami? Czy masz nadzieję, że kobiety dzięki twoim ćwiczeniom wkroczą na obszar, który dotychczas był zastrzeżony tylko dla nas? — Jim Summerford uśmiechnął się do siebie. Za to pytanie w Nowym Jorku czy w Massachusetts mogliby go zwolnić z pracy. Ale w Stanach Zjednoczonych nie da się być bardziej na Południu niż na Florydzie, w tej zdecydowanie szowinistycznej męskiej krainie.

— Chciałabym, żeby kobiety rywalizowały z mężczyznami na równych prawach. Wcale nie chcę, żeby walczyły z mężczyznami. Oni nie są naszymi wrogami. Kochamy was wszystkich. — Promienny uśmiech przypieczętował rozejm między obiema płciami.

Starczy tego tematu, pomyślał Summerford.

— Jestem przekonany, że uważasz także, iż twoja dyscyplina w pracy nad sylwetką wpływa dobrze na psychikę. Czy możesz nam coś na ten temat powiedzieć?

— Oczywiście. Mój program gwarantuje wyleczenie ze smutków i niepokojów. Znacznie lepiej niż psychoanaliza czy tabletki! Ale oferujemy tu nie tylko wysiłek. Mamy także sauny, Jacuzzi, łaźnię parową, masaże. Raz w miesiącu każda kobieta powinna znaleźć wolny czas, żeby zrobić sobie przyjemność.

Wtrąć jakiś chwyt reklamowy. Na Boga, przecież to ma trafić do domów tysięcy ludzi, do domów w Palm Beach. Lisa pochyliła się więc nieco do przodu i patrząc prosto w kamerę, zwróciła się do swoich przyszłych zwolenniczek.

— Bez wątpienia to może zmienić twoje życie — powiedziała. — Tak jak zmieniło moje.

Jo-Anne Duke miała naprawdę nieudany dzień. Już samo obudzenie się było problemem, otwarcie oczu sprawiło jej wiele trudu, a wstanie z łóżka wydawało się zadaniem zupełnie niewykonalnym. Teraz, siedząc ponuro na werandzie, ciągle jeszcze w jedwabnej koszuli nocnej od Christiana Diora, którą miała na sobie przez cały dzień, zastanawiała się, po co właściwie się trudziła. Środki nasenne i przeciwdepresyjne, brane co kilka godzin, utrzymywały ją na granicy półprzytomności, dzięki czemu nie odczuwała gniotącej ją i szarpiącej złości. Mogła sobie darować cały ten cholerny dzień, przespać go i zacząć jutro od nowa, w innym humorze. Słońce obniżyło się, a czerwone promienie oświetlały niebo dookoła. Zazwyczaj zachód słońca nad Lake Worth był gwarantowanym sposobem poprawienia sobie samopoczucia. Ale dziś przemawiał do niej nie bardziej niż krzykliwe kolorowa widokówka.

Bez celu powędrowała z powrotem do sypialni i przez minutę czy dwie stała przed długim lustrem, wpatrując się w swoje odbicie. Boże, wyglądała okropnie. Jakby depresja pokryła ją szarą farbą. Szare włosy, szara twarz, szare oczy. Zdawała sobie sprawę z faktu, że to zły nastrój zniekształcił jej percepcję, ale intelekt jest niewolnikiem uczuć, a ona czuła, że wygląda okropnie. I nic innego się nie liczyło. Na próżno koncentrowała wzrok na sterczących piersiach, płaskim jak deska brzuchu, zgrabnych pośladkach. Pod wpływem tej chwili wydawało się jej, że wygląda jak robotnica z fabryki kleju.

Takie dni zdarzały się Jo-Anne od czasu do czasu i nic na to nie można było poradzić. W Big Apple bywało, że złe humory trwały i cały tydzień. Zamykała się wtedy w swoim apartamencie, nikomu nie otwierała i żyła jak flejtuch. Jadła czekoladę i to, co miała w domu, nie zmywała naczyń ani nie sprzątała i tarzała się w psychicznym

bagnie. Nazywała to „pogodą na domowe ubranie”. Czyżby i teraz tak się czuła? Czy była to „pogoda na koszulę nocną z najdelikatniejszego jedwabiu”? Z pewnością zmieniło się jej otoczenie i nie ma już naczyń do zmywania. Ale ponury nastrój pod obrazem Renoira niewiele odbiegał od zniechęcenia do życia pod jakimś plakatem zawieszonym na ścianie.

Spekulowanie na temat przyczyn jej nastroju nie miało sensu. Możliwości było kilka: obraźliwa obojętność Petera, groźba kłęski na balu na rzecz planowania rodziny, fakt, że Mary d'Erlanger nie zadzwoniła, od czasu gdy spędziły razem upojne popołudnie w wynajętym pokoju w Brazilian Court. Ale przecież w inne dni takie drobne kłopoty traktowała zupełnie normalnie. Dziś jednak miała wrażenie, że załamałaby się nerwowo, gdyby zobaczyła pająka w basenie.

Ni stąd ni zowąd poczuła nagle iskierkę energii, która przyśpieszyła krążenie krwi w jej żyłach. Postanowiła, że zadzwoni do tej dziwki Mary. Porozmawia z nią na temat złych manier. Mogła przynajmniej zadzwonić i powiedzieć, że było jej dobrze, kiedy się kochały. Z ponurą miną podeszła do telefonu i wykręciła znany na pamięć numer.

Ktoś podniósł słuchawkę i Jo-Anne usłyszała dziwny, metaliczny trzask. Już wcześniej zwróciła na to uwagę. W ostatnich kilku miesiącach dawało się to czasami usłyszeć. Trzask i coś w rodzaju echa na linii, jakby rozmawiało się w publicznej toalecie. Najwyraźniej coś było nie tak z tymi cholernymi telefonami. Zamierzała wspomnieć o tym majordomusowi.

Głos Mary d'Erlanger zabrzmiał troszkę chłodniej niż normalnie. Był przyjacielski, ale jednocześnie odległy. Zupełnie inny niż tamten w sypialni w Brazilian Court. Jo-Anne wyobraziła sobie długie, szczupłe palce z delikatnym lakierem na paznokciach, pieszczące słuchawkę. Te same, które pozostawiły ślad na jej plecach.

— Jo-Anne, kochanie. Jak się masz? Miałam do ciebie zadzwonić.

— A co cię powstrzymało? — Jo-Anne nie miała ochoty powściągnąć swego złego nastroju.

— Och, sama wiesz, jak to jest. Byłam taka zajęta. Czasami zupełnie nie wiem, na co tracę tak dużo czasu.

— Ale obie wiemy, na co straciłaś czas w ubiegłą środę po południu, prawda? — Gniew i irytacja Jo-Anne ujawniły się całkiem otwarcie. Zapewne Mary jest już ubrana w wieczorowy strój. Coś z „Given-chy” — czarny, prosty, duże perły, wspaniałe nogi. Te same, które tak ściśle obejmowały Jo-Anne, kiedy zbliżało się stadium ekstazy.

Mary d'Erlanger westchnęła z rozczarowaniem. Dlaczego wszystko musiało się komplikować? Dlaczego za wszystko trzeba było zapłacić?

— Nie mów tak, Jo-Anne. Było to przyjemne, ale głupie. Nie chciałabym, żeby się powtórzyło.

Jo-Anne poczuła, jak wybucha w niej zimna furia. Głupia, próżna krowa. Myślała, że w co się bawi, do cholery?

— Przyjemne, ale głupie. Przyjemne, ale głupie! — wrzasnęła prosto w słuchawkę. — Najpierw leżysz na łóżku jak wyciągnięty na plażę wieloryb, błagając, żeby jeszcze, a teraz nazywasz to przyjemnym, ale głupim? Bardzo dobrze! To pozwól, że coś ci powiem, Mary d'Erlanger: śmierdzisz w łóżku! Tak, jak to robisz, nie umiałabyś podniecić nikogo. Nic dziwnego, że twój mąż impotent nie ma na ciebie ochoty. Gdybym była mężczyzną, też bym nie miała.

Jo-Anne usłyszała po drugiej stronie linii telefonicznej jęk przerażenia i z satysfakcją rzuciła słuchawkę.

— W porządku, Mary d'Erlanger, jesteś dla mnie historią — powiedziała głośno do siebie samej. Wspaniale! Tak było lepiej, wyładowała się trochę. Nagle pojawiła się dziura w czarnej chmurze, która spowijała jej głowę przez cały dzień.

Przeszła przez pokój w stronę tacki z drinkami i zawahała się. Decyzje, decyzje. Czemu zawsze tak trudno je podejmować, kiedy się jest w złym nastroju? Czego ma się napić? Szkockiej z lodem? Z wodą? A może z wodą sodową? Bez. Wlała potężną porcję Glenfiddich na dno dużej kryształowej szklanki i poszła w kierunku sofy.

Spojrzała na zegarek: pokazywał siódmą wieczorem. A on nigdy się nie mylił.

Podkulając pod siebie długie nogi, powoli sączyła drinka. Psiakrew! Skłamała Mary. To wcale nieprawda, że była do niczego w łóżku. Była niewiarygodna, zaskakująca. A teraz już jej nie ma. Jo-Anne pociągnęła duży łyk delikatnego w smaku, bursztynowego płynu, przytrzymując go w ustach, żeby zapiekł, zanim połknęła. Poczuła, jak rozgrzewa jej pusty żołądek i wzdrygnęła się, po czym pochyliła się do przodu, wzięła pilota i włączyła telewizor na piąty kanał. „Sony Trinitron”, stojący kilka metrów dalej, ożył.

Wielki Boże! Jo-Anne usiadła wyprostowana. Wpatrywała się w rozłożone nogi najatrakcyjniejszej dziewczyny, jaką w życiu widziała. Z nadzwyczajną łatwością nogi rozwierały się i zwierały, pozornie obojętne na potężne czarne ciężarki, które usiłowały bezskutecznie storpedować ich ruch, podczas gdy właścicielka nóg wyjaśniała zalety przyrządów Nautilusa.

Z wytrzeszczonymi oczami Jo-Anne wsłuchiwała się w podawane informacje, wpatrując się zachłannie w rysy twarzy przekazującej jej dziewczyny.

— Rzeźbienie ciała... żeby stać się silną i piękną... chcę, żeby

kobiety rywalizowały z mężczyznami, i to na tych samych warunkach... leczy złe samopoczucie...

Hej, to właśnie coś, na co czekała. Ta dziewczyna miała z pewnością rację, wystarczyło popatrzeć na nią i posłuchać, żeby to zrozumieć. Tyle witalności i uroku od niej biło, aż oczy bolały.

I zupełnie niespodziewanie Jo-Anne uświadomiła sobie, że chmura się rozwiła. Odpłynęła, znikła w ciężkiej atmosferze dzięki temu uroczemu zjawisku w czarnym kostiumie gimnastycznym. Piękne oczy Jo-Anne zasnuła mgiełka zamyślenia, a przez pełne usta przewinął się rozmarzony uśmiech.

Lisa Starr wiedziała od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzała. Ta dziewczyna była naprawdę kimś. Nie ze względu na kremowego koloru mercedesa-kabriolet czy zwykły, nawet agresywny sposób, w jaki go zaparkowała: jednym kołem na chodniku, niebezpiecznie wystając bagażnikiem na drogę. Ani też ze względu na jakość i krój ubrania — zakietu od Calvina Kleina z niemal kwadratowymi ramionami, cienkiej jak osa talii, dopasowanej kolorem lnianej spódnicy, ukazującej śliczne, opalone na brąz nogi. Nie z powodu żadnej z tych rzeczy z osobna, raczej ze względu na całość, jaką tworzyły. I sposób bycia, który jednoznacznie przywodził na myśl Palm Beach. Jo-Anne weszła pośpiesznie, powiewając włosami, nie patrząc nawet na pozostawiony za sobą samochód. Z jej postawy widać było, że jeśli chodzi

O mercedesa, to bardzo proszę, kto chce, może go sobie zjeść na śniadanie.

Podeszła prosto do biurka recepcjonistki, przy którym siedziała Lisa, i na jej twarzy rozlał się niezwykle atrakcyjny uśmiech.

— Witam, Liso Starr. Jestem Jo-Anne Duke i widziałam cię w telewizji.

Lisa poczuła gwałtowny przypływ emocji. Przedstawić się jako Duke w tej części kraju to tak, jakby przedstawić się jako Rockefeller w Nowym Jorku. Albo jako księżniczka w Anglii. Ale otwartość i wyraźnie przyjazne nastawienie dziewczyny wpłynęło na Lisę tak, że wyrzuciła z głowy te hierarchiczne zależności.

Lisa roześmiała się z bezpośredniego sposobu bycia gościa.

— Witaj w moim salonie gimnastycznym, Jo-Anne Duke — powiedziała z lekką nutką złośliwości, wyśmiewając formalny sposób autoprezentacji, ale uśmiechając się przy tym ciepło i serdecznie. — Nie pytam, o jakim programie mówisz, bo nagrałam tylko jeden — dodała.

Jo-Anne machnęła ręką, dając jej do zrozumienia, że to nieważne,

i Lisa dostrzegła błysk czterech bransoletek z białego złota od Cartiera, bransoletek miłości; takich, jakie ukochany zaśrubowywał na ręce szafirowymi śrubami.

— Przyszłam zapisać się na twoją gimnastykę. Chcę, żebyś wyleczyła mnie z depresji i zamieniła w superkobietę. Lisa nie bardzo wiedziała, czemu zaczerwieniła się pod wpływem tych słów, ale tak właśnie się stało. A kiedy zdała sobie sprawę, że mówi: — No cóż, wydaje mi się, że zajmie to około dziesięciu minut — poczuła, że rumieni się jeszcze bardziej.

— Dziękuję za komplement — odparła Jo-Anne. — Ale właśnie czuję się jak strzępek. — Znowu zaśmiała się, po czym, poważniejąc, stwierdziła: — Chcę wyglądać tak jak ty.

Lisa nie potrafiła znaleźć na to odpowiedzi. Zazwyczaj radziła sobie z komplementami — od mężczyzn, od dziewcząt takich jak Maggie. Jednak komplement wypowiedziany przez dziewczynę, przy której modelka z rozkładówki „Playboya” wyglądała jak przywiędła róża, był trudny do odparcia. Najwyraźniej straciła kontrolę nad swoją twarzą — mogłaby przysiąc, że policzki jej pulsowały od nadmiaru krwi.

Znowu ten śmiech. Z odrzuconą do tyłu głową pani Duke cieszyła się wywołanym zakłopotaniem.

— Daj spokój, ja tylko zażartowałam... a w każdym razie miało to być coś w rodzaju żartu.

To wyraźne sprostowanie jeszcze wzmocniło jej poprzednie słowa, wyrażające pragnienie, tak jak Jo-Anne zamierzała. Lisa postanowiła pokryć zmieszanie, wracając do sedna sprawy.

— Oczywiście bardzo chętnie cię zapiszę. Pozwolisz, że oprowadzę cię po studiu? Zajęcia zaczynają się dopiero za pół godziny, ale mogłabyś obejrzeć sauny i Jacuzzi.

— Nie, nie chcę ich oglądać. Chcę się po prostu zapisać. Zróbmy to od razu.

— Kosztuje to sto dwadzieścia dolarów miesięcznie, ale możesz wykupić karnet roczny za dziewięćset dolarów. Tak jest najkorzystniej. — Dla kogoś z rodziny Duke'ow musiało to być obraźliwie mało, pomyślała Lisa. Nie rozumiała jeszcze zwyczajów i postawy bogaczy.'

— Hm. To drogo — stwierdziła Jo-Anne. — Jak na West Palm — dodała po namyśle. — Wezmę kartę na miesiąc i zobaczę, jak to będzie wyglądało.

Złota karta American Express pofrunęła na biurko i Lisa podziękowała w duchu Bogu, że podpisała porozumienie z tym towarzystwem. A głęboko się nad tym zastanawiała.

— Będę cię mieć za to? — Obie dziewczyny roześmiały się z najwyraźniej niezamierzonej dwuznaczności. To, co miała na myśli Jo-Anne, było oczywiste, ale wcale nie wydawało się jednoznaczne.

— Och, tak. Jestem tu przez cały czas — odparła Lisa, zdobywając się na obojętny uśmiech.

— Wspaniale. To pozwól, że coś ci powiem, Liso. Byłaś niesamowita na tym pokazie. Czułam się naprawdę podle, a ty podniosłaś mnie na duchu. To miejsce stanie się kopalnią złota. Wszystkie moje przyjaciółki będą chciały się tu dostać, bo mam zamiar im o tobie powiedzieć. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zgłosi się więc do ciebie całe mnóstwo neurotycznych, niezaspokojonych seksualnie, kłopotliwych pań, które mają znacznie więcej pieniędzy niż rozumu.

Lisa nie miała nic przeciwko temu. Modliła się właśnie o coś takiego, a teraz ta piękna wróżka machnęła czarodziejską różdżką i obiecywała raj. Lisa miała wrażenie, że ją lubi. Że będą dobrymi znajomymi. Jej matka byłaby taka szczęśliwa, taka dumna.

Jo-Anne dostrzegła pełen pragnienia, nieobecny wyraz twarzy Lisy i nagły cień smutku. — One nie są aż tak strasznie złe — zażartowała, mając całkowitą świadomość faktu, że to nie jej zniechęcające uwagi na temat sąsiadek z Palm Beach spowodowały ową chwilową zmianę nastroju.

— Nie, nie. Oczywiście, że nie. Chciałabym, żeby wszystkie do mnie przyszły — powiedziała szybko Lisa, zmuszając się do odsunięcia smutnych myśli. — Chodź, Jo-Anne Duke — powiedziała nagle, wstając i biorąc ją za rękę. — Powieszę cię na przyrządach i zobaczę, z czego jesteś zrobiona.

Jo-Anne uśmiechnęła się i zwilżyła językiem i tak wilgotne usta. — Z cukru i pikantnych korzeni, oczywiście — skłamała — jak wszystkie najwspanialsze małe dziewczynki.

.Po rozciągnięciu jej na urządzeniu Nautilusa, służącym do rozluźniania przykurczy mięśnia czworogłowego, okazało się, że Jo-Anne była zbudowana głównie ze ślicznie uformowanych, choć trochę zaniedbanych mięśni, więzadeł, ścięgien i kości. Dzięki aerobikowi i masażom stała się smukła i gładka, ale brakowało jej siły.

— Nie szkodzi. Nie ma się czym martwić — stwierdziła Lisa. — Dwa tygodnie i będziesz przeciągała na tym przyrządzie siedem, a może nawet i osiem ciężarków.

Lisa oprowadziła ją powoli po całej sali, demonstrując urządzenia

i sprawdzając, czy Jo-Anne zapamiętała, jak ich używać. Zasadniczą sprawą było poprawne wykonywanie ćwiczeń. Złe nawyki mogły się utrwalić i kiedy raz zaczęło się oszukiwać, a mięśnie pracowały niewłaściwie, cały starannie wyliczony program upadał i szansa na pozytywne wyniki zniknęła bezpowrotnie.

Pod koniec Jo-Anne zdała sobie sprawę, że połknęła haczyk, i to pod wieloma względami. Mięśnie, o których nawet nie wiedziała, że je ma, objawiły się nagle. Zapowiadało to interesujące poznawanie własnego ciała. Jej sylwetka poprawi się, a w ślad za tym i nastrój. Ale owo podekscytowanie miało i inne podłoże. To Lisa odsłoniła przed nią tę ścieżkę i była przewodniczką, a niemal obsesyjna uwaga, jaką zwracała na szczegóły, robiła równie silne wrażenie, co jej sensacyjny wygląd, równie pociągające, co chłód jej silnych rąk. Miała także wspaniałe poczucie humoru. Płomienna jak promyk słońca, inteligentna i świeża jak stokrotka; stare slogany są zawsze najlepsze. Dla Jo-Anne była to kombinacja nie do odparcia.

Stojąc pod prysznicem, Jo-Anne zdała sobie sprawę, że jest w doskonałym humorze, zaczęła nawet nucić tę okropną Hello Dolly, którą wszystkie zespoły nie wiadomo czemu grały z uporem na balach w Palm Beach. Czyżby tylko jej się wydawało, czy też naprawdę dostrzegła wypukłość nowego mięśnia w pobliżu barku? Lustro mówiło jej, że to prawda, ale przecież wczoraj to właśnie lustro przekonywało ją, że jest szara i nijaka. Lustrom, tak jak mężczyznom, nie można wierzyć. Wytarła się i szybko ubrała. Znalazła Lisę przygotowującą taśmy dla pierwszej grupy aerobiku, pochyloną nisko nad magnetofonem. Jo-Anne położyła rękę na jednym z twardych pośladków dziewczyny.

— Liso Starr, zjesz ze mną lunch? — spytała.

Lisa odwróciła się i uśmiechnęła. — Oczywiście, z ogromną przyjemnością — odparła, zaledwie cząstką świadomości odnotowując, że ręka Jo-Anne nadal spoczywała tam, gdzie ją przed chwilą położyła.

Jak wyglądam, Maggs? — Lisa okręciła się przed przyjaciółką, na wpół żartobliwie. Lunch z Jo-Anne w Palm Beach był niemal równie emocjonujący i nie do przewidzenia, co gra w „Szczęśliwy traf, kiedy w jednym pudełku jest brylant, a w drugim — grzechotnik. Lisa nie wiedziała, czego powinna się spodziewać. Pamiętała pełne zaangażowania monologi matki, ale nie wydawały się jej szczególnie pomocną; z niewyraźnego, przesyconego romantyzmem obrazu pozostały w pamięci głównie takie szczegóły, jak w co kto był ubrany i jak dobrze rozumiał menu po francusku. Czy będzie to lunch na dwanaście osób

w posiadłości Duke'ow, czy bufetowy, nad basenem, gdzie trzymając na kolanach talerzyki, będą ogryzać nóżki kurczaka i popijać wino; czy też posiłek w restauracji? Nie mogła tego wiedzieć, a instynktownie wyczuwała, że byłoby nietaktem zapytać. Postanowiła więc ubrać się w strój odpowiedni na wszelkie okazje i miała wrażenie, że to jej się udało. Bładoniebieskie spodnie były nieskazitelnie wyprasowane i miękkie. Do tego miała drogą, jedwabną koszulę kremowego koloru i żakiet Diane von Furstenberg, z poszerzonymi ramionami, który wynalazła na wyprzedazy w domu towarowym „Burdine”. Łącznie ze skórzanymi mokasynami i bielizną od Christiana Diora, cały jej strój kosztował niespełna sto dolarów, ale wyglądała w nim elegancko, a nawet wytwornie. Może spodnie Levi's nie były najlepiej dobrane, ale cóż poradzić.

— Wyglądasz jak pies. Duży, paskudny pies — Maggie wykrzywiła się w jej stronę. — Liso, naprawdę sędzę, że nie powinnaś wychodzić tak ubrana. Możesz spłoszyć konie.

Dopasowane spodnie napięły się na mięśniach ud, kiedy Lisa przyjęła niedbałą pozę, wspierając dłonie na biodrach i wypinając pośladki. Zaśmiała się z przyjaciółki, ale też i z własnej głupiej niepewności.

— No cóż, Palm Beach, jestem gotowa na spotkanie z tobą. Broń się! — powiedziała, próbując tak właśnie się czuć.

— O której ma po ciebie przyjechać?

— Przyjechać po mnie? Przyjechać po mnie? Dziecko, Duke'owie nie przyjeżdżają po ludzi, im się goście przywozi. Limuzyna ma przyjechać o pierwszej.

Lisa skłoniła się przesadnie. Po latach ćwiczeń bez kłopotu schylała się tak nisko; jej kruczoczarne włosy omiotły podłogę, a kolana pozostały wyprostowane. Ręce rozciągnęła w pełnym wdzięku geście baletnicy.

— Cóż, mogę ci powiedzieć tylko tyle: pamiętaj, abyś wróciła przed północą, Kopciuszkę. I nie prześpij się od razu, pierwszego dnia, z jakimś Cudownym Księciem.

Lisa miała właśnie wymierzyć solidnego kuksańca w pulchny pośladek Maggie, kiedy nagle podjechał samochód i obie dziewczyny zamarły na jego widok. Była to największa czarna limuzyna, jaką kiedykolwiek widziały.

Wydłużony mercedes Duke'ow wyglądał rzeczywiście imponująco i taki zresztą miał być z założenia. Chivers, ubrany w szary uniform angielski szofer, robił nie mniejsze wrażenie. Trzymając swoją czapkę z daszkiem pod pachą, z namaszczeniem wkroczył do studia gimnastycznego.

— Panna Elizabeth Starr? — Kiedy wymawiał nazwisko Lisy szczęka opadła mu tak, żeby nawet śladu „r” nie było słychać.

— To ja jestem Lisa. Czy zawiezie mnie pan na lunch do Jo-Anne Duke?

— Pani Duke prosiła, abym zawiózł panią na spotkanie z nią w Café L'Europe. — Powiedział to tak, jakby restauracja była miejscem mniej więcej tak dobrze znanym jak wieża Eiffla dla paryżanina; jakby było to miejsce, w którym Lisa jada codziennie.

— Prowadź mnie więc do swojej pani — odparła Lisa, mrugając znacząco do Maggie i ruszając w kierunku samochodu. Za nią, z lekkim pośpiechem, ruszył Chivers.

W klimatyzowanym wnętrzu samochodu Lisa rozprostowała nogi i próbowała się zrelaksować — do tego przecież ten cholerny pojazd miał służyć. Nie nadawał się do spania, ale osiem osób mogło tu spokojnie usiąść na poobiedniego drinka. Fotele były tak miękkie, że miało się wrażenie zapadania w nie. Było tak, jakby znalazła się na ruchomych piaskach — jak gdyby coś wciągało ją w wir czystego luksusu.

Roześmiała się głośno ze swoich namiętnych myśli. Chivers obejrzał się przez ramię, żeby zobaczyć, co ją tak rozśmieszyło. Nie zauważył jednak nic szczególnego, uciekł więc do swej roli służącego.

— Gdyby miała pani ochotę na coś odświeżającego, tuż przed sobą znajdzie pani barek. Jest tam świeży lód w pojemniku i koktajle w lodówce.

W pierwszym odruchu Lisa chciała odmówić, ale całkiem niespodziewanie zmieniła zdanie. Psiakość, właściwie czemu nie? Jeśli to się nazywa „dolce vita”, to dlaczego nie miałaby spróbować wszystkiego? Bogaci ludzie mieli zwyczaj szybko nudzić się nowymi zabawkami, czasem nawet zanim zdążyli wyjąć je z opakowania.

Sięgnęła więc przed siebie i otworzyła tajemnicze drzwiczki za którymi krył się barek. Nie było tam ani jednej butelki. Wszystko już podzielone na porcje w zrobionych z cienkiego szkła karafkach

o szerokim, płaskim dnie, jak na statku. Na szyjce każdej karafki wisiała srebrna etykieta, na której wygrawerowana była nazwa trunku. Lisa naląła sobie trochę wódki do jednego z ciężkich kieliszków

1 wrzuciła na wierzch garść kostek lodu. Schłodzona ciecz na dnie szklanki nabrała koloru. W barku były wszystkie możliwe do pomyślenia napoje. Był dzbanek z zimnym sokiem pomidorowym, Miller's Lite, Carlsberg oraz coś, co wyglądało jak sok ze świeżych pomarańczy w wysokim dzbanku, Taittinger Rosé, białe wino reńskie, wiśniówka Tío Pepe, talerzyk z plasterkami cytryny. Powstrzymując chęć spróbowania „krwawej Mary”, Lisa sięgnęła po martini i dołąła minimalną ilość

do wódki. Ignorując elegancką srebrną pałeczkę do mieszania alkoholi, włożyła do kieliszka palec. Nie może tak zupełnie dać się zwariować.

Zimny alkohol spłynął do żołądka i przesłał sygnały do mózgu. Niemal natychmiast poczuła lekki zawrót głowy. Nigdy nie piła alkoholu, ale dzisiejszy dzień był szczególny. W końcu jechała na drugą stronę jeziora, i to w stylu, o jakim marzyła jej ukochana matka. Dobrze, powiedzmy, że podejrzany był brak niebiańskich fanfar, ale po pierwszym łyku martini mogła już przysiąc, że anielski chór właśnie szykuje się do śpiewu. Znowu zachichotała do siebie, kiedy substytut złotego powozu wjeżdżał na Royal Palm Way, w samo serce Palm Beach. W oknie budynku „400”, w którym mieściła się giełda, dostrzegła, że wskaźnik Dow'a spadł o dziewiętnaście i czterdzieści osiem setnych punktu. Mój Boże, co za szkoda. Bogaci stali się odrobinę biedniejsi. Czy będzie musiała z tego powodu zadowolić się makaronem na lunch?

Tłum oczekujący, żeby dostać się do Doherty'ego, jaki zobaczyła, kiedy skręcili w prawo do South County, świadczył o tym, że mieszkańcy miasta robili dobrą minę do złej gry, ignorując spadek na giełdzie. Ludzie na Worth Avenue też nie wyglądali na zmartwionych.

Duży samochód wjechał w zabudowania Esplanade zupełnie tak, jakby wracał do domu; grupka chłopców parkingowych obstała go natychmiast. Chivers przemówił władczym tonem:

— Przypilnujcie samochodu przez chwilę, zaraz wrócę. — Następnie wyszedł z samochodu i otworzył przed Lisą drzwiczki. — Jeśli pani pozwoli, poprowadzę panią do pani Duke.

Idąc hiszpańskimi schodkami Esplanady, Lisa ledwie zauważała otoczenie. Wpatrywała się w niezgrabne pośladki sunącego przed nią Chiversa. Nie wiadomo czemu kojarzył się jej wyglądem z żołnierzem--konfederatem, przebranym do jakiegoś filmu telewizyjnego. Na szczycie schodów widniał emblemat, informujący, że mieści się tu Café L'Europe, i Lisa wzięła głęboki oddech, dziękując w duchu Bogu za to, że napiła się wódki. Kiedy weszli z Chiversem do środka, miała wrażenie, że szef sali już na nią czekał.

— Czy to jest gość pani Duke? — spytał z wyraźnym francuskim akcentem. — Proszę za mną, mademoiselle.

Lisie przemknęło przez myśl, że ten pozornie nieskończenie długo trwający proces eskortowania jej do otaczanej najwyższą czcią osoby Jo-Anne Duke może potrwać cały dzień. Przy stoliku będzie oczekiwał czarny majordomus, który zaprowadzi ją do gotowego już helikoptera, którym polecą na jacht, którym brodaty kapitan popłynie z nią do łodzi podwodnej...

Mając zaledwie słabe wyobrażenie o otaczających ją górach kolorowych kwiatów i jeszcze bardziej kolorowo ubranych ludziach, Lisa pozwoliła poprowadzić się przez salę pięknej restauracji.

Jo-Anne siedziała samotnie — oczywiście przy najlepszym stoliku. Na widok zbliżającej się Lisy wstała i wyciągnęła ku niej rękę. Jej uśmiech był ciepły, ale czyżby w słowa powitania wkradła się delikatna protekcyjna nutka?

— Moja nauczycielka, mój guru. Cudownie cię widzieć, Liso.

— Uff — Lisa westchnęła siadając. — Czy jesteś czarodziejką, objeżdżającą świat w interesach?

Jo-Anne zaśmiała się lekko.

— Przyznaję, że limuzyna jest trochę niezwykła, Chivers zresztą też. Ale zawsze sobie mówię, że jak już coś masz, to należy się tym chwalić.

To prawda, że Jo-Anne zawsze to powtarzała i jeśli tylko było możliwe — robiła. Być może, że kiedy będzie stara i siwa, to zacznie udawać skromność, jak robi to grupa bogaczy w Hobe Sound, ale na razie chciała odejść możliwie jak najdalej od wielkomiejskiego plebsu.

— Wypiję za to — powiedziała Lisa, sięgając po kieliszek schłodzonego szampana, który został nalany w ciągu tej chwili, nim zdążyła usiąść przy stoliku. Bąbelki poleciały jej prosto do nosa. Było to przyjemne. Zabawne, że kiedy już się tu znalazła, wszystkie jej obawy i wątpliwości ustąpiły, a pozostało uczucie radości. Tylko one dwie. To dobrze. Jo-Anne wydawała się naprawdę miła. Lisa zaczęła przyglądać się okazom flory i fauny Palm Beach, znajdującym się na sali, dostrzegając wreszcie, że rzeczywistość odpowiada jej marzeniom.

Jo-Anne spojrzała na nią z dumą. Chryste, ależ to wspaniała dziewczyna. Diabelnie pociągająca, o wyglądzie boginki. Czego ona chciała od życia? Jo-Anne miała zamiar znaleźć odpowiedź na to pytanie w czasie lunchu. Bo jeśli wiesz, czego ludzie pragną, o czym śnią w najskrytszych marzeniach, wtedy masz dużo szans na podporządkowanie ich sobie.

Jo-Anne poczuła dreszczyk emocji. Kontrolować, dominować, planować działanie. Co tam szampan i białuga! To tylko dodatki do głównej atrakcji.

— No i co o tym myślisz? — spytała.

Lisa nie była pewna, co myśli. — Kim są ci wszyscy ludzie? Zróbmy sobie taką małą wycieczkę w miejscu. Będiesz przewodniczką, dobrze? Bo przecież ty musisz ich wszystkich znać, prawda?

— Naprawdę cię to interesuje, Liso? Oni wszyscy z pewnością mogliby wykupić abonamenty na twoje zajęcia gimnastyczne, jeśli chciałabyś tego.

— Och, ja w ogóle jestem zafascynowana całą tą wyprawą do Palm Beach. Już jako mała dziewczynka miałam wrażenie, że mi się tu spodoba. Moja mama pracowała tu kiedyś jako pokojówka w domu państwa Stansfieldów — wiesz, u senatora Stansfielda. Ogromnie lubiła ten dom i na dobrą sprawę nigdy nie mówiła o niczym innym. Myślę więc, że w jakiś sposób odziedziczyłam po niej to zainteresowanie.

— No nie, ależ to fascynujące. To naprawdę interesujące, Liso. — Jo-Anne analizowała informację, kodując ją w myślach. Dziewczyna była absolutnie otwarta i dziecięco naiwna. Fakt, że matka była pokojówką, nie należy do rzeczy, którym większość ludzi nadawałoby rozgłos. Wydaje się także, że patrzyła na Palm Beach przez różowe okulary; lata opowieści spowodowały, że bogacze z Palm Beach w jej oczach byli jak celuloidowe lalki — pozbawione wad i doskonałe. Jo-Anne uśmiechnęła się do siebie i do Lisy. To ogromnie zachęcająca wiadomość.

— Cóż, przyjrzyjmy się im trochę. Przypuszczam, że słyszałaś

o Estee Lauder. To ta dama w żakiecie obszytym cekinami. Obok niej siedzi Helen Boehm. Produkuje porcelanę i prowadzi najlepszą drużynę gry w polo. Ten przystojny facet po prawej stronie Helen jest całkiem interesujący. To Howard Oxenberg — ma ogromne powodzenie u kobiet. Obok jego żona, Anne — prawdziwa laleczka — piękna i czarująca. Howard był kiedyś żonaty z księżniczką Elżbietą z Jugosławii; mają śliczną córkę, Catherine, aktorkę. Oxenbergowie przez część roku mieszkają w Wellington, w miejscu zwanym Palm Beach Polo and Country Club. Jo-Anne uśmiechnęła się, widząc, z jaką koncentracją Lisa przysłuchuje się jej słowom. Dla tych, co ich znali bliżej, tak jak ona, Oxenbergowie byli miłymi, zwykłymi ludźmi, których przyjście i wyjście mało kto zauważył, nie zasługiwało to bowiem na uwagę. Ale jeśli mówiło się o nich tak, jak pisuje magazyn „People”, stawali się niezwykli. Zapewne nieco pod wpływem reakcji Lisy stosunek Jo-Anne do tych starych znajomych trochę się zmienił, kiedy ujrzała ich w świetle entuzjazmu dziewczyny.

— Powiedz mi, proszę, o tym Wellington. Widziałam w telewizji wszystkie reklamy polo. Kto tam mieszka i czemu? Jo-Anne poczuła się trochę jak socjolog. Jak określić tę subtelną różnicę między Polo Club a właściwym Palm Beach? Trzeba być niezwykle uzdolnionym tworem socjalnym i mieć nos wyczulony na ciągle zmieniające się zapaszki i aromaty kontaktów towarzyskich, by umieć wyszczególnić te cechy charakterystyczne, które dzieliły obie społeczności. Ale na swój sposób Jo-Anne była ekspertem. Chyba tylko

sama Marjorie Donahue umiałaby Lisie lepiej odpowiedzieć na to pytanie.

— Oczywiście różnice nie są istotne. Wellington leży ponad trzydzieści kilometrów od morza. Kładą tam duży nacisk na sport — grę w golfa, tenis i, oczywiście, polo. Przypuszczam, że zaczęto je budować później. Z pewnością później. I jest bardzo nowobogackie. Wydają fortuny, starając się, żeby było to najbardziej pociągające w Ameryce miejsce dla ludzi młodych, kochających sport. I to im się udaje, ale nie do końca. Bardzo wielu mieszkańców Palm Beach jeździ w niedzielę do Wellington zagrać w polo, ale we wszystkie pozostałe dni tygodnia w sezonie mieszkańcy Wellington przyjeżdżają do restauracji i popływać tutaj. Oczywiście, tam jest taniej. Za około pięćset tysięcy dolarów możesz kupić coś, co jest prawie dobre, podczas gdy w Palm Beach za tę sumę możesz dostać co najwyżej skrzynkę dla królików. Ale myślę, że tym, co naprawdę ma znaczenie, jest kwestia pochodzenia. W naszym mieście biali Anglosasi nie mieszają się z Żydami., To coś jakby apartheid. Estee Lauder nie byłaby, na przykład, mile widziana w Bath and Tennis Club, choć członkowie „B and T” z prawdziwą radością poszliby wypić u niej szampana, gdyby wydała jakieś wielkie przyjęcie na cele dobroczynne. Do Polo Club jest dużo łatwiej się dostać, jest bardziej demokratyczny, liberalniejszy. Może chciałabyś tam z nami pojechać w niedzielę? Poznałabyś przy okazji mojego męża Petera. Zazwyczaj jemy najpierw duży lunch, a potem zajmujemy miejsce koło budki z napojami, pijemy za dużo pimmsa i obserwujemy grę.

— Brzmi to ogromnie zachęcająco. Bardzo chciałabym zobaczyć Polo Club.

Lisa usiadła wygodnie i rozluźniła się, popijając szampana. Żadna z jej obaw się nie spełniła. Menu okazało się banalnie prostą przeszkodą, przez którą przeskoczyła bez problemu — sałatka, po której przyniesiono krwisty stek. Jo-Anne także była absolutnie urocza, pozbawiona wszelkich pów i kaprysów, które przecież tak łatwo mogły stać się produktem ubocznym jej wprost nieprzyzwoitego bogactwa. Jak dotąd Palm Beach spełniało oczekiwania Lisy.

— Hej, spójrz, o wilku mowa. — Głos Jo-Anne ożywił się nagle. Dłonią wskazała w stronę wejścia do restauracji.

Lisa spojrzała, ale ten, kogo tam zobaczyła, z pewnością nie przypominał wilka.

Jej pierwsza reakcja była niemal w zupełności biochemiczna. Słowa, którymi można by ją opisać i wszelkie próby uzasadnienia przyszły później. W pierwszej chwili poczuła tylko nagle poruszenie, emocję

i uczucie, jakby w jej brzuchu nagle znalazł się cały rój szerszeni. Nie umiała określić, co się z nią stało, kiedy w drzwiach sali dostrzegła tego niezwykle przystojnego mężczyznę. Poczula się w każdym razie bardzo niezręcznie. Kiedy wreszcie udało się jej odzyskać kontrolę nad sobą, spróbowała przyjrzeć się dokładniej nowo przybyłemu, szukając powodu zmieszania i nie znalazła satysfakcjonującej odpowiedzi. No dobrze, był ogromnie przystojny, ale to wcale nie wydawało się takie niezwykle. Musiało być coś ważniejszego. I nie płynęło to jedynie od niego, lecz było efektem oddziaływania wzajemnego jej i tego obcego człowieka. Nie umiejąc sobie tego wyjaśnić, Lisa obserwowała rozwój sytuacji i czekała. Mężczyzna opuścił swoją pozycję przy drzwiach i ruszył w głąb restauracji. Jedno było oczywiste. Emanował sukcesem oraz przyprawiającą o zawrót głowy charyzmą i wszyscy pomniejsi śmiertelnicy natychmiast to wyczuwali. Szef sali, który wobec Lisy zachowywał się poprawnie, ale rzeczowo, prowadząc nowego gościa między stolikami wprost zginał się w ukłonach. W całej sali wypełnionej gośćmi giętke szyje pood-wracały się we właściwą stronę i wszyscy bezwstydnie wodzili wzrokiem za przystojnym przybyszem; szmer rozmów przycichał, w miarę jak łokcie trafiały w żebra sąsiada, palce łapały za ręce siedzących tyłem, by zwrócić ich uwagę na niezwykle osobistość.

Lisa spojrzała bezradnie na Jo-Anne. Nie musiała pytać — Jo-Anne uśmiechnęła się do niej.

— Bobby Stansfield — powiedziała po prostu. — A to jego matka, Caroline Stansfield, tam za nim.

Lisa poczuła nagle, że robi się jej słabo. To był Stansfield. Bobby Stansfield. Wywierający wrażenie na wszystkich. Mityczny superboha-ter Lisy — typowy przedstawiciel rodu Stansfieldów, tej baśniowej rodziny tytanów, którzy zapełniali romantyczne marzenia jej matki. Nic dziwnego, że natychmiast wyczuła, rozpoznała podświadomie, iż to ktoś dla niej niezwykle ważny.

No i Caroline Stansfield — pracodawczyni jej matki. Duch Palm Beach, istota z magicznego świata po drugiej stronie jeziora. Dobry Boże! Mieszane uczucia tworzyły taką płataninę, że Lisa z trudem była w stanie myśleć sensownie. Bobby Stansfield, ten urodziwy, pociągający, sławny człowiek, który pewnego dnia być może zostanie prezydentem. Caroline Stansfield, która wyrzuciła z pracy matkę i zrujnowała jej życie, po czym została uznana za boginię w nagrodę za brak miłosierdzia. Czy Lisa modliła się do niej, czy jej nienawidziła? Nie sposób było intuicyjnie poznać odpowiedzi na to pytanie. Pobladła,

siedziała bez ruchu jak przerażone zwierzątko, zahipnotyzowane przez światła pędzącego w jej stronę samochodu — niezdolna do ruchu, niezdolna do myślenia. Jak przez mgłę dotarło do świadomości Lisy, że Stansfieldowie szli prosto w jej kierunku.

— Jo-Anne Duke? I lunch we dwie? No, ładnie. Muszę tu częściej przychodzić. — Ton głosu mówił o wiele więcej niż słowa. Intensywnie niebieskie oczy zatrzymały się na Lisie. — Czy mógłbym zostać przedstawiony twojej bardzo pięknej towarzyszce?

Jego twarz nadal uśmiechała się, ale głos stał się śmiertelnie poważny.

— Och, Bobby, to jest Lisa Starr. Senator Stansfield. Lisa otworzyła ostatnio najwspanialsze studio gimnastyczne w West Palm. I zamierza zmienić moje życie, zrobić ze mnie żeńską odpowiedniczkę Adonisa, jeśli coś takiego istnieje.

Zarówno Lisa, jak i Bobby nie zwrócili uwagi na lekko protekcyjny ton Jo-Anne. Zajęci byli czym innym.

— Bardzo się cieszę, że panią spotkałem, panno Starr. Może, jeśli znajdzie pani wolną chwilę, zechciałaby pani zmienić także i moje życie?

Lisa oblała się rumieńcem pod wpływem słów i spojrzenia Bob-by'ego, który jakby usiłował zajrzeć do jej duszy. Boże, jakież on jest atrakcyjny. Aż nieprzyzwoicie.

— Mamo, znasz żonę Petera Duke'a, Jo-Anne. A to jest panna Lisa Starr, której, co muszę stwierdzić z wyraźną przykrością, nigdy przedtem nie spotkałem.

Jak cudotwórca, który wyczarowuje królika, usunął się o krok, odsłaniając Caroline Stansfield. Jej niewyraźny uśmiech wszystko wyjaśnił. Posiłki kosztujące po tysiąc dolarów od osoby — jeśli były uzasadnione politycznie — należy uważać za obowiązek służbowy; rezerwowanie stolika w restauracji — to perwersja.

Caroline Stansfield wyciągnęła drobną, kruchą dłoń i obie, Jo-Anne i Lisa, wstały, żeby ją uścisnąć. Tak, zna Jo-Anne Duke. Dziwka z sercem z brązu lub innego nieprzyjemnego metalu. Lisa Starr? To brzmi jak nazwisko aktorki. Z pewnością nie jest spokrewniona z rodem Starrów z Filadelfii. Ale te piękne oczy i te wyraźne kości policzkowe wydawały się znajome. Kogoś jej przypominały. Do diabła! Ostatnio zupełnie zawodziła ją pamięć. Kimże, u licha, była ta dziewczyna?

— Lisa Starr — powiedziała w zamyśleniu, ściskając jej dłoń. — Jestem pewna, że skądś cię znam. Czy spotkałyśmy się już kiedyś? Można by tak wiele powiedzieć o życiu w udręce, ambicjach matki, radości i bólu — ale oczywiście to wszystko było niemożliwe.

— Nie. Sądzę, że nie spotkałyśmy się przedtem. — Była to jedyna odpowiedź, jakiej Lisa mogła udzielić.

— Chodź, Bobby. Jestem strasznie głodna. Postawisz mi wreszcie ten lunch czy nie? — Rozkaz Caroline Stansfield został, jak zwykle, natychmiast wykonany.

Bobby Stansfield wziął matkę pod rękę, podejmując dalszą drogę w kierunku stolika. Przez ramię rzucił jeszcze z naciskiem:

— Kiedy wreszcie zaprosisz mnie do siebie, Jo-Anne? A może Duke'owie zaczęli oszczędzać? Zadzwoń do mnie, dobrze? Do widzenia, Liso Starr. Mam ogromną nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Lisa miała wielką ochotę roześmiać się, ale opanowała się natychmiast.

6

Po raz pierwszy od wielu tygodni Lisa odprężyła się naprawdę. Sauna poprawiła jej krążenie, oczyściła pory w skórze i usunęła bolesne napięcie ze zmęczonych mięśni. A teraz Jacuzzi dopełniało efektu. Ciepłe biczki wodne opływały jej ciało masując, łagodząc, pobudzając je. Wokół panowała cisza; jedyne dźwięki, jakie było słychać, to szum wody. Przyćmione światło rzucało łagodne blaski. Wreszcie była wolna, mogła swobodnie puścić wodze fantazji, czuć, cieszyć się chwilą obecną. Jednak niespokojne myśli nadal krążyły jej po głowie. Tak wiele się ostatnio wydarzyło. W krótkim czasie przebyła ogromną drogę: od skrajnej rozpaczki aż na szczyt powodzenia. Był to tygrysi skok, wyczerpujący, przerażający, niebezpieczny. A sama Lisa zaledwie częściowo nim kierowała, po części było to od niej niezależne.

Przedtem żyła w poczuciu bezpieczeństwa, wygodnie, otoczona miłością. Gwarantowali jej to wszystko rodzice. Bolesna świadomość ich utraty przestała już być tak ostra — upływający czas złagodził rozpacz — ale wspomnienia ciągle jeszcze były jak żywe. Najbardziej brakowało jej matki, tęskniła za jej ciepłym, podnoszącym na duchu uściskiem. Płomienie pożarły matczyne marzenia, ale czyż nie żyją one, przekształcone i przeszczepione, w Lisie, w postaci jej snów o innym życiu? Lisa westchnęła i otarła kropelki potu z brwi. Zrezygnowała z zamiaru uczenia się w college'u i zostania nauczycielką. Czy powinna żałować? Gdyby pozostała w próżni, zapewne lęk właśnie by się stało. Ale jej życie wypełniło co innego. Była królową w swoim własnym królestwie, a nie szarym pracownikiem, najętym do pracy u kogoś. Jej królestwo wydawało się, oczywiście, bardzo maleńkie, ale to ona nim rządziła. I wszyscy dostrzegali jej wielki sukces. Zgłoszenia napływały zewsząd i lista była już prawie pełna. Ale nie tylko to. Zyskała także

szansę dania matce najwspanialszego pośmiertnego prezentu. W niedzielę będzie siedziała z Duke'ami w ich prywatnej loży, przyglądając się rozgrywkom polo. Nie jako służąca, ale na równych prawach z innymi. Osiągnęła to, co dla Mary-Allen było nieziszczalnym marzeniem. To prawda, że jak dotąd zdążyła zaledwie niepewnie postawić stopę na pierwszym szczebelku drabiny, ale z całą pewnością nie wystartowała z samego dna.

Nie zamierzała też spocząć na laurach. Umocni swoją pozycję, okopie się jak żołnierze na froncie, przygotuje sobie zaplecze, a potem ruszy gwałtownie na podbój, aby rzucić Palm Beach na kolana i zdobyć wszystkie jego skarby i cuda. Pieściła w marzeniach tę myśl, a jednocześnie nie potrafiła przezwyciężyć uczucia żalu. Psiakrew, to takie niesprawiedliwe. Gdyby jej matka żyła i mogła to zobaczyć. Gdyby jej tata, dziadek... Ale oni wszyscy odeszli i nie pozostał nikt, kto obserwowałby jej pierwsze, nieśmiałe kroki.

Była zupełnie sama w tym pełnym zagrożeń i trudności świecie, miała tylko swój spryt, urodę i swoje wspaniałe marzenia do pomocy. Nagle Lisa poczuła, jak opuszczają pewność siebie, a uciskowi w gardle towarzyszą łzy, które pojawiły się w jej oczach. „Twoi wrogowie są moimi wrogami — tak mawiał dziadek Jack. — Jeśli ktoś potraktuje cię nie tak jak trzeba, Liso, to tylko mi o tym powiedz, a nie będzie mu łatwo gryźć steki”. Po tych słowach zawsze wybuchali radosnym śmiechem. Jack Kent niejednemu złamał szczękę, a wobec jakiegoś wydumanego czy rzeczywistego nieprzyjaciela jego ukochanej wnuczki zapewne zastosowałby bez porównania surowszą karę. Mając takiego człowieka u swego boku, można było nie obawiać się niczego. Przy twardym starym Jacku i ojcu z ogromnymi pięściami dzieciństwo upływało Lisie w poczuciu pełnego bezpieczeństwa. Żaden czarny urwis nie odważył się jej zaczepić za rogiem domu, żaden podpity wyrostek nie zaryzykował bezczelnej uwagi, kiedy zaczęły jej rosnać piersi, żaden z jej chłopaków nie starał się ukraść całusa, jeśli na to nie pozwalała. A potem, w ciągu kilku minut wszyscy jej opiekunowie odeszli i zostawili ją samą. Dziecko pozbawione matki i ojca.

Wielka łza spłynęła po jej rozpalonym, wilgotnym od potu policzku i Lisa sięgnęła dłonią, żeby ją otrzeć. W Palm Beach nikt nie rzucił się na nią z pięściami. Ich bronią są ostre jak sztylet słowa, obrońcami adwokaci i pieniądze, a sojusznikami — złośliwe języki przyjaciółek. Rywalizacja w tym świecie nie będzie łatwa ani bezpieczna. W dziwny sposób ta myśl ucieszyła Lisę. Jakby nie było, w jej żyłach płynęła krew Jacka Kenta, a jeśli istniało cokolwiek, co go wprawiało w dobry humor, z pewnością była to perspektywa solidnej bijatyki, najlepiej

z przeciwnikiem, który miał przewagę. Jej ojciec był niezupełnie taki sam, ale widziała, jak kiedyś w barze Roxy'ego oczy mu zabłyśły, kiedy napił się piwa, a jakiś młodzik uznał, że nadszedł czas, by zmierzyć się ze starszymi i lepszymi od siebie. Ona też da sobie radę, stawi im czoło i wygra. Nieważne, jak wielkie działa przeciw niej wytoczą. Jakby dla uwolnienia się od nagłego uczucia przygnębienia, zanurzyła się w bulgoczącej, ciepłej wodzie. Kiedy ponownie uniosła głowę, powróciła jej pewność siebie.

Zaczęła myśleć o niedzieli. Jak to będzie? Kogo tam spotka? Bobby'ego Stansfielda? Myśl ta pojawiła się jak promień słońca przebijający przez grubą chmurę — nagle, nieoczekiwanie, z tym samym rozgrzewającym i podnoszącym na duchu skutkiem. Stans-field — nazwisko, które umiało skłonić do koncentracji sił, do powiązania w spójną całość porzrzucanych nitek. Było to słowo-wytrych do wszystkiego — jej przeszłości, teraźniejszości i, jak miała nadzieję, przyszłości. Być może był on tylko symbolem świata, którego szukała, ale robił niezwykle wrażenie.

Mmmm. Lisa poczuła się jak pączek kwiatu pod wpływem promieni słońca. Doskonale pamiętała błyszczące, niebieskie oczy senatora i melodyjny głos, który wyraził podziw dla tego, o czym wiedziała, że jest godne podziwu. To prawda, że była piękna, ale on też. Zupełnie tak, jak mówiła jej matka, a nawet jeszcze bardziej. Co może się zdarzyć? Czy spotka go znowu? W niedzielę? A jeśli nie, to może na kolejnym przyjęciu u Jo-Anne? W restauracji na pożegnanie powiedział, iż ma nadzieję, że się jeszcze spotkają.

Czy będzie jej pragnął? Polubi ją? Czy mógłby ją pokochać? Także fizycznie? Leżała tak, rozmyślając pod ciepłym, pieszczotliwym strumieniem wody.

Dotychczas nie odczuwała pragnienia czyjegoś ciała i fizycznego kontaktu z ukochanym. Uważała to za potrzeby drugorzędne. Coś takiego przydarzy się jej, oczywiście, ale dopiero wtedy, kiedy uporządkuje już swoje życie. Wtedy będzie to przyjemną, nawet fascynującą odmianą, zajęciem na wolne chwile, zajmującym miejsce gdzieś pomiędzy sztukami Tennessee Williamsa i koncertami muzyki w stylu country w sobotnie wieczory. Nie potrafiła zrozumieć ludzi, których życiem kierowała miłość. Wydawało się jej to takie bezsensowne i egocentryczne. A dla niej najważniejsze było opanowanie. Kontrolowanie siebie samej. Miała chłopców, lecz nigdy nie stawiali się treścią jej życia, a niewybredne dowcipy i niezdarne pocałunki nie wywoływały w niej chęci ofiarowania im tego, czego tak desperacko pragnęli. Jasne,

pewnego dnia dojdzie i do tego. Ale na razie była raczej ciekawa, jak to będzie, niż niecierpliwa.

Delikatnie uniosła się z miejsca. Przytrzymując obiema rękami brzeg wanny, podstawiła dolną część brzucha pod kran. Woda pieściła ją, głaskała, podniecała. Przez rozchylone usta Lisa oddychała głęboko. Ostrożnie, nie za szybko. Rozchyliła uda, pozwalając, aby woda spływała jej z brzucha niżej. Po chwili powolnym ruchem odwróciła się i podsunęła pod wodę pośladki. Odczuwając narastające podniecenie, nieświadomie zaczęła się poruszać, nasilając wrażenia. Zgięta w pasie, z wyprostowanym kręgosłupem, z twarzą na poziomie wody, klęczała tak, coraz intensywniej odczuwając pobudzenie wywołane uderzeniami strumienia Jacuzzi. Nagle w jej rozgorączkowanym umyśle odczucia połączyły się, a podniecenie nie było już wywołane mechanicznie; wyobrażała sobie, że należy do Bobby'ego Stansfielda.

W jej zamglone myśli niespodziewanie wdarł się dźwięk dzwonka u drzwi.

Chryste! Psiakrew!

Starą się zignorować go, powrócić do świata marzeń, z którego została brutalnie wyrwana. Zanim to jej się udało, dzwonek przestał dzwonić. Cudownie! Ponownie ułożyła się w poprzedniej pozycji, ale nastrój chwili wyraźnie przysł. Dzwonek zadzwonił powtórnie, tym razem natrętnie, zupełnie jakby osoba za drzwiami wiedziała, że ktoś jest w studiu.

Lisa podniosła się, złapała ręcznik i na bosaka pobiegła przez salę gimnastyczną w kierunku wejścia.

— Kto tam? — krzyknęła, nie otwierając zasuw. W West Palm nie było zwyczaju otwierania obcym.

— To ja, Jo-Anne — usłyszała wypowiedzianą pewnym siebie głosem odpowiedź, z tonu której wynikało, że gość nie zwrócił najmniejszej uwagi na wyraźnie pełne poirytowania pytanie.

— Och, Jo-Anne. Poczekaj moment, już otwieram. Wyciągnęłaś mnie z wanny.

Wcale nie wyglądało na to, by wyraźny brak entuzjazmu przy powitaniu w najmniejszym choćby stopniu zniechęcił Jo-Anne. A raczej nawet odwrotnie — Lisa Starr wyciągnięta prosto z wanny wydawała się jej smakowitym kąskiem. Kiedy drzwi w końcu się otworzyły, potwierdzając prawdziwość słów Lisy, Jo-Anne uśmiechnęła się.

— Właśnie przejeżdżałam tędy i zobaczyłam, że się świeci. Zaciekało mnie, co tu robisz o tej porze.

Klamała jak z nut, patrząc Lisie prosto w oczy. Trudno byłoby jechać dokądkolwiek przez tę część ulicy Clematis.

Jo-Anne kilkakrot-

nie w ostatnich dniach — kiedy tylko zdarzało się, że była po tej stronie jeziora — zamierzała zajrzeć do studia. Wyglądało na to, że tym razem trafiła w dziesiątkę.

Lisa zdawała sobie sprawę z topografii swego studia; nieprawdopodobne, żeby Jo-Anne znalazła się tu przypadkowo. Nie miała jednak zielonego pojęcia, po co ta przyjechała.

— No co, nie zaprosisz mnie do środka? Mogę zamarznąć na śmierć, jeśli będziemy tak stały.

Obie roześmiały się z żartu. Temperatura powietrza dochodziła do plus trzydziestu sześciu stopni.

— Ależ oczywiście, wejdź, proszę.

— Nie chciałabym ci przeszkadzać. Wracaj do wanny. Właściwie sama chętnie dołączyłabym do ciebie. Naturalnie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Skądże, bardzo proszę. Będzie dobra okazja, żebyś mi powiedziała trochę o tym, czego mam się spodziewać w niedzielę. — Nieproszony gość w przewidzianej dla jednej osoby wannie nie był tym, czego Lisa pragnęła, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że Jo-Anne miała być owym czarodziejskim „sezamie, otwórz się”, dzięki któremu wejdzie do Palm Beach. Lepiej więc się podporządkować.

Jo-Anne celowo szła o krok z tyłu. Przed nią stąpała owinięta w ręcznik, ociekająca wodą Lisa. Jo-Anne przyglądała się jej. Szerokie, proste ramiona, muskularne łydki, delikatne, ładnie wykrojone stopy, starannie polakierowane paznokcie u nóg. Długie, ciemne włosy — wilgotne i splątane — opadały na ramiona, na których lśniły kropelki — wody? Potu? Lisa szła energicznym, lekkim krokiem — może troszkę zbyt mocno stawiając stopy, zapewne wskutek dużej ilości ćwiczeń. W każdym razie nie był to chód typowo kobiecy. Jo-Anne nagle poczuła, jak zaczyna ogarniać ją podniecenie. Za chwilę ten posąg się odsłoni. I nietrudno przewidzieć, że widok będzie wspaniały.

Faktycznie, przez moment, kiedy już biały ręcznik leżał na mozaikowej posadzce sauny, Liza Starr stała naga tuż przy wannie. Ciągłe jeszcze przyciemnione światło tworzyło szczególny obraz — przywodziło na myśl fotografię z późnego okresu wiktoriańskiego, przedstawiającą dziewczynę kąpiącą się o świcie w jakiejś leniwej, indyjskiej rzece. Ciało Lisy rzeczywiście było piękne. Stała tak przez moment w swobodnej pozie zawodowej atletki, z jedną nogą wysuniętą nieco przed siebie. Światło padało na gładkie mięśnie, na trójkącik czarnych włosów, na płaski brzuch. Prawą rękę opuściła luźno, układając palce w podobny sposób, jak robią to wyrzeźbione w marmurze boginie greckie; lewą rękę wysunęła przed siebie na wysokości ramienia,

ukazując ładnie zarysowane piersi. Czy to z powodu ciepła, czy może uderzenia strumienia wody spowodowały, że delikatne sutki były różowe i sterczące. A może zawsze tak wyglądają? Może jej piersi są właśnie takie jak piramidki: przyciągają uwagę, zachęcając do ich dotknięcia?

Jo-Anne wpatrywała się w nie, starając się jak najlepiej zapamiętać każdy szczegół, póki Lisa nie weszła nagle do wanny.

Wskakując do wanny, Lisa miała świadomość, że Jo-Anne przygląda się jej w szczególny sposób. Nie zdając sobie sprawy z krążącego wokół niej pożądanego, wyczuła jednak, że woda da jej schronienie przed obcą, egzotyczną atmosferą, jaka powstała między nimi. Dotyk wydobywających się z wody bąbelków powietrza spowodował, że poczuła lekki dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Spojrzała na Jo-Anne badawczym, pytającym wzrokiem. Kobiety zawsze ciekawe są widoku ciała innych i Lisa, profesjonalistka w tym zakresie, nie była wyjątkiem. Ale tym razem nie tylko o to chodziło. Na moment spuściła wzrok pod wpływem ogarniającego ją zakłopotania, po chwili jednak jakaś magnetyczna siła, ledwie uświadomiana sobie przez Lisę, zmusiła ją do ponownego podniesienia oczu. Jo-Anne wpatrywała się w nią wzrokiem, w którym była niemal hipnotyczna moc. Jej spojrzenie, pełne niepokoju, przyjazne, a jednocześnie przerażająco władcze, nie pozwalało zignorować zawartego w nim przesłania.

„Jestem ubrana, ale wkrótce i ja będę naga. Chcę, żebyś patrzyła, jak się rozbieram” — mówiły oczy Jo-Anne i Lisa, nie mogąc i nie chcąc się im opierać, posłuchała. Tysiące razy widziała rozbierające się dziewczyny, ale tym razem miała zupełnie inne wrażenie. Nie mogła przestać myśleć o tym, że czuje się, jakby podglądała Jo-Anne przez dziurkę od klucza.

Jo-Anne zaczęła rozpinąć mosiężne klamry szerokiego pasa z brązowej skóry otaczającego jej smukłą talię.

Spokojnie opuściła trochę niebieskie spodnie i białe majteczki. Jej oczy śmiały się i kpiły z Lisy, zachęcając ją do skoncentrowania się na odkrywanych częściach ciała. Lisa poczuła suchość w ustach. W dziwny sposób nie mogąc oprzeć się przesłaniu, spojrzała bezradnie na wylaniające się spod opuszczonych spodni włosy łonowe Jo-Anne.

Widząc to, Jo-Anne zrezygnowała ze zdjęcia spodni już teraz i zaczęła rozpinąć niebieską, jedwabną męską koszulę, pod którą nie miała na sobie nic. Jak posłuszna marionetka, Lisa podniosła wzrok i spojrzała na pełne, ładnie ukształtowane piersi tamtej.

Milczenie trwało już tak długo, że stało się krepujące, ale Lisa nie wiedziała, co powiedzieć. Rodził się między nimi jakiś niedobry

związek; niewłaściwy, o którym trudno było mówić. Z narastającym przerażeniem Lisa zorientowała się, że jej uczuciu suchości w ustach towarzyszy dziwne uczucie podniecenia.

Jo-Anne wyczuła to, wyczytała ze speszonych oczu. Zdarzało się to bardzo często. Dziewczęta odbierały to jako coś niedobrego, nie chcianego, co przeradzało się w niedozwolone pożądanie pod wpływem jej uwodzicielskiego zachowania. Szybko zsunęła spodnie, majteczki i skarpetki, po czym zwinnym ruchem zanurzyła się w wodzie, nadal nic nie mówiąc — bo słowa byłyby wrogiem czarów.

Siedząc naprzeciw swojej ofiary w bulgoczącej wodzie, Jo-Anne cierpliwie oczekiwała na właściwy moment.

W pewnej chwili do Lisy zaczęło powoli docierać to, co się dzieje. Po raz pierwszy w życiu była podniecona z powodu kobiety, bardzo pięknej i władczej kobiety, siedzącej tuż przy niej w tej samej wannie.

Ale dlaczego? Czy to tylko dalszy ciąg przerwanej próby samoza-spokojenia, czy jej pobudzone zmysły szukały jakiegoś zastępczego obiektu? Nie, to przecież nie tylko ona tak się czuje. Jo-Anne z całą pewnością nie była biernym uczestnikiem tego, co się działo. Były od niej fale zmysłowości, wywołujące dreszcze na skórze Lisy.

Roześmiane oczy Jo-Anne wpatrywały się w dziewczynę, doskonale rozumiejąc przeżywane przez nią dylematy, kpiąc z jej narastającego podniecenia i zachęcając ją jednocześnie. Aż wreszcie, z uspokajającym uśmiechem na rozchylonych ustach, Jo-Anne przyłgnęła do ciała Lisy. Powoli, leniwie zaczęła ją całować. Muskające usta, ciepłe, miękkie i suche jak powietrze, najpierw nawet nie dotykały dziewczyny. Zawisły tuż nad jej ustami, zbliżając się niezmiernie wolno, owiewając oddechem jej twarz, wdzierając się do nozdrzy. Później opadły na jej wargi i zamarły, delikatne i spokojne. Lisa poczuła zawrót głowy, kiedy Jo-Anne zaczęła przesuwać delikatnie wargami po jej ustach; badawczo, z ciekawością, czule przemawiając bezgłośnym językiem miłości. Ciągle jeszcze nie był to właściwie pocałunek, raczej zawarcie paktu, sojuszu, który obiecywał podróż w nieznane obszary miłosnej ekstazy! Po raz pierwszy w życiu Lisa czuła się bezradna; cokolwiek się miało stać, była skłonna to zaakceptować. Bierna zgoda na dotyk ust Jo-Anne stała się czymś w rodzaju podpisu pod tym przerażającym kontraktem.

Jakby wyczuwając kapitulację, Jo-Anne ruszyła na podbój, przesuając językiem po na pół rozchylonych wargach Lisy. Lisa zdusiła jęk rozkoszy, czując, jak jej ciało w środku ogarnia wilgotne podniecenie. Oparła plecy o ścianę wanny i wyprostowała nogi, otwierając się przed Jo-Anne.

Tamta dostrzegła ów gest przyzwolenia. Jej palce przesunęły się pod wodą i odszukały nabrzmiałe sutki dziewczyny, zaczęły pieścić jej piersi — delikatnie, z pełnym zachwytem uwielbieniem. Wreszcie uchwyciła sutki między palce, a jednocześnie wsunęła język między rozchylone zęby Lisy. Cała skoncentrowała się na tym pocałunku. Jej dłonie gładziły pieśczośliwie rozpalone policzki partnerki, jej język w niezwykle pomysłowy i namiętny sposób rozbudzał pragnienie. Przyciągnęła Lisę do siebie, prawą ręką ujmując jej głowę, wczepiając się w wilgotne włosy dziewczyny, a jednocześnie z całej siły wpijając się ustami w jej usta. Momentami całowała niemal brutalnie, po to, by za chwilę żartobliwie bawić się pocałunkiem, zaledwie muskając wargi.

Lisa zatraciła się na moment w tym pocałunku. Wszystko inne przestało się liczyć. Nie pozostało nic z jej ambicji, wspomnień, uczuć. Istniała tylko ta chwila, ta ogarniająca ją błogość. Dotyk języka Jo-Anne sprawiał jej narastającą rozkosz i zaczęła odczuwać zbliżanie się momentu ekstazy.

Jo-Anne zdała sobie sprawę z tego, że ciało dziewczyny zaczęło wibrować w jej ramionach — otwarte, proszące, wręcz błagające, żądające satysfakcji.

Jeszcze nie, nie teraz. Nie tym razem, zdecydowała. Sama pragnęła tego samego, a jednak postanowiła za wszelką cenę się powstrzymać. Z trudem hamując pożądanie, zwolniła uścisk i zaczęła całować Lisę spokojniej, mniej namiętnie, aż wreszcie wsunęła palec wskazujący między ich usta tak, by je ' rozdzielić, i cofnęła się szybko. Spojrzała z czułością na rozpaloną twarz dziewczyny i uniosła się bez słowa. Przez moment stała tak nad swoją niedoszłą kochanką; wysoka i wspaniała, nieobliczalna.

Lisa poczuła dreszcz nadziei, zderzający się z nagłą wątpliwością. Uniosła głowę i spojrzała pytająco na tę, która zaledwie kilka sekund temu obiecała jej rozkosz, ale i była przyczyną tak kłopotliwego położenia. W odpowiedzi Jo-Anne powiedziała cicho:

— Nie teraz, Liso. Nie teraz, moje kochanie.

Sekundę później już jej nie było w wannie. Z wdziękiem pochyliła się, złapała ręcznik i po chwili, wypełnionej obezwładniającym Lisę rozczarowaniem, wyszła.

Siedząc w samochodzie Duke'ów, mknącym wzdłuż Forest Hill Boulevard w kierunku terenów do gry w polo, Lisa rozmyślała gorączkowo. Wszystko działo się zbyt szybko. To, co dobre, co dziwne, co przerażające. Przecież tak niewiele brakowało, a zostałyby uwie-

dziona przez tę słodko pachnącą, szczebioczącą miliarderkę, która teraz siedziała tuż przy niej jak uosobienie niewinności. Od chwili spotkania, Jo-Anne zachowywała zimną krew. Kiedy Lisa wsiadła do limuzyny, Jo-Anne cmoknęła ją w policzek, jakby witała swoją ulubioną siostrzenicę. Najwyraźniej chciała, żeby zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Lisie ogromnie to odpowiadało. Uważała usta Jo-Anne za groźną broń, a powtórzenie się owego wieczora w jej studiu było ostatnią z rzeczy, których pragnęła, teraz i w ogóle kiedykolwiek.

Lisa wciągnęła głęboko oddech, starając się opanować. W końcu dostała się przecież w wir życia, znalazła się w samym sercu wymarzonego przez nią Palm Beach. Było to cudowne, ale i przerażające. Bobby Stansfield też został zaproszony. Miała go znowu spotkać. Boże, spraw, żeby przyszedł. Ktoś taki jak on zawsze mógł zmienić plany. Wystarczyłby jakiś kryzys w Ameryce Południowej czy problemy ze stopą procentową i musiałyby pojechać gdzie indziej. Bobby Stansfield. Oczami wyobraźni widziała pożądanie w jego spojrzeniu i sama też przesyłała sygnały, mówiące, że go pragnie. Kiedy się spotkają, znajdzie się w niebie. To takie proste i oczywiste. Pozostawał tylko jeden straszny problem. Posłuchała złej rady i ubrała się całkiem nieodpowiednio.

To najstarsza sztuczka między kobietami, a Lisa dała się nabrać. Spytała kilka dni wcześniej, co powinna na siebie założyć. „Och, nic specjalnego, kochanie. To nie jest wytworna impreza. Nie stroimy się na nią” — odpowiedziała Jo-Anne budzącym zaufanie głosem, a Lisa uwierzyła. W swojej ubogiej garderobie wyszukała białą bawełnianą sukienkę plażową, sięgającą do pół uda. Do tego włożyła pantofle na gumowej podeszwie i stary, ulubiony pasek z muszelek, który niegdyś był przedmiotem dumy jej matki. W sumie wyglądała niezwykle skromnie. Gołe nogi. Żadnej biżuterii. Jej wygląd drastycznie kontrastował z dwurzędowym kostiumem od Yves Saint Laurenta, jaki miała na sobie Jo-Anne. Stopniowo zwężający się od poszerzonych ramion do szczupłej talii granatowy zakiet otulał kształtne ciało i spływał luźno aż do kolan. W głębokim rozcięciu z przodu, w kształcie litery V, widoczne były jej uda. Duże guziki z brązu, jasne i błyszczące, cudownie podkreślały biel rękawiczek. Dwie jedwabne, czerwono-biało-niebieskie chustki stanowiły barwny akcent. Jedna z nich wystawała stylowo tuż nad lewym biodrem i opadała wzdłuż uda, druga była starannie zawiązana wokół szyi i spięta wielką broszką z ametystu otoczonego brylantami. W uszach miała kolczyki, identyczne z broszką, tyle że mniejsze, iskrzące na tle pięknego, czerwono-czarnego turbanu, którego koniec w kształcie egipskiego wachlarza rozpościerał się aż do jej ramion.

Jo-Anne wyglądała, jakby miała na sobie grubo ponad milion dolarów.

Jej wystrzałowy strój zbił Lisę z tropu właśnie wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała odwagi. Od pierwszej chwili została ustawiona w rzędzie ubogich krewnych z prowincji. Początkowe uczucie paniki ustąpiło miejsca lekkiej irytacji, że tak głupio dała się nabrać. A teraz po prostu przyjęła obojętną pozę, zresztą zgodną z jej nastrojem. Limuzyna wjechała w bramę Polo Club, a kierowca władczym gestem machnął ręką w kierunku służącego, do którego obowiązków należało odpędzanie zagradzających drogę intruzów. Przez chwilę musieli poczekać przed kolistym podjazdem, po czym obstała ich grupka chłopców parkingowych. W chłodnym foyer Lisa zebrała się w sobie. Najważniejsze, że była tu, u bram rajy. Szef sali wybiegł na ich powitanie zza pulpitu, przy którym przyjmował rezerwację stolików.

— Panie Duke, pani Duke, witam serdecznie! Stolik dla państwa jest przygotowany, a przed chwilą przybył też senator Stansfield. Mam nadzieję, że lunch będzie przyjemny. Bardzo proszę za mną.

Lisa ledwie zauważyła otoczenie, zaabsorbowana własnymi myślami i mocnym waleniem serca w piersi. Na wzmiankę o Bobbym jej serce ruszyło do szalonego tańca i nie zanosilo się wcale na to, żeby miało go szybko skończyć. Był tam, koło okna, i zaczął się już unosić, widząc, jak nadchodzą, lawirując między stolikami zatłoczonej sali. Lisie wydawało się, że jest w baśniowej krainie. Spadała głową naprzód w romantyczną przepaść i wszystkie naiwne bajeczki o Kopciuszku wydały się jej całkiem prawdziwe. A więc to tak czuje się ktoś, kto jak na skrzydłach buja w powietrzu. Po obu stronach twarze — alabastrowo białe kobiet i opalone na brąz mężczyzn — przyglądały się jej z zainteresowaniem, z jakim stali bywalcy przyjmują kogoś nowego w swoim gronie. Ale Lisa ich nie dostrzegała. Na wpół przytomna szła obok uginającego się pod ciężarem potraw bufetu w kierunku stolika Duke'ów, znajdującego się na honorowym miejscu, na wysokości weneckiego okna, za którym rozciągał się panoramiczny widok na zielone tereny do gry w polo.

Bobby Stansfield czekał na nich przy stoliku. Ubrany zupełnie zwyczajnie, w rozpiętą pod szyją koszulę od Lacoste'a, w biało--niebieskie paseczki, szare spodnie z czesankowej wełny i czarne mokasyny. Jego pierwsze słowa były skierowane do Lisy i niezwykle podniosły ją na duchu.

— Jak to cudownie! Lisa Starr, dziewczyna, która odmienia ludzkie życie — powiedział, wpatrując się w nią intensywnie.

Patrzył także na nią, witając się — dużo bardziej zdawkowo — z Duke'ami. Szczególnie chłodno wymienił pozdrowienia z Peterem Duke'em, wytwornym w swojej niebieskiej marynarce i nieskazitelnie wyprasowanych białych spodniach.

Nawet jeśli Jo-Anne poczuła się dotknięta stosunkowo mało serdecznym powitaniem, z pewnością nie zamierzała tego po sobie pokazać.

— Przepraszamy za spóźnienie, senatorze. To wina Petera. On jest taki próżny. Ubieranie się zabiera mu więcej czasu niż mnie.

Lisa i Bobby się roześmiali, a Peter Duke zrobił taką minę, jakby właśnie otrzymał zawiadomienie, że ma nieść trumnę na pogrzebie bliskiego przyjaciela. Zobaczywszy, że żart nie wydał mu się zabawny, Lisa natychmiast przestała się śmiać, ale Bobby nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Wcale nie zanosilo się na sympatyczną zabawę. Bobby i Peter Duke byli całkiem wyraźnie w stanie zimnej wojny. Jo-Anne w najlepszym wypadku zachowywała neutralność, ale zapewne była skłonna wystąpić przeciw swojemu mężowi. Dla Lisy Bobby był zdecydowanie kimś więcej niż tylko sojusznikiem, zaś Jo-Anne okazała się przyjaciółką dalece niepewną, jeśli wziąć pod uwagę świństwo, jakie zrobiła Lisie w kwestii ubioru. Psiakrew! Wyobrażała sobie, że we własnym gronie nie zamierzają stosować chytrych sztuczek. A teraz wyglądało na to, że właśnie przy ich stoliku będzie się toczyła ostra gra. Chwilowe zawieszenie broni nastąpiło, gdy do stołu pośpiesznie podszedł kelner przyjmujący zamówienie na drinki. Nie trwało ono jednak długo.

Bobby troskliwie zajął się Lisą. — Ten szampan jest dobry z sokiem pomarańczowym, samego nie radziłbym pić. Nie było to powiedziane w napuszony czy przykry sposób. Przynajmniej Lisa przychylnie odebrała jego radę. Dla niej szampan był kosztownym napojem, który piło się dla uczczenia czegoś. Jednak dla ludzi pokroju Bobby'ego, pijących go bardzo często, z pewnością nie było problemem wprowadzenie różnych subtelnych rozróżnień pomiędzy gatunkami.

— Ja nie piłbym go w ogóle, z sokiem pomarańczowym czy czymkolwiek innym — stwierdził Peter Duke wyniośle, wykrzywiając z obrzydzeniem usta. — To hiszpański sikacz, jeden z najgorszych na świecie. Po wypiciu tego następnego dzień ma się cały z głowy. Polecałbym ci „krwawą Mary”, Liso.

Jego uwaga była znacząca. W domu Duke'ów szampan musiał być francuski, koniecznie z określonego rocznika — obecnie wchodziły

w grę tylko dwa: 1971 i 1973 — i wyłącznie najlepszych marek: Krug, Louis Roederer, Bollinger. Butelkę hiszpańskiego Cordorniu — a taki właśnie szampan proponowano gościom w Palm Beach Polo and Country Club w tę niedzielę — w piwnicy Duke'ów potraktowano by mniej więcej z takim obrzydzeniem jak karalucha w słoiczku z kremem do twarzy.

Celem Petera Duke'a było jednak nie tylko przedstawienie siebie jako konesera. Chciał pokazać, że Bobby Stansfield jest nie tylko filistrem, ale — co więcej — filistrem zubożałym. Stansfield nie mógł sobie pozwolić na tak kosztowne drinki. Pijał jakieś paskudztwa, których smak zabijał, dolewając do nich soku pomarańczowego. Nietrudno było zrozumieć, że chciał pokazać, iż Duke'owie mogą w każdej chwili kupić cały majątek Stansfieldów.

Przynajmniej Bobby tak to odczuł. Tyle że polityk jego rangi nie dawał się zbić z tropu jadowitym strzałem w stylu tego, który oddał Peter Duke.

— A dla ciebie jest niewątpliwie niezmiernie ważne, żeby od samego świtu być w doskonałej formie — zauważył przypochlebnie, z równie niewinną miną jak ta, z jaką chicagowski polityk podlicza w zadymionym pokoju nieuczciwie zdobyte dolary.

Twarz Petera Duke'a poczerwieniała, kiedy zrozumiał sens słów Bobby'ego. W ostatnich dniach faktycznie wstawał bardzo późno i problemem było znalezienie sobie zajęcia na kilka pierwszych godzin, zanim zaczynał od nowa pić. No bo ile czasu mogła zająć rozmowa telefoniczna z maklerem na temat ruchów na rynku poprzedniego dnia, wskutek których stawał się o kilka milionów dolarów bogatszy lub biedniejszy?

Wybuch śmiechu Jo-Anne dołał oliwy do ognia.

— Wiesz, Bobby, poranki biednego Petera i tak są spisane na straty. Nie wydaje mi się, żeby miała znaczenie jakoś tego, co on pije; dużo istotniejsza jest ilość.

Lisa powstrzymała uśmiech. Wiedziała już o bierności Petera. Leniwy, nadęty dyletant, którego życiowym osiągnięciem było to, że się w ogóle urodził. Wszystko, co sobą reprezentował, to jego pieniądze.

Nikt się nie spodziewał, że Peter tak zareaguje na słowa Jo-Anne.

W pierwszej chwili pobladł. Następnie wysoko na jego policzkach pojawiły się czerwone plamki, które zaczęły się szybko rozlewać po całej twarzy. Rzucając przed siebie lnianą serwetkę, wstał gwałtownie, przewracając przy tym nakrycia na stole.

— Słuchaj, ty pieprzona krowo — wycedził. — Nigdy więcej nie waż się mówić o mnie w ten sposób. Zwłaszcza w obecności twojej

nauczycielki gimnastyki i jakiegoś wygwizdanego, nędznego politykiera. — Nie mówił tego głośno, ale goście siedzący w obrębie dobrych sześciu metrów i z nawyku podsłuchujący rozmowy mogli wszystko wyraźnie usłyszeć. Tym bardziej że Peter w furii wywracał następne naczynia. Skończył, obrócił się na pięcie i zostawiwszy przy stoliku zaskoczoną trójkę, pośpiesznie wymaszerował z sali, ignorując po drodze powitania dwóch czy trzech znajomych, którzy chcieli zamienić z nim kilka słów.

Szmer rozmów ucichł na moment, ale zaraz potem podniósł się znowu. Tłum zebrany w Polo Club był przyzwyczajony do tego typu scen. Peter zapewne wypił za dużo albo zorientował się, że żona go oszukała. A może nadużył kokainy? Wszystko jedno.

— Przepraszam — odezwała się po chwili Jo-Anne. — Nie wiem, co go ugryzło. Ostatnio jest strasznie drażliwy.

— Po prostu jest durniem — skwitował scenę Bobby i Lisa była skłonna przyznać mu rację.

Zamówili szampana z sokiem pomarańczowym, demonstrując tym solidarność.

— Chodź, Liso, musisz coś zjeść. Ćwicząc tak wiele, z pewnością spalasz strasznie dużo kalorii. — Bobby Stansfield wstał od stołu i odsunął Lisie krzesło, kiedy i ona się uniosła. Jo-Anne musiała sobie poradzić sama i po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia. Hej, chwileczkę, zdawała się mówić. Ja przyprowadziłam to urocze dziecko. Możesz na nią patrzeć, ale nie wolno ci jej tknąć. I nie zapominaj, że to ja jestem tu gwiazdą.

Ale Bobby i Lisa nie zauważyli jej miny, a poza tym, nawet gdyby zauważyli, niewiele by ich obeszła. Jeśli chodzi o Lisę, wystarczała jej w zupełności obecność Bobby'ego, nie musiał nic robić. Cokolwiek by zrobił, wydawało się w porządku. Ale Bobby nie był przyzwyczajony do biernej postawy. Od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczył tę śliczną, młodziutką dziewczynę, poczuł się jak myśliwy na widok zwierzyny. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swych talentów uwodziciela, nie wiedział wszakże, jak zostaną przyjęte przez drugą stronę i jakie mogą być warunki wstępne. Starał się postępować ostrożnie, wykorzystując cały swój typowy dla Stansfieldów wdzięk i nie podejrzewając, że było to dla jego ofiary zabójcze.

Z kilku rzeczy doskonale zdawał sobie sprawę. Po pierwsze, że z towarzyskiego punktu widzenia Lisa znalazła się w środowisku przerastającym ją o głowę. Świadczyło o tym jej ubranie, potwierdzały maniery. Ale jednocześnie z całą pewnością nie paraliżował jej nabożny lęk czy podziw. Chwilami bywała nieco niepewna, lecz wykwintne

towarzystwo dokoła nie rzuciło jej na kolana. Po drugie, wyczuwał jakąś buntowniczą siłę unoszącą się wokół dziewczyny. Ona z pewnością nie da zrobić z siebie popychadła, nie boi się ludzi, konwenansów, samego życia. Taka postawa zawsze bardzo pociągała Bobby'ego. Tak zresztą jak większość polityków, którzy z natury rzeczy w głębi duszy muszą lubić ryzyko.

Stając przed imponującym bufetem przygotowanym na wielkim stole w kształcie litery T, Bobby delikatnie przeprowadził Lisę przez towarzyskie pole minowe.

— Cała sztuka polega na tym, że podchodzi się tu kilka razy. Zaczynij może od jakichś przekąsek, a potem wróc po skorupiaki. Doskonała jest sałatka z krabów. Niektórzy wprawdzie od razu nakładają sobie wszystko na talerzyk, ale efekt jest taki, że jedzą potem smażoną wołowinę z bitą śmietaną z szarlotki.

Stojąca za nimi Jo-Anne zaczęła z wolna odczuwać poirytowanie. Straciła już towarzystwo męża na tym przyjęciu, a teraz wyglądało na to, że miała utracić także jedną z najładniejszych dziewczyn, jakie spotkała. Najwyższy czas odzyskać nieco swojej władzy, smagnąć lekko biczem tę śliczną nauczycielkę gimnastyki. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu kogoś, kto by się nadawał do pomocy.

Obok drobnymi kroczkami przechodził właśnie niski mężczyzna, wyglądający trochę jak zmęczony nauczyciel. Jo-Anne chwyciła go zwinnie za jedną rękę.

— John, jak to miło, że cię spotkałam. Muszę ci przedstawić moje nowe odkrycie. Liso, poznaj lorda Cowdraya, członka tutejszej Izby Gubernatorów i niemal wszystkich ważnych instytucji, jakie mogę sobie przypomnieć. Z pewnością musiałeś słyszeć o Cowdray Park w Anglii. To prawdziwa Mekka graczy w polo.

Lisa wyciągnęła rękę do powitania. Nigdy nie słyszała o Cowdrayu, nigdy przedtem nie spotkała angielskiego lorda i zupełnie nie podobało się jej, że Jo-Anne przedstawiała ją jako swoje „nowe odkrycie”. Wcierając sól w świeżo otwartą ranę, Jo-Anne kontynuowała:

— Tak, Lisa prowadzi małą salę gimnastyczną w West Palm. Chodzimy wszyscy do niej na ćwiczenia. Czyż to nie jest interesujące?

Zza grubych szkieł John Cowdray spojrział wzrokiem osaczonej zwierzyny. Ledwie znał Jo-Anne, ale to, co o niej wiedział, wystarczyło, by nie żywił do niej sympatii. Skłonił się więc uprzejmie, zamienił kilka grzecznościowych słów i umknął.

Bobby Stansfield, zajęty nakładaniem na talerze, nie spostrzegł tej sceny, ale Lisa poczuła, że zaczyna się dusić pod wpływem protekcjonalnego zachowania Jo-Anne. Z jakiegoś powodu ta sama kobieta,

która zaledwie dwa dni temu niemal ją uwiodła, dziś wyraźnie dawała odczuć, że jej nie lubi. Lisa poddała się psychicznie. Jo-Anne z całą pewnością była niebezpieczna.

Bobby Stansfield powrócił do stolika i natychmiast zaczął mówić.

— Ilekroć tu jestem, zawsze odnoszę wrażenie, że ludzie popełniają błąd. Lubię przyjeżdżać do klubu, by popatrzeć na grę w polo, a nie na tych wszystkich ludzi. Nie rozumiem, po co się stroją, jakby przychodzili na rewię mody.

Tylko ty, Liso, i ja jesteśmy ubrani rozsądnie: wygodnie, normalnie, przewiewnie. Przecież właśnie tak należałoby się ubierać przy takiej pogodzie.

— Och, to Jo - Anne podpowiedziała mi, żeby tak się ubrać. Jestem jej bardzo wdzięczna za tę dobrą radę — odparła Lisa, z niewinną miną wbijając żądło.

Bobby spojrział na Jo-Anne z niedowierzaniem, a następnie z zainteresowaniem. Wyraźnie rozgrywała się tu jakaś kobieca batalia.

Jo-Anne, wyglądająca jakby właśnie zeszała z wystawy sklepowej jakiegoś wytwornego salonu w Paryżu, odwzajemniła spojrzenie. Spróbuj tylko, groziły jej oczy.

— Senatorze, Jo-Anne, wyglądacie cudownie. Jak się macie?

— Cześć, Merv — odparł Bobby. — Czyżbyś wziął sobie wolny weekend? Myślałem, że gwiazdy telewizyjne są zbyt zajęte robieniem pieniędzy, by pozwalać sobie na odpoczynek.

Merv Griffin roześmiał się dobrodusznie. Był jednym z pierwszych, którzy zapisali się do Polo Club.

— Ma pan absolutną rację, senatorze. Właśnie pracuję. Przyjechałem zaprosić pana na pokaz. Potrzebujemy przedstawiciela waszej klasy do skompletowania programu. — Obaj mężczyźni się roześmiali. Był to żart tylko w połowie.

— Wiesz, Merv, jeśli chcesz zrobić absolutny hit, to osoba, której potrzebujesz, siedzi właśnie tu. Liso Starr, poznaj, proszę, Merva Griffina.

— Coś panu powiem, senatorze. Ożeń się pan z nią, a my weźmiemy was oboje do programu i będziemy mieć dwa hity. Co pan na to?

Lisa poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki. Bobby odrzucił głowę i wybuchnął tym swoim dobrze znanym radosnym śmiechem Stansfieldów.

— No cóż, w takim razie może tak właśnie zrobimy. Musimy się tym zająć. Co ty na to, Liso? Chciałabyś takiego zdeklarowanego starego kawalera jak ja?

Lisa tylko trochę zdziwiła się myślą, że owszem, właśnie jego by chciała.

Zyla na skroni Petera Duke'a całkiem wyraźnie zaczęła pulsować. Jo-Anne tylko raz widziała to poprzednio i nie był to dobry znak.

— Mam ci powiedzieć, czego chcę? Czego naprawdę chcę? — ryczał na cały regulator. — Chcę pieprzonego rozwodu, i to chcę go szybko.

Niewiele było słów, które według Jo-Anne były naprawdę nieprzyzwoite, ale z całą pewnością zaliczał się do nich rozwód. Rozwód z Duke'em? To naprawdę obsceniczne. Poczwała, jak blednie.

Jakiś odległy głos, zapewne jej własny, odpowiedział: — Och, nie bądź głupi, Peter. Jeśli jest jakiś problem, możemy go rozwiązać. Zawsze przedtem nam się to udawało.

— Jesteś przybłądą, Jo-Anne, sama o tym wiesz. Byłaś dziwką, kiedy mnie poderwałaś, i jesteś nią nadal. Chcę odzyskać wolność, wydostać się z tego. Słyszysz, co mówię?

Jo-Anne usiłowała zrozumieć sens tej przewracającej ziemię do góry nogami wiadomości, którą usłyszała. Jeśli brać pod uwagę ilość emitowanych przez Petera decybeli, sprawa wyglądała poważnie. Fakt, że kłócili się o dziesiątej rano, oznaczał ponadto, że Peter nie był jeszcze pijany.

Spróbowała go ułagodzić. Przedtem takie sposoby działały, ale nie tym razem. Zdobyła się na wyduszenie z siebie śmiechu.

— Zginąłbyś beze mnie. Dobrze o tym wiesz. — Siedząc na skraju dużego łóżka, umyślnie powoli naciągała na nogę jedwabną pończochę.

Peter Duke zrobił dwa kroki i stanął tuż nad nią, jak potężna góra nienawiści. Wyrzucał z siebie słowa z taką furią i z takim trudem przemieniał w słowa dławiącą go wściekłość, że kropelki śliny tryskały z jego ust i spadały tuż koło głowy Jo-Anne.

— Ty nędzna suko! Jak śmiesz twierdzić, że cię potrzebuję. Jesteś

mi potrzebna jak rak mózgu. Rozdepczę cię jak karalucha, jakim jesteś. Zniszczę cię!

Był już na granicy, za którą doszłoby między nimi do przemocy fizycznej. Jo-Anne zdawała sobie z tego sprawę. prostytutki, które dbały o swój wygląd, musiały umieć przewidywać zachowanie klientów.

Nie odezwała się ani słowem.

— A kiedy już się ciebie pozbędę, ożenię się z kimś tak czystym, jak ty jesteś plugawa. — Odsunął się od niej i na jego obliczu rozlał się wyraz zadowolenia.

Jo-Anne gorączkowo szukała właściwych słów. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. To było naprawdę groźne. Jakaś kobieta? Kto? Gdzie?

— Masz kogoś — wydusiła z siebie w końcu. Peter uśmiechnął się złośliwie.

— Pamelę Whitney. Od dawna się kochamy. Ale byłaś zbyt zajęta puszczaniem się, żeby to zauważyć.

Chryste! Jo-Anne nie wiedziała, co zrobić. Pamela Whitney. Z twarzą jak pączek w maśle, z siedzeniem jak galareta i rodowodem tak długim jak historia żółtej cegły. Naturalnie, to miało sens. Małżeństwo dynastyczne — takie, jakie aranżowano dla średniowiecznych książąt: „Ty weźmiesz moją córkę i połączymy królestwa”. Niewyraźnie, jak przez mgłę, zaczęła wyobrażać sobie, co ją czekało. Duke'owie i Whitney'owie będą w stanieją pożreć. Muszą mieć do dyspozycji z pewnością więcej prawników niż cały Departament Sprawiedliwości. Będzie miała szczęście, jeśli uda jej się wyjść z tego małżeństwa z czymkolwiek więcej niż tylko z bielizną osobistą, która była jedynym dobrem materialnym, jakie wniosła w posagu.

— Posłuchaj, Peter, myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać.

— Właśnie o tym rozmawiamy, skarbie. A przynajmniej ja ci o tym mówię. Niewiele możesz powiedzieć rzeczy, które by mnie zainteresowały w tej kwestii.

Jo-Anne nie mogła sobie z tym poradzić. Nie było innego wyjścia, musiała zapytać wprost, żeby zorientować się, jaka była jej sytuacja.

— Jeśli się rozstaniemy, myślę, że zawrzemy jakieś porozumienie. Jej głos zabrzmiał bardzo niepewnie.

— Naturalnie, zawrzemy porozumienie. Chcesz wiedzieć, jakie? Mogę ci już teraz powiedzieć. Spakujesz walizkę, jedną, wezwiesz taksówkę i zmyjesz się z mojego życia, prosto do slumsów, skąd pochodzisz. Zrozumiałas? Może, ale tylko może, jeśli będziesz się zachowywała naprawdę grzecznie, to może pozwolę ci zabrać mercedesa.

Teraz Jo-Anne się roześmiała.

— Chyba żartujesz, Peter. To nie jest, jak wiesz, średniowiecze, nie mieszkamy też w Arabii Saudyjskiej. Jeśli odejdę, to nie z pustymi rękami. Zrozumiałeś? Podzielę tę twoją cholerną fortunę na wysokości kolan.

— Ha! — W zwięzłej wypowiedzi Petera zabrzmiała groźba. Wyglądał jak człowiek, który ma w garści wszystkie atuty. — O tym zadecyduje sąd, prawda? I to sąd Florydy. A dokładniej mówiąc, Sąd Rejonowy w Palm Beach. Wiesz, co to oznacza, Jo-Anne? Duke'owie osiedlili się tu już bardzo dawno temu. Mają kilku bardzo wpływowych przyjaciół, a w tej części świata przyjaciele mają zwyczaj trzymać się ze sobą mocniej niż kopulujące psy — może tego nie zauważyłaś? Kiedy powiedziałem, że cię zniszczę, uwierz, że nie żartowałem. A najlepsze jest to, że sama dałaś mi argumenty do ręki. Podałaś mi je na tacy.

Jo-Anne jeszcze nigdy nie słyszała równie paskudnego śmiechu. Co on, u diabła, ma na myśli?

— Tak, moja miła, jestem pewien, że bardzo byś chciała zobaczyć, co mam ukryte w sejfie starego Bena Carstairsa. To chyba najpikantniejsze dossier, jakie można zgromadzić. Jeśli kiedykolwiek zaczniesz mi brakować pieniędzy, mógłbym je opublikować. Powinno być warte miliony.

Jo-Anne zaczął ogarniać paraliżujący strach.

— Co za dossier? Szpiegowałeś mnie? — Zadając to pytanie, z góry wiedziała, że odpowiedź będzie twierdząca. Boże! Jak mogła być aż taka głupia! Myślała, że jest bezpieczna, bo zacierała za sobą ślady i unikała romansów z mężczyznami, które zawsze były potencjalnie groźne. Słyszała metaliczny trzask w telefonie, dźwięk echa, kiedy mówiła do słuchawki. Peter założył podsłuch. Przez całe miesiące wszystkie jej najtajniejsze rozmowy były nagrywane.

— Mam zapisy takich rozmów, że siedemdziesięcioletniemu sędziemu opadłaby sztuczna szczęka. Przysięgam ci, że niewiele brakowało, aby stary Ben przybiegł tu w samych gaciach, jak usłyszał twoją słodką rozmowę z Mary d'Erlanger. I wiesz, jak dodać do tego jeszcze te fotografie was dwóch wychodzących z Brazilian Court; rety, widywałem już w życiu ogromnie zmordowane kobiety, ale wyglądałyście tak, jakbyście potrzebowały kul, żeby utrzymać się na nogach. Jakoś nie wydaje mi się, aby sąd miał patrzeć przychylnym okiem na twoje żądania odnośnie mojego majątku.

Miał rację. Nie było takiej możliwości. Ale nagle Jo-Anne przestała się tym przejmować. Wyprzedziła o krok biednego Petera. Zawsze tak zresztą było. Odzyskała lodowaty spokój i doskonale wiedziała, co robi.

Powiesz mi wreszcie, jaki on jest? — Maggie wyglądała tak, jakby ciekawość miała ją rozsadzić.

Lisa złapała się za nogę, jakby to był zupełnie obcy przedmiot. Uniosła prawe kolano, wsparła je o policzek i wyprostowała tak, że dużym palcem celowała prosto w sufit. Robiąc to, cały czas zastanawiała się nad odpowiedzią na pytanie Maggie.

— Myślę, że się zakochałam — roześmiała się w końcu.

— Och, wiem to i bez ciebie. Oczywiście, że tak. Ale jaki on jest?

— Jeśli chcesz, żebym ci go opisała na poważnie, to muszę się zastanowić. Szalenie przystojny, co jak sądzę, nie jest dla ciebie nowiną, uprzejmy, a nawet chyba wrażliwy. Wiesz, łatwo się przy nim rozluźnić. Można powiedzieć, że jest opiekuńczy. Och, i zabawny, bardzo zabawny — i ogromnie pewny siebie. Taki, wiesz, do którego nie przykleja się żadne błoto. Naprawdę ostro przyłożył temu Peterowi Duke'owi. Starł go na pył.

Maggie pochyliła się; niezupełnie o taką odpowiedź jej chodziło.

— Ale podrywał cię? Zadzwoeni do ciebie? Z czym się rozstaliście? Twarz Lisy przybrała wyraz zamyślenia.

— Może i zadzwoni. Jestem pewna, że mu się spodobałam. Ale wcale nie wiem, czy będzie miał na to czas. Musi być potwornie zajęty. — Opuściła nogę, wstała z rogu biurka, na którym siedziała, i zrobiła wymach do tyłu, tak że piętą stuknęła się w krzyż.

Spojrząwszy z zazdrością na te ćwiczenia, Maggie wróciła do tematu.

— Nie wydaje mi się, żeby to wymagało aż tak wiele czasu. Lisa roześmiała się kpiąco.

— Jasne, zapewne wpadnie przy okazji któregoś dnia, żeby wziąć mnie na jednym z tych urządzeń Nautilusa.

— Możesz się śmiać, a ja jestem gotowa założyć się, że zrobi jakiś krok. Każdy na jego miejscu tak by postąpił.

— Dzięki, Maggs. Ale mówiąc całkiem poważnie, to niemożliwe, żebym była w jego typie. Wiesz, co to za facet, jaki jest wykształcony. Wszystko wie, każdego zna. Jeden z tych, co to dzwonią do prezydenta, żeby sprawdzić, co jest w telewizji, jeśli gdzieś im się zapodziała gazeta. Co ja mogłabym mu, u diabła, zaoferować?

— Mogłabym ci z mety wymienić kilka rzeczy — odparła Maggie. — Te rajstopy są fatalne, Liso.

— Myślę, że ktoś taki jak Bobby Stansfield zwraca większą uwagę na to, co ma się w głowie, niż na ciało. Te wszystkie polityczne grupy, ze swoimi przywódcami duchowymi, filozofiami i polityką.

— Wiem, że my tu mamy skłonność do zapominania o rozumie, Liso, ale ty naprawdę jesteś inteligentna.

— Jeśli miałyby zadzwonić, to poczeka z pewnością dzień albo dwa, nie ma więc powodu, żebyśmy tak się tym emocjonowały już teraz.

Właśnie w tej chwili stojący tuż obok telefon zadzwonił. Lisa uśmiechnęła się, podnosząc słuchawkę, po czym na jej policzki wypłynął rumieniec.

— Poznają po głosie, że rozmawiam z Lisą Starr. Tu Bobby Stansfield. Co robisz w czasie lunchu?

— O Boże! Cześć, jak się masz? Lunch? Co dzisiaj mamy? Tak, oczywiście, że miałabym ochotę.

— Wspaniale. Siedzieliśmy sobie koło basenu, zastanawiając się, czego nam potrzeba do pełni szczęścia i pomyślałem o tobie. Masz czym przyjechać? Mogę wysłać samochód. Przyjedź najszybciej, jak tylko możesz — tu jest cudownie i pijemy najwspanialsze trunki.

Lisa poczuła pulsowanie w skroniach. Komplement był bardzo miły, ale Bobby powiedział coś jeszcze. Tu jest cudownie. Tu jest cudownie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

— Jesteś tam jeszcze? Wiesz, gdzie przyjechać? Skręcasz w lewo na...

— W porządku, znam drogę. Znajdę. — Byłam tam tysiące razy w moich snach, dodała w myślach.

— I nie potrzebujesz transportu?

— Nie. Chciałabym przyjechać na rowerze.

— Boże! W taki upał? Dziewczyno, musisz być nieprawdopodobnie wysportowana. W każdym razie śpiesz się i nie rozplyń się po drodze. Chciałbym cię zobaczyć całą.

— Zaraz ruszam.

Lisa odłożyła słuchawkę. Przez moment przyjaciółki patrzyły na siebie bez słowa.

Maggie przerwała milczenie.

— Panie i panowie, proszę się rozstać, zróbcie przejście dla senatora i pani Robertowej Stansfield — zaczęła teatralnie afektowanym głosem, a Lisa łapała wszystko, co jej wpadło pod rękę: cztery pióra, sześć wycinków z gazet, gumkę i w końcu mały japoński kalkulator i rzucała tym w Maggie, żeby ją powstrzymać.

Przejeżdżając przez niebezpieczne skrzyżowanie na North Flagler, Lisa pedałowiała z całej siły. Wiedziała, że w tej okolicy zdarza się najwięcej wypadków; myśli, że ona sama może stać się przyczyną karambolu, jakoś nie przyszła jej do głowy. Bezstronny obserwator

z pewnością mógłby przewidzieć taką ewentualność. Była cała na białą, poczynając od adidasów, przez podkolanówki i krótkie szorty, po luźną, bawełnianą koszulkę, pod którą sterczały jędrne, kształtne piersi. Wydawało się, że długie, silne nogi dziewczyny bez najmniejszego wysiłku kręciły pedałami roweru. Na plecy zarzuciła białą, plastikową torbę plażową, której paski przeplotła z przodu na krzyż, przez piersi. Niewiele miała w tej torbie, bo niewiele zdążyła tam wrzucić w pośpiechu. Największym problemem było wybranie odpowiedniego kostiumu kąpielowego. Te, które miała, pasowały na okładkę „Sports Illustrated”, ale — jak uważała — dalece odbiegały od strojów noszonych u Stansfieldów. Nie było jednak czasu, żeby kupić coś nowego; nie miała na to zresztą szczególnej ochoty. Była wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, że w tamtym świecie trudno zyskać pozycję, udając kogoś, kim się nie jest — zwłaszcza wobec ludzi takich jak Bobby Stansfield. Czarny, obcisły kostium, który wybrała, mógłby zostać uznany za ostatni krzyk mody na Copacabana czy Ipanema. Jednocześnie, głęboko wycięty na biodrach, z dużym dekoltem z przodu i na plecach, z trudem osłaniał najbardziej intymne części ciała. Ale jak dotąd nikt się na to nie skarżył i nie sądziła, żeby kogokolwiek miał zgorszyć.

Przejechawszy przez most, skręciła w lewo na ścieżkę rowerową. Jechała wzdłuż Lake Worth szeroką na półtora metra asfaltową dróżką, która ciągnęła się na odcinku blisko dziesięciu kilometrów obok najpiękniejszych i najdroższych domów na świecie. Była to wspaniała droga, zamknięta dla wszelkiego rodzaju pojazdów mechanicznych, otwarta jednak dla szerokiej publiczności. Rowerzyści oraz ci, którzy uprawiali jogging i marsze, mogli przyglądać się stąd życiu bogaczy. Jednakże rzadko ich się tu spotykało. Droga ta była utrzymywana w tajemnicy i ci, którzy ją odkryli, czuli się zobligowani do zachowania tej wiedzy dla siebie. Lisie zupełnie wystarczało, że przejeżdżała obok smukłych jachtów ustawionych na platformach z kołami na skraju ogrodów, wybujałych palm bananowych, odurzająco pachnących krzewów jaśminu, drzew sandałowych i migdałowców oraz żywopłotów z krzewiastych fikusów, osłaniających posiadłości tych, którzy wyżej cenili prywatność niż wspaniałe widoki. Pamiętała słowa matki: „Im wyższy fikus, tym bogatszy dom”. Czy ona też zamieszka pewnego dnia w domu z wysokim fikusowym żywopłotem? Patrzyła z podziwem na nazwy mijanych ulic: Tangier Avenue, West Indies Drive, Bahama Lane, Orange Grove Road, Mockinbird Trail. Jak łatwo było zachwycać się tą okolicą, jak niewiele potrzeba, by ją pokochać. I ludzi, którzy tu mieszkali.

Wreszcie Lisa przejechała skręt w Garden Road, którą dotarłaby prosto pod bramę posiadłości Stansfieldów. Często wtedy przejeżdżała. Tym razem pojechała jednak w prawo, na Colonial, aż do bramy domu Kennedych. Przystanęła tu na moment. Czy Rose była tu, czy otrząsnęła się już z kolejno następujących po sobie tragedii, na które najwyraźniej historia skazała jej rodzinę? Na parkingu stał odrapany buick, zdumiewająco bezpretensjonalny. Kto mógł przypuszczać, że parę lat temu ten parking służył za lądowisko dla helikopterów najpotężniejszego w świecie człowieka? Jednakże nawet wtedy Palm Beach niezbyt chętnie tolerowało Kennedych, a rada miejska z wyraźną niechęcią wyraziła zgodę na szczególne odstępstwo od ścisłego zakazu lądowania jakichkolwiek środków transportu powietrznego w granicach miasta. Pomalowana na ceglasczerwony kolor fasada miznerow-skiego domu łuszczyła się, a dwie wywieszki: „Przeście zabronione” i „Uwaga, zły pies” dawno już przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Cóż za dziwne zrządzenie losu rzuciło Kennedych i Stansfieldów obok siebie, oddzielając ich zaledwie kilkoma domami? Dwie potężne dynastie polityków, jedna demokratyczna, a druga republikańska — sąsiedzi i wrogowie, którzy pewnego dnia staną naprzeciw siebie do walki o najwyższą stawkę. To pobudzająca myśl. Dwaj potencjalni oponenti niemalże mogli grać ze sobą w ringo, stojąc na trawnikach przed swymi domami. Za kilka lat znowu jeden z rezydentów North Ocean Boulevard może zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych i zwykłym rowerzystom, takim jak Lisa, zakazać się tu wjazdu. Lisa puściła wodze wyobraźni: zmiany w ruchu drogowym, smukli, wysportowani mężczyźni, patrzący na wszystkich podejrzliwym wzrokiem, aura najwyższego podniecenia i napiętych nerwów. I, być może, jeśli Bóg tak zechce, prezydentem będzie Bobby. Bobby Stansfield. Ten sam, który zaprosił ją na lunch. Została zaproszona w gości do domu, w którym jej matka pracowała i była z tego taka dumna. Obok niej przejechał samochód policyjny. Kierowca przyjrzał się uważnie dziewczynie. Była do tego przyzwyczajona. Co drugi samochód w tym mieście należał do policji, a przeszło dziesięciokilometrowy odcinek North Endu był chyba jedynym miejscem na ziemi, gdzie wszyscy przestrzegali przepisów drogowych. Większość mieszkańców okolicy cieszyła się z tego. Nie musieli nawet zamykać drzwi na klucz. Lisa pokręciła głową z niedowierzaniem, na wół z podziwem, a na wół z przerażeniem, kiedy pomyślała sobie o wprowadzanych w tym mieście pomysłach. Na przykład ostatnio przegłosowano prawo nakazujące wszystkim, którzy tu pracowali, ale nie mieszkali — to znaczy ogrodnikom, sprzątaczkom itp. — noszenie przez cały czas przy sobie

dowodów tożsamości i obowiązkowe rejestrowanie na policji swoich odcisków palców. To przecież musiało być sprzeczne z konstytucją. Ale Palm Beach nic sobie z tego nie robiło. Palm Beach ustalało swoje własne prawa. Jakiś liberał podał wprawdzie miasto do sądu, żeby obalić to prawo, ale co z tego? Lisa miała nadzieję, że miał dość pieniędzy, bo z pewnością będzie potrzebował ich mnóstwo. Była też sprawa mężczyzny, który uprawiał tu jogging i został aresztowany, po czym oskarżono go o nieprzyzwoity wygląd — dlatego, że zdjął koszulkę i biegł z nagim torsem. Gdyby to zrobiła kobieta, można by zrozumieć... Lisa roześmiała się na głos, ale śmiech natychmiast uwiązł jej w gardle. Zbliżała się do bramy posiadłości Stansfieldów.

Nie była przygotowana na widok ubranej na biało pokojówki, która otworzyła przed nią ciężkie, rzeźbione, dębowe drzwi. Przez sekundę stała jak wryta, w bezruchu, obezwładniona wspomnieniami. Jak dobrze znała z opowiadań matki ten uniform. Jakże dumna była matka z jego nieskazitelnej bieli, mającej wręcz symboliczne znaczenie! Przez całe lata jej strój leżał w szafie, przepierany od czasu do czasu i starannie odprasowywany. Niegdyś Mary-Ellen wkładała go na siebie i pokazywała z dumą Lisie, jak wyglądała, kiedy pełniła zaszczytną funkcję zaufanej pokojówki w domu Stansfieldów. Czy stojąca przed nią dziewczyna tak samo ceniła swoją pracę? Mało prawdopodobne. Po pierwsze, była czarna, a z pewnością nie miałoby to sensu, gdyby czarna dziewczyna marzyła, tak jak matka Lisy, o Palm Beach.

Lisa odsunęła od siebie te myśli. Prócz nostalgii miała dość innych emocji, z którymi musiała sobie radzić. A poza tym życie przecież szło naprzód. Trzeba się wspinać.

— Myślę, że senator Stansfield oczekuje mnie. Jestem Lisa Starr. Służąca odchyliła nieco głowę do tyłu i wydała z siebie dźwięk

przypominający lekkie prychnięcie. Spojrzała przy tym na Lisę tak, jakby chciała jej powiedzieć, że senator Stansfield zawsze oczekuje ładnych młodych dziewcząt. Niech ci się nie wydaje, że jesteś wyjątkiem.

— Wszyscy są koło basenu. Proszę za mną, panno Starr — oświadczyła.

A więc wreszcie Lisa znalazła się w tym miejscu — dziecko w baśniowym sklepie z zabawkami, o jakim przez wiele lat śniło Z szeroko otwartymi oczami patrzyła wokół, starając się zapisać w pamięci każdy szczegół. Przechodziły przez wyłożone hiszpańską glazurą krużganki, a za łukowato sklepionymi wejściami widoczne były cudownie ukształtowane tarasy, uginające się od roślinności. Rosły tam

bugenwille, tecomy i dzikie orchidee obłożone hiszpańskim mchem. Z fontann dochodził delikatny plusk wody. Długie dębowe półki, ciemne i rzeźbione w zawily wzór, zastawione srebrnymi misami i wazonami z kwiatami o wysokich łodygach oraz mniejszymi, z różowymi i białymi azaliami, osłaniały ścianę na całej długości. Antyczna lampka podświetlała olbrzymi, ciemny obraz namalowany w stylu szkoły holenderskiej, przedstawiający martwą naturę.

Ponury, pomyślała Lisa, ale ogromnie stylowy. Czysty, niczym nie podrabiany Mizner. Cały dom przesycony był atmosferą lat dwudziestych, kiedy to bogacze z Palm Beach rządili światem i wyobrażali sobie, że będzie to trwało wiecznie.

Białe, podbite miękką gumą pantofelki idącej przed nią pokojówki delikatnie postukiwały na wypolerowanej terakocie. Zupełnie tak, jak niegdyś jej mamy. Znowu Lisa poczuła przypływ fali wspomnień i smutku. Na końcu krążanków była wielka, czarna, rzeźbiona brama z żelaza z błyszczącą, mosiężną klamką. Przez delikatny wzór Lisa widziała rozciągający się daleko trawnik, a za nim morze, z leniwie kołyszającymi się falami.

— Zostawię tu panią, panno Starr. Znajdzie pani senatora i jego gości tam, przy basenie.

Kiedy podeszła bliżej, Bobby zerwał się z wyłożonego ręcznikiem leżaka, by ją przywitać.

— Lisa! Ktoś, kogo nam właśnie brakowało. — Zwrócił się do swoich przyjaciół. — Oto i ona. Obiecałem wam anioła i dotrzymałem słowa. — Jego uśmiech był ciepły i przyjazny, działał jak słońce na delikatną skórę. — Liso, to jest Jimmy Baker. Wie wszystko, co tylko możliwe, o polityce. A przynajmniej mam taką nadzieję. Ale niewiele poza tym.

Jimmy zaśmiał się ostrożnie z tej zartobliwej prezentacji. Wstał, wyciągnął rękę do Lisy i obrzucił ją chytrym spojrzeniem. Jaki może mieć wpływ na tego chłopaka? Była dobrą czy złą nowiną? Byle co, czy wartościowa dziewczyna? Do czego można by ją wykorzystać?

Lisa zmierzyła go wzrokiem z wyraźną niechęcią. Gdyby kiedykolwiek przyszło mu do głowy zacząć golić szczecinę na piersiach, mógłby zacząć produkować wycieraczki pod drzwi.

Pozostali dwaj mężczyźni byli, jak się wydawało, mniej ważni, sympatyczni, nastawieni serdeczniej.

— Liso, napijesz się margarity? Obawiam się, że zaczęliśmy bez ciebie, mam nadzieję, że wybaczysz mi ten eufemizm „zaczęliśmy” — Bobby odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się. Mały chłopiec, winien, bo wyjadł ciasteczka z pudełka? Uwielbiający zabawę mężczyzna, który nie boi się radości i potrzebuje do tego partnera? Arystokrata w starym

stylu, znający się doskonale na mieszaniu koktajli? Było w nim po trochu z każdego, w tej jego uwadze, w uśmiechu. Lisa sama nie wiedziała, co bardziej się jej spodobało.

Poprowadził ją do barku w stojącej przy basenie altanie. — Tajemnicą naprawdę dobrej margarity jest to, że trzeba ją przygotować samemu — powiedział z żartobliwą powagą. — Szklanka jest, oczywiście, w pojemniku z lodem. Jak sztukmistrz, wyciągnął dwie oszronione, stożkowate szklanice z zamrażarki. Wysypał górkę soli na białą, marmurową płytkę i rozgniół ją palcami, po czym wsypał do szklanek. Następnie napełnił obie płynem z wielkiego dzbana i podał jedną z nich Lisie. — Powiedz, co o tym sądzisz. — Na twarzy miał zabawny wyraz zatroskania. — Mmm. Wspaniale — odparła Lisa. — Cudownie się to pije. Bobby zaśmiał się i poprowadził ją do stolika w pewnej odległości

od pozostałych gości. Lisa czuła, jak alkohol prosto z żołądka dostaje się do jej krwi. Bobby wydawał się jeszcze atrakcyjniejszy, niż go pamiętała. O ile to możliwe. Raczej dobrze zbudowany niż muskularny — miał ciało do innych celów niż tylko ćwiczenia fizyczne. Na piersi włosy, ale niezbyt dużo. Kształtne stopy, z zadbanymi paznokciami. Niewielu mężczyzn zdawało sobie sprawę z tego, jakie to istotne. Jego twarz była oczywiście na medal, ale o tym wiedziano powszechnie od kalifornijskich lasów po wody Prądu Zatokowego. Trudno oddzielić człowieka od otaczającego go mitu, od tego, jak wiele znaczy i ile może znaczyć kiedyś. Bobby Stansfield był nie tylko przystojnym chłopakiem wysiadującym nad basenem i brązowiejącym na słońcu. Był symbolem. Pewniejszy siebie niż stary konserwatysta, potrafił narzucić filozofię swojego dobrego samopoczucia niemal całemu krajowi i jeśli będzie w stanie umiejętnie to wykorzystać, może zebrać dywidendę najwyższą z możliwych. To powodowało, że już teraz był osobą o nieprawdopodobnie wielkiej potencjalnej władzy, która wzmacniała jego i tak dużą fizyczną atrakcyjność. Odczuwał to każdy, kto miał z nim do czynienia. Tym bardziej Lisa, córka Mary-Allen, patrząca nań przez różowe okulary.

— Przyniosłaś jakiś kostium kąpielowy? Bo jeśli nie, to z pewnością znajdziemy coś dla ciebie. Zawsze jest tu mnóstwo ciuchów moich sióstr.

— Jasne, że mam. Tu. — Lisa pogłaskała worek plażowy. — Gdzie mogę się przebrać?

— Najlepiej w altance.

Zanim wróciła, wyciągnął się na leżaku i z zamkniętymi oczami napawał się słońcem.

Stając nad Stansfieldem, Lisa przysłoniła padające na niego promienie. Bobby uświadomił sobie jej obecność, czując cień, i usiadł. Otworzył oczy i wpatrywał się oczarowany. Po raz pierwszy od bardzo dawna zabrakło mu słów.

— Chryste — wydusił z siebie w końcu.

Lisa roześmiała się radośnie na widok wrażenia, jakie zrobiła. Przez chwilę pozwalala mu zachwycać się sobą i przesuwając wzrokiem po całym ciele. Następnie odwróciła się na pięcie i podbiegła do basenu. Jednym płynnym ruchem wyskoczyła do góry i opadła łukiem do wody, zanurzając się niemal bezgłośnie.

Wiedziała, że mężczyzna podąży za nią, że jej ciało przyciągnie Bobby'ego jak magnes. Dostrzegła to w jego żarliwych spojrzeniach. Przepłynęła całą długość basenu bez wypływania na powierzchnię, mając w płucach dość powietrza. Kiedy wynurzyła się z wody, wstrząsnęła głową, odrzucając na ramiona mokre czarne włosy. Przytrzymując się lewą ręką brzegu wyłożonego niebieskimi kafelkami basenu, a prawą odgarniając z twarzy nieposłuszne loczki, szukała wzrokiem Bobby'ego. Zniknął.

Przez moment serce zabiło jej mocniej. Poszedł gdzieś. Zrobić sobie kolejnego drinka? Porozmawiać o polityce z kumplami? A może odebrać telefon?

Gładki jak wydra, muskularny, ciemny kształt pojawił się nagle między jej nogami. Był bardzo blisko, jego dłonie obrysowały kształt jej ciała: kostek, łydek, ud, zgrabną linię pośladków, objęły smukłą talię. Przez moment spoczęły na piersiach, nim dotarły do celu — ujmując ją pod pachy. . .

Przepłynęła dwudziestometrowy basen i me zabrakło jej oddechu, ale stało się to teraz, kiedy głowa Bobby'ego pojawiła się nad powierzchnią wody tuż przy niej. Uniósł ją do góry, silny i figlarny, aż została wypchnięta jego ramionami i znów posadzona na brzegu basenu, z nogami po kolana zanurzonymi w wodzie, otaczając nimi głowę uśmiechniętego mężczyzny.

Wpatrywał się w dziewczynę, zachwycając się jej młodością i urodą, jej posagowym pięknem na tle intensywnie niebieskiego nieba nad Florydą. Lisa, oddychając szybko przez rozchylone usta, patrzyła na niego błyszczącymi z podekscytowania oczami, widząc, jak bardzo jej pragnął. ,

Coś musiało się wydarzyć — oboje to wiedzieli.

Przez dłuższy czas trwali tak — jakby robili pierwszy krok w intymność, gdzie wszystko jest nowe, nabiera zupełnie innego znaczenia, mieści w sobie ładunek napiętności.

Bobby objął rękami uda Lisy i mocno przytulił twarz do jej łona. Po chwili ponownie spojrzął na nią, przylegając policzkiem do cienkiej tkaniny kostiumu kąpielowego, pieszcząc ją delikatnym dotknięciem tuż obok najwrażliwszego miejsca. Jego dziecięco niebieskie oczy patrzyły na nią pytająco, zachęcająco i kusząco. Potem przyciągnął ją do siebie, do wody. Zanurzyła się głęboko, Bobby także, przytulony do niej, opasując ją silnymi ramionami.

Jak w kalejdoskopie Lisie przesunęły się przed oczami wszystkie sceny, które doprowadziły do tej chwili. Czuła się zagubiona w wirze namiętności i miłości. To właśnie tak. Kochała mężczyznę, który trzymał ją w ramionach. Kochała go i fizycznie, i psychicznie, tak jak została zaprogramowana już w dzieciństwie. Był dla niej wszystkim: wspomnieniami matki, jej własną ambicją, przyszłością. I był tu, przy niej. Trzymał ją mocno w ramionach w głębinie basenu Stansfieldów,

O kilka metrów od miejsca, gdzie siedzieli jego koledzy.

Nagle poczuła desperacką chęć ucieczki, potrzebę zebrania chaotycznych myśli. Jak syrena wyslizgnęła się z jego objęć, szukając bezpiecznego miejsca, gdzie mogłaby odnaleźć siebie i odzyskać jasność myślenia. Nie patrząc do tyłu, wydostała się z basenu i pobięła w kierunku altany.

W przebieralni było ciemno. Ciemno i chłodno. Takie samo dobre miejsce, żeby opanować uczucia, jak każde inne. Lisa była mokra

I drżała od stóp po czubek głowy. Każdy nerw jej ciała gwałtownie domagał się uwolnienia napięcia, jakie w niej narosło. Oparła się plecami o ściankę wyłożonego białymi kafelkami prysznicza, czując wdzięczność za ten zimny dotyk — za jakikolwiek dotyk. Cały czas starała się opanować, stłumić kołaczące w niej pożądanie. Na udach ciągle jeszcze czuła dotyk pobudzonego ciała Bobby'ego, przeżywała nadal owo przyprawiające o zawrót głowy uczucie, kiedy zanurzyła się w jego ramionach w głęboką, niebieską wodę. Boże, jak go pragnęła. Szaleństwem było tak śmiesznie nagle zapragnąć — aż tak.

Nagle uświadomiła sobie z radością, że nie jest tu sama. Poczowała, że ktoś bierze ją za rękę i zamknęła mocno oczy, przestając myśleć. Miała wrażenie, jakby śniła cudowny sen. Przesuwał jej ręką po swoim ciele, aż wreszcie położył w miejscu, którego najbardziej pragnęła dotknąć. Czuła mięśnie jego ciała naprężające się pod gorącymi palcami. Nadal nie otwierała oczu, bojąc się, żeby czar nie przysł. Usłyszała tylko własny cichy jęk przyzwolenia, kiedy poczuła, że zdejmuje z niej kostium. Z jej rozchylnych ust wydobyło się drżące westchnienie pożądania. Leciutko rozchyliła kolana, opierając się mocno plecami o ścianę prysznicza.

Oboje dążyli do tego samego. Lisa wydała krótki, cichy okrzyk, kiedy poczuła go w sobie. Początkowo ostrożnie, jakby niepewnie, Bobby brał ją w posiadanie i po chwili odzyskał pewność siebie, ustalając rytm.

Dopiero teraz otworzyła oczy.

— Skąd wiedziałaś, że to ja? — wyszeptał Bobby, przytulając ją z czułością.

Lisa próbowała odpowiedzieć, ale wyschnięty język nie był w stanie zwilżyć spierzchniętych warg. Uśmiechnęła się tylko do mego czując, jak mocniej przyciska ją do siebie.

— Pragnąłem cię od tej chwili, odkąd cię zobaczyłem po raz pierwszy — szeptał dalej Bobby. .

— Możesz mnie mieć. Tak jak teraz. Kiedy zechcesz. Gdzie tylko zechcesz. — Opuszczając się niżej Lisa ogarnęła go swoją namiętnością, prowadząc, obezwładniając siłą swojego pożądania.

Zacząła go całować, pragnąc, aby ich ciała i dusze złączyły się w jedno. Cała reszta jej samej przestała istnieć. Miała tylko usta i to miejsce, w którym złączyła się z Bobbym, i na tym koncentrowały się wszystkie jej myśli, uczucia, pragnienia.

— Chcesz tu? Tak?

W pytaniu była troska i pragnienie potwierdzenia. Lisa poczuła, jak ogarnia ją panika. — Na Boga, tak. Błagam cię, Bobby, nie przestawaj.

Pragnęła tylko, żeby to on przeżył ekstazę. Potem będzie czas na wszystko inne. Nic poza tym się nie liczyło, ani zaspokojenie jej samej, ani czułość, zrozumienie czy nawet miłość.

Czując desperackie pożądanie, przyciągnęła Bobby'ego mocniej do siebie, wzmacniając jego ruchy, modląc się o jak najszybsze zakon-

Zobaczyła to najpierw w jego oczach: zamglone, dalekie spojrzenie, niemal senny zachwyty. I coraz większe napięcie roztańczonego ciała. Wywołało to natychmiast reakcję Lisy. Razem. Przeżyją to razem. Sami ze swą miłością, wtopieni w siebie. Stała na czubkach palców, zmuszając Bobby'ego, by po nią sięgnął.

— Och, Liso.

— Wszystko dobrze. Jestem. Pragnę cię, Bobby. Boże, jak ja cię pragnę.

Lisę ogarnęła fala ekstazy, porywając jej wszystkie myśli. Wstrząsana rozkoszą starała się zrozumieć i jego orgazm, zapamiętać to co się z nim działo. Bobby krzyknął triumfalnie, po raz ostatni wchodząc w nią, unosząc do góry i wtulając się z całej siły. Po chwili opuścił

głowę na jej piersi, wstrząsany ostatnimi dreszczami rozkoszy. Lisa objęła go czule, czując, jak jej duszę wypełnia uczucie triumfu i... szalone, bezsensowne uczucie pewności, że kiedyś będzie go miała dla siebie naprawdę i na zawsze.

Peter Duke nie bardzo mógł w to uwierzyć. Pod bawełnianym prześcieradłem dotykały go ręce żony. Przez chwilę leżał jak kłoda, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Sądząc po tym, że promienie słońca wdzierają się przez szczeliny w ciężkich zasłonach, musiała być zapewne pora na śniadanie. Co się stało Jo-Anne? Nie robili tego przez całe miesiące, chyba że po kłótni. Mało prawdopodobne, by fakt, że kazał jej się wynosić, podniósł jego atrakcyjność w oczach żony. Nigdy nie była masochistką.

Nagle Peter Duke uśmiechnął się do siebie. W porządku, już wie. Rety, Jo-Anne chyba myśli, że on jest skończonym durniem. Próbuje go w ten sposób odzyskać. Miał ochotę roześmiać się głośno. Boże, jakie to trywialne. Jo-Anne go rozczarowała. Spodziewał się po niej czegoś więcej: jakichś sprytnych kroków prawnych, zapewne determinacji w walce, wycierania nazwiska Duke'ów po sądach i zapewne nurzania go w błocie. Z pewnością sięgnąłby do swej książeczki czekowej, żeby tego uniknąć. Dawna Jo-Anne na pewno nie przepuściłaby takiej szansy. Ale to? Dziwne. Niezależnie od motywów, jakimi się kierowała, jej palce nadal pozostawały niezwykle sprawne i trudno było się powstrzymać od porównania z Pamelą Whitney, która nigdy nie przejawiała takiej inicjatywy. W ogóle pierwszy kontakt cielesny z przyszłą żoną był kompletnym niepowodzeniem. Miał tyle potencji co kluska moczona przez całą noc w skondensowanym mleku, a w ogóle doszedł do wniosku, że dla pań z rodu Whitneyów akt spełnienia miłości był czymś równie nieważnym, co pozostawienie w domu dowodu tożsamości, kiedy szły do banku zrealizować czek. Whitney o wie mieli inne walory: pieniądze, dobre pochodzenie, wszystkie tego typu „koniki”. Hodowanie koni i hodowanie dzieci. W tym byli dobrzy. Wkrótce powstanie klan potężnych Whitneyów-Duke'ów, stadko małych łobuziaków, przygotowanych do prowadzenia biznesu, wstępujących do klubów i denerwujących maklerów. Jo-Anne przystąpiła do działania jak prawdziwa profesjonalistka. Nie sprawiało jej to najmniejszej przyjemności, ale było celowe. Potem Peter Duke zmięknie trochę, będzie skłonniejszy do ustępstw, choćby nieznacznie przychylniej odniesie się do jej propozycji. A to było bardzo ważne, jeśli miała uniknąć totalnej klęski. Nawet przez chwilę nie

wyobrażała sobie, że potrafi go nakłonić do zmiany zdania. Kiedy mówił o rozwodzie, z oczu emanowały mu marzenia o dynastiach i dolarach, a fakt, iż na zimno i świadomie przez całe miesiące ją śledził, przemawiał za tym, że cała sprawa została głęboko przemyślana. Chodziło jej o znacznie mniej.

Kiedy już zrealizowała swoje zamierzenie, Peter Duke opadł na poduszki i obserwował swą piękną żonę podejrzliwym wzrokiem.

- Dobrze było? — nie umiał się powstrzymać od wyłudzenia pochwały.

- Cudownie — skłamała Jo-Anne, wyciągając rękę i dotykając jego ramienia. — Wiesz, Peter, sądzę, że nie powinniśmy ze sobą walczyć.

Zaśmiała się w miły, ponętny sposób.

Peter uśmiechnął się znacząco. Nie należało kopać leżącej, zwłaszcza jeśli zaledwie przed chwilą była źródłem tak wielkiej przyjemności. Zwalczył więc chęć powiedzenia żonie, że nic się nie zmieniło i nadal znajdowała się na ulicy bez grosza przy duszy, a wszelka próba cofnięcia jego decyzji byłaby równie owocna, co próba powstrzymania wiatru.

— Sądzę, że trudno o tym dyskutować — odparł.

— Wiesz Peter, zastanawiałam się i wiele o tym wszystkim myślałam O nas. O rozwodzie. — Zauważyła iskierkę zainteresowania w jego oczach. Oczywiście było, że oczekiwał długich i uporczywych targów. Jeśli ty dasz mi to, ja zrezygnuję z tego. W zamian za biżuterię,

"Kontynuowała więc: — I doszłam do naprawdę dziwnego wniosku. Myślę, że to moja wina. To ja zepsułam wszystko. Sądzę, że zawsze tak robiłam. Zapewne po prostu taka właśnie jestem, trudno. Chcę ci tylko powiedzieć, że żałuję. Nie zamierzam sprzeciwiać się rozwodowi. I niczego nie chcę od ciebie. Będzie mi najlepiej właśnie wtedy kiedy znów będę zdana sama na siebie, tocząc własną walkę. Bez żadnych obowiązków. Jak dziecko wszechświata żyjące własnym życiem.

Oczy Petera zwęziły się w szparki. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Skąd ten nagły zwrot? I żadnych prób?!

Jo-Anne brnęła dalej, przerywając pełną oczekiwania ciszę. — Zdaję sobie sprawę z tego, że masz w ręku wszystkie atuty, ale wykorzystanie ich byłoby kłopotliwe dla nas obojga. I nie zrobiłoby dobrze żadnemu z nas. Kto wie, może uznasz, że to też jest coś warte.

Peter zrozumiał wreszcie jej grę. To wcale nie było takie głupie. Zgodziłaby się wynieść po cichu, a w zamian on też zrobi coś dla byłej żony: wynagrodzi jej uległość hojnym zabezpieczeniem. W gruncie rzeczy zdawała się na jego łaskę.

Peterowi to się podobało. W głębi serca był despotą i nic w życiu nie sprawiało mu większej radości niż wykorzystywanie czyjejś słabości. Mógłby udać, że zgadza się na takie plany; skłonić ją do podpisania wszystkich dokumentów, a potem, kiedy przyszłaby kolej na to, żeby podpisać czek dla Jo-Anne, roześmiałby się jej w twarz, zatrzasnął drzwi i zmienił zamki.

— To byłoby bardzo szlachetne z twojej strony, Jo-Anne. Możesz być pewna, że doceniłbym to, już po uporządkowaniu wszystkich spraw.

Jo-Anne odetchnęła z ulgą. — To wspaniale, Peter. Po prostu wspaniale. A zatem nie będziemy już ze sobą walczyć, dobrze? Słuchaj, mam cudowny pomysł. Chodź, pojeźdźmy na nartach wodnych, tak jak kiedyś. Nie prowadziłam łodzi już przez całe wieki, a morze jest dziś spokojne jak jezioro. Sprawdziłam rano.

— Właściwie, czemu nie? To może być zabawne — zgodził się Peter.

- Jesteś gotów? — Jo-Anne starała się przekrzyczeć miarowy warkot potężnego silnika łodzi.

Odpowiedź Petera dotarła do niej zupełnie wyraźnie. Patrzył na spokojną wodę koło plaży na North End, głęboko wdechając nieruchome powietrze.

Jo-Anne pociągnęła mocno dźwignię i wielka łódź ruszyła przed siebie z potężnym rykiem silnika.

Peter Duke uniósł się bez trudu na powierzchnię wody, wyprostowany, zaledwie minimalnie przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą. Z daleka poznawało się, że nie był nowicjuszem, zwłaszcza gdy natychmiast ustalił właściwy kierunek jazdy za łodzią. Jechał, odchylony do tyłu, z wyprostowanymi, wyciągniętymi przed siebie ramionami, utrzymując kąt czterdziestu pięciu stopni do powierzchni morza. W miarę zwiększania się prędkości coraz ostrzej zderzał się z falami i opadał na ich grzbiety. Ustawiony niemal równolegle do łodzi zwalniał teraz, by radośnie pomachać do Jo-Anne, nim zacznie ustawiać nogami narty do skrętu.

To właśnie lubił najbardziej. Czuć pod stopami opór wody, kiedy skręcał narty w odwrotnym kierunku. Muskuly rąk napinały się przy tym jak stal pod wpływem naprężonej linki, która ciągnęła go za łodzią, a wzburzona przez obracające się narty woda zalewała go od stóp do czubka głowy.

Teraz przejeżdżał tuż za rufą. Miał do przeskoczenia dwa wodne ślady przy wjeździe na drugą stronę. Na wpół świadomie odnotował

obraz długich włosów żony, rozwiewanych przez pęd powietrza wokół mknącej łodzi.

To było właśnie to. Człowiek walczący z żywiołem, wykorzystujący swe umiejętności do tego, by stać prosto, choć wszystko wokół niego chciało go zmusić do upadku. Niewiele miał osiągnąć w życiu, ale z tym rzeczywiście radził sobie doskonale. Zaiste, Jo-Anne miała dobry pomysł.

Pędząc tak w wilgotnym od słonej wody powietrzu, pozwolił sobie na chwilę słabości. Jakoś nie mógł wyobrazić sobie Pameli Whitney jako szalonego pilota ślizgacza, a Jo-Anne tak dobrze spisywała się w tej roli. Pamela ma inne zalety, ale prowadzenie łodzi do nich z pewnością nie należy. A Jo-Anne? Wygląda na to, że naprawdę rozstaną się po przyjacielsku. Może jednak ofiaruje jej milion albo i dwa, w imię dawnej miłości. Może to powstrzymają przed wyjściem na ulice, przynajmniej te tańsze.

Hej, chwileczkę, skoncentruj się. Mało brakowało, a przegapiłbyś zakręt. Kręcąc się i zawracając, łódź mknęła przed siebie jak wystrzelona czwartego lipca raca-niewypał, rysując szalone zygzaki na całym morzu. Peter uśmiechnął się do siebie. Dobra, stara Jo-Anne. Lubił ten jej nieokiełznany temperament. Uwielbiała nade wszystko rywalizację. Jej umiejętności jako pilota łodzi, przeciw jego — narciarza. Tak właśnie było najlepiej. Zagryzł zęby i naprężył mięśnie do walki.

Również usta Jo-Anne, zazwyczaj zmysłowe i pełne, teraz były tak zaciśnięte, że tworzyły tylko cienką kreskę. Oczy, normalnie błyszczące, patrzyły przed siebie zimno i nieruchomo, gdy tak siedziała, ściskając w dłoniach obciążony skórą drążek sterowniczy. Lawirowała niespokojnie smukłym ślizgaczem, wzburzając wodę oceanu jak łódź podwodna marynarki wojennej, którą namierzono i celowano do niej z działa. Starła się wykonywać zupełnie niemożliwe do przewidzenia ruchy, zdradliwie zmieniała prędkość.

Pozostający za nią z tyłu Peter trzymał się mocno, usiłując przewidzieć jej posunięcia. W miarę upływu czasu jego mięśnie zaczynały boleśnie odczuwać zmęczenie, a refleks stawał się coraz gorszy. Dobra, Jo-Anne, mam już dość. Słyszysz, dosyć to dosyć, nie przesadzaj!

Ale łódź nie zatrzymywała się — co więcej, jej ruchy stały się jeszcze gwałtowniejsze; podskakiwała i kręciła się po powierzchni morza, zupełnie jakby chciała pozbyć się ciągniętego za sobą ładunku. Peter Duke walczył z całym siłą, żeby dotrzymać jej kroku, jak rybak zdecydowany nie utracić swojego rekordowego połowu, mimo fatalnego sztormu. Aż nagle, całkiem niespodziewanie, gra się skończyła. Właśnie wchodził w kolejny zakręt, kiedy Jo-Anne wyłączyła silnik.

Kiedy Peter już skręcił, zapaliła ponownie i z całej siły skierowała łódź w drugą stronę. Gem, set, mecz. Z pełną rezygnacją, ale i nie bez uczucia ulgi, puścił linkę, poszybował z rozpędu łukiem w powietrzu i zanurzył się ostatecznie w wodzie.

Zmyło go — tak nazwaliby to uprawiający surfing. Pod wodą było chłodno i spokojnie, przyjemny kontrast z piętnastominutową walką, jaką właśnie stoczył. Peter leniwie wypłynął do góry.

Kiedy pojawił się na powierzchni, łódź właśnie wychodziła z zakrętu: jej dziób był zanurzony w wodzie, a duże śruby obracały się leniwie na jałowym biegu. Jo-Anne przejechała jeszcze dwieście metrów i skierowała się przodem w stronę Petera. Leżąc na plecach i delikatnie poruszając nogami w wodzie, zastanawiał się nad powitaniem.

Próbowałaś mnie zamordować? Tak, to będzie dobre. Humorystyczna odpowiedź na małe zwycięstwo żony. Jeszcze jakieś dziewięćdziesiąt metrów. Jo-Anne była niewidoczna za potężnym dziobem ślizgacza, z jego okutym stalową blachą czubem w kształcie litery V i mokrymi mahoniowymi ścianami bocznymi.

Ostrożnie, Jo-Anne. Powinnaś teraz dryfować na jałowym biegu. Skręć na bok, żeby miał dość miejsca.

Peter Duke otworzył usta. — Próbowałaś mnie zabić...

Silniki łodzi ożyły z gniewnym rykiem. Okuty dziób jak strzała znalazł się tuż nad mężczyzną. Nie było szansy na jakikolwiek unik. Nie było nawet czasu na to, żeby pomyśleć. Błyszczące drewno uderzyło go, miażdżąc ramię, a wstrząs wywołany ciosem zdawał się rozrywać ciało Petera na kawałki. Poczuł, że zanurza się pod wodę. Jak we śnie jego zmysły odebrały tylko ból i odrętwienie. Ułamek sekundy później wypolerowane, ostre jak brzytwa śruby przypuściły atak. To było nawet zabawne. Trzask i łoskot — trochę jakby jechał wyboistą drogą. Żadnego bólu, tylko takie dziwne uczucie wirowania w głowie, kiedy śruby rozrywały jego niegdyś zgrabne ciało, rozpryskując krew, rozrzucając mięśnie i wnętrzności po oceanie. A potem nie było już nic, z wyjątkiem uczucia lekkiego poirytowania bezsensu tego wszystkiego, kiedy Peter Duke wyruszył w nie zaplanowaną podróż do wieczności.

Nieśmiertelny ojciec mogący zbawić...

Przez czarny koronkowy welon Jo-Anne spostrzegła, że całe Palm Beach zjawilo się na pogrzebie. Nigdy jeszcze nie widziała takiego zgromadzenia w kościele w Bethesda-by-the-Sea. Ani na ślubie Phippsów,

ani na festynie zimowym — nigdy. Ale też powinni byli przyjść, czyż nie? Przecież Duke to Duke. Wprawdzie nikt tak naprawdę nie lubił Petera — zapewne z wyjątkiem tej groteskowej Pameli Whitney, którą mogła dostrzec kątem oka, wyprostowaną jak honorowa straż marynarki wojennej, z górną wargą sterczącą jak penis pływającego na desce w sobotnią noc, „cierpiącą z godnością”. Chryste! Oni dwoje z pewnością byli sobie wari. Spędziliby resztę życia w łóżku, oglądając swoje drzewa genealogiczne. Co pewien czas przewracałyby się na plecy i myślała o fladze, podczas gdy Peter posapywałby i mozoliłby się nad spłodzeniem jeszcze kilku małych Duke'ów do odnotowania w „Social Register”.

... tych, którzy narażają się na niebezpieczeństwo na morzu.

Specjalnie poprosiła o tę pieśń. Była dość dobra dla prezydenta Kennedy'ego, a zatem i dość dobra dla biednego, starego Petera. Naprawdę pasowała. r

Rozejrzała się wokół. Wszystko szło dobrze. Na wzor Jackie Kennedy — pogrążona w rozpacz widow. Jo-Anne nie musiała oglądać się za siebie — i tak wiedziała, że w całym kościele nie było nikogo, kto by nie miał wilgotnych oczu.

Radosne hymny chwały i zwycięstwa...

To było miłe. Tak, odniosła zwycięstwo. Nie da się tego inaczej określić. Zwycięstwo wydarte w ostatniej chwili z rozdziawionej jamy ustnej rozkładającego się obecnie pokonanego. Peter uzyskałby rozwód a ona zostałaby wypędzona z miasta i nie wiadomo nawet, czy miałaby dość pieniędzy na bilet autobusowy. Z raję na Queer Street, zgodnie z nakazem sędziego, starego przyjaciela z czasów młodości. Ale teraz, na pogrzebie, uśmiechała się pod czarnym welonem. Pozmej, kiedy nikt już nie będzie na nią patrzył, może pójdzie sobie potaćzyć na grobie Petera. Nie docenili jej determinacji i chęci uczynienia wszystkiego, co w ludzkiej mocy dla utrzymania swojej pozycji — a teraz musieli zapłacić za to niedopatrzenie. Jo-Anne Duke — szanowana pogrążona w rozpacz widow, wstrząśnięta tragedią. Czysta jak nawieziony śnieg; biała dama, zmuszona przez okrutny los do przywdziania czarnych, żałobnych szat.

Stary Ben Carstairs bliski był apopleksji przy odczytywaniu testamentu. Dziwka triumfowała — ale nie mógł nic zrobić, aby temu zaradzić. Ostatnia wola i testament Petera zostały spisane przed wielu laty, w okresie zaślepienia miłością, tuż po miodowym miesiącu. Kiedy

spytała, ile dokładnie milionów otrzymała, nikt nie umiał jej odpowiedzieć. W oczywisty sposób zależało to od różnego rodzaju czynników, takich jak zmiana wartości nieruchomości, kurs wymiany walut itp. Ale w tym momencie Jo-Anne uświadomiła sobie, że była bardzo bogata. Jeśli czegoś nie da się policzyć, oznacza to z całą pewnością ogromny majątek.

Niemal mimochodem zażądała wydania jej teczki z dokumentami Petera.

— Na krótko przed śmiercią mąż poinformował mnie, że jest pan w posiadaniu jego prywatnych papierów. Rozumiem, że zgodnie z testamentem wszystkie jego rzeczy osobiste stały się teraz moją własnością. Zapewne może mi je pan wydać.

Z twarzą ponurą jak niebo przed letnią, przedwieczorną burzą w Palm Beach Carstairs zrobił to, co mu poleciła. Całe popołudnie Jo-Anne poświęciła przeglądaniu swojej teczki, przesłuchując taśmy, podziwiając skuteczność pracy detektywów i dobrą jakość nagranych na kasetach rozmów telefonicznych, Mary d'Erlanger nieźle wyprowadziła ją z równowagi. Nic dziwnego, że biednego starego Carstairsa tak to poruszyło. Trzeba będzie jakoś załagodzić sprawę z Mary. Koniecznie. Jo-Anne trochę szkoda było niszczyć to całe dossier, ale umiała się uczyć na błędach innych.

Czajenie się z czymś takim pod żadnym względem nie pomogło prezydenturze Nixona.

Oczy Jo-Anne spoczęły na moment na wypolerowanym drewnie trumny i przez chwilę pomyślała o jej przerażającej zawartości. Czy odczuwała żal, choć trochę ciepłych uczuć, czułości do tego, co niegdyś było jej mężem? Nie, ani trochę. Nadstawianie drugiego policzka było dobre dla dziewczyn, które nie musiały oddawać się włóczegom za marne grosze. Kiedy Peter Duke użył swej mocy przeciw niej i spróbował strącić ją z powrotem do slumsów, z których z takim trudem się wydostała, z prawdziwą radością rozerwała go śrubami ślizgacza jak skórę od banana. Nigdy naprawdę nie dowiedział się, kim była nigdy nie zadał sobie trudu, by to sprawdzić — i to przeoczenie spowodowało, że zamienił się w nie doprawione mielone mięso. W sprawiedliwości było coś poetycznego.

Wyglądało na to, że ceremonia się kończy. Czas na spotkanie z ludźmi przed kościołem. Zalane łzami oczy, udane współczucie-„Jeśli cokolwiek mogę dla ciebie zrobić, proszę, nie zastanawiaj się...”

Czy w oczach na czarno odzianych ludzi, zgromadzonych na trawniku i kręcących się przed kościołem, kryły się jakieś podejrzenia¹? Paranoik zapewne by się ich dopatrywał, ale Jo-Anne nie była

paranoiczką. Czuła się niewiarygodnie, upajająco szczęśliwa. „Śmierć w wypadku” — tak brzmiał werdykt i nic więcej na całym świecie się nie liczyło. Ludzie mogli sobie szeptać do woli, ale Jo-Anne wystarczająco dobrze znała współmieszkańców miasta, by wiedzieć, że nikt nie odważy się wystąpić przeciw niej, bo nazywała się Duke i — co więcej — miała w swoich rękach fortunę Duke'ów.

Było tylko jedno pytanie, które mogło mieć znaczenie. Co zrobi teraz? Stała się jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych kobiet w Ameryce, nosiła dumne nazwisko jednego z najstarszych rodów i znowu była wolna.

Cudowna wdówka, niczym nieskrępowana. Co, u licha, teraz ze sobą zrobi? Przez moment stała, obojętnie przyjmując kondolencje, i zastanawiała się nad tym dylematem.

W te myśli wdarł się nagle męski głos, a czyjaś ręka ścisnęła mocno jej ramię. — Jo-Anne, tak mi strasznie przykro. Myślami jestem z tobą.

Oto jest odpowiedź na jej pytanie. To takie proste, dlaczego nie wpadła na tę myśl wcześniej? Ów człowiek był właśnie odpowiedzią — z tym swoim ciepłym głosem i podniecającymi oczami. Tylko on jeden w Palm Beach, a nawet w całej Ameryce, mógł być dobry po Duke'u. Po odpowiednio długim okresie żałoby, czy jak by tego nie nazwać, wyjdzie za mąż za Bobby'ego Stansfielda!

Do zachodu słońca pozostało już tylko około dziesięciu minut i Bobby Stansfield, pilotujący dwusilnikowiec „Beechcraft Baron”, był bardzo zmartwiony. Nie miał czasu podziwiać zatykającego dech w piersiach widoku światła słonecznego, odbitego od akwamarynowego morza pomiędzy Bequia i St. Vincent ani wypatrywać i rozpoznawać wspaniałych domostw, porozrzucanych jak klejnoty w pięknym krajobrazie wyspy, nad którą przelatywali. Myślał tylko o tym, że pas startowy na Mustique nie był oświetlony, a on musiał zdążyć wylądować przed zmierzchem. Psiakrew, robiło się późno. Sięgnął do dźwigni, wyrównał lot, zmniejszył prędkość i skręcił w lewo, nad brzeg wyspy. Jedyna szansa, że trafi na pas. Czemu, u licha, nie zostali na noc na Barbadosie? Mogliby teraz spokojnie korzystać z owoców pracy plantatorów w Sandy Lane, zamiast igrać z ogniem gdzieś wysoko nad Karaibami Wszystko przez PanAm i ich przekłete rozkłady lotów; z powodu rejsu z Miami pozostało im minimum czasu na to, aby dostać się do Mustique przed zapadnięciem nocy. Zawsze wiązało się to z ryzykiem, ale dziś było ono wyjątkowo wyraźne.

Siedząca obok niego Lisa wyczuwała napięcie, choć nie знаła przyczyn. Bobby był spokojny przez pierwsze czterdzieści pięć minut lotu z Barbadosu. Kilkakrotnie zwracał jej uwagę na piękny układ chmur czy grupkę latających ryb figlujących w ciepłej wodzie jasnoniebieskiego oceanu, nad którym przelatywali, ale regularnie spoglądał na zegarek i od czasu do czasu pocierał dłonią opalone na brąz czoło Lisa nie martwiła się absolutnie niczym. Bobby Stansfield kontrolował wszystko — samolot, jej życie — i to zupełnie wystarczało. A jeśli Bóg w swej mądrości weźmie ich do siebie właśnie teraz, będzie to wspaniała podróż do nieba w ramionach mężczyzny, którego pokochała tak

bardzo, że nigdy nie przypuszczała, że można aż tak. Przez ostatnie tygodnie temperatura na Florydzie pobiła wszelkie rekordy wysokości, a oni z Bobbym także nie robili nic, żeby ochłodzić duszne powietrze. Od pierwszego, przypominającego trzęsienie ziemi spotkania w altanie przy basenie Stansfieldów aż do ubiegłej nocy, do rejsu na skraju Prądu Zatokowego, ich ciała płonęły, jeszcze bardziej podgrzewając upalne powietrze Florydy i niemal roztapiając się w ekstazie. Nawet teraz Lisa czuła się jak lina wyprężona na silnym wietrze, napięta jak wibrujący bębenek pod wpływem bliskości ukochanego. Była to dla niej magiczna, porywająca podróż i modliła się do Boga, by trwała jak najdłużej.

Na dodatek Bobby zaprosił ją do Mustique — na najbardziej ekskluzywną prywatną wyspę świata. I nie mieli tam mieszkać w żadnym hotelu. Było to niezwykle, niemal niewiarygodne: Lisa miała mieszkać u księżniczki Małgorzaty, siostry królowej Anglii, w jej domu! Wiedziała, że Stansfieldowie utrzymywali bliskie kontakty z różnymi bogatymi i sławnymi ludźmi, jednak ta znajomość wydawała się jej zadziwiająca. Mimo to Lisa nie czuła się speszona. Jak dotychczas nie brała udziału w grze towarzyskiej i nie miała sposobności odczuć strachu, paralizującego jej uczestników. Rodzina królewska jakiegoś obcego państwa należała do innego świata, przypominała Lisie egzotyczne zwierzęta, które budziły raczej ciekawość niż obawy.

Na wypadek gdyby dziewczyna miała tremę, Bobby starał się zmniejszyć wagę tego spotkania.

— Ona nie jest taka zła, jak się ją pozna bliżej. Choć obawiam się, że woli raczej zabawiać młodych mężczyzn niż takie śliczne dziewczyny jak ty. Wszyscy musimy zachowywać się tam nieco dziwnie, ale zobaczysz, jaki to piękny dom, a poza tym dla mnie to doskonała okazja, żeby spotkać się z Markiem Haversem. Zapraszają mnie tam czasami — nas wszystkich. Po prostu księżniczka Małgorzata nie może znieść samotności, kiedy więc zanosi się na to, że dom jej opustoszeje, wykonuje kilka telefonów i musimy się stawić. A ponieważ ja, na Florydzie, jestem najbliżej, często staję się tym pierwszym, do którego dzwoni! Ale zobaczysz, że będzie całkiem przyjemnie. Nowe przeżycie. Poza tym, Havers wybiera się teraz do Anglii.

Wyglądało na to, że był to istotny element. Jasnowłosy Mark Havers, odznaczający się ostrym językiem, był wschodzącą gwiazdą brytyjskiej Partii Konserwatywnej, wielkim faworytem premier Margaret Thatcher. Od dawna przyjaźnili się z księżniczką i Mark często u niej gościł. Dla Bobby'ego spotkanie z Haversem wydawało się ważne i vice versa. Jeśli kiedykolwiek miały się spełnić sny obu mężczyzn, ich późniejsze spotkania potoczyłyby się już zupełnie inaczej, gdyby się

przedtem poznali. Przyjaźń zawarta teraz mogłaby dobrze przysłużyć się tym dwóm w przyszłości.

Dla Lisy było to jednakże zupełnie niezrozumiałe i obojętne.

Z tyłu, za Bobbym i Lisą, siedziała z nogami wyciągniętymi na sąsiednim siedzeniu Jo-Anne.

Lisa nie bardzo rozumiała, dlaczego Jo-Anne została zaproszona, ale była tak nieświadoma i tak bardzo zakochana w Bobbym, że nie odważyłaby się zapytać go o to.

Zresztą powody okazały się zupełnie proste. Kiedy Bobby otrzymał rozpaczliwy telefon od księżniczki, żeby chronić ją przed samotnością, został poproszony o przywiezienie ze sobą „wesołego towarzystwa"! Użalając się nad Jo-Anne, pogrążoną, jak sądził, w żałobie i genetycznie nastawiony na odczuwanie pociągu do ludzi posiadających fortuny jak ta, której pani Duke była teraz właścicielką, uznał ją za idealną kandydatkę. Zresztą Lisa i Jo-Anne znały się, obie uwielbiały ćwiczenia gimnastyczne, wydawało mu się więc całkiem oczywiste, żeby ją zaprosić.

Choć Jo-Anne wyglądała na rozluźnioną, w gruncie rzeczy jej umysł cały czas ostro pracował, przygotowując plan upolowania ofiary. To zaproszenie było dla niej wyjątkowo szczęśliwym darem niebios. Zresztą wszystko szło jak po maśle: zwłoki Petera spoczywały bezpiecznie w trumnie na cmentarzu, nieprawdopodobnie wielki majątek Duke'ów przeszedł w jej ręce, a kompromitujące dossier zostało spalone.

Jedno tylko nie ułożyło się po jej myśli i ów fakt zaczynał przybierać rozmiary gigantycznego pecha. Co więcej, do wściekłości doprowadzała ją myśl, że sama przyłożyła do tego ręki, choć nawet umiejac czytać z fusów, trudno byłoby przewidzieć taki finał. Otóż Bobby Stansfield i Lisa Starr najwyraźniej pieprzyli się, a co gorsza, ich związek wyglądał na coś więcej niż zwykły romansik. Wcześniej stałoby się to zaledwie powodem do irytacji, gdyż poza wszystkim, planowała Lisę dla siebie. Co do Bobby'ego, nie miała żadnych ambicji, to znaczy dopóki jej mąż chciał ją mieć za żonę. Teraz jednak wszystko uległo całkowitej zmianie. Zapewne jeszcze dotąd szczątki ciała Petera służyły za pokarm rydom w okolicy plaży na North End i to przesądzało o sytuacji Bobby'ego Stansfielda, który nagle stał się doskonałym celem zabiegów Jo-Anne. W jakiś sposób będzie musiała go zdobyć i przekonać, żeby przyjął jej punkt widzenia. Politycy potrzebują przecież dwóch rzeczy: pieniędzy i pozycji — posiadała i jedno, i drugie. Na szczęście Bobby Stansfield miał w żyłach ambicję zamiast krwi. Był zaprogramowany, żeby pragnąć, chcieć i łapać wszystko, dzięki czemu mógł się wspiąć w górę. Jo-Anne zamierzała więc stać się dlań kimś takim. Oczywiście, będzie

to wymagało wpłynięcia na zmianę jego stosunku do Lisy Starr. Trzeba będzie uświadomić Bobby'emu, kim ta dziewczyna właściwie była. To statek, przepływający nocą za jego oknem, nic innego i nic więcej. Dla Jo-Anne Lisa była po prostu nikim. Prostaczką o rewelacyjnym ciele, którą można będzie odrzucić jak połamaną lalkę, kiedy Bobby i ona, Jo-Anne, wyruszą na podbój Białego Domu. Ta myśl wydała się jej tak nęcąca, że opuściła nogi na podłogę i rozsiadła się wygodnie w fotelu.

Uderzany falami gorącego powietrza beechcraft trząsł się i pracował głośno, gdy Bobby prostował go do lądowania. Czując, jak koła uderzyły o żwir, Stansfield uświadomił sobie, że słońce właśnie chowało się za horyzontem i nagle zapadł zmierzch. Doleciał dosłownie w ostatniej chwili.

Podprowadził maszynę do pokrytego słomianą strzechą baraku, który służył jako punkt kontroli celnej i paszportowej. Kiedy wyłączył silniki i otworzył drzwi, wyszedł mu na spotkanie wysoki, nieśmiały, przystojny mężczyzna.

— Cześć, Bobby. Witaj w Mustique. Jego angielski zdradzał dobre pochodzenie.

— Udało mi się w ostatniej chwili. Wiesz, powinniście oświetlić ten pas startowy, Brian.

— Obawiam się, że mieszkańcy wyspy nie wyrażą zgody, z obawy iż samoloty będą ich budzić w środku nocy.

Bobby mruknął z niezadowoleniem. Niech szlag trafi mieszkańców! Dla ich widzimisie przez ostatnie pół godziny włosy jeżyły mu się ze strachu. Kiedy Lisa i Jo-Anne wydostały się z samolotu, dokonał prezentacji.

Popijając tradycyjnie podawanego na Mustique powitalnego drinka — biały koktajl, w którym pływały również białe płatki hibiskusa — starał się opanować irytację, podejmując luźną rozmowę.

— Biały hibiskus to rzadki kwiat, Brianie. Zupełnie jak wy, Anglicy, w szczególny sposób niedoceniany. Białe na białym!

— Nie ma w tym nic szczególnego: biały rum, ciemny rum, trochę likieru bananowego, i to wszystko.

— Świetnie — uciał krótko Bobby. — Dokończmy tę uroczystość po drodze. Chciałbym się wykapać i założyć się, że dziewczyny też o tym marzą.

Wpakowali się do czerwonego jeepa, bagaże upchnięto w drugim i konwój ruszył. Trzęsło zupełnie nieprawdopodobnie.

— Mustique Company nie myśli, jak widzę, o ubiciu i posypaniu żwirem tej drogi — stwierdził Bobby.

— To skutecznie ogranicza prędkość jazdy, a poza tym wydaje się, że Europejczykom taka droga nie przeszkadza. Zapewne dlatego, że są do niej przyzwyczajeni.

Bobby zmienił temat. — Czy Haversowie już przyjechali?

— Owszem, wczoraj rano. Księżniczka Małgorzata ma dobry nastrój, a Patrick Lichfield przywiózł całe mnóstwo znajomych, wasz koniec wyspy jest więc bardzo zatłoczony. Mick Jagger i Jerry spędzą tu z Patrickiem kilka tygodni. Mick ma zamiar postawić tu dom, wiesz?

Jo-Anne zainteresowała się wzmianką o gwiazdzie rocka. Dla Lisy Jagger był równie mało interesujący co Bing Crosby, ale rówieśnicy Jo-Anne wychowywali się na muzyce Rolling Stonesów.

— Jak to się stało, że i on postanowił tu zainwestować?

— Och, to całkiem interesująca historia — odparł Brian. — Pomysł zrodził się mniej więcej wówczas, kiedy Mick miał już dość Bianki. Wyglądało na to, że będzie jej musiał zapłacić ogromne alimenty. Bianka wynajęła tego słynnego Mitchelona. Doradca ekonomiczny Micka, facet o nazwisku Prince Loewenstein, jest przyjacielem Colina Tennanta, który niegdyś był właścicielem tej wyspy, i obaj w ciągu dziesięciu dni kupili Mickowi prawo rezydenta St. Vincent. Najwyraźniej oszczędził dzięki temu ogromnie dużo forsy. Ale żeby spełnić wymagania obowiązujące rezydenta, musi posiadać tu dom, kupił więc działkę na plaży w zatoce L'Ansecoy i zamieszkał w zrujnowanym domku, który tam stał. A teraz buduje fantastyczny dom w japońskim stylu, z trawnikiem do krykieta.

Wokół rozchodziły się zapachy karaibskiej nocy. Jechali w otaczającej ich ciemności. Co jakiś czas reflektory samochodu oświetlały baraki z traktorami, rodzinę tubylców idącą skrajem drogi, krzak bugenwilli. Wydawało się to wszystko odległe od wypieszczonego raj, jakiego oczekiwały Lisa i Jo-Anne. Miliony kilometrów od Palm Beach. Zupełnie niespodziewanie zaczęli wjeżdżać na stromy stok, na szczycie którego znajdowała się prosta droga. Z obu stron panowała zupełna ciemność. Po pewnym czasie po lewej stronie pojawiły się światła pomalowanego na żółto domu, którego kształt przypominał dużą pagodę, stojącą jak roгатka strzegąca drogi, którą jechali. Na wprost pojawiły się światła kolejnego domu — niskiego, jednopiętrowego, z dwoma symetrycznymi skrzydłami okalającymi centralny taras i podwórze prowadzące do głównych drzwi.

Lisa spostrzegła jasnoróżową, stiukową elewację i usłyszała słaby dźwięk orkiestry. Więc to był dom księżniczki Małgorzaty. Dom, w którym miała mieszkać przez następne trzy czy cztery dni. Boże!

Brian Alexander wyłączył silnik.

— Jesteśmy, oto „Les Jolies Eaux”.

— Co to znaczy? — spytała Jo-Anne. Francuski raczej nie był popularny na ulicach Bronxu. W każdym razie nie jako język.

— Piękne wody — odpowiedziała Lisa. Czarny służący otworzył przed nimi drzwi.

— Jak mam się, u licha, do niej zwracać? Księżno? — szepnęła niespokojnie Lisa, kiedy prowadzono ich do salonu. Bobby parsknął śmiechem, ale nie odpowiedział.

Lisa rozglądała się wokół siebie. Nie tego oczekiwała. Dom był ładny, ale ani wytworny, ani wielki. Meble wyplatane trzcina, z wyściełanymi siedzeniami; dwa wymyślne krzesła, obramowane nierdzewną stalą — w rodzaju tych, jakie znajdowały się w Sali Jeffersona; jasne, drewniane biurko, na którym stały dwie kolorowe papugi z porcelany. Lampy były typowe, jakich używano powszechnie na wyspie, z abażurami z rafii i podstawami rzeźbionymi w kolorowym koralu. Po prawej stronie pokoju stał stół dla ośmiu osób. Pomarańczowe świece w szklanych świecznikach miały, bez wątpienia, stanowić uzupełnienie obrazu pomarańczowej ryby, któremu daleko było do doskonałości. Poza tym znajdowały się tam głównie takie rzeczy, które i Lisa miała w swoim pokoju — mnóstwo tanich podniszczonych książek na półce, kasety z muzyką, tani i raczej przestarzały czarno-biały telewizor. Architektura była z pewnością bez porównania lepsza niż wyposażenie wnętrza, poczynając od betonowej podłogi z geometrycznym wzorem po pobielone deski na suficie ułożone w literę V. Prawdziwą ozdobę pokoju z całą pewnością stanowił widok rozciągający się za oknem. Wzrok Lisy przyciągał basen — doskonale oświetlony, widoczny zza ogromnych francuskich okien; ten, w którym książę Andrzej uwiódł Koo, czy może zresztą było na odwrót?

— Bobby, cudownie, że przyjechałeś.

Głos wydawał się niski i brzmiał gardłowo, zapewne wskutek zbyt wielu wypalonych papierosów, które w ten sposób przypominały o sobie na starość.

— Jak to miło panią spotkać, Madame — Bobby pochylił się do przodu i musnął nadstawione do pocałunku policzki, witając ją w europejskim stylu.

— A to moje dwie znajome: Jo-Anne Duke i Lisa Starr.

Kiedy podały sobie dłonie na powitanie, Lisa starała się przeanalizować pierwsze wrażenia. Drobna, niska, zdecydowanie (czy to wypada tak myśleć?) przysadzista. Przy powitaniu wymachiwała długą, szylkretową lufką trzymaną w lewej ręce.

— Nawet nie wie pani, Madame — kontynuował Bobby — jaka to ulga być tutaj. Ledwie zdążyliśmy przed zachodem słońca.

— Cieszę się, że jesteście. Wybieramy się wszyscy do Patricka na obiad. Jego dom jest pełen gości. Są Mick Jagger i jego „dama”, i ten uroczy Dawid Wogan. Nie pamiętam, czy spotkałeś go już kiedyś? Są też Haversowie, ale odpoczywają. Byliśmy na dość męczącym lunchu u Basila.

!Lisa wiedziała, że w domu księżniczki znajdowały się tylko cztery sypialnie i umieszczenie razem pary, która nie była małżeństwem, nie wchodziło w grę. Musiała dzielić pokój z Jo-Anne.

Kiedy znalazły się same, wyraźnie powiało chłodem. Od spotkania w Polo Club Jo-Anne przestała okazywać Lisie przyjaźń. Nadal przychodziła do sali gimnastycznej, ale skończyły się wspólne lunche, a kiedy rozmawiały, Jo-Anne odnosiła się do niej z rezerwą, jakiej przedtem nie odczuwało się w ich kontaktach. Lisa była jednak zbyt zaabsorbowana miłością, by zastanawiać się nad tym. Poza wszystkim, Jo-Anne straciła całkiem niedawno męża, i to w najstraszniejszych, jakie sobie można wyobrazić, okolicznościach. A zresztą, Lisę zanadto pochłaniało jej uczucie, by mogła przejmować się czymkolwiek innym. Trochę szkoda, że Bobby uzałił się nad Jo -Anne i zabrał ją ze sobą na tę wyprawę, ale on właśnie taki jest — uprzejmy, troskliwy, hojny.

— Myślę, że dała nam pokój tych przeklętych służących — stwierdziła Jo-Anne, pełnym irytacji gestem odgarniając włosy z oczu.

Lisa poczuła nagle ukłucie bólu. Mimo że w szybkim tempie tak wysoko zaszła, podobne uwagi mocno ją raniły. W jej świecie posada służącego nie była niczym złym. Patrzyła na to zawsze oczyma swojej matki, która uważała to za cudowne zajęcie. Zapewne ludzie pokroju Jo-Anne, a także i Bobby'ego, widzieli to inaczej. Poczowała się jak intruz, który dostał się ukradkiem w szeregi arystokracji, udając, że jest kimś. Wydawało się to śmieszne i nieprawdziwe; po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że jest coś, co powinna ukrywać — i było to dziwne, obce do niedawna uczucie wstydu z powodu czegoś, z czego niegdyś była taka dumna. Czy taki wpływ na innych wywierali ci ludzie? Czy to miał być pierwszy mały krok w kampanii upokarzania, która pozbawi ją pewności siebie, napełni obawami, zmusi do wykrętów i sekretów zamiast otwartości? A wszystko za to, że starała się zostać kimś, kim nie była? O nie, z nią ta sztuczka się nie uda.

Pociągnęła duży łyk ponczu, który nalał jej czarny służący, i poszła w kierunku łazienki. Jeśli to miało być pomieszczenie dla służby, to

ona chętnie zgłosi się tu do pracy. Dom urządzono na pomarańczowo — wyraźnie był to ulubiony kolor księżniczki Małgorzaty. Jednakże ręczniki w łazience były szarozielone. Lisa wydała lekki okrzyk zdziwienia.

— Och, Jo-Anne, spójrz. Na tych ręcznikach jest napis „Rodzina Królewska”. Popatrz, o tu! Wojskowe ręczniki plażowe i ten napis! To chyba jakiś żart, nie sądzisz?

Tanecznym krokiem weszła do pokoju, pokazując rozłożony ręcznik.

Jo-Anne zareagowała natychmiast.

— Doprawdy, Liso, uważam, że powinnaś spróbować wzbudzić w sobie trochę więcej szacunku dla otoczenia.

Wiem, że fakt, iż jesteś tu z nami, może ci się wydawać dziwny, ale nie rób sobie z tego zabawy. — Głos Jo-Anne brzmiał protekcyjnie.

— A niech cię diabli — rzuciła Lisa i wyszła.

Sypialnia Bobby'ego znajdowała się naprzeciwko, po drugiej stronie wyłożonego terakotą tarasu. Drzwi obu pokoiów wychodziły na zewnątrz domu. Nie zapukała.

Bobby był jeszcze mokry po kąpieli, stał z ręcznikiem na biodrach. Lisa poczuła, jak ogarnia ją podniecenie.

— Cześć, senatorze, czy może raczej powinnam powiedzieć: panie prezydencie. Pomyślałam, że może się panu przydać ktoś do pomocy po kąpieli.

Bobby uśmiechnął się ciepło i położył palec na ustach, wskazując na zamknięte drzwi, łączące jego pokój z sąsiednim.

— Za ścianą jest sypialnia pani domu — wyszeptał. Jakby na potwierdzenie tego, doszedł do nich niski głos księżniczki śpiewającej w kąpieli.

Spieeewam na deszczu, spieeewam na deszczu. To cu-downe uczucie szczęśliwą znów być...

— Myślę, że ona bardzo by chciała występować w nocnym klubie — skomentował Bobby. — I rzeczywiście, na swój sposób właśnie to robi.

Lisa uśmiechnęła się i podeszła do niego. Delikatnie, ale zdecydowanie popchnęła go do tyłu na łóżko.

Mark Havers, z rozwianymi przez wieczorny wiaterek lśniąco włosami, wygłaszał swoje poglądy zdecydowanym tonem. Dla podkreślenia słów potrząsał ręką, w której trzymał szklaneczkę ginu z tonikiem.

— Myślę, że podejrzenie Rosjan o chęć dominowania na świecie

jest trochę naiwne. Historia uczy, że ich położenie nie jest bezpieczne. I oni tak bardzo się boją ewentualnego ataku, że przyjęli go jako najlepszą metodę obrony. Wymachując szabelką, drażnimy tylko owo poczucie braku bezpieczeństwa i przemieniamy Rosję w groźne, osaczone zwierzę. A poza tym, nie zgadzam się z tobą co do aktualnego zagrożenia ze strony Rosji. My widzimy w niej państwo mające bardzo poważne problemy: gospodarcze, polityczne i wojskowe. Nie odniosła wielkiego sukcesu w Trzecim Świecie i jeśli od tego zależy dominacja, do której rzekomo dąży, to wydaje się, że działa na własną zgubę.

Bobby odchylił się do tyłu na oparcie krzesła i siedział tak, uśmiechając się lekko. — Cóż, z pewnością jest to europejski punkt widzenia sprawy — wycedził. — Absolutnie się z tobą nie zgadzam, ale muszę przyznać, że mówisz bardzo przekonująco. — Był niezmiernie uprzejmy, starając się przy tym wykorzystać cały urok Stansfieldów. Havers nie miał pewności co do tego, czy powinien jego uwagę przyjąć jako komplement, czy też nie. — Oczywiście my, patrząc na to z naszej, geograficznie korzystnej pozycji tu, w Nowym Świecie — kontynuował Bobby — uważamy, że wy, Europejczycy, jesteście trochę zanadto obsesyjnie zafascynowani tak zwanymi lekcjami historii. Jestem skłonny zgodzić się z facetem, który stwierdził, że historia to wielka oszustka. Możesz z niej wyczytać to, co chcesz, tak jak ze statystyki. Dla przeciętnego Amerykanina wasz tak zwany dialog z Rosjanami pachnie ustępstwami na ich korzyść dla zachowania spokoju. Tak bardzo boicie się, żeby Europa nie zamieniła się w nuklearne śmietnisko. Ale prowadzenie w nieskończoność dyskusji z Rosjanami wcale nie musi okazać się najlepszą metodą zapobieżenia temu.

— Lepiej kłapać dziobem, niż toczyć wojnę.

Bobby pochylił się do przodu i popatrzył prosto w oczy Anglikowi.

— Czasami kłapanie dziobem jest najlepszą metodą wywołania wojny. Podam ci przykład z historii, na którą tak lubisz się powoływać. Otóż, co powiesz o Monachium? Trudno byłoby twierdzić, że prowadzenie dialogu z Hitlerem zapobiegło wybuchowi wojny. On uznał to za przejaw słabości i wykorzystał do rozbudowania swojej maszyny wojennej.

Pełen zadowolenia z siebie uśmiešek znikł raptownie z twarzy Haversa. Nie lubił być zapędzany w kozi róg. Mógł przyjąć dość uproszczony, prawicowy punkt widzenia Amerykanów w kwestii Rosji, ale z całą pewnością umiał też bronić swoich racji. Monachium stanowiło bolesne memento dla angielskich konserwatystów. Trudno było to bowiem uznać za ich sukces. Wrócił więc do swojego wątku dyskusji.

— A nam się wydaje, że wasze stanowisko jest trochę paranoiczne. Rosja po prostu nie ma wystarczających środków na to, by kontrolować świat i jeśli przyjrzyś się ostatnim czterdziestu latom, zauważysz, że w rzeczywistości jej strefy wpływów nie rozszerzyły się, z wyjątkiem Afganistanu.

Bobby nie mógł już tego znieść. Jako wytrawny polityk zdobył się na pełen serdeczności uśmiech, który miał złagodzić nieuprzejme słowa, jakie zamierzał wypowiedzieć.

— Myślę, że wy, Europejczycy, macie wszelkie powody do wdzięczności wobec Amerykanów za tę tak zwaną paranoję czy nawet, jeśli chcesz, naszą naiwność. Masz absolutną rację twierdząc, że jak dotąd Rosjanie nie odnieśli większych sukcesów. Pozwól jednak, że wyjaśnię ci, dlaczego tak się dzieje; to dzięki naszej półmilionowej armii w Europie oraz parasolowi nuklearnemu, który my trzymamy, a wasi ludzie chronią się pod nim. I powiem ci jeszcze coś. Za te środki obronne płacą nasi amerykańscy podatnicy, i to w chwili, kiedy deficyt budżetowy powoduje wysoką stopę procentową i ogromne, coraz większe bezrobocie. Najtrudniejszą rzeczą jest dla mnie wyjaśnienie moim wyborcom, dlaczego muszą pokrywać koszty ochrony aż tylu obywateli innych krajów, którzy demonstrują przeciwko naszym pociskom, piszą na nasz temat oszczerstwa w gazetach i odmawiają płacenia rozsądnych kwot na własną obronę.

Havers w milczeniu wypił do dna swojego drinka. Widząc taką reakcję na wypowiedziane przez siebie słowa, Bobby natychmiast postarał się zatrzeć ewentualne wrażenie wrogości.

— Oczywiście i ty, i ja, obaj wiemy, że nasze interesy są nierozłączne. Chciałem tylko, żebyś znał poglądy opinii publicznej w moim kraju. Jak wiesz, zdecydowanie występowałem przeciwko groźbie Senatu, że wycofamy nasze wojska z Europy, jeśli Europejczycy nie zaczną w większym stopniu partycypować w kosztach. Zdaję sobie także sprawę, że Anglii nie można nic zarzucić w tym względzie. Jestem gorącym wielbicielem waszej pani premier; Amerykanie wiedzą, że ona nie jest skłonna do ustępstw wobec komunistów, widząc w tym zagrożenie dla pokoju. Kończąc przesadnym komplementem, Bobby przyłożył łagodzący plaster na urażone uczucia Haversa. Była to pożyteczna dyskusja, zawsze bowiem ważne jest zarówno wypowiedzenie własnych opinii, jak i wysłuchanie argumentów kogoś innego. Premier Margaret Thatcher z pewnością usłyszy sprawozdanie z tej rozmowy. Bobby miał nadzieję, że znajdzie się tam zdanie o nim — że jest człowiekiem o prawicowych przekonaniach, płynących z głębi serca, ale także głęboko przemyślanych.

Głos księżniczki Małgorzaty przerwał dyskusję. Stojąc w otwartym oknie, zawołała w kierunku pokrytej strzechą altanki przy basenie, w której siedzieli obaj politycy:

— Panowie, chodźcie już. Spóźnimy się na obiad.

Obiad, przynajmniej zdaniem Lisy, nie był udany i niemal wszyscy tu zawinili. Na przykład Jo-Anne nagle stała się wrogiem publicznym numer jeden. Została posadzona po prawej stronie Bobby'ego i przez cały czas absorbowała go sobą jak natrętna mucha. Nawet na moment nie przestawała go dotykać. Śmiała się hałaśliwie z każdej uwagi i nieustannie to głaskała rękę Stansfielda, to znów entuzjastycznie łapała go za ramię i przynajmniej raz — jeśli nie więcej — pozwoliła sobie nawet pogłodzić go po szyi. Lisa patrzyła na to wszystko ze świadomością, że Jo-Anne jest mniej więcej tak niegroźna jak lis w kurniku i równie życzliwie przez nią oglądana. Początkowo nie chciała wierzyć własnym oczom, tak bardzo zachowanie Jo-Anne ją zaskoczyło. Ale później, kiedy flirt stał się całkiem wyraźny, Lisa zaczęła się zastanawiać, czemu była taka naiwna. To oczywiste, że Jo-Anne zaplanowała wszystko z góry. Jej mąż jeszcze nie ostygł w trumnie, a już rozglądała się gwałtownie za następcą. I wszystko nagle stało się jasne. Bobby Stansfield był jednym z najbardziej pożądanых kawalerów pod słońcem. Dla kogoś takiego jak Jo-Anne wydawał się wymarzonym kandydatem na męża.

Z tego wszystkiego Lisie odechciało się jeść; pod wpływem nieznanego dotychczas uczucia zazdrości miała wrażenie, że żołądek skurczył się jej tak, iż nie mogłaby nic przełknąć. Bobby był jej, ale czy nadal? Jo-Anne udało się doprowadzić do tego, że Lisa czuła się jak zmrożona. Tej samej Jo-Anne, której usta doprowadziły Lisę niemal do ekstazy wtedy w saunie studia gimnastycznego. Jo-Anne, o arystokratycznym nazwisku, z cudowną figurą, bogata jak Krezus. Trudno byłoby wymyślić sobie groźniejszą rywalkę. Do diabła! Po raz pierwszy w życiu Lisa zakochała się i wyglądało na to, że będzie musiała walczyć — i to z kimś, kto z całą pewnością miał znacznie więcej atutów po swojej stronie. Nietrudno zresztą przewidzieć, co wykorzysta przeciwniczka — ambicje polityczne Bobby'ego.

Sąsiadująca z Bobbym z lewej strony księżniczka Małgorzata przechyliła się do przodu i zapytała: — Powiedz mi, Jo-Anne, czy popierasz politykę Bobby'ego? Mówiono mi, że ubieganie się o urząd w waszym kraju jest rujnująco kosztowne. Powinnaś przeznaczyć jakąś kwotę na kampanię.

Dla Lisy było oczywiste, że księżniczka miała nadzieję postawić tym pytaniem uderzająco atrakcyjną Jo-Anne w nieco niezręcznej sytuacji. Bo jeśli chciałaby ona zaprezentować się jako zwolenniczka Bobby'ego, to poczułaby się zobowiązana do sięgnięcia do portfela. Niechcący jednak zagrała na korzyść zainteresowanej.

— Cieszę się, że wspomniała pani o tym, Madame. Nie mówiłam jeszcze o tym Bobby'emu, ale rozmawiałam już z Fundacją Duke'a na temat wsparcia jego kampanii — oczywiście, jeśli zdecyduje się wziąć w niej udział.

Goście roześmiali się; wszyscy, z wyjątkiem Bobby'ego. Stansfiel-dowie nie śmieją się bowiem z takich rzeczy jak dotacje na wybory. Podobnie jak nie wypada grać w piłkę w kościele. Przez długą chwilę patrzył na Jo-Anne Duke tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu i to w zupełnie innym, znacznie korzystniejszym świetle. Siedząca przy drugim końcu stołu Lisa obserwowała tę scenę zdrętwiała z przerażenia. Zaraz potem Jo-Anne i Bobby zaczęli naprawdę gruchać jak dwa gołąbki, kiedy ta wspomniała o olbrzymiej kwocie, jaką zamierzała mu podarować. Raz czy dwa razy Bobby spojrział na Lisę i uśmiechnął się do niej ciepło i uspokajająco, ale dziewczyna widziała w jego dziecięco niebieskich oczach jedynie wielki, okrągły symbol dolara.

Mick Jagger, siedzący z prawej strony Lisy, był w tej sytuacji równie pomocny co traktor na czteroakrowym poletku. Z powodów znanych wyłącznie jemu samemu wyobraził sobie, że Lisa może interesować się krykietem, który był jego namiętnością. Dlatego też przez czterdzieści minut ignorował jej lodowate reakcje, opowiadając o tej grze, po czym przerzucił się dla odmiany na grę w krokiet. Do niczego! Jej sąsiad z lewej strony, Dawid Wogan, był o wiele bardziej użyteczny. Zabawny, rozgadany, chichoczący Irlandczyk, dobrze znany jako najlepszy przyjaciel księżnej, był także niezwyciężony w piciu. Lisa łatwo zorientowała się, że musiał zacząć dużo wcześniej, zapewne jeszcze przed lunchem.

Dawid teatralnym szeptem skomentował zachowanie zafascynowanego krykietem i krokietem gwiazdora muzyki pop: — Ma okropne maniery, moja droga. — Wciągnął głęboko powietrze i kontynuował, ignorując piorunujące spojrzenie księżniczki Małgorzaty. — Zupełnie nie rozumiem, dlaczego księżna się z nim zadaje. Chyba tylko dlatego, że jej kuzyn był świadkiem na jego ślubie z Bianką.

Lisa parsknęła śmiechem i poczuła się odrobinę lepiej, o ile to było możliwe w jej sytuacji. Do licha, pomyślała, może jeszcze nie wszystko stracone? Może Bobby ograniczy się do tego, że przyjmie zaproponowane pieniądze i zostawi Jo-Anne na lodzie? Pociągnęła łyk czerwonego wina i postanowiła postarać się o dobry humor. Przecież miała

się znajdować w raju, przebywając z najbardziej wpływowymi ludźmi w domu, który miał być jednym z najpiękniejszych na świecie. Rozejrzała się wokoło. Dom Patricka był jak bombonierka. W tonacji jasnożółtej, zaprojektowany w teatralnym stylu Olivera Messela, z rozległym widokiem na Morze Karaibskie, przewiewny. Zbudowany był na kilku poziomach; jak dotąd wykończono cztery, ale zanosilo się na to, że Patrick planował dobudować następne. Nad basenem stał wielki, półokrągły budynek z ławą w kształcie półksiężyca, ustawioną tak, by można z niej oglądać wideokino. Uprzedzono ich, że późnym wieczorem przewidziany jest film. Z jadalni Lisa mogła przyglądać się bujnej roślinności otaczającej przeszło stumetrowy, oświetlony delikatnie basen, wdychać subtelny zapach krzewów granatu oraz przysłuchiwać się szmerowi uprzejmej konwersacji przy stole, pobrękiwaniu porcelanowych naczyń, a także nieustającym bzykaniem koników polnych.

Z zamyślenia wytrącił ją nagle ostry głos.

— Powiedz no mi, Lucy, jak to się stało, że spotkałaś Bobby'ego? Zawsze intryguje mnie, jak to się dzieje, że ludzie się spotykają.

Czy można jakoś delikatnie powiedzieć księżniczce, że pomyliła imiona? Lisa miała wrażenie, iż odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”. Wydawało się jej również, że księżniczka celowo odezwała się w ten sposób.

Księżniczka Małgorzata, nachylona do przodu, z nieodłączną szylkretową lufką wycelowaną w Lisę jak w tarczę, oczekiwała na odpowiedź. Opalona na mahoń, z pełnymi ustami pomalowanymi jaskrawą szminką, wyglądała raczej jak manikiurzystka z Miami Beach niż jak siostra królowej Anglii, pomyślała Lisa.

— Zostałam mu przedstawiona przez Jo-Anne. — W odwecie Lisa nie dodała słówka „Madame”.

Księżniczka spojrzała na nią surowo, karcąc wzrokiem za to niedopatrzenie, pociągnęła spory łyk zaprawionej słodem whisky, którą podano do stołu razem z kawą, i ponownie zapytała:

— A od dawna znacie się z Jo-Anne?

Indagacja nabrała charakteru przesłuchania, uznała Lisa. Po tym pytaniu będzie następne i jeszcze następne, aż Lisa powie wreszcie coś niewłaściwego.

Jo-Anne ubiegła Lisę z odpowiedzią. — Lisa prowadzi salę gimnastyczną w West Palm Beach, Madame. Tam się poznałyśmy.

Śmiech księżniczki przypominał dźwięk, jaki wydaje nóż ciągnięty po szkle.

— Salę gimnastyczną? Salę gimnastyczną, powiadasz? Co za prze-

dziwne zajęcie. I to w Palm Beach! Myślałam, że tam wszyscy są za starzy, żeby chodzić na gimnastykę. Lisa głęboko wciągnęła powietrze.

Zgromadzeni przy stole goście starali się zatuszować nieprzyjemną scenę, opowiadając żarty na temat gimnastyki.

— Ja się skłaniam ku teorii Fieldsa. Kiedy mam ochotę poćwiczyć, kładę się i czekam, aż mi przejdzie — stwierdził Dawid Wogan, przy czym zabrzmiało to tak, jakby godzinka lub dwie w pozycji horyzontalnej były tym, czego właśnie najbardziej potrzebował.

— Jedyne ćwiczenia, jakie wykonuję, to gra w szachy przy otwartym oknie — stwierdził Patrick Lichfield.

Lisa była im wdzięczna za próbę pomocy, ale nie chciała unikać konfrontacji. Okazanie słabości teraz mogło być brzemiennie w skutki potem.

— Ćwiczenia są bardzo pożyteczne, Madame — odezwała się spokojnym głosem. — Powinna pani kiedyś spróbować.

Po tych słowach zapadła grobowa cisza. Lisa w myślach pakowała już swoje manatki. Jak można dostać się na samolot odlatujący z Mustique? Przez moment ważyły się jej losy. Całe otoczenie składało się z dworzan, wiernych członków Klubu Uniżonych Wielbicieli Księżniczki Małgorzaty, gdyby więc Lisa została ostro skarcona przez królewską siostrę, automatycznie stałaby się „powietrzem” dla pozostałych; potępiono by ją i na zawsze wykluczono z towarzystwa. Gdyby z jakichkolwiek względów nie mogła wydostać się z wyspy, czekałoby ją kilka najgorszych dni w życiu.

Księżniczka Małgorzata patrzyła na tę ryzykantkę ze złośliwą miną, zastanawiając się nad odpowiedzią i nad formą przytarcia rogów tej dziewczynie.

Lisa odpowiedziała jej obojętnym spojrzeniem, nie okazując ani odrobiny strachu czy zmieszania. Wreszcie to księżniczka spojrzała w bok.

— Mam dużo lepsze zajęcia — powiedziała w końcu i zajęła się swoją szklaneczką Famous Grouse Scotch.

Dawid Wogan szybko odwrócił uwagę zebranych od małego, ale znaczącego zwycięstwa Lisy. Mrucząc: — Nie czuję się dobrze, a właściwie to zupełnie niedobrze — zerwał się na nogi i zanim ktokolwiek zdążył przyjść mu z pomocą, wyszedł na taras.

Po chwili usłyszano jego krótki krzyk i hałas łamanych krzaków, po czym nastąpiła cisza. Dopiero po dziesięciu minutach znaleziono go w ciemnościach, śpiącego w krzakach pąsowych bugenwilli.

Wskutek tego nastąpiło ogólne poruszenie i obiad dobiegł końca.

Wszyscy się śmiali z Krzysztofa Kolumba Kiedy twierdził, że ziemia jest okrągła...

Lisa nie mogła uwierzyć własnym oczom i uszom. Wydawało się jej, że uczestniczy w jakiejś ponurej komedii. I co gorsza, wyglądało na to, że tylko ona tak to odbiera.

Mała grupka zgromadzona wokół pianina w barze Basila na plaży przy Zatoce Brytanii nie widziała w tym nic humorystycznego. I oni, i występująca właśnie królewska siostra robili wrażenie, jakby traktowali całą tę sytuację niezmiernie serio.

Mówili, że telegraf Marconiego byi oszustwem, To ten sam stary refren...

Śpiewając tę starą piosenkę Gershwin, księżniczka Małgorzata bezwstydnie gubiła tempo. Połykała sylaby, pozbawiając tekst humorystycznego wydźwięku i przewracała oczami, wbijając je w sufit. Jej głos był zadziwiająco, niemal nieprzyjemnie niski — trochę taki jak Betty Bacall, kiedy miała swój zły dzień — i przy wyższych tonach przejawiał skłonność do załamywania się. Akompaniament brzmiał w sposób typowy dla barów — pianista wykonywał lewą ręką ozdobne, głośnie pasaże, pomijając niektóre dźwięki. Zagubione nutki, połykane słowa. A na dodatek śpiewaczka i akompaniator rzadko trafiali we właściwy ton.

Patrząc jednak na twarze słuchaczy, można było odnieść wrażenie, że przy pianinie siedzi Artur Rubinstein i akompaniuje Barbrze Streisand śpiewającej pełnym głosem. Zebrani tłoczyli się wokół wykonawców, starając się kiwać i tupać zgodnie z niepewnym rytmem, i podchwytywali spojrzenie królewskiej artystki kabaretowej, która przyglądała się swoimi żółtymi oczkami, kto ze słuchaczy podziwia ją, a kto nie. Tuż przed księżną, na zniszczonym pianinie stała szklaneczka szkockiej whisky oraz popielniczka, gdzie dopalał się papieros w sławetnej długiej, szylkretowej lufce.

Nagle, w połowie sylaby księżniczka przerwała.

— Psiakrew! Zapomniałam słów.

Lisa szeroko otworzyła usta ze zdumienia. To po prostu nie może być prawdą! Czy coś takiego mogło zdarzyć się w dwudziestym wieku? Walczyła ze sobą, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

— Teraz powinno być coś na temat Hersheya, który wymyślił czekoladę w tabliczkach, Madame.

— Dziękuję, Patricku. — Księżniczka wypowiedziała te słowa

tonem, jakim zniecierpliwiona nauczycielka odzywa się do klasy, która nie dość szybko wykonuje jej polecenia.

Czyżby oni właśnie występowali w roli uczniów?

I znowu popłynęły dźwięki obrażające muzykę Gershwina.

Lisa przez chwilę przyglądała się grupie osób otaczających pianino. Rodzina królewska mogła już nie mieć wielkiej autentycznej władzy, ale najwyraźniej, tak jak Wszechmocny, miała moc magicznego oddziaływania. Stary fotograf-arystokrata, o którym mówią, że był kiedyś kierowcą autobusów w Londynie; czarująca modelka z Teksasu i gwiazdor rocka; członek rządu brytyjskiego z żoną; amerykańska dziedziczka i potencjalny republikański kandydat do nominacji na prezydenta Stanów Zjednoczonych. A do tego jeszcze dwie dodatkowe osoby, które dołączyły, gdy cała grupa po sutym obiedzie wybrała się do nocnego baru na plaży: śniady Latynos imieniem Julio, stały bywalec tego lokalu, i dość pospolicie wyglądająca, ale sympatyczna kobieta, przedstawiona jako hrabina Crespoli. Julio i hrabina Crespoli byli wyraźnie bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni, opierali się wzajemnie o siebie, jakby żadne z nich nie było w stanie utrzymać pozycji pionowej

o własnych siłach.

Lisa podchwyciła spojrzenie Bobby'ego, który mrugnął porozumiewawczo, spostrzegłszy pełne zdumienia rozbawienie na jej twarzy. Uśmiechnęła się do niego. Chwała Bogu, znalazł się jeszcze ktoś, kto zachował poczucie humoru. W programie „Saturday Night Live” wywołałoby to sensację.

A kto się śmieje ostatni? — zakończyła piosenkę księżniczka, wywołując entuzjastyczny aplauz.

— Wspaniale pani to odśpiewała, Madame — odezwał się ktoś głosem pełnym zachwyty.

Lisa poczuła, że ma już tego powyżej dziurek w nosie. Marzyła, żeby znaleźć się jak najdalej od tych ludzi, których zachowania

i postawy były dla niej obce i dziwaczne. Wydawali się jej równie odlegli jak Marsjanie. Zapewne to, co robili, nie było samo w sobie złe, ale daleko odbiegało od jej doświadczenia. Ich świat nie był jej światem i zapragnęła się z niego wydostać.

Korzystając z zamieszania, jakie powstało przy ustalaniu, że następna piosenka to Hello, Dolly, Lisa wymknęła się szybko. Najwyraźniej ta piosenka była ukoronowaniem królewskiego pokazu.

Pospiesznie biegła wąskim, drewnianym przejściem, niemal oczekując ostrych głosów pogoni za uciekinierem z występu członka rodziny królewskiej. Jakże popełniła przestępstwo? Obraza majestatu? Czy wysłać telegram, aby przygotowano dla niej celę w Tower?

Zrzuciła pantofle i weszła na piasek, ciągle jeszcze nagrzaną przez słońce. Boże, jak dobrze! O to właśnie chodziło. Miękki piasek, delikatne dźwięki karaibskiej nocy, zapachy miejscowych potraw docierające zza okolonej sosnami plaży. Trzysta metrów od brzegu kilka jachtów kołysało się na fali. Niektóre były oświetlone jak choinki, zaś właściciele jedli posiłek na pokładzie, podczas gdy załoga biegała wokół, spełniając każdy ich kaprys. Inne miały tylko światła pozycyjne — pasażerowie najwyraźniej zeszli na obiad na brzeg, do restauracji Colina Tennanta lub któregoś z barów Guinnessa. Mustique, wyspa szokujących sprzeczności. Co było tu prawdziwe: nefrytowo zielone góry, białe jak perły plaże, niebieskie morze i różowe muszle pokrywające brzegi, czy też charakter tego miejsca najlepiej oddawały niepewne dźwięki dochodzącej, niestety, do uszu piosenki. A może istotą tego miejsca były najgorsze wybryki angielskiego snobizmu, zakłócające naturalne piękno środowiska, które tak kapryśnie sobie wybrał.

Lisa przysiadła na kawałku wyrzuconej przez morze deski i usiłowała pozbierać wzburzone myśli., Dokąd zmierzała? Co się działo? Aż do dzisiejszego wieczora nie miała czasu ani ochoty pomyśleć, tak pochłonęła ją namiętność i chęć spełnienia dziecięcych marzeń. Nie miała czasu rozmyślać nad tym, czy jej miłość jest odwzajemniona. Przyjęła to za pewnik. Ale teraz, sama ze swoimi myślami, zaczęła się zastanawiać, czy ten cudowny świat nie był tylko złudzeniem, fatamorganą, która właśnie zniknęła, pozostawiając po sobie uczucie gorzkiej pustki. Na myśl o tym w kącikach jej oczu zawisły dwie wielkie łzy, i powoli stoczyły się po policzkach. Cichy głos za jej plecami wyrwał ją z zamyślenia.

— Liso Starr, nie miałem pojęcia, że nie jesteś miłośniczką muzyki. Lisa uśmiechnęła się przez łzy, raczej z wdzięczności niż z tego żartu.

Jednak poszedł za nią. Troszczył się. Kochał ją.

— Och, Bobby. Czy moglibyśmy wrócić do domu? Tylko ty i ja, żeby zapomnieć o tym wszystkim.

— Ruszamy — odparł i pochylił się czule, by scałować jej łzy.

Lisa spojrzała na rozgwieżdżone niebo, oddychając głęboko. Księżyc był niemal w pełni i rzucał magiczne światło na falującą wodę basenu. Bobby klęczał obok na schodkach, delikatnie opierając rękę na jej ramieniu.

— Myślę, że mamy szczególną słabość do basenów — odezwała się wreszcie Lisa, a w jej śmiechu, cichym, dźwięczącym, zawarta była dość czytelna aluzja.

Bobby zachichotał. — Pływanie przy księżycu. To mnie niesłychanie podnieca.

Lisa zamierzyła się, żeby dać mu żartobliwego kuksańca.

— Mówiłam o nas, senatorze. — W jej głosie zabrzmiała udawana zazdrość. — Wiesz, to chyba najpiękniejsze miejsce na wyspie. To znaczy, ten basen. Robi wrażenie, jakby się pływało na skraju nadmorskiego urwiska. Ale dom nie bardzo mi się podoba — choć rodzinna porcelana jest niczego sobie. Z pewnością jednak księżniczka meblując się nie korzystała z pomocy architekta wewnątrz. Białe winylowe meble i klamki z brązu. A pfe! .

— Nie sądzę, żebyś się nadawała na damę dworu — stwierdził Bobby. — Nie potrafisz zachowywać się z właściwym szacunkiem.

— A ciebie to nie kłuje w oczy?

— Kiedy jest się politykiem, trzeba umieć łechtać ludzką próżność. W każdym razie spotkanie z Haversem było bardzo przydatne. A to najważniejsze.

— A czy my też jesteśmy najważniejsi, Bobby?

Zamiast odpowiedzi przyciągnął ją do siebie.

Lisa wtuliła się w jego ramiona, pozwalając unosić się wodzie. Bobby uniósł ją, pochylił się i zaczął całować rozchylone usta dziewczyny. To była odpowiedź na jej pytanie. Nie trzeba słów. Ale wiedział, że w pewnym stopniu unikał ich świadomie, że nie byłoby mu łatwo zdecydować, co odpowiedzieć. Lisa Starr. Kim była dla niego? Z pewnością kochanką. Nigdy dotąd, w swoim nie pozbawionym przecież wielu doświadczeń życiu, nie kochał się z nikim z taką chęcią i przyjemnością, jak z Lisą. Poza tym pociągał go jej umysł; czysty, mocny, nie skażony gorczą porażek, ale także daleki od zadufanego optymizmu, który powoduje, że widzi się wyłącznie dobre cechy ludzi, ponieważ postanowiło się nie widzieć innych. Jej entuzjazm był zaraźliwy, działał jak orzeźwiający tonik i Bobby czuł, że cynizm, w jaki tak często się przyoblekał, mijał pod wpływem dziewczyny. W ciągu ostatnich dni zaczął dostrzegać świat zupełnie inaczej, przejmując coś z jej sposobu widzenia. To wszystko. Ale o czym to świadczyło? Czy to znaczyło, że ją kochał? Gdyby tak, stałoby się to jego pierwszym doświadczeniem w tej dziedzinie.

Stansfieldom nigdy nie pozwalano się zakochać. Było to nierozsądne, często otwierało puszkę Pandory, z której wydostawały się okropne rzeczy, mające przedziwną zdolność mszczenia tego, co ważne naprawdę. Oczywiście jego ojciec „kochał” matkę i odwrotnie. Nie mówiło się nawet o tym, tak było to oczywiste. Mężowie i żony kochali się aż do rozwodu. Zakochanie się było jednak czymś zupełnie innym jakościowo; czymś, co mogło być dobre w powieściach Barbary

Cartland, w których piękni książęta zakochiwali się w służących i w imię uczucia zrzekli się władzy. To właśnie stanowiło element pojęcia „zakochać się”. Trzeba umieć z czegoś zrezygnować — z czegoś ważnego — takiego jak ambicje polityczne. W pewnej chwili, ciągle jeszcze całując Lisę, poczuł się jak Judasz.

Właśnie wtedy, kiedy Bobby borykał się z wątpliwościami, Lisa poczuła, że wszystkie męczące ją tego wieczora złe myśli ulotniły się nagle. Ich ciała lgnęły do siebie. Kiedyś święty sakrament małżeństwa udowodni całemu światu, że ich dusze się połączyły. A pewnego dnia przyjdzie na świat dziecko — jej i jego.

Objęła go nogami i wtuliła się mocno, coraz mocniej odczuwając znajome dreszcze w krzyżu. Nadal go całowała, ale jej wszystkie myśli krążyły już wokół tej jednej: że zaraz, tu, w basenie, będą się kochać.

Bobby czuł, jak Lisa otwiera się przed nim. Przylegając do dziewczyny, przedłużał moment spełnienia do chwili, kiedy już nie mógł oprzeć się pragnieniu.

Wpatrywała się weń intensywnie, pragnąc nie tylko czuć, ale i zapamiętać na zawsze widok jego twarzy w momencie, kiedy przeżywał rozkosz. Cokolwiek miałoby się stać, tego nikt jej nie odbierze.

Dla Jo-Anne był to zupełnie normalny dzień. Obudziła się wcześnie, około siódmej, i zjadła w łóżku śniadanie. Filiżanka herbaty Earl Grey, miseczka świeżych owoców, cienka grzanka. Na tacy, w małej porcelanowej miseczce z Sèvres pływał w wodzie różowy kwiat hibiskusa, jako ozdoba. Ważniejsza od śniadania była gazeta — „Błyszczące Kartki”, jak nazywano biało-niebieskie „Palm Beach Daily News” ze względu na doskonałą jakość papieru, na jakim ją wydawano. Ten papier był jednym z ważniejszych czynników, dla których gazeta od chwili założenia jej, to znaczy od 1894 roku, cieszyła się popularnością wśród mieszkańców Palm Beach. A to powodowało, że stanowiła istotny element gry towarzyskiej.

Jo-Anne doskonale знаła trzy zasadnicze sposoby uczestniczenia w tej grze za pomocą „Błyszczących Kartek”. Po pierwsze, aby dostać się na szczyt towarzyski w mieście, trzeba było ustawicznie pojawiać się na kolumnach gazety. Tysiące utrwalonych na papierze min wyczarowanych przez tysiące zuchwałych fleszów było ceną, jaką trzeba płacić za powodzenie w towarzystwie. Żeby to powodzenie zdobyć, najważniejsze jest, aby „bywać”. Uczestniczyć regularnie w nieskończonej liczbie balów dobroczynnych, jednych ważniejszych od drugich. Bal Serca, bal Czerwonego Krzyża, gala Amerykańskiego Towarzystwa Badań nad Rakiem — to najważniejsze, których opuszczenie zostałyby uznane za brak odpowiedzialności towarzyskiej. Ale były też inne, takie jak bal na rzecz planowania rodziny czy obiad /. dansingiem w galerii Nortona. Dla początkujących, którzy dopiero zaczęli wspinać się po drabinie towarzyskiej, bale dobroczynne na cele związane ze zdrowiem liczyły się bardziej niż te na cele kulturalne: gala Instytutu Badania Siatkówki, znana pod nazwą „Bal Oczu”,

znaczyła więcej niż spotkanie dla zasilenia kasy jakiejś orkiestry lub baletu.

Ale sam udział nie wystarczał. Można było uczestniczyć w balu, ale faktycznie wcale tam „nie być”. Ważne było bowiem i to, żeby zostać zauważonym i utrwalonym na kliszy fotograficznej. Należało postarać się, żeby fotograf zrobił zdjęcie. To po pierwsze. A po drugie — zadbać, aby właśnie twoje zdjęcie znalazło się potem w gazecie. Oznaczało to tyle, że należało mieć dobre kontakty z wpływowym kierownikiem działu towarzyskiego Shannonem Donnellym, a także z jeszcze bardziej wpływowym wydawcą gazety — Agnes Ash. Dawno temu, kiedy Peter Duke przedstawił swoją młodziutką żonę zwariowanym mieszkańcom Palm Beach, Jo-Anne została uznana za winną, póki nie udowodniła swej niewinności. Tak właśnie przyjmowano nowych w Palm Beach. Każdy ambitny parweniusz, żigolak, oszust lub nieuczciwy europejski arystokrata na Zachodniej Półkuli próbował szczęścia z osiadłymi tu Białymi Anglosaskimi Protestantami i ci z oczywistych względów stali się nieufni. Startując z samego dna, Jo-Anne zaczęła od zdobywania przychylności fotografów. Szczególnie jednego. Był młody, łatwowski i rozbudzony erotycznie — stanowił więc doskonały materiał dla dziewczyny, która miała ogromne doświadczenie w podrywaniu mężczyzn. Biedny John Destry stał się popychadłem. Od pierwszego namiętnego pocałunku za drezyną Henry'ego Flaglera w parku muzeum Flaglera — w chwili, gdy całe towarzystwo Palm Beach tańczyło i bawiło się kilka metrów od nich — był po uszy zakochany. Bawiła się z nim w kotka i myszkę, cały czas trzymając w napięciu, i przez dwa sezony John nie fotografował nikogo innego prócz pani Duke. Społeczni arbitrzy w biurach „Błyszczących Kartek” przy Royal Poinciana nie mieli specjalnego wyboru i zmuszeni byli zamieszczać zdjęcia Jo-Anne, czasem wbrew swej woli. Zanim dostrzeżono stronniczą postawę Destry'ego i wyrzucono go z pracy, Jo-Anne miała już wystarczającą pozycję towarzyską. Od tego czasu systematycznie umacniała ją, dbając o swój wygląd, nigdy nie opuszczając miejsca, na którym koncentrowała się uwaga wszystkich, budując swój image prostolinijnej, umiarkowanej prawicowej zwolenniczki Partii Republikańskiej. Nieważne, że od czasu do czasu jakaś przewodnicząca gali dobroczynnej spotykała się potajemnie z Jo-Anne i przeżywała z nią upojne chwile. Liczyło się to, że w oczach opinii publicznej Jo-Anne Duke była nieskazitelnie czysta.

Następny krok, jaki ją czekał, aby osiągnąć ostatni, najwyższy szczebel towarzyski w społeczności Palm Beach, wydawał się z pozoru paradoksem. Po jakimś czasie należało zrezygnować z pojawiania się

na kolumnach „Błyszczących Kartek”. W subtelnej atmosferze otaczającej Meddocków i Phippsów popularność była źle widziana- nawet na powszechnie szanowanych stronicach gazety Agnes Ash. Wydawało się to dziwne, ale z drugiej strony - takie właśnie było zyc.e. Odsługujesz staż, pochłaniają cię bez reszty wyścigi szczurów, pragnących jedynie zdobyć jak najlepszą pozycję, a potem - kiedy już wygrasz, zadzieraszą nos do góry i pogardliwie prychną na zawodników, których szeregi zaledwie chwilę przedtem opuściłeś

Aby lepiej widzieć zmienne losy uczestników gry towarzyskiej w Palm Beach, Jo-Anne przejrzała „Today” i „Good Morning America”. To z tych pism, a także ze stron „Town and Country”, „Vogue” oraz „W” czerpała najwięcej informacji. Następnie ubrała się w prostą, białą sukienkę od Calvina Kleina i delikatnie skropiła „Joy —perfumami, które wybrała po to, by wyróżniać się wśród rówieśniczek z Palm Beach, obecnie najwyraźniej faworyzujących „Opium”. Zeszła do obszernego, wyłożonego marmurem holu, w którym czekał na nią majordomus. W gabinecie wypełnionym półkami z książkami przejrzała menu zaplanowane na dzisiejsze przyjęcie - suflety z wędzonym łososiem, wołowina à la Wellington, napój z mango. Dołączył do nich szef piwnicy, żeby przedyskutować zestaw win. Jo-Anne polegała w tym zakresie na guście angielskiego eksperta - wytrawne Corton Charlemagn* z 173 roku do ryb Latour z roku 1961 do mięs oraz Krug, rocznik 1975, do deseru.

— Dobór kwiatów zostawiam tobie — rzuciła przez ramię, idąc do swojego rolls-royce'a. - Każ je przysłać z kwiaciarni w Everglades. Te lilie w ubiegłym tygodniu były ładne.

W jubilerskim rajku na Worth Avenue Jo-Anne nie traciła czasu. W ciągu pół godziny w zacisznym pokoiku na zapleczu wydała trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Jill Romeo, kierowniczka sklepu Cartiera, nawet nie mrugnęła ze zdziwienia okiem, kiedy Jo-Anne oświadczyła, że od razu założy pierścionek i szafirowo-brylantową bransoletę w kształcie leoparda. Nie prosiła nawet o pieniądze czy podpisanie rachunku, kiedy Jo-Anne wstała i ruszyła w kierunku wyjścia. Firma Cartier wiedziała że najważniejsze to znać swoich klientów. Dukeowie stac na zapłatę. I wiadomo, że zapłacą. A co ważniejsze - wrócą tu jeszcze nie raz.

Pod wpływem kaprysu Jo-Anne zdecydowała się zatrzymać przy salonie manicure Armondsa. Lubiła, kiedy zajmowano się jej dłońmi. Godzinę później, z krwistoczerwonymi paznokciami pojechała na lekki lunch do Petite Marmite, na który była umówiona z Inger Anderson i jej atrakcyjnym mężem Harrym Loyem. Zjadła kraby z zieloną sałatką w delikatnym francuskim sosie winegret.

O drugiej nadszedł czas, żeby zacząć się szykować do najważniejszego, wydarzenia dnia. Siedziała wygodnie, rozparta w czerwonym, plastikowym obrotowym fotelu w salonie fryzjerskim Domaniego, a Dino z zachwytem przeczesał palcami jej długie, jasne włosy. Dino był wspaniały. Mogła mu zaufać i rozumiał ją doskonale. Co takiego mieli w sobie fryzjerzy, że tak doskonale rozumieli swoje klientki? Czy dlatego, że widzieli twarze kobiet, kiedy opadały z nich maski? Że umieli spowodować, by się rozluźniły? A może powodowała to intymność kontaktu, pozbawionego elementów seksu? Zapewne. Choć trudno stwierdzić. Gładkie, mocne palce umiejętnie rozdzielały loki Jo-Anne, czasem dotykając muszli ucha — ale ich ruchy były wyłącznie profesjonalne. Czasami Dino brał w dłoń pukiel włosów i trzymał przez moment, obserwując efekt w lustrze, po czym opuszczał z powrotem. Jo-Anne cudownie czuła się w roli przedmiotu, właśnie nie tyle osoby, ile raczej całości złożonej z elementów, które należało ułożyć inaczej, aby doprowadzić do jeszcze lepszego efektu finalnego. Gdyby jakikolwiek inny mężczyzna wywołał w niej takie uczucie, udusiłaby go chyba. Ale w przypadku Dina było to w pełni usprawiedliwione.

— Nie widziałem cię od dnia pogrzebu. Wyglądasz pięknie, Jo-Anne.

Jo-Anne przyjęła komplement z zadowoleniem. Dino był uroczy; zachwycająco europejski z całą tą gadką na temat „bellissima signora”.

A jak wspaniale przygotował ją na pogrzeb Petera! Wszyscy byli zgodni w opinii, że wyglądała jak uosobienie wdowieństwa, z wysoko podpiętymi włosami, surowo, bez upiększeń. Ale w tej jego uwadze, oprócz komplementu, kryło się coś jeszcze. Dostrzegł w niej ducha wolności i triumfu, które wypełniały serce Jo-Anne. Z pewnością można to było wyczytać z jej błyszczących oczu. Być może potrafił wyczuć wszystko tymi swoimi doświadczonymi palcami. Sprawdzał ją, widział na wylot i wiedział, że wdowia rozpacz była tylko grą. Jo-Anne zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale natychmiast odsunęła tę myśl. Nic jej nie grozi. Miała wszystko, czego mogła zapragnąć. Uśmiechnęła się złośliwie, pozwalając, aby zapachniało z lekka konspiracją. — Trzeba walczyć — powiedziała. — Jestem pewna, że Peter życzyłby sobie tego.

Życzyłby sobie jak diabli, pomyślała w duchu. Musi być teraz najbardziej nieszczęśliwym duchem w niebie, miotającym się i wrzeszczącym z gniewu. Wyprawa do Cartiera po biżuterię wartą trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, która tak przyjemnie pieściła jej skórę, spowodowałaby z pewnością taki atak furii Petera, że na skroniach nabrzmiałyby mu żyły.

— Jeśli tak wyglądasz, kiedy walczysz, to wyobrażam sobie, że kiedy wpłyniesz na spokojne wody, będziesz wyglądała równie pociągająco jak milion dolarów.

Jo-Anne roześmiała się. — Tylko milion, Dino? Nie żartuj, moj miły To zaledwie drobna suma w rodzinie Duke'ów. Teraz z kolei roześmiał się Włoch, ale był to śmiech pełen respektu. W tym kraju, a zwłaszcza w tym mieście, nikt nie śmiał się zbyt głośno i zbyt długo z pieniędzy.

— Co chcesz, żeby ci dziś zrobić? .

— Chcę, żebyś mi ściał włosy w stylu Eton. Krótko z tyłu, długie i proste na górze. Wiesz, o co mi chodzi? Nie jest to bardzo w stylu Palm Beach, ale gwizdę na to.

— Jasne, doskonale rozumiem. Będzie ci w tej fryzurze bardzo ładnie. Chodź, umyję ci włosy.

Dino mył osobiście włosy Jo-Anne. To jeden z tych subtelnych sygnałów, świadczących o tym, że swoje klientki traktuje w różny sposób, w zależności od ich rangi. Oczywiście te wyróżniane lubiły to.

Kiedy znalazła się z powrotem w fotelu, poczuła się zupełnie rozluźniona. Dino potrafił cudownie wyczuć, czego Jo-Anne potrzeba. Położył dłonie na jej ramionach i mocno uciskając, zaczął masować mięśnie.

Jo-Anne zamknęła oczy i pogrzyżyła się w zadumie. Niecierpliwie oczekiwała nadejścia wieczora. Przez myśli przeleciały jej słowa wypowiedziane w czasie ubiegłotygodniowej rozmowy telefonicznej.

— Bobby? Tu Jo-Anne. Posłuchaj, podjęłam już pewne czynności związane z subwencją, o której rozmawialiśmy w Mustique. Zastanawiam się, czy nie mógłbyś któregoś dnia zjeść ze mną obiadu, żeby przedyskutować szczegóły. Jest u mnie kilku powierników majątku Duke'ów i rozmawiałam już z nimi. Gdybyś mógł przyjść, być może jeszcze z którymś ze swoich doradców, moglibyśmy to załatwić konkretnie Obawiam się, że pod względem towarzyskim będzie to śmiertelnie nudne, bo ci powiernicy to starzy ramole. Dlatego nie zaprosiłam Lisy. Przypuszczam, że źle by się czuła.

— To cudowny pomysł, Jo-Anne — odparł Bobby. — Przyprawdę Bakera, jeśli pozwolisz. Nie mogę wprawdzie gwarantować, że będzie wiedział, jakich należy używać sztucców, ale pod względem wiedzy politycznej jest nieoceniony.

No i dzisiejszej nocy będzie siedział przy mej na obiedzie. Jo-Anne kupi go, tak jak kupiła biżuterię u Cartiera. Och, oczywiście nie zrobi tego równie otwarcie. Będą rozmawiać bardzo poważnie, w urzędowy sposób i we wzniosłej atmosferze. Zasugeruje, że w interesie Fundacji

Duke'a leży znalezienie sposobu na subwencjonowanie kampanii Stansfielda, i to znaczną kwotą. Że istnieje zagrożenie ze strony demokratów, deprecjacja amerykańskich wartości itp. A pod koniec z pewnością będzie miała w garści przynajmniej część jego duszy i całkiem dobrą pozycję wyjściową do zawładnięcia resztą. Może po obiedzie, kiedy zaczną działać wykwintny koniak Napoleon z 1805 roku, roku Trafalgaru, Bobby zrobi się romantyczny? Wtedy najpierw w delikatny sposób poda mu kilka informacji o Lisie... a potem, kto wie?

Ręce z nożyczkami przesuwają się od tyłu ku przodowi głowy Jo-Anne i słychać było cichy szelest jej jasnych loków opadających na ziemię. Jo-Anne siedziała z zamkniętymi oczami, ale daleka była od drzemki — nie chciała po prostu, żeby słowa przerwały jej słodkie myśli.

Pobby Stansfield trzymał kieliszek koniaku między kciukiem i palcem wskazującym i delikatnie przechylał go na krawędzi nóżki. Kieliszek bezbłędnie wracał do pionu. Pochylił głowę i wciągnął głęboko wydobywający się bukiet. Niewiarygodne. Boskie. Następnie okręcił kieliszek wokół osi i patrzył, jak gęsty płyn przykleja się do ścianek. Dopiero wtedy zdecydował się spróbować.

Jo-Anne uśmiechnęła się, widząc zadowolenie malujące się na jego twarzy. Jakiż on jest przystojny! Ma tak doskonale skrojoną marynarkę i małą muszkę, zaś skórzane lakierki należały chyba jeszcze do jego ojca, a może nawet dziadka, ale są w doskonałym stanie. Nawet spinki do mankietów, wąskie, złote, z wygrawerowanymi inicjałami RS, były wspaniale dobrane. Wyglądałby cudownie przed ołtarzem.

Jo-Anne odczekała chwilę. Koniak powinien już zacząć działać.

— Przykro mi, że Lisa nie mogła tu dziś być — skłamała.

— Mhm — zgodził się z roztargnieniem Bobby. Uff, ten koniak był naprawdę doskonały.

— Zdumiewająca dziewczyna, ta Lisa. — Jo-Anne powoli szykowała się do ataku.

— To prawda — zgodził się Bobby z entuzjazmem. — Zrobiłaś mi wielką przysługę, poznając nas ze sobą.

— Tak, to zadziwiająca dziewczyna. Byłam naprawdę zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że potrafi w obie strony.

— Co masz na myśli?

— Nie wiesz, że jest biseksualna?

— Co? — Bobby wyprostował się na krześle. — Żartujesz — dodał po chwili.

— Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałeś o tym? A ja myślałam, że robicie to razem.

— Nie tylko nie wiedziałem, ale wcale w to nie wierzę. Kto, u diabła, powiedział ci o tym?

Jo-Anne spodziewała się, że Bobby będzie zirytowany. Szybko więc podsunęła mu swoje „dowody”.

— To wiadomość z pierwszej ręki, Lisa próbowała mnie uwieść. Mówiąc uczciwie, było to dość krepujące. Wiesz, miałam wrażenie, że postępuję brutalnie, odmawiając jej. — Jo-Anne roześmiała się; liberalna dama, zaintrygowana, zdziwiona, ale nie zaszokowana czyjąś odmiennością.

Bobby nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pociągnął duży łyk koniaku — koneser przemienił się w mężczyznę, który czuł nieodpartą potrzebę alkoholu.

— Kiedy? Gdzie? W Mustique? Jesteś pewna, że właściwie ją zrozumiałaś?

Wspaniale. Życzył sobie szczegółów.

— Było to już jakiś czas temu. Kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Byłyśmy w saunie i spytała mnie wprost, czy nie mam ochoty się z nią pokochać. Aż mi się zrobiło słabo. Powiedziałam, że to nie jest moją specjalnością i było mi przykro, a ona włożyła mi rękę między nogi — o, właśnie tak. Sądzę, że ma wyrobioną reputację w swoim studiu. Wiesz, „naszym celem jest zadowolenie was”, a nawet trochę więcej.

I znowu roześmiała się, żeby uniknąć zarzutu, że obrzuca błotem dziewczynę Bobby'ego.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— A przeszkadza ci to? — spytała Jo-Anne. — Przecież to nic takiego.

Czy potrafiłby pogodzić się z tym, że jego dziewczyna jest atrakcyjna dla obu płci?

— To mnie po prostu ogromnie zaskoczyło. Jestem naprawdę bardzo związany z Lisą. I nigdy ani słowem nie napomknęła mi o tym. Jestem pewien, że powiedziałyby mi, gdyby była lesbijką. — Zupełnie niespodziewanie dla niego samego, mówienie sprawiało Bobby'emu trudność. Najwyraźniej zdumienie odebrało mu mowę.

— Na Boga, Bobby, brzmi to tak, jakbyś był w niej naprawdę zakochany. Nigdy nie przypuszczałam, że właśnie ty zakochasz się w córce pomocy domowej!

— W kim? — zapytał blednąc.

— Chryste, tylko mi nie mów, że i o tym ci nie wspomniała. —

Jo-Anne wyglądała na zaskoczoną. — Przecież musisz chyba wiedzieć, że jej matka była pokojówką u twoich rodziców?

— Kto tak powiedział?

— Ona sama, Bobby. To jedna z pierwszych rzeczy, które mi o sobie powiedziała. Wydaje mi się, że to było właśnie wtedy, kiedy jadłyśmy lunch w Café L'Europe i spotkałyśmy tam ciebie. Pamiętasz? Byłeś z matką.

Jo-Anne, mówiąc to, patrzyła na swoje paznokcie. Chyba naprawdę za daleko zaszli. Może jutro wróci do tematu, by jeszcze trochę go podrażnić? Kiedy spojrzała na Bobby'ego, natychmiast dostrzegła zmianę, jaka w nim nastąpiła. Siedział ciężko oparty, a na jego twarzy malowała się mieszanina różnych uczuć. Większość tych, które Jo-Anne chciała wywołać: zdziwienie, uraza, a nawet początki gniewu, ale i inne: smutek, niedowierzanie i — gdzieś w okolicach kącików ust — determinacja. Jo-Anne bez trudu rozszyfrowała wszystko, nie wiedziała tylko, co wyniknie z tej determinacji.

Wstała szybko i ruszyła w jego stronę z butelką starego koniaku w garści.

— Wyglądasz, jakbyś miał ochotę na jeszcze trochę — powiedziała, zwilżając językiem usta.

Caroline Stansfield była raczej zadowolona z faktu, że się zestarzała. Niewielu ludzi cieszyło się z tego, ale dla niej było to odpoczynkiem. Większość rzeczy, z których musiała wskutek wieku zrezygnować, porzuciła już wcześniej, z własnej woli. Seks. Nadmierne jedzenie i picie. Gimnastyka. Nie miała też nic przeciwko starzeniu się fizycznemu.

Nigdy nie była próżna, toteż pomarszczona skóra, plamy wątrobiane

i siwe włosy wcale jej nie martwiły. Słabnący wzrok był pewnym utrudnieniem, przeszkadzał przy wyszywaniu gobelinów, tak jak i coraz bardziej artretyczne palce — ale to drobiazgi. Za to korzyści płynące ze starości miały istotne znaczenie. Zawsze była w rodzinie szarą eminencją, ale teraz — kiedy odpowiednio wyglądała, jej wpływy stały się jeszcze większe niż w młodości.

— O czym chciałeś ze mną porozmawiać, Bobby? — Jej głos brzmiał zdecydowanie matriarchalnie.

— Chciałem skorzystać z twojej rady, mamo.

Uśmiechnęła się z dumą do swojego najstarszego syna. Niewątpliwie był obdarzony charyzmą. Choć była jego matką, umiała się zdobyć na wystarczająco obiektywną ocenę. Posiadał ten niezbędny, nieznaną czynnik X, który decydował o powodzeniu. Stary, biedny

Fred nie miał go wcale i choć poświęcał swojej karierze politycznej tyle energii i sprytu, nigdy nie był w stanie osiągnąć najwyższego celu. Ale Bobby to co innego. Miał wiele cech gwiazdora. Jej partnerzy od brydża w Everglades twierdzili, że wygląda to, jakby zza pleców Bobby'ego świeciło słońce. Zawsze opowiadali — a to o siostrzeńcu, który usłyszał go przemawiającego w Bostonie, a to o kuzynie z Saratogi, który przeczytał jego książkę, o wnuku, na którym zrobił wrażenie, występując w audycji „Sześćdziesiąt minut”. Tak, Bobby naprawdę miał szansę zostać prezydentem. A jednak... możliwe, że czegoś mu brakowało. Czyżby miał instynkt zabójcy? A może właśnie był odrobinę za delikatny, zbyt wrażliwy? Fred Stansfield robił co mógł, żeby zdusić w synu te odczucia i w dużej części mu się udało, a mimo to pozostały jakieś wątpliwości. No cóż, z czasem wszystko się wyjaśni. Caroline Stansfield opuściła na kolana gobelin i czekała.

— Zakochałem się, mamó.

— Jak to miło, mój drogi. — Wbiła igłę w beżową kanwę gobelinu jak wojownik Siuksów oczekujący z dzidą na pojawienie się kawalerii.

— W kimś, kogo znamy? — spytała po chwili.

Bobby poczuł narastający gniew. Matka potrafiła bez trudu wywołać to uczucie. Co, u diabła, miało oznaczać to „znamy”? Było nie do zniesienia protekcyjne, tym bardziej że trafiało w samo sedno problemu. „My” nie znaliśmy Lisy Starr. „My” wcale nie chcielibyśmy jej poznać. „My” nie przeszlibyśmy na drugą stronę ulicy, żeby nasusiać na Lisę Starr, gdyby stała w płomieniach.

Psiakrew, nie uda mu się dostać tego, czego chciał. Matka zamierza powiedzieć, że nie da się tego zrobić, że nigdy się nie uda.

Bobby wolałby, żeby nie wypłynął mu na policzki rumieniec.

— Nazywa się Lisa Starr. Sądzę, że spotkałaś ją kiedyś, gdy byliśmy na lunchu w Café L' Europe. To bardzo piękna, cudowna młoda dama. Bardzo ją lubię, mamó.

— Kim ona jest? — Caroline Stansfield miała dużo doświadczenia w trafianiu do celu. Wścieknęła się, pomyślała, widząc, jak dwa jaskrawe rumieńce pojawiają się na policzkach syna, i wcale się tym nie przejmowała.

Nie było sensu udawać, że nie zrozumiał jej pytania, zasłaniając się stwierdzeniem, iż dziewczyna nazywa się Lisa Starr. Nie o to chodziło matce. Bobby próbował pomniejszyć klęskę.

— Pochodzi z West Palm. Prowadzi tam przedsiębiorstwo. — Mówiąc to zdał sobie sprawę, że zamiast zminimalizować problem, jeszcze bardziej go zagmatwał.

Tak?

To jedno słowo wystarczyło. Dla mieszkańców Palm Beach nazwa „West Palm” miała ukryte znaczenia wszelkiego rodzaju. A poza tym miasto po drugiej stronie jeziora zawdzięczało swoje istnienie Palm Beach. To tam mieszkali pracownicy od czarnej roboty. Obecnie dołączyli do nich różnego rodzaju awanturnicy i inna hołota z Północy, jacyś wątpliwi prawnicy, dentyści i Bóg wie kto jeszcze, ale dla Caroline Stansfield było to miasto duchów, zaludnione przez cienie, istoty bez jakiegokolwiek znaczenia. Wiedziała, że dla polityka ślub z kobietą urodzoną w takim miejscu nie miałby większego znaczenia. Przeciętny Amerykanin i tak nie rozumie istoty tego faktu. Ale pomysł ten przeraził ją w sensie towarzyskim. Synowa z West Palm — to nie do pomyślenia. Przechyliła głowę na bok i powtórzyła: — Tak?

Bobby spojrzął za okno, szukając tam inspiracji, ratunku. Jakiś człowiek na nartach wodnych, inny w łodzi, trzymający coś, co wyglądało jak piękna ryba; dwie czy trzy mewy. Trudno to uznać za wybawienie.

Matka nie zamierzała dać się zbyć byle czym. Chciała informacji — numeru strony w „Social Register”, raportu Duna i Bradstreeta na temat przedsiębiorstwa, krótkiej biografii co bardziej znaczących kuzynów wybranki, jakiejś plotki o największej czarnej owcy w rodzinie. Jak dotąd jedno było oczywiste: matka nie była pod wrażeniem tego uczucia. Najwyraźniej twarz Lisy nie zapadła jej w pamięć, a to nie wróżyło niczego dobrego. Całe swoje życie poświęciła temu, by znać każdego, kto tylko był kimś.

Caroline Stansfield użyła ostatniego swego pocisku, z góry znając odpowiedź.

— Nie ma nic wspólnego ze Starrami z Filadelfii?

— Nie.

Przez długą chwilę, która wydawała się jak wieczność, matka milczała. Jedno stało się absolutnie jasne. To nie była właściwa osoba. Wszystko, co dotychczas usłyszała, brzmiało zniechęcająco. W końcu odezwała się, dając kolejny dowód, że ma jakiś szósty zmysł.

— Mówiłeś, że ile ma lat?

— Nie mówiłem — odparł zupełnie niepotrzebnie Bobby. Zrobił krótką pauzę. — Jest bardzo młoda, matko.

— Bardzo młoda i bez pieniędzy. — To było wręcz oświadczenie.

— To prawda. Nie ma pieniędzy i zapewne możesz uznać, że nie należy do naszej klasy, ale ma bardzo dużo zalet — i kocham ją. Myślę o tym, żeby się z nią ożenić. Sądzę, że mogłaby mieć dobry wpływ na moją karierę. Wiesz, głosy klasy robotniczej i młodych wyborców... — Przerwał. Dla niego samego brzmiało to mało przekonująco.

— Bzdury — Caroline Stansfield nie zadała sobie nawet trudu, by ukryć niezadowolenie. Bobby gadał od rzeczy. Małżeństwo z biedną, młodziutką dziewczyną z nieznannej rodziny z West Palm mogło być w porządku w przypadku kandydata demokratów, ale dla prawicowego republikanina stałoby się klęską polityczną i towarzyską. Bobby doskonale o tym wiedział. Obrażliwe było to, że usiłował oszukać matkę.

Energicznie zaczęła wyszywać, wbijając igłę w materiał z takim zapalem, jakby zamierzała przebić nią serce tego awanturnika, który śmiał przez tyle lat udawać typowego, przestrzegającego norm Stans-fielda.

— Miłość to jedna rzecz. A polityka — druga. Mówiąc szczerze, majątek, a właściwie jego brak, jest tu najpoważniejszą przeszkodą. Żeby się dostać do Białego Domu, potrzebowalibyś więcej pieniędzy, niż mają Stansfieldowie. Utrzymanie twojego ojca na powierzchni kosztowało mnie niezłą sumę i nie zostało już wystarczająco dużo, aby zaspokoić twoje pragnienia. Nie oszukuj sam siebie. Nie osiągniesz swojego celu, chyba że uda ci się bogato ożenić. Rób jak uważasz, ale nie łudź samego siebie, że możesz mieć wszystko, czego zapragniesz. To niepraktyczne.

Brak praktycznego podejścia do życia był w oczach Caroline Stansfield kardynalnym błędem. Potraktowała syna jednak chyba trochę za ostro. Powinna go odwieść od tego zamiaru, przekonać. Nie był już dzieckiem i choć z pewnością wysłucha jej rady, wiedziała, że jest uparty. Musi działać ostrożnie. Jej szósty zmysł, dużo sprawniejszy niż słabnący wzrok, podpowiadał jej, że Bobby coś jeszcze ukrywa.

— Czy jest jeszcze coś, co powinnam o niej wiedzieć? — spytała wprost.

— Jest pewien problem — Bobby zawahał się trochę. Caroline Stansfield obserwowała syna w milczeniu, opanowując

chęć ułatwienia mu sprawy jakimś stwierdzeniem w stylu: „No, dalej Bobby, wyduśże z siebie. Bądź grzecznym chłopcem”. Ile razy mówiła tak, kiedy był mały?

— Wygląda na to, że jej matka kiedyś pracowała u nas jako służąca. Pokojówka, jak sędzę. Nie jestem pewien, jak miała na imię.

Caroline Stansfield miała ogromną chęć roześmiać się w głos, ale powstrzymała ten odruch. Byłoby to całkiem nie na miejscu, choć strasznie trudno się temu oprzeć.

Żaden ze Stansfieldów nie został jeszcze prezydentem, a Bobby wyglądałby tak wspaniale, składając przysięgę na stopniach Kapitolu. Miał wspaniały głos mówcy. A na przyjęciach w Białym Domu wszyscy

z pewnością zauważyliby, jak ona dystygowanie wygląda. Byłaby wreszcie na właściwym miejscu. Jednak po chwili wszystko to przestało ją śmieszyć. Jej cudowne marzenia znalazły się w śmiertelnym zagrożeniu. Małżeństwo z pozbawioną grosza przy duszy młodą dziewczyną z West Palm i, co więcej, córką dawnej służącej? Toż to byłoby zupełną klęską. Tylko jak to wytłumaczyć Bobby'emu, żeby jej uwierzył? W tym cały problem. Wyraźnie już się zjeżył, że nie wykazała ani odrobiny entuzjazmu.

— Cóż mogę ci poradzić, Bobby, jeśli jesteś zakochany? Miłość to rzecz najważniejsza. Musisz posłuchać serca. — Jakoś tak jej to wyszło, że słowo „miłość” zabrzmiało jak nazwa groźnego narkotyku, który zażywają jedynie słabi i chwiejni duchowo. Z pewnością Bobby właściwie to odczytał.

— Chodziło mi o to, żebyś mi powiedziała, jak twoim zdaniem mogłoby to zaważyć na mojej karierze politycznej.

— Ach, to zupełnie inna sprawa, nie uważasz? Jest biedna i nikt jej nie zna. I, jak mówisz, bardzo młoda. Córka jednej z naszych służących. Zastanawiam się której. Hm. Nie wydaje się to najmądrzejszym związkiem — oczywiście, patrząc z punktu widzenia twojej pozycji politycznej. Ale czy to ma znaczenie, Bobby? Czy naprawdę chcesz dotrzeć wyżej niż do Senatu? Większości mężczyzn to wystarczyło. Tak jak twojemu ojcu. W końcu się przyzwyczaił. I my wszyscy też. Widzisz, prezydentura to powołanie. Musisz chcieć jej, pragnąć, śnić o niej, jeśli kiedykolwiek masz ją osiągnąć. Musisz umieć poświęcić dla niej wszystko, ponieważ masz przeświadczenie, że służysz swojemu krajowi, swoim współrodakom — Amerykanom. Tak zawsze postępowali Stansfieldowie — ale ty przecież już jesteś w służbie państwowej. Zrobiłeś już dość. Myślę, że Lisa Starr zmniejszyłaby twoje szanse na ponowny wybór do Senatu, ale gdybyś utrzymał się wystarczająco długo, może miałbyś szansę przewodniczyć jakiejś dobrej komisji; rolnictwa albo nawet stosunków zagranicznych.

Bobby wpatrywał się w podłogę. Caroline Stansfield obserwowała, jak jej słowa trafiały go niczym pociski.

Szlachectwo zobowiązuje. Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie. Im więcej masz dobrej woli, tym szersze otwierają się przed tobą perspektywy. Ich znaczenie jest nieporównywalne w zestawieniu ze zwykłym pożądaniem i pragnieniami osobistymi. Wiedziała, że Bobby pragnął dostać się do Białego Domu równie mocno, jak potrzebował powietrza. Razem z mężem umyślnie tak go wychowywali, by umocnić jeszcze w chłopcu to dążenie. Ale jak bardzo im się to udało? Czy pragnie tego mniej niż Lisy Starr czy więcej?

— Myślisz, że nie pomogłaby mi przy nominacji na prezydenta?

— Z pewnością. Zresztą sam o tym wiesz, prawda, Bobby?

— Tak przynajmniej się wydaje. — Stwierdzenie Bobby'ego nie brzmiało przekonywająco.

Matka nie zwróciła na to uwagi. Stawka była zdecydowanie za wysoka, aby przejmować się drobiazgami.

Wyciągnęła swój atut.

— Ale tak naprawdę, nie powinieneś mnie pytać. W gruncie rzeczy cóż ja wiem o polityce? Jestem stara i należę do przeszłości. Co sądzi

o tym ten twój okropny Baker? Muszę przyznać, że nie mogę znieść jego złych manier, ale mam dużo respektu dla opinii politycznych tego człowieka.

Bobby wyglądał kiepsko. Nikt nie umiał dorównać jego matce, jeśli chodzi o intuicję polityczną. A tuż za nią plasował się Baker. Nie odważył się zapytać Bakera o zdanie, w głębi duszy wiedział bowiem, co ten mu powie.

Powiedziałby to samo, co przed chwilą matka, przybrawszy to pikantnym sosem co modniejszych i brutalniejszych przekleństw wtrąconych dla lepszego efektu.

Jak mądra, stara sowa Caroline Stansfield obserwowała wewnętrzną walkę syna.

— Byłoby to śmiercią polityczną — powiedział Bobby, właściwie do siebie samego. Nurtowało go tylko jedno pytanie. Czy ma to znaczenie? Czy w życiu nie było nic ważniejszego? Na przykład Lisa?

— Jedną z cech szczególnych, wyróżniających wielkich ludzi jest umiejętność poświęcania własnych dążeń. Biorąc pod uwagę dobro ogółu, jesteśmy wszyscy tak mało ważni. To krzyż, jaki musisz dźwigać, poświęcając się życiu publicznemu.

— Wyrażasz się niezwykle jasno, matko. Będę musiał to wszystko głęboko przemyśleć.

Caroline Stansfield uśmiechnęła się wdzięcznie tym uśmiechem, który robił tak dobre wrażenie, gdy pełniła jakieś funkcje dobroczynne. Uśmiech ten nie świadczył o dużej pewności siebie, ale była raczej przekonana, że wygrała. Zmieniła kurs. Złe słowa trzeba zawsze równoważyć dobrymi. Jeśli coś komuś zabierasz, powinieneś zawsze starać się zastąpić to czymś innym.

— Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, Bobby, ale wiesz, że zawsze mówię to, co myślę. Jestem za stara, żeby zmienić ten nawyk. Roześmiała się dźwięcznie śmiechem, który Stansfieldowie zawsze cenili, gdyż słyszeli go bardzo rzadko. — Wydaje mi się, że ta biedna Jo-Anne Duke jest niezwykle atrakcyjna. W czasie pogrzebu zachowywała się tak dystygowanie.

i bardzo ładnie wyglądała. Najwyraźniej Peter Duke wszystko jej

zostawił — kontrolę nad fundacją i całą fortuną. Mówiono mi, że jest bardzo ambitna... — Przerwała, mając świadomość, że ziarno zostało zasiane. Pytanie tylko, czy trafiło na odpowiedni grunt. Grunt, na którym właśnie przed chwilą tak skutecznie stłumiła ogień rozpalony przez Lisę Starr.

Bobby zmusił się do uśmiechu. Jego matka była naprawdę niemożliwa. Nie mógł się powstrzymać od chęci podrażnienia się z nią przez chwilę:

— Wiesz, mamó, jesteś cudowna. Ale czyż mógłbym powiedzieć na przykład, że znam przeszłość Jo -Anne Duke? A ty? Plotki głoszą, że kiedy Peter Duke spotkał ją w Nowym Jorku, była kimś w rodzaju modelki.

— Najważniejsze, że ją spotkał, mój drogi. I to Duke. A co więcej, dał jej swoje nazwisko. Dzięki temu z miejsca stała się jedną z nas. Nosi jego nazwisko, dysponuje jego majątkiem i jest doskonała w swej roli. Nie wydaje mi się, żeby można było oczekiwać czegoś więcej.

Bobby zamilkł. Pieniądze Duke'ów... i polityczna machina Stans-fieldów. Jedno nakręcało drugie. To wcale niezła myśl. Zupełnie niezła.

Caroline kuła żelazo, póki gorące, choć wyglądało, że mówi właściwie sama do siebie.

— Takie rozsądne — mruzczała. — Byłoby to takie rozsądne. — A na głos dodała. — Ale, oczywiście, to miłość jest ważna. Należy robić to, co podpowiada serce.

Uważnie przyjrzała się synowi. Co jemu podpowiada serce? Czy geny i staranne wychowanie były na tyle silne, by stłumić fascynację kimś zupełnie nieważnym, kto go zawojował? Instynkt podpowiadał jej, że tak. I lepiej, żeby tak się stało.

Lisa i Maggie wpatrywały się w lusterko z wyteżoną uwagą, jako że starały się dostrzec ślady życia.

— Nic tu nie ma — stwierdziła Lisa. Sama nie bardzo wiedziała, co w tej chwili odczuwała. Ulgę? Rozczarowanie?

A może ulgę pomieszaną z rozczarowaniem?

Co do odpowiedzi Maggie, nie mogło być wątpliwości.

— No i chwała Bogu.

Satysfakcja Maggie sprawiła, że Lisa przestała się wahać.

— Ale nigdy mi się nie spóźniała. Zazwyczaj miałam regularnie co do godziny. Wiem, że jestem w ciąży. Ja to po prostu wiem, czuję to. To się stało wtedy, w basenie w Mustiaue. Ja to po prostu wiem. Być może źle coś zrobiliśmy.

Pozwól, że jeszcze raz sprawdzę w instrukcji.

Maggie roześmiała się z niedowierzaniem.

— No wiesz, Liso. Robisz wrażenie, jakbyś chciała być w ciąży. Powinnaś dziękować Bogu, że ten cholerny wynik jest negatywny.

W praktycznym umyśle Maggie nie mogła pomieścić się myśl, że jakaś niezamężna lub zaledwie zaręczona dziewczyna mogłaby chcieć być w ciąży. Widziała wystarczająco dużo „mydlanych oper”, wiedziała więc, że tradycyjną reakcją mężczyzny na wiadomość o tym, że zostanie ojcem, jest szok lub przerażenie. Potem szybko następowały gniew lub irytacja i stwierdzenie, że to kobieta jest winna lub próbuje go wykorzystać. Gdzieś w okolicy trzeciego odcinka pojawiała się wredne oskarżenie, że podstępными metodami próbuje go naciągnąć na małżeństwo. W dalszym ciągu następowało krótkie przemówienie na temat usunięcia ciąży, a potem zerwanie. Takiej właśnie reakcji oczekiwali zwykli ludzie, a Maggie, jak by nie patrzeć, z pewnością się do nich zaliczała.

Wyraz twarzy Lisy ujawniał niezdecydowanie, a reakcja Maggie jeszcze je spotęgowała. Czy chciała być w ciąży? Właściwie nie umiała sobie na to odpowiedzieć. Mieć śliczne maleństwo z człowiekiem, którego kochała. I pozwolić, aby całe jej życie zmieniło się nagle pod dotknięciem okrutnego losu. A może nie okrutnego? Myśli krążyły jej po głowie i nie potrafiła ich uporządkować. Jedno było pewne: nie zrobiła tego celowo, to nie w jej stylu. Po prostu nie wzięła pod uwagę ewentualności, że może powstać problem dziecka czy małżeństwa. Dała się ponieść fali uczucia i takie przyziemne sprawy znikły jej z pola widzenia. Ale teraz rzeczywistość wtargnęła w sen i Lisa starała się to wszystko zrozumieć. Zresztą to nie było pewne. Pojawiła się taka groźba, ale jeszcze nie była realna. Może nigdy nie będzie.

Nie odpowiedziała Maggie. Zamiast tego po raz dwudziesty drugi tego ranka zaczęła czytać instrukcję testu. Nie zrobiły błędu. Nawet idiota nie mógłby się pomylić: „Wziąć próbkę rannego moczu. Nie wstrząsać probówką po połączeniu moczu z odczynnikami. Po czterdziestu pięciu minutach odczytać wynik w lusterku przymocowanym do stojaka na probówkę”. Oczywiście, tego warunku nie spełniły; usiadły przed lusterkiem i wpatrywały się jak sroki w gnat, czekając, żeby natychmiast pojawiło się czarne kółko.

— Może ono ukazuje się nagle pod koniec tych czterdziestu pięciu minut, a nie wychodzi stopniowo — zasugerowała Maggie.

Mówiąc to, zdała sobie sprawę, że jej nastawienie zaczyna się zmieniać. Lisa mogła pomyśleć coś takiego, Lisa mogła uważać, że ciąża wcale nie musi oznaczać totalnej klęski i psychika Maggie powoli zaczęła przyswajać sobie taki punkt widzenia. Ale chociaż zmieniało się jej nastawienie emocjonalne, rozum Maggie obstawał przy swoim. Bobby Stansfield nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że Lisa spodziewa się dziecka.

Lisa zauważyła pierwsza.

W jej głosie zabrzmiało podniecenie, ale bardzo ostrożne; takie jak wtedy, gdy zdarzy się coś niezwykle ważnego, ale jeszcze nie wiadomo, czy to dobra czy zła nowina.

— Popatrz, Maggie, wychodzi. Widzisz je? Widzisz? Tu, to czarne. To jest okrągłe, prawda? Na pewno? Chryste! Obróciła się, żeby spojrzeć na przyjaciółkę pytająco, niejako chcąc z twarzy tamtej wyczytać, jaka powinna być jej reakcja.

Maggie poczuła się strasznie. Czy powinna czuć się współodpowiedzialna za błąd Lisy? Posłańcy, przynoszący złe wieści, bywali źle traktowani. Czasami, tak jak teraz, mogło to zaważyć na przyjaźni.

Czy należy dodać przyjaciółce otuchy, czy też uprzedzić o tym, co może ją spotkać? Wybierając coś w rodzaju kompromisu, spytała tylko słabym głosem:

— Czy Bobby będzie zadowolony?

Teraz na twarzy Lisy pojawił się wyraz niedowierzania. Mój Boże, nie na tym polega problem. Martwiła się swoimi uczuciami, a nie Bobby'ego. Nie wiedziała, czy jest w ciąży, a teraz już wie. Musi się z tym jakoś psychicznie uporać.

— O czym ty myślisz, Maggie? Oczywiście, że będzie zadowolony. Zapewne strasznie się zdziwi, tak jak i ja, ale z pewnością i ucieszy. To przecież jego dziecko, głuptasie.

W jej głosie brzmiał śmiech. Niemożliwe, żeby Maggie tego nie rozumiała.

Maggie nie dawała jednak za wygraną.

— Ale... chodzi mi o to... że niektórzy mężczyźni... uważają, no wiesz, że dziewczęta powinny zabezpieczyć się w jakiś sposób i że to one są odpowiedzialne za zachowanie ostrożności... i jeśli, no, wiesz... to jakby ciągnięcie ich do ołtarza.

Lisa jak gdyby zamyśliła się na chwilę. Tego faktycznie nie przewidziała; w każdym razie nie pomyślała o tym.

— Och, Maggie, Bobby nie jest taki. To znaczy, on mnie kocha. Oboje się kochamy. Nigdy by w taki sposób nie zareagował, nie mógłby po prostu. Nie Bobby! Zresztą przecież wie, że nigdy w życiu nie zrobiłabym czegoś takiego celowo.

Maggie wciągnęła głęboko powietrze i brnęła dalej:

— To znaczy, że ożeni się z tobą?

— Cóż, myślę, że tak. — Nagle Lisę opuściła pewność siebie. — Nie ma chyba innego wyjścia — dodała cicho.

— Niektórzy ludzie uważają, że lepiej pozbyć się ciąży.

— Nie! — wykrzyknęła Lisa i gwałtownie odrzuciła wszelkie wątpliwości, które czaiły się gdzieś w zakątkach myśli. Maggie powiedziała na głos to, o czym ona nie miała odwagi nawet pomyśleć i dzięki temu ułatwiła jej uporządkowanie uczuć. Zaczęła mówić prędko:

— Maggie, to śmieszne. Bobby i ja nie jesteśmy „niektórymi ludźmi”. Nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy. On jest człowiekiem odpowiedzialnym i ja też. On zawsze postępuje tak jak należy.

Maggie czuła, że zaczyna się poddawać. Próbowwała sprowadzić Lisę na ziemię, ale teraz i ją zaczynały ponosić emocje. Zresztą może przyjaciółka miała rację. Jedno było pewne: Stansfield musiałby być kretynem, żeby zrezygnować z Lisy. Była przecież niemal doskonała, a człowiek taki jak on nie mógł tego nie dostrzec.

— Oczywiście, Liso, masz rację. To cudowne, będziesz żoną senatora! Czy będę mogła być druhną na twoim ślubie?

— Nadal nie będąc przekonaną, Maggie uznała, że powinna okazać entuzjazm.

Ale Lisa właściwie nie słuchała tego, co mówiła Maggie. Usiadła prosto i przejechała dłonią po płaskim jak deska brzuchu.

— Dziecko Bobby'ego rozwijające się we mnie. Jakie to dziwne! — Przez jej głowę przeleciała nagła myśl. — Czy to na pewno prawda?

— Mówią, że test gwarantuje dokładność w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach — roześmiała się Maggie, dużo lepiej czując się w roli uczestnika konspiracji.

Otoczając ramionami szyję przyjaciółki, Lisa dała upust wszystkim swoim uczuciom i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

i?obby Stansfield miał wrażenie, że pęka mu serce. Stała przed nim Lisa; jej piękna twarz powoli bladła, ręce zaciskały się nerwowo, palce stawały się coraz bielsze. Boże, jak ją kochał, jak jej pragnął! Nawet teraz, w tej chwili, kiedy zadawał dziewczynie taki ból. Ale druga część jego duszy, ta twarda, dominowała nad emocjami. Przez ostatnie kilka dni przygotowywał się wewnątrz do tego spotkania, ale i tak rzeczywistość go zaskoczyła. Lisa spodziewała się jego dziecka! Weszła do pokoju jak uskrzydłona i przekazała mu tę wiadomość z całym podnieceniem i zdumieniem, tak jak reagują ludzie bardzo młodzi i bardzo zakochani. Nie przeszło jej nawet przez myśl, że Bobby może nie podzielać tej radości. Dopiero teraz zaczęła sobie to uświadamiać. Stała przed nim, z trudem powstrzymując łzy.

— Liso, nie chciałbym, abyś myślała, że to, co było między nami, nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Miało. Wiemy o tym oboje. Jesteś słodką, cudowną istotą i ogromnie cię lubię...

Podszedł do okna i przez moment stał tyłem do niej, szukając słów, które złagodzą ból i zmniejszyły poczucie winy.

Lisa patrzyła na Bobby'ego, a w miarę jak starała się zrozumieć to, czego nie chciała usłyszeć, na jej twarzy, pozbawionej wyrazu, zaczęły pojawiać się oznaki szoku. Coś się pomieszało w scenariuszu. Nie tak go napisała. Lubi? Słodka, cudowna istota? Jak czyjaś ulubiona cioteczna babka! Chryste! Najwyraźniej zatrzęsnał jej drzwi przed nosem właśnie w chwili, kiedy powinien przytulić ją do serca.

Cicho, drżącym głosem powtórzyła:

— Bobby, jestem w ciąży, jak ci powiedziałam. Noszę nasze dziecko. — Była to i prośba, i oświadczenie. Może jej przedtem nie zrozumiał?

Bobby odwrócił się twarzą do niej i rozłożył ręce w geście sugerującym porażkę.

— Właściwie zdawałem sobie sprawę, że mogłabyś... ach... — Przerwał, kiedy zorientował się, jak niepewnie brzmiał jego głos. Boże, to było okropne. Miał poczucie przygniatającej go winy.

Lisa przysiadła ciężko na skraju sofy, podciągając kolana pod brodę i patrząc na Bobby'ego z wyrazem zaskoczenia, rozbawienia, jakby nie mogła pojąć jego słów. Nie odezwała się, patrzyła tylko, jak w oczach wali się jej cały świat. Wyobrażał sobie, że brała pastylki. Że „była ostrożna”. Cóż teraz o niej myślał? Dziewczyna z West Palm na polowaniu? Cięża jako element rozległego spisku, mającego na celu złapanie senatora? Powinien być zachwycony, porwać ją w ramiona i szeptać do ucha obietnice wspólnego życia jako rodziców dziecka, które przyjdzie na świat. Tak miał się zachować Bobby — jej Bobby! Ten ktoś nie był jej Bobbym. Powinna zadzwonić na policję, żeby aresztowali tego kogoś, kto podszywał się pod prawdziwego ojca jej dziecka.

Bobby rozpaczliwie poszukiwał czegoś, co podziałałoby jak kubeł zimnej wody na jego uczucia. Pragnął tej dziewczyny. Ale ta trudna do odrzucenia miłość rozbijała się o jego niewzruszoną ambicję. Trzeba sprawę wyjaśnić do końca. To jedyna rada. Nie będzie jego utrzymanką. Nie może też z nią się ożenić. Należał do Ameryki, był niewolnikiem własnej wizji przyszłości Ameryki. Lisę Starr da się zastąpić w jego życiu, choć, być może, nie do końca w jego sercu. Jak dziecko Abrahama, zostanie złożona w ofierze na ołtarzu większego pragnienia i Bobby modlił się w duchu, aby oboje — i on, i ona — byli w stanie to znieść.

— Liso, obawiam się, że małżeństwo absolutnie nie wchodzi w grę. Tak to było od samego początku i źle zrobiłem, że nie postawiłem sprawy jasno. Bóg mi świadkiem, że nie czuję się snobem, ale są takie rzeczy, które z punktu widzenia polityki nie mają sensu, a dla mnie właśnie polityka liczy się najbardziej. Jo-Anne powiedziała mi, że twoja matka pracowała w tym domu. Żałuję, że nie zdobyłaś się, żeby mi o tym powiedzieć. Samo w sobie nie jest to wielką sprawą, ale powinienem był o czymś takim wiedzieć. Prasa mogłaby mi bardzo zaszkodzić rozpowszechnieniem takiej informacji. Uwierz mi, wiem dobrze, co dziennikarze potrafią zrobić. No i jest kwestia rodziny, mojej matki, dobrego imienia Stansfieldów. Jesteś jeszcze taka młoda. Masz dużo czasu. Pewnego dnia znajdziesz kogoś lepszego ode mnie i będziesz to wspominać...

Bobby mrugał oczami, wygłaszając to okropne przemówienie. Lepiej byłoby po prostu wykonać wyrok śmierci.

— Co? — spytała Lisa.

Były to najbardziej okrutne i obrzydliwe słowa, jakie kiedykolwiek słyszała, a wyszły z ust człowieka, którego kochała. W istocie mówił jej, że nie jest dość dobra, by zostać matką jego dziecka. Splamiła czystość krwi Stansfieldów, zbrukała ją swoim niewinnym dzieckiem. On z pewnością tego nie myślał!

— Co? — powtórzyła, czując się tak, jakby dostała obuchem po głowie.

— Myślę, że wiesz, o co mi chodzi, Liso.

Nie mógł w kółko powtarzać tego samego. Z trudem przełknął ślinę. Musi iść na całość.

— Jo-Anne powiedziała mi także o jeszcze jednej sprawie, Liso. Nie wiedziałem, że jesteś biseksualna. To dla mnie ogromne zaskoczenie. I osobiście, i ze względów politycznych obawiam się, że to nie do przyjęcia. Jak wiesz, ostro występuję przeciwko homoseksualistom, zawsze to robiłem. Byłoby mi bardzo trudno się z tym pogodzić. — Przynajmniej to wydawało się prawdą. Ale słowa, które wypowiedział, podpowiadał mu rozum, a nie serce. Lesbijka? Gdzie? Dlaczego? Jak to? Kto? Żadne wyjaśnienie nie przychodziło Lisie do głowy, ale zaczęła odczuwać gniew. Nareszcie zaczynała coś czuć. Trzeba podtrzymywać to uczucie, żeby zastąpiło ogłupiający ból, jaki wywołała rzeczywistość.

— Bobby, o czym ty, u diabła, mówisz?

Wstała, kurczowo wbijając paznokcie w dłonie i słysząc w uszach dudnienie krwi. W gardle coś ją zabawnie łaskotało.

Bobby obserwował ją, czując się coraz gorzej. Zrobił to, co miał zrobić. Jakież to wstrętne! A ona jest taka wspaniała. Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Nigdy więcej nie da się zmusić do aż takiego poświęcenia. Oddał wszystko, co było mu drogie i, o dziwo, czuł z tego powodu jakąś satysfakcję. To właśnie takie posunięcia decydowały o tym, jak wiele jesteś wart. Żeby osiągnąć cel, trzeba go bardzo pragnąć. I być gotowym zapłacić wysoką cenę.

Pozostało jeszcze tylko jedno.

— Jeśli chodzi o dziecko, Liso, to wiesz, że zasadniczym elementem moich poglądów jest sprzeciw wobec aborcji. Oczywiście, dziecko otrzyma należytą opiekę. Nie będziecie mieli — ani ty, ani ono — żadnych problemów finansowych, obiecuję ci to.

Słowa Bobby'ego podziały na Lisę jak smagnięcie biczem. Teraz dostrzegła jego snobizm, gruboskórność, obojętność i nieliczenie się z prawdą: przekonała się, jak twarde serce ma Bobby Stansfield.

Poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Zrobiła krok w kierunku mężczyzny, a Bobby cofnął się lekko.

— Kiedy wyjdę z tego obrzydliwego domu, wiesz, co zrobię? Znajdę najwstrętniejszego lekarza, o najgorszej reputacji, jaki tylko istnieje. I każę mu wyrwać z siebie to coś twojego i wyrzucić to do rynsztoka. Razem z moimi wspomnieniami o tobie!

Lisa postawiła rower, opierając go o jedną z nieskazitelnie białych kolumn otaczających wejście do domu Duke'ów, specjalnie zdrapując przy tym trochę farby z muru. Przeszła obok ubranego w prążkowane spodnie i czarną marynarkę kamerdynera, ignorując jego obecność. W wyłożonym marmurem holu zatrzymała się na moment pod olbrzymim kandelabrem z ciętego szkła i rozejrzała się wokół. Była ósma rano. Biegając po dwa schodki naraz, znalazła się na piętrze. Nietrudno znaleźć sypialnię Jo-Anne, pomyślała.

Zaskoczony tym wtargnięciem angielski kamerdyner szedł za nią, mamrocząc słowa protestu i nieskutecznie wymachując rękami.

Drugie drzwi prowadziły do celu. Jo-Anne leżała jak królowa, w ogromnym łóżu, trzymając w dłoni filiżankę z cieniutkiej porcelany.

Lisa stanęła w nogach łóżka, blada z wściekłości, trzęsąc się z gniewu. Kamerdyner wpadł za nią do pokoju.

— Bardzo panią przepraszam. Nie byłem w stanie jej powstrzymać.

Jo-Anne odstawiła filiżankę. Raczej oczekiwała tej wizyty. Wyglądało na to, że zaczyna zwyciężać. Żoną Bobby'ego Stansfielda zostanie pani Duke, a nie panna Starr. Dobrze jej tak. Nikt nie ma prawa wchodzić jej, Jo-Anne, w drogę. Szkoda tylko, że nie wykorzystała do końca tamtej okazji w wannie. Nigdy już nie spróbuje z tą dziewczyną o tak cudownym ciele.

— W porządku, Roberts. Myślę, że powinieneś zostawić nas same. Wygląda na to, że panna Starr ma mi coś do powiedzenia.

— Masz rację, że mam. Zniszczyłaś mnie, ty suko. Czego, do licha, ode mnie chcesz?

— Moja droga Liso, nie ma potrzeby być tak melodramatyczną. Posłuchaj, skarbie. Niszczylaś siebie samą, odkąd tylko postawiłaś nogę w tym mieście. Cóż ty sobie myślisz, że kim ty jesteś?

— Doskonale to wiem; i wiem też, kim ty jesteś. Wredną, złośliwą kłamczuchą! Powiedziałaś Bobby'emu, że jestem lesbijką. Przecież to nieprawda!

— Prawda! Prawda? Ty naiwna, mała idiotko! A co mnie, u licha,

obchodzi prawda? Zresztą na kogoś, kto nie jest lesbijką, całujesz z całą pewnością niezwykle po lesbijsku. Lisa z niedowierzaniem pokręciła głową. Nie spodziewała się takiej reakcji. Jo-Anne, rozbawiona tą sytuacją, wyśmiewała się z niej i upokarzała jeszcze bardziej. Lisa stanęła zupełnie bezradna w konfrontacji z pulsującą siłą czystego zła.

— Czemu to zrobiłaś, Jo-Anne? Chcesz go dla siebie? Czy było to wymierzone przeciwko mnie? — Złość Lisy stopniowo malała. Była zdumiona, do żywego urażona, ale bardzo chciała wiedzieć dlaczego, zrozumieć złośliwość, wskutek której załamały się jej uczucia, zaś życie uległo ruinie.

— Dlaczego skłamałaś i czemu powiedziałaś mu o mojej matce? Chciałam to zrobić sama. To obrzydliwe z twojej strony.

Jo-Anne oparła się o poduszki i patrzyła na Lisę złośliwie. Dziewczyna okazała słabość, a Jo-Anne była przyzwyczajona dobijać słabszych od siebie. Zaczęła mówić cichym głosem, pełnym sarkazmu.

— Czyż naprawdę tego nie rozumiesz? Przychodzisz sobie do tego miasta z błyszczącymi oczami i zadartą kitą, i oczekujesz, że wszyscy zapomną, skąd jesteś i o co ci chodzi? Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego że jesteś po prostu nikim? Wielkim zerem bez przeszłości, terażniejszości i przyszłości? Ty się tu nie liczysz. Pochodzisz ze slumsów, z prostackiej rodziny i masz czelność tak po prostu wejść w nasz świat i uważać się za równą nam! Bobby Stansfield ma tu wysoką cenę i doskonale o tym wiesz. Jest nasz. A przynajmniej moj. Nigdy nie miałaś najmniejszej szansy, dziecinko. Powiedzmy, że faktycznie pomogłam ci wyważyć okno, ale i tak nigdy nie byłaś niczym więcej niż przyjemnym materacykiem, więc nie było trudno to zrobić. Twój grób został wykopany jeszcze na długo, zanim się urodziłaś. Trzeba było sobie wybrać mniej prymitywnych rodziców.

Lisa słuchała tych słów, uświadamiając sobie, że nagle cały jej świat się odmienił. Nic już nie będzie takie jak kiedyś. Nastąpiła gwałtowna metamorfoza i ona też już stała się inna. Nie było już tamtej Lisy Starr; narodziła się zupełnie nowa.

Kiedy się odezwała, mówiła cicho, ale takim głosem, że Jo-Anne poczuła ciarki na plecach.

— Za to, co powiedziałaś, Jo-Anne Duke, zniszczę cię. Ciebie i wszystkich oraz wszystko, co kochasz. Nawet jeśli miałabym poświęcić na to całe życie. Zapamiętaj sobie dobrze tę moją obietnicę i nigdy o niej nie zapominaj.

Odwróciła się i wyszła; a kiedy Jo-Anne sięgnęła po filizankę,

zorientowała się, że drżą jej palce. Filizanka wysunęła jej się z dłoni i upadła na podłogę, tłukąc się na kawałki. Jo-Anne przemknęła przez głowę myśl, że może to być symbolem wypowiedzianej przed chwilą przez Lisę groźby zemsty.

Jo-Anne popijała powoli lodowato zimne sherry, wyczuwając językiem jego gorzko-kwaskowy smak. Było to czymś w rodzaju wykwintnej pokuty za prostsze i mniej wyrafinowane przyjemności. Zrzuciła pantofle i podciągnęła nogi na sofę, przyglądając się eleganckiemu urządzeniu jachtu. Dobrze, że zleciła jego wykonanie Jonowi Bannenbergowi. Nie był to najbardziej oryginalny wybór, ale ten człowiek lepiej niż inni dekoratorzy wnętrz jachtów wiedział, jak w delikatny sposób połączyć dobry smak i wygodę, co było tak potrzebne w prywatnych jachtach pełnomorskich. Pod sobą czuła przyjemny szmer dieslowskiej turbiny o mocy tysiąca dwustu osiemdziesięciu koni mechanicznych, za pomocą której „Jo-Anne”, jacht motorowy długości trzydziestu sześciu metrów, wypływał spokojnie z doku na gładkie wody Lake Worth.

Z roztargnieniem wyciągnęła rękę w kierunku tablicy kontrolnej obramowanej chromowanymi listewkami i nacisnęła przycisk. Próbowala trzykrotnie, nim trafiła na Vivaldiego. Właśnie tego jej było potrzeba. Łagodne i rozweselające. Dar z niebios dla skołatanych zmysłów dziwki, która zastawiła sieci i czeka na najlepszego w świecie połów.

Wszystko szło jak w zegarku. W wirtuozowski sposób rozegrana partia przy odpowiednio zabezpieczonych tyłach. Zwyciężyła. Podniosła natężenie wysokich tonów i obniżyła wskaźnik basów. Prawdopodobnie Bobby Stansfield przebierał się właśnie do obiadu. Zapewne wkładał tę wieczorową marynarkę, w której tak świetnie wyglądał. I skropi się trochę „Eau Sauvage”, której używają niemal wszyscy mężczyźni z jego klasy. Później na górnym pokładzie napiją się wytrawnego martini, ginu Tanqueray z hiszpańską oliwką i będą obserwowali zachód słońca nad Lake Worth. Och tak, wszystko zostało dokładnie wyreżyserowane, co do minuty. Obiad zostanie podany na otwartym powietrzu, a oni dwoje będą kołysać się na wodach Prądu Zatokowego przy srebrnym świetle księżyca. W porze polowania sów i kociaków.

Ubrany na białą steward przerwał jej zamyślenie.

— Czy mogę podać pani drugą szklaneczkę sherry, pani Duke? A może jakąś kanapkę?

— Nie, dziękuję, James. Poczekam na senatora. Czy szef kuchni zdobył te filety z ryby-miecza, o które prosiłam?

— Naturalnie. I pozwolę sobie powiedzieć, że to najlepszy sos béarnaise, jakiego kiedykolwiek próbowałem.

Roberts przygotował wina. Do ryby będzie Le Montrachet rocznik 1976.

— Doskonale, James. Pamiętaj, pilnuj, żeby senator miał co pić. Och, a przy okazji, jak wygląda sytuacja z serwisem obiadowym z porcelany z Sèvres? Był chyba na szesnaście osób.

— Obecnie z pewnością wystarczy dla czternastu. Nie ma problemu. Zresztą na dziś wieczór przygotowałem zastawę miśnieńską, tak jak sobie pani życzyła.

— Bardzo dobrze. A kwiaty?

— Cztery strelcje na środku. Białe orchidee do przybrania stołu. Jo-Anne sprawdzała wszystko dokładnie. I wszystko było tak jak

trzeba. Marynarze reagowali na jej polecenia jak automaty. Właśnie takie czynniki decydowały o sukcesie bądź porażce. A dzisiejsza noc była szczególna. Poza wszystkim dziś miała czternasty dzień cyklu i zamierzała to w pełni wykorzystać.

Dotknęła ciemnożółtej teczki na stojącym przed nią ciężkim stole ze szklanym blatem. Nie musiała zaglądać do środka. Znała na pamięć jej zawartość. Sześć punktów określających, w jaki sposób obejść zasadę, że indywidualny wkład na kampanię polityczną nie powinien przekraczać tysiąca dolarów. Wszystko na granicy prawa, zgodne raczej z jego literą niż duchem. W efekcie to nieco wątpliwe działanie mogło prowadzić do zarzutu, że gra jest nie fair.

Mogłoby spowodować utratę pewnej liczby głosów przy bardzo wyrównanej kampanii. Jo-Anne miała jednak o wiele lepszą propozycję; prostą i nie budzącą wątpliwości. W dniu ślubu z Bobbym Stansfieldem wypisać mu czek na pięć milionów dolarów — jako prezent od kochającej żony dla ukochanego męża. Miał przecież prawo wydać je tak, jak mu się podobało. Żadne prawo nie zabraniało bogaczom finansowania własnej kampanii prezydenckiej. Ale oczywiście ten prezent nie był za darmo. W ten sposób Jo-Anne kupowała sobie nazwisko „Stansfield”.

Wstała i podeszła do lustrzanej ściany. Prosta, jedwabna sukienka. Pojedynczy sznur pereł. Białe buty. Żadnych pończoch czy stanika. Białe, jedwabne majteczki. I nic więcej. Bobby może ją mieć, gdzie tylko i kiedy zechce. Na razie Jo-Anne nie stawiała żadnych warunków, byleby tylko gra się rozpoczęła. Była przekonana o wygranej. Miała przecież dużą praktykę i wiedziała, że robi to doskonale.

Filety z ryby-miecza, lekko podsmażone, były soczyste i doskonałe. Biały burgund podniósł jeszcze ich walory. Bobby nie żałował sobie martini ani potem białego wina. Przy deserze, delikatnym musie czekoladowym, Jo-Anne zaczęła zarzucać sieć i Bobby bez trudu dał się w nią złapać. Nie oświadczyła mu się wprost — pewne rzeczy, nieliczne, mężczyzna musi zrobić sam. Ale właściwie to ona złożyła mu propozycję. Różnica zamykała się w semantyce. Kiedy światło księżyca oświetliło ciepłe wody i słona bryza lekko owiewała ich twarze, a doskonałe wino zaczęło oddziaływać na nastroje obojga, pochyliła się nad mahoniowym stolikiem, tak by Bobby mógł widzieć jej piersi, i zaoferowała mu potężną fortunę oraz rozkosze płynące z jej zmysłowego ciała. Widziała w oczach mężczyzny odbicie walki wewnętrznej, jaką ambicja toczyła z wyższymi uczuciami, i wiedziała, że zwyciężyła. W gruncie rzeczy prawdziwa decyzja została bowiem podjęta dzień czy dwa przedtem, kiedy Bobby postanowił poświęcić szczęście dla najwyższego celu.

Teraz uśmiechnął się do niej przez stół. Nieśmiały, dobroduszny, niezwykle pociągający, uśmiechnął się w sposób określony we wszystkich czasopiśmiech, poczynając od „People” do zgryźliwego „National Review”, jako „chłopięcy uśmiech Stansfielda”. Ale było w tym również trochę smutku — dla Jo-Anne jeszcze bardziej pociągającego, bo świadczącego, że Lisa została zwyciężona, choć nie zapomniana.

— Myślę, że moglibyśmy się pobrać — powiedział w końcu.

— A ja myślę, że z pewnością powinniśmy — zgodziła się Jo-Anne. Wstała. Umowa powinna zostać podpisana w najbardziej znaczący sposób, jaki знаła.

Trzymając go za rękę, poprowadziła pod pokład wzdłuż kolekcji akwarel Ertego i wspaniałego zbioru oryginalnych szkiców scenograficznych Diagilewa, obok brązów Epsteina, poustawianych w niszach i podświetlonych ukrytymi lampkami, do miejsca, w którym zawsze zawierano najlepsze układy — do sypialni.

Lisa pragnęła zwymiotować; położyć się na drewnianej podłodze, między tymi wszystkimi ciężkimi ciałami tańczącymi wokół niej, i wyrzucić z siebie wszystko, łącznie z duszą. A nazywają to tak niewinnie „porannymi mdłościami”. Cóż za groteskowo niewłaściwe określenie dla tego piekła na ziemi, które przeżywała przez ostatnie kilka tygodni. Czemu kobiety o tym nie mówiły? Czyżby obawiały się, że gdyby prawda wyszła na jaw, nastąpiłby koniec ludzkości wskutek powszechnego uświadomienia sobie tego najokropniejszego doświadczenia, jakie muszą znieść kobiety ciężarne? Z całych sił desperacko usiłowała skoncentrować się na muzyce. Mówiono jej, że trzy pierwsze miesiące są najgorsze. Cóż, to już prawie dwanaście tygodni od dnia, kiedy z tak niczym nie zmaconą radością wpatrywała się w czarne kółko w teście, i już miała zupełnie dość.

— I jeszcze osiem... i raz, i dwa, i trzy, i cztery... No, postarajcie się jeszcze troszeczkę... popracujcie nad waszymi ciałami...

Lisa ćwiczyła jeszcze intensywniej. Może ćwiczenia spowodują to, czego sama nie była w stanie zrobić. Trzy razy umawiała się z lekarzem. I trzy razy odwoływała, powstrzymując pokusę poświęcenia nie narodzonego dziecka na ołtarzu nienawiści. Teraz było już na to za późno. Pewnego dnia dziecko Bobby'ego Stansfielda przyjdzie na świat. Spłodzone z miłości, urodzi się w atmosferze niechęci, pod niebem przysłoniętym czarnymi chmurami zemsty. Czasem, kiedy nad ranem budziły ją nudności, Lisa z przerażeniem wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Zewnętrznie zmieniała się bardzo mało, ale wewnętrznie była zupełnie kim innym. W jej mózgu zagnieździł się jakiś obcy przybysz, nieznajoma istota budząca strach i żywiąca się jedynie żółcią. Stwór ten próbował opanować jej umysł, przeinaczać wspomnienia,

zmieniać przekonania, przekształcać ambicje. I efekty jego pracy zaczynały już być widoczne.

Tuż przed nią wiele kobiet męczyło się, skręcając i napinając ciała w walce o poprawę swego wyglądu. Ale nie były to już te same uczennice co kiedyś. W sali gimnastycznej Lisy nie pojawiały się już tanie bawełniane koszulki, porwane kostiumy czy pocerowane trykoty i zniszczone tenisówki. Nie było też widać zabiedzonych twarzy, zaniedbanych włosów, tanich zegarków. Zniknął zapach potu, tanie worki plażowe i brudne ręczniki, które przedtem leżały po kątach, kiedy dziewczyny wyciskały z siebie siódme poty. Kolory stały się intensywniejsze, kostiumy gimnastyczne miały lepszą jakość, pochodziły z takich firm jak „Barely Legal”, „Body Electric”, „Dance France”. W powietrzu pachnącym perfumami „Joy”, „Opium”, „Giorgio”, „Cartier” i „Piaget” pobłyskiwały kosztowne zegarki na rękach, wymachujących w rytm muzyki wydobywającej się z doskonałych urządzeń nagłośniwiających Fishera. Górnik z Kentucky nie dostrzegłby może różnicy — dla niego ciągle jeszcze byłyby to poruszające się rytmicznie piersi i pośladki. A jednak widziało się istotną różnicę, polegającą na tym, że obecnie ćwiczące miały klasę same w sobie. Wypełniająca te piersi krew była błękitna, pośladki wywodziły się z dobrych, starych rodów z Palm Beach. Lisa obserwowała wszystko, kierując zbiorowym wysiłkiem grupy. Do jej studia przy Clematis Street tłumnie zjeżdżały z drugiego brzegu jeziora mieszkanki Palm Beach, tak jak sobie to wymarzyła. Wystarczyło kilka sprytnych słów reklamy w „Błyszczących Kartkach”, zabiegi osobiste Lisy i przekazywane z ust do ust wieści, które jak ogień rozeszły się po tym małym miasteczku. I Lisa stała się pewnego rodzaju znakomitością. Pozostawała, oczywiście, outsiderem, ale niezwykle przydatnym, gdy potrzebna była atrakcja, kiedy przyjeżdżali goście z Północy lub kiedy z Princeton czy Uniwersytetu Georgii zjeżdżali na wakacje siostrzeńcy i bratanice.

Lisa uśmiechnęła się do siebie ponuro, czując, że młodości litościwie zaczęły ustępować. Zdobywała sobie miejsce. Powoli, ale systematycznie realizowała pierwszą część planu. Zaczynała już orientować się w skomplikowanej strukturze socjety Palm Beach i obowiązujących w niej zasadach, wyczuwając najdrobniejsze niuanse, mogące kierować jej kolejnymi krokami do przodu. Był to śmiertelnie niebezpieczny świat, gdzie nie obowiązywały żadne ogólnie przyjęte zasady etykiety. Wolno było popełnić tylko kilka błędów, gdyż wzdłuż wąziutkiej ścieżki, którą szedłeś, płynęły wody, zaś rekiny czekały z otwartymi paszczami i zębami nasyconymi śmiertelną trucizną, by pożreć wszys-

tkich tych, co nie znali reguł towarzyskich obowiązujących w ich świecie.

W żyłach Lisy nie było już ciepłej krwi, nastawionej na uczucie — zastąpiła ją inna substancja — zimna i pozbawiona zdolności wybaczenia. Stało się to niezbędne, by przetrwać w Palm Beach i co więcej, by umocnić swoją pozycję. Tak więc Lisa nie tylko wiedziała, kto był dla niej ważny, ale także i to, kto był zbędny. Znalazła się więc taka grupa ludzi, z którymi Lisa przestała utrzymywać kontakty, na razie wprawdzie nieduża, ale to dopiero początek. Na pierwszy ogień poszli, oczywiście, mieszkańcy West Palm. Pociągnęło to za sobą trochę gorzkich komentarzy, kilka publicznych kłótni, ale wreszcie wszyscy zostali usunięci, pomimo protestów wiernej Maggie. Próżnię, jaka powstała po ich odejściu, zapełnili nowi, „lepsi”, ze swoimi afektowanymi głosami, specyficznymi dowcipami, wiecznym plotkowaniem i nieograniczoną pewnością siebie. Lisa знаła wszystkie swoje nowe uczennice — dziewczynę o zabawnym imieniu, która urodziła się jako Vanderbilt, i tę, która wyszła za mąż za Greka, ale jej dzieci nazywano Phippsami; starszą kobietę z obwisłymi piersiami, której córka robiła karierę w Komitecie juniorów Bath and Tennis Club.

Nowe uczennice były ogromnie zabawne. Na początku wydawały się jej Marsjankami, ale w końcu poznała je wszystkie i nauczyła się tego, co lubiły, a czego nie. Po pierwsze, nie tolerowały żadnych oznak słabości czy ustępstw, mogących świadczyć o tym, że ich potrzebujesz. Jeśli tylko to wyczuwały, ich usta wykrzywiały się protekcjonalnie, a języki stawały się jak ostrza, którymi natychmiast, bez najmniejszego trudu i z istic chirurgiczną wprawą kroili cię na plasterki. Po drugie, były wyśmienicie przygotowane do przeżywania ciężkich doświadczeń, stanowiły doskonały materiał na masochistki. Czuły się szczęśliwe, odczuwając ból i upokorzenie, gdy Lisa wyciskała z nich ostatnie poty, zmuszając odporne mięśnie do wysiłku ponad fizyczne możliwości. Tego Lisa się nie spodziewała. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że przedstawicielki „klasy wyższej” nie miały kręgosłupów, były wiotkie i mało wytrzymałe. Być może zresztą znalazłyby się i takie, ale w sali ćwiczeń walczyły, jakby od tego zależało ich życie, i Lisa podziwiała je za to.

Nawet przez moment nie popełniła jednak tego błędu, by uwierzyć, że skoro uczennice pozwalały jej krzyczeć na siebie, to stała się jedną z nich. W Palm Beach nie robiło się szybkich karier, nie można było dostać się tam prosto z ulicy. Wymagało to czasu. Okres próbny musiał trwać latami. Istniała tylko jedna możliwość skrócenia stażu kandydackiego, jeśli nie brać pod uwagę ślubu z jakimś miejscowym arystokratą:

gdyby Lisie udało się w jakiś sposób pozyskać bogatego opiekuna — patrona, który chroniłby ją jako swoją protegowaną, kogoś wystarczająco wpływowego, by zmusił swoich przyjaciół do stania się także przyjaciółmi dziewczyny. Tego właśnie potrzebowała. Przez krótki czas Jo-Anne Duke pełniła tę rolę, ale skończyło się to w dramatyczny sposób. Teraz Jo-Anne stała się wrogiem Lisy, co do którego można było mieć pewność, że nie zaniecha żadnej okazji, by rozpuścić złe plotki. Pogłoski o jej ślubie z Bobbym Stansfieldem powodowały, że Jo-Anne jeszcze bardziej umacniała swoją, i tak niemal nie do pobicia, pozycję. Bez protektora Lisa była narażona na to, że Jo-Anne zniszczy ją przy pierwszej próbie wejścia w towarzystwo Palm Beach, a jeśli Lisie nie uda się tam dostać, nie będzie miała najmniejszej szansy na zemstę.

Lisie byli więc potrzebni przyjaciele, których pozycja towarzyska pozwalała na zniszczenie Jo-Anne. Ale kto to mógł być? I jak do niego dotrzeć? Zaprzyjaźnić się? Tyle było pytań, na które Lisa nie знаła jeszcze odpowiedzi. — No dobra, dziewczyno, odpuść — rozluźnić się, oddychać głęboko, rozprostować mięśnie.

Lisa spojrzała na swoje ręce. Tylko cieniutka warstwa potu. A jej klasa wyglądała tak, jakby wyszła spod prysznica. Na tym właśnie polegało dostosowanie się i, na Boga, była w szczytowej formie; zdrowa, a jej ciało działało jak cudowny mechanizm... z jedną tylko małą skazą. Psiakrew, dziecko. Kiedy zaczniesz ją zniekształcać? Dziecko poczęte z mężczyzną, który powiedział, że Lisa jest towarem gorszej jakości, że krew Stansfielda zasługiwała na to, by jego potomka nosiło godniejsze ciało. Ach, do diabła z nimi wszystkimi. Będzie tak intensywnie ćwiczyła, aż poroni tego małego bękarta.

Tort był bezwstydnie tradycyjny — olbrzymi i lukrowany, z inicjałami szczęśliwej pary na wierzchu. Abstrahując od rozmiaru — wydawał się nieco za duży jak na gust co bardziej wyczulonych na formy mieszkańców Palm Beach — był doskonały. Śnieżnobiały, zdobiony tak jakby był rzeźbą z lodu, miał doskonale proporcje. Stał samotnie na końcu stołu pod różowo-białą markizą, którą wzniesiono na trawniku przed rezydencją Duke'ów. Wielu gości podziwiała go, tak jak i rzeźbione figury z lodu, porozstawiane na stołach uginających się od przeróżnych potraw. Jedną z tych rzeźb był olbrzymi amerykański orzeł, potężny i władczy, który przysiadł na białym, adamaszkowym obrusie, a zamontowane pod namiotem klimatyzatory toczyły wyczerpującą walkę, by utrzymać go w całości, podczas gdy krople wody ściekały łagodnie

na śnieżnobiały len. Osobno podano białogę i najwspanialszy irański kawior, ułożony w ogromnych porcjach na srebrnych tacach ochłodzonych lodem. Przy tym właśnie stole oraz przy barku, gdzie w eleganckich kieliszkach podawano szampana Taittinger Rosé rocznik 1976, w kolorze przypominającym płatki róży, zgromadziło się najwięcej osób.

— Czy mogę ci podać trochę kawioru, Aldo? Z jajkiem czy ze szczypiorkiem? — Jo-Anne nałożyła sporą ilość tego smakołyku na delikatny porcelanowy talerz z Limoges.

— Jedyne z odrobiną cytryny. I nic więcej, dziękuję. — Elegancki stary Włoch jak zwykle dokonał tradycyjnego wyboru. Doktor Aldo Gucci znany był z upodobania do wszystkiego, co miało najwyższą jakość — tak jak towary, które sprzedawał.

Jo-Anne rozejrzała się wokół siebie. Wszystko szło doskonale. Wspaniałe przyjęcie weselne po bajecznym ślubie. Nawet najbardziej powściągliwi mieszkańcy Palm Beach wzruszyli się szczęściem, jakie wynikło z tragedii, choć niektórzy goście nieprzychylnie komentowali tempo następujących po sobie wydarzeń, zaś inni ukradkiem podśmiewali się z olbrzymich ilości kawioru i ostentacyjnych rzeźb z lodu. Cokolwiek jednak w głębi duszy myśleli, zachowywali to dla siebie. Jednak zjawili się tu wszyscy — arystokraci, politycy, twórcy mody, przesiedleńcy z Europy. Palm Beach było znowu ważnym miejscem, choć właściwie nikt nie wiedział dlaczego. Samo miasto nigdy się nie zmieniało — zmianom ulegał tylko otaczający je świat. Pieniądze i konserwatywne poglądy stały się znów modne, i pewnie stąd moda na Palm Beach, bo tu i jednego, i drugiego było w nadmiarze.

Jo-Anne dostrzegła w drugim końcu markizy Ralpa Laurena zatopionego w rozmowie z Laurą Ashley, brytyjską projektantką strojów odnoszącą wielkie sukcesy, która ostatnio kupiła dom w Palm Beach. Ralph, jak mówiono, zamierzał zrobić nową kolekcję, zatytułowaną „Wygląd à la Palm Beach”.

W drugim końcu Ted Kennedy roztaczał swe uroki przed honorowym gościem — Beverly Sassoon. Bobby mógł pogardzać Tedem, ale posiadłości Stansfieldów i Kennedych dzieliło zaledwie kilkaset metrów, niewysłanie mu zaproszenia byłoby więc szczególnie nietaktem. Zresztą Jo-Anne lubiła Teda — tę tryskającą z niego pewnością siebie, ogromną zręczność w pływaniu na desce, i oczy, mówiące, że ich właściciel znacznie bardziej lubi kobiety niż mężczyzn. Cokolwiek by mówić o Kennedych i ich socjalistycznej polityce, trzeba przyznać, że mieli styl. To komunał, ale zgodny z prawdą. Powodem tego mógł być na przykład ich dom przy North Ocean Boulevard. Jo-Anne poszła

tam raz z Peterem, kiedy Rose wydawała jeszcze od czasu do czasu przyjęcia. Dywany wytarte, meble tak zniszczone, że nie nadawały się do naprawy, przeżarte przez morskie powietrze, stary, dwudziestometrowy basen zarośnięty algą, z taką ilością kijanek i innych stworzeń, że trzeba by chyba geniusza, by go oczyścić. Okna tak się wypaczyły, że trudno je było normalnie otwierać i domykać, a przede wszystkim cały dom wymagał odmalowania. Ale rodzina Kennedych nie zwracała na to uwagi. Byli ponad to, nie interesując się i nie przywiązując wagi do tego, co o nich myślano. Jak prawdziwi arystokraci, gardzili sprawami materialnymi. Pomimo bogactwa żyli bardzo skromnie. W kuchni mieli tak starą lodówkę, że raz na tydzień służąca musiała ją własnoręcznie odmrażać. Stary, miznerowski dom z 1923 roku na North Ocean Boulevard był dla nich jedynie letnim domkiem i tak też go traktowali. Za to Jo-Anne ich podziwiała.

Jo-Anne pogładziła dłońmi swój brzuch. To takie zabawne uczucie być w ciąży. Tak dużo się działo, a tak mało dawało o sobie znać. Czekala na poranne mdłości, zachcianki i inne przypadłości, które najwyraźniej zdarzały się innym kobietom spodziewającym się dziecka. W jej przypadku zanosilo się jednak na to, że przechodzi całe dziewięć miesięcy bez problemu, nie odczuwając tego specjalnie. Czym zasłużyła sobie na łaskę, która na nią tak obficie spływała? Wyglądało na to, że Pan w swej nieskończonej mądrości postanowił wynagrodzić jej wszystkie złe chwile oraz zimno i głód z czasów Big Apple. Chciała Bobby'ego i chciała być w ciąży, by tym mocniej go ze sobą związać, i otrzymała oba te podarki. Ile szczęścia jeszcze ją czeka?

Nie robiła szumu przy kupnie sukni ślubnej. Po prostu poszła do Diora. Tradycyjna elegancja, luźna linia, wspaniale uszyta, niezwykle starannie wykończona. Gdyby jej kształty zaczęły się zaokrąglać, w tym fasonie i tak nie byłoby to widoczne.

W te myśli wdarł się nagle głos, który zaczął szeptać jej do ucha:

— Gratulacje, kochanie. „Pani Robertowa Stansfield” brzmi jeszcze lepiej niż „pani Peterowa Duke” — Mary d'Erlanger uśmiechnęła się jako osoba, która zrozumiała szaradę.

Jo-Anne roześmiała się głośno. W gruncie rzeczy, cóż ją to teraz obchodziło? Dopięła swego. Była dziewczyną ze wspaniałymi osiągnięciami. Miała tylko jeden ważny sekret, ale ten zabrał ze sobą do grobu Peter. I nie musiała już udawać, że jest pogrążoną w żałobie wdową. Nie musiała nawet udawać, że kocha mężczyznę, którego przed chwilą poślubiła. Nareszcie mogła sobie pozwolić na to, żeby mieć wszystko w nosie. Miała cudowne poczucie wolności.

— Problem polega na tym, że nie mam już o co walczyć.

— Och, daj spokój, Jo-Anne. Liczę na to, że będziesz mnie zapraszać na przyjęcia do Białego Domu. Zaczęłam już nawet czytywać u fryzjera „Time'a”, żeby wiedzieć, jak należy rozmawiać z zagranicznymi politykami.

Jo-Anne znowu się zaśmiała. Ludzie zawsze ją źle rozumieli. Prezydentura to był konik Bobby'ego, nie jej. A wyglądało na to, że nikt tego nie pojmował. Ona była zaangażowana po uszy w zupełnie innej grze, w tej, która rozgrywała się tu, w Palm Beach. Przez lata wspinała się coraz wyżej po drabinie towarzyskiej, spychając swoich rywali z wyższych szczebli i uniemożliwiając postępy tym, którzy walczyli wraz z nią. Weszło jej to w krew, działało jak narkotyk, bez którego byłoby bardzo trudno żyć, jeśli w ogóle by potrafiła. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Wcale jej nie zależało, by być pierwszą damą, znaną na całym świecie. Na to przyjdzie jeszcze czas. Teraz chciała zdobyć koronę Palm Beach. Chciała zasiąść na tronie, na którym ciągle jeszcze tak pewnie siedziała Marjorie Donahue. Chciała wyrzeć berło z jej starych, zasuszonych szponów. Już zbyt długo była księżniczką, którą miała czekać chwała, ale dopiero w przyszłości. Przecież nic nie jest wieczne i z pewnością można to przyspieszyć. Ona na pewno może. „Królowa zmarła. Wiwat królowa!”

Jo-Anne Stansfield spojrzała w zamyśleniu w stronę, gdzie stała Marjorie Donahue, otoczona swoim dworem. Kręciło się wokół niej kilkoro ambitnych towarzysko dworzan, starając się prześcignąć jeden drugiego w komplementach; byli bezwstydni w swej służalczości. Za chwilę i Jo-Anne znajdzie się wśród nich. Być może jako primus inter pares, ale nadal tylko jako podlizujący się parazyt.

„Marjorie, co za cudowna sukienka! Jak możesz tak mnie zawstydząć w dniu mojego ślubu? Skąd ją masz?” — To dobre na początek. Boże, ale ta jej sukienka jest okropna. Taka, jaką można kupić na wyprzedazy w sklepie z rupieciami. Jo-Anne nagle pomyślała, że chciałaby, żeby to był całun, w którym pogrzebie królową. Zwróciła się do swojej „przyjaciółki”:

— Chodź, Mary. Powinnyśmy chyba złożyć nasze wyrazy szacunku. Tysiąc dolarów za najzgrabniejsze kłamstwo! Idąc w stronę rywalki w grze towarzyskiej, Jo-Anne czuła, jak narasta w niej irytacja. To był jej dzień i to ona była gwiazdą. Po co, u licha, tam idzie? Kto, u licha, pozwolił tej starej babie myśleć, że jest najmądrzejsza? Fortuna w przemyśle chemicznym pożeniona z milionami z domów towarowych — faktycznie, to robi wrażenie, zwłaszcza jeśli w dodatku idzie w parze z ostrym jak brzytwa językiem. Jakie miała prawo Marjorie wymuszać posłuszeństwo i służalczość od osoby

takiej jak Jo-Anne, która przez następne czterdzieści lat będzie tańczyć na jej grobie. Uczucie podniecenia wzrosło, kiedy uświadomiła sobie, co naprawdę zamierza zrobić. Rozpęta otwartą wojnę. Wystrzeli jako pierwsza, rozpoczynając długą, okrutną, ale z pewnością niezwykle ekscytującą kampanię. Wszyscy będą musieli się opowiedzieć, po czyjej są stronie, a miasto ulegnie podziałowi, zupełnie jak rodziny w Wirginii w czasie wojny domowej. . . .

Zbliżała się chwila, od której zależało wszystko — potem już nie będzie tak jak przedtem. Na policzki Jo-Anne wypływał rumieniec, w miarę jak coraz silniej odczuwała beztronską pewność siebie. Czy to pod wpływem ślubu? Szampana? A może ciąży? Trudno powiedzieć. Miało to z pewnością nie przemyślane, emocjonalne podłoże, ale odzwierciedlało jej nowo narodzone poczucie potęgi. Po raz pierwszy czuła, że ma odpowiednią amunicję i całe bataliony po swojej stronie. Wszyscy ważni uczestnicy gry, którzy staną się żołnierzami w nadchodzącej batalii, będą oczekiwali zapłaty i ochrony od swego generała. Zagwarantują im to pieniądze Duke'ów i opieka Stansfieldów, a kiedy w całej Ameryce zabłyśnie gwiazda jej męża, Jo-Anne zwycięży w tej walce, w którą angażowała się całym sercem. Ale walka zacznie się tu i teraz. Obrazi królową!

Szeregi dworzan rozsunęły się, by zrobić miejsce dla Jo-Anne.

— Jo-Anne, moja droga. Co za wspaniały dzień! Jaki cudowny ślub! To naprawdę niezwykły dzień dla nas wszystkich i dla całego Palm Beach.

Usta Jo-Anne wykrzywiły się protekcyjnie, kiedy wypuściła strzałę. To był Pearl Harbor. Najważniejsze to element zaskoczenia. Wszyscy świadkowie wybuchu tej wojny byli potem zgodni, że pierwsze zwycięstwo odniosła Jo-Anne.

— Moja droga Marjorie, gdzie, u licha, kupiłaś taką okropną sukienkę? Na Church Mouse, czy może w tym obrzydliwym sklepie z rupieciami w West Palm?

Później zaistniały różnice zdań co do tego, jaki miała wyraz twarzy Marjorie du Pont Donahue, kiedy trafił ją ten pierwszy pocisk. Jedni twierdzili, że ze zdziwienia otworzyła usta i szeroko wytrzeszczyła oczy. Drudzy utrzymywali coś zupełnie innego, interpretując to raczej jako złość niż zaskoczenie. Znalezli się i tacy, którzy doszukiwali się w reakcji Marjorie humoru, nawet jeśli był to śmiech przez łzy. Jak zawsze, kiedy jakieś wydarzenie następuje zupełnie nieoczekiwanie, szczegóły relacji się różnią, ale o dziwo większość obserwatorów była później zgodna co do słów, które padły.

— Co powiedziałaś? — Marjorie grała na zwłokę, starając się odzyskać równowagę ducha.

Jo-Anne uśmiechnęła się tylko, ciesząc się z jej zmieszania.

Marjorie nie bez powodu była jednak królową. W ułamku sekundy przejrzała całą grę. Miał to być przewrót pałacowy. Dworzanin stał się zbyt potężny, odniósł zbyt wiele sukcesów i zaczął rozgrywkę na własną rękę. Zdarzało się to już i wcześniej, ale w tym wypadku czuła się szczególnie zaskoczona. Jo-Anne była faworytą. I ty, Brutusie? Do licha, pozwoliła się podejść, uspić swoją czujność, uwierzyła własnym dworzanom. Tak właśnie upadają cesarstwa; gdy władcy tracą czujność i popadają w złe nawyki, pozwalając, by tępiły się ostrza mieczy, by słabła siła ich rąk.

Marjorie natychmiast się spostrzegła, jak mocno Jo-Anne ją zraniła. Stało się to na oczach wielu widzów, którzy przecież sami marzyli w głębi duszy, by tak się wobec niej zachować. Wystawiła się na cios, nie przewidując groźby. Ofiarowała uprzejmość i entuzjazm, a w zamian odebrała otwartą wrogość. Wyglądała więc na słabą i zde-tronizowaną. Siłą rzeczy powrót będzie teraz sztuczny i pozbawiony wdzięku. Mimo to musiała odpowiedzieć. Stare komórki nerwowe pracowały z maksymalną szybkością, kiedy Marjorie w myślach przeglądała najpotężniejszą broń — zbiór informacji.

— Dziwi mnie, droga Jo-Anne, że podejrzewasz, iż robię zakupy w West Palm. Przez całe lata nie myślałam o tym miejscu, chociaż ostatnio przyjaciele mówili mi, że powinnam tam zajrzeć, by zobaczyć pewne studio gimnastyczne, prowadzone przez bardzo bliską przyjaciółkę twego męża. Zdaje mi się, że ta dziewczyna nazywa się Lisa Starr.
^ Starła się jak najsilniej podkreślić zwrot „bardzo bliską przyjaciółkę”.

Nie było to jej najlepsze zagranie, ale biorąc pod uwagę okoliczności, wyszło nieźle.

Jo-Anne zignorowała jednak obelgę i insynuację. Była na fali. Widziała już podziw i zachwyt w oczach niektórych młodszych obserwatorów.

— Na Boga, Marjorie, nie zbliżaj się do sali gimnastycznej Lisy Starr. W twoim zaawansowanym wieku z całą pewnością wyzionęłabyś tam ducha i musielibyśmy wszyscy ubrać się w te okropne czarne stroje na twój pogrzeb. Kiedy się odwróciła, żeby odejść, przez myśl przebiegła jej wątpliwość, czy ktoś za nią pójdzie. Ale u jej boku była Mary d'Erlanger. I Pauline Bismarck, i jedna z dziewcząt Boardmanów. Królowa już nie wybaczy żadnej z nich. Związały się z Jo-Anne. W Palm Beach rozpoczęła się wojna.

Lisa uruchomiła silnik stylowego forda mustanga z 1966 roku i pojechała na drugi brzeg jeziora. Ten samochód kupiła sama sobie w prezencie jako małą rekompensatę za zmarnowaną przyszłość. Charlie Stark z „Mustang Paradise” wypatrzył go na wyprzedaży bankowej. Był to grat za jedyne sześć tysięcy dolarów, ale stary znajomy wyreperował go za darmo. Czerwona, skórzana tapicerka, biała karoseria z cienkimi czarnymi paskami, podkreślającymi aerodynamiczną linię wozu. Kosztowny radiomagnetofon Sony nastawiony był jak zwykle na program z muzyką country — Emmylou Harris obwieszczała właśnie światu, że wszystko będzie dobrze. Cóż, z pewnością była szczęściarą. W snach Lisy rzeczywistość wyglądała niemal tak ponuro jak zima nuklearna. To znaczy do wczorajszej rozmowy telefonicznej.

Głos jej rozmówcy bez wątpienia świadczył o dobrym wykształceniu. Kobieta. Trzydziestoparoletnia. — Dzwonię w imieniu pani Marjorie Donahue, jestem jej osobistą sekretarką. Pani Donahue prosiła, aby pani przekazać, że słyszała dużo o pani od waszych wspólnych znajomych i bardzo chciałyby się z panią spotkać. Czy to możliwe jutro rano, około jedenastej?

Było to dla Lisy jak manna z nieba; propozycja, której nie wolno odrzucić. Rozkaz królowej. To po prostu musiało mieć istotne znaczenie. Ale co oznaczało? Czego mogła chcieć od niej potężna du Pont Donahue? Raczej nie instrukcji na temat aerobiku! Cokolwiek by to było, Lisa z miejsca się zgodziła. Ktoś ją zastąpi na ćwiczeniach. Oczywiście, będzie punkt jedenasta w Bath and Tennis Club.

Przejechała przez rondo i bramy „B and T”. Po raz pierwszy przechodziła przez wrota Mekki towarzyskiej Palm Beach, ale też od pewnego czasu ciągle robiła coś po raz pierwszy. Na szczęście te obrzydliwe mdłości już chyba ustąpiły. Głupio by było, gdyby zwymiotowała na podłogę jednego z największych klubów w Palm Beach.

Chłopak parkingowy, który zajął się jej samochodem, z równym zainteresowaniem i uznaniem przyglądał się autu, co i jego kierowcy. Ale skąd, u diabła, wiedział, że nie była pełnoprawnym członkiem klasy rządzącej w Palm Beach? Lisa mogła się założyć o sto dolców, że nie pozwoliliby sobie puścić oczka do którejś z Vanderbiltówien.

Weszła w drzwi, potem kilka stopni w górę — i pierwsza przeszkoda. Siedząca w recepcji dama w grubych szklach spojrzała na nią równie zachęcająco co wygłodniały doberman. Tak jak i chłopak parkingowy, wydawała się z góry wiedzieć, że Lisa nie jest jedną z „nich”.

— Czym mogę pani służyć? — Ton nie był wcale taki obojętny, jak wskazywałyby słowa. Brzmiała w nim zupełnie wyraźna nutka

irytacji, a w słowie „pani” tkwiła lekka złośliwość. Chryste! Czy miała na czole jakiś znak? Albo jakieś słowa wypisane jak neon na piersi? Czy to dlatego, że była w bawełnianej bluzeczce i dopasowanej do niej spódnicy do pół łydki? Dawno już, celowo, przestała nosić dzinsy.

— Jestem tu umówiona o jedenastej z panią Donahue.

Słowa „Sezamie, otwórz się” zapewne nie wywołałyby większego skutku. Arogancka recepcjonistka zmieniła się w mgnieniu oka. Zazwyczaj, kiedy ktoś obcy podawał swoje nazwisko i sprawę, z jaką przyszedł, denerwująco wpatrywała się w swoje zapiski, zmuszając gościa do czekania, udając, że szuka nazwiska przybysza na jakiejś mitycznej liście. Takie zachowanie zbijało z tropu nawet najbardziej pewnego siebie, zmuszając do rozważenia możliwości ewentualnej odmowy.

— Ach, gość pani Donahue. Naturalnie! Panna Starr. Oczekiwaliśmy pani, zadzwonię do pani Donahue, żeby ktoś po panią przyszedł. — Szybko złapała za telefon.

Chwilę potem Lisa szła za Lily Pulitzer długim, wyłożonym zielonym dywanem korytarzem „B and T”. Potem skręciły w prawo i znalazły się obok olbrzymiego basenu o olimpijskich rozmiarach, z cudownie niebieską wodą. Przechodziły ostrożnie wśród licznych opalających się milionerów, którzy próbowali się pozbiierać po ubiegłonocnych przyjęciach. W Palm Beach północ była porą Kopciuszka — wróciwszy do domu o tej godzinie, następnego dnia można było wstać wcześniej.

Wreszcie weszły kilka stopni do góry, skręciły w lewo wzdłuż balkonu i były na miejscu. Altana, czy raczej altany Donahue tworzyły zupełnie odrębny świat. Lisa nie wiedziała o latach walki, dzięki którym to nastąpiło. Istotą klubu w Palm Beach było to, że wszystkich jego członków traktowano jednakowo, choć wszyscy mogli patrzeć z góry na outsiderów. Ale to nie wydawało się dość dobre dla Marjorie Donahue, która uważała równość za wroga własnej doskonałości. Poprosiła więc zarząd, by pozwolono jej połączyć trzy altany. Początkowo spotkała ją odmowa.

Dlatego w ciągu następnych kilku lat towarzyskich zmagani w końcu doprowadziła do tego, że skład zarządu został w trzydziestu procentach wymieniony i weszli do niego zwolennicy Donahue. Wtedy postawiła na swoim.

„Jeśli nie można mieć własnego zdania w tak drobnych sprawach jak ta, to jaki sens ma posiadanie wpływów w tym mieście” — mawiała Marjorie. Nigdy nie używała w stosunku do siebie określenia „królowa”.

Lisa nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zielony, sztuczny chodnik, przypominający trawę, został zastąpiony tutaj podłogą z czarnych i białych płyt marmuru, ułożonych w szachownicę. Nietrudno było sobie wyobrazić, że na przykład po lunchu na tej szachownicy ustawiano się w charakterze żywych pionków, a królowa dyktowała przebieg gry. Pod jej dyktando dworzanie lekko przeskakiwali z pola na pole, niszcząc wrogów. Dominowały tu biel i czern. Markizy były czarno-białe, także dywaniki ze skóry zebry oraz obicia na sofach i krzesłach. Na ścianach wisiały najdziwniejsze czarno-białe malowidła, na których widniały powykęcane twarze i sceny mrozące krew w żyłach. Kojarzyły się Lisie z czymś jakby znajomym.

Marjorie du Pont Donahue leżała jak foka na szezlongu pokrytym czarno-białym pluszem i opalała się. Najwyraźniej była przyzwyczajona do silnego słońca. Wyglądała jak rodzynka albo suszona śliwka — czarna i wysuszona przez lata kąpieli słonecznych. Na całym jej ciele nie znalazłoby się miejsce, które nie byłoby przeżarte przez słońce, a wszelka wilgoć, jaką zawierała jej skóra, z pewnością została w nią wtarta z butelki z olejkim. Mogłaby przetrwać na Saharze jak kaktus albo jako rozbitek na pozbawionej choć odrobiny cienia bezludnej wyspie. Była żywym dowodem obalającym tezę, że promienie słoneczne są rakotwórcze. Trzy czy cztery kobiety zgromadzone wokół niej wierzciły się i kręciły, chowając twarze przed słońcem pod kapeluszami z dużymi rondami i parasolami.

Lisa stanęła, a przyglądająca się temu Marjorie Donahue prowadziła z kimś rozmowę przez telefon. Dała ręką znak Lisie, żeby poczekała. Nikt się nie odzywał, kiedy królowa rozmawiała.

— Tak, Fran. Było to bardzo dziwne zachowanie. Odkąd mieszkam w tym mieście, nigdy jeszcze nie słyszałam o czymś takim. Dotychczas zawsze darowywaliśmy tej biednej Jo-Anne niewiadome pochodzenie — w równym stopniu dla dobra Petera, jak i z innych względów, ale obawiam się, że wskutek ślubu ze Stansfieldem uniosło się wieczko puszek z robakami. Jak się nazywał ten młody, sympatyczny człowiek, który twierdził, że widział jak „występowała” na kawalerskim przyjęciu na Północy? Obawiam się, że potraktowałam go wtedy trochę za szorstko. Wydaje mi się, że mógł mieć rację. Chyba powinniśmy znowu zacząć go zapraszać. W każdym razie oświadczam ci, że ja z całą pewnością zacznę. Tak, moja droga, masz rację, w tym rzecz. Co zrobimy? Jestem pewna, że pierwsze, co powinniśmy zrobić, to odwołać zarezerwowane stoliki na urządany przez nią bal na rzecz chorych na leukemię. Między nami mówiąc myślę, że możemy się z góry umówić, iż to przyjęcie nie będzie wydarzeniem roku. Może to jest

niezupełnie w porządku wobec chorych na raka, ale zapewniam cię, że zamierzam zrobić anonimową dotację na centralny fundusz dla nich, żeby to wyrównać. I myślę, że po tym wydarzeniu raczej już nie będzie przewodniczyć urządzaniu żadnego balu. Och tak, Fran, i chciałabym, abyś ze wszystkimi swoimi znajomymi przyszła do mnie na przyjęcie, jakie wydaję w przyszłym tygodniu dla Eleanor Peacock. To taka cudowna kobieta, ta Eleanor, nie sądzisz? Tak, moja droga, w pełni się z tobą zgadzam. Taka dobra przyjaciółka. — Mówiąc to, Marjorie patrzyła twardym wzrokiem na Lisę, która doskonale zrozumiała, o co chodzi. Ta rozmowa była częściowo przeznaczona i dla niej.

— Dobrze, kochanie. Cudownie. Wiem, że mogłam na ciebie liczyć. Jesteś wspaniałą przyjaciółką, Fran. W gruncie rzeczy, im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że to ciebie należało poprosić, żebyś zorganizowała bal na rzecz chorych na leukemię. Zobaczymy, co da się zrobić w przyszłym roku. Jestem pewna, że da się to załatwić. Nie, doskonale sobie poradzisz. Ależ to dla mnie przyjemność! Tak, moja droga. I nie zapomnij szepnąć o tym innym, dobrze? Nie chciałabym, żeby ktokolwiek z naszych przyjaciół uczestniczył w balu wydawanym przez Jo-Anne. Nie wyobrażam sobie, by ktoś, kto tam pójdzie, miał jeszcze jakąkolwiek przyszłość w tym mieście. Absolutnie. A zatem w porządku, kochanie. Do widzenia, moja droga.

Odłożyła energicznie słuchawkę z wyrazem triumfu na twarzy.

— Wpisz Fran Dudley na listę „zdecydowanie naszych” — warknęła do bladej dziewczyny, trzymającej duży, żółty notatnik.

I znowu przenikliwy wzrok wbił się w Lisę.

— Jak to miło, że pani przyszła, panno Starr. Jest pani tak sławna, że bardzo chciałam panią poznać, żeby zobaczyć, o kim to tak wiele się mówi. — Mrugnęła porozumiewawczo. Było jasne jak słońce, które ogrzewało jej zniszczone ciało, że Marjorie Donahue kierowała się czymś więcej niż tylko ciekawością.

Lisa zaczynała pojmować, o co może chodzić. Marjorie Donahue i Jo-Anne Stansfield popadły, z jeszcze niewiadomych powodów, w konflikt. Altana przypominała niemal sztab wojenny. Mobilizowano przez telefon posiłki, adiutantki zapisywały notatki. Wyglądało na to, że szykuje się ważna kampania. I ta stara, sprytna lisica w jakiś sposób dowiedziała się o uczuciach Lisy wobec Jo-Anne. Zapewne wiedziała także o związku Lisy z Bobbym. Czy to możliwe, żeby wiedziała i o dziecku? Nie powiedziała o tym nikomu prócz Maggie. Ale wiedzieli lekarze w szpitalu Dobrego Samarytanina... i pielęgniarki... i prawdopodobnie sekretarki... może nawet sprzątaczkę. Lisa niewiele sobie z tego robiła, natomiast gdzieś głęboko w podświadomości zaczynał

się jej rysować interesujący obraz. Nadzieja na cudowny sojusz. Przyjaźń z Marjorie Donahue, mająca doprowadzić do zniszczenia Jo-Anne Stansfield. Właśnie to było jej potrzebne. Mając taką ochronę, mogłaby wejść bez strachu nawet do piekła. Jako protegowana królowej mogła bez oglądania się do tyłu przepłynąć pełne rekinów wody Palm Beach. Był to warunek konieczny, by mogła marzyć o dokończeniu tego, co stało się celem jej życia — czyli o zemście na Stansfieldach, którzy ją zranili i upokorzyli.

— To dla mnie wielki zaszczyt poznać panią, pani Donahue — powiedziała Lisa, podchodząc, by uścisnąć wyciągniętą ku niej pomarszczoną dłoń. . .

Marjorie przechyliła na bok głowę i przyglądała się Lisie — niezwykle atrakcyjna, ma szczery uśmiech, pewna siebie, choć dosyć obojętna; słowem obiecująca jako sojuszniczka. Tak, z tą dziewczyną można by dużo zrobić. Naprawdę bardzo dużo.

— Jestem zdumiona, że nie spotkałyśmy się wcześniej, Liso. Na przykład wczoraj, na ślubie Stansfieldów. Wydaje się, że mamy tylu wspólnych przyjaciół.

I znowu Marjorie spojrzała na Lisę zagadkowym wzrokiem, starając się odgadnąć efekt swoich słów. To, że Lisa miała romans z Bobbym Stansfieldem, stało się tajemnicą poliszynelem. Nie wiadomo było jednak, jak się skończył. Choć nietrudno się domyślić, jak to zostało załatwione. Młoda dziewczyna mająca więcej entuzjazmu niż doświadczenia, złapana w pajęczą sieć uroków Stansfielda. Piękna, młoda, niewinna, nie doceniająca potęgi i sprytu swojej rywalki. Przecież nawet Marjorie nadal jeszcze odczuwała ból po zadanych jej przez Jo-Anne ciosie. A ta dziewczyna nie miała najmniejszej szansy.

Lisa wytrzymała to spojrzenie, ale się nie odezwała. Za mało kart wyłożono na stół. Z jej oczu zaczęły jednak lecieć iskry, kiedy pomyślała

O tym, co mogło się stać.

— Tak — mówiła dalej w zamyśleniu Marjorie. — Tylu naszych wspólnych znajomych chodzi do twojego studia gimnastycznego. Mówię im, że popełniają aerobikobójstwo. — Roześmiała się radośnie i Lisa przyłączyła się do jej śmiechu. Wyglądało na to, że za moment dowie się reszty. . .

Marjorie kontynuowała, jakby do siebie samej. — I, być może, mamy także wspólnych wrogów.

Nagle w powietrzu powiało konspiracją, poczuciem dominującego, wspólnego celu. Lisa wiedziała, że była to oferta. Nic więcej nie zostanie już jaśniej powiedziane. Musi dać jakiś znak, że przyjęła propozycję sojuszu.

— Bardzo chciałabym móc myśleć, że oceniam ludzi w ten sam sposób co pani, pani Donahue.

Wyraz twarzy Lisy mówił znacznie więcej niż słowa i Marjorie wyczytała z niego wszystko to, co chciała wiedzieć. Jedno było absolutnie oczywiste. Ta wspaniale wyglądająca dziewczyna umiała nienawidzić. Więcej niż prawdopodobne, że to właśnie Jo-Anne ją tego nauczyła.

No to załatwione. Teraz chwila swobodnej rozmowy, po czym wróci do maratonu telefonicznego, żeby zebrać jak najwięcej sojuszników i pomocników do walki.

— To świetnie, Liso. A teraz powiedz mi, co sądzisz o samym sercu Palm Beach? — Wykonała ręką szeroki gest, wskazując na otoczenie, basen, altanki, sam klub i korzystających z niego ludzi.

Lisa, ciągle jeszcze mając w oczach wizję ognia i siarki, w których będą się smażyć jej wrogowie, dała się zaskoczyć.

— Myślę, że te obrazy są niezwykle interesujące — wydusiła z siebie.

— Rzekomo Goi. Z jego czarnego okresu. Czyż nie są cudownie ponure? Był zupełnie szalony, kiedy je malował.

Uwielbiam wprost przygnębiające malarstwo. A ty? To tak podnosi na duchu. Oczywiście, to wszystko falsyfikaty. Wszystko, cokolwiek kupuję, okazuje się w końcu falsyfikatem. To jedna ze złych stron bycia bardzo bogatym. Ale już się tym nie przejmuję. W gruncie rzeczy to nawet zabawne. Pewnego dnia sprzedałam obraz Renoira, którego nie lubiłam, i okazało się, że to był autentyk. Przez całe dwa tygodnie chodziłam po ścianach. Nigdy bym tak nie traciła, gdyby nie to, że zawsze zakładam najgorsze. Lisa roześmiała się z tej radosnej beztroski, a jednocześnie pomyślała z zazdrością, że tylko mając ogromny majątek, można sobie na coś takiego pozwolić. Nie podejrzewała jednak Marjorie Donahue o tego rodzaju podejście do życia. Ta staruszka była wspaniała, ale także zabawna.

— Ja jeszcze nigdy nie mogłam kupić sobie obrazu. — W głosie Lisy nie było jednak ani cierpienia, ani cienia użalania się nad sobą. — Och, Liso, kiedy byłam w twoim wieku, też ich nie kupowałam. Ale coś ci powiem, moja droga, i dobrze to zapamiętaj: przyjdzie taki dzień, że i ty będziesz kupować sobie obrazy. Zobaczysz!

Dla Lisy zabrzmiało to jak obietnica, czy może przepowiednia. Audiencja najwyraźniej dobiegała końca. Ale nie ich kontakty. — W każdym razie bardzo się cieszę, że spotkałyśmy się, Liso. Sprawilo mi to wielką przyjemność, tak jak przypuszczałam. I przyszło mi coś na myśl. Czy zechciałabyś przyjść na moje przyjęcie po premierze sztuki Neila Simona w Poinciana Theater? Potem pójdziemy wszyscy na obiad do Capriccio. Koktajl u mnie w domu zaczyna się o szóstej trzydzieści. Nie obowiązuje strój wieczorowy. To było właśnie to: przepustka do rajy; wiza na wielokrotne przekraczanie bram sanktuarium Palm Beach. Lisa nie musiała pytać o adres. Potrafiła tam trafić z zamkniętymi oczami. Ale była bliska rozpacz, kiedy pomyślała o tym „nie obowiązującym stroju”. Kiedyś dała się już na to złapać. Gdzie, u licha, w West Palm można by wypożyczyć diadem?

Dopiero drugi raz Lisa spotkała Vernona Blassa, ale wyraźnie zaczynała już go lubić. Pierwsze ich spotkanie, na obiedzie u Marjorie Donahue, nie było sukcesem. Przy zimnej zupie Madras Vernon bezwstydnie robił do niej oko, ledwie zadając sobie trud odpowiedzi na próby nawiązania rozmowy. Przy rybie złożył dziewczynie niedwuznaczną propozycję z delikatnością nowojorskiego taksówkarza, a w odpowiedzi na jej wyniosłą i pełną pogardy reakcję odczekał chwilę, po czym wsunął jej rękę między nogi. Lisa była zdumiona, nie tyle nawet jego zachowaniem, ile faktem, że siedemdziesięcioletni, zaliczany do najbardziej pożądanych towarzysko mieszkańców Palm Beach, mógł upaść tak nisko. Zastanowiwszy się jednak, doszła do wniosku, że może to nie było takie dziwne. Jo-Anne Duke, Bobby Stansfield, no i teraz Vernon Blass. Wyglądało na to, że idole jej matki to po prostu nicponie najgorsi z możliwych. Zachwyciła oboje, jego i zupełnie przypadkiem gospodynię przyjęcia, reagując w ostry sposób. Bez namysłu wylała galaretowaty, mrożony sorbet pomarańczowy Vernonowi na kolana i przez parę sekund spoczywał tam, na nieskazitelnie wyprasowanych, eleganckich, granatowych spodniach, tuż przy kroczu, chłodząc symbolicznie i faktycznie źle adresowane żądze.

Od tej chwili jego stosunek do Lisy zmienił się diametralnie. Przestał ją uważać za tanią rozrywkę z drugiej strony jeziora — dziewczynę, która mogła mu sprawić trochę przyjemności. Okazało się, że panna Starr ma nie tylko niezwykle atrakcyjne ciało, ale i charakter w równym stopniu podniecający. I, co więcej, z jakiegoś powodu ma poparcie najbardziej wpływowej osoby. Kiedy bowiem próbował usunąć sorbet ze spodni, Marjorie du Pont Donahue przypuściła atak, używając jako broni dowcipu i złośliwości.

— No, Liso, to rozumiem — huknęła tak głośno, że musieli ją słyszeć wszyscy goście w Capriccio. — Mówiłam Vernonowi, że powinien sobie zoperować prostatę już wieki temu. Gdyby mu ten przeklęty gruczoł wycięli, mógłby wreszcie trzymać łapy przy sobie.

Vernon przyłączył się do ogólnego śmiechu, jaki ta uwaga wywołała. Po części dlatego, że reagowanie śmiechem na żarty Marjorie stało się u niego niemal nawykiem, ale i z innego względu. Przez całe życie był strasznie despotyczny. Nauczył go tego ojciec, który odnosił ogromne sukcesy. Bogaty i rozpieszczony jako typowy jedynak, pozostał taki sam na starość. Zazwyczaj kupował sobie tych, których potrzebował, unikał zaś tych, których nie potrzebował lub nie mógł kupić. Fakt, że taka dziewczyna jak Lisa odważyła się stawić mu czoło, tak wiele ryzykując jako nowicjuszka w towarzystwie, wydał mu się niezwykle pociągający. Przez resztę wieczora starał się roztaczać przed nią swe wdzięki i w końcu uzyskał przebaczenie. Przez następne kilka dni myślał

O Lisie przez cały czas — tak bardzo, że zadzwonił do Marjorie Donahue i poprosił o umożliwienie ponownego spotkania dziewczyny.

I spotkali się.

W loży Donahue w Palm Beach Polo Club pito duże ilości pimmsa

1 atmosfera odpowiadała kolorowemu, rozluźniającemu nastrojowi. Lisa była szczerze rozbawiona i przyniosło jej to prawdziwą ulgę. Karmienie płodu jedynie nienawiścią nie wpływało na dobre samopoczucie. Spotkało ją jednak wiele dobrego, przede wszystkim dzięki Marjorie Donahue. Od spotkania w Bath and Tennis Club Lisa wystartowała ostro, robiąc szybką karierę towarzyską i teraz już niemal straciła kontakt z rzeczywistością. Zaczęło się od sali gimnastycznej. Królowa szepnęła słówko i jak pszczoły do ula zlecieli się do Lisy ważni i sławni mieszkańcy Palm Beach. Lisa starała się przyjać ich wszystkich i podjęła już negocjacje, żeby wynająć odpowiednio duży budynek. Jej zarobki i oszczędności rosły z dnia na dzień.

— Tym, co w polo jest najistotniejsze i o czym trzeba pamiętać, jest fakt, że gra ta stanowi przeciwieństwo golfa. Im wyżej strzelisz, tym lepiej. Ten mały chłopak uderzający teraz piłkę nazywa się Alonso Montoya. Jest jednym z najlepszych graczy w kraju. — Vernon Blass pochylił się w stronę Lisy. Przez ostatnie pół godziny uczył ją szczegółów gry w polo, wskazując na umiejętności prowadzenia konia, niebezpieczne i nieprzepisowe zagrania, opowiadał biografie graczy, ozdabiając je pieprzonymi szczegółami z życia prywatnego zawodników.

— Argentyńczycy są najlepsi, bez wątpienia. A poza tym, kochają się ze wszystkimi istotami w spódnicach, jeśli tylko mają one choć trochę pieniędzy w banku. Są niewiarygodnymi pieczeniarzami, po

trafią ogołocić dom z jedzenia, a jak na chwilę wejdiesz do męskiej toalety, prześpią się w tym czasie z twoją żoną i z córką.

Lisa roześmiała się beztrąsko, wiedziała już, jaki jest Blass. Sprośny staruch, ale przynajmniej zabawny. Podobał się jej także styl ubierania się Vernona. Na przykład teraz miał panamę od Locka z St. James, używany, ale nieskazitelnie czysty biały lniany garnitur z wyblakłą niebieską muszką i doskonale wyczyszczone brązowe buty.

— A ci dwaj Anglicy? Wentworthowie. Z wyglądu całkiem mi się podobają — zażartowała Lisa.

— Moja droga, obiecaj mi, że niezależnie od sytuacji nigdy nie pójdziesz do łóżka z żadnym Anglikiem — odparł Blass z udanym przerażeniem. — Nigdy się nie myją! A poza tym trwa to u nich dwie minuty, jeśli dobrze trafisz, a potem są tacy z siebie dumni, że czekają na aplauz i listy z podziękowaniami, i to w trzech egzemplarzach, żeby mogli pokazywać swoim znajomym.

Lisa pogroziła mu palcem. — Mam nadzieję, że nie doświadczyłeś tego sam, Vernon.

Blass roześmiał się. — Nigdy nie uległem takiej pokusie. A weź pod uwagę, że raz czy dwa składano mi propozycje. To ma chyba coś wspólnego z tymi szkołami publicznymi, jak sądzę.

Lisa rozejrzała się dokoła. Stadion był zatłoczony, rozgrywano bowiem ostatnie finały światowych rozgrywek o puchar Piageta i wyglądało na to, że całe Palm Beach stawiało się, by obejrzeć mecze. A Jo-Anne? Bobby? Wydawało się jej, że tyle czasu upłynęło od dnia, kiedy przyjechała tu po raz pierwszy jako Kopciuszek, ubrana byle jak dzięki radom Jo-Anne. Boże, jaka była wtedy naiwna. Nawet wówczas, kiedy jeszcze żył jej pierwszy mąż, Jo-Anne nie grała fair. Czy już wtedy chciała Bobby'ego dla siebie? Wiedząc, co stało się później, nie wydawało się to Lisie nieprawdopodobne.

— Wiesz co, Vernon, opowiedz mi teraz o tych ludziach. Kim jest ten niezwykle facet z kolczykiem?

— To Jim Kimberly. Jest w moim wieku, ma siedemdziesiąt jeden lat, ale uważa, że ma tylko siedemnaście. Jego rodzina założyła Kimberly-Clark, ilekroć więc wycierasz swój śliczny nosek w kleenex, Jim staje się o centa czy dwa bogatszy. Biedny, stary Jim miał ostatnio trochę kłopotów. Ożenił się z bardzo młodą dziewczyną, Jacquie — tą, co robiła za gwiazdę w czasie rozvodu Pulitzerów. I właśnie od niego odeszła. Nie dlatego, żeby miała kogoś innego. Przeniosła się do pensjonatu, którego właścicielem jest król Husajn, i zabrała ze sobą tylko majordomusa!

Vernon Blass znowu zaczął robić do niej oko. Kłopoty małżeństwa Kimberly najwyraźniej nasunęły mu jakieś niezdrowe skojarzenia.

— No, uważaj, Vernon. Nie zmuszaj mnie, żebym tym razem poląła cię pimmsem.

Jakaś wielka blondyna zawołała doń z sąsiedniej łoży.

— Vernon, ty paskudo. Teraz już wiem, czemu nie przyszedłeś do mnie na lunch. Czy ty nigdy nie przestaniesz? Czemu nie wycofasz się z wdziękiem i nie dasz szans młodszym od siebie?

— Kto to? — wyszeptwała Lisa, kiedy Vernon radośnie pomachał ręką w kierunku blondyny, dając wyraz zadowoleniu z komplementu.

— Sue Whitmore, królowa Listerine. Po tym, jak już zmyjesz makijaż Estée Lauder za pomocą jednego z kleenexów Jima, możesz pozbyć się nieprzyjemnego oddechu dzięki płynowi do płukania ust, produkowanemu przez Sue. Czasami zastanawiam się, co by się stało z resztą Ameryki, gdyby nie mieszkańcy tego miasta.

— Ślicznie dziękuję, ale ja nie mam nieprzyjemnego oddechu — zaśmiała się Lisa.

— Udowodnij — zachichotał Vernon, nachylając się ku niej.

— Vernon, znowu naprzykrzasz się mojej adoptowanej córce? Lisa poczuła, jak rosną jej skrzydła. Wszystko tak cudownie się

układało. Teraz już była „adoptowaną córką” Marjorie Donahue, a ten zabawny stary zbereźnik, posiadacz wielkiego przedsiębiorstwa wydawniczego i wspaniałego domu na South Ocean Boulevard, jadł jej z ręki. Uśmiechnęła się do siebie ponuro na myśl o tym, jak wykorzysta tę swoją nową władzę.

i o było mniej więcej to, o co chodziło. Lisa nie popatrzyła nawet jeszcze na cenę. Nauczyła się już, że cena często psuła zabawę, a ta sukienka była jedną z najładniejszych, jakie dotychczas widziała. Zupełnie jakby na nią szyta, może tylko trochę przyciasna w piersiach, które Lisie bardzo urosły. Przez cały ranek w towarzystwie Marjorie biegała po „możliwych do przyjęcia” sklepach. U Marthy, matrony w średnim wieku, udające sprzedawczynie, usiłowały jej coś doradzić w przestronnych, wyłożonych marmurem salonach. Mierzyła tam cudownie uszyte suknie od Valentina i Geoffreya Beene'a. Później, w butiku Ralpa Laurenta, który zdaniem Marjorie był przeznaczony dla młodzieży, musiała podporządkować się ubranym w mundurki sprzedawczynom, które ogromnie chciały jej coś sprzedać.

Zrozpaczona poszła następnie do „Rive Gauche” Saint Laurenta, gdzie sprzedawczynom niemal się udało przerobić ją na czterdziesty, łatkę, przy aktywnym udziale francuskiej hrabiny, której eleganckie palce szczypały ją i podskubywały, jakby była towarem na rzymskim

targu niewolników. Sklep Krizia na Esplanade wydał się jej wreszcie oazą stylu i oryginalności. Stroje były odpowiednie do jej wieku, odważne, nawet prowokacyjne. Nie były to wprawdzie suknie znanych firm, które gwarantowały powodzenie z tego tylko tytułu, że można było podać nazwisko projektanta; jedynie prawdziwi zwolennicy awangardy wiedzieli o Kriziu i kiedy ubrałaś się w jedną z kreacji stamtąd, byłaś zdana na własną odwagę.

Lisa okręciła się przed dużym lustrem. W katalogu suknia nie wyglądała tak interesująco. Setki białych, plastikowych dysków, pozszywanych ze sobą, do pół łydki, rozcięta po bokach aż do pół uda. Dopasowana góra — spod krążków wyraźnie prześwitywały opalone piersi, można też było dostrzec pociemniałe wskutek ciąży sutki. Dobrze w niej wyglądam, pomyślała Lisa. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Marjorie przysiadła na zewnątrz, w jakimś wykuszu okiennym, tęsknie wspominając wygodne sofy i uniozoną obsługę u Marthy. Ale i tak dobrze się bawiły tego poranka.

Od czasu spotkania w „B and T” stały się prawdziwymi, bliskimi przyjaciółkami. Lisa szybko przejrzała na wylot starą, sprytną damę i odkryła w niej olbrzymie poczucie humoru. Należało jej, oczywiście, schlebiać, ale jeśli przyjrzeć się Marjorie dokładnie, dostrzegało się wiele autentycznych cech, które zasługiwały na podziw. A przede wszystkim, najważniejsze u Marjorie wydawało się to, że w głębi serca była anarchistką. Najbardziej lubiła, jeśli Lisa odnosiła się bez szacunku do wszystkiego i wszystkich — z jednym wyjątkiem — osoby Marjorie. W odpowiedzi na prośbę Lisy, żeby królowa pozwoliła jej wyglądać na swój wiek, Marjorie Donahue posłużyła się starym jak świat powiedzeniem, że dzieci przed czterdziestką i ryby nie mają głosu.

— Posłuchaj, kochanie — powiedziała. — W tym mieście i tak trudno w rozsądny sposób kontrolować wiek, zwłaszcza że wszyscy bratankowie i bratanice też już potrzebują operacji plastycznych twarzy. W tej sytuacji ostatnią z rzeczy, których nam potrzeba, jest jakaś małolata ze sterczącymi cyckami.

No i właśnie ubrała się jak małolata, a jej sterczące cycki były odpowiednio wyeksponowane. Na szczęście miała jeszcze zupełnie płaski brzuch. To nieszczęsne dziecko musiało być chyba chude jak patyk, gniecione przez potężne, codziennie ćwiczone mięśnie brzucha. Modląc się, żeby w sklepie nie zjawili się jacyś mężczyźni, którzy mogliby zobaczyć to wszystko, co było odsłonięte, Lisa wybiegła energicznie z przebieralni i wpadła prosto w męskie ramiona.

Przez ułamek sekundy pomyślała, że potrafiła kogoś obcego, i zaczęła mamrotać coś na przeprosiny. Nagle jednak przerwała,

zobaczywszy niebieskie oczy, czując silne ramiona wokół swojej talii i znajomy zapach Bobby'ego. Raptownie ogarnęły ją wspomnienia. Najwyraźniej zresztą nie tylko ją. Najpierw usłyszała kilka dźwięków orkiestry Filharmonii Nowojorskiej, grającej z tranzystora przy basenie, potem zastąpiły ją odgłosy nocy na Karaibach i krzyk ekstazy, gdy zostało spółdzone ich dziecko. Aż wreszcie, jakby dyrygent kapryśnie usiłował sprawdzić brzmienie nowego układu dźwięków, muzyka przestała cieszyć ucho. Zmieniła się w kakofoniczny hałas, w którym przez myśli Lisy przeleciały ponownie okropne słowa, jakie od Bobby'ego usłyszała. Wyrwała się, odepchnęła go, odwróciła od niego oczy.

— Lisa...

Politykom nie powinno brakować słów. Powinni być wygadani, opanowani i pewni siebie nawet w najtrudniejszych okolicznościach. Tego oczekiwała od nich publiczność. Ale Bobby ledwie się powstrzymał. Gdzieś w pobliżu była Jo-Anne, która z pewnością miała taką chęć na spotkanie z Lisą, jak na dziurę w obrazie Renoira, a mimo to Bobby czuł przemożną ochotę, by pobiec za ukochaną, porwać ją w ramiona i powiedzieć, że wcale nie chciał zerwać z nią w taki sposób, jak to zrobił i wierzy, że to, co stało się w przeszłości, nie przekreśli ich szans na przyszłość. Był wzburzony.

Sytuacja wyglądała dość groźnie. Butik Krizia mieścił się w załamaniu, które łączyło się z większą salą korytarzykiem z dwiema przebieralniami. Właśnie w tym korytarzyku Bobby i Lisa wpadli na siebie. Jo-Anne stała tuż za mężem, spóźniwszy się tylko nieznacznie i dlatego nie była świadkiem całej sceny. Konfrontacja wydawała się nieunikniona.

Marjorie Donahue czujnie wstała ze swego niewygodnego miejsca na skrawku wystawowego parapetu, kiedy tylko Lisa wpadła do głównej sali sklepu. Natychmiast jej stare, mądre oczy spostrzegły, że to nie suknia spowodowała wzburzenie dziewczyny. Lisa była blada jak ściana. Po sekundzie, kiedy za jej ramieniem ukazała się postać Bobby'ego Stansfielda, Marjorie domyśliła się, o co chodzi. Ale to nie wszystko. Bobby Stansfield nie mógł przecież chodzić sam po sklepach z damskimi ubraniami przy Worth Avenue. A zatem musi być też Jo-Anne. I faktycznie pojawiła się tuż za nim.

Dzięki temu, że minimalnie wcześniej zorientowała się w sytuacji, Marjorie miała ogromną przewagę nad Jo-Anne.

— No, no — wycedziła — państwo Stansfield na zakupach. Jak to miło was zobaczyć. Myślałam, że już w ogóle przestaliście gdziekolwiek bywać. W każdym razie wydaje mi się, że jakoś nie widać cię na przyjęciach, Jo-Anne.

Towarzyska blokada Jo-Anne była ogromnym sukcesem Marjorie. Nagle pani Stansfield przestała otrzymywać zaproszenia, po tym jak królowa oświadczyła kilku osobom, że nie zamierza bywać na przyjęciach, na których mogłaby spotkać Jo-Anne, i że nigdy nie zaprosi do siebie nikogo, kto wpuści do domu tę panią. Tak więc w ciągu kilku dni Jo-Anne przekonała się o rozmiarach swej katastrofalnej porażki. Żadna z ważniejszych osób nie przeszła na jej stronę, a ci, którzy to uczynili, szybko się wycofali. Marjorie sprytnie okrążyła ją, dochodząc do porozumienia ze wszystkimi, którzy w pierwszej chwili poparli Jo-Anne, oferując im wybaczenie w zamian za wierność. Była to kampania bezlitosna i owi nieliczni lojalni wobec Jo-Anne nagle zorientowali się, że zostali przez wszystkich skreśleni z rejestrów towarzyskich Palm Beach.

Dla Jo-Anne Stansfield było to niemal tak straszne, jak gdyby zniemacka napadnięto ją w kościele. Zaniemówiła; Lisa Starr, stojąca obok jej śmiertelnego wroga, wyglądała niezwykle ponętnie i wszyscy mogli zobaczyć, że jej mąż wprost pożerał wzrokiem tę dziewczynę. A Marjorie Donahue triumfowała z pozycji niczym nie zagrożonej siły. Co za szczęście, że w sklepie znajdowało się mało ludzi. Bo z pewnością nie było nic więcej, za co mogłaby dziękować Bogu.

— Och, Marjorie, wiesz, jak to jest. Politycy w małym mieście wydają się tak prowincjonalni, kiedy już naprawdę poznasz smak wielkiego świata. A przecież poza Palm Beach jest cały wielki świat. Tylko wy, tutejsi mieszkańcy, zdajecie się o tym zapominać.

Do diabła, żeby tak jeszcze czuła to naprawdę. Jej słowa brzmiały niezwykle rozsądnie, ale wyprane z emocji były czytelnym kłamstwem.

— No nie, Jo-Anne. Zabrzmiało to tak, jakbyście myśleli o wyprowadzeniu się z Palm Beach. Zapewne do Nowego Jorku. Słyszałam, że miałaś tam niezwykle bogatą przeszłość. To z pewnością doskonale wpłynie na karierę polityczną Bobby'ego.

Jo-Anne zwróciła się w stronę Bobby'ego. Najwyższy czas, żeby włączył się do walki. Przecież, poza wszystkim, jego żona została właśnie nazwana dziwką, która mogła zniszczyć polityczną karierę męża. Tak więc przydałoby się, żeby osadził tę wiedźmę.

Ale Bobby wcale nie słuchał. Wpatrywał się w Lisę jak przedszkolak, który po raz pierwszy zobaczył strip-tease i co gorsza, w jego wzroku było nie tylko pożądanie. Jo-Anne poczuła, jak ogarnia ją irytacja. Co się stało, u licha? Czy wszyscy poszaleli? Czyż to nie ona była bogata jak Krezus i nie ona miała tak elektryzujące ciało, że mężczyźni miękli jak wosk?

— Och nie, Marjorie, nie rozważamy wyprowadzenia się stąd. Ale

ktoś, kto ma dom czy dwa i jacht, wcale nie musi tylko dlatego mieszkać tu przez cały czas. Oczywiście, inaczej to wygląda w twoim wypadku. Stary lampart nie powinien zmieniać legowiska, prawda? A my po prostu nie chcemy dać się ogłupić myślą, że słońce wschodzi i zachodzi jedynie nad Palm Beach. I to wszystko.

Marjorie Donahue zmieniła taktykę. Takiej okazji wprost nie można było przepuścić.

— Bobby, miałam zamiar przedstawić cię mojej dobrej znajomej, Lisie Starr, ale sądząc po twoim wyrazie twarzy, musiałeś już ją wcześniej poznać. Czyż to nie najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałeś? —

Odwróciła się i triumfalnie popatrzyła na Jo-Anne.

— To prawda — odparł po prostu Bobby, śmiertelnie narażając się własnej żonie. Wiedział, że to robi, ale nagle przestało go to wzruszać. Do diabła, Lisa była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział, i nie obchodziło go w najmniejszym stopniu, kogo to mogło dotknąć. Coraz bardziej męczyły go nienasycone ambicje towarzyskie żony. Słowa, jakie przed chwilą wypowiedziała, wyrażały uczucia, które od dawna nosił w sercu. Komu potrzebne było towarzystwo Palm Beach, jeśli mógł znajdować się w centrum towarzyskim całego zachodniego świata? Ale Jo-Anne połknęła bakcyła Palm Beach i choroba wyglądała na poważną. Była dorosła i do pewnego stopnia stało mu się obojętne, co robiła, jak długo nie wprawiała go w zakłopotanie, ale niech się jej nie wydaje, że da radę omotać go swoją siecią intryg. Miał lepsze zajęcia — jak choćby patrzenie w tej chwili na Lisę.

Jo-Anne miała już dość. Starczy. Cholerna Marjorie, cholerna Lisa, a przede wszystkim — cholerny Bobby. Co za fajtłapa! Opuścić żonę' w chwili, kiedy najbardziej potrzebowała jego pomocy! Nigdy więcej już czegoś takiego nie zrobi. I lepiej niech zrezygnuje z jazdy na nartach wodnych.

— Chodź, Bobby, jesteście już spóźnieni. — To zupełnie tak, jakby wywiesiła białą flagę. Wychodząc rzuciła więc przez ramię na pożegnanie:

— Śliczna sukienka, Liso. Ale chyba powinnaś pomyśleć o operacji zmniejszającej piersi.

Na zewnątrz, na zatłoczonej Esplanade, Jo-Anne nie była już w stanie dłużej pohamować wściekłości. Od lat nikt jej tak nie upokorzył, a przecież po to właśnie tak bardzo walczyła, by dostać się do grona najbogatszych, żeby móc uniknąć podobnych sytuacji. Człowiek, za którego wyszła za mąż, który miał to szczęście, że dzielił z nią łóżko, miał jej ciało i jej potężną fortunę, stał obok i pozwolił,

żeby wróg ją stłamsił. Nawet nie ruszył palcem, aby jej pomóc. Co więcej, gapił się na tę dziewczynę — swoją dawną kochankę — tak, jakby marzył jedynie o ponownym przespaniu się z nią, i przyznał się do tego wobec Jo-Anne.

— Ty wredny gnoju! — krzyknęła histerycznie. — Jak śmiałeś mnie tak potraktować!

Głowa Bobby'ego odskoczyła do tyłu, jakby dostał w szczękę kijem od baseballa. Hej, to się rozgrywało w miejscu publicznym! Jego polityczne wyczulenie zapaliło czerwone światełko, kiedy usiłował opanować potencjalnie szkodliwą sytuację.

— Chodźmy, Jo-Anne. Przesadzasz, kochanie.

Wyciągnął dłoń, żeby wziąć ją pod rękę i zobaczył, że jakaś dama w średnim wieku i zapewne jej mąż przystanęli i zaczęli przyglądać im się z ciekawością.

— Czy to nie senator Stansfield? — padło z uszminek ust i Bobby odczytał to pytanie.

— Nie nazywaj mnie „kochaniem”, ty obrzydliwy zboczeńcu. Zachowaj to na chwilę, kiedy znowu wleziesz na tę dziwkę.

Głos Jo-Anne był piskliwy i głośny. W każdej chwili mógł się przerodzić we wrzask. Bobby drżał na myśl o tym, że mogłoby się to przedostać do serwisów prasowych. Już teraz pewnie jakiś dzień-nikarzyna szukał telefonu. Kątem oka dostrzegł zbierający się w pobliżu tłum gapiów. Małżeństwo, które ich rozpoznało, stało jak wrośnięte w to miejsce, oglądając z zachwytem cudowną scenę nieporozumienia rodzinnego, jakiego byli świadkami.

Przez głowę Bobby'ego przeszła myśl, że może byłoby lepiej, gdyby uderzył żonę. Mogło to wpłynąć na nią uspokajająco, ale również zadziałać jak kanister z benzyną wrzucony w ogień. A poza tym uderzenie kobiety na oczach widzów, zwłaszcza jeśli ta kobieta to własna małżonka, było politycznym błędem.

— Jo-Anne, zachowujesz się nierozsądnie. Porozmawiajmy o tym-w domu. — Jeszcze raz spróbował wziąć ją za rękę i poprowadzić w kierunku schodów.

— Porozmawiajmy w domu! W jakim domu? Czy uważasz za dom to ponure mauzoleum, do którego wracasz co jakiś czas, żeby się przespać?

Wokół rozległo się „ooch” i „aach”. Cała ta scena stała się wspaniałym widowiskiem dla grupki turystów i przechodniów, którzy tłoczyli się w niewielkiej odległości od słynnej pary. Wyraźnie było słychać, jak widzowie wypowiadali słowa „senator Stansfield” i „jego żona”. Bobby widział już w myślach nagłówki w gazetach. „Senator

kłóci się publicznie z żoną". „Oskarżony o niewierność. Żona twierdzi, że senator jest zboczeńcem. Nowożeńcy uchylają rąbka tajemnicy". Podobnie jak wówczas, gdy senator Ted Kennedy pozostawił poderwaną na weekend dziewczynę na lotnisku West Palm International, a sam ze swoim doradcą zajął jedyne dwa wolne miejsca w samolocie do Nowego Jorku. Dziewczyna nie była zadowolona i wyraziła swój pogląd publicznie. Następnego dnia środkowa Ameryka aż trzęsła się od informacji na ten temat.

Wyglądało na to, że się pomylił w kalkulacji. Jo-Anne była nierówna. Jeśli potrafiła się w ten sposób zachowywać, to co, u licha, mogłaby zrobić w czasie kampanii, kiedy prasa była doskonale poinformowana o wszystkim, nawet o tym, jak często zmienia bieliznę? I co z jej przeszłością? Tak go omamiły pieniądze Duke'ów, że zignorował pogłoski i odradził Bakerowi przeprowadzenie szczegółowego dochodzenia na temat wcześniejszego życia żony. A jednak i do niego dotarły plotki, które sugerowały, że coś było nie tak w jej życiorysie. Ostatnia uwaga Marjorie Donahue o „niezwykle bogatej przeszłości" nie mogła być bez znaczenia.

Bobby odrzucił myśli na ten temat. Najważniejsze, żeby zatuszować całą sprawę. Później pomyśli o przyszłości. Odizoluje Jo-Anne i będzie ją trzymał w ryzach. Może też zacząć prowadzić bardziej niezależne życie. Osiedli się w Waszyngtonie i zostawi Jo-Anne, żeby rozgrywała swoją grę na własną rękę.

— Jo-Anne, nie wiesz-sama, co mówisz. Wiem, że nie czujesz się dobrze. Uspokój się. — Mówiąc to, miał świadomość, że nie trafił na właściwy przycisk.

— Nie czujesz się dobrze! Nie czujesz się dobrze! — wrzasnęła Jo-Anne jak jakaś zwariowana papuga, szukając w myślach słów, którymi mogłaby zadać mężowi najboleśniejczy cios. — Jak można czuć się dobrze, nosząc w brzuchu twojego śmierdzącego bachora. Jeśli ten biedny mały bękart będzie podobny do ciebie albo twojego sprośnego starego ojca, zapewne spędzi całe życie w więzieniu jako zboczeniec seksualny.

Przed oczami Bobby'ego Stansfielda zaczęły latać czerwone płatki. Najbardziej na świecie marzył o tym, żeby ją uderzyć, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Miałoby to fatalne skutki polityczne, a poza wszystkim Jo-Anne prowokowała go właśnie, żeby to zrobił. W „Daily News" pojawiłaby się natychmiast informacja, że „senator znokautował żonę przed sklepem". Inne gazety ozdobiłyby to jeszcze inaczej, ale efekt byłby ten sam. Powstrzymał więc wściekłość, poprzysięgając w duchu, że wymaże Jo-Anne ze swego życia. Nie rozwiedzie się z nią,

ale jako partnerka była już historią. Przez całe życie marzył o prezydenturze. Dla tej idei poświęcił wszystko. Nic ani nikt nie może mu więcej stanąć na drodze. . .

Z gorzką determinacją odwrócił się od swojej wrzeszczącej zony i odszedł, przeciskając się przez tłum.

Nic był to łatwy poród. W czasie badania biodra Lisy zostały uznane za wspaniałe. Również pomiary czaszki płodu wykazywały, że dziecko powinno urodzić się bez najmniejszego problemu, ale wyszło zupełnie inaczej. Od pierwszej chwili Scott okazał się trudną indywidualnością. Zaczął od tego, że zdecydował się wyjść na świat pośladkami do przodu. A potem utkwiał jak korek w butelce.

Z walki, jaka się z tego wywiązała, Lisa wyszła zupełnie wycieńczona i leżała potem w izolatce szpitala Dobrego Samarytanina, wyglądając, jakby wyrwała się ze szponów śmierci. Cały pokój zastawiony był kwiatami, a i tak zmieściła się tylko część tych, które przysłano. Zapewne ogołocono wszystkie kwaciarnie w Palm Beach i niemal wszyscy pacjenci szpitala skorzystali z tego nadmiaru entuzjazmu, z jakim w dowód sympatii przysyłano Lisie bukiety.

Ona sama nie miała złudzeń co do tych kwiatów. Wiedziała, że prawdziwym powodem popularności była siedząca w kącie pokoju Marjorie Donahue wyglądająca nieco jak święta krowa w ogrodzie Adama i Ewy. Każdy, kto cokolwiek znaczył, wiedział, że Lisa Starr to protegowana i przyjaciółka Marjorie du Pont Donahue. Niektórzy nazywali ją nawet „następczynią tronu”. Zignorowanie narodzin jej nieślubnego dziecka okazałoby się krótkowzrocznością, za którą można było zapłacić upadkiem z drabiny towarzyskiej. Niewielu się na to zdecydowało. Marjorie Donahue zapisywała nazwiska wszystkich, którzy przysłali kwiaty. Bardzo to Lisę bawiło. — Może ci się to wydawać mało istotne, Liso — stwierdziła Marjorie. — Ale jeśli wcześniej spostrzeżesz brak respektu, to łatwiej ci będzie zdławić to zjawisko w zarodku.

Lisa roześmiała się, ale doskonale wiedziała, o co chodzi. W tym środowisku nigdy nie było dość ostrożności, jeśli chciało się coś osiągnąć. Należało nieustannie pilnować się i sprawdzać w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co się działo.

Spojrzała na dziecko, które trzymała w ramionach, i po raz tysięczny spróbowała przeanalizować swoje uczucia do niego. Było na swój sposób ładne: maleńkie, doskonale kształtne, bardzo delikatne i tak od niej uzależnione. To dość miłe. Ale nasuwały się jej tylko takie

slogany, a Lisa chciała dotrzeć głębiej. No dobrze, miała uczucie, że przyczyniła się do powstania czegoś wartościowego, ale przecież powinna czuć więcej... o wiele więcej. Może to jeszcze za wcześnie? Może jeszcze jest w szoku? Nie czuła się jednak zszokowana, tylko bardzo zmęczona, obolała i trochę jakby pusta. Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Odkrywcze! W rodzaju tego, co mówią w telewizji, w serialach: „Jak się czujesz, Mary-Lou? — Pusta, Craig. Tak rozpaczliwie pusta”.

Zdecydowała się pomyśleć o ojcu dziecka. To było lepsze. Pewniejszy grunt, bardziej zdecydowane uczucia. Drań, ze swoją żoną dziwką! Co za niewiarygodny, nieprawdopodobny, wręcz histeryczny zbieg okoliczności, że Jo-Anne znalazła się w pokoju w tym samym korytarzu, oczekując na poród. Dwójka potomków Bobby'ego Stansfielda ułożonych w sąsiednich łóżeczkach, i urodzonych w odstępnie dnia. To dosłownie makabryczny dowcip. Tak zabawny, aż chce się wyć. Jej będzie dla całego świata bękartem nieznanego ojca, a Jo-Anne urodzi absolutnie legalnie potomka Stansfieldów — bogatego, słynnego, karmionego srebrną łyżeczką. A mały Scott Starr nigdy nie będzie miał prawa używać nazwiska „Stansfield”; nazwiska, które tak wiele znaczy w świecie, gdzie będzie żył. I znowu Lisa uśmiechnęła się gorzko. Słyszała, jak pielęgniarki mówiły, że pokój Jo-Anne był zupełnie pusty. Nawet mąż nie pofatygował się jej odwiedzić. Bobby Stansfield! No dobra, mógł nie wiedzieć o Scotcie, ale z pewnością powinien zainteresować się własną żoną. Wychodzi na to, że choć doskonały do płodzenia dzieci, był absolutnym zerem, jeśli chodzi o wszystko inne. To nie znaczy, że Jo-Anne zasłużyła sobie na lepszy los. Dostała to, czego chciała, a teraz niech się cieszy. Wszystkie pieniądze świata, ale żadnych przyjaciół, którzy przysłaliby kwiaty. Poślubiona supergwiazdzie, ale pozbawiona miłości. Ma ciało anioła, ale brakuje jej duszy i serca. Dziwny ten świat, w którym Pan Bóg jedną ręką daje, a drugą odbiera.

— O czym tak myślisz? — spytała Marjorie.

Lisa westchnęła. — Och, sama już nie wiem, Marjorie. Myślałam o Bobbym i małym Scotcie, i o Jo-Anne, zupełnie samej w swoim pokoju w tym samym korytarzu. Pomieszanie z poplątaniem. Myślę, że jedyne dobre w tym wszystkim jest to, że maleństwo nigdy się nie dowie, co zaszło, nim przyszło na świat.

— Oczywiście, że się nie dowie — stwierdziła Marjorie zdecydowanym tonem. Przyjrzała się uważnie Lisie. Czy to właściwa chwila, żeby jej powiedzieć?

— Wiesz co, moja droga, potrzebny ci mąż. W dobrym towarzystwie każda kobieta z dzieckiem powinna mieć męża.

— Chyba żartujesz, Marjorie. Zaczniemy od tego, że kto chciałby wziąć mnie z przychówkiem? A po drugie, na samą myśl o miłości robi mi się niedobrze.

— Nie bądź głupia, Liso. Mówię o małżeństwie, a nie o miłości. Naiwnością jest mieszać te pojęcia. I jestem pewna, że bez trudu znajdziemy kogoś takiego, kto będzie szczęśliwy, mogąc cię mieć, z dzieckiem czy bez. Zresztą ktokolwiek by to był, może spokojnie udawać, że dziecko jest jego. Takie rzeczy już nieraz się zdarzały. Jakiś sympatyczny, stary dziad, odpowiednio bogaty, by było go stać na coś takiego.

Lisa zaśmiała się rozbawiona. — Dobra, Marjorie, powiedz, kogo masz na myśli. — Zaczęła ją autentycznie bawić ta gra.

— Myślałam już o tym trochę, moja droga. Właściwie, szczerze mówiąc, całkiem długo się zastanawiałam. I wychodzi na to, że mam tylko jednego kandydata: Vernon Blass.

Lisa poczuła się zawiedziona. — Vernon Blass? Ależ, Marjorie, on ma siedemdziesiąt jeden lat. Sam mi to powiedział. To znaczy, że w rzeczywistości ma zapewne osiemdziesiąt pięć.

Marjorie nie dała się zbić z tropu. Nie oczekiwała, że Lisa natychmiast podchwyci jej pomysł. Jak wszystko co dobre, i to będzie zapewne wymagało czasu i ostrożnego przekonywania.

— Nie można mieć wszystkiego, kochanie. Vernon jest od dawna mieszkańcem Palm Beach, członkiem Everglades Club, jak niegdyś jego ojciec, i ma zupełnie niezłą firmę wydawniczą. Nic niezwykłego, oczywiście, ale wypłacalną. No i jest jeszcze ten piękny dom na South Ocean. Przedsiębiorstwo plus dom są z pewnością warte ze dwadzieścia milionów. Jest wdowcem, bezdzietnym, o ile mi wiadomo, odziedziczysz więc wszystko. Zawsze powtarza, jak bardzo cię lubi. Tak więc wygląda to doskonale. Nie wolno ci stracić takiej szansy.

Mówiąc to, Marjorie czuła, że coraz bardziej rozpala się do owego pomysłu, im głębiej zastanawiała się nad tym, jak bardzo ten projektowany związek umocniłby pozycję Lisy. Byłaby panią Vernonową Blass, a jej mały syn zyskałby dobre nazwisko. To stałoby się podstawą, na której łatwo wznieść całą resztę. I jej, Marjorie Donahue, dałoby na starość to, o czym najbardziej marzyła — ewentualną dziedziczkę. Przygotowałyby Lisę do przejęcia władzy. A Marjorie mogłaby mieć pewność, że nawet po jej śmierci korona nie dostanie się w jakieś niepowołane ręce, na przykład Jo-Anne Stansfield. Dzięki temu oczekiwałyby śmierci, nie bojąc się, ze świadomością, że w rękach Lisy jej władza nie zostanie zmarnowana, bowiem Lisa potrafi umiejętnie

kontynuować jej dzieło i zapewnić w ten sposób Marjorie coś w rodzaju pośmiertnego pomnika. Lisa milczała. Wszystko to wydało się jej strasznie dziwne — była to najniezwyklejsza propozycja, jaką kiedykolwiek otrzymała. W myślach utkwiły jej jednak dwa słowa: Scott Blass. Podczas gdy mały Scott Starr krzyczał ze strachu przed światem w wypełnionym kwiatami pokoju Lisy, mała Christie Stansfield spała spokojnie w pustej izolatce Jo-Anne. Jej przyjście na świat było zupełnie inne niż jej przyrodniego brata; tak jak i ciąża jej matki, odbyło się bez najmniejszych komplikacji. W przeciwieństwie do małego Scotta, który urodził się w strasznych bólach, Christie przywitała rzeczywistość łagodnie i spała teraz z wyrazem błęgiego spokoju na buzi. Z jej spokojem kontrastowała jednak scena, która się rozgrywała nad główką dziecka. Jo-Anne była bowiem autentycznie rozgniewana.

— Słuchaj, Bobby, wiem, że nie żyjemy ze sobą dobrze; wszyscy o tym wiedzą. Zazwyczaj nie proszę o wiele, ale uważam, że kiedy zadaję sobie trud urodzenia ci dziecka, mógłbyś chociaż wpaść i zainteresować się tym faktem. Mówiąc szczerze, osobiście mi to wisi, ale należałoby chociaż zadbać o pozory. Pielęgniarki nie mogą się nadziwić. Bobby poczuł, że znowu opanowuje go złość. Boże, ta kobieta wie, jak go zirytować. Czemu ożenił się z nią, u diabła? Czemu w ogóle zadaje się z kobietami? Powodują tylko same kłopoty. Ciągłe mają do niego jakieś pretensje. Celibat ma zdecydowanie swoje dobre strony.

Jo-Anne zmieniła taktykę. — Myślę, że jesteś zły, iż nie dałam ci chłopca. Wam, Stansfieldom, zawsze na tym zależało, prawda? Żeby — jeśli w końcu uznasz, że ci się nie powiodło — był następcą, który przejmie twoje marzenia.

— Wiesz, że wcale tak nie myślę. — Ale, oczywiście, właśnie tak to odczuwał. Naturalnie chciał mieć syna i denerwujące było to, że urodziła córkę. To typowe, ale doprowadzające do wściekłości.

Spojrzał na swoją śpiącą córeczkę. Dziewczynka. Boże! Problemy z chłopakami i ciążami. Szkoły dla dziewcząt i lalki Barbie. Koniec marzeń o futbolu, rakiecie i Senacie.

Zapadła cisza, oboje zagłębili się bowiem we własnych myślach. Wreszcie Jo-Anne odezwała się pierwsza.

— Na dodatek, żeby jeszcze wszystko pogorszyć, wiesz, kto urodził syna o dwa czy trzy pokoje dalej?

Bobby nie był w nastroju do zabawy w zgaduj-zgadulę. Bez

zainteresowania pokręcił przecząco głową. Jo-Anne i te jej bezmyślne plotki z Palm Beach. Choć tym razem patrzyła na niego w dziwny sposób, jakby miała coś ważnego do powiedzenia.

— Lisa Starr.

— Lisa Starr?

— Właśnie. Lisa Starr.

— Och! — Z niezupełnie uświadomionego powodu Bobby był w stanie zareagować tylko tak. Powtórzył więc — Och!

Lisa. Lisa, która była z nim w ciąży. Lisa, która obiecała, że wyrzuci płód do rynsztoka. Okropne, jak mogła powiedzieć coś takiego. Okropna, straszna rzecz. Przez te wszystkie miesiące często myślał o tym i o Lisie. Syn. Czyj? Jego? Niemożliwe. Chociaż...

— Co o tym sądzisz? — Jo-Anne przyglądała mu się uważnie, dostrzegłszy, że się spieszył. Przez całą ciążę zupełnie nie pamiętała o swojej rywalce. Jeśli o nią chodziło, Lisa przestała istnieć na świecie. Ale w ciągu ostatnich kilku dni dowiedziała się, że Lisa była w ciąży tak jak i ona i wszystkie wątpliwości znowu wypłynęły na powierzchnię. Czy to możliwe, żeby Lisa urodziła dziecko Bobby'ego? Biorąc pod uwagę czas, było to całkiem możliwe. W zasadzie wcale nie musiało oznaczać klęski. Przecież to ona, Jo-Anne była legalną żoną, a jej córka — ślubnym dzieckiem Stansfieldów, ale mimo wszystko tę kwestię należało wyjaśnić do końca. Nie kochała męża, ale to wcale nie znaczy, że nie odczuwała zazdrości.

— Nie wiem, co o tym myśleć. To znaczy właściwie nic o tym nie myślę. Cieszę się ze względu na Lisę. Kto jest ojcem? — Starał się zadać to pytanie możliwie najbardziej naturalnym głosem. Jak: „Kto był wczoraj na przyjęciu? Czy Munnom podobało się w Lyford Cay?”

— Najwyraźniej nikt tego nie wie. A ty, Bobby?

— O co ci chodzi? — Bobby starał się, żeby w tym pytaniu zabrzmiała irytacja.

— Chodzi mi o to... czy to twoje dziecko, Bobby? O to mi właśnie chodzi. Czy to twój bękart? Przecież pieprzyłeś się z nią, nie? A najwyraźniej dowiedliśmy, że potrafisz coś spłodzić. — W głosie Jo-Anne brzmiał sarkazm, kiedy machnęła lekceważąco ręką w kierunku nowo narodzonej córki.

Bobby grał na czas. Tyle było możliwych reakcji. Jego dziecko? Cudownie! Nie, to klęska. Syn z nieprawego łoża. Syn! Klapa polityczna, jeśli tylko przedostanie się do prasy. Jakiś nędzny typ z West Palm, jego łapy na tym cudownym ciele. Słowa miłości szeptane do ucha Lisy. Jego Lisy. Tej, którą pod wpływem kaprysu odepchnął od siebie. Którą tak bardzo zranił.

Kiedy wreszcie się odezwał, mówił bardzo spokojnie.

— Nie, to nie jest moje dziecko, Jo-Anne. Mogłoby być, lecz nie jest. Lisa była w ciąży, ale usunęła. Nie chciałem tego, jednak tak właśnie postanowiła.

Wyraz ogromnego smutku na jego twarzy, kiedy to mówił, spowodował, że Jo-Anne uwierzyła. Zresztą chciała mu uwierzyć.

Nie umiała ukryć triumfu. — A zatem, kto jest ojcem? Jakiś parobek z dużymi jajami i bez grosza przy duszy, jak sądzę. Ha! Tak więc Lisa się dochrapała!

Twarz Bobby'ego wyglądała jak nieprzenikniona maska. — Muszę już iść, Jo-Anne. Jeśli chcesz, przyjdę wieczorem. Czy chciałabyś, żeby ci coś przynieść?

— Nic.

Bobby zamknął za sobą drzwi ze świadomością, że jest coś, co musi zrobić.

Lisa doszła już do siebie po porodzie i wyglądała doskonale. Miała z powrotem zarumienioną twarz, błyszczące włosy, jej skóra odzyskała zdrowy wygląd. W pokoju grało cicho radio —jak zwykle jej ulubiona muzyka country. Bobby stał przez chwilę, przyglądając się dziewczynie nie dostrzeżony—jej różowej nocnej koszulce, ogromnym ilościom kwiatów.

W końcu go spostrzegła.

Bobby nie wiedział, jak opisać wyraz jej twarzy. Z pewnością była zaskoczona. I speszona. Jednakże najważniejsze było samo spojrzenie, z którego wyraźnie można było odczytać, że jeszcze ciągle jego obecność nie była Lisie obojętna.

Wyłączyła radio i przyglądała mu się nadal.

— Liso... właśnie dowiedziałem się od Jo-Anne, że tu jesteś. Nie wiedziałem... że masz dziecko... nikt mi nie powiedział... — Bobby rozpaczliwie szukał słów. — Chciałem wiedzieć...

— Czy to twoje? — skończyła za niego obojętnym, pozbawionym wyrazu głosem.

Bobby rozłożył bezradnie ręce. Musiał otrzymać odpowiedź. Ale Lisa się nie odezwała.

— Czy mogę na niego popatrzeć?

— Tak.

Jednak w maleńkim łóżeczku z noworodkiem nie znalazł odpowiedzi.

Ponownie zwrócił się do Lisy. Musi mu powiedzieć.

— Liso?

Scott zaczął płakać.

Lisa spojrzała na niego. Kiedy odezwała się wreszcie, jej głos brzmiał lodowato.

— Nie martw się, Bobby. To nie twoje dziecko. Po tym, co zrobiłeś, nie mogłam urodzić twojego dziecka. Za nic! Wkrótce dowiesz się, kto jest jego ojcem. Kiedy się pobierzemy. Nie musisz więc się martwić. Nie splamiłam słynnych genów Stansfieldów. Pozbyłam się twojego dziecka, tak jak ci to obiecałam. A teraz wyświadczyć mi, proszę, tę grzeczność i wyjdź wreszcie z mojego pokoju!

Maggie — zawołała Lisa — na pomoc!

Maggie rzuciła się w kierunku łazienki. W ciągu ostatnich mniej więcej dwóch godzin było już kilka kryzysów, jeden poważniejszy od drugiego. Co mogło się wydarzyć tym razem? Złamany paznokieć? Tusz dostał się jej do oka? A może w pończosze poleciało oczko? .

— W porządku, Liso Starr, twój anioł stróż jest na miejscu. Możesz się już o nic nie martwić.

— Jasne, mogę. Ta cholerna lokówka zaplątała mi się we włosach. Rzeczywiście, plastikowa nakładka tak splątała się z włosami, że nie można było jej wyciągnąć.

— Masz rację, nielicho się wplątała — wysapała wreszcie Maggie po dwóch czy trzech minutach prób rozsoplania tego węzła. — Musimy zmoczyć włosy i zakręcić od nowa.

_ Ale ja już jestem spóźniona. Samochód czeka od wieków.

Maggie spojrzała na zegarek. To prawda, była już beznadziejnie spóźniona, w każdym razie z całą pewnością będzie, jeśli zaczną układać włosy od nowa.

Przyjaciółki popatrzyły na siebie, myśląc o tym samym.

_ Zrobisz to, czy mam sama? — zapytała ze śmiechem Lisa.

— Nie dam rady. Zawiodą mnie nerwy — odparła Maggie.

— Tchórz! No dobra, dawaj nożyczki.

Po chwili obie gapily się w lustro, starając się ocenić efekt. Lokówka wraz z zaplątanym w nią puklem włosów leżała na podłodze.

— Wygląda to trochę dziwnie — powiedziała niepewnym głosem Maggie.

— Trochę tak — zgodziła się Lisa.

— Może jakoś zakryjemy to kwiatami? — zaproponowała Maggie. Lisa była nastawiona optymistycznie.

— Nie martw się, Maggs. Welon zakryje, a potem to już nie będzie miało znaczenia.

Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd Marjorie Donahue rzuciła w szpitalnym pokoju swój pomysł. W miarę jak dzień po dniu Lisa zastanawiała się nad tym, coraz bardziej nabierała przekonania, że nie była to głupia myśl. Po pierwsze, ze względu na Scotta. I tak będzie miał wystarczająco trudne życie, a co dopiero, gdyby musiał nosić na sobie piętno bękarta bez grosza przy duszy. Poza tym Lisa myliła się, sądząc, że nikt nie zechce dać nazwiska jej synowi. Vernon Blass był zachwycony tym pomysłem od pierwszej chwili, kiedy tylko Marjorie mu go zasugerowała. Piękna Lisa Starr jego żoną? A czegożby więcej mógł oczekiwać siedemdziesięciodziesięcioletek? Chyba tylko malutkiego syna, którego mógłby pokazywać w Palm Beach, na dowód że jest jeszcze dość witalny w swej męskości.

— Dobrze się czujesz, Liso?

— Słucham? Ach, tak. Zamyśliłam się po prostu. Czy sądzisz, że pani McTaggart dotarła już ze Scottem do kościoła? Założę się, że ryczy tam na cały regulator.

— A czy nie powinnaś pomartwić się trochę o przyszłego męża, który niecierpliwi się tam z pewnością?

— Och, Vernon da sobie radę. Przymierzemy welon.

Robiły to już chyba dziesiąty raz. Tak samo jak poprzednio, Lisa wyglądała w nim urzekająco. Skończona piękność, pomyślała Maggie, która ma zostać oddana w ofierze człowiekowi tak staremu, że mógłby być jej dziadkiem. Nie po raz pierwszy, odkąd usłyszała o zaręczynach, poczuła obrzydzenie. Jeszcze nie było zbyt późno. Jej przyjaciółka ciągle jeszcze nie stała się panią Vernonową Blass.

— Liso, czy jesteś pewna, że to, co robisz, jest mądre? Wiesz, kłamka jeszcze nie zapadła.

Głos Lisy zabrzmiał niepewnie: — Dyskutowałyśmy już o tym tysiące razy, Maggie. Nie zaczynaj od nowa... właśnie teraz.

Naprawdę mówiły o tym już dość. Czasami aż do bladego świtu. Ale nie było lepszego wyjścia. To nie tylko dla Scotta; Lisa robiła to również dla siebie. Głównym motorem jej życia była chęć zemsty i tylko to mogło przynieść jej ulgę. Małżeństwo z Vernonem było krokiem w kierunku realizacji tych marzeń. Tylko to się liczyło.

Vernon Blass jest stary. Nie będzie żył wiecznie. Jeszcze dziesięć lat? Piętnaście? Jak by na to nie patrzeć, zostanie właścicielką wspaniałego domu na South Ocean Boulevard. W topografii miasta nie było

to daleko od West Palm i baru Roxy'ego, ale pod każdym względem miejsce to znajdowało się już na innej planecie. Choć niekoniecznie będzie potem wesołą wdówką, ale z całą pewnością stanie się bogata. Wydawnictwo Blassa miało całkiem dobrą markę, a zapewne któregoś dnia Lisa przejmie nad nim kontrolę.

— Nie, masz rację, Liso — Maggie uśmiechnęła się nieszczercze. — To wszystko dlatego, że nie mogę się pogodzić z myślą, że cię stracę. — Położyła rękę na ramieniu Lisy. — Wyglądasz cudownie. Niemal chciałabym cię zjeść. Lisa uśmiechnęła się do niej łzawo spod delikatnego welonu. — Nie stracisz mnie, Maggie. Będę cię teraz potrzebowała bardziej niż kiedykolwiek przedtem. To gniazdo żmij. Wielkie, piękne gniazdo żmij, a ty jesteś moją jedyną prawdziwą przyjaciółką.

— Lepszą niż Marjorie? — Maggie zawsze była trochę zazdrosna.

— Marjorie to Marjorie. To bardziej instytucja niż przyjaciółka. — Obie roześmiały się; to prawda, że właśnie tak się miały sprawy z Marjorie. Niezwykła osobowość, wspaniała i inspirująca, działająca za pomocą niezwykle sprawnej maszyny biurowej.

— Chodź, prowadź mnie do mojego przeznaczenia — Lisa wypowiedziała te słowa teatralnym tonem, a Maggie poprowadziła ją przez drzwi małego apartamentu w West Palm, który był przez tyle czasu mieszkaniem Lisy. Lisa nawet nie odwróciła się, by na nie popatrzeć. Szła przed siebie.

W drodze przez most Lisa niewiele mówiła, ale wcale nie czuła się pewnie. Jechała limuzyną do Palm Beach wziąć tam ślub, w kościele, gdzie całkiem niedawno udzielono ślubu Bobby'emu Stansfieldowi. Bobby, jej Bobby, przyrzekał wtedy miłość i wierność kobiecie, którą Lisa pogardzała i której nienawidziła z całej duszy. Jaka jej matka byłaby dumna... z Vernona Blassa? Lisa świadomie odsunęła myśli

o rodzinie. Sentymentalne uczucia nie miały sensu. Będzie musiała bardzo usilnie pracować nad sobą, żeby stwardnieć. Za późno już, by uchronić się przed zawodem, ale przynajmniej teraz już wie, jak naiwna

i głupia była wizja, którą nosiła w sercu jej matka. Palm Beach jest rajem, to prawda, ale jego mieszkańcy zupełnie nie przypominają aniołów. Wszystko, co w dzieciństwie słyszała od matki w czasie wspólnie spędzanych wieczorów na drewnianym ganku, to mity i bajeczki wysnute z marzeń. Teraz Lisa знаła już prawdę; ale czy fałszywa wizja, jaką roztaczała przed nią matka, nie była lepsza od własnego doświadczenia dziewczyny i wiedzy zrodzonej z gorzkiego bólu, po tym, jak okrutnie została potraktowana? Bobby Stansfield — który był jej ukochanym, a którego teraz tak bardzo nienawidzi — nadal na

swój sposób jest pepkiem jej świata. Przysięgła sobie, że go zniszczy. Jego i jego żonę. Przecież małżeństwo, jakie za chwilę ma zawrzeć, jest niczym innym tylko bronią potrzebną do tej walki.

Wysokie, królewskie palmy po obu stronach drogi wydawały się Maggie gwardią honorową, kiedy wjeżdżały do Palm Beach. A może właśnie okazały się wyprostowanymi, dobrze wyszkolonymi członkami plutonu egzekucyjnego. Wcale nie miała pewności, jak to w gruncie rzeczy było. Jakby dla dodania sobie odwagi, wsunęła dłoń w rękę Lisy i uściśniła ją mocno. Ale Lisa myślami znajdowała się daleko od niej, walcząc z bezimiennymi potworami, przewidując pułapki i zasadzki, jakie na nią czekały.

Wreszcie dojechały. Bethesda-by-the-Sea.

— Powodzenia, skarbie. Kocham cię — wyszeptła Maggie.

— Dzięki. Mam wrażenie, że będę bardzo go potrzebowała — odparła cicho Lisa.

Oczywiście oni wszyscy sądzą, że poślubiłaś mnie dla pieniędzy. Ale tylko my wiemy, że zrobiłaś to ze względu na moje ciało.

Po raz pierwszy w ciągu całego dnia Vernon Blass napomknął o seksie i Lisa roześmiała się nerwowo. Zza wypolerowanego dębowego stołu, którego długość oddzielała od siebie małżonków, mogła patrzeć na ocean za trawnikiem. Fale były spienione, białe. Najwyraźniej nasilał się wiatr.

Vernon Blass przyglądał się jej badawczo. Pierwsza noc nie będzie łatwa. Jaka ona właściwie była? Trudno powiedzieć. Trudno poznać uczucia innych ludzi. Skąd, u licha, można wiedzieć, jacy naprawdę są? Poza tym, skąd wykrzesać w sobie siły, żeby się przejmować? Bawił się stojącym przed nim kieliszkiem wina. Było doskonałe — Haut Brion z 1961 roku. Jakoś tutaj nigdy nie smakowało mu tak bardzo jak w Europie. Odległość? Wilgotność powietrza? Trudno powiedzieć. Vernon świadomie opóźniał moment, na który czekał. Dał Lisie i jej synowi nazwisko, a kiedy umrze — dostaną także jego majątek. Coś mu się należało w zamian. Takie jest życie. Może Lisa zdaje sobie z tego sprawę. Ale jeśli nie? Doświadczenie uczyło go, że ludzie gorąco pragnęli dostawać wszystko za darmo. Czyjego młodziutka żona też była taka?

Lisa uśmiechnęła się do niego. Z tymi swoimi milionami Vernon nie odda się tanio. Szczytem głupoty byłoby sądzić inaczej. Na szczęście nie żałowała sobie szampana w czasie przyjęcia, wypila też dużo dobrego, czerwonego wina do obiadu. Będzie to straszne, ale zapewne nie potrwa długo.

Mogą cię nazywać panią Blass, ale w głębi duszy jesteś taką samą dziwką jak wszystkie inne, myślał Vernon Blass, przygotowując się psychicznie do tego, co miało wkrótce nastąpić. Mogła nawet nie być taka zła, ale z pewnością wygodniej mu wyobrazić sobie, że to prostytutka. Poczul lekki dreszczyk. O, dobrze. Tak lepiej.

— Jeśli już skończyłaś, moja droga, myślę, że może pójdziemy dziś wcześniej spać, żeby uczcić nasze wesele... oczywiście, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Ból głowy? Migrena? Zbyt dużo wypić? Lisa nie mogła wydusić z siebie takiego banału. Całym moim ciałem należę do ciebie. W porządku, umowa to umowa. Zawarli coś w rodzaju zdroworozsądkowego porozumienia, ale było ono również obietnicą porozumienia ciał. Zmusiła się do myślenia o czymś innym. Stansfieldowie, przeliczający swoje pieniądze i snujący marzenia o chwale politycznej i towarzyskiej. Zaspokojenie zmysłów uprzejmego staruszka nie było wygórowaną ceną za ich zniszczenie.

— Czekam w moim pokoju, kiedy będziesz już gotowa—powiedział. Lisa obserwowała go, gdy odchodził.

Granatowa marynarka od

smokingu, tradycyjne spodnie, czarne welwetowe kaptcie ze złotymi łebkami leopardów na wierzchu. Wzorowy dżentelmen. Uprzejmy, hojny, starszy pan. Czemuż miałyby odmówić mu praw małżonka?

Spojrzała za okno na poruszane przez wiatr drzewa palmowe, na ich nieładnie powyginane, poskręcane teraz liście. Burzowe chmury zbierały się na niebie. Wkrótce rozpada się niemal codzienny wieczorny deszcz, chłodzący rozpaloną słońcem ziemię Florydy. Stłumiła nagły dreszcz i pociągnęła ze szklaneczki duży łyk brandy, krzywiąc się od jej mocnego smaku. Ile może mu dać czasu? Ile sobie? Czasem w sali gimnastycznej potrafiła osiągnąć taki stan, że obolałe ciało robiło wrażenie, jakby należało do kogoś innego, podczas gdy jej umysł znajdował się w stadium dziwnej transcendencji. Starła się i teraz uzyskać ten efekt. Wreszcie wstała i poszła w kierunku pokoju, który teraz miał być jej, czy raczej ich, sypialnią. Starła się wyobrazić sobie, co ją czeka za drzwiami. Biedny Vernon. Leżał już zapewne w łóżku, otulony czystą pościelą, i nerwowo oczekiwał jej przyjścia. Rola „sprośnego staruszka”, jaką odgrywał przy ludziach, z całą pewnością była tylko na pokaz. Zapewne odczuwał niepokój na myśl o niej — tak młodej przecież. Powinna go uspokoić i dodać mu odwagi, sprawić, aby otrzymał jakąś możliwą do osiągnięcia nagrodę za to, co jej ofiarował. Zgasi światło i z całych sił postara się wypełnić swoje zobowiązanie, wynikające z umowy.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Vernona Blassa nie było w łóżku. Znajdował się tam ktoś inny. Dziewczyna, bardzo ładna dziewczyna; bez makijażu, z jasnymi włosami, o pełnych, miękkich rysach. I strasznie młoda — zapewne nastolatka. Siedziała na łóżku, spokojna, odkryta do pasa i przyglądała się ciekawie Lisie. Jedną ręką odgarnęła włosy z twarzy, drugą sugestywnym gestem uniosła do ust i zaczęła ssać palec wskazujący.

Vernon Blass stał przy łóżku i ani trochę nie wyglądał na zdenerwowanego. Wręcz odwrotnie — robił zdumiewające wrażenie: w piżamie, z mocno umalowanymi oczami i uszmkowanymi ustami. W uszach miał ogromne, tanie kolczyki. A w ręce trzymał pejcz.

Lisa stała przy drzwiach jak skamieniała. Otworzyła usta żeby coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów.

— Witam w noc poślubną, pani Blass — odezwała się wreszcie dziewczyna. Jej głos był na wpół dziecięcy, a na wpół prowokujący. Zabrzmiało to mniej więcej jak przywitanie w recepcji hotelu: „Witamy w Hawan Hilton. Mamy nadzieję, że spędzi tu pani czas przyjemnie”

Lisa wydusiła wreszcie z siebie głos. Nie powiedziała wprawdzie tego, co przeszło jej przez myśl, ale były to jedyne słowa, które mogła wypowiedzieć spokojnym tonem.

— Co ty tu robisz? — Pytanie skierowane było właściwie do dziewczyny, ale Lisa patrzyła na Vernona.

Nastolatka przechyliła na bok głowę i popatrzyła zagadkowo najpierw na Lisę, potem na Blassa. Jej wzrok zdawał się mówić, że tak to właśnie jest z tymi starymi dziwakami. Nigdy nie wiadomo[^] co im wpadnie do głowy.

— Czy Vernon ci nie powiedział? — zwróciła się do Lisy. — To zdumiewające!

Vernon roześmiał się paskudnym, skrzeczącym śmiechem. Najwyraźniej dziewczyna postanowiła wyjaśnić całą tę dość nieprzyjemną sytuację.

— Cóż, proszę pani. Wygląda to tak, że Vernon lubi patrzeć. Ma wtedy prawdziwą przyjemność. To znaczy... no, pani i ja, a on będzie patrzył. Będzie naprawdę dobrze, proszę mi wierzyć. — Spojrzała zachęcająco na Lisę i spostrzegła jej wzrok wbity w Vernona. — A batem proszę się nie przejmować. To tylko tak, na pokaz — dodała po namyśle. Po czym zachęcającym gestem odrzuciła przykrycie.

Lisa spojrzała przelotnie na jej nagie ciało i z rozpaczą ponownie zwróciła się do męża, szukając w jego twarzy śladu porozumienia znaku, że to tylko głupi, obrzydliwy żart, jakaś kretyńska scena z amatorskiego teatru.

Ale w oczach Vernona nie dostrzegła niczego takiego. On na-

prawdę chciał, żeby to zrobiła. Chciał, żeby kochała się z tą nastolatką, a on będzie je obserwował i być może od czasu do czasu smagał batem.

Lisa odwróciła się i wyszła z pokoju. Najpierw szła szybkim krokiem, po czym zaczęła biec. Usłyszała za sobą jedynie gromki śmiech swojego męża.

7Va dworze lało jak z cebra. Deszcz i lzy w noc poślubną. Chryste! Lisa uruchomiła silnik swojego mustanga i usiłowała wypatrzeć drogę. Czuła nieodpartą ochotę wydostania się z tego obrzydliwego domu od zepsutego starca, którego poślubiła. Jak mogła zrobić tak potworny błąd? Czemu, u diabła, nikt jej nie uprzedził? Przecież mieszkańcy Palm Beach powinni byli wiedzieć i wiedzieli o sobie niemal wszystko. Burzyły się w niej gniew i złość i czuła się upokorzona, rozgoryczona. Rzuci wreszcie to wszystko. Jej małżeństwo zostanie zapisane w Księdze rekordów Guinnessa — rozpadnie się po sześciu godzinach od chwili zawarcia. Boże, ten obrzydliwy, stary zboczeniec, ze swym sprośnym uśmiechem na ustach, gdy patrzył na jej przerażenie. A ona przyrzekła mu posłuszeństwo i wierność aż do śmierci — człowiekowi, którego uznano za ojca jej dziecka.

Po lewej stronie Lisa dostrzegła wielką falę uderzającą w mur oddzielający morze od South Ocean Boulevard. Pomyślała o Marjorie. Tak, Marjorie, wyciągnięta na swojej miękkiej sofie, stara, mądra Marjorie będzie wiedziała, co Lisa ma zrobić. I na pewno będzie mogła spędzić u niej noc, a rano jej prawnicy zajmą się rozwiązaniem tego małżeństwa.

Wjechała w bramę prowadzącą do posiadłości Donahue. Podjazd był rzęsiście oświetlony, kręciło się tu sporo ludzi. Lisa usłyszała zbliżającą się syrenę, zobaczyła, jak podjeżdża karetka pogotowia i wyskakują z niej sanitariusze z noszami. Wybiegła z samochodu i jak szalona wpadła do domu.

— Co się stało? — krzyknęła, łapiąc za rękę przebiegającą obok pokojówkę.

— Och, panno Starr, nasza pani! Ona chyba umiera! To się stało tak nagle, w czasie obiadu.

Lisa poczuła przeszywające ją zimne dreszcze. Marjorie nie mogła umrzeć. Nie mogła, to absolutnie wykluczone. Przecież była ponad takie przyziemne rzeczy jak śmierć!

Wbiegła na schodki, modląc się, aby to, co usłyszała, było nieprawdą. Dobry Boże, nie pozwól jej umrzeć!

Marjorie Donahue leżała na łóżku blada, ciężko oddychając przez sine, wyschnięte usta. Kręcili się przy niej sanitariusze.

— Wygląda na wylew. Jim, podłącz kroplówkę z plazmą. Jest w szoku. Daj do tego hydrocortizon. Sto dwadzieścia pięć miligramów na razie.

Lisa stała bezradnie, przyglądając się, jak sanitariusze podłączają kroplówkę i niespokojnie wysłuchują przez stetoskop rytmu serca.

Po jakimś czasie jeden z nich pochylił się i zaświecił oftalmoskopem w oczy Marjorie.

— Jest szansa — powiedział półgłosem. — Żrenice reagują. Ale najwyraźniej ma wylew. Musimy ją jak najszybciej przewieźć na oddział intensywnej opieki.

— Czy mogę także pojechać? Jestem jej wnuczką — skłamała Lisa. L-zała panikę. Za wszelką cenę chciała być blisko Marjorie.

W drodze do szpitala Dobrego Samarytanina Lisa w duchu przeklinała snobizm, który powodował, że w Palm Beach nie było żadnej kliniki. Miasto szczyciło się tym faktem, ale w sytuacjach, kiedy sekundy decydowały o życiu, wydawało się to fałszywą, bezsensowną dumą.

W mrocznym półcieniu sanitarki świeciły niebieskie linie na podłączonym elektrokardiografie. Nawet Lisa widziała, jak nieregularnie pracowało serce Marjorie.

Wpatrzona w ekran, dopiero po chwili usłyszała słaby, urywany głos.

— Czy to ty, Liso? Czemu nie jesteś w domu? Czułam, jakby ktoś mnie uderzył w głowę. Gdzie mnie wiozą?

— Och, Marjorie — Lisa objęła jej głowę, delikatnie tuląc staruszkę do siebie. — Nie mów nic. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz — Miałam wylew, prawda? Nie czuję prawej strony.' — Głos Marjorie zabrzmiał nieco pewniej.

— Zapewne mały wylew. Ale nie martw się, będzie dobrze.

— Bzdura, kochanie... Mnie trafiają się tylko duże rzeczy.

W ciszy, jaka nastąpiła, słychać było ciężki oddech Marjorie. Lisa spojrzała pytająco na sanitariusza. Kiwnął głową, jakby chciał jej powiedzieć, żeby rozmawiała, póki to jeszcze możliwe. To tylko przerwa, potem zapewne znowu straci przytomność.

Lisa odgarnęła siwe włosy z twarzy staruszki. „Nie umieraj Marjorie” — modliła się w duchu.

— Tak się cieszę, że jesteś ze mną, Liso. — Głos Marjorie był trochę mocniejszy, ale słowa niewyraźne i bełkotliwe.

— Chce ci coś powiedzieć... Przysuń się bliżej.

Lisa pochyliła się jeszcze bliżej, odgarniając włosy, by nie upadły na twarz chorej. ^{F y}

— Kocham cię... tak jak kochałabym córkę... Na początku chciałam się tobą posłużyć. Ale te ostatnie miesiące były cudowne. Nauczyłaś mnie znowu się śmiać. I... marzyć.

Głos Marjorie załamał się nagle.

— Tak się cieszę, że przyszłam do ciebie — szepnęła Lisa.

— Przyszłaś się ze mną zobaczyć? Nie dzwoniли po ciebie?

Lisa ze złością pomyślała, że powinna była ugryźć się w język, zanim to powiedziała. Boże, ta sprytna, stara lisica podchwyciła jej słowa, a przecież Lisa mówiła raczej do swoich myśli. Na wpół sparaliżowana, a ciągle jeszcze tak niewiarygodnie bystra.

— Przejeżdżałam tędy. — W czasie burzy, o dziesiątej wieczorem, w noc poślubną. Wspaniale kłamiesz, pogratulowała sobie w myślach Lisa.

Marjorie spojrzała na nią badawczo. Zawsze potrafiła czytać w twarzach jak w otwartej książce.

Przez okna karetki Lisa zobaczyła, że przejeżdżają przez most Royal Palm Beach i zbliżają się do skrzyżowania w Flagler Drive. Za jakieś pięć minut będą w szpitalu.

— Co się stało z Vernonem? Czemu przyszłaś, Liso?

— Pokłóciliśmy się trochę. Nic ważnego, nie mówmy o tym teraz. — Lisa wiedziała, że nie ma sensu dalej kłamać, ale nie chciała męczyć Marjorie. Jednakże koścista ręka chorej uchwyciła jej ramię i zmusiła do spojrzenia w oczy staruszce.

— Powiedz... co się stało. Powiedziała jej całą prawdę.

— Och... rozumiem...

— To nic — Lisa próbowała zbagatelizować problem — po prostu wezmę rozwód.

— Nie! — Marjorie niemal krzyknęła, starając się unieść. Zaciśnęła mocniej palce na ramieniu Lisy. — Nie rozwód... Obiecuj, że... nie rozwód.

Lisa bezradnie kiwnęła potakująco głową. Miała świadomość, że zdenerwowała Marjorie, a przecież była to ostatnia z rzeczy, których chciała. Marjorie z całych sił starała się mówić.

— Za szybko... to — machnęła słabo ręką, wskazując na karetkę — dla ciebie. Nie będę mogła... cię już chronić w tym mieście. Oni... cię zniszczą.

— O czym ty mówisz? — Lisa nie była w stanie tego słuchać. — Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Ty nie odejdziesz.

Ale Marjorie nie słuchała jej słów. — Zawrzyj z... Blassem umowę...

Odejdź... ale nie bierz... rozwodu... Wyjedź... Londyn, Nowy Jork Beze mnie... oni są za silni... Jo-Anne... zemsta... później... później

Lisa uświadomiła sobie, że Marjorie umiera. Przytuliła jej głowę do piersi, zalewając się łzami.

— Nie opuszczaj mnie, Marjorie. Proszę, nie zostawiaj mnie samej — szeptała z rozpaczą.

Ale Marjorie już nie słyszała. Siły ją opuściły. Poczowała, że ból głowy nasilił się, po czym jej myśli ogarnęła dziwna senność. Jakby o świcie znalazła się na osnutych mgłą szczytach gór Blue Rodge. To nawet było dość przyjemne.

Mgła otulała ją, łagodząc uczucie bólu. Miała wrażenie, że unosi się, płynie w powietrzu. Na fali przyływu? A może wsparta na ramieniu starego Dona Donahue na rufie „Bonaventury” przy świetle księżyca, u wybrzeży Grenadynów!

Jaka to ulga nareszcie poczuć się bezpiecznie w domu.

Lisa rozpoznała uporczywy, ciągły pisk EKG. Niebieska linia na ekranie była zupełnie gładka.

Lisa siedząca na miejscu dla pasażera w zdezelowanym buicku czuła się jak kłębuszek sprzecznych emocji. Nie miała ochoty rozmawiać, siedziała zatopiona w myślach. Stary samochód z mozołem, jak żółw, włókł się drogą wzdłuż wybrzeża w kierunku mostu przy Southern Boulevard. Ograniczenie prędkości na tym odcinku wynosiło czterdzieści kilometrów na godzinę, ale jechały dużo wolniej, droga była bowiem jak zwykle zatłoczona samochodami turystów, z zaciekawieniem oglądających domy, starających się dostrzec jak najwięcej szczegółów, wyobrażających sobie życie, na jakie ich nigdy nie będzie stać. Niegdyś Lisa zaliczała się do nich również, a czym była teraz? Czy znowu groziło jej to, że stanie się tylko turystką, zaglądającą przez dziurkę od klucza. Z pewnością wygnano by ją z miasta, tak jak niegdyś ludzi wyjętych spod prawa. Teraz przynajmniej opuszczała Palm Beach, póki mogła to zrobić tak, żeby wyjazd wyglądał na dobrowolny. Jednak pomimo taktycznego odwrotu nie czuła się kimś obcym. Poznała tu smak dobra i zła i była przyjaciółką Marjorie du Pont Donahue. Po tych doświadczeniach nie miała już drogi odwrotu.

Ukradkiem otarła łzę. Palm Beach. Było takie potężne. Nie idealizowała go już, ale nadal miało monumentalną siłę. Stało się jej ambicją i marzeniem, choć zwróciło się przeciw niej i potraktowało w okrutny sposób, a teraz — zmuszało do wyjazdu. Mimo to Lisa nadal je kochała. Podziwiała jego kapryśną siłę. Poza wszystkim, było takie tajemnicze i takie trudne do zdobycia. Nie podporządkowywało się przewidywaniom i odmawiało łatwego przyznawania swoich nagród. Tak wiele nauczyła się w tej krwawej potyczce, którą przegrała. Jednak wojna daleka była od zakończenia i Lisa ciągle jeszcze miała wiele woli walki.

— To dom Johna Lennona — szeptali do siebie turyści w samochodzie przed nimi. To wszystko, co o nim wiedzieli, kiedy pogwizdywali z uznaniem, szeptali i fantazjowali na temat mitycznego gwiazdora, który zwykł był spacerować po pokoju na pierwszym piętrze. Lisa jednak należała do tego elitarnego klubu i mogłaby podać im wiele pikantnych szczegółów z życia Lennona. Na przykład, że Yoko Ono kupiła miznerowski dom nad morzem za osiemset tysięcy dolarów, a wystawiła go na sprzedaż za okragłutką sumę ośmiu milionów. Albo to, że w ciągu tych kilku krótkich miesięcy, gdy tu mieszkał, John Lennon miał romans ze swoją sekretarką i że pogodzeniu się z Yoko Ono zawdzięczał świat tę niezwykle piękną piosenkę Woman. A także i to, że choć ów dom miał dwa baseny, zbudowany został na mieszkanie dla służby zatrudnionej w sąsiedniej posiadłości.

Lisa westchnęła. Tam, dokąd jechała, Palm Beach nie będzie znane. Zapewne ludzie słyszeli o tym mieście, ale na pewno nie znali kilometrów opustoszałych plaż na North End ani nie spacerowali brzegiem po miękkim piasku, wyszukując egzotyczne muszle, obserwując przemykające kraby, patrząc na ciągle zmieniające się morze i niebo; zupełnie sami, tylko w towarzystwie przelatujących nad głową pelikanów. Nigdy nie przejeżdżali trasą rowerową, wdychając zapachy kwitnących drzew i krzewów, przyglądając się narciarzom wodnym pędzącym po jeziorze i jachtom dryfującym w kierunku morza. Będzie im obcy zdumiewający ład ujarzmionej dżungli, czystość ulic i domów, a także bezpieczeństwo w mieście, w którym zamknięcie drzwi na klucz uważane jest za przesadę. Ale przede wszystkim ludzie, z którymi się zetknie, nie będą nic wiedzieli o podziemnych prądach, które przepływały i krążyły pod tym ziemskim rajem, powodując, iż Palm Beach wydawało się tak podniecające i niebezpieczne, że młodzi stawali się starzy, a takie miejsca jak Beverly Hills czy Palm Springs, gdzie jedyny bilet wstępu stanowiły pieniądze lub sukces, były temu miastu wrogie.

Kiedy zbliżały się do mostu, Maggie przerwała ciszę.

— Zastanawiam się, co zrobię z Mar-a-Lago, zanim tu wrócisz — powiedziała zwracając się w stronę Lisy, by na nią spojrzeć. Pod pewnym względem Lisa wydawała się jej tak piękna jak jeszcze nigdy. Była wyraźnie załamana, ale spokojna. Delikatne rysy naznaczył ból, zmienił je szok emocjonalny, który przeszła. W ciągu zaledwie jednego krótkiego tygodnia jej świat rozpadł się trzy razy. Ile jeszcze była w stanie znieść? Maggie starała się zrozumieć ów ból, ale — ponieważ nigdy nie podzielała tęsknoty przyjaciółki — nie była w stanie. Głęboko współczuła Lisie, ale nie umiała zrozumieć jej uczuć. Wiedziała jedynie, że z jakiegoś w zasadzie niewytłumaczalnego powodu Lisa wyjeżdżała

i nie interesowała się już tym, co kiedyś dla nich obu tak wiele znaczyło, czyli studiem gimnastycznym. Poprzedniego dnia przepisała akt własności studia na Maggie, za nominalną sumę. Powinno to być dla Maggie oznaką nowych, wspaniałych dni, ale całą radość przyćmił smutek wywołany czekającym je rozstaniem. Lisa próbowała odpowiedzieć na zachęty Maggie, starającej się nakłonić ją do rozmowy na obojętne tematy. — Żeby zdobyć piętnaście milionów, będą musieli sprzedać wiele domów przy podziale. Biedna stara pani Post przewraca się chyba w grobie. . .

Pani Merriweather Post. Na długo przed Marjorie Donahue to ona nosiła koronę. Po lewej stronie drogi pojawiły się rozległe płaskie tereny oddzielone wysoką ścianą Bath and Tennis Club i myśli Lisy powróciły do dnia, kiedy została wezwana na audiencję, który wywarła tak ogromny wpływ na jej dalsze życie. Bez tego spotkania jej syn nie miałby dziś nazwiska, a ona — żadnej przyszłości przed sobą. Jaki ten świat jest dziwny.

Marjorie Donahue ofiarowała Lisie swoją przyjaźń, ale teraz śmierć ją zabrała. Zostawiła jej jednak spadek najwartościowszy ze wszystkich — swoją radę — i Lisa zgodnie z nią postąpiła. Nie rozwiedzie się z Blassem. Zamiast tego odejdzie od niego i przez wszystkie dni i noce będzie się modliła do Boga, żeby go szybko zabrał. Dobrowolnie opuszcza Palm Beach, ale wędrując po świecie, postara się wykorzystać ten czas jak najlepiej i jak najmądrzej, planując swój triumfalny powrót. Myśl o tym będzie ją wspierała, kiedy wejdzie w dżunglę, starając się poznać tajemnice firmy wydawniczej, którą pewnego dnia odziedziczy. I nieważne, ile jej to pochłonie czasu, pozna wreszcie słabe i mocne strony tego interesu. Będzie węszyć, zaglądać do wszystkich najgłębszych tajników wydawnictwa. A kiedy przyjdzie czas, przejmie władzę i dostosuje ją do własnych celów. W tej chwili Wydawnictwo Blass było dla niej niemal czarną magią, ale wkrótce stanie się otwartą książką.

Vernon Blass był zdziwiony, kiedy stawiała mu czoło — chłodno i nie okazując żadnych emocji. Nie próbowała potępiać jego postępowania ani gwałtownym wybuchem wściekłości, ani zachowaniem, które wskazywałoby, że bardziej jej przykro, niż jest zła. Wyłożyła mu wszystko tonem zupełnie rzeczowym.

— Nie będę tu mieszkać, Vernonie — powiedziała, zmuszając się, by spojrzeć w jego świdrujące oczy, i czując jednocześnie, jak ogarniają ją mdłości na widok męża. — Myślę, że dla nas obojga będzie najlepiej, jeśli na jakiś czas wyjadę z Palm Beach. Chcę się dowiedzieć, jak pracuje

firma wydawnicza. Myślę, że mógłbyś mi coś zorganizować w twoich biurach w Nowym Jorku i Londynie. Naturalnie, sama zapłacę za swoje podróże z tego, co zarobię. Nie będę się domagała wysokich dochodów. Jestem przyzwyczajona żyć skromnie.

Przez sekundę ujrzała mieszane uczucia na jego znienawidzonej twarzy. Widać było, że chciał ją tu zatrzymać, żeby planować nowe upokorzenia i złośliwości. Jednocześnie wiedział, że źle ją ocenił. Dziewczyna z biednej rodziny, ale nie z tych, które posłusznie wykonywałyby jego polecenia. Pomylił się, ona miała charakter. Nie podporządkuje się i, co więcej, może narobić mu kłopotów. Nie, lepiej stracić możliwie jak najmniej. Upchnięcie jej gdzieś w roli urzędniczki niskiego szczebla w jakimś odległym biurze wydawało się całkiem dobrym wyjściem. Można by nadal udawać, że z małżeństwem wszystko w porządku, a to nawet zrobiłoby na ludziach dobre wrażenie, że jego młoda żona jest tak poważną i ciężko pracującą kobietą. Mówiłby: „Nie chce brać ode mnie żadnych pieniędzy. Upiera się, żeby mieszkać jak jakaś studentka w wynajętym pokoju, opłacanym z własnej pensji. Nie jestem tym zachwycony, ale jednocześnie podziwiam tę dziewczynę”. To da się obronić na przyjęciach w Palm Beach.

Po tej dyskusji zgodził się więc napisać list wprowadzający do urzędnika, który prowadził jego firmę w Nowym Jorku.

Był jeszcze tylko problem syna — chłopca, o którym wszyscy myśleli, że jest jego; małego Scotta Blassa, mającego niecałe dwa miesiące.

Vernon chciał go zatrzymać — jako symbol określonego statusu i żywy dowód jego męskich sił. Czy Lisa myśli o wożeniu malca ze sobą po świecie, gdy będzie realizowała swoje niejasne cele?

— Myślę, że pod wieloma względami Scottowi byłoby lepiej tu, ze mną — powiedział.

Jeszcze kilka tygodni temu Lisa łatwiej zostawiłaby Scotta u bram piekła niż w rękach takiego człowieka jak Vernon. Ale przez ten krótki czas bardzo się zmieniła. Dziecko jeszcze nikogo nie znało i nikogo nie kochało. Pozostawało wyłącznie kłębuszkiem fizycznych potrzeb. W Nowym Jorku i w Europie byłoby jej z nim ciężko. Stałby się kulą u nogi. Niania Scotta okazała się skarbem — nieustępliwa, ale dla dziecka dobra — i można było na niej polegać.

Nawet Vernon bał się jej ostrego języka. Chłopcu nic więc nie groziło i miał zapewniony dobrobyt.

To prawda, że matki nie powinny opuszczać swoich malutkich dzieci. Ale przecież wydarzyło się tyle rzeczy, które nie powinny były się zdarzyć. Marjorie „nie powinna była” dostać wylewu, Vernon „nie

powinien był" zaprosić dziwki na swoją noc poślubną. Jo-Anne „nie powinna była" powiedzieć mężczyźnie, którego Lisa kochała, że Lisa jest lesbijką. Zimny dreszcz przeleciał przez nią, kiedy podejmowała tę decyzję.

— Scott może zostać — powiedziała w końcu, czując się okropnie — Ale, Vernonie, wszystko to stanie się pod jednym warunkiem. Oboje wiemy, że wychodzisz z tego tanim kosztem. Rozwód kosztowałby cię nie tylko o wiele więcej, ale także zniszczyłby twoją reputację. Jeśli teraz odejść — nie biorąc ze sobą niczego, chcę w zamian mieć twoje przyrzeczenie, że odziedziczę po tobie wszystko.

Słowo Vernona. To niemal tak wiarygodne jak jego morale. Ale musiała zaryzykować, choć wiedziała, że testamenty zawsze można zmienić.

Przez jakiś czas Blass przyglądał się jej uważnie. Kiedy odezwał się w końcu, jego spojrzenie było dziwne.

— Słyszałem, co powiedziałaś, Liso. Masz moje słowo.

No i wyruszyła w świat, zabierając ze sobą jedynie list, obietnicę i swoje modlitwy.

Na Southern Boulevard Lisa poczuła, jak pęka tama i wypełnia ją poczucie samotności. Na dodatek, jakby symbolicznie, ciemna chmura zasłoniła słońce, rzucając długi cień na drogę prowadzącą na lotnisko.

Kiedy zwróciła się w stronę Maggie, twarz miała zalaną łzami.

— Och, Maggs, tak bardzo będę za tobą tęskniła. Czuję się tak, jakbym wchodziła w głęboką ciemność.

Nowy Jork

*Steven Cutting od pierwszego rzutu oka wydał się Lisie homoseksualistą i nic z tego, co mówił ani co o nim później słyszała, nie uzasadniało zmiany tej opinii. Siedział za biurkiem, zbyt dużym, ustawionym przed wielkim oknem wychodzącym na Madison Avenue. Kiedy weszła do pokoju, wstał i śliniąc się wyseplecił powitanie.

— No cóż, pani Blass, to prawdziwa przyjemność wreszcie panią spotkać. Żałuję, że nie mogę powiedzieć, iż Vernon opowiadał mi o pani, ale rozumiem, że była to miłość od pierwszego spojrzenia i że Vernon po prostu zwał ją panią z nóg.

Roześmiał się przy tym, łącząc złośliwy chichot z lekceważącym prychnięciem. Jego sugestia była oczywista.

Poderwała biednego Vernona, wykorzystała człowieka na tyle starego, że mógłby być jej dziadkiem. Użyła swojego bardzo pociągającego ciała do brudnego celu.

Lisa przyjrzała mu się: błyszczące, siwe włosy, smukła, ale wygimnastykowana sylwetka, okulary w rogowej oprawie oraz standardowe ubranie mężczyzny w średnim wieku. Osobowość równie zapięta pod szyję jak jego popelinowa biała koszula, na której gdzieś na pewno jest monogram SC. Raczej pochodził z prowincjonalnej Północy, niż był nowojorczykiem; wakacje spędzał zapewne w Newport, a nie w Hamptons, a jeśli na coś cierpiał, to bardziej na hemoroidy niż na żylaki.

Nie przypominała sobie, żeby ktokolwiek wzbudził w niej od pierwszego wejrzenia tyle niechęci co on. Ale wiedziała, że nie wolno jej tego okazywać. Ten mężczyzna miał dla niej przecież ogromne znaczenie. Był pilotem sterującym przedsiębiorstwem Blassa, a choć to Vernon sprawował kontrolę, praktycznie nie dałby sobie rady bez Cuttinga. Okazanie mu niechęci mogłoby spowodować, że odmówiłby współpracy i odszedł, a Vernon absolutnie nie życzył sobie osobiście odpowiadać za firmę.

— Vernon nie wspominał w swoim telegramie o jednym: co jest faktycznym powodem pani wizyty. — Złączył palce obu dłoni i uśmiechnął się do Lisy protekcjonalnie zza pustego biurka pokrytego czerwoną skórą.

— Interesuje mnie działalność wydawnicza — odparła Lisa. — Pomyślałam więc, że mogłabym skorzystać z tego, że mąż jest właścicielem firmy i wziąć u pana lekcje. Rozumiem, że jest pan człowiekiem, który się na tej działalności zna najlepiej. — Ten komplement był jednak mało przekonujący, poza tym nie udało się jej wykrzesać z siebie tyle entuzjazmu, ile chciała. Wpatrywała się w Cuttinga, siedząc z twarzą bez wyrazu jak maska.

— No, cóż. Co mógłbym powiedzieć pani o Wydawnictwie Blass, co mogłoby panią zainteresować? — Lisa skrzyżowała nogi i poprawiła się na skórzanym krześle, nieudolnie naśladowującym chippendale. Zazwyczaj powodowało to u mężczyzn pewne zakłopotanie. Ale Steven Cutting był najwyraźniej zupełnie obojętny na zachowanie tego typu. Nawet nie zamrugał powiekami i przeszedł do tematu.

— „Blass” to cudowne, małe wydawnictwo. Na przełomie wieku założył je w Anglii dziadek Vernona, a jego ojciec przeniósł się do Ameryki. Obecnie, oczywiście, biuro nowojorskie jest tym ogonem, który macha całym psem. Biuro londyńskie jest w gruncie rzeczy tylko filią, a paryskie odgrywa rolę marginalną. Prawdziwa działalność prowadzona jest tu. — Wykonał zamaszysty gest ręką, wskazując na to, co miało być sercem pracującej rytmicznie maszyny produkcyjnej Wydawnictwa Blass.

Lisa rozejrzała się po pustym pokoju. Wyglądał jak Filadelfia w niedzielę.

— Szczerze mówiąc, Vernon nigdy nie był specjalnie zainteresowany działalnością edytorską — kontynuował Cutting — i od śmierci jego ojca interes prowadzili zawodowcy tacy jak ja, choć tradycje firmy były zazdrośnie strzeżone. — Mówiąc to, zawiesił na chwilę głos, tak by jego wypowiedź oddawała pełny szacunek dla idei. On był tym, który dotrzymał Wiary. Pierwszy Kapłan Prawdziwej Religii. Słowo „zawodowcy” powiedział z lekkim niesmakiem i sarkazmem.

— A jakie są te tradycje? — Lisa rozumiała, że jej odczucia wobec osoby Stevena Cuttinga są czytelne. Mimo to musiała skłonić go do rozmowy, zmiękczyć trochę, zostawić złośliwości na później.

Steven Cutting usiadł trochę sztywniej. Uwielbiał o tym mówić.

Przyłożył nóż do otwierania listów pod kątem prostym do trzech ołówków — czarnego, czerwonego i niebieskiego — które jako jedyne przedmioty znajdowały się na jego biurku. Lisa zauważyła, że były nieskazitelnie zaostrome.

— Większość wydawców, zarówno tu, jak i w Anglii, w obrzydliwy sposób nastawiło się na zysk — stwierdził. — Nie zawahaliby się wydać papieru toaletowego z podobizną Hitlera, gdyby sądzili, że uda im się dobrze to sprzedać. Firma „Blass” nie schodzi poniżej pewnego poziomu. Wydajemy książki, które na to zasługują i tylko dlatego, że zasługują, a nie z żadnych innych powodów; zysk określamy w kategoriach pozytywnych recenzji, jakie otrzymujemy, a nie liczby sprzedanych egzemplarzy. Uważamy, że to jest dżentelmeńskie postępowanie. Jakość przed ilością. A niewielu ludzi w tym biznesie może to o sobie powiedzieć.

Lisa nie potrafiła się powstrzymać. — Nie mogę sobie wyobrazić, że wielu by chciało tak mówić.

Cutting drgnął. Wydawało się, że następne słowa wysyczał, a nie wypowiedział. — Och, cóż, nie należy oczekiwać, aby ktoś z zewnątrz natychmiast zrozumiał pracę wydawnictwa takiego jak „Blass”. Vernon ma dobry instynkt. I myśli podobnie jak my. Ma serce po właściwej stronie.

Sens tych słów był oczywisty. Lisa jest parweniuszką, która powinna cieszyć się z chwilowego sukcesu, jaki osiągnęła, póki może. Nie potrwa to długo, nim dobry, stary Vernon wyrzuci ją z powrotem na śmietnisko, z którego bez wątpienia ją wyciągnął.

Lisa poczuła, jak ogarnia ją złość, którą było jej coraz trudniej powstrzymać.

— Tym, co najbardziej irytuje innych, jest fakt, że nasza polityka daje zupełnie niezłe rezultaty. Mamy swoich absolutnie lojalnych autorów, którym płacimy za to tantiemy. Kiedy staniesz się autorem „Blassa”, zostajesz już nim na zawsze... nawet po śmierci. A ponieważ

mamy do czynienia wyłącznie z dobrymi pisarzami, zawsze trafiamy na sam wierzch stosów na biurkach recenzentów, a nasi sprzedawcy wysuwają się na pierwsze miejsce w księgarniach. — Zrobił krótką pauzę, gorąco pragnąc, aby druga część jego wypowiedzi była choć w części tak prawdziwa jak pierwsza.

Czas na podsumowanie. — Wielką korzyścią z pracy w prywatnym przedsiębiorstwie, będącym własnością rodziny, którą można by określić mianem oświeconych nieobecnych, jest to, że można unikać rygorów narzucanych przez rynek, co tak bardzo kępuje naszych rywali.

Lisa miała już całkowity obraz. „Blass” był w rękach snobów; wydawnictwo prowadzone przez snobów wydawało książki napisane przez snobów i przeznaczone dla snobów. Rywale muszą płakać w drodze do banku!

— W jakim stopniu Vernon kontroluje przedsiębiorstwo? — Pytając o to, Lisa chciała się dowiedzieć, w jakim stopniu będzie je sama kontrolowała, kiedy już je odziedziczy.

Steven Cutting zrozumiał, że pyta o wartość rynkową.

— Vernon ma około sześćdziesięciu procent udziałów, ale mówiąc szczerze, nie mamy wielkich zysków — z tych powodów, o których pani mówiłem. Tego typu przedsiębiorstwa ocenia się w zależności od zysków, jakie przynoszą, więc jego udziały byłoby bardzo trudno sprzedać, o ile w ogóle stałoby się to możliwe. Zresztą nie sądzę, żeby Vernon rozważał możliwość pozbycia się ich. — Uśmiechnął się przy tym z satysfakcją, jakby był przekonany, że informacja ta będzie dla niej rozczarowaniem.

Lisa odwzajemniła uśmiech. Sześćdziesiąt procent to o dziewięć procent więcej, niż potrzebowała.

— Jakiego rodzaju książki wydajecie? Wiem, że zbiorki wierszy.

— Owszem, specjalizujemy się w tym, zarówno tu, jak i w Anglii. Poezja, poważne powieści, biografie twórców literatury, dość dużo tytułów z zakresu sztuk pięknych, to głównie w Paryżu. Może pani sobie wyobrazić, co to jest. Książki najwyższej jakości, sprawiające radość przy wydawaniu.

Ostatnie słowa zabrzmiały strasznie górnolotnie. Lisa oceniła, że czas już na to, by zrobić następny krok.

— Powodem mojego przyjazdu i spotkania z panem było to, że chciałam poprosić o pracę. Tu, w Nowym Jorku.

— O co?

— O pracę.

Przez moment na jego szczupłej, nieciekawej twarzy rysował się wyraz osłupienia. Następnie Lisa zobaczyła, jak jego usta zaczynają się wykrzywiać w szyderyczym grymasie.

— Och, nie! Nie! Nie! To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Cha, cha! Pracę? No nie, nie mogę.

Lisa spostrzegła, że przegrała. Teraz będzie musiała zacząć mu wyjaśniać. Twarz przed nią była ożywiona blaskiem pełnego okrucieństwa zadowolenia.

— My w Wydawnictwie Blass wierzymy oczywiście w nepotyzm, ale nie bierzemy pod uwagę możliwości ciągnięcia za sobą pasażerów. Mamy zobowiązanie wobec naszych autorów i nabywców naszych książek, ale nie wobec... pozwolę sobie powiedzieć... znudzonych gospodyń domowych. Nie sędzę, aby wpłynęło pozytywnie na image firmy, gdybyśmy zatrudnili u siebie żonę właściciela, czy nawet gdyby tylko pretendowała do pracy u nas. Nie mogę uwierzyć, że Vernon naprawdę tego chce, choć jestem pewien, że usilnie starała się go pani przekonać.

Lisa wstała. Miała już dość. Ten człowiek pożałuje kiedyś tego, co zrobił. Teraz jednak, realistycznie oceniając sytuację, nie było szansy, że dostanie to, czego chciała. Taki człowiek jak Cutting zatrułby jej życie, gdyby mu choć przez krótki czas podlegała. Cóż, musiała opuścić Palm Beach, a następnym krokiem, jaki musi zrobić, jest wyjazd z Ameryki. Będzie zmuszona schronić się w jakimś spokojnym miejscu, aby tam uczyć się czekać. Na przykład w Paryżu, gdzie wydawali książki o sztuce. To na początek. Ale potem błękitna krew Stevena Cuttinga zaleje podłogę i ściany, a jego wnętrzności będą wisiały jak ozdoby choinkowe na kandelabrze z ciętego szkła. Zostanie wyrzucony na bruk, razem ze swoimi ołówkami oraz nożem do listów i będzie się ubiegał o pracę u tych wydawców, których teraz tak krytykował.

— Proszę mi zapewnić pracę w biurze w Paryżu — oświadczyła. — Dziś. A właściwie teraz. Jeśli pan tego nie robi, natychmiast wrócę do Palm Beach i spędzę resztę życia na psuciu panu opinii u Vernona.

Przez chwilę Steven Cutting siedział sztywno, oparty plecami

o krzesło. Jego usta otwierały się i zamykały jak u ryby, podczas gdy szukał właściwej odpowiedzi. Ale wiedział, że w końcu zrobi to, czego Lisa sobie zażyczyła. Ryzyko było zbyt wielkie. Kto wie, w jakim stopniu miała władzę nad tym zidiociałym Vernonem Blassem?

Złapał za słuchawkę telefonu stojącego na podręcznym stoliku

1 piskliwym głosem krzyknął do mikrofonu:

— Połącz mnie z Michele Dupre w Paryżu.

Lisa uśmiechnęła się słodko. Zaczynała się uczyć, jak zdobywać to, czego chciała, i to uczucie wydało się jej cudowne.

Paryż

Michel leżał absolutnie nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Złożone nogi miał wyprostowane na gorącym, wilgotnym prześcieradle. Lisa odczuwała głęboko w sobie jedyny organ jego ciała, który był aktywny. Poruszał się, sztywny i twardy, w więzieniu, w którym zamknęła go Lisa, sprawdzając mocne i słabe miejsca, przesuwając się po gładkiej, śliskiej powierzchni. To było właśnie to. Robiła to, miała to wszystko, samolubna, a jednocześnie hojna w przyjemności, którą zarówno czerpała, jak i dawała. Przeżywała cudowne uczucia. Wspierała się stopami o twarde materac po obu stronach szczupłych bioder kochanka, a jej napięte mięśnie drżały z przyjemności, kiedy unosiła się i opuszczała całym ciężarem na tego żywotnego intruza. Ból mięśni, uczucie braku powietrza w płucach — wszystko to było dla Lisy źródłem ekstazy, nie dającym się oddzielić od tego, jakiego dostarczało to obce ciało, które miała w sobie.

Desperacki krzyk Michela ostrzegający o nadchodzącym końcu nie był jej potrzebny — stał się dźwiękiem bez znaczenia, zrodzonym z namiętności, mówiącym tylko o tym, o czym jej ciało i tak doskonale wiedziało już wcześniej. To wyznanie pobudziło ją tylko. Czując jego orgazm, Lisa przestała walczyć o zachowanie kontroli. Nadeszła kolej na nią. Lisa zatraciła się całkiem w rozkoszy. Była w tej chwili wolna od przytłumiającej jej radość życia tęsknoty. Przeżywała moment zapomnienia o bólu i udreće, jakie sprawiała myśl o jej świecie i malutkim, bezbronny dziecku, które tam zostawiła. Jakby chcąc zmasać smutny obraz Palm Beach i małego Scotta, przyspieszyła ruchy, po czym opuściła się na dół, rozluźniając mięśnie i pozwalając, by

narastająca rozkosz zdominowała jej ciało i myśli. Długi, pojedynczy okrzyk ekstazy rozległ się w małym pokoju, gdy Lisa obwieszczała swoje szczęście, z zaciśniętymi na prześcieradle palcami, poruszając głową rytmicznie na boki, dając tym dowód dzikiej radości, jaką odczuwała.

Potem przez długą chwilę trwali oboje w zupełnej ciszy, przeżywając to, co się stało. Leżąc na nim ciężko, z ramionami na piersiach mężczyzny, nadal przytrzymując go w sobie udami, Lisa odezwała się pierwsza:

— Będę za tobą tęskniła, Michel.

— Jesteś zdecydowana wyjechać?

— Wiesz, że tak.

— Ale Londyn jest taki zimny i wilgotny. I ludzie są tam zimni i wilgotni. Zobaczysz, że będzie ci tam źle z dala ode mnie.

Kiedy odwróciła się, by na niego spojrzeć, Francuz przywołał na twarz słaby uśmiech. Ledwie mu się to udało. . . To prawda, że będzie za nim tęskniła. A jeszcze bardziej prawdziwe wydawało się to, że on będzie za nią tęsknił. Michel Dupre. Czterdziestodwuletni uroczy Francuz o silnym ciele, które potrafiło oderwać myśli Lisy od gnębiących ją problemów. Zagubiona i samotna na lotnisku Charlesa de Gaulle'a, uciekiniarka z kraju, w którym się urodziła, bardzo potrzebowała kogoś takiego jak Michel i miała powody, by być mu wdzięczną. To oczywiste, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia —już wtedy, gdy umieszczał jej walizkę w bagażniku swojego odrapanego citroena.

A chwilę później, w czasie lunchu w Brasserie Lipp przy bulwarze St. Germain, zaczął już planować ich wspólną przyszłość. Wtedy jeszcze Lisa śmiała się z jego czarującej pewności siebie, z chłopięcych odruchów, z ekstrawaganckiego romantyzmu. Przez kilka tygodni opierała mu się, ale Paryż jest miejscem magicznym, a ona potrzebowała antidotum na gorącą tęsknotę za domem i na nieustające, nękające pragnienie zemsty, które cały czas tliło się w niej i rozpalało. Teraz byli kochankami, ale Lisa nie kochała Michela i podejrzewała, że on o tym wie.

— Ale ja naprawdę muszę być w Londynie. Stamtąd będę mogła obserwować całą działalność Wydawnictwa Blass.

— Nie jesteś szczęśliwa ze mną i moimi książkami o sztuce? Nie, Lisa nie czuła się szczęśliwa. Jeszcze parę minut temu tak było,

ale obecnie rzeczywistość wtargnęła w świat marzeń i poszarpała delikatne tworzywo, z którego budowali swoje sny. Paryż był cudowną, piękną stojącą wodą. Francuzi, dumni ze swego języka tracącego światowe znaczenie i swej spuścizny artystycznej, krytykowali zachłan-

ny materializm Amerykanów oraz egocentryzm Brytyjczyków. Książki „Blassa” były tu faktycznie wspaniałe, cudownie kolorowe, wydawane na doskonałym papierze, przeraźliwie drogie i rozchodziły się w minimalnej ilości. Lisa miała świadomość, że bezwstydnie wykorzystwała tego Francuza, zarówno jego ciało, jak i umysł. Nauczył ją patrzeć tak, jak robią to Francuzi, mówić z dobrym akcentem, rozumieć dobry styl, a przede wszystkim — powiedział jej wszystko to, co sam wiedział i sądził na temat działalności wydawniczej. A znał się na tym. Zanim odnalazł spokojną przystań w Wydawnictwie Blass, parał się publikacjami komercyjnymi, które zupełnie nie odpowiadały jego temperamentowi. Czuł się natomiast doskonale w swoim małym świecie książek o sztuce, świecie tak cudownie anachronicznym, rządzonej przez wysoką jakość i piękno. Świat ten był absolutnie obojętny na rachunek zysków i strat. Od czasu do czasu Lisa czuła się jak Judasz, kiedy rozpatrywała przyszłość ich obojga, było bowiem dla niej oczywiste, że Michel snuł takie plany, marząc o chwili, kiedy śmierć uwolni panią Vernonową Blass od jej niezwyklego związku. Wtedy będzie mogła połączyć się z człowiekiem, który ją uczył, kochał i zaspokajał. Biedny Michel. Nie mógł jej znać ani też zrozumieć tych sił, które ją ukształtowały. Nie mógł podejrzewać, że dla niej w ogóle się nie liczył, był jak przyjemny przerywnik — ani więcej, ani mniej.

Jakby dla podkreślenia tej myśli, Lisa wysunęła się z jego objęć i usiadła, spuszczając długie nogi z łóżka. Walczyła z przemożną ochotą powiedzenia czegoś okrutnego, co zniszczyłoby złudzenia, które pozwalała mu żywić przedtem. Przejechała energicznie dłonią po wilgotnych, potarganych włosach i wstrząsnęła głową, jakby otrząsała się z resztek rozmarzenia, które ją ogarnęło, gdy się kochali. Później, pod prysznicem, oderwie się psychicznie od tego wszystkiego.

O co pytał? Czy była szczęśliwa z nim i jego książkami o sztuce? Lisa wstała ze świadomością, że jej piękność może być niebezpieczna. Miłość rani, miłość zabija, zaś utracona miłość tak desperacko domaga się zemsty.

— Powiedziałam, że będę za tobą tęsknić, Michelu — odparła, patrząc w jego pełne rozczarowania oczy.

Ale mówiąc to, w myślach wędrowała już po wilgotnych ulicach, mijając czerwone autobusy i staromodne taksówki, odnajdując swą drogę przez skwery Bloomsbury, ucząc się tego, co chciała wiedzieć o działalności wydawnictwa i snując plany na przyszłość, kiedy je przejmie.

Londyn

Był to jeden z tych londyńskich dni, kiedy zimna wilgoć przenika umysł i mięśnie, wpychając ludzi w głęboką studnię pesymizmu i letargu. Na dworze siąpił spokojny, równy, nieustanny deszcz, jakby miał zamiar zatopić szary świat, karząc go tym za grzechy. W biurach Wydawnictwa Blass przy Bedford Square większość pracowników bez oporu poddała się dominującemu nastrojowi ponurości, jak to miało miejsce codziennie przez ostatnie dwa tygodnie, czyli od chwili, kiedy ta paskudna pogoda narzuciła im odpowiednią postawę psychiczną. Lisa nie była wyjątkiem. Siedziała w złym humorze przy dużym biurku w swym małym pokoju i bezmyślnie gryzmoła coś na kartce, co jakiś czas spoglądając przez brudne okno na wysoką ścianę z czerwonej cegły, zasłaniającą cały widok.

W takiej sytuacji mniej więcej dziesięć razy dziennie myślała tęsknie o słońcu Florydy i porównywała anemiczny londyński deszcz z barwnym i różnorodnym Palm Beach. Tam deszcz był czymś oczyszczającym. Krótki, ostry wybuch ciepłej energii, usuwający duchotę z powietrza, przygotowywał scenę na triumfalny powrót słońca. A tu deszcz był celem samym w sobie, biczem bożym. Wpływał na określone postawy ludzkie, nie pozwalał czuć się szczęśliwym, a jego największym osiągnięciem było stworzenie tradycyjnych „żółtaczkowych” oczu Anglików. Co gorsza, trujące środowisko, które deszcz tak bezlitośnie wyczarowywał, stanowiło doskonałe miejsce dla najbardziej uporczywych i dokuczliwych wirusów, jakie tylko znano na świecie. Minęło pięć długich lat od chwili opuszczenia przez Lisę Palm Beach i przez ten czas poznała, jak sądziła, wszystkie owe wirusy. Z niezawodnością szwajcarskiego zegarka atakowały w najmniej odpowiednich sytuacjach, zbijając ją z nóg, wypełniając umysł wata, powodując uczucie, jakby miała zapiaszczone gardło i zatkane płuca, w których zbierały się wówczas wszystkie odpadki z tego nieszczęsnego miasta. Mogła przysiąc, że i w tej chwili znowu zaczynały się w niej rozmnażać. Miała wrażenie, jakby pod granatowym, kaszmirowym swetrem i pasującą do niego wehianą koszulą jej ciało na przemian płonęło i marzło w cyklu nie mającym nic wspólnego z kaprysmi i zaburzeniami starego systemu wentylacyjnego firmy.

Spojrzała na swój wodoszczelny zegarek marki Hubot, z którym teraz mogłaby nurkować w ciepłych wodach Prądu Zatokowego. Jedenasta. Pora na herbatę z Mavis. Na moment nastrój Lisy uległ poprawie. Wprawdzie herbata niewiele miała wspólnego z prawdziwą herbatą — brązowy, smakujący jak plastik płyn, podawany w kubkach

specjalnie przystosowanych do tego, żeby parzyły w palce, ale mimo wszystko było to zazwyczaj coś ciepłego i zawierało minimalną ilość kofeiny. Za to Mavis, absolutnie prawdziwa, autentyczna pani do roznoszenia herbaty, wyznawała tak ponurą filozofię, że wydawało się, iż wywołana przez złą pogodę depresja była w rzeczywistości szczytem emocjonalnym ekstatycznego maniaka. Zgodnie z zasadą, że zawsze jest jeszcze ktoś, komu gorzej niż tobie, a zdanie sobie z tego sprawy stanowi pierwszy krok do lepszego samopoczucia, Mavis wywierała mobilizujący wpływ na pracowników „Blassa”, wpływ bez porównania lepszy niż ów nie do przełknięcia płyn, który im podawała.

Lisa usłyszała pukanie do drzwi i uśmiechnęła się, gdyż do pokoju weszła Mavis, wydzielając skoncentrowaną ponurość każdym porem skóry.

— Dzień dobry, Mavis — odezwała się promiennie Lisa, z góry wiedząc, jaka powinna być reakcja.

— Nie ma w nim nic dobrego — odparła zgodnie z oczekiwaniem Mavis. — Trzy osoby zginęły w katastrofie kolejowej, a mojemu Lenowi zrobiło się zapalenie okostnej.

Mavis miała zwyczaj mieszać tragiczne informacje i podawać je w formie wspólnego obrazu wszechogarniającej świat zguby. Wszystko przeżywała niezmiernie głęboko i osobiście, niezależnie od tego, czy było to małe trzęsienie ziemi w Chile czy też skłonności jej spaniela do wylegiwania się na sofie.

— Och, mój Boże — wyraziła jej współczucie Lisa — mam nadzieję, że ząb da się wyleczyć.

— Przypuszczam, że będzie miał z tego poważne zatrucie krwi. Zawsze tak się dzieje. Doktor, oczywiście, pije. Naprawdę nie ma nic dobrego na tym świecie.

Lisa pociągnęła łyk obrzydliwego płynu. Jak zwykle ponure opowieści Mavis podniosły ją na duchu.

— Wiesz, Mavis, w przyszłym miesiącu minie pięć lat od dnia mojego wyjazdu z domu.

Mavis przekrzywiła głowę i spojrzała na nią podejrzliwie.

— Wydaje się, jakby to było dziesięć — powiedziała w końcu, z twarzą tak ponurą jak niebo przed burzą. — Było to pięć okropnych lat. Jeśli następnych pięć miałyby być podobnych, to już teraz można z nich zrezygnować. Tyle powiem.

Flegmatycznie oparła się o wózek, którym rozwoziła herbatę, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć Lisie, jak jej zdaniem będzie wyglądało następne tragiczne pięciolecie. I od czego zacząć? Jest tak

wiele okropnych rzeczy. Coś jednak podsunęło jej myśl, żeby odstąpić od zamiaru wygłaszania przepowiedni. — No cóż, trzeba walczyć dalej, choć Bóg mi świadkiem, że czasem się zastanawiam, po co tak się męczymy. Lisa roześmiała się, ale po wyjściu Mavis jej słowa nie wydawały się już tak zabawne. Pięć okropnych lat. Pięć okropnych lat od dnia, w którym musiała powiedzieć „do widzenia” Maggie, małemu Scottowi i Palm Beach. Bezmyślnie spojrziała na biurko. Jej wzrok przyciągnęła notatka w kalendarzu. Psiakrew! O mały włos byłaby zapomniała o spotkaniu w czasie przerwy na lunch. Charles Villiers o pierwszej w Le Caprice. Poczwała, że poprawia się jej nastrój. Normalnie myśl o lunchu z szefem wywierała zupełnie odwrotny skutek, ale dziś będzie to w jakimś stopniu rozrywką, oderwaniem się od codzienności. Zresztą chciała od niego coś uzyskać. Coś bardzo ważnego. modnej restauracji Le Caprice przy ulicy St. James wrzało jak w ruchliwym ulu, jednak Lisa nie reagowała na gwar i ożywienie wokół. Usiłowała za wszelką cenę przekonać Charlesa i miała wrażenie, że balansuje na granicy niepowodzenia.

— Czy w ogóle przeczytałeś ten maszynopis, Charles? Nie chodzi mi o to, czy przejrzałeś, tylko czy naprawdę przeczytałeś. Mówię ci, że ta książka będzie absolutnym bestsellerem. Obiecuję ci, ja to wiem. Charles Villiers odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się swoim jęczącym śmiechem, który jego sekretarka tak ogromnie lubiła naśladować. Był to rodzaj końskiego rżenia, ale dźwięczącego nosowo i kończącego się zawsze czymś podobnym do prychnięcia.

— Tak, otóż właśnie przeczytałem. Da się to przeczytać.

Trzy lata spędzone w londyńskim wydawnictwie nauczyły Lisę, jak wielkie znaczenie miał akcent absolwenta szkoły w Eton i jakie sekretne informacje przekazywał o tej osobie, która musi należeć do uprzywilejowanej, najwyższej klasy społecznej. Ale też nigdy nie przestało ją to zdumiewać. Był to rodzaj fonetycznej sztuki, skrzyżowanie piskliwych dźwięków nosowych z tymi, jakie wydaje osobnik cierpiący na szczękoscisk.

Wersja akcentu z Eton stosowana przez Villiersa była dla Lisy wzorem, standardem pozwalającym ocenić innych. Fakt, że Charles nie miał prawie brody, nieco ułatwiał mu odpowiednią wymowę. Resztę robiła emanująca z niego pewność siebie, agresywnie aryjska twarz, wysokie czoło i krótkie, kręcone blond włosy. Właściwie nie dawało

się oddzielić od siebie poszczególnych elementów, decydujących o tym, że Charles Villiers był taki, jaki był. Jedyny w swoim rodzaju, z krawatem w biało-niebieskie groszki, noszonym do kremowej koszuli, dwurzędowego, szarego ubrania o szerokich klapach oraz błyszczących, czarnych, skórzanych półbutów, w których z pewnością chodził od wieków. Spod rękawa marynarki z szarej flaneli widoczne były dwa centymetry mankietu koszuli. Na szyi miał cienki złoty łańcuszek, na którym widniał rodzinny klejnot, wytarty przez lata noszenia. Krwistoczerwone szelki; czarne, wełniane skarpety. Wszystko zupełnie jednoznacznie informowało o tym, jakie wartości cenił sobie Charles Villiers. To oczywiste, że strzelał do głuszców, a na wakacje wyjeżdżał raczej w góry Szkocji niż na plażę na kontynent, że należał do tych, co to „zabijali” łososie, a nie łowili. Jakikolwiek mały błąd — na przykład ozdobny wzorek na mankietach, chusteczka w kieszonce marynarki czy buty z klamrami — świadczyłby o tym, że się podszysza, jest parweniuszem udającym kogoś lepszego, absolwentem jakiejś mało znanej szkoły publicznej. Ale nie, nip nie psuło jego arystokratycznego wyglądu, żaden nieodpowiedni zapach płynu po goleniu czy źle wypowiedziana samogłoska, ślad ciepła lub emocji.

Był doskonałym przedstawicielem swojej rasy i Lisa nie znosiła go z intensywnością graniczącą wręcz z paranoją. Wiedząc, że musi wygrać tę sprzeczkę, Lisa pochyliła się ku niemu przez stół i starała się mówić jak najbardziej entuzjastycznie.

— I co, nie uważasz, że to jest cudowne? Mam na myśli akcję i postaci. Ta dziewczyna jest -geniuszem. Musimy wpisać ją na listę.

— Na listę „Blassa”? Liso, pamiętaj, jakiego rodzaju jest to wydawnictwo.

Wcale nie trzeba było jej o tym przypominać. Charles Villiers i Steven Cutting śpiewali na tę samą nutę: te same slogany z tej samej zdartej płyty.

— Nie zamierzasz tego wydać.

Było to stwierdzenie faktu. Charles Villiers nigdy nie akceptował niczego, co sugerowała. Głupio łudziła się, że tym razem mogłoby być inaczej. Opadła na oparcie krzesła. Kolejna porażka. Kolejny doskonały autor odrzucony.

Następna doskonała okazja nie wykorzystana. Boże, jakie to przygnębiające. Jak ona nienawidzi wyjaśnień tego człowieka, który tak mało jest w stanie zrozumieć. Od początku, od przyjazdu Lisy z bezpiecznego miejsca, jakim był Paryż, Charles robił co mógł, żeby jej obrzydzić życie.

Zaczął od tego, że odnosił się do niej protekcjonalnie; wrodzony szowinizm stanowił integralną część jego osobowości w równym

stopniu co emulsja do włosów firmy „Royal Yacht” czy przynależność do Whites and Turf. Potem w czasie przyjęcia na Eaton Square, gdy jego żona w szpitalu St. Mary rodziła mu właśnie czwarte dziecko, Charles, z czołem pokrytym potem wskutek nadmiaru wypitego po jedzeniu alkoholu, złożył Lisie niedwuznaczną propozycję. A Lisa, nie przebierając w słowach, powiedziała mu prosto w oczy, że jest nie tylko fizycznie, ale i psychicznie odrażający. Nigdy jej tego nie wybaczył. Tego, co powiedziała o jego wyglądzie, nie wziął sobie do serca; absolwent Eton nie zwraca uwagi na takie mało istotne uwagi. Niewybaczalna była sugestia, że „źle się zachował” — niemal równie niewybaczalna, jak gdyby zarzuciła mu, że jest niebezpiecznym zbrodniarzem, czy oskarżyła go o oszukiwanie w tryktraku. Od tej chwili Charlesowi trudno było spojrzeć Lisie w oczy i osobiście pilnował, aby jej awans w Wydawnictwie Blass w Londynie stał się szczególnie utrudniony i praktycznie niemal nieosiągalny.

Mimo tych trudności Lisa pięła się jednak do góry. Początkowo robiła prawie wszystko, może z wyjątkiem podawania Charlesowi przyniesionej przez Mavis herbaty. Czytała korektę tak wytrwale, że aż łzawiły jej zaczerwienione oczy, przez kilka miesięcy ślęczała w dziale rachunkowości, pertraktowała ze zblazowanymi, nie posiadającymi dyplomu eks-studentami z Oksfordu, którzy ubiegali się o posady redaktorów, i z tryskającymi pewnością siebie debiutantami, których pochodzenie i „kontakty” uważano za wartościowe w dziale reklamy. W odruchu rozpaczki zgłosiła się nawet dobrowolnie do pracy w charakterze komiwojażera i spędziła trzy potworne miesiące, krążąc między zakurzonymi księgarniami na prowincji, starając się wykonać niemal nierealne zadanie, jakim było nakłonienie niekompetentnych, starych głupców, którym zdawało się, że sprzedawanie książek jest „dżentelmeńskim” sposobem zarabiania na życie, do kupna nudnych i ponurych książek „Blassa”. Pracowała tak ciężko i tak niezwykle wydajnie, że nawet Charles Villiers nie był w stanie zapobiec zatrudnieniu jej, początkowo na stanowisku redaktora, a później starszego redaktora.

Ale tylko na tyle mógł się zgodzić. Jeśli więc chciała wydać jakąś książkę, dla samej zasady Charles uważał, że to nieodpowiednia pozycja. Było to proste i oczywiste.

Lisa ponuro rozejrzała się po restauracji. W ciągu trzech lat sporo się zmieniło, ale też wiele rzeczy pozostało takich samych. Na ścianach ciągle były te same portrety — Micka Jaggera, Romana Polańskiego, mitycznych już bohaterów, takich jak Harlow i Russel...

Charles Villiers nadal nudził, wyrzucając z siebie bezsensowne slogany.

— To naprawdę dość banalne... nie potrafi sformułować myśli... wystarczająco dużo chętnych do wydawania szmiry...

Lisa bezczelnie ziewnęła. Odchyliła się do tyłu na krześle i patrzyła na swój sterczący pod bluzką biust.

— Cenny autor... wykorzystuje seks... głupie zakończenie...

Lisa przestała go słuchać. Zaczęła myśleć o gorącym piasku Florydy, rozgrzanym w południe przez słońce. I o biednym, małym dziecku, którego nie widziała tak dawno.

iWavis zapukała do drzwi, wybijając Lisę z marzeń; deszcz walił w okna, rysując dziwaczne wzory na brudnych szybach, obojętny na słoneczne wspomnienia Lisy.

— Proszę.

— Telegram, Liso. Myślę, że ktoś umarł.

Lisa roześmiała się. — Krańcowy pesymizm, Mavis — zażartowała. Pomyślała jednak, że właściwie powinna by odpowiedzieć, iż byłby to skrajny optymizm. Telegram okazał się krótki i treściwy:

Z przykrością informujemy, że Vernon Blass zmarł o siódmej wieczorem czasu lokalnego, czternastego grudnia. Proszę skontaktować się z biurem Browna i Bakera, McKenzie 305-555-3535. Szczere wyrazy współczucia.

W takich momentach cały świat zaczyna wirować człowiekowi przed oczami. Ale nie zaczął. Jeszcze nigdy Lisa nie widziała tak wyraźnie jak w tej chwili. Litery telegramu mrugały do niej radośnie, w miarę jak uświadamiała sobie ich sens. Już po wszystkim. Zakończył się czas oczekiwania. Jej mąż nie żył. Mogła w końcu wrócić do domu.

Mavis, zaglądając przez biurko, natychmiast dostrzegła, że jej najgorsze podejrzenia się sprawdziły. Wydarzyło się coś nieprawdopodobnie ważnego. To musiał być ktoś bardzo bliski, być może nawet dziecko. Zebrała się w sobie, czekając na dalsze informacje, starając się zapisać możliwie dokładnie całą scenę w pamięci, by później, wieczorem, móc wszystko opisać przyjacielom w pubie. Był to materiał na naprawdę interesującą opowieść.

Lisa wstała zza biurka, zupełnie jak pijany bokser reagujący na dzwonek wzywający go na ring. Ominęła biurko, raptownie porwała Mavis w ramiona i uniosła ją do góry z głośnym okrzykiem.

Mavis z trudem łapała oddech, czując jak silne ręce Lisy ściskają ją w niedźwiedzich objęciach, ale udało się jej zadać pytanie.

— I co, ktoś umarł?

— Och, tak — radośnie odparła Lisa. — Mój mąż! Nie żyje! Nie żyje! Och, Mavis! Ten plugawy łajdak w końcu umarł!

bóznica czasu była akurat taka, że w Ameryce właśnie otwierano biuro prawne Browna i Bakera. Jak to dobrze, pomyślała Lisa, czekając na połączenie międzynarodowe. Jak to przyzwoicie ze strony starego Vernona, że umarł o właściwej porze.

Słyszając tradycyjne wyrazy kondolencji, Lisa ostro przerwała mówiącemu.

— Czy zostawił mi udziały w Wydawnictwie Blass? — warknęła do słuchawki.

— Och, tak, naturalnie. Nie wiedziała pani o tym? One były zapisane na was oboje — na panią i na niego. To znaczy, że nie trzeba czekać na urzędowe zatwierdzenie testamentu, żeby dokonać transferu. Jako jedyny żyjący współwłaściciel, nabywa pani prawa od ręki.

— I mogę już korzystać z decydującego głosu? Od tej chwili?

— Technicznie sprawy ujmując, od chwili ogłoszenia zawiadomienia o śmierci. Czyli od ubiegłej nocy.

— A co z domem?

— Jest pani jedyną spadkobierczynią. Co do pogrzebu, czy wróci pani...

Ale Lisa usłyszała już więcej, niż chciała.

— Zadzwoń do pana ponownie trochę później — powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Och, Boże! Teraz już wszystko na pewno będzie dobrze. Bardzo, bardzo dobrze.

Nie zapukała do drzwi gabinetu Villiersa, tylko po prostu weszła. Sprawilo jej przyjemność, kiedy dostrzegła wyraz irytacji na jego twarzy.

U Charlesa odbywało się coś w rodzaju zebrania, jednego z tych, o których Lisy nie informowano. Było więc pewne: nie wiedzieli jeszcze o śmierci Vernona.

— Cześć wam — odezwała się radośnie.

Młoda kobieta z biura w St. Mary Wantage i redaktor z Northfallen Lodge wymienili między sobą wymowne spojrzenia. Córka hrabiego, która kierowała działem reklamy, uśmiechnęła się protekcjonalnie.

Lisa stanęła przy nich, wspierając rękę na biodrze. W życiu czasem zdarzają się niewymownie piękne chwile. To miała być jedna z nich.

— Przeglądaliśmy właśnie wiosenną listę — powiedział Charles Villiers, wyjaśniając cel tego potajemnego spotkania.

— Fe, jakie to przygnębiające — odparła z głębokim przekonaniem Lisa.

— Cóż, u licha, masz na myśli, określając to mianem „przygnębiające”?

Lisa spojrzała mu w oczy. Miała nadzieję, że to, co powie, trafi go jak kula w brzuch, powodując powolną, bolesną śmierć.

— Miałam na myśli to, że przykro jest nawet myśleć o tym marnym zbioru pretensjonalnych bzdur, które szumnie nazywacie „wiosenną listą”. To właśnie miałam na myśli.

Zgromadzeni wokół stołu konferencyjnego goście otworzyli ze zdumienia usta. Pokrywka powoli się uchylała.

Czyżby Lisa piła? A może brała jakieś narkotyki?

Lisa po kolei przyjrzała się wszystkim zebranym. Następnie powoli obiegała wzrokiem pokój. To było naprawdę zbyt wspaniałe, by mogło być prawdziwe. Za biurkiem Villiersa stało wielkie, puste krzesło z czerwonej skóry. Charles siedział ze swoimi kumplami przy długim mahoniowym stole.

Lisa powoli poszła w kierunku biurka, zdając sobie sprawę, że oczy zebranych śledzą jej ruchy. Idąc odwróciła głowę i popatrzyła na nich przez ramię, uśmiechając się promiennie.

— Tak — mruknęła jak gdyby do siebie. — Nie sądzę, by wielu czytelników odczuło brak wiosennej listy, oczywiście, poza obecnymi tutaj.

— Liso, na miłość boską, przestań mówić nonsensy. Czy ty się dobrze czujesz? — W głosie Charlesa Villiersa wyraźnie dało się słyszeć złość. Szef był autentycznie zirytowany.

— Czy dobrze? — Lisa powtórzyła to pełnym sceptycyzmu głosem. — Mogę zupełnie szczerze powiedzieć wam, że od lat nie czułam się tak dobrze jak dziś. — Doszła do biurka, usiadła na miejscu dyrektorskim i dodała złośliwie: — Myślę, że wdowieństwo dodaje mi uroku.

Minęła chwila, nim zebrani zrozumieli sens jej słów. Charles Villiers jako pierwszy. Blednąc i jękając się pod wpływem myśli przebiegających mu przez głowę, powiedział:

— Chodzi ci o to... że Vernon...

— Umarł — radośnie dokończyła za niego Lisa. Oparła stopy na nienagannie utrzymanym skórzanym blacie biurka, na którym Villiers nie pozwalał nigdy kłaść żadnych ostrych przedmiotów, żeby go nie zniszczyć. — Tak — powtórzyła w zamyśleniu. — Jest zimny jak lód.

I prawnicy poinformowali mnie, że jestem waszą nową szefową. Tak po prostu.

Teraz już nikt nie miał wątpliwości. Stali przed plutonem egzekucyjnym. Wiosenna lista nie będzie jedyną ofiarą.

— I stwarza mi to największą z możliwych przyjemność oznajmienia wam, moi dobrzy ludzie, że jesteście wszyscy zwolnieni. Wszyscy, co do jednego.

Powiedziawszy to, Lisa westchnęła z głęboką radością i przejechała ostrym obcasem po skórze pokrywającej blat biurka Charlesa Villiersa, pozostawiając na niej wyraźną szramę.

Przez dłuższy czas nikt nie podnosił słuchawki telefonu. Lisa modliła się, żeby Anne Liebermann była w domu, żeby jeszcze nie podpisała kontraktu z kimś innym. Myślała o jej wzroku pełnym rozczarowania, kiedy dowiedziała się, że „Blass” nie kupi Big Apple,

O niedowierzaniu, z jakim patrzyła na Lisę, gdy ta próbowała tłumaczyć, że książka była naprawdę bestsellerem, ale kierownictwo „Blassa” nie doceniło autorki o tych dużych, brązowych oczach, która mogłaby porwać publiczność na spotkaniach z czytelnikami

I doskonale wyglądałaby na okładce magazynu „People”. Anne Liebermann była w stanie sprzedać więcej książek, niż jest cegieł na świecie.

W końcu ktoś podniósł słuchawkę i Lisa usłyszała cichy głos. — Tu Anne Liebermann.

— Mówi Lisa Blass z Wydawnictwa Blass.

— Dzień dobry. — Odpowiedź była dość obojętna.

— Przejdę od razu do rzeczy. W naszej firmie nastąpiły pewne zmiany kadrowe i obecnie jestem w stanie zaproponować pani wydanie książki. Czy to nadal byłoby możliwe?

W telefonie nastąpiła dłuższa cisza. — Sądzę — odparła wreszcie Anne — że zainteresował się nią „Macmillan”.

Nie złożyli mi jeszcze formalnej oferty, ale obiecali, że złożą.

— Na ile by nie opiewała, podwajam stawkę i jestem gotowa podpisać umowę za chwilę, to znaczy jak tylko złapię taksówkę i dojadę do pani mieszkania.

— Zgadza się — odparła Anne Liebermann, gdy Lisa skończyła mówić.

— Czy byłaby pani zainteresowana kontraktem na trzy książki, z prawami autorskimi na cały świat, określonymi przez „Blassa” w Nowym Jorku?

— Czy ja dobrze słyszę? — roześmiała się Anne Liebermann. — Wypiłam tylko jeden gin z tonikiem.

— Proszę nigdzie nie wychodzić. Wyruszam do pani z umowami i butelką Moëta — odparła Lisa i odłożyła słuchawkę.

Jaki powinien być rytm wybijany przez serce? Właśnie taki jak u Lisy. Mocny. Bóg wie, co się z nimi stanie, gdy Anne Liebermann i „Blass” znajdą się na samym szczycie listy bestsellerów „New York Timesa”.

Lisa wyciągnęła z szuflady biurka projekt umowy i kilka firmowych kartek papieru. Prawnicy będą mogli później przyrzeć się kontraktowi, ale Lisa koniecznie chciała mieć potwierdzenie umowy na piśmie.

Przez moment stała nieruchomo, starając się uspokoić wzburzone myśli. Przez ścianę słyszała odgłosy płaczu i podniesione głosy mężczyzn. O rany, ale wrzało. W każdej chwili mogą tu do niej wejść, aby grozić, podlizywać się, prosić i odwoływać się do jej uczuć. Tak, w każdej chwili może się tu zjawić na kolanach cały tłum, natarczywie starając się odzyskać pracę, a zatem i ich mieszkania, dzierżawy, kochanki, które utrzymywali, przyjaciół, żony, swoją dumę i uprzedzenia. Będą próbowali w grupie i pojedynczo. Wszyscy, z wyjątkiem kilku osób, na próżno. Lisa jak Bóg będzie decydowała o ich przyszłości i sprawi jej to nieustającą radość. Oto ma możliwość zemstczenia się za obgadywanie i obrażanie jej, za wszystkie te lata wymuszonego podporządkowania się nieskończonej arogancji i amatorskiemu podejściu do pracy, za obrzydliwą hipokryzję i zdumiewającą głupotę. Ale teraz musiała zadzwonić w jeszcze jedno miejsce. Wykręciła numer sto czterdzieści dwa, żeby uzyskać informację.

— Poproszę o telefon do Pan American. Do działu rezerwacji — powiedziała. Bo oto wreszcie mogła już wrócić do domu.

Lisa energicznie wyskoczyła z samochodu podwieszona przez „okazję” — jak mówią w Europie — na Madison Avenue, pod biura Wydawnictwa Blass. Jak uskrzydłona przeszła przez wahadłowe drzwi. Recepcjonistka podskoczyła na jej widok.

Lisa miała na sobie obcisłe, niebieskie džinsy, bawełnianą koszulkę z napisem „Nędza wyniszcza” i długie, brązowe futro z soboli, z dużymi naszytymi kieszeniami. Białe skarpetki wystawały spod spodni i ginęły w ciemnobrązowych mokasynach z krokodylej skóry. Włosy miała zaczesane do tyłu. Wyglądała jak pewna siebie Europejka. Lisa Blass wróciła w końcu do domu, już nie jako dziewczyna. Była całkiem dorosła.

W pierwszej chwili recepcjonistka jej nie poznała. Zerwała się pod wrażeniem, jakie wywołało energiczne wejście Lisy i jej dość niezwykły wygląd. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się zawołała:

— Och, pani Blass! Nie poznałam pani. Czekaliśmy na pani wizytę. Jak to cudownie znowu panią zobaczyć. Pan Cutting odwołał wszystkie swoje ranne spotkania, żeby być do pani dyspozycji, kiedy tylko pani się zjawi.

Lisa czuła miłe podniecenie, przeżywając to, co miało zaraz nastąpić.

_ Proszę mi zrobić uprzejmość — powiedziała ze złościwością w głosie — i skasować także jego popołudniowe spotkania. A w ogóle, skoro już o tym mówimy, właściwie może pani wyrzucić kalendarz z jego spotkaniami do śmieci. — I nie czekając na reakcję zaszokowanej recepcjonistki, poszła na górę.

Steven Cutting wstał, gdy Lisa wkroczyła do jego biura. Żaden skazaniec oczekujący na egzekucję nie przeżywał gorszych mąk niż naczelny Wydawnictwa Blass. Rozpaczliwie starając się wprowadzić porządek w swym nagle zagrożonym świecie, siedział cały ranek za biurkiem, przekładając ołówki, póki nie ułożył z nich idealnie prostokątnego trójkąta. Spojrzenie na twarz Lisy nie przyniosło najlżejszej ulgi jego zszarpanym nerwom.

— Lisa... po tylu latach... biedny Vernon — wyjąkał, wykonując rękami gesty, mające dopowiedzieć urwane zdania.

_ Gówno prawda — stwierdziła głośno Lisa. Siadła w fotelu, kładąc jedną nogę na oparciu i machając butem z krokodylej skóry.

— Och — jęknął Steven Cutting.

Lisa poczuła się trochę tak jak rewolwerowiec wkraczający do baru. Coś takiego może przyprawić o zawrót głowy. To było nawet lepsze niż seks.

Steven Cutting miał już przygotowaną mowę. Cos w rodzaju prośby skazanego na śmierć więźnia o ułaskawienie. Nawet nadał temu charakter nieco bardziej oficjalny.

— Pani Blass, byłbym głupcem, gdybym nie przyznał, że zrobiłem błąd, nie doceniając możliwości pani wkładu w rozwój Wydawnictwa Blass. Mam powody, by żałować tego. Bardzo żałuję. Mam nadzieję, że da mi pani okazję naprawienia tego... właściwego ułożenia... Wiem, że z pewnością będzie nam się dobrze współpracowało...

_ Ha — przerwała mu krótkim prychnięciem Lisa. Przełożyła drugą nogę przez oparcie fotela, dołączając ją do poprzedniej. — Czy masz umowę z „Blassem”? — spytała wyniośle.

— Umowę? Umowę z „Blassem”? — Cutting wyglądał tak, jakby

miał za chwilę zemdleć, a słowo „umowa” było mu zupełnie nieznane jak jakiś czasownik w języku suahili. — Nie. Nie mam umowy. My tutaj nigdy nie zawieraliśmy umów. Słowo dżentelmena...

— Ma mniej więcej taką wartość jak zła metafora — dokończyła za niego Lisa. Zwróciła przy tym uwagę, że Cutting, mówiąc o Wydawnictwie Blass, używał czasu przeszłego. Robak był więc już prawie nadziany na haczyk. Lisa głęboko wciągnęła w płuca powietrze. Czowała zapach władzy zmieszany z perfumami „Paloma Picasso”.

— Tak — stwierdziła w zamyśleniu — dżentelmeńska umowa nie jest bardzo przydatna, kiedy jeden z zawierających ją dżentelmenów szykuje się do zajęcia miejsca na cmentarzu w West Palm.

Steven Cutting wyprostował się sztywno, tak jak to robi skazaniec na widok plutonu egzekucyjnego.

— Czy mam rozumieć, że rezygnujesz z moich usług? — zapytał całkiem niepotrzebnie. — Jeśli tak, to jestem pewien, że należy mi się jakaś rekompensata. Po tych wszystkich latach...

Lisa uznała, że przyszedł już czas na dobiecie ofiary.

— Panie Cutting, życzę sobie, żeby wyszedł pan stąd w ciągu piętnastu minut i już nie wracał. I to z pustymi rękami. Powiem więcej. Jeśli weźmie pan stąd cokolwiek, choćby te ołówki, osobiście będę pana ciągała po wszystkich możliwych sądach, przysięgam to panu.

Mały Scott Blass wiedział, że to miał być bardzo ważny dzień, choć wcale nie był pewien dlaczego. Jakaś przerażająca osoba, którą nazywano „mama”, miała przyjechać i zburzyć jego przytulny świątek. Wcale mu się ten pomysł nie podobał. Przycisnął twarz do siatki otaczającej lotnisko i bezwiednie wzdrygnął się, częściowo z napięcia wywołanego oczekiwaniem, a częściowo z powodu chłodnego, porannego powietrza. Jego mała rączka wsunęła się w dużą dłoń pani McTaggart.

— Nianiu, czy mama jest miła? — spytał niepewnym głosem.

— Oczywiście, że mama jest miła. — Ta odpowiedź nie zabrzmiała zbyt przekonywająco i Scott natychmiast to wyczuł. Mama była mniej więcej tak miła jak budyń ryżowy, jak zielenina, jak mycie włosów.

Odnosząc wrażenie, że go nie przekonała, pani McTaggart starała się naprawić swój błąd. — Wszystkie mamy są miłe — dodała.

— Wolałbym być dziś w szkole. — Szkoła, z cudowną opiekunką panną Heidi, wydawała mu się czymś bez porównania atrakcyjniejszym niż ta mała wyprawa w nieznane. Choć samoloty budziły jego zainteresowanie.

— Czy mama jest w tamtym samolocie?

— Nie, kochanie. Ten jest mały, a mama przyleci bardzo dużym. To pasowało do jego oczekiwań. Mama z pewnością była jakąś

ważną osobą, która przyleci wielkim samolotem i wokół której robi się wielki szum. Inaczej dlaczego mieliby go ubierać w wyjściowe spodenki z szarej flaneli, czarne półbuty i śnieżnobiałą koszulę? Westchnął i na głos wypowiedział swoje myśli:

— Nie sądzę, abym polubił mamę.

— Nonsens, kochanie. Wszyscy lubią mamę.

Z wyjątkiem mnie, pomyślała pani McTaggart, poprawiając szeroki

pasek swojego mundurka. W głowie tej dobrodusznej Szkotki nie mieścił się fakt, że ktokolwiek mógłby potraktować własne dziecko tak, jak Lisa potraktowała biednego, małego Scotta. Porzucenie męża w tydzień po ślubie i pozostawienie dziecka pod opieką kogoś obcego na długie pięć lat wydawało się jej okrutną, niezwykle i absolutnie nieuzasadnioną karą. W ciągu tych lat ona też dowiedziała się pewnych rzeczy o ojcu dziecka — takich, od których burzyła się jej zazwyczaj flegmatyczna natura. Zapewne usprawiedliwiało to rozstanie się małżonków, ale z pewnością nie było w stanie wyjaśnić ozięblej obojętności wobec niewinnego dziecka. Na szczęście była jeszcze ona, niania, która zapełniła powstałą dziurę i przez to dziecko stało się jakby jej własnym. Tata trzymał się na dystans, a kiedy okazjonalnie usiłował wywierać na dziecko jakiś wpływ, narażał się natychmiast na jej gniewną reakcję, wyrażoną za pomocą niezwykle ostrego, celtyckiego języka. Po czymś takim przez dłuższy czas nie próbował się wtrącać.

Tak więc Scott osiągnął wiek, w którym, jak twierdzą jezuici, charakter dziecka jest już ukształtowany, nie znając ani matki, ani ojca. Niania dostrzegała skutki tego, pomimo ogromnych wysiłków, by zastąpić mu rodziców. Chłopcu brakowało pewności siebie i choć na pokaz robił wrażenie bardzo żywego i dzielnego dziecka, był niezwykle uczuciowy. Wydawał się przewodzić rówieśnikom, gotów pozornie angażować się we wszelkie możliwe przygody, ale w rzeczywistości był kruchy i delikatny, wrażliwy i samotny, ze świadomością pustki w miejscu, gdzie powinni być matka i ojciec. Tego właśnie Nellie McTaggart nie mogła i nie chciała wybaczyć Lisie Blass. Tego i jej nagłego, nie chcianego przez nikogo powrotu. Jeśli wejdzie teraz w ich życie i upomni się o to, co tak bezmyślnie, kapryśnie porzuciła, to całkiem możliwe, że wyrządzi dziecku krzywdę nie do naprawienia.

Usta niani zacisnęły się gniewnie na myśl o tym prawdopodobnym przecież konflikcie, jaki musiałyby w tej sytuacji powstać między nią a Lisą. Bo ona z pewnością stanie w obronie tego szkraba, którego malutka dłoń spoczywała w jej ręce. Może i była służącą, ale z całej duszy czuła się nianią, zobowiązaną do przestrzegania starych wzorców, przypisywanych przez wieki tej dość specyficznej funkcji. A ona przecież nie tylko była angielską nianią — była nianią ze Szkocji. Hrabiowie i książęta udający polityków i sędziów Sądu Najwyższego, przy swych żelaznych nianiach stawali się czystymi, grzecznymi, małymi chłopcami, gdyż to one uczyły ich siadać na nocnik i wołać siusiu.

— Chodź, kochanie. Staniemy przy ruchomych schodach. Będziemy mogli zobaczyć, jak mamusia zjeżdża na dół. Powrót Lisy do domu był zupełnie inny niż jej wyjazd. Przede

wszystkim miała swój orszak. Dwie sekretarki, eleganckie i dobrze wyszkolone, które niosły swoje małe elektroniczne maszyny do pisania i podręczny bagaż Lisy. Stały teraz tuż za nią na ruchomych schodach po obu stronach jak gwardia pretonańska. , Po drugie — byli witający ją. Lisa nie czuła się znaczącą osobistością jak to sobie wyobrażał w swojej dziecięcej fantazji Scott ale z odgarniętymi do tyłu włosami i w tweedowym płaszczu o szerokich ramionach, podkreślającym jej zgrabną sylwetkę, wyglądała imponująco. Pani McTaggart pomyślała na jej widok, że Lisa Blass jest zaskoczona ich obecnością.

Lisa faktycznie była zaskoczona, kiedy spojrzała w dół i dostrzegła drobnego, doskonale zgrabnego potomka Bobby'ego Stansfielda, patrzącego w ślad za pokazującym ją palcem mam.

Czuła się przygotowana na wszystko, tylko nie na to. Scott Starr. Scott Blass? Och, nie. Jej syn był po prostu Scottem Stansfieldem.

Kiedy znalazła się tuż przed nim i popychany przez mamę zrobił pierwszy, niepewny krok w jej stronę, Lisa poczuła, że nie jest w stanie nabrać tchu Te uderzająco niebieskie oczy, piaskowy kolor włosów układ ust, kształt uszu. Boże, jak ona potrafi z tym wszystkim zyc, jesh tak bardzo nienawidzi człowieka, który to stworzył?

— Przywitaj mamę — powiedziała Nellie McTaggart z upomnieniem w głosie. — Daj mamusi buziaka — dodała teatralnym szeptem do ucha Scotta.

Usta Stansfielda przybrały wyraz determinacji.

— Nie chcę — odparł z uporem.

— Ależ oczywiście, że chcesz, kochanie.

— Właśnie że nie.

— Nie szkodzi, nianiu. Przyjdzie na to czas później — powiedziała Lisa, zastanawiając się w duchu, czy faktycznie kiedyś tak będzie

A co ona czuła? Czy jej uczucia były takie, jak powinny? Niezupełnie. To niezwykle podobieństwo ją zaskoczyło, ale było to zaledwie niepokojące Poruszyło, lecz nie nastawiło negatywnie do synka. Mały człowieczek, ładny, nawet piękny, który nie był jednak częścią niej samej -i nawet Scott zdawał się to widzieć. To właśnie brak jakichkolwiek uczuć najbardziej ją martwił; pustka, próżnia zamiast miłości. Uzmysłowało jej to szkodę, jaką wyrządził los jej psychice. Zewnętrznie wydawała się nie zmieniona, ale rany wewnątrz były ogromne, a jej osobowość poskręcana i w bliznach. Aby usunąć ból, musiała oduczyć się przeżywać wszystkie inne uczucia, prócz pragnienia zemsty. Zdawała sobie sprawę, że skrzywdziła to dziecko, które teraz patrzyło na nią oskarżycielsko, ale me bardzo potrafiła wzbudzić w sobie poczucie winy.

— Musimy poznać się od nowa, prawda? — powiedziała, w równym stopniu do siebie samej, jak i do słuchaczy, ale kiedy kierowca ruszył by przynieść jej bagaże, myśli Lisy zwróciły się do olbrzymiego kredytu jaki wzięła na hipotekę biura przy Madison Avenue, i do czterech milionów jakie pożyczyła z Citybank pod zastaw akcji „Blassa”. Pieniądze były już w ruchu i w ciągu kilku dni najlepsi redaktorzy i najpopularniejsi autorzy otrzymali oferty, których nie mogli odrzucić.

Lisa grała bardzo ryzykownie, ale długie lata samotności i pustki spowodowały, że była spragniona sukcesu i chciała go odnieść możliwie jak najszybciej. Kiedy marzyła o władzy, jaką pewnego dnia miała odziedziczyć, w myślach przygotowywała listę ludzi, którzy byli jej potrzebni. Miała gotowy plan i czekała tylko na śmierć Vernona Blassa licząc, że ow dotrzyma słowa. Kiedy tak się stało, natychmiast zaczęła realizować to, co już przecież w najdrobniejszych szczegółach przygotowała.

Idąc w kierunku rolls-royce'a i ciągnąc za rękę zaciekawionego syna, przez ramię wydawała polecenia jednej z sekretarek.

— Przypomnij Kenowi Farlowowi z handlowego, aby natychmiast gdy się ukaże książka Anne Liebermann, sprzedał ją na aukcji księgarńom rozprowadzającym książki w miękkiej okładce. I powiedz mu, że chcę na wysoką cenę. Nie chcę kurzego gówna, dobrze?

— A co zrobimy z pytaniem HBO o miniserie?

— Chromol miniserie, niech sprzedają książkę od razu w dużym nakładzie. Przepraszam, nianiu.

— Chromol — powtórzył Scott i zachichotał.

— Grzeczni, mali chłopcy nie mówią takich brzydkich słów — powiedziała mama, tak samo do Scotta, jak i do Lisy. Ale Lisa nie usłyszała tego upomnienia. Z powrotem znalazła się w domu, tym razem jechała we właściwą stronę, wzdłuż wybrzeża drogą prowadzącą od mostu przy Southern Boulevard. Niania i to' czego me powinny robić małe dzieci, przestało ją zupełnie obchodzić' I teraz trzeba było wycisnąć jak najwięcej za książkę Liebermann żeby zapewnić dopływ gotówki na przemiany w Wydawnictwie Blass A potem... No, potem będzie jeszcze czas na zjedzenie tej żaby która zaczęła jeść tak dawno temu.

Christie Stansfield zjadła trochę za dużo ciasta czekoladowego podanego na podwieczorek u babci i czuła, że zaczęło ją mdlić Ale' me zamierzała się poddać, bo mogłoby to popsuć wydarzenie, na które czekała od tygodnia. Siedziała więc spokojnie, wyglądając jak mały

aniołek — cała w jasnych loczkach, z niebieskimi oczami — mając nadzieję, że to zabawne uczucie w jej brzuszku szybko minie.

Bobby Stansfield spoglądał na nią z zadowoleniem ponad nakrytym śnieżnobiałym obrusem stolikiem do herbaty w domu jego matki. Pewnych zjawisk nie dawało się wyjaśnić i, jego zdaniem, jednym z nich była jego córka.

Czymkolwiek było owo coś, co płynęło w żyłach jego żony, na pewno nie miało to nic wspólnego z dobrocią; Bobby czuł się na tyle realistą, że zdawał sobie sprawę, iż żadne z rodziców tego dziecka nie zasługiwało w gruncie rzeczy na określenie „dobry”. Dziwnym zrządzeniem losu jednakże stworzyli Christie — najlepsze, najgrzeczniejsze dziecko, jakie można było sobie wyobrazić.

Od pierwszych chwil Christie okazała się zupełnie inna niż pozostałe dzieci. Pogodna i spokojna, rzadko płakała jako niemowlak, a okropny wiek do dwóch lat, który zazwyczaj jest najtrudniejszy do przetrwania dla rodziców, przy niej był słodkim okresem obserwacji uroczego i rozsądnego, łatwo uczącego się dziecka. Nigdy nie trzeba jej było mówić, że ma się dzielić z innymi dziećmi swoimi zabawkami. Raczej należało dziewczynkę powstrzymywać przed oddawaniem wszystkiego. Wydawało się, że zależy jej jedynie na tym, aby wszyscy dookoła byli szczęśliwi i starała się doprowadzić do tego z taką determinacją, jakby była dzieckiem bożym. Jak dotąd, jeśli miała jakieś wady, to chyba jedynie właśnie tę, z powodu której obecnie cierpiała w cichości ducha. Bardzo lubiła jeść i nie umiała się oprzeć niczemu, co było oblane czekoladą. Chociaż więc jej twarz mogłaby oczarować Botticellego, można było oczekiwać, że kiedy stanie się dorosła, tusza będzie dla niej problemem. Bobby, który tak desperacko pragnął chłopca, w stosunku do swojej córki zachowywał się jak neofita i kochał ją tak bardzo, że sam się dziwił, jak było to w ogóle możliwe. Kochał ją i otaczał wręcz nabożnym podziwem.

— Dobrze się czujesz, skarbie? — spytał zupełnie niepotrzebnie.

— Tak, dziękuję, tatusiu. To cudowne przyjęcie — skłamała. Czula się z tego powodu trochę winna, ale za nic nie chciała zakłócać tradycyjnej spokojnej atmosfery, jaka towarzyszyła cotygodniowym podwieczorkom u babci.

Wiedziała, jak bardzo ojciec i babcia czekali na te spotkania.

— Jeszcze kawałek ciasta, kochanie? — spytała Caroline Stansfield. Z upływem lat nie traciła swojej niesamowitej zdolności trafiania w najczulsze miejsce. Nadzwyczaj ciężko strawne ciasto z modnych delikatesów „Poinciana” było znane w Palm Beach jako „zabójczy placek”.

— Nie, dziękuję, babciu, ale chętnie wypiłabym jeszcze trochę herbaty.

Caroline Stansfield posługiwała się delikatną porcelaną z Limoges z prostotą osoby urodzonej w rezydencji: najpierw zimne mleko, następnie herbata z imbryka i w końcu gorąca woda ze srebrnego dzbanka w stylu Jerzego III. Podawała filiżankę, spodek i cukierniczkę wnuczce. Jej stare ręce poruszały się sprawnie, pozytywnie świadcząc o ciągle dobrym stanie umysłu, którego wiek nie zdołał przyćmić.

— Myślę, że przydałoby się jeszcze trochę gorącej wody, Brown. Stary kamerdyner wyłonił się niespodziewanie z cienia na tarasie,

aby wykonać polecenie pani. Po uporaniu się z herbatą przyszła pora na politykę. Zazwyczaj tak właśnie było.

— Jak wygląda poparcie dla ciebie w Dallas?

— Ci, którzy mnie popierają, są bardzo oddani. Cała ta od lat prowadzona praca z fundamentalistami przyniosła efekty. Problem polega jednak na tym, że ich poparcie jest bronią obosieczną.

— Na razie może to być prawdą — stwierdziła refleksyjnie Caroline. Przebierała palcami po podwójnym sznurze pereł, którymi ozdobiła pomarszczoną szyję. — Ale wyczuwam w Ameryce nowe nastroje: głód celów, potrzebę odrodzenia duchowego. Myślę, że samochody i maszyny do mycia naczyń przeżyły się już, a politycy nie dostrzegają tej potrzeby. Za dziesięć lat możemy już nie poznać tego kraju.

Zrobiła przerwę, jakby dla zastanowienia się, czy chciała dożyć tej chwili. Podjęła decyzję. Wszystko będzie w porządku, jak długo Stansfieldowie znajdują się w czołówce.

— Myślę, że powinniście trzymać z tymi gorliwcami, Bobby. Być może dziś wydają się fanatykami, ale patrząc na rozwój sytuacji, wczorajsi konserwatyści obecnie wyglądają na zdeklarowanych socjalistów.

— Jestem skłonny zgodzić się z twoją opinią, mamó.

Ooch! Żołądek Christie zaprotestował. Herbata nie pomogła. To, co wydawało się zaledwie ewentualnością, nagle zaczęło być całkiem prawdopodobne.

— Babuniu, czy mogłabym wstać? Muszę pójść do łazienki. — Christie modliła się w duchu, żeby nikt nie zauważył, jak zbladła. — Oczywiście, kochanie.

Wykorzystując nieobecność Christie, Caroline poruszyła delikatny temat, w pewnym stopniu również związany z polityką.

— To takie kochane, słodkie dziecko, Bobby. Jak się ma jej matka? — Caroline starała się nie używać imienia Jo-Anne. Zawsze mówiła o niej „twoja żona”, „matka Christie” lub, czasami, mniej uprzejmie.

Bobby roześmiał się lekceważąco. — Och, wiesz, jaka jest Jo-Anne!

Zajęta rozgrywaniem swojej gry towarzyskiej, zupełnie tak, jakby od tego zależało jej życie. Od śmierci Marjorie Donahue wydaje się tkwić w centrum wydarzeń. Gdyby poświęciła mojej karierze politycznej choć część tej energii, jaką poświęca na bale dobroczynne i przyjęcia, bez wątpienia już dawno odniósłbym sukces.

Twarz Caroline przybrała chytry wyraz. Uważnie obserwowała syna. Taki przystojny. Zdecydowanie materiał na prezydenta. Ma bez porównania większe szanse niż biedny, stary Fred. A kiedyś wcale nie była pewna, czy naprawdę bardzo tego chce.

— Zdaje mi się, że Lisa Blass wróciła do miasta. Najwyraźniej Vernon wszystko jej zostawił. Nieźle, jak na pięć lat pracy.

Przez twarz Bobby'ego przebiegł cień. Lisa Starr. Jego Lisa. Poślubiona starcowi, rodząca Blassowi dziecko. Ta, która usunęła jego dziecko.

Przed oczami stanął mu obraz wstrząśniętej twarzy Lisy, kiedy dosięgły jej wypowiedziane przez niego okrutne słowa i przypomniał sobie rozgoryczenie i nienawiść, z jaką na niego patrzyła. Nie wiedział już, co czuł do tej dziewczyny, ale nigdy jej nie zapomniał, a zmysły, wyćwiczone przez lata zajmowania się polityką, podpowiadały mu, że były powody, dla których powinien się jej obawiać. Zwłaszcza teraz, kiedy w końcu stała się kobietą o niemałych wpływach.

W toalecie na parterze Christie Stansfield wcale nie czuła się dobrze, ale nikt nie powinien o tym wiedzieć. Poczekaj, aż to wreszcie przejdzie, potem posprząta i wróci na górę jakby nigdy nic. Ciasto czekoladowe. Oooch! Nachyliła się nad muszlą i czekała na to, co musiało nastąpić.

Scott Blass leżał ponuro na sofie pokrytej jedwabną surówką, obserwując matkę. Wyraz nieprzychylnej obojętności na jego twarzy był typowy dla wszystkich bogatych nastolatków świata, ale kryły się pod nim dalekie od zwykłych uczucia. Uczucia sprzeczne ze sobą, poplątane jak drut kolczasty wymieszany z różami, tak odległe od siebie jak adoracja i wściekłość.

Lisa Blass, obojętna na obecność siedemnastoletniego syna, rozmawiała przez telefon pochłonięta tym bezgranicznie, jak urodzony biznesmen. Wlewała w tę rozmowę cały swój urok, energię i pragnienie — wszystko to, za co Scott oddałby z radością duszę, gdyby było skierowane do niego. Trwało to od chwili, gdy zobaczył matkę po raz pierwszy, pachnącą i wyglądającą jak bogini, kiedy zjechała do mego ruchomymi schodami na międzynarodowym lotnisku w West Palm. Od tej chwili pokochał ją, ale jego miłość nie została odwzajemniona. Był to zdecydowanie najbardziej frustrujący czynnik jego dotychczasowego życia. Czy matka nie powinna kochać swojego syna? Bez końca poszukiwał przyczyn jej obojętności i nie mogąc ich dociec, doszedł do wniosku, że wina zapewne leży po jego stronie, że jakaś straszna wada jego charakteru doprowadziła do takiego stanu rzeczy. Z racji jakiegoś tajemniczego mankamentu matka nie mogła go pokochać, nie był wart matczynego uczucia. Przez wszystkie lata strasznej tęsknoty tylko jedno pozostało niezmiennie. Nigdy nie porzucił nadziei i nigdy nie przestał się starać. Nocami, przeżywając wrażenia z minionego dnia, zastanawiał się i planował, co zrobić, żeby zaczęła się nim interesować, jak ją zmusić, by pokochała go naprawdę.

— Powinieneś dostać deskę surfingową, kochanie. To taka dosko-

nała gimnastyka — powiedziała kiedyś. Miał wtedy sześć lat. Teraz był mistrzem stanu Floryda.

— Tak bardzo podziwiam mężczyzn, którzy znają się na silnikach samochodów.

Następnego dnia ubłagał Charliego Starka, aby przyjął go do warsztatu jako bezpłatnego pracownika i przez całe lato pracował w „Mustang Paradise”, póki nie nauczył się składać silnika mustanga z 1977 roku z elementów, z jedną ręką zawiązaną na plecach.

— Chłopak, wychowany na ulicach West Palm, jest wart pół tuzina patetycznych okazów, jakie spotyka się w tej okolicy. — Przez całe dwa lata nie zadawał się z nikim, kto miał właściwy akcent i był odpowiednio ubrany, utrzymując kontakty wyłącznie z brutalnymi, twardymi łobuziakami z sąsiedztwa barów, takich jak Roxy'ego, oraz członkami młodzieżowych grup country, występujących po drugiej stronie linii kolejowej biegnącej nad wybrzeżem. Ale to wszystko nic nie dało. Lodowata obojętność matki nie zanikła. Jak prawa Medów i Persów, nie ulegała zmianom. I nie w tym problem, żeby matka była dla niego niedobra, czy nawet — żeby go ignorowała. Zawsze była gotowa udzielić Scottowi rady i dodać otuchy. Tylko po prostu wydawało mu się, że wcale jej nie obchodzi i to właśnie wywoływało głęboką frustrację chłopca.

Matka uśmiechała się i mówiła dużo miłych rzeczy, ale według Scotta z pewnością wcale nie czuła się zadowolona z tego, co słyszała w odpowiedzi.

— No nie, Mort, jestem absolutnie zdumiona. Nie miałam pojęcia, że Anne nie jest zadowolona z umowy. Chodzi mi o to, że spędza z nami ten weekend. Jest teraz na dworze, przy basenie. Nigdy nie wspomniała o tym ani słowem.

Przez dłuższy czas ktoś do niej mówił.

— Nie, oczywiście, że nie. Jesteśmy przecież wszyscy zaprzyjaźnieni. Anne i ja zaczynałyśmy od samego początku. Razem postawiłyśmy „Blassa” na nogi. Umowa nie stanowi problemu. Nie chciałabym zmuszać Anne, jeśli czuje się nieszczęśliwa.

Lisa przerwała. Powiedziała to nieszczerze. Można było wyegzekwować realizację umowy, jeśli doszłoby do takiej konieczności. Ale wiązałoby się to z najgorszymi scenami, jakie tylko można sobie wyobrazić, a Anne Liebermann potrafiła zrobić wiele szumu wokół takiej sprawy. Cholera! Czemu wszyscy byli tacy potwornie zachłanni? Dzięki pięciu kolejnym bestsellerom, wszystkim wydanym przez „Blassa”, Anne Liebermann stała się multimilionerką, a mimo to najwyraź-

niej była gotowa dopuścić do zerwania przyjaźni dla niewielkiej sumki Tyle ze milion dolarów w gruncie rzeczy nie był taką małą sumką.

Kiedy agent z Nowego Jorku wyjaśniał swój punkt widzenia, Lisa zapatrzyła się w sufit, szukając tam inspiracji. Trzeba przyznać, że był dobry. Wart każdego centa swoich piętnastu procent. Zadał sobie trud skontaktowania się ze wszystkimi wydawnictwami i Lisa wiedziała że nie kłamie. W poniedziałek rano Anne Liebermann mogła stać się autorką Random House. Jak dotąd nie zdarzyło się jeszcze, żeby Wydawnictwo Blass utraciło swojego autora — raczej skutecznie odbierali autorów innym firmom. Gdyby mieli utracić perłę swojej korony, wtedy, być może, i inni autorzy spróbowaliby pomyśleć o tym samym. Byłoby to początkiem końca, a inni wydawcy zaczęliby się wówczas wysuwać na czoło listy. Na myśl o tym Lisie zrobiło się zimno. Nie, trzeba kupić Anne Liebermann i to, w miarę możliwości, za mniej niż milion.

— Cóż, Mort. Daj mi weekend na przemyślenie tej sprawy Zadzwoń do ciebie w poniedziałek z samego rana, dobrze? Zobaczą co się da zrobić, żeby zmiękczyć Anne. Wyciągnę z mojej piwniczki najlepsze trunki. Cha, cha! Tak. Dobrze, Mort. Do usłyszenia Cześć

Energicznie trzasnęła słuchawką. — Psiakrew! Do diabła z tym wszystkim! Cóż za złodziejska, zachłanna dziwka! Gdzie jest ta gruba chciwa na pieniądze krowa?

Scott nastawił uszu. Jak zawsze, matka wywoływała w nim sprzeczne uczucia. Cieszył się, że ktoś ją zirytował, a jednocześnie było mu z tego powodu bardzo przykro.

— Co się stało, mamó?

Lisa spojrzała na swojego superprzystojnego syna, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

— Ta przekłeta Anne Liebermann usiłuje wykręcić się z umowy i wyciągnąć od nas znacznie więcej pieniędzy.

— Nie możesz jej zmusić do wywiązania się z zobowiązań? — Wydawało się to całkiem rozsądnym pytaniem. Po to przecież zawiera się umowy.

— W tego typu działalności, jeśli autor nie jest zadowolony z umowy, to tak, jakbyś wcale nie miał z nim kontraktu. Nie da się osiągnąć niczego, próbując przykuć twórcę do maszyny do pisania wbrew jego woli. Nie, po prostu będą musiała zapłacić tyle, ile zechce i spróbować zmiękczyć ją trochę w czasie weekendu.

W oczach matki pojawił się nagle odległy, zamyślony wyraz — Zapewne mógłbyś mi w tym pomóc, kochanie. No, wiesz trochę jej poschlebiac. Jesteś w tym taki dobry. Myślę, że w czasie lunchu robiła wrażenie zainteresowanej tobą.

Scott poczuł, jak przepływa przez niego fala ciepła. To już był prawie komplement. Matka powiedziała mu właśnie, że jest czarujący i nawet poprosiła o pomoc. Boże! To już coś!

Wstał, bardzo starając się zachować chłodny wygląd, mimo rozpierającej go dumy.

— W porządku, mamó. Nie ma sprawy. Zobaczę, co się da zrobić. Mówiłaś, że jest koło basenu?

Ciało Anne Liebermann drżało z radości i wiele dałaby za to, aby to uczucie trwało jak najdłużej. Cóż to była za noc!

Dwa razy z rzędu, a ona już przestała liczyć, że jeszcze w ogóle jej się to przytrafi. W jej książkach zdarzało się często, że bohaterka miała romans z niebieskookim, jasnowłosym młodzieńcem, ale sama Anne nie była przygotowana na przeżywanie tego w rzeczywistości. Następnym razem, gdy przyjdzie jej stworzyć taką scenę, maszyna do pisania będzie rzucać iskry. Stanie się to opisem rzeczywistości, a nie fikcją. Było tylko jedno intrygujące pytanie: dlaczego? Bogata i sławna, nie miała najmniejszych złudzeń co do swojego wyglądu, a Scott Blass był na tyle młody, że z powodzeniem mógłby być jej synem. Jednak w tej chwili miało to charakter pytania akademickiego.

Najważniejsze to znaleźć sposób, by wrócił do łóżka i powtórzył wszystko jeszcze raz przed śniadaniem.

Wpatrywała się w sufit ozdobiony rzeźbionymi listwami, szukając tam dobrego pomysłu. Ale duch Addisona Miznera nie był najwyraźniej zainteresowany jej przeżyciami. W gruncie rzeczy cały pokój — z ciężkimi meblami, poważnymi obrazami na ścianach i owym andaluzyjskim duchem — nie wydawał się zachęcający do seksu, a co więcej, totalnie obojętny wobec tak trywialnej działalności.

Przez otwarte okno sypialni Scott widział blade, spienione fale, podpływające spokojnie ku plaży. Cudownie! Będzie mógł popływać na desce. A później spotka się z chłopakami na East Inlet i pojedzie na nowej deskorolce typu Impact. Oczywiście, jeśli uda mu się oderwać od najlepiej sprzedającej się na świecie autorki.

— Dużo bym dała, żeby wiedzieć, o czym myślisz, Scott. — Głos i błyszczące, brązowe oczy były zdecydowanie najatrakcyjniejszymi cechami Anne Liebermann. Reszta wydawała się katastrofalna, ale na szczęście w tej chwili pozostawała ukryta pod jedwabnym prześcieradłem, które znana autorka podciągnęła aż pod szyję.

— Och, o niczym szczególnym. Patrzyłem na fale. Powinna być dobra pogoda na surfing.

Anne nie odezwała się — ryba nie brała. Do licha! On się nią wcale

nie interesował. Nie ma co uciekać przed tą myślą. A po dwóch cudownych nocach była już na najlepszej drodze do tego, żeby się przyzwycząić! Nagle poczuła się tak, jakby ściągnięcie z chłopaka spodni i zmuszenie go do powrotu do łóżka stało się jedną z ważniejszych spraw jej życia. Równie ważną, jak przekazanie praw autorskich stacji telewizyjnej ABC lub przedruk jej serii w „Cosmopolitan”.

— Dobrze ci było ostatniej nocy, Scott? — zapytała kokieteryjnie, zanim pomyślała, co robi. Do licha! Jak ludzie mogą wierzyć w wolną wolę? Przecież nie miała najmniejszego zamiaru zadać tego pytania.

Scott odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Czy było mu dobrze? Zniósł to jakoś. Zrobił to dla uwielbianej matki, aby nie musiała wydać pieniędzy, które tak chciała zaoszczędzić. Przeżył to jakoś, ale zarówno jego plecy, jak i umysł nosiły na sobie ślady tego poświęcenia. Starał się myśleć tylko o matce. Chciała, żeby był „miły” dla Anne Liebermann i przecież był „miły”. Miał tylko nadzieję, że znajdzie to odzew w rachunkach firmy. Być może, tylko być może, Anne zdecyduje się zostać w Wydawnictwie Blass i zrezygnuje z miliona dolarów, zadowolając się na przykład pięciuset tysiącami. Jeśli tak, to ciężko zapracował na każdego zaoszczędzonego w ten sposób dolara. Opanował ogarniającą go irytację.

— Och, tak, oczywiście, że tak. — Kłamstwo nie zabrzmiało zbyt przekonywająco. Ale czegoż ona u diabła chciała? Podziękowań? Cytatu na okładkę swojej następnej powieści? Czegoś w stylu: „Anne Liebermann pieprzy się równie dobrze jak pisze — Scott Blass, mistrz surfing”, co umieszczono by między cytatami z „People” i „News-weeka”? Anne Liebermann chciała mu uwierzyć, ale nie bez powodu była autorką pięciu kolejnych najlepiej sprzedających się książek. Coś musiało się kryć za tym, że Scott Blass starał się sprawić jej przyjemność i Anne podejrzewała, co to jest. Usiadła w łóżku, starannie zasłaniając swój tłusty brzuch.

— Scott, czy mama wspominała ci o tym, że prawdopodobnie przestanę pisać dla „Blassa”?

Anne nie była rozpieszczana jako dziecko, ale niezwykły sukces, jaki odniosła w ciągu ostatnich dwunastu lat, rozwinął w niej cechy rozkapryszonej dziewczynki. Była bezpośrednia, wygadana i dość bezwzględna. Wpatrywała się w niego intensywnie, żeby zobaczyć jak zareaguje na ten strzał.

Na twarzy Scotta odmalowała się wyraźna odpowiedź. Wyglądał jak znokautowany. Zupełnie nie spodziewał się takiego pytania. Kiedy byli razem, miał wrażenie, że Anne Liebermann dawała się ponieść

namiętności. A teraz wyglądało na to, że trwała ona chwilę. Poczuł, jak rumieniec wypływa mu na policzki i starał się jak najbardziej przekonywająco zaprzeczyć temu, o czym Anne Liebermann wiedziała.

— Och, nie. Nie wspomniała mi o tym. Jakie to okropne! Dlaczego miałybyś to zrobić?

Anne dostrzegła jego zmieszanie. W porządku, a więc to tak. Lisa Blass podpuściła syna, żeby zafundował jej trochę seksu i tym ją przekupił. Uff. To nieładnie. Matki zazwyczaj są przeciwne takim rzeczom. A może Scott zrobił to na własną rękę, a Lisa była tylko mimowolną współniczką w tym spisku? Wszystko jedno. To tylko pewne, że ofiarowano jej dwie noce pełne rozkoszy, by utrzymać ją w wydawnictwie Blassa. Niewiele brakowało, a roześmiałyby się w głos na tę myśl. Sprytne!

— Och, być może nie odejdę, Scott. Może zostanę tu, gdzie jestem — powiedziała chytrze, przewracając oczami. Początkowe rozczarowanie świadomością, że nie była kochana ze względu na siebie samą, minęło. W życiu naprawdę rzadko spotyka się ludzi uczciwych i była w wystarczającym stopniu realistką, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Na tym świecie trzeba być przygotowanym, aby korzystać z tego, co się ma, żeby zdobyć to, czego się chce. Nie ulegało wątpliwości, że ona też czegoś chciała. Potargują się więc.

— Mam nadzieję, że tak właśnie zrobisz.

— Naprawdę, Scott? Zastanawiam się, jak bardzo ci na tym zależy.

— Ależ naturalnie że tak, Anne. Daj spokój, to chyba jasne, nie? — Scott wcale nie był pewien, czy dobrze wybrnął. Wydawało mu się, że jego plan został przejrany na wylot. Ciągle jeszcze miał nadzieję, że nie wszystko stracone, ale wyglądało na to, iż będzie musiał jeszcze nad tym popracować.

— Czemu nie przyjdiesz tu i nie udowodnisz, co, Scott?

Poczuł, jak podskakuje mu żołądek. Och, nie! Nie przed śniadaniem. Musi być przecież jakieś wyjście z tej sytuacji, jakieś uprzejme wyjście.

— Nie teraz, Anne. Spóźnimy się na śniadanie, a to zawsze strasznie irytuje mamę. Później, dobrze?

Matka. Nawet teraz nie potrafi się od niej oderwać. Pieprzył się dla niej, a teraz używa jej jako wymówki. I to wszystko z pewnością nadaremnie. Jeśli udałoby mu się osiągnąć upragniony cel, jego wkład w dzieło znów zostałyby zignorowany. Jak zawsze zostałyby z tego wyłączone, pominięto by go, potraktowano z góry — jak jakąś piękną, ale zupełnie bezużyteczną chińską wazę z epoki Ming. Coś, co należy podziwiać, cenić, ale czym nie należy sobie zaprzętać głowy. Gdyby

tylko istniała metoda na to, by zmusić matkę do zwrócenia na niego uwagi; zająć centralne miejsce na scenie, tak żeby zaczęła interesować się jego życiem, żeby stała się obserwatorem z pierwszego rzędu. Przecież tylko o to prosił. I nigdy dotąd nie uzyskał tego.

Nagle Scott poczuł się tym wszystkim zmęczony. Zmęczony i głodny. W jadalni są na pewno francuskie grzanki, bekon i jajecznica. Żeby zrobić to co on, trzeba mieć odpowiedni nastrój. Starał się, jak mógł.

Rzucił w jej stronę uśmiech, który, jak miał nadzieję, był ciepły, i z determinacją ruszył do drzwi.

— Dopilnuję, żeby zostawiono ci śniadanie. Zobaczymy się później — wydusił z siebie, opuszczając scenę.

Jak śmiesz siedzieć tu jak jakiś pyzaty aniołek i pouczać mnie, jak powinnam się zachować! Na Boga, Christie, ten świat jest niebezpieczny. Uwierz mi, znam go. Jeśli nie strzelisz pierwsza, skończysz w gównie.

Bobby Stansfield wstał z leżaka, zrzucając stos pomiętych dzienników. Jego opalona twarz była niebezpiecznie zaczerwieniona.

— Nie waż się odzywać w ten sposób do mojej córki — krzyknął na cały głos, groźnie zbliżając się w stronę Jo-Anne. — Nie waż się, słyszysz? Słyszysz, co mówię?

W ciągu sekundy Christie znalazła się między nimi. Jak sędzia, negocjator pokojowy, świadomy przeciwnik wojny, nieporządku, gniewu. Jej długie, jasne włosy opadały swobodnie na ramiona, loki otaczały okrągłą, pociągającą twarz. Piegowate policzki, niebieskie oczy, zadarty nos i pełne, duże usta. Była apetyczna.

— Proszę, nie kłóćcie się. To moja wina. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak pompatycznie, mamó, ale zdaję sobie sprawę, że tak było. Przepraszam, wybacz mi.

Bobby był tak wściekły, że z trudem mógł wydusić z siebie słowo.

— Nie przepraszaj. Nie ma powodu. Słyszałem, co powiedziałaś. Masz absolutnie rację. Życie nie składa się jedynie z kariery towarzyskiej. Nie ma prawa mówić do ciebie w ten sposób.

— Ależ ma, bo jest moją mamą i bardzo ją kocham. — W oczach Christie pojawiły się dwie wielkie łzy.

Bobby poczuł, że złość ulatuje z niego jak powietrze z przebitego balona. Christie zawsze tak robiła. Miała talent do nadstawiania drugiego policzka. Skąd jej się to wzięło? Nigdy nie było nikogo takiego jak ona w rodzinie Stansfieldów, a sądząc z nielicznych informacji, jakie miał o rodzinie swojej żony, tam również nie trafił się zapewne nikt z takim charakterem.

— Och, to miło, że tak mówisz, kochanie. — Jo-Anne poczuła, jak przepływa przez nią fala czułości. W obecności nieograniczonego dobra czuła się zawsze niewyraźnie i to właśnie było jednym z powodów, dla których nie umiała ułożyć sobie stosunków z córką, ale czasami Christie budziła w niej ciepłe uczucia.

— Przepraszam, moja droga, zareagowałem zbyt ostro — odezwał się w końcu Bobby na fali ogólnej skruchy, która ogarnęła całą trójkę.

Atmosfera wydawała się właściwa do wyznań.

— Masz zupełną rację, Christie, że to nie po chrześcijańsku z mojej strony tak bardzo nienawidzić Lisy Blass.

Powinam umieć być ponad to, ale jest tak okropnie pewna siebie od czasu, kiedy to jej wydawnictwo znalazło się w czołówce. Zarobiła tak potwornie dużo pieniędzy, że to aż nieprzyzwoite. Siedzi w tym wielkim domu i zaprasza każdego, kogo tylko chciałoby się spotkać. I łaskawie pozwala nam dostąpić zaszczytu odwiedzin. Ludzie w tym mieście daliby sobie upuścić krwi, żeby dostać zaproszenie na jedno z jej przyjęć. W zeszłym tygodniu był u niej nawet Michael Jackson, a na ten weekend zaprosiła tego faceta, który odkrył lekarstwo na AIDS, i Anne Liebermann. Jo-Anne pomyślała ponuro, że to wszystko jest niesprawiedliwe. Palm Beach nie powinno ulegać wpływom ludzi odnoszących sukcesy. Było to jedyne miejsce w Ameryce, gdzie popełniało się nietakt, pytając kogoś, czym się zajmuje. Skoro jedyną prawdziwą odpowiedzią mogło być „właściwie niczym”, zadawanie takiego pytania musiało być traktowane jako przejaw wścibstwa. W głosie Jo-Anne zabrzmiało tak głębokie przygnębienie, że wszyscy troje roześmiali się mimo woli.

— Och, mamo, jesteś niepoprawna. Co to ma za znaczenie? Co w tym złego, jeśli to ją uszczęśliwia?

Bobby nie mógł się powstrzymać od wtrącenia swojej uwagi.

— Lisa denerwuje Palm Beach. Nie poddaje się kontroli, a nie można jej ignorować, ponieważ ma to, do czego mieszkańcy miasta modlą się najbardziej. Pieniądze.

Jo-Anne poczuła, jak znowu ogarnia ją złość.

— No cóż, mogę tylko tyle powiedzieć, że jest wredną suką. Była kiedyś moją przyjaciółką, ale stanęła przeciwko mnie po stronie tej obrzydliwej staruchy, Marjorie Donahue. To wszystko zresztą wina twojego taty. To on ją przedstawił wszystkim, a teraz Lisa nawet nie chce z nim rozmawiać.

Christie za wszelką cenę pragnęła podtrzymać wesoły nastrój, a spostrzegła, że jadowite słowa Jo-Anne stwarzały poważne zagrożenie.

— Ach, nareszcie rozumiem. Flirtowała z tatą, a ty po tylu latach

ciągle jeszcze jesteś zazdrosna. Ładnie to tak? Przecież z pewnością musi mieć jakieś zalety, skoro była dziewczyną taty.

— Nie bądź śmieszna, Christie. Jak mogłabym być zazdrosna

O takie nic jak Lisa Blass? Poderwała tego starego durnia Vernona, a w tydzień po ślubie wyjechała z miasta. Coś ci powiem: jeśli naprawdę mnie kochasz, to trzymaj się od niej z daleka. Nie chcę, żebyś się z nią zadawała ani też z kimkolwiek, kto u niej bywa.

— Nie mogłabym być nielojalna wobec ciebie, mamo.

— No to nie bądź — stwierdziła Jo-Anne opryskliwie.

— Szczerze mówiąc — odezwał się Bobby, odłączając się od córki

i żony i zmierzając w stronę leżaka, żeby dopić swojego drinka — ja podziwiam to, co Lisa Blass zrobiła. Zmieniła Wydawnictwo Blass w maszynkę do produkcji pieniędzy i osiągnęła to własnymi siłami. To ona wylansowała Anne Liebermann, której książki wydajesz się czytać z takim zainteresowaniem, i to ona przywróciła dawną chwałę temu wspaniałemu domowi.

Pociągnął z zadowoleniem duży łyk ze szklanki, pewien, że jego cios trafi we właściwe miejsce.

Pod wieloma względami czas okazał się łaskawy dla Bobby'ego. Jak dotąd nie dochrapał się prezydentury, ale — podobnie jak Ted Kennedy — ciągle uważany był za prawdopodobnego kandydata w przyszłości. Za to w Senacie był faktycznie wielką osobistością. Ze względu na długą karierę w tej instytucji został przewodniczącym Komisji Stosunków Zagranicznych. Stał się więc potęgą, drogowskazem. Był najlepszym spośród wszystkich senatorów z długim stażem — kimś, kto jednym mrugnięciem mógł załatwić sprawę najbardziej kontrowersyjnej ustawy. W rezultacie czuł się bardzo pewnie w kularach władzy, mając możliwość dzwonienia do prezydenta, kiedy chciał, przyciągając nieustannie uwagę najpoważniejszych środków masowego przekazu, zafascynowanych wydawanymi przez niego przyjęciami. Nie został królem, ale był tym, który kreował królów, i to było niemal... niemal... dosyć. Nie istniało takie miejsce na ziemi, gdzie nie byłby serdecznie i radośnie przyjmowany, gdzie na jego powitanie nie otwierałyby się ramiona. Z jednym małym wyjątkiem — domu „Villa Gloria” przy South Ocean Boulevard. Lisa Starr — Lisa Blass nie wybaczyła mu, i to bolało. Łatwo ganić Jo-Anne za jej gniew, ale w głębi serca wiedział, że to nie jest w porządku. To on obraził Lisę i okrutnie odepchnął, gdy wielbiła go i kochała. To on nazwał ją lesbijką, opierając się na słowach żony, i właściwie powiedział dziewczynie, że Stansfieldowie nie żenią się z ulicznymi. Niektórzy ludzie po latach zapominają

urazy, ale u innych — tak szanujących się i mających taki charakter jak Lisa — rany pozostają zawsze świeże, ciągle bolą i nie mają szansy się zagoić, są bowiem pielęgnowane w atmosferze nienawiści. A przecież kiedyś Lisa leżała w świetle księżycy w jego ramionach i uczyła się języka namiętności jak gorliwa studentka. Szybko przegoniła nauczyciela pod względem pomysłowości w okazywaniu uczucia. Nawet teraz, po tylu latach, ciągle jeszcze pamiętał jej ciało, jego kształt, cudowny zapach i podniecający dotyk. Nigdy przedtem ani potem nie miał tak wspaniałej kochanki. I nigdy już nie będzie miał.

Ledwie dostrzegł, że Jo-Anne ze złością wstała i odeszła, głośno trzaskając drzwiami od domu. Do diabła z nią! Dziwka! Wszystkie jej sprytnie manipulacje nie powiodły się i nie dały jej szczęścia ani satysfakcji. Nikt nie mógł wygrać gry o pozycję towarzyską. Zawsze ktoś był o oczko wyżej.

Było tylko jedno dobro, które dała mu Jo -Anne i które zmieniło jego życie — Christie. Słodka, cudowna, ukochana Christie. W stosunku do niej nie potrafił być obiektywny. Była Moną Lisą, piękniejszą niż najlepiej opłacana modelka czy odnosząca największe sukcesy gwiazda filmowa. Miss Young America. Dziewczyna z tych, dla których marynarze floty wojennej z radością oddawali życie w obcych krajach. Żywe wcielenie wszystkiego, co najwartościowsze i najpiękniejsze w tym kraju. Christie nie piła alkoholu, nie zażywała narkotyków, była aktywną działaczką w kościele. Szanowała i kochała rodziców, ciężko pracowała w szkole i nie sypiała z chłopakami. Uśmiechnął się żałośnie, myśląc o tym. Ojcowie wcześniej czy później stawali wobec takiego problemu. Miał nadzieję, że uda mu się nie być zaborczym ojcem, kiedy do tego dojdzie, choć wcale nie miał pewności, czy potrafi. Już sama myśl o tym, że Christie mogłaby mieć chłopaka, potwornie go niepokoiła. Spraw, Boże, żeby był to ktoś, kto będzie dla niej dobry. Z pewnością zasługiwała na to, ale przecież w życiu nie zawsze otrzymuje się to, co się komu należy. Postanowił przestać o tym myśleć. Jeszcze nic się nie stało — na razie.

— Chodź, Chris, porzucamy ringo na plaży. Mam na to ogromną ochotę. Aż świerzbi mnie nadgarstek, żeby dać ci dobrą lekcję!

— Jasne, tato.

Wyglądali raczej jak rodzeństwo niż jak ojciec z córką, kiedy biegli przez wielki trawnik w kierunku pokrytej przedwieczornym cieniem plaży.

Nikt poza Anne Liebermann nie miał właściwie ochoty tam iść. Ale Anne była nieustępliwa. Tak więc poszli. Palm Beach schwytane na gorącym uczynku.

Olbrzymi dom przy El Bravo drżał jak membrana bębna, oświetlony i głośny; w jego murach odbywało się ogromne przyjęcie. Lisa uprzedzała, że party u von Preussenów będzie niezwykle wystawne, i miała rację. Już chłopcy parkingowi robili wrażenie. Zazwyczaj ubierano ich w schludne uniformy, czerwone kamizelki, rozpięte pod szyją koszule, czarne spodnie i czarne buty. Dziś jednak byli nadzy do pasa, ich torsy błyszczały od olejku, świecąc się i połyskując w blasku pochodni, które mieli w rękach. Ubrani byli w coś, co przypominało białe, sięgające kolan spódnice i nie mieli na sobie nic więcej, prócz sięgających kostek butów, przewiązanych rzemieniami. Do każdego auta podbiegało ich po dwóch. Jeden trzymał pochodnię, drugi ustawiał samochód. Tak więc już na parkingu przypominano gościom to, co było wypisane na wielkich, połączonych zaproszeniach, ekstrawagancko przyozdobionych krzyżem baronów von Preussen, a mianowicie, że przyjęcie miało być w stylu „starożytnego Rzymu”.

Anne Liebermann wpadła w zachwyty.

— Mówiłam ci, Liso, że to będzie wspaniałe. Spotkałam kiedyś Heinego von Preussena na biennale w Wenecji. On jest zupełnie szalony. Rozkosznie, cudownie szalony. Liso, naprawdę nie powinnaś być taka najeżona. To jest właśnie to, czego potrzebuje Palm Beach — trochę ekscentryczności.

Lisa roześmiała się uprzejmie. Anne Liebermann była szczęśliwa, więc i ona też. Jeśli kilku potomków producentów broni w Niemczech z czasów wojny chciało rozstać się ze swoimi nieuczciwie zdobytymi zyskami i przy okazji dać trochę rozrywki jej czołowej autorce, to Lisa spróbuje zachować dla siebie krytyczne uwagi.

Scott myślał podobnie. Znał kilku z tych chłopców, których bogaty facet zmusił do ubrania się w ten sposób. Byli jego kolegami, razem pływali na deskach. To przebranie można by uznać za niezły żart, bo choć spódnice były okropne, jednak natłuszczona olejkami skóra dawała wspaniały efekt świetlny. I Scott wiedział, że to był numer pokazowy, szokujący gości żart, tyle że miało to swój konkretny podtekst. Otóż von Preussen był homoseksualistą i to dlatego chłopcy parkingowi tak właśnie wyglądali. Anne Liebermann dostrzegła tylko to, co było widać gołym okiem, i cała ta obrzydliwa maskarada wydała się jej „cudownie szalona”. Scott starał się jednak opanować swój zły humor. I tak stracił już punkty rano, odmawiając uprawiania miłości z Anne przed śniadaniem. Byłoby głupio, gdyby musiał całkiem spisać na straty dwie okropne noce.

Towarzysząca im dziewczyna z biura „Blassa”, która odsprzedała swoje akcje pomocnicze, drżała z wrażenia i niepewności. Instynkt podpowiadał jej, że w tym wszystkim, co tu się działo, było coś nieprzyzwoitego, głęboko grzesznego. Była wystarczająco młoda, by nie stać się jeszcze odporną na widok młodych, pociągających ciał i podejrzanej atmosfery, nawet jeśli przybranej w nastrój dekadencji. Miało to też związek z obecnością Anne Liebermann. Mogłaby to traktować jako przyjęcie, na którym występowała prywatnie, ale dla pracowników „Blassa” praca była wszystkim, tak więc to przyjęcie nabierało charakteru służbowego. Anne Liebermann flirtowała z innym wydawcą, należało więc odzyskać jej przychyłność. — Zgadzam się z tobą, Anne. Myślę, że będzie zabawne. Cała ich grupa — obdarzony dużym temperamentem chirurg plastyczny z Brazylii i jego odmłodzona małżonka, występująca także w roli żywej reklamy męzowskich umiejętności przeciwdziałania upływowi czasu; zdobywca nagrody Nobla za wynalezienie szczepionki na AIDS i jego sceptyczna żona, typowa przedstawicielka amerykańskiej klasy średniej; modny, bezpośredni powieściopisarz, którego Lisa dopiero co podkupiła od Knopfa; facet, który kupił miniserię dla ABC i jego gadatliwa, wyglądająca na łatwą przyjaciółka — wszyscy oni zbierali się powoli przed szeroko otwartymi dębowymi drzwiami, zdobionymi żelaznymi okuciami, w portyku ograniczonym kolumnami z białego marmuru.

— Mam wrażenie — Lisa zwróciła się do Anne — że jeszcze tak naprawdę nic nie widziałas z tego, co nas czeka. Tuż za drzwiami stało czterech bardzo pięknych, młodych chłopców. Nie było to czymś dziwnym w posiadłości von Preussena. Tym, co mogło zadziwić, był fakt, że w porównaniu do nich, chłopcy na parkingu byli bardzo obficie ubrani. Ci nie mieli na sobie absolutnie nic z wyjątkiem przysłowiowego listka figowego, przymocowanego cienkimi sznurkami do bioder. Ich ciała pokrywała cienka warstwa delikatnego, białego talku. Stali w bezruchu jak rzymskie posągi, trzymając w dłoniach krótkie smycze, na których przywiązano po cztery gepardy; smukłe, z ostrymi zębami. Aby dojść do gospodarza, goście musieli przejść przez ów specyficzny, niebezpieczny korytarz. Heine von Preussen robił równie silne wrażenie jak jego otoczenie. Wysoki i szczupły, przyglądał się wszystkiemu jak czarodziej z krainy dziecięcych snów. Trudno było określić jego wiek: równie dobrze mógł mieć dwadzieścia, jak i trzydzieści lub pięćdziesiąt lat. Miał kobiecą twarz z dużymi, wilgotnymi, niebieskimi oczami i ładne, pełne usta, w których lśniły drobne, białe zęby. Widać było, że zwracał uwagę na

to, by unikać słońca; jego alabastrowa skóra — miękka i delikatna — przypominała porcelanę miśnieńską. Choć miał blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, poruszał się w sposób przypominający osobę drobną i delikatną. Takie skojarzenie budziły jego wąskie ramiona i dość sprośna wypukłość niewielkiego brzucha, która była widoczna pod obcisłą białą togą. Spod stroju z egipskiej bawełny wystawały zadbane stopy z pomalowanymi na krwistoczerwony kolor paznokciami. Przywitał ich pełnym afektacji głosem, wymachując rękami w rytm słów.

Lisa szła na czele całej swojej grupy, prowadząc ją w stronę gospodarza.

— Myślałam, że to miało być przyjęcie w stylu rzymskim — powiedziała głośno Anne Liebermann. — Czemu więc czuje się grecką atmosferę?

— Spójrz, po prawej stronie stoi Caravaggio — Scott zwrócił się do wirusologa.

— Dobry wieczór, baronie — przywitała gospodarza Lisa. Heine von Preussen przyjął kpiąco wyraźną, powściągliwą wrogość

Lisy. Wystarczająco długo mieszkał w Palm Beach, by zrozumieć jej przyczynę. Miejscowi nie rozumieli tego typu przyjęć. A nawet jeśli rozumieli, to nie pochwalali. Było zaledwie kilku młodych ludzi, takich jak Loy Andersons, organizujący co roku dziki, zaprojektowany przez Bruce'a Sutka bal Młodych Przyjaciół Czerwonego Krzyża w muzeum Henry'ego Morrisona Flaglera, i ci naprawdę potrafili się dobrze bawić, ale Europejczycy wydawali się w tym bez porównania lepsi, a w ogóle najlepsi to europejscy pędzie.

— Lisa Blass! Jak to miło, że przyszaś ze swoimi znajomymi na moje przyjęcie. — Skłonił się z wdziękiem, trzymając dłoń Lisy półtora centymetra od swoich ust, uszmkowanych na czerwono, w tym samym odcieniu co paznokcie u nóg.

Lisa bardzo oficjalnym tonem dokonała prezentacji. Nikt spośród osób jej towarzyszących nie uległ naciskom Anne Liebermann i nie przebrał się w strój odpowiedni na przyjęcie w stylu rzymskim. Patrząc na tłum przewijający się za plecami gospodarza, Lisa spostrzegła, że większość gości też nie była w kostiumach.

— Jeśli zapragnęlibyście czegokolwiek, czego tu nie widzicie, obiecacie, że mi powiecie, dobrze? — Baron machnął przy tych słowach dłonią, patrząc porozumiewawczo. W podtekście była informacja, że mogą dostać wszystko, czego zapragną. A także — być może — każdego, kogo zapragną. — Ale najpierw musicie napić się z fontanny życia — dodał, usuwając się, aby zrobić im przejście.

„Fontanna życia” miała blisko dwa metry wysokości. Była to

prawdziwa fontanna; kamienne cherubinki nieustannie siusiały do kamiennej misy, na powierzchni której pływały śliczne, delikatne, różowe płatki hibiskusa. Co pewien czas płyn w fontannie był wymieniany przez upudrowanego i umalowanego kamerdynera, przebranego w stylu wersalskim. Z pękających butli stojących przy fontannie można było odczytać, że aktualnie cherubinki siusiały różowym wytrawnym szampanem Paul Rogner, rocznik 1975. Przy fontannie stał służący, który ciągle nalewał płyn z kamiennej misy do zamrożonych kieliszków.

Scott stłumił w sobie chęć poproszenia o kieliszek czystej. Lisa jęknęła tylko na tę wulgarną ostentację, zaś Anne Liebermann wydała okrzyk zachwyty. A zdobywca nagrody Nobla zaczął dostrzegać możliwość dobrej zabawy i przysiągł sobie w duchu, że nie przyzna się, za co nagrodę tę otrzymał, bo w miejscu takim jak to mógłby się nie opędzić od tłumu chętnych.

Idąc dalej, natknęli się na następnych witających.

Dwoje ludzi, czekających na gości, tworzyło dość niezwykłą parę. Ona, wysoka i postawna, wyglądała jak gdyby należała do jakiegoś królewskiego rodu. Stała wyprostowana, jej głowę zdobił diadem z kamieniami równymi wielkością klejnotom w koronie królewskiej. Ubrana była w klasyczną, długą, białą suknię i białe, długie rękawiczki. Jej twarz, miła choć nieładna, miała wyraz długotrwałego cierpienia. U boku kobiety stał drobny Wietnamczyk, o połowę mniejszy od swej towarzyszki, odziany w togę.

Starą salę balową powiększono, rozciągając olbrzymią, biało-złotą markizę i trudno było powiedzieć, w którym miejscu kończył się dom i zaczynał dziedziniec, tym bardziej że usunięto wszystkie drzwi i okna, żeby jeszcze bardziej podkreślić antyczną atmosferę.

Lisa i jej goście znaleźli się nagle w samym środku ożywionego targowiska niewolników. Wokół ścian stały wozy drabiniaste na drewnianych kołach, chronione przez kilku centurionów w strojach pasujących do epoki. Na wozach znajdowali się najróżniejsi ludzie, niektórzy zakuci w grube łańcuchy. Były tam i wesołe karły, i starsze damy, brudne dziewczyny, których wygląd sugerował ich profesję, i puciołowate, czarnoskóre urwisy — chłopcy, wyglądający, jakby ich zebrano z bocznych, ubogich zaułków West Palm. I pewnie tak właśnie było. Co jakiś czas wygadany staruch stawał na stołku i prowadził niby-aukcję, podczas której goście von Preussena udawali, że kupują niewolników. Lisa miała wrażenie, że entuzjazm, jaki temu towarzyszył, był zdecydowanie przesadzony.

Właśnie odbywała się jedna z takich licytacji. Mały, czarnoskóry chłopiec o szczupłych nogach, zakuty w łańcuchy, stał na środku sceny

przytrzymywany przez prowadzącego aukcję, i uśmiechał się szeroko, wysłuchując dziwactw, jakie opowiadał o nim sprzedawca.

— Czarujący, mały chłopiec na posługi... zawsze gotów spełnić wszystkie wasze zachcianki i mówiąc to, mam na myśli faktycznie wszystko. Chcę za niego tylko dziesięć sztuk złota. To dlatego, że jest taki młody. Ale młodego można przyuczyć, nieprawdaż? Nauczy się robić wszystko, co tylko zechcecie, nieprawdaż? No więc kto kupi tego małego chłopca...

Było kilku chętnych. Lisa rozpoznała wśród nich jednego z dobrze ustawionych handlarzy nieruchomościami w Palm Beach, zawzięcie walczącego o chłopca z tłustym przemysłowcem niemieckim, który zrobił majątek na mydle.

— Może chcielibyście go dotknąć? Zobaczyć, z czego jest zrobiony? — Przy radosnych okrzykach zebranych główni rywale rzucili się, by sprawdzić ciało chłopca, a Lisa zastanawiała się, czy faktycznie tak to wyglądało w tamtych odległych czasach, zanim imperium, osłabione wskutek hedonizmu jego mieszkańców, upadło pod naporem najeźdźców z północy. Jeśli tak, to czy z tej lekcji historii można by wyciągnąć naukę? Czy to przyjęcie nie było próbą ostrzeżenia pod adresem obecnej zachodniej cywilizacji? Właściwie warto by o tym pomyśleć.

Tańce wydawały się mało ważne w porównaniu do aukcji niewolników, ale i w sali tanecznej widać było, ile włożono w to przyjęcie pomysłowości i pieniędzy. Otóż parkietem do tańca był basen. Nie byłoby to, samo w sobie, tak bardzo oryginalne — na wielu przyjęciach w Palm Beach opróżniano basen i zamieniano go w miejsce do tańca. Nic dziwnego w mieście, w którym przestrzeń była ograniczona i niezmiernie kosztowna. W posiadłości von Preussena nie brakło jednak miejsca, a basen wybrano z innego powodu. Parkiet do tańca nie był bowiem z drewna, lecz z przezroczystego pleksiglasu i rozpostarto go ponad powierzchnią basenu. Można było więc pływać i swobodnie oglądać od dołu tańczące pary. Pod stopami tancerzy pływały ogromne lilie wodne, wśród których przewijały się nimfy i elfy, odziane w przezroczyste stroje, zupełnie nie przysłaniające ich nagości. Dołączyło do nich kilkoro co odważniej szych gości, którzy beczelnie wpatrywali się od dołu w tańczących i krzyczeli sprośne komentarze, zagłuszając zespół Mike'a Carneya.

Lisa, zdecydowana nie uczestniczyć w targu niewolników ani nie tańczyć na przezroczystym parkiecie ku uciesze pływających w basenie, poprowadziła swoją grupę w kierunku stołu, który pozwalał oglądać oba widowiska bez konieczności aktywnego partycypowania w nich.

— No cóż, Anne — odezwała się, kiedy usiedli. — Chciałaś zobaczyć Palm Beach od strony podszewki. Oto ono!

Anne wyrzuciła przed siebie ramiona w geście zachwytu. — Kochanie, to jest cudowne. Po prostu cudowne. Fellini nie dorasta do pięt.

Lisa uniosła do góry brew. Zachowanie Anne Liebermann stało się niezmiernie kokieteryjne i wcale nie był to miły widok. Zazwyczaj lubiła podkreślać swoją twardą osobowość, soczyście klęła podczas rozmowy i bezwstydnie opowiadała o najdziwniejszych praktykach seksualnych. Dziś jednak chichotała i wdzięczyła się jak nastolatka na pierwszej randce.

Lisa знаła przyczynę. To Scott. Anne Liebermann była najwyraźniej zainteresowana Scottem. A co gorsza, Lisa podejrzewała, że to ona sama spowodowała ten stan rzeczy. Poprosiła Scotta, żeby był miły dla Anne Liebermann i chłopak najwyraźniej potraktował to dosłownie. Jak się nazywał ten król, który powiedział swoim rycerzom, aby uwolnili go od kłopotliwego księdza? Nie oczekiwał, że wezmą jego słowa tak dosłownie. A może właśnie oczekiwał? W każdym razie potem domagał się, aby go za to ukarać. Czy ona też weźmie na siebie odpowiedzialność? Scott uwielbiał matkę — na tym polegała jego tragedia. Z jakiegoś względu, którego nigdy nie potrafiła do końca zrozumieć, wydawało się jej, że absolutnie nie umie odwzajemnić jego uczucia. I to było jej tragedią. Wielokrotnie próbowała go pokochać. Scott naprawdę na to zasługiwał. Chłopak był aż za przystojny. Potomek Stansfieldów, co do którego można było snuć wielkie marzenia. Subtelny i wrażliwy, czarujący, ale jednocześnie niepewny siebie, miał wszystkie te cechy, które powinny matkę wiązać z synem.

Na próżno jednak szukała w sobie choćby odrobiny instynktu macierzyńskiego. Tam, gdzie powinna mieścić się miłość, była tylko czarna dziura, oziębłość w miejsce czułości. Wydawało się jej, że ta obojętność wobec syna jest wręcz chorobliwa. Wiedziała jednak, że nie ma na tę chorobę lekarstwa, żadnej terapii, która mogłaby wypędzić pustkę z jej duszy. Może gdyby Scott nie był tak bardzo podobny do Bobby'ego... Każdego dnia te jego niebieskie oczy przypominały Lisie miłość sprzed wielu lat i potęgowały pragnienie zemsty na człowieku, który był jego ojcem, i na jego obrzydliwej żonie.

Zmusiła się do porzucenia tych nieprzyjemnych myśli. Zapewne poprosiła syna o zbyt wiele, ale przynajmniej Anne Liebermann przeżywała swój cudowny weekend.

W migoczącym świetle Lisa obserwowała z zainteresowaniem, jak krótkie palce Anne Liebermann głąskały jej syna, a kwadratowa szczęka ocierała się o jego ramię. Bez wątpienia pod stołem pocierała swoim tłustym udem o jego nogę.

— Liso, myślę, że twój syn jest cudowny, jest najrozkoszniejszą

z rzeczy, jakie kiedykolwiek istniały. Wiesz, widziałam go dziś w akcji. Jest najlepszy na świecie! Siedziałam na plaży przykuta. Dosłownie przykuta.

Wszyscy roześmiali się z tego, z wyjątkiem Scotta. Potraktowano go właśnie jak rzecz. Boże, jaka ona jest obrzydliwa!

Dla powieściopisarza, który przedtem wydawał u Knopfa, tego już było za dużo. W ogóle większość tego, co mówiła Anne, nie dawała się słuchać.

— Naprawdę powinnaś odnosić się z większym respektem do języka, Anne — powiedział. — „Dosłownie przykuta” znaczy, że byłaś łańcuchami przykuta do czegoś.

— Dobieram słowa niezwykle starannie — pisnęła Anne, wymownie przewracając oczami i wpychając do ust łyżeczkę pełną lodów.

Oczekiwała, że wszyscy zrozumieją podtekst. I zrozumieli. Rozległ się pełen zakłopotania śmiech, do którego nie przyłączyli się tylko Lisa i Scott. Anne przełknęła lody.

— Wiesz, Liso, przyszedł mi do głowy fantastyczny pomysł na nową książkę. Surfing. Po prostu surfing i ludzie uprawiający ten sport. Co o tym myślisz?

— Myślę, że powinniśmy wiedzieć, czy to ma być książka „Blassa” — odparła cierpko Lisa.

— Kochanie, naturalnie, że wyda ją „Blass”, a Scott mógłby mi pomóc w zbieraniu materiału. Myślę, że będę musiała zebrać do tej książki strasznie dużo materiału.

Jej ręka masowała dłoń Scotta, leżącą na białym obrusie. Robiła to ostentacyjnie, na oczach wszystkich. Scott ostatkiem sił powstrzymywał się przed cofnięciem dłoni. Triumf w oczach matki stał się dla niego nagrodą. Nie było takiej rzeczy, której nie zrobiłby, żeby coś takiego ujrzeć.

Lisa chciała, żeby wszystko zostało ustalone szczegółowo.

— Rozumiem, że to umowa, Anne. Scott pomaga ci zebrać materiały i „Blass” wydaje książkę. Tylko poinformuj o tym tego swojego nadętego agenta, dobrze?

Zwróciła się do syna. Powinna mu dać łyżkę miodu. Zarobił milion dla wydawnictwa.

— Należałoby dać ci prowizję, kochanie, za pomoc naszym autorom w wynajdywaniu pomysłów.

Ale poczucie winy przeszło ją jak ostrze noża, kiedy musiała wytrzymać pełne niewolniczego poświęcenia spojrzenie Scotta.

W galerii Nortona ufundowanej niemal wyłącznie z pieniędzy Palm Beach, ale nie najtrafniej usytuowanej po niewłaściwej stronie Lake Worth, oba miasta — Palm Beach i West Palm — mieszały się ze sobą. Zarówno otoczenie, jak i wnętrze galerii świadczyły o jej pochodzeniu klasowym, a zbiory były jedną z najlepszych kolekcji sztuki nowoczesnej, poza takimi dużymi ośrodkami jak Nowy Jork, Malibu czy Houston. Zanedbane domy wokoło stanowiły drastyczny kontrast. Z niewiadomych powodów rozwój West Palm poszedł wyłącznie w kierunku północnym i tutaj nadal stały walące się rudery, zanedbane sklepiki i niszczące fabryczki. W holu, przy wejściu do galerii, na wypolerowanych drewnianych listwach wyryto nazwiska sponsorów i ofiarodawców — jakby żywcem przeniesione z błyszczących stron kroniki towarzyskiej „Palm Beach Daily News”. Było to jedno z bardzo nielicznych miejsc, gdzie nazwiska „Blass” i „Stansfield” pokojowo współistniały obok siebie, mimo dzielącej ich właścicieli przepaści, która w rzeczywistości wydawała się nie do przebycia.

Scott musiał zgodzić się z matką, że Picasso był wspaniały, choć w istocie wołał krzykliwą pewnością siebie słynnej kolekcji Gilberta i George'a.

— Niektórzy mówią pogardliwie, że Picasso był jedynie pracującym dla zarobku rzemieślnikiem, ale spójrz na tę datę: 1924 rok. To

0 trzy lata wcześniej, niż Braque namalował ten obraz obok, a zobacz, tematyka i technika są niemal identyczne. Zdumiewające. I cudowny koloryt.

Lisa mówiła z pewnością siebie eksperta. Nie tylko samej sztuki wydawania książek nauczyła się w Europie. W Paryżu pod czułym

1 troskliwym okiem Michela Dupre poznawała sztukę. W Londynie

uczyła się już sama, ale paryskie podstawy były dość dobre, by mogła sobie poradzić. Zwiedzała z żywym zainteresowaniem wszystkie największe muzea w Europie: Prado, Ermitaż, galerie we Florencji. Oczywiście galeria Nortona nie mogła z nimi konkurować, ale znajdujących się tu dzieł nie powstydziliby się żadne z „wielkich” muzeów. Na przykład kolekcji Picassa.

Scott wpatrywał się w matkę. Żaden obraz nie mógł się z nią równać. Żaden malarz nie umiałby uwiecznić jej na płótnie. Nawet gdyby udało mu się uchwycić podobieństwo ciała, nie byłby w stanie oddać tej energii, która z niej emanowała, tego podporządkowania się idei otaczającego ją jak zimna aura. Skąd brała tyle dynamicznej siły i twardości, by przeć naprzód, usuwając z drogi wszystkie przeszkody? Nigdy nie znalazł odpowiedzi na to fascynujące pytanie, choć bardzo się o to starał. Miał jednak przekonanie, że gdyby ją znał, znalazłby klucz do własnych ambicji. Znając potrzeby matki, mógłby skierować całe swe siły i umiejętności, by je zaspokoić. Gdyby wiedział, jak spełnić jej skryte marzenia, może zdobyłby też jej miłość.

Lisa poszła dalej, by podziwiać obraz Matisse'a, a Scott zatrzymał się przy wykonanej przez Picassa niezwyklej rzeźbie głowy. Nagle usłyszał ostry, kobiecy głos.

— Znowu po tej stronie jeziora, Liso? Nie możesz oderwać się od slumsów? — spytał obelżywym tonem ten głos. — Zdumiewające, co można osiągnąć poprzez małżeństwo ze starcem. Ale znasz to powiedzenie, że pieniądze szczęścia nie dają. Ani nie robią z wywłoki damy.

Stojący w pewnym oddaleniu Scott poczuł, jak po krzyżu przechodzi mu zimny dreszcz. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Czyżby to był jakiś obrzydliwy żart, jakaś głupota starej, dobrej przyjaciółki? Ton słów — okrutny i zjadliwy —- kategorycznie temu przeczył, a osoba, która je wypowiedziała, też nie robiła wrażenia przyjaciółki. Była to bowiem Jo-Anne Stansfield, żona senatora Stansfielda, miłośniczka sztuki, a jednocześnie piękna kobieta, która jednak stała teraz jak gniewna bogini i wypluwała przez zaciśnięte zęby te obraźliwe słowa.

W pierwszym odruchu Scott chciał wyjść ze swojego ukrycia i tak ją walnąć, aby upadła na podłogę, ale powstrzymał się i stał w miejscu jak wrośnięty. Zdawał sobie sprawę, że może się dowiedzieć czegoś ważnego i czuł przemożną ciekawość. Jo-Anne Stansfield i jej mąż, Bobby. Matka nie znosiła obojga, ale nie miał zielonego pojęcia dlaczego. Unikała przyjęć, gdy wiedziała, że Stansfieldowie tam będą,

i nigdy nie zapraszała ich do swego domu, nawet jeśli organizowała coś na cele dobroczynne i prosiła wszystkich, którzy mogli zasilić kasę. Czasami zastanawiał się, dlaczego tak było, ale doszedł do wniosku, że to nieważne. A teraz poczuł, że się mylił.

Jak dziecko z okiem przyklejonym do dziurki od klucza, Scott obserwował rozgrywającą się scenę.

Pod wpływem usłyszanych słów Lisa zbladła, ale zaraz odzyskała kolory. Zwróciła się w stronę Jo-Anne jak tygrysica.

— Jesteś doskonałym potwierdzeniem prawdy, którą wygłosiłaś, Jo-Anne. W przeciwieństwie do ciebie, ja nie mam jednak żadnego powodu, by zapomnieć, skąd pochodzę. I nie wstydzę się tego.

Lisa stała wyprostowana, z odchyłoną do tyłu głową. Była dumna i nieustraszona, ale Scott dostrzegł, że mocno odczuła atak przeciwniczki. Nigdy przedtem nie widział matki w takim starciu. Był to dla niego dziwny i bolesny widok, ale, jednocześnie, za nic nie mógł i nie chciał przerwać tej sceny. Po raz pierwszy miał okazję poznać duchy dręczące jego matkę.

Patrząc niewinnie w oczy Jo-Anne, Lisa zadała drugie pchnięcie:

— Jediną rzeczą, która się w ciągu tych wielu lat zmieniła u ciebie, Jo-Anne, jest to, że stawki poszły w górę. Ale rodzaj usług nie uległ żadnej zmianie.

— Co? Co? — wrzasnęła Jo-Anne z niedowierzaniem. — Nazwałaś mnie dziwką? Odważyłaś się nazwać mnie dziwką?

Scott obserwował tę scenę w napięciu.

— Cóż, wszyscy wiedzą, że pewnych skłonności nie da się opanować. I tak właśnie jest z tobą.

Lisa uśmiechnęła się triumfalnie. Starcie, którego nie szukała, skończyło się i to ona wyszła z niego zwycięsko. Był to właściwy moment, żeby się wycofać. Stojąca przed nią Jo-Anne wyglądała tak, jakby miała za chwilę wybuchnąć, co mogłoby stać się groźne dla dzieł zgromadzonych w kolekcji Nortona.

Lisa odwróciła się więc i odeszła w stronę syna, stawiając pewnie kroki. Biegł za nią wściekły krzyk Jo-Anne.

— Jesteś nikim znikąd, Liso Starr. Nikim znikąd!

Scott przez ramię dostrzegł zdumiewającą scenę. Jo-Anne Stansfield, z piękną twarzą wykrzywioną przez złość, osunęła się na kolana, jakby modliła się, aby jej nieprzyjaciółkę trafił grom. W środku tej pustej galerii wyglądała jak posąg nienawiści, rzucający przekleństwa pod adresem jego matki.

Kiedy Lisa ujęła Scotta za rękę, poczuł, że jej palce drżą. Nikt nie mógłby pozostać obojętny na taką falę agresji.

— Chodź, kochanie, wychodzimy. — Powiedziała to niemal normalnym tonem. Ale kiedy wyszli, w jej głosie zabrzmiał gniew, równy gniewowi Jo-Anne.

— Modłę się o to, żeby pewnego dnia Bóg uwolnił mnie od tej kobiety — mruknęła.

Scott odniósł wrażenie, że matka po raz pierwszy powiedziała mu coś naprawdę ważnego.

Palm Beach każdy dom miał swoje dwa główne miejsca, wokół których koncentrowało się życie. Były to, oczywiście, jadalnia i basen. W posiadłości Blassów, podobnie jak w wielu innych przy South Ocean Boulevard, znajdowały się dwa baseny. Jeden, usytuowany przy altance na plaży, na południe od promenady nad oceanem, zawierał słoną wodę. Był to basen przeznaczony do głośnej zabawy dzieci, pływania łódkami i gier. Drugi, koło domu, osłonięty przed wiatrem i wzrokiem widzów drzewkami grapefruitowymi i cytrynowymi oraz bananowcami, wypełniony był czystą, niebieską wodą; obowiązywały tu spokój, cisza i porządek.

Ten basen miał ponad trzydzieści metrów długości, a nieustannie filtrowana woda była tak czysta, że nadawała się do picia. Wyłożono go glazurą o interesującym wzorze zaprojektowanym przez Moorisha. Patrząc dalej, widziało się taras otoczony kolumnami w stylu doryckim, podchodzący pod sam kraniec basenu. Na białej, marmurowej posadzce stały leżaki. Na jednym z nich siedział Scott Blass, bezmyślnie kartkując „Surfer Magazine”. Od czasu do czasu spoglądał w skupieniu, zmartwionym wzrokiem, przed siebie, na rzędy drzewek cytrusowych osłaniających zachodnią stronę basenu, na kępki nakrapia-nych kwiatów geranium, posążki cherubinów i krzewy pachnącego, białego jaśminu.

Co można było zrobić? Od tamtego dnia w galerii Nortona, kiedy dowiedział się o utrzymywanej w tajemnicy nienawiści matki do Stansfieldów, problem ten nie dawał mu spokoju. Otworzyła się przed nim możliwość, nie wiedział jednak, jak ją wykorzystać. Skrzywdzić Stansfieldów. I to bardzo. Byli wrogami matki, a zatem i jego. Mszcząc się na nich, zyskałby może miłość matki. Tylko jak to zrobić? Wydawali się niemal nieosiągalni — bogaci i potężni, chronieni przez strażników i elektroniczne zabezpieczenia, przez armie prawników i przyjaciół oraz znajomych, przez całą skomplikowaną pajęczynę układów, wpływów, prestiżu politycznego i społecznego. Na próżno szukał jakiejś pięty Achillea, spędzając godziny w czytelniach na przeglądaniu starych

kronik towarzyskich, w których miał nadzieję znaleźć jakąś wskazówkę. Nie dało to nic. Wiedział, że mieli córkę mniej więcej w jego wieku. A w ogóle robili wrażenie, że są doskonałą rodziną, zasługującą na tytuł „Mr. and Mrs. America”. Ona była Duke, on — Stansfield, tworzyli więc niezwykle wpływową parę, której macki sięgały niemal sterów państwa. Pieniądze i potęga. Władza i pieniądze. Mur otaczający ich wydawał się nie do pokonania.

W jego myśli wdarł się nagle wesóły głos:

— Ach, to tak bogacze spędzają czas. Takim to dobrze! Scott uniósł się z leżaka.

— Cześć, Dave. Cudownie, że wpadłeś. Wydział sanitarny zamierzał właśnie zalecić zamknięcie basenu, taki już jest brudny.

Ich żarty były na miejscu, ale Scott czuł się zawsze trochę winny, kiedy przychodził Dave. Nie dlatego, że mieli tyle samo lat i byli dobrymi kumplami — pływali razem na tej samej fali na plaży North End nawet w chłodne, grudniowe dni, kiedy temperatura wody spadała. Dlatego, że Scott był bogaty. Basen w „Villa Gloria” stanowił symbol tego bogactwa; wyglądał tak, że nie powstydziliby się go cesarz rzymski.

A Dave z całą pewnością należał do ubogich. Prawda była taka, że wizyty Dave'a trzy razy w tygodniu były właściwie niepotrzebne. Automatyczne regulatory wpuszczały odpowiednie środki chemiczne do wody, filtrowały ją i dbały o czystość, Dave miał więc niewiele do zrobienia. Jednakże w Palm Beach należało korzystać z usług firmy „C and P”, by oczyszczać baseny; „Boynton” przysyłał ogrodników, a „Cassidy” — konserwatorów klimatyzacji.

Wszyscy ich potrzebowali, więc i ty powinienes. Przecież to takie tradycjonalistyczne miasto.

— Posuń się i daj mi trochę wódki.

Dave, przez kolegów nazywany także Rave *, był trochę bardziej szorstką, mniej doskonałą wersją Scotta. To znaczy jego włosy też rozjaśniło i wypaliło słońce, a na spranych, niegdyś niebieskich spodenkach widoczne były plamki od chloru. Długie, silne nogi pokrywały gęste, jasne włosy. Był bez skarpetek, w sznurowanych butach do kostek. Miał na sobie czystą, białą bawełnianą koszulkę z napisem „C and P — konserwacja basenów”.

Scott pochylił się i sięgnął do stojącej w altance lodówki.

— Jak ci leci? — spytał przez ramię. — Nie chodzi mi o chlorowanie, filtrowanie i to wszystko.

Obowiązywała umowa, że kumple Dave'a na wół wierzyli, że z jego pracą konserwatora basenów wiązały się różne „atrakcje” w postaci

* Rave (ang.) — gaduła, chwalipięta.

znudzonych pań domu i ich małoletnich córek. Były to wymysły, które z rzadka stawały się rzeczywistością — zwłaszcza w Palm Beach.

Dave zachichotał. Scott może i miał bogatą matkę, ale był mimo wszystko fajnym chłopakiem. Wyciągnął rękę po butelkę zmrożonej whisky, zauważając przy tym flegmatycznie, że w domu Scotta z pewnością nie było czegoś tak wulgarnego jak „czysta”.

Przebiegł w myślach opowiadane ostatnio historie o wydumanych flirtach. No, dobra, w porządku. Było coś soczystego i absolutnie autentycznego, co mógł zaserwować.

— Hej, Scott, jesteś gotów? Mam dla ciebie historię.

— Dwie siostry na El Vedado? Te ze sztucznymi szczękami? Dave, naprawdę, jesteś wspaniały. Udało ci się? Obie?

— Nie, coś lepszego. I nie o tym, co zrobiłem, tylko co widziałem. Dave pochylił się, wziął próbkę wody do próbki i wpuścił do

niej parę kropli kwasu solnego.

Scott uśmiechnął się, oczekując rewelacji. Brzmiało to obiecująco. Dave miał charakter. Był biedny jak mysz kościelna, ale miał niezwykle temperament. Scott zazwyczaj pomagał mu spuszczać wodę z basenu — to jedna z nielicznych rzeczy, które robił, wiedząc, że denerwuje tym matkę.

— Tak, Scottie. Słyszałeś o Stansfieldach? Scott zamarł na moment.

— Jasne — odezwał się po chwili. — Wszyscy ich znają. Mieszkają przy North Ocean, niedaleko domu Kennedych.

— No. Ja robię przy ich basenie, nie?

— Nie wiedziałem o tym. — Ton Scotta był ostry i niewłaściwy. Zabrzmiało to tak, jakby miał pretensję, że Dave nie powiedział mu o tym wcześniej. Scott postanowił się kontrolować. Jeśli chce coś wygrać, musi udawać, że wszystko jest normalnie. — Przepraszam, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej — roześmiał się z upomnienia Dave i Scott przyłączył się do niego ze śmiechem.

— Coś ty, mów dalej, Dave. Jasne, że znam Stansfieldów.

— Wiesz, dopiero co zacząłem tam robić, ale powiem ci, że ta żona, to jest naprawdę. No wiesz, fajna babka. Jak zbudowana i jaka zgrabna, i jak pachnie! Bracie, to aż zaskakujące.

— Chcesz powiedzieć, że ją tego? Żonę senatora? Nie wierzę! — Scott piał z entuzjazmu. To był sposób, żeby wyciągnąć Dave'a na zwierzenia.

— Coś ty! Nikomu nie uda się z Jo-Anne Stansfield. To znaczy, w każdym razie żadnemu chłopakowi.

Wyraz twarzy Dave'a stał się nieprzenikniony jak u polityka zgłaszającego propozycję cięć budżetowych.

— O czym ty mówisz, Dave? Daj spokój, powiedz, o co ci chodzi.

— Chodzi mi o to, że ona lata za dziewczynkami. Serio! Każdego dnia jest u niej inna. Cudowne dziewczyny, ale takie, które mnie nie widzą. Mnie, rozumiesz, stary? Możesz w coś takiego uwierzyć?

— To ona jest lesbą? Skąd, u licha, wiesz o tym?

— Widziałem, jak się całowała z jedną w altanie. — Na twarzy Dave'a ukazał się wyraz triumfu.

— Nieprawda.

— Przysięgam.

— Boże! — Scott nie mógł uwierzyć własnym uszom. Przeciwniczka jego matki lesbijką! Żona prawicowego senatora o ogromnych ambicjach politycznych! To przecież dynamit. Można ich tym rozsadzić. Gdzie to dać: do „National Enquirer”? A może do jakiegoś tytułu o zasięgu ogólnokrajowym? Nie, to nie metoda. Gdzie są dowody? Opowieść konserwatora basenów? A poza tym Dave mógłby odmówić zeznań, gdyby mu zagrozono, że straci pracę. Pieniądze Duke'ow i wpływy Stansfieldów powodowały, że dziennikarz, odpowiednio odważny lub głupi, by opublikować tego typu plotkę, musiałby być samobójcą. Nie, można zrobić tylko jedno. Musi dostać się do ich domu. Kiedy już znajdzie się wewnątrz świątka Stansfieldów, znajdzie jakiś sposób, żeby go rozsadzić. Chyba wygląda na to, że znalazł konia trojańskiego. Tylko jak to rozegrać?

— Dave, masz żyłkę hazardzisty, nie? — Dave musiał zareagować na takie wyzwanie. — Słucham.

— Stawiam tysiąc dolców, że mnie się z nią uda.

— Co? — Dave nie dowierzał własnym uszom, a jednocześnie był rozbawiony.

— Słyszałeś.

— Tysiąc przeciwko czemu?

— Twoje sto za tym, że mi się nie uda.

— Dziesięć do jednego! Chyba żartujesz. To jak pieniądze w banku. Jesteś szalony. Zresztą, jak się do niej dobierzesz?

— Na parę tygodni zajmę twoje miejsce. Podjedziesz tu i pożyczysz mi samochód. Nikt nie będzie wiedział. Wiesz, że potrafię czyścić baseny nie gorzej od ciebie. Nauczyłem się, gdy robiliśmy to razem.

— Ralf wyrzuci mnie z roboty, jeśli się dowie. — Dave walczył z wątpliwościami. Naprawdę potrzebował pracy.

— Daj spokój, nie dowie się. Przecież zamieniasz się nieraz z chłopakami. Jak jesteś na wakacjach, czasem przychodzi tu taki stary dureń. Powiem, że jesteś chory, czy coś takiego.

— Czego chcesz tym dowieść, Scott? — Dave patrzył na kolegę z zaciekawieniem. To nie w stylu Scotta szastać pieniędzmi. Ani strugać superogiera. I tak miał powodzenie. Ale za tysiąc dolarów Dave mógłby kupić sobie rower i jeszcze zostałyby mu na wycieczkę na wyspy z Karen. Jedno jest pewne: jeśli Scott przegra, to zapłaci. A jest niemal pewne, że przegra. To kuszące. Na tyle kuszące, żeby zanadto nie dociekać motywów.

— Mam swoje powody — odparł enigmatycznie Scott.

— Dobra, stary. Zakład stoi. — Dave wyciągnął rękę, żeby przypieczętować umowę.

Scott podał mu dłoń. — Jakie masz dni w przyszłym tygodniu?

— Poniedziałek, środa i piątek. Zazwyczaj chodzę tam wczesnym popołudniem.

— Spotkaj się ze mną tutaj po pierwszej, dobra? — Scott złapał tyczkę i koszyk. — Chodź, pomogę ci wyczyścić basen, chociaż Bóg mi świadkiem, wcale nie rozumiem, po co ludzie zwracają sobie tym głowę.

W nozdrzach czuł już zapach zwycięstwa.

/Scott atakował falę tak, jakby go dopiero co obraziła. Przeciął ją, krańcem deski wrzynając się bezlitośnie w gładką wodę i rozbijając ją na drobne kawałki. Miał wilgotne włosy, w uszach słyszał ryk bałwanów, a dusza śpiewała w nim radośnie. Spędził cudowny dzień na plaży North End. Fale były gładkie i potężne, a woda pomiędzy ich czołem spokojna. I deska surfingowa słuchała go jak nigdy. Doskonale utrzymywała równowagę, poruszała się ostro, a na zakrętach wytrzymywała uderzenie. Przez cały ranek jeździł w kanale i teraz chciał zrobić kilka pętli, żeby przed lunchem skończyć ćwiczenia. Zagryzł zęby i napiął mięśnie przed spotkaniem z potężną falą, która właśnie ku niemu nadchodziła. Mechanika ruchu nie sprawiała mu żadnych problemów, ale musiał udoskonalić styl. Kilka dni temu w Daytona stracił na tym punkty.

Ta fala była doskonała; wysoka na jakieś półtora metra, potężna i szybka. Scott naciskał mocno, żeby zwiększyć prędkość. Na tym polegała tajemnica robienia pętli. Czoło fali zbliżało się i przeniósł swój ciężar, żeby deska uniosła się wyżej. Uff, to było właśnie to. Nagle świat wywrócił się do góry nogami. Trzymać się deski; przytrzymać, nie unosić rąk, nie chwytać linki — to dobre dla początkujących. Świat zaczyna się już prostować. Dobra pozycja do ponownego wejścia w falę. Tylko że... Psiakrew! Co za kretynka! Nagle przed nim pojawiła się

dziewczyna. Kołysała się na jego fali — tej, którą właśnie ujarzmił, posiadał, kształtował. Uczucia posiadania swojej fali przez surfującego nie da się wyraźnie określić. Dla uniknięcia katastrofy Scott z całych sił nacisnął deskę i uskoczył w bok, prosto w spienioną wodę. Gdy się zanurzał, przeleciała mu jeszcze przed oczami wizja doskonale rozpoczętej i zniszczonej pętli. Już ją miał. Była taka jak trzeba. Póki jakaś idiotka...

W ciemności pod wodą Scott planował zemstę. Dziewczyna tak usłyszy od niego, że do końca życia nie zapomni. Jego jasna głowa wynurzyła się ponad powierzchnię i zaczął się gniewnie rozglądać za winowajczynią, otrząsając jednocześnie z włosów kaskadę drobnych kropelek wody. O, tam była. Stała na płyciźnie i wyglądała trochę jak pojmana arystokratka, oczekująca na cios gilotyny. Scott podpłynął do niej i oboje zaczęli mówić w tym samym momencie:

— Jest mi tak strasznie przykro. To moja wina, ja nie chciałam...

— Ty przekłeta amatorko. Płynęłaś na mojej... Nagle oboje przerwali, właściwie nie wiedząc dlaczego.

Scott odniósł wrażenie, jakby stał przed lustrem. Dziewczyna była strasznie podobna. Wydawało mu się, że wrzeszczy na samego siebie. A to przecież nie miało sensu i nie sprawiało żadnej przyjemności. Dziewczyna stała bez ruchu, woda ociekała z jej opalonego ciała, włosy posklejały się wokół ślicznej twarzy. Ona ukradła mu kolor włosów, kształt nosa, intensywnie niebieskie oczy i pełne, ładnie zarysowane usta. Jak się coś takiego nazywa? Sobowtór? Ktoś, kto do złudzenia przypomina ciebie samego. Spojrzał niżej, na biust tej siedemnastolatki, nieznacznie tylko osłonięty stanikiem. Mały, ale śliczny. Brzuch — nieco zbyt pulchny. Biodra — odrobinę za szerokie, z wałeczkami tłuszczu jak u dziecka. Ale wszystko jędrne. Ciało jak marzenie, w rodzaju tych, które doprowadzały drużyny piłkarskie do frustracji na tle seksualnym. Zdumiewające! Była niezwykle ładna. Chyba nie warto się gniewać, że płynęła na jego fali. Może mu psuć pętlę, ilekroć będzie chciała. Bardzo proszę. Może nawet spróbować jego deski.

— Przepraszam — wymamrotał po chwili. — Myślę, że trochę przesadziłem. — Machnął przy tym ręką w geście wyrażającym skruchę.

Christie Stansfield zawsze wierzyła w anioły, ale nie oczekiwała, że wpadnie na jednego z nich na plaży w North End. Chłopak był niesamowicie przystojny. Rozczochrane włosy zmatowiały mu od wody i słońca, poskręcały się w loczki, zupełnie jakby prosiły, żeby przejechać po nich pieszczotliwie dłonią i rozczesać palcami. A jego szczera, otwarta twarz tak wyraźnie ukazywała uczucia — najpierw złości, później zakłopotania. Szerokie, silne ramiona i szczupła, umięśniona

sylwetka. Długie, bardzo długie nogi i widoczne pod białymi, zniszczonymi kąpielówkami... lekkie podniecenie.

— Ależ nie, to ja przepraszam. To, co zrobiłam, jest niewybaczalne. Masz absolutną rację, złościąc się na mnie. — Nie wiadomo czemu Christie wydawało się, że jest zadowolona z tego, iż ten chłopak zezłościł się na nią. To o wiele lepsze niż zdawkowe przeprosiny i rozstanie.

Scott pochylił się, by uniknąć wzroku dziewczyny, i przyciągnął bliżej deskę, przyczepioną sznurem do kostki u nogi.

— Dobrze ci się dziś pływa? — Starał się, by to pytanie zabrzmiało możliwie jak najobojętniej.

— Dopiero się uczę. Wszystkie fale wydają mi się dobre, ale zupełnie nie do opanowania!

Miała naprawdę przyjemny śmiech. Na początku otwarty, szczery, potem zmienił się w stłumiony chichot, jakby uświadomiła sobie, że nie powinna śmiać się z tak poważnego tematu. Scott uśmiechnął się również. Miła dziewczyna, zupełnie inna niż jego znajome z West Palm, świntuszące bez skrępowania i doświadczone. Inna też niż większość nastolatków z Palm Beach, zniechęcająco pewnych siebie i przesadnie chroniących się przed słońcem, żeby zachować mlecznobiałą karnację.

— Napijesz się piwa? — Scott podświadomie kurczowo trzymał się młodzieżowego stylu, stosowanego wśród pływających na desce. Po rumieńcu, jaki wypłynął na jej ślicznie zaokrąglone policzki, poznał, że to nie było takie złe.

— Jeśli masz wolne, to z przyjemnością.

Podeszli razem w stronę plastikowej torby-zamrażarki, ciągnąc za sobą deski po piasku.

— Nazywam się Scott.

— Cześć, ja jestem Christie.

— To ładne imię.

— Dzięki.

Scott zwrócił się w stronę dziewczyny i spojrzał na nią. Pod wpływem tego spojrzenia spuściła oczy, a rumieniec na policzkach stał się mocniejszy.

Leniwie, z westchnieniem satysfakcji i ostentacyjnego rozluźnienia położył się na piasku. Opierając się na łokciu, sięgnął do torby po piwo. Przez cały czas nie spuszczał przy tym wzroku z dziewczyny.

Christie usiadła obok niego, speszona i bezradnie posłuszna jego woli. Łatwy podryw. Christie Stansfield poderwana przez chłopaka na własnej plaży, pijąca z nim piwo. Świadomie odsunęła tę nieprzyjemną myśl. Kogo to w gruncie rzeczy obchodzi? Od dłuższego czasu starała

się zmienić stosunek rodziców do tak zawieranych znajomości. Choć nie można powiedzieć, żeby jej się to w pełni udało.

Czuła na sobie wzrok chłopaka, wbity w jej bikini i przesuwający się po całym ciele. Było to cudowne uczucie, ale strasznie krępujące, bo nasuwające skojarzenie z niedozwolonym owocem... który przecież tym bardziej kusi. Nagle Christie zrobiło się dziwnie sucho w ustach i trudno było jej przełknąć ślinę. Ale już po chwili Scott oderwał wzrok od jej piersi i spojrzał dziewczynie prosto w oczy. Miała wrażenie, że on doskonale wie, co się z nią dzieje. I co z tym zrobi? Wyśmiej? Czy jeszcze raz dotknie delikatnie jej nogi, jak przed chwilą?

Scott obserwował rozchylone usta, przyśpieszony oddech, kropelki potu, jakie pojawiły się na jej górnej wardze. Miał ochotę zetrzeć je delikatnie — palcem albo... ustami. Czuł się zdziwiony, że tak szybko to się stało. Czy to narcyzm? Czy jej twarz pociągała go tak bardzo dlatego, że była taka podobna do jego rysów? Cokolwiek to było, czuł, że i w nim narasta podniecenie.

— Christie — powiedział w zamyśleniu. — Christie. Bardzo mi się podoba to imię. — Celowo wypowiedział je pieszczotliwie. Wyciągnął rękę i położył na miękkim kolanie dziewczyny. — A jak masz na nazwisko?

— Stansfield — wyszeptała.

W tym chłopaku zdecydowanie było coś pociągającego, kiedy tak stał odwrócony do niej tyłem. Przypominał kogoś, tylko kogo?

Jo-Anne uniosła się na łokciach na leżaku, żeby móc lepiej mu się przyjrzeć. Jej pełne piersi opadły, niemal ukazując ciemne sutki. Opalała się w nie związanym staniku od kostiumu kąpielowego.

Jasne włosy poskręcane w loki, szczupła sylwetka. Starła się przypomnieć sobie jego twarz. Wydała się jej znajoma, choć była zupełnie pewna, że nigdy przedtem nie widziała tego chłopaka. W każdym razie był intrygujący i o wiele bardziej interesujący niż ten nadęty buc, który zazwyczaj przychodził czyścić im basen. Dobra zamiana.

Najbardziej podobał jej się sposób, w jaki się poruszał: delikatnie, jakby zdawał sobie sprawę ze swego doskonale proporcjonalnego ciała, a jednocześnie czuł się nim trochę skrepowany. Żadnych głupich póz.

Pracował w drugim końcu basenu, stopniowo zbliżając się do miejsca, gdzie leżała Jo-Anne. Poczwała ochotę, by z nim porozmawiać. Z pewnością zepsuje to całe estetyczne wrażenie; ładni chłopcy zazwyczaj są prymitywni.

— Co się stało z tym chłopakiem, który tu przychodził przedtem? — spytała tonem, który miał sugerować zainteresowanie.

— Och, jest chory, proszę pani.

Scott odwrócił się, żeby popatrzeć na Jo-Anne. Jego plan zadziałał cudownie, aż za dobrze, żeby to mogło być prawdą. Jeszcze kilka dni temu miał mniej więcej tyle szans na dostanie się do domu Stansfieldów, co na to, że zostanie wybrany do lotu w kosmos. A teraz był tu niemal jak swój. Zupełnie niespodziewanie zbiegły się dwa wydarzenia: Dave został konserwatorem basenu Stansfieldów, a Christie zaczęła przy-

chodzić na plażę, patrzeć, jak inni pływają na desce. Każde z tych zdarzeń z osobna nie było wcale dziwne. Palm Beach to przecież małe miasteczko. Ale biorąc pod uwagę jego plan, można uznać, że ten zbieg okoliczności został uknuty w niebie... czy raczej w piekle. Matka i córka. Do obu miał teraz dostęp. Christie trzymał już właściwie w garści. Szczęście, że teraz nie było jej w domu, że jak co dzień w dni robocze, sprzedawała młodym snobom swetry polo na Esplanade. Mógł się spokojnie zająć mamusią.

Od pierwszego spojrzenia jedno było pewne: matka Christie wydawała się całkiem do rzeczy. I z pewnością bez skrupowania z tego korzystała. Jej piersi były o wiele większe niż Christie i sądząc po tym, jak sutki sterczały pod nie związanym stanikiem, wymagały już pewnego wsparcia. Jednak nogi miała wspaniałe i cudownie umięśnione uda. A twarz? Wokół stalowozimnych oczu było trochę zmarszczek, a usta szpecił grymas złości czy nawet okrucieństwa, ale i tak nadal była piękna. Nawet jeśli nie dorównywała Christie, której rysy łagodził anielski wyraz twarzy i szeroko otwarte, niewinne oczy.

Jak by to najlepiej rozegrać? Jak najlepiej wykorzystać szansę? Ta babka z pewnością należała do tych, które polują. Nie dałyby się upolować. Trzeba więc zachęcić ją do polowania.

Odwrócił się od niej, obojętny, pokorny, zaledwie konserwator basenów, który wie, jak się zachować wobec lepszych od siebie.

Jo-Anne spoglądała na niego podejrzliwie. No, no, na razie całkiem nieźle. I co dalej?

— Wyglądasz, jakbyś pływał na desce. Jesteś może jednym z tych, którzy zawsze parkują w niewłaściwym miejscu na North End?

Jo-Anne powiedziała to żartobliwym tonem, niemal kokieteryjnie, żeby złagodzić napastliwość pytania. Stosunki między uprawiającymi surfing, przeważnie młodzieżą z drugiej strony jeziora, a mieszkańcami Palm Beach od lat układały się fatalnie. Mieszkańcy Palm Beach, którzy rzadko przychodzili na plażę, uważali ją jednak za swoją własność — oczywiście, jeśli zadali sobie trud, by o tym pomyśleć. Pomimo prawa, które głosiło, że wszystkie plaże nad otwartym morzem są ogólnodostępne, mieszkańcy North End poświęcali dużo czasu i energii na to, by zniechęcić innych do przychodzenia na „ich” plażę. W dwojaki sposób. Po pierwsze, postawili znaki zakazu parkowania jakichkolwiek pojazdów w promieniu pięciu kilometrów od morza. Po drugie — wprowadzili rygory prawa własności terenów prywatnych i zagrodzili drogi, ograniczając dostęp do plaży. Jednakże zwolennicy surfingu nie zniechęcali się tym i bądź to przychodzili na North End, idąc brzegiem oceanu z odległej plaży w mieście, bądź też ignorowali

po prostu oznaczenia dróg prywatnych i zakazy parkowania, traktując je jako niezgodne z konstytucją. Scott ponownie odwrócił się w stronę Jo-Anne. Położył rękę na biodrze i przywołał na usta jeden ze swych miłych, chłopięcych uśmiechów.

— Tak, proszę pani. To znaczy trochę pływam, ale przeważnie przy Deerfield albo koło Jupiter. Próbowala pani kiedyś pływać na desce? — dodał śmiało.

— Czy wyglądam na to? — Jo-Anne uśmiechnęła się z zadowoleniem. Ten chłopak był naprawdę uroczy. Kogo mógł jej przypominać?

— No cóż, wygląda pani doskonale, jeśli wolno mi tak powiedzieć. — Nerwowym gestem przesunął ręką po włosach.

Jo-Anne osłoniła dłonią oczy przed słońcem i wpatrywała się w niego. Następnie, pod wpływem impulsu, uniosła się wyżej, odsłaniając przy tym piersi.

Nie mogła ocenić, jaki efekt widok ten wywarł na chłopaku — stał bowiem pod słońce — ale na niej zrobiło to ogromne wrażenie. Myśl, że on patrzy na jej obnażone piersi, nie wiadomo czemu podnieciła Jo-Anne. Zdziwiło ją to, bo już od wielu lat nie zdarzyło się, żeby przedstawiciel płci odmiennej, zwłaszcza młody chłopak, tak na nią podziałał. Co innego kobiety — delikatne, pachnące i łagodne, które tak łatwo ulegały. Ale mężczyzna?

Stojący dość blisko Scott z trudem przełknął ślinę. Mylił się w ocenie tych piersi. Doskonale walczyły z siłą grawitacji. Wpatrywał się, nie mogąc oderwać od nich oczu. Piłeczka wróciła na jego stronę i musiał coś z nią zrobić. Sprawy toczyły się dużo szybciej, niż przewidywał, niż śmiał marzyć, ale im bliżej do celu, tym osiągnięcie go stawało się trudniejsze. Jeden błędny ruch, niewłaściwy gest i wszystko na nic. Najtrudniej było zawsze znaleźć przejście do intymności i Scott, mimo młodego wieku, nieraz już tego doświadczył. Czy będzie jeszcze z nim rozmawiała? Czy powinna? Nie wiedząc, co zrobić, Scott stał w bezruchu, nie robiąc nic. Po prostu stał i wpatrywał się w to, co z pewnością odsłoniła, aby patrzył.

Jo-Anne doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje z chłopakiem. Jedni ludzie znali się na biznesie, inni na mięsie, rzadkich metalach, zmianach kursów walut, a ona знаła się na ludzkim ciele i jego zachowaniach. I wiedziała, kiedy jest dobra okazja. Taka jak, na przykład, teraz. Kiedy Scott stał i zastanawiał się, co ma zrobić, Jo-Anne przejęła inicjatywę. Ten chłopiec mógłby być jej synem. Świetnie! Wspaniale!

Niezmiernie powoli wstała. Z czasów nowojorskich pamiętała parę tricków, a przede wszystkim to, że nie można grać za szybko, jesh me chce się spłoszyć okazji.

Scott pozwolił jej działać, przybierając pozę zahipnotyzowanego króliczka. To, co Dave mówił o Jo-Anne, wydało mu się nagle gadaniem ślepego o kolorach. Widział jej nabrzmiałe piersi, obserwował jak koniuszkiem języka zwilżyła górną wargę. Jego reakcja była niemal natychmiastowa. Poczł mrowienie w okolicach żołądka i raptowne przyśpieszenie bicia serca. Wszystko, co tak starannie opracował zeszło w jego myślach na drugi plan, zepchnięte przez najzwyczajniejsze w świecie pożądanie. Ta kobieta miała zamiar go wykorzystać. Potem zapewne go wyrzuci, póki znowu nie zechce powtórzyć tej sytuacji. Zupełnie jakby był korkiem w butelce algierskiego burgunda, który w razie potrzeby po prostu się wyciąga — najzwyczajniej w świecie, bez żadnego rytuału czy choćby zastanowienia. Jo-Anne podeszła do niego i uniosła do góry twarz. Pokonując dzielącą oboje przestrzeń kilku kroków, dostrzegła narastające w nim podniecenie. Czowała się dziwnie, wciągając w nozdrza zapach męskiego ciała. Dawno tego nie doświadczyła. Potem powoli wyciągnęła rękę i położyła dłoń na podbrzuszu Scotta, z przyjemnością odczuwając pożądanie i niecierpliwość jego młodego ciała. Było niezwykle przyjemnie i pomyślała, że zbyt długo obywatła się bez tego. Wyraz jej twarzy i kpiący uśmieszek, który igrał na jej ustach, zdawały się mówić: „Pożycz mi swego ciała, chłopaczku, tylko na chwilę, potem ci je oddam”.

Christie Stansfield wydała na ten strój majątek i martwiła się tym przez cały ranek, ale już jej przeszło. Czowała się wspaniale — tańczyła, odczuwała, wiedziała, że żyje. Pod stopami miała miękką bawełnianą chmurę waty, w nozdrzach zapach rozgrzanych ciał, a w duszy jej płonął gorący ogień miłości. Ten strój był zupełnie wyjątkowy, londyńskie dzieło sztuki. Zwykle było tak, że Anglicy produkowali rzeczy, które początkowo szokowały w Palm Beach, a potem stawały się tam obowiązującą modą. Kreacja dziewczyny - przezroczysta, w odcieniu żywego rózu — bardziej przypominała strój niewolnicy niż kostium gimnastyczny.

W ciągu ostatnich pięciu minut przed rozpoczęciem ćwiczeń, które zazwyczaj wypełniała luźna rozmowa towarzyska, inne dziewczyny dawały Christie dowody zazdrości, żartując, a czasem otwarcie złośliwie komentując jej wygląd.

— Christie, kochanie, wyglądasz, jakbyś była prześwietlona promieniami X. Odważna jesteś.

— No, no, Christie, chciałabym być taka odważna jak ty, żeby pokazywać się w czymś takim...

Ale Christie nie zwracała uwagi na ich opinie. Ubrała się tak dla jednej, jedynej osoby: dla tego cudownego chłopaka ze smutnymi oczami, który wyłonił się z morza. Dla Scotta Blassa. Miał się z nią tu spotkać. Za kilka minut osądzi jej wygląd jak mężczyzna.

Czuła się tak, jak zazwyczaj czuje się młoda, zakochana dziewczyna. Spojrzała przez moment w bok, na swoje odbicie w lustrzanej ścianie. Spod różowej mgiełki prześwitującego kostiumu przebijało jej brązowe, opalone, jędrne ciało. Silne, ale miękko zaokrąglone, bardzo kobiece i pociągające. Piersi miała nieduże, kształtne, a krótki staniczek kostiumu z trudem ukrywał przed wzrokiem różowe, sterczące sutki. Brzuch był wyraźnie widoczny z każdej strony — góra stroju łączyła się bowiem z dołem jedynie cienkimi paskami materiału. Jeśli można było coś w jej figurze skrytykować, to — jak sądziła — biodra. Trochę za szerokie, choć na pewno nie raziły. Zresztą z każdym dniem dzięki ćwiczeniom jej figura stawała się lepsza. I Scott będzie mógł ją zobaczyć. Nawet jeśli się trochę spóźni, grupa będzie ćwiczyła jeszcze długo. Przez cały czas Christie myślała właśnie o tym.

— Poruszajcie się płynnie. — Głos Maggie wdarł się w uszy dziewczyny, wytrącając ją z marzeń. — Wybijajcie rytm. Skoncentrujcie się na tym, żeby nadażyć. Wyłącznie na tym. Pozwólcie, aby wasze ciała zdominowały umysł. Właśnie tak. O to chodzi.

Christie starała się zastosować do tych poleceń. „Jestem tylko ciałem — powtarzała sobie w myślach. — Ciało jest wszystkim, co mam”. Na tym polegała cała filozofia. Tak należało myśleć. Wyrzucała nogę w bok, usiłując zatracić się w uczuciu radości płynącej ze zmęczenia fizycznego, napinania mięśni i rozluźniania. Kręgosłup wyprostowany, głowa opuszczona do dołu. Wymach mocno, wymach słabo. Czy Scott ją zobaczy, czy łatwo odnajdzie ją wzrokiem? Rytm stawał się coraz mocniejszy. Przez dziesięć minut wydawało się, że z głośnika płynęła jakaś muzyka — teraz czuło się jedynie rytm. To tylko metronom, tylko mocne uderzenia, nie bardziej melodyjne niż tykanie zegara, których jedynym celem było dyrygowanie ciałami ćwiczących dziewcząt. Ani mniej, ani więcej. Dudniące basowe uderzenia, rozlegające się w całej olbrzymiej sali różowego budynku Philips Point równie głośno, wdzierały się do podświadomości, zmuszając ciała do posłuszeństwa. Słyszeć znaczyło podporządkować się i cała grupa

stopniowo zaczęła poruszać się w jednym rytmie jak jeden wielki organizm.

Samotna w dudniącej od uderzeń stóp sali Maggie jako jedyna nie poddała się magii rytmicznej muzyki. Uodporniła ją dwadzieścia lat ćwiczeń i czasami, jak na przykład dzisiaj, żałowała, że już nie potrafi poddać się temu radosnemu nastrojowi, w jaki popadała jej grupa. Widziała ekstazę w oczach ćwiczących dziewcząt, wiedziała, jakie to cudowne uczucie, gdy masz wrażenie, że za moment padniesz ze zmęczenia, a mimo to ćwiczysz dalej. Ale ona już tego nie przeżywała. Miała to za sobą. Jej ciało nie dostarczało już takich wrażeń. I trudno byłoby powiedzieć, że wygląda ładnie. Tego nie udało się jej osiągnąć. Wyglądała niezwykle — jej ciało składało się bowiem jedynie z mięśni, ścięgien i kości. Wyglądało to tak, jakby była w stanie wykonać każde, najbardziej nawet nieprawdopodobne ćwiczenie. Kiedy razem z Lisą zaczynały w starej sali gimnastycznej na Clematis, nigdy nie śmiała marzyć, że osiągnie coś takiego. Lisa odeszła, ale Maggie nie straciła wiary i kontynuowała, wzbogacając ćwiczenia o nowe, własne pomysły. Obecnie była właścicielką studia sławnego na cały kraj i sama była słwna. Przychodziły do niej dziewczęta z najlepszych rodzin. Nawet Christie Stansfield, córka Bobby'ego. To właściwie Lisa powinna być jej matką.

Lisa Starr, Lisa Blass — jej Lisa. Obecnie gwiazda na szczycie drabiny towarzyskiej. Maggie zawsze wierzyła, że Lisa to osiągnie. Ich drogi się rozeszły, ale Maggie nadal ją kochała; wspomnienia o niej i jej odwagę. Jej z pozoru niewyczerpaną energię życiową. Spotykały się od czasu do czasu na jakichś przyjęciach i starały się udawać, że nic się między nimi nie zmieniło, choć obie wiedziały, że to nieprawda. Lisa była już zupełnie inna. Maggie zresztą zapewne też się zmieniła, ale Lisa bardziej. Nadal była czarująca i piękna, lecz nie miała w sobie ciepła — promieniował z niej jedynie chłód. Chłód, który przeżarł tę dobrą część duszy Lisy, którą Maggie kochała najbardziej.

Maggie zmusiła się do odrzucenia tych myśli. Ćwiczące przed nią dziewczęta, spocone i obolałe, wyglądały tak, jakby ich ciała błagały o ulgę. Powinna dołączyć do nich i wesprzeć je psychicznie.

— I jeszcze trochę, dziewczyny, jeszcze chwilę. Razem ze mną.

Nagle zatopiona w ćwiczeniach Christie poczuła, że ktoś przyciąga jej wzrok. Scott stał w drzwiach, oparty o framugę, leniwie patrząc wokół sali na grupę ćwiczących dziewcząt, z rozchylonymi w półuśmiechu ustami. Z protekcyjnym wyrazem twarzy czy z nieśmiałością? Trudno powiedzieć. Wyglądał, jakby przyszedł prosto z plaży. Ze śladami soli na skórze, w brudnej szarej koszulce i wytartych, białych

lnianych spodniach, najwidoczniej dość długo przechowywanych w bagażniku pogruchotanego samochodu, którym zawsze jeździł. To było częścią jego, to podejście „a cóż mnie to obchodzi, co inni myślą”, i tak bardzo pociągało Christie. Kiedy tak obserwowała Scotta, jego oczy odnalazły ją wreszcie. Christie poczuła, że rumieniec na jej twarzy stał się jeszcze mocniejszy pod wpływem świadomości, iż to, o czym marzyła przed chwilą, stało się w końcu prawdą. Starła się uśmiechnąć, ale Scott nie odwzajemnił tego uśmiechu, skinął tylko głową.

Dokończ to, co robisz — wydawał się mówić jego wzrok. — Robisz coś ważnego, więc nie przerywaj. Ja nie zwróciłbym na ciebie najmniejszej uwagi, gdybym dostrzegł cię, płynąc na desce.

Christie opuściła głowę pod wpływem tego upomnienia. Miał, oczywiście, rację. Usiłowała skoncentrować się na ćwiczeniu.

— Dobra, dziewczyny. A teraz kładźcie się na plecach. Popracujemy nad biodrami.

Christie jęknęła w duszy. O Boże! Czemu właśnie teraz musiało być to ćwiczenie? Wygięła plecy i uniosła do góry brzuch, podpierając się na zgiętych w kolanach nogach.

— I mocno do góry, i szybciej, i raz i dwa, i raz i dwa... Christie zamknęła oczy, żeby ukryć swoje zakłopotanie, zapomnieć,

gdzie się znajdowała i kto ją obserwował. Ale ruchy, jakie wykonywała, przypominały jej to ciągle. Miała wrażenie, że uprawia miłość z powietrzem. Nie dało się inaczej opisać tego ćwiczenia. Do pełni szczęścia brakowało jedynie Scotta i Christie nie mogła przestać o tym myśleć. Czuła, jak narasta w niej dziwne uczucie. Im bardziej starała się je odrzucić od siebie, tym mocniej odczuwała. Starła się powstrzymać, ale nie mogła.

— Mocniej do góry! I jeszcze!

Christie wykonała polecenie i poczuła, jak ciarki zaczynają przechodzić jej po udach, podbrzuszu. Och, nie. Nie teraz. Nie tu. To niemożliwe.

Otworzyła oczy, w nadziei że to pomoże jej się uspokoić.

Scott nie stał już w drzwiach. Przesunął się bliżej pod ścianę sali i stał, wpatrując się z dziwnym wyrazem twarzy w jej niemal nagie ciało, wznoszące się i opadające rytmicznie.

Christie nerwowo oblizła wargi i próbowała uśmiechnąć się do niego, co nie bardzo jej się udało. I właśnie wtedy poprzez uniesione do góry biodra, w trójkącie między swoimi rozchyłonymi udami, dostrzegła w odległości trzech metrów od siebie wyraźne podniecenie Scotta, widoczne pod pogniecionymi białymi spodniami.

Zdumiona tym, co się z nią zaczęło dziać, zdążyła tylko westchnąć

i szybko zamknąć oczy, zanim zupełnie wypadła z rytmu. Jej nogi jakby zamarły, plecy zeszywniały i przestała myśleć.

— Och, Boże — usłyszała nagle i uświadomiła sobie, że to właśnie ona zapewne wydała ten jęk. Usiadła, mocno zaciskając nogi i starając się ukryć to, co się z nią działo. Przechodziły ją dreszcze, których nie była w stanie opanować, dreszcze takiej rozkoszy, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała. Przez moment czuła się tak, jakby płynęła gdzieś na chmurce, sama, obojętna na otoczenie. Później wszystko wróciło do normy, pozostało tylko wspomnienie i wilgotna plamka w kroku.

Kiedy otworzyła oczy, spostrzegła, że Scott wpatruje się właśnie w to miejsce. Był to ich pierwszy sekret. Przez trzy ćwierćwiecza Paramount stanowiło główną atrakcję Palm Beach. Najpierw mieścił się tam teatr, a potem, przez lata, jedyne w mieście kino. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaniedbane i nie remontowane, wyraźnie podupadło. Teraz jednak odzyskało swoją rangę. Odnowione, znowu przyciągało tłumy widzów. W świetle migoczącego ekranu trudno było nie dostrzec uczucia bijącego z twarzy Christie Stansfield. Jak miliony dziewcząt przed nią, sięgnęła ręką przez dzielące ich oparcie i wsunęła ją w ciepłą dłoń Scotta. Trzy pełne emocji tygodnie wystarczyły, aby jej postanowienia tak dalece osłabły, że w każdej chwili gotowa była mu ulec. Dziś, jutro. To, co do niego czuła, trudno nawet nazwać miłością — była to obsesja, namiętne zaangażowanie nastolatki, budzące dreszcze, wspaniałe i jednocześnie przerażające swoją siłą i potęgą. Stopniowo wszystko, co niegdyś liczyło się w jej życiu, przestało mieć znaczenie, zbladło wobec przepelniającego Christie oczekiwania na spełnienie uczucia, na to, czego dotychczas zawsze odmawiała. Na plaży, na którą mieli pójść po kinie, albo gdziekolwiek. Spojrzała na ukochanego, nie dopuszczając nawet myśli, że na jego twarzy widnieje okrucieństwo, interpretując ten wyraz jako kapryśny grymas, który miał znamionować siłę. Scott nie może jej skrzywdzić. Zaopiekuje się nią i będzie wiedział, co trzeba zrobić. Boże, jak ona go uwielbia. Nigdy przedtem nie spotkała kogoś takiego jak on. W dotychczasowym układnym i grzecznym życiu, dającym jej zawsze całkowite poczucie bezpieczeństwa nie było nikogo podobnego do Scotta. Jak cudowny duch z zaginionej Atlantydy, wyłonił się z oceanu i wszedł w to życie ze swym beztroskim uśmiechem i odwagą. Był tak spontaniczny i autentyczny we wszystkich reakcjach; tak absolutnie zaabsorbowany pływaniami na desce i osiągnięciem doskonałości w tej

dziedzinie. Christie, otoczona dotychczas znajomymi, których głównym zajęciem było zabijanie nudy, natychmiast poczuła się oczarowana entuzjazmem i ciałem Scotta, które traktował jak instrument pozwalający okiełznać siły oceanu.

Ale nie tylko to się liczyło: byli szorstcy przyjaciele z drugiej strony jeziora i dziwne, prymitywne miejsca, do których ją zabierał rankiem, kiedy Palm Beach jeszcze spokojnie spało. W zatłoczonych, ordynarnych barach Old Okeechobee i na ulicach Riviera Beach, gdzie wystawały prostytutki, Christie po raz pierwszy zetknęła się z prawdziwym życiem tej drugiej, nie znanej jej części społeczeństwa. Jakby weszła do dantejskiego piekła; ale mając u boku Scotta, czuła się równie bezpieczna jak w podcieniach kościoła Bethesda-by-the-Sea. Scott znał tam wszystkich i nie traktowano go jak jakiegoś bogatego intruza. To nie to, że tylko tolerowano go — po prostu był jednym z nich, potrafił żartować tak jak tamci, z łatwością przyjmował ich wymowę, gestykulację, uprzedzenia. A kiedy w ciemności nocy ujawniały się temperamenty, słabły hamulce i jakieś niemądre łapy wyciągały się w jej stronę, pięści Scotta zaciskały się, szczeka wysuwała do przodu i kreatury ze strefy cienia natychmiast rozumiały, że postąpiły źle. Czuła się jak średniowieczna księżniczka ze swoim rycerzem, cudownie bezpieczna.

Zaledwie kilka dni temu dowiedziała się, kim naprawdę był. Wtedy, kiedy już połknęła haczyk. A więc to Scott Blass, syn Lisy Blass, syn nieprzyjaciółki jej matki. Przez moment przeżywała dylemat. Czy nielojalne było to, że z nim chodziła? Czy powinna przyłączyć się do zemsty matki na dawnej dziewczynie ojca? Niebieskie oczy, tak bardzo podobne do oczu Christie, wpłynęły na jej decyzję. Grzechy rodziców nie powinny przenosić się na dzieci. Zresztą nie wyglądało na to, żeby Scott odziedziczył nienawiść po swojej matce. Wiedział, że była Stansfieldówną i ani nie zrobiło to na nim wrażenia, ani go od niej nie odepchnęło. Zrobiła jednak ustępstwo na rzecz pragmatyzmu. Nie powiedziała matce, kim był jej aktualny adorator. Jo-Anne, ustawicznie zajęta sobą i absolutnie nie zainteresowana tym, co robią inni, nie zadała sobie zresztą nawet trudu, aby zapytać.

Po wyjściu z kina Scott ponownie wziął Christie za rękę. Nie odzywał się — nie rliusiał. W ciepłej ciszy nocy szli Seminole Avenue w kierunku plaży. Kiedy doszli do piasku, zsunęli z nóg buty i stanęli, patrząc na księżyc w jego trzeciej kwadrze. Broda Christie posłusznie wykonała polecenie palca wskazującego Scotta, oczy dziewczyny wpatrywały się w światło księżyca w oczy chłopca, a ciepły, niepewny oddech owiewał jego twarz. Czuła, jak rozchyła usta, wysuszone jak palmy nad głowami obojga. Wkrótce już ją pocałuje. Co było w oczach tego

chłopaka, że musiała go tak bardzo pokochać? Smutek? Melancholijna samotność zmieszana z pragnieniem? Tak bardzo chciałaby zaspokoić wszystkie jego pragnienia. Chciałaby go uszczęśliwić, zapełnić tę próżnię, o której tak wymownie mówiły niebieskie oczy.

Objęła szczupłą talię Scotta i przyciągnęła go do siebie, czując jego narastające podniecenie i bezwstydnie wtulając go w siebie. Ale ciągle jeszcze jej nie całował. Obserwował ją z dziwnym wyrazem twarzy. Nad czym się zastanawiał?

Wreszcie pochylił się do niej, czule, powoli. Christie zamknęła oczy i jęknęła cicho, oczekując na dotyk jego ust. Miało to być po raz pierwszy. Pierwsze dotknięcie, pierwszy kontakt fizyczny.

Zaczął ją całować delikatnie, ostrożnie. Najpierw niemal w powietrzu, następnie jego usta, ciepłe i suche, zaczęły muskać jej wargi. Christie poczuła, jak po jej skórze przebiegają obezwładniające dreszcze. Czowała je na piersiach, w krzyżu, na udach. A potem język Scotta wsunął się do jej ust. Christie otworzyła oczy i spostrzegła, że gwiazdy wirują jej przed oczami pod wpływem niecierpliwego, potężnego pożądania, z jakim Scott ją całował, kąsał, rozgniatał usta.

Ręce Scotta przesuwały się niecierpliwie po jej plecach, aż wreszcie natrafiły na gołą skórę. Wyciągnął jej bawełnianą koszulkę na wierzch i przebiegał palcami po ciepłej skórze, szukając stanika, którego Christie nie miała na sobie. Potem powoli osunął się na kolana i ukląkł przed nią na piasku. Chwilę później mocnym ruchem rąk przyciągnął dziewczynę do siebie, zmuszając, by usiadła. Delikatnie uniósł do góry jej koszulkę, zdjął ją i rzucił na piasek. Przez chwilę przyglądał się piersiom Christie. Wpatrywała się w niego, jakby starała się oczami powiedzieć, że należy do niego, że nie będzie stawiać oporu, że pragnie tego samego co Scott. Oszołomiona niezwykłym uczuciem, zbyt silnym, by je wytrzymać, niepewnie czekała na werdykt. Jej piersi były małe. Czy Scottowi to nie przeszkadza?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, pochylił się, kładąc dłonie na jej twardych, nabrzmiąłych z podniecenia piersiach. Potem pochylił głowę i zaczął całować sterczące, różowe sutki. Christie przytuliła mocniej do siebie jego głowę, przebiegała palcami po jasnych, kręconych włosach. Czowała, jak jej serce wyrywa się z piersi, jak narasta w niej potężna fala, ogarniająca całe ciało, wszystkie zmysły.

Sięgnęła do niego, drżącymi palcami szukając jego objawów pożądania i znalazła je. Sama nie wiedziała, jak to się stało, że bez zastanowienia odnalazła sposób, aby uwolnić Scotta z obcisłych spodni.

W pewnym momencie osunęła się na piasek, rozpięła swoje dzinsy i zsunęła je z bioder razem z majteczkami. W chwili tego cał-

kowitego zapamiętania przez głowę przebiegła jej szokująca myśl, że to ona — mała, słodka Christie Stansfield — leży na piasku pełna pożądania, domagająca się zaspokożenia. Tuż nad nią głowa Scotta zasłaniała niebo. Nagle, całkiem niespodziewanie, Christie dostrzegła w jego oczach coś, czego tam nie powinno być, jakies zupełnie niewłaściwe uczucie. Triumf? Okrutne zwycięstwo? Nienawiść?

Ostrzegawcze dzwoneczki podniosły alarm, mobilizując wszystkie siły rozumu dziewczyny do wyjaśnienia tego. I wtedy błysnęło jej przekonanie, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Coś, czego i ona, i on będą zawsze żałować. Zbrodnia przeciw naturze, oceanowi, wonnemu powietrzu i niebu obsypanemu gwiazdami. Było już jednak za późno. Poczula ostry ból i kropelki krwi popłynęły jej po udach. Pożądanie przesłoniło jej myśli, opanowując świadomość.

Chociaż wiedziała, że będzie tego żałować, przyciągnęła Scotta mocniej do siebie i uniosła biodra, zmuszając go, by wszedł głębiej i zaspokoił jej spragnione ciało.

Jo-Anne wyciągnęła się jak śpiący, ale zadowolony z siebie kot na białym, wiklinowym szezlongu, obitym jedwabną surówką. W ciągu ubiegłego tygodnia trzykrotnie przeżywała cudowny sen, a dziś miało się to znowu powtórzyć. Ten młody chłopak był na medal. Nie nazbyt dumny, by uczyć się czegoś nowego, posłuszny i wytrzymały. W poniedziałki, środy i piątki wczesnym popołudniem kochał się z nią przez bite dwie godziny za każdym razem. Był czysty, nie usiłował wyciągnąć od niej żadnych pieniędzy, nie zadał sobie nawet trudu, by spytać, jak się nazywa. To wszystko oraz jego sprawne, męskie ciało Adonisa było naprawdę czymś szczególnym. Tym razem nastąpiła jednak pewna zmiana w ustalonym rytmie. Otóż miał przyjść „zrobić basen” w sobotę, i to o wpół do czwartej, a nie jak dotychczas — około drugiej. Poinformował o tym Jo-Anne, a ona przyjęła to do wiadomości. Kto wie, może miał przedtem jakieś wcześniej umówione spotkanie na plaży? No cóż, jak długo był chętny i gotowy, co ją to obchodziło?

Jo-Anne przerzucała z pochmurną miną „House and Garden” i popijała powoli swojego drinka. Dwunasta. Jeszcze trzy i pół godziny. Cierpliwość nigdy nie była jej najmocniejszą stroną. Rozejrzała się wokół, szukając kogoś, na kim mogłaby wyładować zły nastrój. Przy płytkim krańcu basenu dostrzegła pogrążoną w myślach Christie. Psiakrew! Zupełnie zapomniała. Musi się jej jakoś pozbyć z domu. Zazwyczaj w dni robocze zajęta była na Worth Avenue, ale w weekendy, zwłaszcza przy dobrej pogodzie, przesiadywała w pobliżu basenu.

— Co się, u licha, z tobą ostatnio dzieje, Christie? Albo wariujesz ze szczęścia, albo popadasz w głęboką rozpacz. Tylko mi nie mów, że się zakochałaś albo inne głupstwo w tym rodzaju.

W śmiechu Christie nie słyszało się nawet śladu humoru. Scott nie zadzwonił od dwudziestu czterech godzin i naprawdę był to dla niej nieudany dzień. A uwaga matki wcale nie przyniosła dziewczynie ulgi. Ale też rzadko jej uwagi okazywały się pomocne. Nie było to winą Jo-Anne i Christie była pewna, że matka wcale nie chciała być nieuprzejma. Tylko miała taki nieprzyjemny zwyczaj wbijania małych, przykrych szpileczek za każdym razem, kiedy otworzyła usta.

Ukryła ramiona pod spokojną powierzchnią wody, planując odpowiedź.

— Może jestem — odparła wreszcie tajemniczo. Boże! Jak to się stało, że udało się jej skłamać. Jeśli miłość była chorobą, to Christie leżała właśnie na łożu śmierci. Nie wiedziała, że można przeżyć coś takiego, jak wówczas w nocy na plaży. Scott Blass był jak atomowa eksplozja czystej fascynacji, która rozbiła jej dotychczasowy świat na małe cząsteczki i pozostawiła ją oscylującą nerwowo pomiędzy niebiańskim zachwytem nie do opisanania i rozdzierającym bólem najgorszego z możliwych piekieł.

— No cóż, jeśli tak, to radziłabym ci, abys się nią nacieszyła, tylko nie zapomnij brać pigułek. Nie mogę jednak zrozumieć, czemu wyglądasz tak cholernie ponuro.

Ona na przykład wcale nie była ponura z powodu swojego chłopaka, może tylko lekko zirytowana, że nie mógł przyjść trochę wcześniej niż o trzeciej trzydzieści.

Christie jęknęła w myślach. Wspaniale! Oto matczyną troską o zakochaną córkę. Miała jednak ważniejsze rzeczy na głowie, niż martwić się brakiem uczuć macierzyńskich u swojej matki. Istniała tylko jedna osoba na świecie, której uczucia były dla niej w tej chwili ważne, i właśnie ten ktoś nie zadzwonił, aby powiedzieć, że ją kocha. Wstrząsające połączenie się na piasku, a potem grobowa cisza. Doprowadzało to Christie do szału.

Z pomocą przyszedł jej oficjalny, chłodny głos kamerdynera.

— Panno Christie, telefon do panienki. Jakiś dżentelmen, który nie chciał podać swojego nazwiska. Czy zechce pani odebrać?

Christie wyskoczyła z basenu.

Kamerdyner podał jej telefon bezprzewodowy, zupełnie jakby to była pałeczka w sztafecie.

— Halo — mówiła z trudem. Serce tłukło się jej niespokojnie. Miała nadzieję, że to nie jakiś głupi telefon od przypadkowego znajomego z Boynton Beach czy Pru.

— Christie, tu Scott. Możesz rozmawiać?

— Niezupełnie. Cieszę się, że dzwonisz.

— Słuchaj, bardzo chciałbym się z tobą zobaczyć.

— Ja też bardzo bym chciała.

— Masz czas dziś po południu?

— Cudownie. Gdzie i kiedy?

— Możesz się ze mną spotkać w waszej altanie? Tuż po czwartej. Tylko nie wcześniej.

— Myślę, że mogę. Co za śmieszne miejsce! Tak, naturalnie. Tak bardzo chcę cię zobaczyć.

— Dobra. Słuchaj, muszę teraz już kończyć, ale zobaczymy się później. Po czwartej, pamiętaj.

Christie odłożyła słuchawkę i zatopiła się w marzeniach. Głos matki tym razem nie był w stanie sprawić jej bólu.

— Domyślam się, że to ten twój rycerz z bajki — powiedziała Jo-Anne z całym sarkazmem, na jaki mogła się zdobyć.

— I słusznie — mruknęła Christie, nie zwracając większej uwagi na jej słowa, po czym matka i córka zatopiły się każda w swoich marzeniach. Jedna czekała na wpół do czwartej, a druga — na czwartą.

Christie nie była pewna, czy naprawdę chciała umrzeć, ale życie tak bardzo ją zawiodło, że śmierć nie mogła być już gorsza. Spojrzała na dużą fotografię Scotta pływającego na desce na North End. Tak bardzo go wtedy kochała! I teraz, pomimo tej strasznej sceny, której była świadkiem, pomimo nieprawdopodobnego okrucieństwa i całej premedytacji postępowania Scotta, ciągle jeszcze go kochała. Sięgnęła do buteleczki i wrzuciła do ust kolejną żółto-czarną pastylkę. Która to? Dziesiąta? Piętnasta? Straciła rachubę, obraz fiołki rozmywał się przed jej zapłakanymi oczami. Fotografia była wilgotna od łez.

Nie mogła oderwać myśli od tego okropnego wydarzenia. Otwiera drzwi. Woła go. Słyszy coś. I widzi. Powiedział, żeby przyszła o czwartej. Chciał, żeby się tam znalazła. Chciał, żeby widziała, jak łamie jej serce i wyrzuca ją ze swojego życia. Nigdy nie podejrzewała, że ktoś może być tak okrutny. Jakby nagle uwolnił się demon czystego zła, który wziął ją w posiadanie, owiewając swoim obrzydliwym oddechem. Przez sekundę stała tam, nie wierząc własnym oczom. Matka była zwrócona do niej plecami. Scott trzymał ręce na jej nagich pośladkach. Nad ramieniem Jo-Anne chłopak wpatrywał się intensywnie w twarz Christie wzrokiem, w którym była dziwna mieszanina nienawiści i okrutnego triumfu. Przez długie sekundy patrzyła na tę niesamowitą

scenę, jakby usiłując zrozumieć, co się stało, szukając jakiegoś wytłumaczenia. Ale wyraz twarzy Scotta wyjaśnił jej wszystko — znacznie więcej, niż była w stanie znieść.

Z okrzykiem przerażenia wybiegła z altany. Zalewając się łzami, wpadła do domu, bezskutecznie usiłując opanować szok. Fiolka z pastylkami z szafki w pokoju matki. Puszka wody sodowej z lodówki. Fotografia z jej pokoju.

Kluczyki od samochodu ze stolika w holu. Co jeszcze może być potrzebne na drogę do wieczności?

Z załzawionymi oczami wyjechała za bramę i skręciła w prawo, w stronę North Inlet. Morze, błyszczące i spokojne, jakby kpiło z jej rozpacz, swoją niebieską tonią zachęcając do spokoju, który usiłowała odnaleźć. Musi wjechać w jakąś cichą uliczkę.

Z dala od targanego burzą domu na Arabian znalazła miejsce, z którego wyruszy w spokojny niebyt. Znajdą potem Christie Stansfield uspioną na zawsze i nikt nie będzie wiedział, co spowodowało, że chciała umrzeć. Tyle mogła dla nich zrobić. Nawet teraz nie chciała wyrzucić krzywdy ani matce, którą kochała, ani temu chłopakowi, który był jej bóstwem. Żadnych listów, żadnych pożegnań, które wywróciłyby ich życie do góry nogami, gdyby dostały się w ręce chcącego ją pomścić ojca.

— Och, tato — powiedziała na głos. — Tak bardzo cię kocham. Nie bądź przeze mnie smutny.

Fiolka po lekarstwach była już pusta, ale ciągle jeszcze nie ogarniała jej senność. Może za mało wzięła? Skąd mogła wiedzieć. Był to hazard, i to na taką skalę, że nie przejmowała się, czy wygra czy nie. Nie wiedziała nawet, co mogłaby wygrać albo co miała do stracenia. Wiedziała tylko, że coś się musi zmienić.

I nagle usłyszała jakiś cichy głos. Zdecydowany, natarczywy, który przekazał polecenie jej rękom i stopom. W odpowiedzi przekreśliła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik. Stopy nacisnęły pedał gazu, a palce poruszyły dźwignię zmiany biegów. Musi to zrobić; musi uratować duszę Scotta przed ogarniającym ją złem. Musi ochronić go przed poczuciem winy, jakie pojawi się bez wątplenia po tym, co zrobił. Było to jakieś atawistyczne uczucie. Miała umrzeć, ale to Scott potrzebował pomocy. Jakiś demon opanował jego duszę, zawładnął cudownym umysłem i ciałem. I nikt inny na świecie oprócz niej nie mógł mu pomóc.

Paradoksalne było to, że właśnie gdy przyszyła jej do głowy ta myśl, zaczęła odczuwać senność. I teraz musiała z nią walczyć, choć przedtem tak bardzo na nią czekała. Otworzyła okna w samochodzie, włączyła na cały regulator dmuchawę powietrza i radio, żeby wybijało ją

z ogarniającej niemocy. Ile to razy przejeżdżała tą drogą nad brzegiem oceanu? Dziękowała Bogu w duchu za to, że znała na pamięć wszystkie znaki, że mogła jechać niemal z zamkniętymi oczami. Czy Scott tam będzie? Odrzucony przez jej matkę w gniewie wywołanym wstydem? Jeśli nie, to poczeka. Poczeka na zewnątrz małego domku na terenie posiadłości Blassów; domku, w którym mieszkał. Zapewne znajdzie ją śpiącą na trawie, w innym świetle. Jej śmierć będzie wstrząsem, pod wpływem którego opuszczą go złe duchy i stanie się znowu dobry — taki, jakiego kochała.

Z trudem skręciła w lewo na Barton i o mało nie minęła wjazdu do Blassów, ale udało się jej na jakiś czas oprzytomnieć, gdy zobaczyła zaparkowany za bramą samochód Scotta.

*Scott opadł na wielki fotel i próbował opanować swoje emocje. Zrobił to. Jego okropny plan się udał. Oddał w stronę Stansfieldów taki strzał, po którym zapewne niełatwo dojdą do siebie. Matka i córka dzieliły się jego ciałem, jedna zwyczajnie, druga — z drzeniem, towarzyszącym pierwszej miłości. Christie nigdy nie wybaczy tego Jo-Anne. Nie wybaczy Jo-Anne także ojciec Christie, kiedy się o wszystkim dowie. Dojdzie co najmniej do rozwodu i najprawdopodobniej do jakichś brutalnych scen. Tak, narobił kłopotów wrogom swej matki, wpędził ich w niezłe tarapaty. Powinna być mu za to wdzięczna. Powinna go zacząć dostrzegać. Powinna go pokochać.

Pociągnął duży łyk whisky. Był to moment triumfu. Ale właściwie wcale go nie odczuwał. Przez cały czas majaczyła mu przed oczami pełna przerażenia twarz, uderzająco ładna w swoim smutku. Christie była taka dobra. Oddała się z całym zaufaniem, wierząc mu, drżąc z miłości. Bezwstydnie rozbudził i pielęgnował w niej uczucie, by płomień nie zgasł zbyt wcześnie. Śmiał się razem z dziewczyną i strofował ją. Pouczał i schlebiał. A wtedy, na oświetlonej przez księżyc plaży, pozbawił ją dziewictwa, ale i części duszy. I po co? Żeby pozyskać miłość matki, która jest wobec niego kimś obcym z zemsty za jakieś dawne, nie znane mu winy. Dlatego zemścił się na kimś, kto nie ponosił odpowiedzialności za tamte sprawy.

Whisky krążyła mu we krwi, ale nie była w stanie uciszyć głosu nieczystego sumienia. Wdarł się w ciche, uporządkowane życie Christie jak jakiś psychopatyczny morderca i poczynił w nim spustoszenie, niszcząc ją oraz tych, których kochała. To nie było dobre; on nie jest dobry.

Zapadał zmierzch i w głównym budynku ich posiadłości stopniowo

zaczęły zapalać się światła w oknach. Wkrótce przyjdzie pora na bar i klub rockowy. Dokąd ma pójść? Lauderdale? Boca? Ale pójdzie już bez Christie. Bez tego anioła ze świeżą buzią, z którym przyjemnie było się pokazać. Nawet wtedy, kiedy zaplanował to wszystko przeciw niej, nie bardzo potrafił przestać lubić tę dziewczynę. Było w niej coś dziwnego: wrażliwego, a jednocześnie silnego, podnoszącego na duchu i dziwnie bliskiego.

Nagle odezwał się dzwonek u drzwi; dzwonił w sposób ciągły.

Ostatnia osoba na świecie, którą spodziewał się zobaczyć. Jej twarz, zalana łzami, była śmiertelnie blada, na czole widniały kropelki potu. Oczy, zazwyczaj szeroko otwarte, skryły się pod powiekami, ciężkimi od ogarniającej ją senności. Kiedy otworzył drzwi, Christie zachwiała się w wejściu i niewyraźnie wymamrotała:

— Scott. Pomóż mi... Wzięłam jakieś pastylki. — Potem zrobiła krok w jego kierunku i upadła, tracąc przytomność. białej sali pogotowia ratunkowego przy szpitalu Dobrego Samarytanina wyczuwało się ciężką atmosferę z trudem opanowywanej paniki. Bez zbędnych słów wykonywano pośpiesznie jakieś czynności. Pielęgniarki w białych uniformach i zatroskani lekarze podłączali skomplikowane urządzenia i wstrzykiwali do kroplówki życiodajne środki, odprawiając własną liturgię we własnym żargonie zawodowym, zupełnie obojętni na rozpacz w sercu Scotta i łzy w jego oczach. Dla nich ważna była sól fizjologiczna, rurki Ryle'a, wzmożona alkaliczność moczu, a nie Christie, pogrążona w śpiączce. Scott przyglądał się tej walce życia ze śmiercią zupełnie bezradny, pogrążony w rozpacz. Nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy byli zbyt zajęci.

Przedtem, kiedy wbiegł przez wahadłowe drzwi z Christie na rękach, miał przynajmniej jakąś rolę do odegrania.

Posadzili go i usiłowali wyciągnąć jakieś w miarę spójne informacje o tym, co się stało. W ich zimnych oczach mógł wyczytać, że nieraz już przez to przechodzili. Samobójstwo nastolatki; amerykańska epidemia. To pewnie jej chłopak, a ta nieprzytomna dziewczyna to przyszła ukochana lub eks-ukochana. Były oczywiście różne możliwe warianty, ale ich w gruncie rzeczy interesowały tylko trzy rzeczy. Jakiego typu pastylki połknęła i ile? Kiedy? Od jak dawna była nieprzytomna? Póki usiłował im odpowiadać, słuchali go, ale gdy tylko zorientowali się, że nie może dać jednoznacznej odpowiedzi na pierwsze, najważniejsze pytanie, porzucili go natychmiast jak gazetę z poprzedniego dnia.

Młody doktor — strapiiony, z potarganymi włosami — myślał głośno.

— EKG pokazuje arytmie. Czy to mógł być środek trójcykliczny? — Nikt nie odpowiedział. — A może jakiś przeciwdepresyjny? Na miłość boską, spytajcie jej chłopaka, czy miała dostęp do środków przeciwdepresyjnych? Nuta desperacji w jego głosie poruszyła kogoś z zespołu.

— Za jakieś dziesięć minut będziemy mieli wyniki analizy zawartości żołądka.

— Za dziesięć minut może już być za późno. Zaczynają się objawy tachycardii komorowej. Sue, daj do kroplówki trochę lidokainy. Tak z pięćdziesiąt miligramów. I przygotuj strzykawkę z drugą taką samą porcją, na wypadek gdyby okazała się potrzebna. Miejmy w pogotowiu dwuwęglan sodu. W porządku? Co ten jej chłopak powiedział na temat środków przeciwdepresyjnych?

Ale jej chłopak, przerażony własną niewiedzą, nie miał nic do powiedzenia na ten temat. Christie nigdy nie bywała przygnębiona, póki nie zgniótł jej jak czystej kartki papieru. Możliwe, że Jo-Anne miała tego typu środki. A jeszcze bardziej prawdopodobne, że miał je senator Stansfield.

— Nie wiem, Boże, naprawdę nie wiem — wydusił z siebie z rozpaczą, kiedy skierowali na niego oskarżające, a jednocześnie pytające spojrzenia.

— Jak z nią jest? Czy przeżyje? — pytał błagalnie, ale już nikt go nie słuchał. Znowu był kimś niewidzialnym.

— Dajcie mi jeszcze lido. To nie zadziałało. Podaj ciśnienie krwi.

— Siedemdziesiąt na pięćdziesiąt.

— Cholera, boję się, że nie wyjdzie z tego. Dajcie jej tlen. Mówię, wsuń to. Czy defibrylator jest gotowy? Podaj mi żel elektroniczny, Sue. Tom, obserwuj EKG. Jak tylko zobaczysz migotanie komory, dajcie jej porcję lido.

— Nie słyszę tętna. Ciśnienie niewyczuwalne.

Scott czuł się tak, jakby jego serce było w jeszcze gorszym stanie niż Christie. Nie rozumiał większej części z tego, o czym mówili, ale gwałtowność ich ruchów była oczywista. Ktoś wsuwał rurę w gardło Christie, inna ręka nerwowo poprawiała zacisk w kroplówce, a pielęgniarka podnosiła dźwignię, unosząc jeden koniec łóżka.

— Nie odchodź, maleńka, poczekaj, potrafisz to zrobić. — Doktor znowu mamrotał do siebie, pragnąc, aby lidokaina zadziałała, uspokoiła migotanie serca. Jeśli nie odzyska swojego równego rytmu, spadnie ciśnienie krwi w arteriach i sercu zabraknie tlenu.

— Taka młoda — odezwał się jakiś głos.

— Psiakrew, migotanie komory. Widoczne na całym ekranie.

— Ciśnienie niewyczuwalne.

— Dobra, włączamy defibrylator. Dawaj wstrząsy. Czteryście watów na sekundę.

Zdrętwiały z przerażenia Scott obserwował, jak Christie ocierała się o śmierć. Umierała i to on, Scott, był jej zabójcą. Uważał się za najnikczemniejsze stworzenie na świecie. Boże, proszę, pozwól jej żyć, błagał w myślach. Po policzkach spływały mu łzy; opadł na kolana i modlił się, podczas gdy wokół niego kręcili się lekarze i przebiegały pielęgniarki.

— Błagam cię, Boże — jęknął, widząc, jak doktor pochylił się i przyłożył do bladej piersi Christie elektrody.

— Gotowe. Cofnijcie się.

Scott nie zwrócił nawet uwagi na potężne wstrząsy ciała Christie, tak był zatopiony w rozmowie z Bogiem, prosząc Go, obiecując i targując się z Nim.

— Co masz, Tom? Nadal migotanie komór?

— Tak.

— Powtarzamy.

Ponownie doktor pochylił się z elektrodą nad Christie. I ponownie drobnym ciałem dziewczyny szarpnęło potężnie.

— Jest lepiej! Wraca sinusoida. Odzyskuje rytm sinusoidalny. Wspaniale!

— Co z ciśnieniem?

— Minimalne, ale wraca. Tak, wraca!

— Psiakrew! Mało brakowało i byłoby po niej. Omal że się nie przejechała!

— Stabilizuje się. Ciśnienie wraca i rytm staje się miarowy. Scott podniósł się z krzesła. W pokoju nastąpiła wyraźna

zmiana atmosfery, zrobiło się weselej. Kostucha odeszła z pustymi rękami.

Wyrzucono go około północy, pocieszając, że Christie wyjdzie z tego, ale nie pozwolono mu się z nią zobaczyć. Nie chcieli, żeby jego rozpaczliwa potrzeba wybaczenia została zaspokojona, a poza tym zaczynał się przed nimi wyłaniać pełniejszy obraz sytuacji. To córka senatora Stansfielda, a chłopak wyglądał na jakiegoś ubogiego chłystka. Matka była już w drodze do szpitala. Ktoś próbował skontaktować się z senatorem w Ohio. Znacznie lepiej będzie, jeśli ta drugoplanowa postać zniknie ze sceny, zanim pojawią się ważne osobistości. W zamieszaniu nikt nawet nie zatroszczył się o to, by spytać go o nazwisko.

Scott znalazł się sam na brudnych ulicach West Palm, sam ze swoim uczuciem ulgi, ze swoją winą i nienawiścią do siebie. Szedł wzdłuż brzegu jeziora i starał się zrozumieć to wszystko, co się wydarzyło. Jak to się stało, że doprowadził do czegoś takiego! Ale nie znał odpowiedzi na wiele pytań. Wcielił się w rolę potwora z łatwością, z jaką aktor zmienia kostium. Wystarczyła mu motywacja. Zrobić przyjemność matce, zdobyć jej miłość. Ale teraz, w środku nocy, wszystko to wyglądało zupełnie inaczej. Wydało mu się patetyczne i smutne. Zawsze uważał, że nie jest wart miłości, ale przecież Christie go pokochała. Tak bardzo, że wołała umrzeć, jeśli nie mogła go mieć dla siebie.

Zapewne musiało być jakieś wytłumaczenie, nawet jeśli tylko częściowe, trudne do zrozumienia. Być może, oczywiście tylko być może, wina leżała po stronie matki. Czy to próżnia uczuciowa w jej sercu spowodowała tyle nienawiści, poczucie braku bezpieczeństwa i tak wiele bólu? Nawet teraz ta myśl wydała mu się zbyt bolesna, by się z nią pogodzić.

Scott rozpaczliwie pragnął uciec przed tymi obrazoburczymi myślami i schować się gdzieś przed osaczającym go uczuciem nieszczęścia. Był na to tylko jeden sposób. Bar Roxy'ego.

W żywiłowo rozwijającym się West Palm, gdzie walczone o każdy skrawek ziemi, żeby postawić na nim wieżowiec, tylko kilka rzeczy pozostało nie zmienionych. Należały do niech bar Roxy'ego i jego wiecznie pijany właściciel Willie Boy Willis. Willie, który znał matkę Scotta i jej rodzinę, zanim matka wyszła za mąż. Małomówny Willie najczęściej odzywał się monosylabami; będzie doskonałym partnerem na kilka godzin zapomnienia.

W zadymionym, słabo oświetlonym wnętrzu baru powitał go serdecznie Willie. Jak zwykle znajdował się w stanie pośrednim pomiędzy trzeźwością a zamroczeniem alkoholowym, co wydawało się znakiem charakterystycznym autentycznego alkoholika. Na jego obrzmiałej, ziemistej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Cześć, Scottie. Co cię tu sprowadza? Nie zaglądałeś do mnie od kilku miesięcy. Zdradziłeś starych przyjaciół? Sympatyczne powitanie. W ogóle Willie Boy był przyjazną duszą. Choć czasami, nawet wtedy, kiedy byli ze sobą w dobrych stosunkach, potrafił nagle zrobić się przykry. Dziś jednak Scott nie miał nastroju do przyjacielskich pogaduszek. Obrzydliwy gniew, skierowany na siebie samego, rósł i stawał się nie do wytrzymania.

— Nikogo nie zdradzałem — odparł krótko. — Daj mi dużego „Jacka Daniela”, tylko, Willie, naprawdę dużego. Willie zostawił to bez odpowiedzi. Scott nie wydawał się zazwyczaj

taki drażliwy. W zasadzie był fajny. Każdy od czasu do czasu miał prawo do złego humoru. Sięgnął po butelkę burbona i wlał solidną porcję do dalekiej od czystości szklaneczki.

— Willie, prosiłem o dużego. — Głos Scotta zdradzał napięcie. Był na granicy wytrzymałości i koniecznie potrzebował środka znieczulającego. I to już.

Willie Boy poczuł, że wzbiera w nim gniew. Scott przebierał miarę. Zazwyczaj przychodził do Roxy'ego z kolegami od pływania na desce. Rozmawiał wówczas z nimi twardo i opowiadał świńskie dowcipy jak normalny chłopak. Dzisiaj jednak zachowywał się jak zadzierający nosa mieszkaniec Palm Beach, jak jakiś rozpieszczony, bogaty smarkacz. Willie ponownie przechylił butelkę i dolewając nie mógł powstrzymać się od kąśliwej uwagi.

— Wielki drink dla wielkiego człowieka, co, Scottie?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Wszystko lepsze od myślenia

o sobie. Wszystko, byle tylko się oderwać. Upić się, pokłócić, cokolwiek.

— Rozum sobie, jak chcesz.

Willie rozparł się na wypolerowanym barze. Rozmowy, takie jak ta, toczył już miliony razy. Kilka razy w tygodniu dochodziło w barze Roxy'ego do bójek. Czasem wygrywał, innym razem był poszkodowany. Z Jackiem Kentem i Tommym Starrem najlepiej było z góry przeprosić, ale Scott to co innego.

— To ci powiem, że mówisz bzdury, chłopie — powiedział Scott zaczepnie, pociągając duży łyk burbona.

Wąskie szparki oczu Williego zwęziły się jeszcze bardziej. Smarkacz, mały, bezczelny smarkacz. Powinien mu zdrowo dołożyć. Ale Scott wyglądał na wysportowanego i z pewnością był cholernie wściekły. Willie zawahał się — mógłby przegrać. Zawsze przegrywa. Jest przecież więźniem ciemnej nory, skazanym na życie wśród trocin, zapachu potu

1 piwa. Ludzie przychodzili tu i wylewali przed nim wszystkie swoje żale. Ludzie tacy jak Jack Kent traktowali go jak szmatę, którą przecież był. Ludzie tacy jak Tommy Starr byli zbyt grzeczni, by powiedzieć mu wprost, kim był, ale ta prawda wyzierała im z oczu. I tacy jak Lisa Starr, udająca, że jest jej kumplem, póki nie przeniosła się na drugą stronę jeziora. A teraz ten szczeniak z załzawionymi oczami wchodzi tu jak wielki pan i próbuje pomiatać Williem zupełnie jak niegdyś jego dziadek, kiedy był w szczytowej formie. Scott nie powinien tego robić. Pożałuje tego.

Na twarzy Williego rozlał się szeroki uśmiech. To prawda, że był pijakiem. Ale co nieco jeszcze pamiętał. Miał takie bomby z zapalnikiem zegarowym. Może zapomniałby o nich i zabrał ze sobą do

grobu — zawsze uważał, że rola barmana podobna jest do roli księdza: wszystko słyszeć i nic nie mówić. Ale to głupota, nie? Nikt ci nie podziękuje za dyskrecję, będą tobą za to gardzić i traktować jak śmieć. Jak to zrobił Scott. Pochylił się w jego stronę nad barem.

— Jak się ma ten twój wspaniały ojczonek? — spytał.

Scott lekceważąco machnął ręką, dając mu znak, żeby się odczepił. Willie Boy najwyraźniej był już skończony. W jego mózgu zostały same dziury. Nie byłoby nawet sensu z nim walczyć.

— Daj spokój, Willie Boy. Mój staruszek od lat nie żyje, zostaw to.

— To nieprawda.

Scott spojrział na niego uważnie. Było coś dziwnego w pełnym dumy głosie Williego. Towarzyszył temu triumfalny uśmiech na twarzy barmana.

— Daj spokój, Willie. Napij się i zamknij dziób. Nie mam ochoty na taką głupią gadkę.

W głosie Scotta nie czuło się jednak zbyt dużej pewności siebie. Vernon Blass był dla niego kimś prawie obcym. Gdzieś tam w podświadomości zapewne był dumny, że urodził się Blassem. Czasem rozmyślał o ojcu, ale jakoś nie miało dla niego większego znaczenia to, że go nie było — matka wypełniała jego świat. Ze zdjęć i opowiadań stworzył sobie portret ojca: grzesznego mieszkańca Palm Beach, gorszego od jednych, ale lepszego od innych. W jednej tylko sprawie ojciec był absolutnym zwycięzcą i tylko to się liczyło. Ożenił się z Lisą Starr.

Uśmiech barmana stał się teraz chytry i zły.

Willie postanowił wyprostować wszystkie kłamstwa. Przecież Lisa Starr była jego znajomą tylko do czasu, aż się przeprowadziła na drugi brzeg jeziora. Kiedy stała się Lisą Blass, bogaczką i królową wydawnictwa odnoszącego największe sukcesy, nigdy już nie przyszła do Roxy'ego. Zapomniała o starych znajomych i — dla własnej wygody — o dawnych przeżyciach. Żadnych powrotów. Ale Willie znał jej sekret i znał też drugi — taki, którego nawet Lisa nie znała. Milczał przez całe życie. I po co? Był lojalny wobec Tommy'ego Starra, dochował tajemnicy. A teraz taki gnojek przychodzi i traktuje go z góry —jego, który wszystko wiedział i poznał całą tę śmierdzącą, zgniłą prawdę.

— Nie żartowałem, Scott. Zastanawiałem się po prostu, czy jesteś dość silny, aby znieść troszkę prawdy jako zagrychę do tego burbona. Prawdy o twoim staruszku i twojej matce.

— Jakiej „prawdy”? — Nagle Scott poczuł, że robi mu się gorąco,

i to wcale nie pod wpływem alkoholu. W oczach Williego, tych paskudnych, przepitych oczach, kryło się tyle niegodziwości.

— Cóż, na przykład to, że jest taki powód, dla którego nie masz prawa nazywać się Blass.

Willie zrobił krótką pauzę. Wsparł się obiema rękami o bar i pochylił, żeby lepiej dostrzec reakcję chłopaka. Był pijany i nie miał zdolności ostrego widzenia, ale zauważył, że twarz Scotta zbladła. Zawahał się przez moment. Ciągle jeszcze mógł się wycofać, uznać to za żart przy alkoholu, ale właściwie czemu? Czy oni traktowali go lepiej? Tylko wtedy, kiedy Tommy pewnej nocy był zupełnie pijany i zalewał się łzami albo gdy Willie w małym mieszkanku Lisy opowiadał jej bajeczki o dawnych czasach. Wiedział już wtedy, że była w ciąży.

— Tak, mój mały. Powinieneś mieć na nazwisko Stansfield. Jesteś synem senatora. Cha, cha! Czy to nie wspaniałe? Jesteś bogatym bękartem. Twoja mama leciała na niego, a kiedy okazało się, że jej nie chce, wyszła za mąż za starego Blassa. Sama mi to powiedziała. Ukryła to, co?

Scott miał wrażenie, że sala wokół niego zaczęła nagle wirować. O czym ten Willie Boy mówił? Jest całkiem pijany. Ale kiedyś był przecież bliskim znajomym mamy. Często wspominała o nim jako o przyjacielu, ogniwie łączącym ją z przeszłością, z tymi, których kochała i utraciła. Nie wydawało się to taką wyssaną z palca bujdą, wszystko jedno, po pijanemu czy na trzeźwo. A poza tym w ten sposób wyjaśniało się wszystko, co przedtem było zupełnie niezrozumiałe. Na przykład, dlaczego jego piękna matka wylądowała w ramionach starca, który mógłby być jej dziadkiem. Jej nienawiść do Stansfieldów, a zwłaszcza do Jo-Anne, wynikała z zazdrości kobiety, która została odrzucona. I wygląd Scotta: te jasne włosy i niebieskie oczy, takie same jak u senatora Stansfielda na zdjęciach w kolorowych czasopismach; takie jak oczy Christie.

Czując, jak zaczyna mu się walić cały świat, Scott cofnął się o krok od baru i Williego Boya. Christie Stansfield na piasku. Christie Stansfield wstrząsana prądem, kiedy przywracano rytm jej sercu, które to on, Scott, zatrzymał. Christie Stansfield tak bardzo podobna do niego, kochająca go w dziwny, ujmujący sposób. W geście przerażenia uniósł dłoń do ust, jakby chciał stłumić cisnące się na wargi słowa, które wyraziłyby jego potworne myśli i uczucia. W chwili kiedy poznał Christie, był na nią wściekły, a jednak natychmiast musiał ją polubić. Ta potworna misja, jaką sobie narzucił i chciał wypełnić, oślepiła go tak bardzo, że nie dostrzegł prawdy, którą powinien był poznać. Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu, ale Willie Boy najwyraźniej jeszcze nie skończył.

— A najdziwniejsze jest coś, czego nawet twoja mama nie wie. Mary-Ellen trzymała to w tajemnicy przed wszystkimi z wyjątkiem biednego Tommy'ego. Kiedy wyszła za niego za męża, była już w ciąży z Lisą. I wiesz, kto był prawdziwym ojcem Lisy? Stary Stansfield. Mary-Ellen pracowała u niego w domu i wpędził ją w ten najgorszy z możliwych kłopotów. Miała szczęście, że Tommy ją zechciał, ja bym jej z pewnością nie wziął. Tej nocy, kiedy Tommy powiedział mi o tym, płakał jak bóbr. Nigdy przedtem nie widziałem go płaczącego. Tak bardzo jej pragnął, że wziąłby ją niezależnie od okoliczności. Tak bardzo ją kochał.

Scott patrzył na Williego, początkowo nie rozumiejąc nic z tego, co ten mówił, czując się jedynie przerażony i potwornie dotknięty. Potem zaczął się wycofywać, potykając się o krzesła i stopy gości. Wyciągniętymi do tyłu rękami szukał drzwi wejściowych, cały czas wpatrując się w Williego przerażonym wzrokiem. Po głowie krążyła mu tylko jedna myśl: bracia i siostry. Szczęśliwa rodzinka!

I kiedy Willie Boy obserwował go, otrzeźwiony nagle niezwykłym zachowaniem chłopaka, Scott Blass otworzył drzwi i zniknął w ciemnościach West Palm.

Przez całe życie Jo-Anne marzyła o tym, żeby się tu dostać, ale kiedy już osiągnęła swój cel, nie mogła przestać myśleć o tym, czy warto było walczyć. Pełnienie funkcji królowej z pewnością w marzeniach wydawało się przyjemniejsze niż w rzeczywistości, zaś bazar w Jupiter Island Garden Club, zapewne najbardziej ekskluzywna impreza na świecie, był tego oczywistym dowodem. Hobe Sound, najwspanialsze miejsce w Ameryce, bez dwóch zdań. O wiele lepsze od Newport, bez wątpienia przewyższające Scottsdale; towarzyska Mekka, która sprowadzała takie tracące rangę miasta jak Beverly Hills czy Palm Springs do funkcji przystanków na drodze do celu. Hobe Sound, zbudowane nad piaszczystym brzegiem oceanu, było najbardziej obwarowanym bastionem starych majątków, w którym rządziły prawa chroniące ludzką prywatność; gdzie amerykańska arystokracja kryła się przed kamerami telewizyjnymi i wścibskimi nosami pogardzanych przez nich dziennikarzy, tych samych, których obecności zwykli śmiertelnicy tak bardzo pożąдали.

Wydaje się to miejscem pełnym sprzeczności. Nazywa się Hobe Sound, choć naprawdę jest to miasto na wyspie Jupiter, a dokładnie — w tej jej części, w której mieszczą się rezydencje. Prawdziwe Hobe Sound znajduje się po drugiej stronie elektronicznie strzeżonego mostu i mieszka tam reszta obywateli Florydy. Bogacze jeżdżą tam po listy i przesyłki, co uważają za niewielką niewygodę w porównaniu do tej, jaką powodują hałasujące furgonetki pocztowe, przypominające o tym świecie, przed którym uciekli na wyspę. Piasek, morze i odosobnienie dla dwustu rodzin ze Starej Gwardii, które spędzają tu zimę, od Nowego Roku do marca, ukryte w czterystu rezydencjach nazywanych przez nich „miejscami”.

Mellonowie, Adamsowie i Rooseveltowie usadowili się wygodnie w cudownej ciszy wśród pachnących australijskich sosen; Scrantono-wie, Searle'owie i Olinowie zgromadzili się wokół ułożonych w prostokąt basenów w kształcie nerki na terenie Jupiter Club, klubu tak niezwykle elitarnego, że mógł sobie pozwolić na tego typu odważne eksperymenty z dobrym gustem. Nad przyszczyżonymi trawnikami Pierrepontowie, Fieldsowie i Weyerhauserowie obserwowali kwaśne miny ogrodników, kiedy zaśmiecili im dróżki i deptali cudowne orchidee. Paysonowie, Lamontowie i Colesowie popijali szkocką i plotkowali na temat służby oraz uskarżali się na niewłaściwe zachowanie swych wnuków oraz polityków z partii demokratycznej.

— Czy mogę podać ci coś do picia, Jo-Anne? Może jakąś lemoniadę?

Laura Hornblower była należycie troskliwa. Odpowiadała za to, żeby Jo-Anne czuła się zadowolona. Królestwo Palm Beach delegowało swoją urzędującą królową z wizytą państwową do mniejszego, ale niezwykle prestiżowego królestwa Hobe Sound i Laura pracowała ciężko jako prawa ręka rządzącej nim autokratycznej, ale oświeconej despotki.

Jo-Anne nie robiła wrażenia rozentuzjasmowanej. Tym, czego naprawdę potrzebowała o jedenastej rano, był jakiś mocniejszy trunk. Na tym polegała właśnie różnica pomiędzy dwoma miastami, dotycząca stylu życia ich mieszkańców. W Hobe Sound pito herbatę, wstawano wcześniej; obowiązywał tu spartański ascetyzm i modna była problematyka ochrony środowiska. W Palm Beach pito alkohol, kładziono się spać późno w nocy i hołdowano zasadom hedonizmu — przynajmniej według norm przyjętych w Hobe Sound.

— Och, chętnie, dziękuję. — Jo-Anne jęknęła w duchu. Władza pociągała za sobą obowiązki, przynajmniej teraz, kiedy znajdowała się na oczach tylu widzów. Boże, jak ona to przetrwa bez porannego drinka? Słońce świeciło wyjątkowo mocno jak na tę porę roku nad niewielką grupą osób oglądających wystawione na sprzedaż towary. Było tu więcej pieniędzy niż w średniej wielkości państwie południowoamerykańskim, a mimo to większość zebranych szukała możliwości zrobienia dobrego interesu: jakichś perkalowych prześcieradeł po pięćdziesiąt centów, starego wiklinowego fotela za dwa dolary lub kutego z żelaza stolika za jedyne piętnaście dolarów. Nie targowali się, oczywiście, ale dotykali towarów i oglądali je, niby to szukając okazji. Udawali, że są zwykłymi ludźmi. Później — po południu — włożą rachunki za dokonane tu zakupy do pudełek po koszulkach albo w okładkę po płycie, a potem, w odpowiednim czasie, wyślą je wraz

z innymi świstkami papieru do biura Price w Waterhouse, gdzie po rozłożeniu na dużych, mahoniowych biurkach zostaną skrupulatnie zsumowane, służąc do naliczenia ulg podatkowych. Pięćset tysięcy dotacji dla biblioteki Wydziału Prawa Uniwersytetu Wirginii. Pięćdziesiąt centów za używane prześcieradła. Było to tylko na pokaz, ale dla owych ludzi miało znaczenie.

Skąpstwo i strach przed ostentacją stały się elementami tajnego języka, jakim porozumiewali się między sobą. Czytelnicy „National Enquirer”, wychowani na papce informacyjnej o byle kim — aktorach, ludziach szeroko opisywanych przez środki masowego przekazu — uważają, że być bogatym znaczy wydawać pieniądze w ekstrawagancki sposób. Ale nie mają zielonego pojęcia, jak naprawdę zachowują się ci bogaci ludzie. Każdy z zamieszkujących Hobe Sound plutokratów mógłby kupić Elizabeth Taylor z zysków czerpanych z zysków od zysków, a mimo to każdy z nich niezwykle skrupulatnie wypisuje drugiemu czek na półtora dolara — wygraną lub przegraną w brydża lub kanastę. Skrupulatnie składają na przyszły raz srebrny papier, w jaki opakowane są ich prezenty pod choinkę. I jeżdżą na co dzień czystymi, ale starymi „drewnianymi” fordami, pozostawiając w garażach swoje granatowe rolls-royce'y i ciemnowiśniowe bentleye. Ich domów nie projektowali żadni sławni architekci, ich jachty są bardzo stare, zaś jedzenie zupełnie proste. Mają za to ogromnie dużo pewności siebie.

Jo-Anne patrzyła ponuro na najbliższy stragan. Wiedziała, że powinna coś kupić. Coś niedrogiego. Mieszkańcy Palm Beach mieli bowiem tutaj opinię ludzi ponad miarę ekstrawaganckich. Ale koniecznie musiała coś wybrać — poza wszystkimi innymi względami choćby dlatego, że kasy pilnowały świdrujące oczy najważniejszej osoby w Hobe Sound — tej, która rządziła niepodzielnie miasteczkiem i była arbitrem towarzyskim — czyli samej Permelii Pryor Reed. Permelia uważała Jupiter Island Club za swoją własność i to właśnie ona decydowała, kogo należało wpuścić w jego święte bramy. Rządziła tą małą społecznością żelazną ręką, ograniczając jej rozmiary, dokonując wyboru, kto może należeć do tej najwyższej klasy. Nikt, kto nie chciałby pozostać na uboczu, nie mógł sobie pozwolić na to, by ją ignorować. Krążyła plotka, że kiedyś jakaś niemądra dziewczyna pojawiła się w klubie w zbyt skąpym bikini i królowa to dostrzegła. Moment później koło dziewczyny pojawił się kelner z różowym, kaszmirowym swetrem i poleceniem, aby się nim okryła. Ponoć od tego czasu każde niewłaściwe zachowanie w Hobe Sound piętnowano takim właśnie upominkiem, który stał się symbolem śmierci towarzyskiej, tak jak białe piórko było symbolem tchórzostwa. Nie zdarzało się, aby ktoś, kto otrzymał

taki budzący strach sweter, pozostał w Hobe Sound, by towarzysko „zmartwychwstać”.

Jo-Anne przez chwilę zatrzymała się nad ślicznie toczonymi, brązowymi, drewnianymi wieszakami do ubrań, noszącymi inicjały GDH. Mogłyby być, tylko trochę za duże.

— Czyż one nie są cudowne, pani Stansfield? Ja nie cierpię tych nowoczesnych, a pani?

Członkini Jupiter Island Garden Club, występująca w roli właścicielki tego stoiska, ruszyła do akcji. To przecież zabawne być sprzedawczynią, czy też, jak to się teraz mówi „osobą sprzedającą”. Zwłaszcza jeśli na co dzień jest się największym udziałowcem „Smithkline”, a tu tylko uczestniczy się w akcji charytatywnej. W tym roku na rzecz Parku Narodowego w Hobe Sound.

Jo -Anne mruknęła coś, co miało być potwierdzeniem, podczas gdy niebieskooka blondynka skrupulatnie wydawała jej resztę z pięcio-dolarowego banknotu. Jo-Anne przyjęła pieniądze z nabożeństwem. Boże, nawet w czasach Big Apple miała zwyczaj mówić sprzedawcom, że reszty nie trzeba. A teraz, zastanowiła się, czy nie powinna przeliczyć pieniędzy, żeby dobrze wypaść.

Laura podeszła do niej z ciepłą lemoniadą. — Może miałabyś ochotę coś przekąsić? Polecam kulki ze szpinaku. Sama je robiłam.

— Nie, dziękuję, Lauro — odparła krótko Jo-Anne. Wszystko to pomału stawało się nie do zniesienia. Chwała Bogu, że te wyprzedaże rupieci zdarzały się tylko raz na dwa lata. Przez wszystkie lata wspinania się na szczyt Jo-Anne nie zdawała sobie sprawy, że dojdzie do tego, iż będzie musiała grzebać w starych śmieciach bogaczy, żeby dać im zarobić na jakiś dobroczynny cel, na który w zupełności wystarczyłby jeden porządny czek. Ileż to nocy spędziła bezsennie, tęskniąc za tym, by zaproponowano jej wstąpienie do Garden Club of America w Palm Beach, będącego ostatecznym symbolem pozycji socjalnej. A teraz była jego przewodniczącą i odkrywała właśnie paralizującą nudę związaną z pełnieniem tej funkcji. Musiała tu być, pocąc się w namiocie Christ Memorial Parish House i udając, że poważnie traktuje groszowe rozliczenia z tymi starymi, nadzianymi forszą babami, których kontom w banku było w stanie dorównać jedynie ich skapstwo.

— Och, Jo-Anne, tak się cieszę, że jesteś. Jak to miło spotkać kogoś z Palm Beach. — Pełen szacunku głos, ciężki od pochlebstwa i unizonej przyjaźni, mógł należeć jedynie do Eleanor Peacock.

Jo-Anne odwróciła się, by spojrzeć na swą dawną nieprzyjaciółkę. Całym sercem przeżywała rozkosz zemsty.

— Och, Eleanor, moja droga. Cóż ty tu robisz? Okazyjne zakupy?

Sądzę, że jakość tych śmieci jest trochę lepsza niż w lombardach West Palm.

Tak jak tysiące razy przedtem, Eleanor Peacock gładko przełknęła tę obrazę. Nigdy nie została jej wybaczona próba towarzyskiego unicestwienia Jo-Anne na balu na rzecz planowania rodziny. Nie liczyła też, że kiedykolwiek uzyska przebaczenie. Marjorie Donahue skutecznie starła ją z powierzchni ziemi. Później, w czasie wojny między Jo-Anne i Marjorie, Eleanor przeżyła wprawdzie krótki okres rehabilitacji, ale po śmierci protektorki ponownie została skreślona. Jak tylko Jo-Anne zajęła opróżnione miejsce, Eleanor ponownie stoczyła się ze swego miejsca na samo dno. A potem, kiedy już miała ochotę przekonać swego męża, żeby zrezygnował z pracy i żeby wyprowadzili się do Connecticut, nowa królowa zaproponowała jej niepisaną umowę, wprawdzie niekorzystną, ale stanowiącą już jakieś wyjście. Otóż Jo-Anne była gotowa pozwolić przeżyć Eleanor, jeśli ta zgodzi się w zamian znosić wszelkie szykany i obrazy, jakie tylko można sobie wyobrazić. I to pod warunkiem, że nigdy, naprawdę nigdy się nie odgryzie.

— Och, Jo-Anne, to nieładnie z twojej strony — roześmiała się nieszczerze Eleanor. Na jej twarzy widniał cierpiętniczy uśmiech. Stała, przygotowana na jeszcze kilka słownych ciosów, póki kot nie zmęczy się myszką. Już się niemal przyzwyczaiła do tego, że sprzedała swoją dumę w zamian za przeżycie w towarzystwie, choć nie do końca. Rzadko wprawdzie zdarzało się, że nie wznosiła modłów do niebios, by spuściły gromy na jej znenawidzoną dręczycielkę, ale prawie straciła już nadzieję na to, że Bóg wysłucha jej prośby.

— Cóż, myślę, że to miło spotkać tu kogoś z Palm Beach, nawet jeśli to jesteś tylko ty, Eleanor. Te złote staruszki wywołują we mnie dreszcze. To jest Costa Geriatrica. Zastanawiam się, kiedy będę mogła stąd godnie umknąć. Tak jest, uciec; uciec od tych na wpół żywych, pomarszczonych dam. Uciec od obowiązków, uprzejmych konwersacji o niczym, od hipokryzji. Po prostu uciec z Hobe Sound. Jo-Anne miała już powyżej uszu tego wszystkiego: bycia królową, otaczających ją snobów, nawet całego swego bogactwa. Wszystkiego. Nagle gorąco zapragnęła rzucić dotychczasowe życie i pojechać gdzieś, gdzie ludzie zachowują się całkiem inaczej i inaczej myślą. Tylko dokąd?

Przyszło jej do głowy takie miejsce, niebezpieczne, ale ekscytujące i pociągające. Pojedzie na południe, w kierunku Dixie, tam gdzie Riviera Beach styka się z peryferiami West Palm. Były tam slumsy ze zrujnowanymi barami i odrapanymi sklepami. Miejsce, gdzie krążyły czarne prostytutki.

iVa obrzeżach Palm Beach poczuła się jak w parującym kotle. Powietrze było gorące, ciężkie i strasznie cuchnęło. Otuliło ciało Jo-Anne jak wilgotny ręcznik z dusznej mgły. Prowadziła samochód z otwartym dachem. Gdyby chciała, jednym ruchem mogła to wszystko zmienić. Wystarczyło nacisnąć guziczek. Dach zamknąłby się, kryjąc ją przed upałem. Potem trzeba tylko włączyć klimatyzację i wszystko wróci do normy. Ale Jo-Anne nie miała na to najmniejszej ochoty. Biała, plisowana spódnica, rozpięta do połowy uda, była mokra od potu, a kremowa, jedwabna bluzka przyklejała się do piersi, uwydatniając ich kształt. Przejechała czubeczkiem języka po wargach, zwilżając je. Och, jak fajnie! Zupełnie jak w łaźni tureckiej. Wypoci z siebie kilogramy. Po prostu sobie jedzie, a jednocześnie traci na wadze. Impreza w Hobe Sound Garden Club wydała się jej nagle tak odległa.

Jo-Anne roześmiała się na głos do własnych myśli. Już wiedziała, co zrobi. Nie należało zmieniać swoich upodobań. Cała ta scena z Christie i tym jasnowłosym, niebieskookim chłopakiem była chyba najgorsza z najgorszych w jej życiu. Nigdy nie umiała zrozumieć Christie. Próbować popełnić samobójstwo, ponieważ przyłapało się matkę z kimś trochę młodszym, to naprawdę przesadna prostolinijność. Ale i tak Jo-Anne miała z czego się cieszyć. Po pierwsze, mała przeżyła i to bez żadnych widocznych śladów. A po drugie, nikomu nie powiedziała o tym, co się stało. To przynajmniej dawało się przewidzieć. Christie była chodzącą dyskrecją. A jednak to ulga. Bobby Stansfield nie rozumiałby tego, że kobiecie może być potrzebny seks. I szczęście, że jego ignorancji w tej dziedzinie nie zastąpiła wściekłość, wywołana przez ową niepotrzebną mu wiedzę.

Wielokrotnie Jo-Anne usiłowała zrozumieć, co kierowało jej córką, choć nie była najlepsza w analizowaniu uczuć i myśli innych ludzi. Christie nie chciała o tym rozmawiać ani w szpitalu, ani po powrocie do domu. Usiłowała przekonać matkę, że próba samobójstwa była „straszną pomyłką”, historyczną reakcją na szok wywołany tym, co zobaczyła. Jednocześnie wybaczyła wszystko i wykazywała nawet zrozumienie dla postępków Jo-Anne.

— Nie martw się, mamó. Nic nie powiem tacie. Ale proszę, bardzo cię proszę, obiecaj, że już nigdy nie będziesz mu niewierna.

Słowa nic nie kosztują, toteż Jo-Anne obiecała:

— Przysięgam ci, kochanie. Przysięgam na moje życie.

Czy ta mała wyprawa może się liczyć jako małżeńska niewierność? Na wszelki wypadek Jo-Anne podjęła pewne środki ostrożności: ukryła w schowku wszystko, co mogłoby ułatwić jej zidentyfikowanie — platynową kartę American Express, książeczki czekowe, kartę Klubu

Tysiąca z Chase Manhattan oraz prawo jazdy. Z pewnością nie potrzebowała teraz kogoś, kto by ją szantażował. Schowała też biżuterię — bransoletę z brylantami, rubinową broszkę w kształcie podkowy i kolczyki z brylantów i pereł.

Sprawdziła swój wygląd w lusterku wstecznym. Psiakrew, o mały włos zapomniałaby o wysadzanych brylantami grzebyczkach, podtrzymujących jej fryzurę. Sygnalizowałyby mieszkańcom tej części południowego Dixie, kim ona jest, a przynajmniej, że należy do innego świata. Wyciągnęła je niecierpliwie i wetknęła do schowka na rękawiczki. Podtrzymywane wcześniej przez grzebyczki włosy rozsypały się jej na ramiona — jak symbol rozluźnienia krepujących ją więzów.

Jo-Anne nie bardzo wiedziała, jak i gdzie to znajdzie, ale wiedziała doskonale, na co ma ochotę. Była w takim nastroju, że potrzebowała jakiejś brudnej, czarnoskórej prostytutki — niewychowanej, szorstkiej, bez wdzięku, mającej do sprzedania jedynie swoje ciało.

Na myśl o tym poczuła podniecenie. Jo-Anne, która kiedyś sama miała do zaoferowania jedynie swoje ciało, teraz, po raz pierwszy w życiu, mogła kupić sobie ciało innej. Tak, to doskonały pomysł. Targować się na jakimś podejrzanym parkingu o cenę dziewczyny. A potem, kiedy już da tamtej pieniądze — świadomość, że na chwilę to ciało do niej należy, że może z nim zrobić, co zechce.

Z grubsza orientowała się, dokąd jedzie. Bar Porto Cali wydawał się właściwym miejscem. Kilkakrotnie przejeżdżając wczesnym wieczorem swoim rollsem na przyjęcia do Hobe Sound przez północne Dixie, spostrzegła grupki niemal do naga rozebranych czarnych prostytutek kręcących się po chodnikach. Dziś było wprawdzie trochę za wcześnie, ale czyż nie mówi się, że „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”?

Farba na szyldzie baru pamiętała z pewnością lepsze czasy, tak zresztą jak i sam bar. Jo-Anne przejechała obok, dostrzegając otwarte drzwi, automat do gry i świecące wewnątrz zielone światło. Czy będzie dość odważna, żeby tam wejść i, co więcej, poderwać kogoś?

Wywołując przekleństwa kilku zaskoczonych kierowców, zawróciła raptownie i pojechała z powrotem, zdecydowana przełamać obawy.

Skręciła przed parkingiem, wciskając swojego wielkiego mercedesa między kilka stojących tam aut. Natychmiast dostrzegła rozmawiające ze sobą trzy dziewczyny, oparte o oblażącą z farby ścianę. Ich stroje niedwuznacznie świadczyły o tym, kim są, a ich oczy dopowiedziały resztę. Dwie, po prawej stronie, nie wchodziły w rachubę — były wymięte i przechodzone. Ale trzecia dziewczyna wydawała się taka jak potrzeba. Jo-Anne przyjrzała się jej uważnie. Bardzo młoda — piętnastolatka, może trochę starsza, a może i młodsza. Wystawiała na pokaz

całe swoje jędrne, pociągające ciało. Szczupłe pośladki nad bardzo długimi nogami, sterczące piersi, cudownie kontrastujące z obwisłymi i bezkształtnymi workami, jakie miały jej obie koleżanki. Zaciekawiona przyjazdem Jo-Anne twarz — pyzata, ożywiona, z dużymi, brązowymi oczami, które obiecywały wszystkie atrakcje, jakich można się było spodziewać w pobliżu baru Port o' Cali. Jej włosy zostały brutalnie wyprostowane i zaczesane do tyłu, zapewne po to, by wyglądała poważniej. Nosila spódniczkę tak krótką, że przypominała ona raczej szeroki pasek. Na nogach miała białe buty do kostek. Na jej trykotowej koszulce widniał zabawny napis: z przodu było „co”, a na plecach — „kolwiek”. Jo-Anne roześmiała się wesoło na ten widok.

Dwie starsze prostytutki najwyraźniej straciły zainteresowanie drogim samochodem, kiedy zorientowały się, że siedzi w nim kobieta. Jo-Anne znaczyła dla nich nie więcej niż trup wyłowiony z Hudsonu dla gliniarza z Nowego Jorku. Mały lisek, na którego polowała Jo-Anne, nadal jednak przyglądał się ciekawie. Jo-Anne była około półtora metra od dziewczyn. Nie musiała nawet wysiadać z auta.

— Cześć — powiedziała.

Dwie starsze nie odpowiedziały, nawet nie mrugnęły okiem. Młodsza, naśladując je, też nie odpowiedziała, ale nadal patrzyła zaintrygowana.

— Zastanawiam się, czy nie mogłybyście mi pomóc.

Jo-Anne nie czuła się zniechęcona. Znała takie sceny. I bardzo obiecująca była reakcja tej małej.

— Ciekawe, jak miałybyśmy pomóc takiej bogatej białej mamusce jak ty, skarbie? Zgubiłaś się, czy co?

Złośliwa jędza po lewej stronie pokazała w uśmiechu zepsute zęby. A lisek wpatrywał się nadal, z wyrazem lekkiego zdziwienia w brązowych oczach, zatknąwszy kciuk za pasek spódnicy.

— Cóż, miałam nadzieję, że pomożecie mi wydać trochę pieniędzy — odezwała się prowokacyjnym tonem Jo-Anne. Nie sprawiło jej to kłopotu. Czuła, że dłonie ma spocone z wrażenia i że ogarnia ją podniecenie. Dwie starsze dziewczyny popatrzyły na nią, rozumiejąc już, o co chodzi. W oczach małej rysowało się jedynie zdumienie.

Śmiech tej, która przemówiła pierwsza, nie brzmiał przyjemnie i najwyraźniej miał być zniechęcający.

— Usiłujesz złapać dziewczynkę, kochana, w niewłaściwym miejscu. A nawet nie w tym stanie. Jedź do Nowego Jorku, Los Angeles czy innego brudnego miejsca, gdzie robią takie świństwa.

Jo-Anne, ignorując słowa starszej, przyglądała się tej, na którą

miała ochotę. Mała wreszcie zrozumiała i na jej ładnej buźce pojawiło się rozbawienie. . .

— Mam do wydania trzysta dolarów — szybko powiedziała Jo-Anne, zanim starsze zdążyły dodać jeszcze coś definitywnie zniechęcającego. Był to strzał w dziesiątkę w świecie, w którym pieniądze liczyły się najbardziej. Rzeczniczka grupy wyraźnie drgnęła i kiedy znowu się odezwała, w jej głosie brzmiało gniewne rozczarowanie. W tym środowisku po prostu nie tolerowano lesbijek i nie zadawano się z nimi. Jeśli chciałaś być cała i zdrowa, to nie należało ryzykować. Mężczyźni, którzy się opiekowali dziewczynami, nie rozumieli takiego zachowania. Łatwo było stracić z tego powodu zęby. Ale trzysta dolców! Boże, jaka musiała być cholernie napalona.

— Jedź sobie stąd, skarbie. Nie chcemy twoich śmierdzących dolców — wydusiła z siebie w końcu.

— Hej, czekaj.

Jak w zegarku, pomyślała Jo-Anne, wszystko gra. Mała zareagowała.

— Co chcesz za te trzysta dolców?

Najwyraźniej przemówiły do niej pieniądze, ale nie miała pojęcia, co musi zrobić w zamian. Pocałunki? Coś jeszcze?

— Możemy się dogadać po drodze. A część pieniędzy dam ci z góry.

— Nie wdawaj się w to, Mona. Nic nie rozumiesz, kochanie. To nie jest dobre. Clive nie lubi takich rzeczy. Jak pójdziesz, to narobisz sobie kłopotów. Nie, Suzie?

Suzie, najwyraźniej nie przyzwyczajona do roli arbitra, kiwnęła tylko potakująco głową.

Dwie starsze, jak zbite psy, były ze sobą zgodne. Po prostu nie wypadało sprzedawać się lesbie. To mniej więcej coś takiego, jak w Palm Beach przejść ostentacyjnie na katolicyzm. Albo włożyć ciężkie saboty na koktajl na jachcie. A Clive, ktokolwiek to był, z pewnością uważał takie zachowanie za faux-pas. Jo-Anne roześmiała się w duchu. Był to zupełnie inny świat i rządził się odmiennymi normami, ale i tu należało ich przestrzegać. .

Zwróciła się wprost i wyłącznie do tej małej. Już ją w połowie miała.

— Posłuchaj, a może wsiądziesz i porozmawiamy sobie o tym we dwie, tylko ty i ja? Dam ci pięćdziesiąt dolców za to, że mnie wysłuchasz. A w tym nie ma nic złego.

Dziewczyna roześmiała się z zachwytem. Dla niej życie ciągle jeszcze było zabawne. Była na tyle młoda i wystarczająco dziecinna, by zaryzykować. Groźby i kary w tej chwili wydawały się nierealne, gdyż

mogły nastąpić dopiero później. Bez zastanowienia i oglądania się na koleżanki, które z dobrego serca udzielały jej rad, podeszła do otwartych drzwi samochodu Jo-Anne. pieczętując tym samym umowę.

Kiedy usiadła, Jo-Anne zobaczyła jej długie, czarne uda i szokująco różowe majtki, wystające spod króciutkiej spódnicy.

Jo-Anne włączyła silnik i ruszyła, nie tracąc czasu, bojąc się, by mała nie zmieniła zdania. Na autostradzie spojrzała na swoją zdobycz i położyła prawą rękę na jej ciepłej nodze. Kiedy odezwała się, zwilżywszy usta językiem, w jej głosie słychać było drżenie i pełne napięcia oczekiwanie.

— To dokąd jedziemy?

Pełne usta dziewczyny odęły się.

— Nie robiłam tego jeszcze.

Jo-Anne starała się, by jej śmiech zabrzmiał uspokajająco. Nieraz już słyszała te słowa; wymawiane z lepszym akcentem, ale oddające te same uczucia. Zawsze też odpowiadała tak samo.

— Uwierz mi, to zupełnie nowy świat.

Czarnej dziewczynie spodobała się zapowiedź wkroczenia w nowy świat, ale jeszcze bardziej lubiła co innego.

— Masz dolce?

Jo-Anne uśmiechnęła się ponuro. Byłaby całkiem zapomniała, że to podróż innego rodzaju. Seks za pieniądze. Czy ta dziewczyna czuła się tak jak niegdyś Jo-Anne w tych ciągle innych pokojach hotelowych? Czyjej klienci myśleli tak jak ona teraz? Czy przeżywali także leciutkie ukłucie żalu, że to wszystko, co robiła, nie było po prostu z miłości? Roześmiała się wreszcie. Rzeczywistość była przecież zupełnie inna. Wynajęła sobie ciało i przez jakąś godzinę będzie mogła nim dysponować. Nie ma potrzeby bawić się w uwodzenie. Dolce doskonale załatwi całą sprawę.

— Weź sobie trzy setki z torebki i ustalmy kierunek jazdy. — W jej głosie zabrzmiały nowe, ostrzejsze niż dotąd nutki. — A w ogóle, ile masz lat? Powiedz prawdę, to i tak nie ma znaczenia.

Wilgotne, brązowe oczy spojrzały na nią niespokojnie, ale trzysta dolarów w garści dodało dziewczynie odwagi.

— Czternaście — odparła, lekko poruszając się pod ręką Jo-Anne. — Za mało? — dodała prowokującym, nawet trochę zaczepnym tonem.

— Nie, dlatego. — Choć w gruncie rzeczy będzie to najmłodsza kochanka, jaką kiedykolwiek miała. Młodsza o około trzy lata od dotychczasowej rekordzistki. Miła w dotyku czarnoskóra czternastolatka i, pod względem miłości z kobietą, dziewica. Czemu, u licha, nie wpadła wcześniej na taki pomysł?

— Skręć w prawo na najbliższych światłach i wjedź na parking po lewej. Mam tu pokój w motelu Sea Grass. Jo-Anne zrobiła tak, jak powiedziała dziewczyna, z żalem cofając rękę z jej uda na zakręcie. Idąc po schodach w odrapanym motelu, nie rozmawiały ze sobą. Jo-Anne wiedziała, jak będzie wyglądał pokój. Mierna kopia milionów takich samych pokoi w całej Ameryce: plastikowe meble, wszędzie powypalane dziury od papierosów i sztuczne tkaniny. Ktoś, być może, czyścił sobie buty zasłonami; przy wannie — dzwonek, w rogu pokoju — ogromny telewizor, trzeszczący i odbierający tylko cztery programy; okropna, wypełniona pianką poliuretanową poduszka; standardowa, okrągła lampa. Ale tuż przed Jo-Anne szła szczupła dziewczyna, którą sobie kupiła, i to było ważniejsze od całej reszty.

Pokój odpowiadał oczekiwaniom Jo-Anne, poczynając od połamanego, białego, plastikowego kosza na śmieci po lustro w plastikowej oprawie, zawieszone przy wąskim, jednoosobowym łóżku; lustro, w którym będzie można się widzieć podczas akcji.

Mała prostytutka położyła swoją tanią torebkę na łóżku i starała się zachowywać tak, jakby panowała nad sytuacją. Stojąc przodem do klientki, odezwała się, usiłując nadać swemu głosowi rzeczowy ton:

— No dobra, to jak chcesz?

Prawda była taka, że w istocie nie miała pojęcia, co ją czeka.

— W każdy możliwy sposób — odparła Jo-Anne po prostu. — Ale zaczniemy tu, na stojąco.

Podeszła do dziewczyny.

— Stój spokojnie i nic nie rób — poleciła jej.

Dziewczyna obserwowała ją uważnie. Brązowe oczy miały wyraz niepewności, ale kryło się w nich zainteresowanie, niemal fascynacja. Wyglądała, jakby była zahipnotyzowana, gotowa poddać się we wszystkim.

Patrząc małej prosto w oczy, Jo-Anne uniosła jej spódniczkę. Dopiero po chwili opuściła wzrok na dół i westchnęła zachwycona na widok jej majteczek. Niemal fluorescencyjnie różowe, o dobry numer za małe, prawie przezroczyste. Wsunęła palce pod gumkę i powoli, centymetr po centymetrze, ściągnęła je.

— Rozluźnij się, kochanie — mruknęła, w równym stopniu do siebie, co i do małej.

Uklękła, a jej twarz znalazła się na poziomie wymarzonego miejsca dziewczyny. Czuła, że i ta traci kontrolę nad sobą, że jest zbyt młoda, aby się opanować, i udziela się jej podniecenie Jo-Anne.

Nie usłyszała, kiedy otworzyły się drzwi, ale wyczuła zmianę w zachowaniu dziewczyny, jej wywołane strachem napięcie.

— Ty wstrętna dziewczyno! Co robisz? Co ty tu robisz, ty niedobra? Jo-Anne poczuła piekący cios z lewej strony twarzy, od którego

zaświeciły jej w oczach gwiazdy. Poleciała do tyłu, uderzając o brzeg łóżka.

Jej niedoszła kochanka stała bez ruchu z nogami oskarżycielsko spętanymi majtkami, z wyrazem paraliżującego strachu na ładnej twarzyczce. W drzwiach pojawił się potężnie zbudowany, muskularny czarnoskóry mężczyzna. Z jego oczu biła nienawiść i obrzydzenie.

— Clive —jęknęła mała — nie chciałam nic złego. Clive...

Obie — dziewczyna i kobieta miały wrażenie, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko Clive zacznie krzyczeć. Ale nie odezwał się; to, co zobaczył, było dla niego wstrząsem i jego zatruty narkotykami psychopatyczny umysł podpowiadał mu jedynie, że został zdradzony przez swoją dziewczynę. Nie z klientami. Oni się nie liczyli. Byli źródłem dochodów — jego dochodów. Tymczasem dziewczyna, zamiast zarabiać pieniądze, zdradza go z lesbijką. Z jakąś białą szmatą! Jakąś nędzną, białą dziwką! Nieskończenie perwersyjną dziwką! W jego dłoni błysnął nagle nóż. Dobry Boże, przeleciało przez myśl Jo-Anne. To sutener. Ten, którego tamte starsze nazywały „Clive”. Ten, który nie toleruje takich rzeczy. Uświadomiła sobie, że grozi jej niebezpieczeństwo. Clive robi jej coś złego. Ukarze. W panice szukała w myślach jakiegoś sposobu, słowa, które mogłoby go powstrzymać. Ale jak powstrzymać to, co musi się stać? Jakimś sprytnym wybiegiem, subtelnym gestem, który przerwie to szalone przedstawienie? Położyć się na plecach, roześmiać i obrócić całe zajście w żart? To naprawdę jest całkiem zabawne. Przeróżające, ale zabawne. Jednakże, nawet łudząc się jeszcze, Jo-Anne wiedziała, że jej nadzieja jest płonna. Usiłowała wydusić z siebie choćby słowo, ale jej język był odrętwiały i suchy. Zamarła, jakby bezruch mógł ją uratować.

Clive podszedł i przytknął jej nóż do brzucha. Jo-Anne spojrzała na napięte mięśnie ramienia mężczyzny i poczuła, jak oblewa ją zimny pot i robi się jej niedobrze ze strachu. Na próżno usiłowała nawiązać wzrokiem kontakt z mętными oczami sutenera. Oczy człowieka z nożem były zimne jak lód i martwe. Wpatrywał się w nią zupełnie nieobecny wzrokiem.

Przez głowę Jo-Anne przelatywały gwałtowne myśli, płacząc się ze sobą i urywając. Ulice Nowego Jorku, walka o przetrwanie, głowa Petera, cała we krwi, Jo-Anne na trybunie jako okryta chwałą żona

senatora. Ale żadna z tych myśli nie podsuwała rozwiązania. Oderwały ją tylko od rzeczywistości, od bólu. Nagle przyszło jej do głowy, że przecież powinna krzyczeć, bo tylko krzyk mógłby ją uratować.

Krzyknęła właśnie w chwili, kiedy ostrze noża wbiło się aż po rękojeść w jej wnętrzności i ruszyło do góry, pozostawiając za sobą czerwoną linię — początkowo cienką, później coraz szerszą, poszarpaną. Jo-Anne pomyślała jeszcze tylko, że przetnie ją tak całą, aż do twarzy i wtedy nareszcie nie będzie słyszała tego przeraźliwego wrzasku obok niej. Ale spokój przychodził dużo prędzej, niż oczekiwała. Cudowny, senny spokój... I tak, z uczuciem radosnego zdziwienia, że to takie łatwe, Jo-Anne poddała się, opadając z wdziękiem w nicość.

Był to jeden z tych paskudnych dni na Florydzie, kiedy gniewne niebo groziło wszystkim, co najgorsze, a nastrój Bobby'ego Stansfielda doskonale odpowiadał pogodzie. Ostatnie sześć miesięcy było potworne. Próba popełnienia samobójstwa przez Christie, potem — brutalne zamordowanie Jo-Anne. Pierwsze zdarzenie wywarło na niego silniejszy wpływ emocjonalny, ale to śmierć Jo-Anne stworzyła największe zagrożenie dla dotychczasowego życia senatora. Jeszcze teraz środki przekazu nie dawały mu spokoju. Dziennikarze nadal tłoczyli się przy wjeździe do domu z kamerami i notesami. Zawsze przedtem wielbiony przez prasę, Bobby stał się obecnie słynny głównie wskutek paskudnej śmierci żony, a tego rodzaju sława dla Stansfielda oznaczała niemal to samo, co gdyby obwołano go szefem gangu na Florydzie. Jego szanse na błyskotliwą karierę wydawały się całkowicie zrujnowane, a winna temu była Jo-Anne. I właśnie tego nie potrafił jej wybaczyć; bardziej niż faktu, że przez cały czas go zdradzała. Wpatrywał się ponuro w rozzłoszczone morze i akrobacje pelikanów walczących z wiatrem. Czy mógł jakoś uratować swoją karierę? Ostatecznie Teddy'emu Kennedy'emu udało się odzyskać pozycję po Chappaquiddick, a Nixon miał więcej powrotów na scenę niż Frank Sinatra. Musi być jakiś sposób!

Odwrócił się tyłem do okna i jego myśli pojaśniały, jakby przebił się przez nie nagły promyczek słońca. Nie stracił Christie. Była tu, zwinięta jak kociak na sofie, jego jedyne szczęście w tym okropnym, świecie. Utrata matki, wieńcząca poprzednie tajemnicze wydarzenia, które doprowadziły do jej własnej tragedii, mogła złamać silniejszych od niej, a jednak Christie, od chwili kiedy otrząsnęła się z własnego załamania, stała się jego ostoją. Teraz było ich tylko dwoje. Sami

musieli borykać się ze wszystkim. Bobby wiedział, że nigdy nie będzie w stanie zrozumieć córki. Była tak zupełnie inna niż on i absolutnie w niczym nie przypominała matki. Nigdy nie ujawniała swoich najgłębszych przeżyć, mimo bardzo dociekliwych pytań, zadawanych przecież przez całkiem niegłupiego polityka. Bobby wiedział jedynie, że kochała kogoś, a ten ktoś ją porzucił. I nic ponadto. Czasem jakieś pełne pragnienia, nieobecne spojrzenie Christie mówiło mu, że ktokolwiek to był, nie zapomniała o nim.

— Wiesz, tato, nie powinieneś się poddawać. Mówiłam ci to już i powtarzam się, ale to prawda. Stansfieldowie się nie poddają, no nie? Myślę, że ja też mam to wyryte w sercu.

Bobby roześmiał się: tak rzeczywiście było. Z pewnością zawsze w to wierzył. Jego matka nadal to powtarzała. Zaraz następnego dnia wygłosiła małą przemowę, zachęcającą go do walki.

— Wszystko się zmienia, mój drogi. Człowiek musi iść z duchem czasu. Spójrz na de Gaulle'a, na Churchilla. Kiedy czasy są spokojne, ludzie wybierają człowieka o najładniejszych zębach i nie mającego powiązań z mafią. Ale to luksus, mój drogi. Kiedy nadchodzą trudne chwile, biorą faceta z jajami, tego, który jest najtwardszy. Ta okropna historia z Jo-Anne zostanie zapomniana natychmiast, gdy tylko przyjdą ciężkie czasy. Wtedy nadejdzie twój dzień. Wcale jeszcze nie wszystko stracone.

Bobby ponownie zaśmiał się w głos, przypominając sobie nietypową dla matki ostrość sformułowań. Przez całe życie nie słyszał, żeby powiedziała coś takiego, ale trzeba przyznać, iż osiągnęła swój cel. Sens tego był jasny. Jest czas grzeczności i dobrego wychowania, ale kiedy nadchodzi trzęsienie ziemi, trzeba umieć to przetrwać.

— Masz rację, Christie. Nie poddam się. — Uśmiech rozjaśnił jego przystojną twarz. Czuł, jak powoli powraca mu pewność siebie. Podszedł do sofy i usiadł przy córce.

— Ale gdybyś była szefem mojej kampanii wyborczej, co, u licha, radziłabyś mi zrobić?

— Wiem, co powinieneś zrobić.

— No to mi powiedz.

— Powinieneś się ponownie ożenić.

— Moja kochana córeczka... A jak uważasz, z kim powinienem się ożenić?

— Z Lisą Blass.

Bobby zdrętwiał. Lisa Blass. Nigdy nie potrafił wyrzucić jej z pamięci. Przez te wszystkie lata nie wybaczyła mu ambicji, pod wpływem której odepchnął ją od siebie. Lisa — o twardym ciele i miękkiej skórze.

Delikatna i dobra, a jednocześnie umiejącą się mścić zawzięcie. Lisa Starr, która nosiła jego dziecko i pozbyła się go, kiedy ją porzucił. Dziewczyna z nizin, a zdobyła sobie wspaniałą pozycję, jaką tylko nieliczne kobiety były w stanie osiągnąć. Ileż to razy myślał o Lisie, tęskniąc za jej cierpliwością, zrozumieniem, za przyprawiającym o zawrót głowy dotykiem jej ciała. A w zamian wziął sobie Jo-Anne Duke. Ożenił się z dziwką dla milionów, które miały wesprzeć jego ambicje polityczne. Był to wybór, jakiego nigdy nie przestał żałować. Lisa nigdy mu tego nie wybaczy.

— Christie, czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz? Ona nienawidzi mnie z całej duszy. Nie wiedziałaś o tym, bo niby skąd miałabyś wiedzieć. Nie byłem w porządku wobec Lisy i potraktowałem ją bardzo źle. Nie chciałem, ale zrobiłem to i przez lata nienawidziła mnie i twojej matki. Kiedyś bardzo ją lubiłem...

Bobby zauważył, jak przez twarz Christie przeleciała jakaś nagła chmura. Smutek? Coś takiego, co zdarza się, kiedy zaczynasz rozumieć jakąś rzecz, która cię od dawna dręczyła.

— Czy kiedykolwiek próbowała zrobić ci krzywdę? Chodzi mi o to, że mając takie przedsiębiorstwo, na pewno mogłaby ci zaszkodzić. Czy pamiętasz tę obrzydliwą książkę, jaką o nas napisano? Tę, którą przysłano ci parę lat temu. Nikt jej nie opublikował, ale ona przecież mogłaby ją wydać, gdyby naprawdę chciała cię zranić.

Bobby zamyślił się nad tym.

— No cóż, to prawda. Z pewnością. Ale zawsze unikała nas jak zarazy, a sama wiesz, jakie to trudne w tym mieście.

— Kochałeś ją?

— Co to? Przesłuchanie trzeciego stopnia? — Bobby znowu się roześmiał, tym śmiechem, który tak bardzo działał na ludzi. Po chwili odparł refleksyjnie:

— Tak, kochałem ją, nawet bardzo. To cudowna kobieta. To znaczy, była cudowna.

— Mamę trudniej było kochać. — Christie powiedziała to jakby mimochodem.

— Tak. Myślę, że wszyscy to odczuliśmy.

Bobby zwrócił się twarzą w stronę córki. Znowu miała w oczach łzy. Jo-Anne trudno było kochać, ale Christie to potrafiła. Christie była tak przepełniona miłością, że starczało jej dla wszystkich. Ta Christie, która ulokowała swe uczucia w jakiejś mdłej kreaturze, w kimś nic niewartym, kto nawet nie pokazał się w ich domu, nie przedstawił się jej rodzicom. Ktokolwiek to był, zasłużył na los nie lepszy niż ten zboczony maniak, który zamordował Jo-Anne. On, Bobby, sam

osobiście podałby mu truciznę — i podawałby ją stopniowo, przez cały dzień, z przyjemnością wpatrując się, jak walczy z ogarniającą go śmiertelną sennością.

— Ona ma syna. Nigdy go nie spotkałem, ale musi być w twoim wieku. Nazywa się Blass. Ale nie pamiętam, jak ma na imię.

— Scott. Scott Blass.

Bobby podniósł się z fotela.

— Wiesz co, myślę, że oboje potrzebujemy czegoś do picia. Jakiejś fantastycznej margarity. Chodź, Christie, zrobie nam po drinku. Kiedyś byłem znany z tego, że robię doskonałą margantę. Sprawdzimy, czy jeszcze potrafię.

Christie uśmiechnęła się przez łzy. Ojciec potrafił być właśnie taki - zarażać dziecięcym entuzjazmem. Jednak wcale nie zamierzała zrezygnować z tego, co sobie postanowiła.

— Myślę tato, że ty ją jeszcze ciągle kochasz. Powinieneś się z nią spotkać i zobaczyć, co będzie. Ja nie miałabym nic przeciwko temu. Pamiętaj że ja ci to zasugerowałam. Tyle przeszliśmy smutku i goryczy.

Kiedy popatrzyła na twarz ojca, dostrzegła, że pojawił się na mej wyraz świadczący, iż wygrała.

Lisa pobieżnie przeglądała opublikowaną w „New York Timesie” listę bestsellerów. To powinien być najlepszy dzień tygodnia. Na Uście znajdowały się wszystkie książki „Blassa”. Te, które wypieściła, wymyśliła, kupiła. Ale nie sprawiało jej to radości. Żadnego podniecenia żadnego entuzjazmu. Zupełnie nic, pustka. To już sześć miesięcy od ucieczki Scotta. Odszedł nocą jak złodziej, bez wyraźnego powodu. Od jego odjazdu w domu panowała głucha cisza. Pochłonęła go ziemia.

Zniknął bez śladu.

Ileż to razy usiłowała zrozumieć powód jego pełnego goryczy odejścia. Wyglądało to tak, jakby chciał ją zranić za coś strasznie złego, co zrobiła. Ale co ona takiego zrobiła? Przecież nic się nie zmieniło.

Pozostawiona przez niego wiadomość niewiele mogła jej pomóc. Znała ją na pamięć, jednak ciągle nie mogła zrozumieć.

Odchodzę, mamo, i nie wrócę. Proszę, nie staraj się mnie odnaleźć. Przez całe życie usiłowałem zmusić cię, żebyś mnie pokochała, ale teraz zrozumiałem, dlaczego było to niemożliwe. Niewiele brakowało, a zniszczyłoby mnie to — mnie i innych. Jeśli więc nie możesz mnie kochać, nie chcę patrzeć, jak mnie nienawidzisz. Tak bardzo ci ujalem, a ty mnie okłamałaś. Inie jesteś taka, jaką udawałaś. Odchodzę więc,

aby nauczyć się żyć po swojemu i przekonać sam siebie, że to, co się stało, nie było moją winą, lecz twoją. Odpechnęłaś mnie od siebie dawno, dawno temu.

Miłość? Nienawiść? To nic nie znaczyło. Nic, co on mógłby wiedzieć czy rozumieć. To prawda, że była pełna nienawiści. To uczucie podtrzymywało ją przez lata i pomogło osiągnąć ten fenomenalny sukces, który teraz było widać czarno na białym w „New York Timesie”. Ale teraz Lisa nie odczuwała żadnych emocji, była jak pusta, wystrzelona łuska, czuła się zmęczona, a jej nienawiść została pogrzebana wraz z okropną śmiercią Jo-Anne.

— Jak idzie Anne Liebermann pisanie tej książki o chłopaku pływającym na desce? — spytała wesoło Maggie. Rozweselenie Lisy nie było ostatnio łatwym zajęciem.

— Doskonale — odparła Lisa bez entuzjazmu. — Akcja rozwija się świetnie, a rozdziały kończą się wprost rewelacyjnie. Będzie to kolejna książka na pierwszą lokatę, bez wątpienia. — Zrobiła krótką przerwę, jakby jakaś bolesna myśl przemknęła jej przez głowę. — Zastanawiam się, co by biedny Scott myślał o tej książce.

— To był jego pomysł, prawda?

— To pieprzony pomysł Anne Liebermann. Czy raczej powinnam powiedzieć, że to pomysł Anne Liebermann na pieprzenie się. Scott z nią sypiał, wiesz?

— Dobry Boże, naprawdę? Co za dziwne upodobanie.

— Jemu się to wcale nie podobało, Maggie. Zrobił to dla mnie. Anne chciała zerwać umowę, a on ją skłonił do pozostania u „Blassa”. Na swój sposób zapłacił jej za to.

— Och, Liso, nie mów takich dziwactw.

— Nie mówię dziwactw, Maggie. — Lisa wstała gwałtownie, zrzucając niecierpliwym gestem gazetę na ziemię. Po tych wszystkich latach Maggie ciągle uważała ją za niewinną dziewczynkę. Ludzie w ogóle zdawali się sądzić, że była ciągle tą samą dawną Lisą. A to nieprawda. Wszystko się zmienia. To irytujące, że ludzie tego nie dostrzegają, zwłaszcza starzy przyjaciele.

Przez chwilę panowała cisza, taka, po której następują zwierzenia.

— Tak bardzo chciałam, żebyś zwróciła na niego uwagę, a ja nie mogłam. Staralam się, ale nie mogłam. To znaczy, wówczas... Dopiero teraz wiem, jak mi go brak.

Odwróciła się twarzą do swojej starej przyjaciółki; w oczach lśniły jej łzy.

— Chciałabym, żeby wrócił, Maggs. Tak... bardzo. — Bezradnym

gestem rozłożyła ręce i pokręciła w zadumie głową. — Był taki podobny do Bobby'ego. To zdumiewające. Ilekroć na niego patrzyłam, ożywała we mnie cała uraza i gniew. Biedny Scott! Nie miał o tym pojęcia. Nie mogłam mu powiedzieć. Zapewne i teraz nic o tym nie wie.

— Może gdyby wiedział...

— On odszedł, Maggs. Po prostu odszedł. Z mojej winy. — Lisa mówiła właściwie do siebie. — Tyle nienawiści. Była wszędzie, wypełniała mnie, przesiąkłam nią, upajałam się i stawałam się dzięki niej silna. Tak cholernie silna, jakbym zawarła pakt z diabłem, nie uważasz? Mogłam mieć wszystko, nawet zemstę, gdybym zaprzedała duszę.

— Wszystko można odrobić, Liso. Możesz jeszcze wszystko odzyskać. Wszystkich odzyskać.

— Nie, Maggie. Już na to za późno. Oni wszyscy już odeszli. Wszystko minęło. Zostałam sama z tym... — Machnęła ręką w rozpacz, wskazując na wysoki pokój z cudownymi obrazami dawnych mistrzów, piękną kolekcją przedmiotów z nefrytu, unikatową rzeźbą Rodina zdobytą na aukcji, na której przebiła Luwr. Ale nie tylko to miała na myśli. Oto przetrwała, rzuciła Palm Beach na kolana; wszyscy pragnęli teraz tego co i ona, podporządkowywali się jej woli, dawali się upokarzać, jeśli chciała. Mówili: „Dziel i rządź, od dziś już na zawsze”. Jej jedyną rywalką nie tylko była martwa, ale też całkowicie zdyskredytowana na skutek tego, jak umarła. Lisa była jedyną kandydatką na opróżnione miejsce królowej życia towarzyskiego. Odniosła pyrrusowe zwycięstwo i mdliło ją od smaku gorczy w ustach. Co powiedziałaby na to Marjorie? Droga, mądra Marjorie, która ukrywała pod maską ambicji towarzyskich tyle dobroci i współczucia?

— Skontaktuj się z Bobbym, Liso. Musi czuć się teraz taki samotny. Zupełnie jak ty. Tyle czasu już upłynęło, to wszystko działo się tak strasznie dawno temu. Powiedz mu, że już po wszystkim. Chciej go zrozumieć. I siebie samą. Maggie jak gdyby czytała w myślach przyjaciółki. Kiedy Lisa usłyszała je wypowiedziane na głos, wiedziała, że zrobi tak, jak radzi Maggie. Wydało się jej to takie oczywiste. W głębi duszy była przekonana, że bez Bobby'ego już nic dobrego nie może się jej przydarzyć.

Christie stała jak skamieniała, słuchając potoku słów brzęczących wokół jej głowy jak rozgniewany rój pszczół. Co jakiś czas pojedyncze zdanie odrywało się od całości i wpadało jej do ucha, docierając do świadomości: Jesteś moja na wpół siostrą", „brat", „wybacz", „tamta noc na plaży"...

Z niedowierzaniem pokręciła głową, otrząsając na podłogę tego maleńkiego pokoiku na trzecim piętrze krople deszczu, w jakim biegła po Madison Avenue. Ale choć walczyła z szokiem, wywołanym przez te rewelacje, jej wściekły opór przed zaakceptowaniem słów Scotta zaczął słabnąć.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy bratem i siostrą? Że mój tata jest i twoim ojcem? — spytała niepewnie.

Scott, z twarzą ukrytą w dłoniach, skinął potakująco głową Skurczony na brudnej sofie, wyglądał tak, jakby się zupełnie załamał! I o me tylko nie ogolona broda, brudne, połamane paznokcie, potargane włosy. To zewnętrzne objawy przegranej. Całe jego ciało mówiło o rozpacz. Wyglądał jak tekturowy manekin na deszczu Nawet starając się pojąć, że ten chłopak, którego tak bardzo kochała i który tak strasznie ją zranił, był jej bratem, Christie czuła jak jej serce otwiera się ku niemu. Ulga i współczucie wypełniały ją bez reszty. ^J

— Cieszę się, Scott. Słyszysz? Cieszę się, że jesteś moim bratem

I powiedziawszy to, naprawdę uwierzyła w swoje słowa. Straciła kochankę, ale me była już sama. Nagle tak cudownie zrozumiała wszystko to, co przedtem było niezrozumiałe. Miała brata drogiego cudownego, szalonego, smutnego brata, który będzie jej przewodnikiem życiowym i razem zagrają na nosie temu niedorzecznemu światu. Przez rozchylone palce Scott spojrział na nią z niedowierzaniem.

— Na Boga, Christie, o czym ty mówisz?

Na jej twarzy rozlał się ciepły uśmiech, kiedy próbowała mu wyjaśnić.

— Chodzi mi o to, że wszystko jest wspaniale, Scott. Wybaczam ci i możemy znowu być przyjaciółmi. Kiedy byłam małą, modliłam się, żeby Bog dał mi brata. No i tylko trochę później odpowiedział na moje prośby.

— I nie nienawidzisz mnie... po tym, co zrobiłem? — Wyraźnie potrzebował więcej, aby uwierzyć. Nigdy nie przyszło mu do głowy że Christie mogłaby tak zareagować. Cały czas myślał tylko o tragedii i to zabiło w mm nadzieję. Przez ostatnie potworne sześć miesięcy rzadko wychodził z tego pokoiku, który stał się jego kryjówką Bez końca rozmyślał, starając się uniewinnić, ale nie potrafił. Zawsze dochodził do tego samego wniosku. Był potworem, błędem genetycznym, w którym skupiło się wszystko, co najgorszego mógł odziedziczyć po przodkach. On, owoc nieprawego związku, o mało nie doprowadził do śmierci własnej siostry, na skutek wymyślonej przez siebie samego

intrygi. Kochał się z własną siostrą i nienawidził jej, choć powinien ją kochać. A w końcu, kiedy dowiedział się, co zrobił, nie miał nawet siły, aby popełnić samobójstwo. Jak by na to nie patrzeć, nie był normalny.

Christie ogarnęło rozczulenie. Usiadła obok, wyciągnęła ręce i przyciągnęła go ku sobie, tuląc do piersi głowę chłopaka.

— Och, Scott. Biedny Scott. Biedne dziecko. Było ci tak strasznie źle. Mój biedny braciszek.

Kołysała go delikatnie, pozwalając mu wypłakać cały nagromadzony żal. Nie odzywali się przez długą chwilę. Scott przełamał wreszcie ciszę.

— Ach, Christie. Nie wiedziałem, jak zareagujesz. Czuję się tak potwornie winny. Musiałem powiedzieć o tym komuś. Musiałem powiedzieć — tobie. Kiedy napisałem, myślałem, że zapewne się nie odezwiesz, że nawet nie otworzysz listu. Tak mi strasznie wstyd.

Christie przyciągnęła go mocniej do siebie, czując łzy Scotta na ramieniu.

— Już po wszystkim, Scottie. Minęło. Zrobiłeś to wszystko, ponieważ coś bardzo cię zraniło. Wiem o tym i wybaczam ci. Słuchaj, naprawdę ci wybaczyłam.

Uniosła ku sobie twarz chłopca, zmuszając go do słabego, niepewnego uśmiechu i zachęcając go, sama się uśmiechnęła. Ale było jeszcze coś, co powinna powiedzieć, żeby zamknąć tamten rozdział. Złe duchy zasną tylko wtedy, jeśli wyjaśni się wszystko do końca.

— Myślę, że wyczuwałam coś w tym rodzaju od samego początku. Kiedy spotkaliśmy się na plaży. To stało się tak nagle, było tak niezwykle naturalne. Wszystko tak strasznie mi się pomieszało, ale byłeś mi bliski. I przede wszystkim, moje uczucia do ciebie były takie silne. No i dobrze, teraz wiemy już dlaczego, ale ja i wtedy w jakiś sposób wiedziałam o tym. Wtedy, kiedy się kochaliśmy. Tuż przedtem miałam wrażenie, że dzieje się coś strasznie złego. Cudownego, ale jednocześnie bardzo złego. Coś mi mówiło, że nie powinnam, ale nie słuchałam tego głosu. I wiesz? Ja wcale nie żałuję. Pamiętam wszystko, co się wtedy działo i, jak dotąd, był to najcudowniejszy moment w moim życiu. Po prostu cię kochałam, Scott. I nadal cię kocham. Teraz. Słyszysz?

Uniosła do góry jego zapłakaną twarz i otarła palcami spływające po niej łzy, obserwując, jak napięte mięśnie rozluźniają się z ulgą pod wpływem jej słów.

— Ale ja byłem taki okrutny... taki zły dla ciebie, Christie. Jak możesz mi coś takiego wybaczyć?

— To przecież ty stałeś się ofiarą, Scott, a nie ja. Ja byłam tylko kimś, kto się nawinał pod rękę, kogo los rzucił w to miejsce w odpowiednim czasie. Cała ta nienawiść — ktoś musiał w niej spłonąć. Zdumiewające jest to, co dotyczy twojej matki, mojej mamy i taty. Czemu aż tak bardzo chciała ich skrzywdzić? I czemu cię nie kocha? Nie mogę tego zrozumieć. Wydaje mi się to takie niesamowite.

— To jest niesamowite, Christie. Znasz tylko połowę całej historii. — Scott usiadł i wziął rękę Christie. — Nadal nie wiem, czy wierzyć w to czy nie, ale Willie Willis twierdzi, że moja matka i twój ojciec są również na wpół rodzeństwem.

— Co? — w głosie Christie zdumienie walczyło z rozbawieniem. Jeśli Scott był w stanie żartować w takiej chwili, to oznaczałoby, że czuje się już lepiej. Ale byłoby to dowodem raczej makabrycznego poczucia humoru.

— Wiem, że to wydaje się czystym szaleństwem. A jednak powiedział, że moja babka pracowała w domu twojego dziadka. Mieli ze sobą romans i moja matka jest ich dzieckiem. Tyle mi powiedział. Nawet mama o tym nie wie. Nikt nie wie. Ale jeśli to prawda, to moja matka i twój ojciec są naszym lustrzanym odbiciem. Historia się powtórzyła.

— Czy mógł to wymyślić? Żeby z jakiegoś powodu cię zranić?

— Myślę, że to możliwe. Wszystko teraz wydaje mi się możliwe. Wiem tylko, że jeśli o nas chodzi, mówił prawdę. To znaczy, my przecież wyglądamy, jakbyśmy byli swoimi kopiami.

Ponurą atmosferę pokoju ożywił nagle ich krótki śmiech, jak słońce przebijające się przez zachmurzone niebo. W końcu stali się partnerami — konspirującymi przeciwko życiu rozdającemu brudne, znaczone karty.

To prawda; nie tylko byli do siebie podobni, ale można ich było brać niemal za bliźnięta.

— Jak można to stwierdzić? Myślę, że powinniśmy to wyjaśnić. To znaczy o nich... nie o nas. Co do nas, bardzo chciałabym, żebyśmy byli rodzeństwem, nawet gdyby to nie było prawdą.

— Nie mam pojęcia, jak by to wyjaśnić. Ale czy to ma znaczenie? Może powinniśmy im tego oszczędzić. Oboje i tak mają w pewnym sensie zrujnowane życie. Może będzie lepiej, jeśli się nie dowiedzą.

— Masz rację, Scott. Lepiej tego nie odgrzebywać... jeśli w ogóle byłoby w czym grzebać. Boże, jakie to zdumiewające. Cały ten jad, kiedy krew woła o miłość, a nie wojnę. Cóż za potworna sprawa.

— Co zrobimy teraz? — Scott spojrział na nią z taką miną, jakby był zupełnie wyprany z wszelkich uczuć.

— To proste. Wracamy do domu — odparła radośnie Christie.

Lisa Blass znowu czuła się jak niepewne, podekscytowane dziecko, z ciekawością patrzące na otaczający je wielki świat. Po raz setny spoglądała z niecierpliwością na pozornie nieruchome wskazówki zegara. Czas włókł się dziś jak ślimak.

Długo zastanawiała się, co na siebie włożyć. Problemem było też, co o tym wszystkim myśleć. A za parę minut problemem stanie się to, jak się zachować.

Los znowu spletał jej figła. Nakłaniana przez Maggie, żeby jeszcze raz spróbować od początku, Lisa sięgała właśnie po słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił. Głos Bobby'ego Stansfielda był niepewny, nieswój ale bez wątpienia był to jego głos. Kilka razy się zająknął, kiedy usiłował powiedzieć jej to samo, co przed momentem ona zamierzała powiedzieć jemu. Serce Lisy nagle ożyło, zupełnie jak gdyby właśnie przypomniało sobie, że jest coś takiego jak radość.

Wszystko to wydawało się aż nazbyt proste, kiedy zasypywali dzielące ich lata nienawiści.

— Tyle lat... Tyle przykrości. Tak wiele znaczyłoby dla mnie... moc się z tobą ponownie zobaczyć. .

- Tak - Lisa miała wrażenie, że otwiera się i wychodzi mu naprzeciw. — Ja też chciałabym się z tobą zobaczyć, Bobby.

A teraz była strasznie zdenerwowana. Nie wiedziała właściwie, czy chciała spotkać Bobby'ego czy nie. Wczoraj wydawało się jej, że to najcudowniejszy pomysł, ale dziś nie była już tego tak pewna. Chwilami miała wrażenie, że wszystko się zmieniło, a zaraz potem — że pozostało takie samo jak niegdyś. Czy zniknięcie Scotta i potworny mord na Jo-Anne mogły wywrócić świat do góry nogami? Przez głowę przewijało się jej tyle pomieszanych, nie uporządkowanych myśli i uczuć. Czy to możliwe, że ciągle jeszcze pałała chęcią zniszczenia Bobby'ego i to spotkanie miało być tylko preludium do rozpoczęcia kolejnej batalii/ W miarę upływu czasu i zbliżania się umówionej pory, Lisa czuła coraz silniejsze napięcie. Jeśli nie wiedziała, co myśleć, to skąd będzie wiedziała, jak się zachować? A jeśli nie wiedziała, co czuje, skąd mogła wiedzieć, co myśleć?

Żeby pokryć zmieszanie, zadzwoniła i zmieniła czas spotkania. Pora herbaty będzie taka naturalna, taka angielska. Bezpieczna. O czwartej kamerdyner wprowadzi go do pokoju. Wtedy wyciągnie do niego

chłodno dłoń i powie oficjalnym tonem: „Bobby! To już tyle czasu” — albo coś w tym rodzaju. Dystygowana, zachowując spokój, z dystansem.

Kamerdyner faktycznie zastukał w drzwi.

— Proszę.

— Senator Stansfield, proszę pani.

Przez moment Bobby zatrzymał się w drzwiach. Na twarzy błąkał mu się niepewny uśmiech. Bobby Stansfield, silny i budzący zaufanie, obiecujący i wymagający uwagi, pełen charyzmy. Tyle wspomnień! Lisa poczuła, jak maska opanowania kruszy się pod naporem uczuć łamiących z trzaskiem lodową skorupę, którą tak dawno temu je obwarowała.

— Och, Bobby — wyszeptała tylko.

Jakoś nie była do tego w pełni przygotowana i odczuwała zdumiewająco wielkie zaskoczenie. Miała wrażenie, jakby nagle stanęła obok i z zainteresowaniem przyglądała się sobie samej, myśląc jak się zachowa. Właściwie łatwo było zrozumieć to wszystko, co czuła — strach, podekscytowanie, niemal gniew; to dziwne uczucie, że dzieje się coś bardzo ważnego, co zmieni całe jej życie, że już nic po tym nie będzie tak jak dotąd. Zapewne takie same uczucia przeżywało się w czasie wypadku samochodowego. Żadnego bólu, tylko świadomość, że jesteś w punkcie zwrotnym, że wszystko może się wydarzyć i że nie masz na to żadnego wpływu. Niezdolny do kontroli nad wypadkami umysł ucieka wtedy do roli obserwatora, usiłującego analizować i przewidywać rozwój sytuacji. Czy to pojawienie się Bobby'ego wywołało taką reakcję, czy reagowała na wspomnienia?

Stali obok siebie i przez chwilę cofnęli się myślami do przeszłości. Lisa miała oczy pełne łez i czuła, jak jej chłód z każdą chwilą coraz bardziej topnieje. A może to wszystko było bez sensu? Cała ta walka, zawziętość, pragnienie zemsty. Czy to możliwe, żeby uczucie, które uważała za nienawiść, było tylko zamaskowaną miłością, ukrytą w głębi serca? Pozornie niemożliwe, wydało się jej to nagle takie oczywiste.

Przyglądali się sobie uważnie.

Bobby dojrzał błyszczące, wilgotne oczy, zarys policzków, który tak dobrze pamiętał. Ileż razy śnił o niej? Tylekroć przypominał sobie jej twarz w myślach, a przecież w rzeczywistości była jeszcze piękniejsza. Czuł, że z Lisy bije jakiś magiczny czar, który zawsze tak mocno na niego oddziaływał. Teraz już jej nie odda nikomu. Jakby dla podkreślenia tej decyzji, wziął ją w ramiona i całując włosy, wyszeptał cicho:

— Lisa, moja Lisa.

Ale Lisa jeszcze niezupełnie zrezygnowała z walki. Nawyk, niemoż-

liwe do usunięcia wspomnienie jego okrucieństwa. Delikatnie, ale stanowczo odsunęła się, patrząc mu prosto w oczy. Były jak dawniej intensywnie niebieskie. Czas obszedł się z Bobbym łagodnie, ale na jego przystojnej twarzy pojawiły się cienie wymalowane przez smutek. On także cierpiał.

— Chciałam się skontaktować z tobą, kiedy Jo-Anne... — Lisa rozłożyła ręce dla zobrazowania, że nie umie sobie tego wszystkiego wytłumaczyć. Tyle było do powiedzenia, ale zupełnie nie wiadomo, jak zacząć.

— Wiem, wiem.

— Tak bardzo jej nienawidziłam. Obecnie wydaje się to takie bezsensowne.

— Mnie także nigdy nie wybaczyłaś.

— To prawda. Ale teraz nawet nie wiem, czy było coś do wybaczenia.

— Syn, którego mogliśmy mieć?

Lisa uśmiechnęła się — to był chyba właściwy moment. Scott odszedł, ale był. Przez zbyt długi czas odmawiano mu prawa bycia. To właśnie dlatego odszedł. Może potwierdzenie, że istnieje, sprowadzi go z powrotem?

— My mamy syna, Bobby.

Obserwowała niedowierzanie malujące się w jego oczach.

— Mój syn Scott jest także twoim synem. Nie chciałam, żebyś się o tym dowiedział. Nigdy. Nawet Scott o tym nie wie.

— Ale powiedziałaś, że... Vernon Blass... Chcesz powiedzieć, że wtedy w szpitalu, kiedy urodziła się Christie...

— Ależ tak. Oczywiście, że to było twoje dziecko. Nie potrafiłam go zabić. Bóg mi świadkiem, że chciałam to zrobić, bo nie mogłam zabić ciebie. Ale nie chciałam dawać ci tej satysfakcji, że masz syna. Ze mną.

Bobby wyciągnął rękę, żeby dotknąć Lisy, żeby poczuć tę bijącą z jej słów gorączkę. . .

— Och, Liso, czy mi wybaczysz? Naprawdę me wiedziałem.

— A teraz co czujesz?

Bobby spojrział na nią, na tę piękną, głęboko zranioną kobietę, która kochała go zbyt mocno, i wiedział dokładnie, co czuje.

— Kocham cię, Liso — powiedział po prostu.

— To pocałuj mnie — odparła i uśmiechnęła się.

Ich usta początkowo były suche, napięte i nerwowe, jakby całowali się po raz pierwszy w życiu. Ale narastało w nich pragnienie, tłumione od tak dawna. Nagle wybuchło z całą, niczym nie tamowaną siłą. Przez

długą chwilę zachwycali się sobą, złączeni, obejmując się mocno ramionami, przypominając sobie swój smak, zapach, dotyk. Lisa poczuła, jak całe jego ciało napina się, jak bardzo jej pragnie. Ona też go pragnęła. Tak bardzo jak niegdyś. Nie miało sensu analizowanie, wyjaśnianie czegokolwiek. Pragnęli tylko czuć wzajemnie swoje ciała. Znowu byli kochankami.

Hałas na lotnisku zmuszał Scotta do tego, żeby głośno krzyczeć w słuchawkę. Wciśnięta tuż obok w budce telefonicznej Christie usiłowała odczytać przebieg konwersacji z wyrazu jego twarzy.

— To ja, Scott. Słyszysz mnie? Tu jest potworny gwar. — Zasłonił ręką drugie ucho, usiłując stłumić zagłuszające rozmowę dźwięki.

Christie wyobrażała sobie odpowiedź. Ktoś taki jak Lisa Blass zapewne reagował gniewem. Złością, że ją opuścił, że musiała się martwić, że nie sprawdziła się jako matka.

— Wszystko u mnie w porządku, mamó. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wracam do domu.

— Porozmawiamy o tym później, w domu, dobrze, mamó? Teraz to niemożliwe. Ledwie słyszę, co mówisz.

Christie ścisnęła ramię Scotta, dodając mu otuchy. Wiedziała, co to znaczy mieć wpływowych rodziców. Wcale niełatwo być ich dzieckiem.

— Co? Co? Och, mój Boże!

Christie zauważyła, że Scott sztywnieje, krew odpływa mu z twarzy, a przez całe ciało przebiega dreszcz.

— Scott, co się stało? O co chodzi?

Scott zasłonił dłonią słuchawkę. Kiedy mówił, głos mu drżał z wrażenia.

— Mają zamiar się pobrać. Christie, na Boga, oni chcą się pobrać!

— Co? O kim mówisz?

— O mojej matce i twoim staruszku.

— Och, nie, nie! Oni nie mogą tego zrobić.

Stali na gwarnym, zatłoczonym lotnisku, wpatrując się w siebie bezradnie i rozważając niemożliwy do zawarcia związek.

Christie i Scott siedzieli na piasku, ponuro wpatrując się w gładkie jak welwet morze. Czasami tak właśnie było na plaży w North End, że fale zupełnie zanikały, a woda była seledynowoniebieska jak na Karaibach. Koszmarny sen pływających na desce albo szczyt marzeń plażowiczów.

Scott nabrał w garść piasku i bezmyślnie przepuszczał go między palcami. Był to symboliczny gest: piasek przepływał mu w dłoni jak upływający czas.

— Jeśli Willie Boy mówił prawdę, to nie możemy dopuścić do tego, żeby się pobrali. Po prostu. Mogliby mieć więcej takich dzieci jak ja, zupełnie poplątanych i nienormalnych. Bóg jeden wie, jakie mogłyby z tego wyniknąć problemy. Po prostu nie możemy dopuścić do tego.

— Ale Scottie, przecież nie wiemy na pewno. Stary pijak mógł kłamać albo źle zrozumieć. A może mąż twojej babki, ten Tom Starr, był paranoikiem. Może był po prostu zazdrosny. Sam wiesz, ile oni pili, i to ty mi mówiłeś, że Willie jest nietrzeźwy od świtu do zmierzchu.

— Wiem, sędzę, że to wszystko jest możliwe — w głosie Scotta wyczuwało się wątpliwości. — Możliwe jest i to, że babka wierzyła, iż jest w ciąży z jednym z tych potężnych i wpływowych Stansfieldów. Mama mówiła, że ciągle jej opowiadała o tym, jaka cudowna jest wasza rodzina i że Palm Beach to najlepsze i najpiękniejsze miejsce na ziemi. Może wmawiała sobie, że mama jest córką Stansfielda, bo to lepsze, niż być córką Starra. — Zrobił krótką przerwę.

— Ale na tym polega cały problem. Nie wiemy na pewno i nie możemy tego wiedzieć. I nie sędzę, abyśmy mogli ryzykować.

Na twarzy Christie odbijał się ponury nastrój, jaki panował w jej myślach. — Ale nie możemy przecież zniszczyć tego szczęścia. Oboje tyle wycierpieli. Większa część ich życia była zrujnowana, w ten czy

inny sposób. To ostatnia szansa, żeby wreszcie ułożyli je sobie wspólnie. Czy ma to takie wielkie znaczenie, że są spokrewnieni ze sobą? Chodzi mi o to, że skoro oni o tym nie wiedzą... A nawet gdyby mieli dzieci, to byłyby takie jak ty i zapewniam cię, że to żadna klęska.

Scott uśmiechnął się do niej. Jego siostra i — według niego — najmądrzejsza i najlepsza istota na całym świecie. Pod tym względem Willie Boy z pewnością miał rację. Była to ich wspólna sprawa i cokolwiek postanowią, to decyzja zapadnie w rodzinie.

— Ale nie możemy pozwolić im na to, Christie. Byłoby to zbyt nieodpowiedzialne.

— O Boże, ale to ma być jutro. Wszyscy zostali już zaproszeni. Wyobraź sobie to zamieszanie, jakie by powstało, gdyby trzeba odwołać ślub. Mówię ci najuczciwiej na świecie, że ojciec nie przeżyłby tego. On tak bardzo dba o to, co ludzie pomyślą. Jest przecież politykiem. A twoja mama — po tylu latach nienawiści... W końcu, kiedy właśnie może uwolnić się od tego i ma szansę zacząć nowe życie, my mielibyśmy to wszystko zniszczyć! Czy jest jakaś możliwość, żeby dowiedzieć się czegoś więcej?

— To było tak dawno temu. Nikt ze świadków nie żyje. Starłem się przypomnieć sobie wszystko, co mi mówiono, ale nie było tego dużo. Skoro tak długo trwało, zanim dowiedziałem się, że Vernon Blass nie był moim ojcem, to o czym jeszcze mi nie powiedziano?

Christie nie odezwała się. To prawda. Jak mało dzieci wiedziały o grzechach swoich rodziców!

— Tommy Starr, Jack Kent i Mary-Ellen nie żyli, kiedy się urodziłem. Mogę polegać tylko na tym, co mi opowiadała matka. Nie jest tego dużo i, co więcej, wiele z tych rzeczy okazało się nieprawdą.

— Pamiętam, jak babcia kiedyś powiedziała, że dziadek był zbyt przyjacielski wobec służby. Myślałam, że ma na myśli to, iż nie zachowywał odpowiedniego dystansu. Może jednak chodziło jej o coś więcej.

— Trudno byłoby to uznać za koronny dowód, co? Potrzebujemy czegoś takiego jak na przykład świadectwo urodzenia.

— Tak, ale tam z pewnością jest napisane „Starr”, nie sądzisz? W tamtych czasach nie ogłaszało się tego typu wiadomości. Jedyne niepodważalne dowodem byłoby badanie krwi. Pamiętam, jak uczyli nas na biologii, że na ogół dzięki badaniu krwi można wykluczyć ojcostwo. Ale też nie można z całą pewnością potwierdzić, że jest się spokrewnionym z daną osobą.

Scott roześmiał się. — Och, Christie, to wspaniałe. Wyobrażam sobie tę rozmowę. „Mamo, czy możesz dać mi trochę swojej krwi?”

A pan, panie senatorze? Chciałbym przeprowadzić pewien test. Po prostu interesuje mnie to". Po czymś takim z pewnością posłaliby mnie do domu wariatów.

Zwrócili się do siebie, patrząc jedno drugiemu prosto w oczy.

— Badanie krwi! — wykrzyknęli równocześnie.

Prawo federalne przewidywało, że nikt nie może wziąć ślubu, jeśli przedtem nie zrobi badania krwi. Chodziło głównie o to, żeby wykryć, czy ktoś nie ma syfilisu, ale ważne było, że próbki krwi Lisy i Bobby'ego muszą znajdować się teraz w którymś z laboratoriów w West Palm.

— Gdybym tylko wiedział, do którego laboratorium przesłali krew do zbadania, mógłbym zatelefonować i udając, że jestem senatorem poprosić, żeby zrobili badania grupy krwi dla nich obojga. Ludzie zawsze interesują się tym, jaką mają grupę krwi, więc będzie to zupełnie rozsądna prośba. Bo to grupa krwi jest potrzebna, prawda?

Christie z trudem opanowywała podniecenie.

— Tak, to prawda. Tak się robi, kiedy chce się na przykład ustalić ojcostwo. Może się okazać, że mój ojciec i twoja matka mają takie grupy krwi, które wykluczają możliwość, aby mieli wspólnego ojca. Bóg wie, co to da, ale warto spróbować. Jeśli wynik będzie w porządku, to niech się pobierają, a jeśli będzie wątpliwy, wtedy ich powstrzymamy. Scott gwałtownie wstał.

— Cudownie! W takim razie zróbmy to — stwierdził.

— A skąd będziesz wiedział, w którym laboratorium przeprowadzali badania? — spytała Christie.

— Po prostu zapytam o to mamę. Nie będzie z pewnością dociekała, czemu pytam. Zazwyczaj jest zbyt zajęta, by przejmować się takimi sprawami.

— Och, Scott, powodzenia. Będę się modlić jak szalona! Christie wspięła się na palce i pocałowała go na pożegnanie. I nagle

poczuła, jak piasek pali ją w stopy i robi się jej gorąco na wspomnienie nocy spędzonej ze Scottem na plaży. Czy uda się jej kiedykolwiek o tym zapomnieć?

EPILOG

Nadszedł już czas. Bobby i Lisa wyczytali to z twarzy ojca Bradleya. Wziął głęboki oddech.

— Senatorze, Liso. Myślę, że pora zaczynać. A potem nareszcie dorwiemy się do szampana. — Ojciec Bradley nie był pewny, czyjego żart jest na miejscu.

Bobby i Lisa nie słuchali go jednak. Był dla nich tylko symbolem, agentem Boga. Miał zrobić to, czego oboje tak bardzo pragnęli.

Lisa niemal słyszała już słowa, które za chwilę wypowie. Dźwięczały w uszach jak błyszczące gwiazdki szczęścia, które ją rozpiekało.

— Elizabeth Starr Blass, czy chcesz pojąć Roberta Edwarda Stansfielda za męża?

— Tak — brzmiała w jej uszach odpowiedź, która wydawała się tak śmiesznie niewłaściwa, a jednocześnie cudowna. Powinna móc powiedzieć więcej. Przynajmniej kilka zdań, pozwalających lepiej zrozumieć ten związek. Coś takiego: „Zawsze pragnęłam wyjść za mąż za tego cudownego mężczyznę. Nic nie byłoby w stanie sprawić mi większej przyjemności niż zostanie jego żoną”... Albo coś w tym rodzaju. A wtedy Bobby odpowiedziałby jej podobnie. Byłoby to aktem tworzenia ich nowego, wspólnego życia, poetycką deklaracją miłości na oczach całej armii przyjaciół.

Ręka w rękę poszli parę kroków za ojcem Bradleyem i zajęli swoje miejsca, widoczni dla wszystkich zebranych.

Pastor zwrócił się do nich z uśmiechem, którym chciał podtrzymać oboje na duchu. Doświadczenie mówiło mu, że jeszcze nie zdarzyło się, aby nowożeńcy nie byli choć trochę zdenerwowani w takiej chwili. Nie spuszczać oczu z Lisy i Bobby'ego, otworzył modlitewnik.

W olbrzymiej, starej sali balowej napięcie było tak wyraźne, że

niemal strzelało w powietrzu, kapryśnie atakując widzów i uczestników ceremonii.

Maggie, niezwykle zgrabna w swym dopasowanym kostiumiku, poddała mu się w zupełności. Nie powinnam wierzyć swojemu instynktowi, usiłowała się przekonać w myślach. Na pewno wszystko będzie dobrze. Można to wyczytać z twarzy Lisy. To nie chodzi tylko o jej wyraz, widać też to, co Lisa czuje. Jakby jakiś wspaniały, majestatyczny statek przybił wreszcie do portu. Odrapany i zagrożony przez sztormy, wytrzymał i — wypróbowany i sprawdzony na wzburzonym morzu, silniejszy i jeszcze subtelniejszy — wpływa wreszcie na spokojne wody portu. Promieniowały z niej radość, pewność siebie, a także głęboki spokój, którego Maggie przedtem nie widziała. A jednak... Maggie nie mogła opanować uczucia niepokoju. Starając się z całych sił, nie była w stanie odkryć jego źródła, nie знаła przyczyny ani charakteru, a mimo to go odczuwała.

Tylko co to mogło być? Na pewno nie powodował tego napięcia Bobby, promieniujący dobrym humorem, żarliwie oczekujący pobłogosławienia związku, który powinien był zostać zawarty już tak dawno temu. Caroline Stansfield też chyba nie wydawała się zaniepokojona. Wyglądała wprawdzie na nieco zmartwioną, ale spokojną. Kiedyś, dawno temu, była wrogo nastawiona do Lisy, ale teraz już nie. Stara i pochylona, nadal miała bardzo klarowny umysł i w czasie krótkiej rozmowy, jaką wcześniej obie odbyły, Maggie nie odniosła wrażenia, żeby Caroline niechętnie odnosiła się do ślubu syna.

Jeszcze raz Maggie odwróciła głowę i spojrzała na Scotta. I natychmiast uświadomiła sobie, że ten niepokój bił właśnie od niego. Od Scotta i Christie. Nie tylko to, że wyglądali na zdenerwowanych. Wszyscy byli lekko podekscytowani. To coś zupełnie innego. Scott, zawsze trochę nieobecny i chłodny, dzisiaj wydawał się nadmiernie ruchliwy, zupełnie jakby w jego żyłach zamiast krwi płynęła stężona kofeina. Wyglądał, jak gdyby było mu okropnie niewygodnie w oficjalnym stroju, ale to nie wszystko. Czemu ciągle wpatrywał się niespokojnym wzrokiem w telefon?

Christie słyszała mocne uderzenia serca. Nigdy nie sądziła, że to wszystko tak się skończy. Jeden okropny problem tuż po drugim. Najpierw zgubiono gdzieś próbki krwi i przez całą długą noc leżała bezsennie, wiedząc, że Scott tak samo przewraca się na swoim łóżku. Oboje bombardowali niebiosa modłami, żeby próbki się odnalazły, żeby znaleziono je gdzieś w lodówce, a nie w jakimś ciepłym miejscu, w dusznym laboratorium, gdzie stałyby się nieprzydatne do badań.

O dziesiątej wreszcie próbki się odnalazły — zaledwie na dwie godziny przed ceremonią, która mogła okazać się straszną klęską. A zaraz potem zdarzył się jakiś okropny wypadek, potrzebna była krew, laborant robiący badania musiał zająć się tamtą sprawą. Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać, obserwować i nasłuchiwać, czy nie dzwoni telefon.

— Drodzy, ukochani przyjaciele. Zebraliśmy się tu dzisiaj z tej niezwykle szczęśliwej okazji, aby wziąć udział jako świadkowie w ceremonii zawarcia sakramentu małżeńskiego pomiędzy Robertem i Lisą.

Scott czuł się odrętwiały. Choć słyszał słowa rozpoczynające ceremonię, dla niego ważny był jedynie telefon. Cekał rozpaczliwie, aż zadzwoni. Po drugiej stronie pokoju dojrzał zdesperowane spojrzenie Christie. Na wpół świadomie przesłał jej smutny uśmiech.

Ojciec Bradley pozwolił sobie na kilka zdań wprowadzenia.

— To zaiste cudowne, gdy Bóg może pobłogosławić dwoje swoich najwartościowszych sług, ofiarowując im wieczną szczęśliwość...

W sali było cicho jak makiem zasiał. Zebrani wsłuchiwali się w słowa pastora.

Lisa myślała o nocy, którą miała spędzić z Bobbym, takiej samej jak tamte przed wielu laty; nocy, która do reszty wymaże z jej pamięci ślady wszelkich ran.

Serce Bobby'ego wypełniała duma. Pastor mówił prawdę. Bóg go pobłogosławił. Z Lisą u boku będzie mógł znowu podjąć marsz ku wielkości. Wyżej, coraz wyżej, aż na firmament Ameryki.

Ciche terkotanie telefonu zabrzmiało jak wybuch bomby.

Christie poczuła, jak serce stanęło jej na moment.

— No, nie — jęknął ojciec Bradley. — Ktoś powinien był wyłączyć telefon przed taką uroczystością.

Bobby, myśląc dokładnie to samo, siłą woli powstrzymał irytację.

— Pomyłka — powiedział głośno, wywołując tym ogólny śmiech. Lisa nie dała się zbić z tropu. — Bardziej prawdopodobne, że to

ktos z mojej firmy. Któryś z autorów przeżywa kryzys i chciałby, żeby z nim porozmawiać.

Scott wyciągnął szybko rękę i złapał słuchawkę. Miał świadomość, że patrzy na niego osiemset oczu, że osiemset uszu wsłuchuje się w jego słowa.

— Tak — powiedział. — Tak. Ach, rozumiem. Co to dokładnie oznacza? Aha. Jest pan zupełnie pewien? Pomyłka wykluczona? Absolutnie? Nie, rozumiem. Dziękuję, bardzo dziękuję.

— Któż to był? — spytała zniecierpliwiona Caroline Stansfield. Czemu Scott wyglądał tak, jakby zobaczył ducha?

Dźwięk słuchawki odkładanej na widelki zabrzmiał głośno w ciszy panującej na sali.

Christie zawołała na cały głos:

— Scott!

Przez chwilę zachował sekret dla siebie. W końcu odezwał się:

— Wiecie, co myślę? — powiedział. — Myślę, że powinniśmy wreszcie zacząć ten ślub!